

# Gabryela Zapolska

## WODZIREJ

Tom I.

I.

— A więc decidement idziesz pan do domu?

— Decidement.

— Szkoda! szkoda!.. Poszlibyśmy troche na Szkarpy, potem na Rury, potem... jakże to się na zywa?

— Na Pohulankę...

— Aha! aha! na Pohulankę... Napilibyśmy się mleka prosto od krowy... Pan wiesz... une vache... ciepłe mleko...

delicje... potem wrócilibyśmy do miasta i wpadlibyśmy na chwilę, gdy szwaczki idą do pracowni... i pensyonarki do konwiktów... Il y en a!.. A ładne to, a młode... a... des anges!.., decidement!.. des anges!..

Mówiąc te słowa, Melunio Orlicki krzywił się, marszcząc swą twarz, twarz podobną do przegniłej gruszki, podciągnął w górę brwi nakreślone grubo czarną mazią na skórze bez śladu zarostu i oczy swe czerwone, obwieszane dokoła workami ze skóry, a zaciągnięte bielmem starości, ku niebu ciągle podnosił.

Odziany był w wielki płaszcz czarny z peleryną, który włókł mu się po ziemi i płątał pod stopami; na głowie, cokolwiek na bakier, z pewną fantazyą, szapoklak wspaniały, przyklejony do płasko ułożonych i wyczernionych silnie włosów.

Majowy ranek był zimny; stary Melunio trzął się z wiosennego chłodu, lecz junacko pierś starego viveur'a naprzód wystawiał. Lśniący gors koszuli balowej, w drobnouchne zakładeczki cały, cokolwiek zwiędły w atmosferze nocy balowej, bielił się pomiędzy fałdami płaszcza. Nos Melunia był siny, cera trupia; wargi obwisły, nitka śliny sączyła się powoli, spadając na wyfiksaturowaną hiszpankę.

Lecz Melunio wracać do domu nie chciał. Obrzmiałemi oczyma po przestrzeni ulicy Jezuickiej wodził, powtarzając:

— Des anges!.., des anges!..

— Stojący naprzeciw niego Wielohradzki zaledwie mógł utaić swoje zniecierpliwienie.

— Na podobne wycieczki trzeba mieć siły hrabiego! — wyrzekł wreszcie, zapinając szczelnie pod szyję swoje palto — Il fait diablement froid, a kotylion trwał dłużej niż zwykle...

— Oui! oui! — odparł z roztargnieniem Melunio. — Trzeba mieć mes forces i moją siłę życiową.

Uśmiechnął się, pokazując nagle cały rząd sztucznych zębów.

Złoto haczyków, ciemna chorobliwa massa kauczuku zagrały w blaskach wschodzącego słońca.

— J' irai seul!..—dodał z komiczną rezygnacją.

— Żegnam hrabiego!..

— Żegnam! żegnam!..

Melunio rączkę, podobną do ręki kościotrupa, lecz starannie opiętą w jasną rękawiczkę, z fałd peleryny wysunął, Wielohradzki, widząc ten giest, swą prawą dłoń już wyciągnął.

Lecz Melunio kilka razy tylko swą ręką w powietrzu potrząsł, nie podając jej bynajmniej Wielohradzkiemu.

— Żegnam!..

Zawrócił się i sztywno, prosto, skrzypiąc lakierkami, iść zaczął.

Za nim włókł się tren płaszcza, zgarniając kurz uliczny i świeże kałuże wody, ociekłe z konewek i dzbanków sług, które co chwila przebiegały wzdłuż chodników przechylone, zaspane, z roztarganemi włosami, pełnemi pierza i zardzewiałych szpilek.

Wielohradzki szybko iść zaczął pod górę ulicy, mruknawszy przez zaciśnięte zęby:

— Stara mumia!..

Myśl, iż „stara mumia” nie podała mu ręki, wprowadzała go w zły humor. Gryzł ładne różowe usta, palcami miał kieszenie palta. Błękitne oczy, duże, wypukłe, lecz mimo to dość sprytnie, biegały teraz ze

złością po pustej ulicy. Nozdrza nosa, dużego, lecz niezmiernie kształtnie wykrojonego, poruszyły się nerwowo. I znów z poza zaciśniętych, drobnych, jak u myszy, zębów wypadł syk: — Stary idyota!..

Tymczasem wstawał tryumfalnie ranek wiosenny, biały różowy, liliowy, pełen delikatnych, pastelowych tonów. Wszystkie te światła, te smugi, biel jasna i czysta powoli rozświetlającego się ponad domami nieba zdawała się istnieć po za jakąś taflą szklaną, która łamała światło i przepuszczała je napozór złagodzone, lecz błyszczące zimniejszym blaskiem.

Okna kamienic, zamknięte, zakryte frankami, tu i owdzie krwawiły się purpurowemi zasłonami, złociły się żółtą gipiurą lub zieleniały od szmaragdowych jedwabnych stor, bufowanych, jak suknie prababek.

Dzielnica to była arystokratyczna, uśpiona, cicha.

Wielohradzki szedł wciąż, kurcząc ramiona, strawiony wewnętrzną gorączką.

Szampan, który podawano u Boteckich, był złej marki i ciepły, kawałek pasztetu, który zjadł w bufecie dla dotrzymania towarzystwa hrabinie Gwozdeckiej — nieświeży, w mazurze mylono się ciągle w chaine i figura z zaprzęgiem chybiła efektu wskutek niezdarności kobiet, upuszczających ciągle końce chu

stek, które miały reprezentować lejce; w dodatku ten idyota Melunio nie podał mu ręki...

Stanowczo: dzisiaj noc była... pechową!

Spojrzał przed siebie i przeraził się tą dużą przestrzenią, którą miał jeszcze do przebycia.

— Nie doleże! — pomyślał, ciskając się coraz więcej w ataku nerwowym.

Nagle na skrócie ulicy pojawiła się jakaś postać w długiej, ciemnej sukni.

Wielohradzki, jak każdy mające wypukłe źrenice, był krótkowidzem.

Dostrzegł jednak fałdy spódnicy, które wiatr rozwiewał, i duży oskrzydłony kapelusz,

Szybko rozpiął swe palto i rozrzucił kłapy podbite jedwabiem.

Zabłysnął gors koszuli, zmięty i zwiędły, krawat jak postronek, kołnierzyk wykładany, z rogami zawiniętymi ku górze.

Lecz na kłapach fraka zajaśniały srebrem, złotem, barwami turkusów, rubinów, szmaragdów olbrzymie ordery kotylionowe.

Przez pierś krzyżowały się szerokie wstęgi, obwijając tors Wielohradzkiego jakby powijakiem jaskrawych barw, jakichś fantastycznych legij, orderów, znaków szczytnych, zdobytych na poległych setkach trupów nieprzyjacielskich.

Ordery błyszczały, mieniły się, grały kolorami tęczy. Niektóre, gazowe, ustrojone sztucznymi róża

mi, fijołkami, niezapominajkami, miały w sobie lekkość motyli; niektóre, obwieszane brzękadłami, dzwoniły wyzywająco. Na samym środku, na tle szafirowej morowej wstęgi rozkładało się olbrzymie słońce, a w niem kot czyścił but, z którego wyrastały lilie. Lecz już owo słońce wspaniałe niknęło co chwila, kryte przez kościaną grzechotkę ze srebrnymi grelołkami, zawieszoną na szyi za pomocą różowej wstążki. Świstawka, trąbka i flecik dopełniały kolekcji. Na brzuchu tańczyła duża, prawdziwa rzepa w siatce purpurowej, przyczepiona do pasa nabijanego gwiazdami, z błękitnej, jasnej gazy.

Wielohradzki oczy zmrużył i szedł tak dumny i zwycięski z rozpiętym paltem, dzwoniąc brzękadłami, grelołkami, błyszcząc motylami orderów, jakby pancerzem, utkanym z cacek kosztownych i ze srebrnych i złotych nici.

Postać czarna zbliżała się powoli ku niemu, a on przybrał teraz minę znudzonego dandysa. Usta wygiął w podkowę i szedł jak lalka w tem słońcu wiosennem, zgrabnie stawiając dość duże, lecz wąskie stopy, obute w nowe, błyszczące lakierki.

Nagle na twarzy wodzireja odbiło się znów niezadowolenie.

Stanowczo nie miał dziś szczęścia! Sądził, że to jedna z „dam”, —ktoś z towarzystwa, śpieszący na mszę ranną lub na wody do Jezuickiego ogrodu.

Tymczasem, był to stary ksiądz, w długiej, fałdzystej sutannie i wielkim kapeluszu o kresach podniesionych.

Ksiądz poszedł powoli, pocierając ręką o swój sinawy podbródek.

Wielohradzki, zły, nagle popadł w śmieszność, zapinał szybko swe palto, czując teraz chłód, który się przez szczelinę gorsu koszuli wkładał.

Lecz teraz, powoli, ulica zapewniła się ludźmi śpieszącymi do swych zajęć, do biur, do sklepów, po pożywienie.

Jakkolwiek dzielnica była arystokratyczna, toć jeszcze była tu falanga gęsta i liczna tych, co obsługę pełnili i drobne lokale na tyłach kamienic zajmowali — nieśmiało kurcząc się, przemykając cicho wśród owego spokoju uspiionych „państwa” po za firankami z czerwonego lub żółtego jedwabiu.

Teraz, o porannej porze, wysuwali się z bram ciężkich, przy których połyskiwały metalowe guziki dzwonek. Byli to ludzie ubrani czysto, ciemno, z widoczną starannością i chęcią nieobrażenia estetycznych pojęć osób zamieszkujących fronty kamienic. Kobiety zwłaszcza szły z jakąś godnością, przybierając mimowoli ton i maniery hrabin i dam spotykanych często na przejściu bramy lub na asfalcie chodnika.

I kobiety te przeważały, sunąc ku miastu, ukrywając starannie pod fałdami długich rotund koszyki

z jarzynami i odrobiną mięsa, a niosąc z ostentacją książki duże, o wyłożonych grzbietach, z klamrami, jedyny luks i zbytek nabyte oszczędnością wśród mizernych kłopotów szczupłego budżetu.

Wszystkie te kobiety miały wygląd dewotek, tych czarno ubranych motyli trzepocących skrzydłami wielkiego kapelusza dokoła ogniska, roznieconego dla nich białymi rękami dam z arystokracji.

Tuliły się do tej dzielnicy skurczone, pomarszczone, pokorne na pozór legion czarny i dziwny, wiecznie do siebie podobny, o masce pełnej pretensji, patrzący z góry na nędzarzy przygodnych tworząc arystokrację nędzy i nosząc z

duma hidalga rozwiany welon swego wiecznego wdowieństwa, nos czerwony spiczasty, i ową czarną torbę, która była rodzajem broni, tornistra i całego ładunku tej specjalnej pomiędzy kobietami armii.

I było ich setki, tysiące, legiony, nietylko we Lwowie, nietylko w Austrii, ale wszędzie, gdzie tylko „arystokracja” zamurowuje się w pewnej dzielnicy miasta.

Wielohradzki, zirytowany zawodem, jaki go spotkał, szedł teraz z paltem zamkniętym i jedynie pod szyją rozchylił nieco kołnierz, aby pokazać wspaniałą order „Króla kotyliony”, zawieszony tuż pod krawatem na bladej wstążce.

Niektóre z czarno ubranych kobiet witały go ski

nieniem głowy. On oddawał im ukłon z tą samą miną, z jaką Melunio Orlicki pożegnał go przed chwilą.

A!., a!., pan Tadeusz!., z kądże to? od kogo?..

Od Boteckich! odrzucił niedbale Wielohradzki.

Czarno ubrana kobieta wzniosła w górę oczy.

A! godny dom!., wielcy państwo!..

Zegnam panią!., rzucił jej przez plecy młody człowiek.

Ręką nawet powachlował kilka razy w powietrzu.

A mamunia, zdrowa?.. pytała czarno ubrana dama.

Lecz nie było odpowiedzi,

Wielohradzki przyspieszał kroku, czując się coraz więcej zmęczonym.

Teraz tu i owdzie przed bramę wychodzili lokaje, stangreci, świeżo ubrani i ogoleni, w kamizelkach i fartuchach, niektórzy w pantoflach filcowych na płaskich, ordynarnych nogach.

Stróże oczyszczali chodniki; dopomagały im żony, odziane w jasne kaftaniki.

Na balkonie jednej z kamienic pojawiła się pokojówka i zaczęła wynosić z głębi salonu doniczki z palmami. Jasna jej głowa tonęła w massie liści, które rozwiewały się wysoko, tworząc nad jej włosami las zielonych wachlarzy.

Kilka kropli wody spadło z wazonu na ulicę.

Stróż, młody chłopak o ciemnych oczach i zdro

wych zębach, podniósł głowę i pogroził dziewczynie miotłą.

Pokojówka pokazała mu język i zaczęła śmiać się, zatykając usta kułakiem.

Stróż śmiał się także, a lokaj, założywszy ręce na brzuchu pod fartuchem, dogadywał ochryłym głosem dowcipy, od których dziewczyna kryła się aż za gąszcz palm i po za wyłożoną balustradę balkonu.

Wielohradzki minął tę grupę, zakrywając ręką swój złocisty order.

Wiedział bowiem, iż na tych ludzi wspaniałość jego trofeów kotylionowych nie działa: przeciwnie, do ironii i żartów pobudza.

Lokaj powiódł za nim wzrokiem i, widząc poły fraka wysuwające się z pod krótkiego paletka, zapytał z ironią w głosie:

A nie potrzeba tam u panny frotera? Dziewczyna przechyliła się przez balkon.

Bez co się mnie pan o to pyta?

Lokaj ręką wskazał na oddalającą się sylwetkę Wielohradzkiego.

A bo!.. wyrzekł no!., tam... Dziewczyna aż kucnęła ze śmiechu pomiędzy palmami.

Tymczasem Wielohradzki dochodził już do bramy kamienicy, którą wraz z matką zamieszkiwał. Zły humor jego wzrastał.

Zapiął nawet teraz szczelnie kołnierz od palta i nasunął szapoklak głęboko na oczy.

Słońce bowiem wiosenne, jasne i przejrzyste, zaczęło przebijać chmury i ślać złote strzały (uśmiechnięte gońce) w błękitne źrenice młodego człowieka.

Lecz źrenice te, od pyłu posadzek balowych i migotliwego blasku sztucznego oświetlenia zmęczone, były powiekami, jak jaskółki skrzydłami.

Tadeusz słońca, jasności i czystego powietrza nie lubił.

Z bramy kamienicy wyszła powoli młoda dziewczyna, prowadząca za rękę małego chłopczyka w szarym, zbyt krótkim paltociku.

Dziewczyna była blada, prawie żółta, i tylko oczy jej wielkie, czarne świeciły wśród bladej maski twarzy i czerniały zdaleka.

Odziana była dziwacznie, niezgrabnie, z pewną ubogą a smutną pretensją.

Więc jersey ciemnoczerwony, jersey złego gatunku, gdyż pod trykotową tkaniną sterczały brutalnie fiszbiny gorsetu.

Na wierzchu od szyi ku stanowi kawałek zmarszczonej satyny, w kremowe i czerwone kratki, stanowił klasyczną kamizelkę. Spódnica szara, zbyt krótka z przodu, z tyłu wlokła się po ziemi. Na kształtnej i ładnie uczesanej głowie kapelusz kastorowy z rozfryzowaniem piórem.

Pomimo tej pstrokacizny, dziewczyna potrafiła je

dnak zachować pewien kształt, wdzięk, urok młodzieńczy.

Drobna była, szczupła, z gorsem zapadłym.

Wyglądała, nie na młodą dziewczynę, lecz na dziewczynkę dorastającą.

Aureola włosów słonecznych ratowała jej urodę: słońce włosów i przepaścista czerń oczów.

Chłopczyk, którego prowadziła, był podobny do niej, jak cień: mały i skurczony.

Miał główkę ostrzyżoną przy skórze, czerwone pończoszki, buciki z rozluźnioną gumą, tabliczkę z szyfrem pod pachą i kieszenie wypchane masą nieokreślonych przedmiotów.

Idąc, piszczął:

Żeby tak Tecia kupiła chleba świętojańskiego.

Nie! odparła młoda dziewczyna kupię ci papatacz, to zdrowsze!..

Malec podciągnął nosem.

Nie lubię papatacza piszczął chcę chleba świętojańskiego...

Aha! żebyś znów pestki popołykał... Jutro rano!

Nagle urwała i stanęła w ponsach. Spozrzęła Wielohradzkiego. Mimowolnym, a każdej kobiecie właściwym ruchem sięgnęła ręką ku grzywce.  
Przypomniała sobie, iż dzisiaj nie zapiekła żelaz

kiem włosów, śpiesząc się odprowadzić Felka do freblowskiej szkoły.  
Lecz Wielohradzki, najeżony, napuszony, z brodą utopioną w kołnierzu pałta, przemknął szybko, dotykając ręką kresów szapokłaka.  
Dziewczyna niezgrabnie oddała ukłon i pociągnęła Felka za rękę.  
Chodź prędzej... spóźnisz się!..  
A kupi Teci chleba świętojańskiego?  
Lecz Teci nagle nosok poczerwieniał i powieki szybko mrugać zaczęły.  
Chodź!.. zawołała, zaciskając zębykupię! tylko nie skrzecz mi nad głową.  
Tymczasem Wielohradzki przeszedłszy wspaniałą bramę i asfaltem wyłożony dziedziniec, zaczął wspinać się po schodach oficyny, w której na dole mieściły się stajnie i wozownie lokatorów frontowej części domu. Schody te, przeznaczone dla służby, ciemne były i niewygodne.  
Lecz Wielohradzki, dobywszy ostatek sił, sadził po trzy i cztery stopnie, aż zatrzymał się na czwartym piętrze przede drzwiami swego mieszkania.  
Sięgnął do kieszeni pałta, chcąc wyjąć klucz, lecz drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się czarna jama zupełnie ciemnego przedpokoju.  
Wielohradzki wszedł i, przestępując próg, wyrzekł szybko znudzonym głosem:

Dzień dobry, mameczce! Proszę bardzo mameczki nie robić mi wymówek za moje opóźnienie. Kolację podano bardzo późno... Kotyliion trwał dwie godziny, a później jeszcze tańczyliśmy białego mazura... Umieram ze znużenia...  
W kącie przedpokoju zaszeleściła suknia kobieca.  
Widzisz, Tadecku... Namiestnictwo...  
Wielohradzki ręką klamki szukał w ciemności i nareszcie, otworzywszy drzwi, rzucił niedbale:  
To i co?.. Namiestnictwo nie ucieknie... wszyscy z mego kąta byli u Boteckich... Charłupko, Wojsa, Dobrojowski...  
wszyscy przyjdą później.. poszli do łaźni... A zresztą!.. Decidement...  
Machnął ręką i ostrożnie szapoklak z głowy zdejmować zaczął.  
Niech mi mameczka da jaką tacę! zawołał. Za chwilę wsunęła się do pokoju „mameczka”, niosąc dużą blaszaną tacę.  
Proszę cię, mój Tadiusz wyrzekła, podając tacę, na którą Wielohradzki zaczął wysypywać z szapokłaka całe massy malutkich bukiecików, owiniętych w koronki i blondyny.  
Bukieciki? zdziwiła się matka.  
Tak!., dla kaprysu Muszki Dobrojowskiej zmieniłem zwykły porządek. Och! tylko na jeden tour. Panie dostawały ordery, my zaś bukieciki...

Lecz decidement nie jest to porządek klasyczny. Tak!., dla rozrywki... dla kaprysu...

Bukieciki leżały teraz na tacy, zwiędłe, zmięte, zniszczone...

Zabrałem tę trochę... resztę musiałem zostawić... miałem dwadzieścia siedem...

O! o! zdziwiła się matka.

Była to kobieta wysoka, silnej budowy, odziana skromnie, lecz niezmiernie czysto, we flanelowy ciemny szlafrok i filcowe pantofle.

Dwa pasma siwiejących włosów zakrywały uszy małe, zręcznie wykrojone. Owal twarzy, trochę tłuszczem podbródka zepsuty, był niemniej jeszcze piękny, a dołek w brodzie nadawał cechę jakiegoś figlarnego wdzięku. Kos piękny, prosty, arystokratyczny, oczy podobne do oczu syna, błękitne, wypukłe, czoło niskie i kształtne, przecięte dwiema zmarszczkami.

Widocznym było w tej kobiecie pochodzenie rasowe i staranne pielęgnowanie ciała, chęć pozostania miłą dla oka, nawet w chwili krytycznego ku starości przejścia.

Jedynie ręce były zniszczone i czarne, paznogie zjedzone ługiem i mydłem, pomimo gliceryny i coldcreamu, którym nacierane były.

Świadczyły one o pracy domowej, ciężkiej i niemiłej, o braku posługaczki, o bieliźnie, pranej po nocach, o samowarze i rondlach, szorowanych cegłą.

Lecz jeśli ręce były zużyte, postać cała trzymała się prosto, z fantazją, z szykiem damy, z pewną dystynkcyjną zdetronizowanej królowej.

Błękitne źrenice patrzyły z pod przymrużonych powiek, a usta miały arystokratyczne, niedostrzeżone skrzywienie. Flanela szlafroka była tania i biedna, lecz szlafrok miał tren i fałdę Vatteau spadającą od karku, po którym wiły się drobne siwe włosy.

Wielohradzka wzięła w rękę jeden z bukiecików i zaczęła przyglądać się kwiatom.

Białe fijołki!.. wymówiła, kręcąc głową.

Och!., akcesorya kotylionowe były niezłe, nawet bogate... ale kolacja fatalna!., struli mnie majonezem i jakąś mieszaniną naśladującą pasztet.

Wielohradzka porwała się i zaczęła biec w stronę kuchni.

Nastawię samowar! zawołała. Lecz on wstrzymał ją ruchem reki.

Nie, nie... barszcz wystarczy. Jest barszcz?..

Naturalnie... jednakże ja radzę ci... Tadeusz za głowę się złapał.

Błagam mamę... błagam mamę, niech mama nic nie radzi, głowa mi pęka!..

Głos jego brzmiał ostro, krzykliwie niecierpliwym ruchem zaczął ściągać z ramion palto. Jedna z gwiazdeczek zaplątała się o guzik.

Tadeusz zaczął szamotać się, zgrzytając zębami ze zdenerwowania.  
Wielohradzka, która stała już na progu kuchni, zbliżyła się ku niemu,  
Pomogę ci! wyrzekła łagodnie. Zręcznie, szybko odplątała wstążkę. Tadeusz  
zesunął palto i schwycił matkę za rękę.  
Przepraszam mameczkę wyrzekł dość potulnie zapomniałem się przed chwilą... ale... jestem dziś szalenie  
zdenerwowany!..  
Wielohradzka przesunęła ręką po jego niemal przy skórze ostrzyżonej głowie.  
Ja wiem... ja wiem... wyrzekła ja to rozumiem! ja się nie gniewam.  
Morze miłości macierzyńskiej było w jej błękitnych oczach.  
Zachrobotało coś koło drzwi wejściowych.  
To Tacia!.. zawołała Wielohradzka kazałam jej przynieść świeże salzsztangi może zjesz jedną z barszczem.  
Tadeusz skrzywił się wykwintnie.  
Wątpię!..  
Spróbujesz!..  
Pobiegła do przedpokoju otworzyć drzwi. Podszewka jej szlafroka, zlatana z kawałków jedwabiu, szumiała po  
wyfroterowanej sosnowej podłodze. Do pokoju weszła Tacia.  
Ochłonęła już ze swego wzruszenia.

Ukloniła się niezgrabnie, nie patrząc nawet na Tadeusza, który przyglądał się swym zębom i uszom w lustrze, i  
położyła kilka bułek na brzegu stołu.  
Jedna z nich, długa salzsztanga, obsypana kminkiem i solą, osunęła się na tacę pomiędzy bukieciki.  
Lecz Tacia nie zwróciła na ten szczegół uwagi, tylko podeszła ku oknu i pudło z maszyny do szycia, stojącej we  
framudze, zdejmować zaczęła.  
W kuchni Wielohradzka krzątała się, nalewając barszcz do dużej filiżanki.  
Odprowadziłaś Felka? zapytała, podnosząc głos.  
Tacia zarumieniła się gwałtownie.  
Tak, proszę pani.  
A wstąpiłaś do babki?  
Tak, proszę pani.  
Ma wszystko, co jej potrzeba?  
Tak, proszę pani; ale o dwunastej będę musiała pójść, żeby drzwi otworzyć, bo przyjdą te panie od świętej Eulalii,  
żeby babcię obejrzyć...  
A nie wiesz, kto przyjdzie?  
Nie, proszę pani,..  
Dobrze weź tymczasem tę aksamitną pelerynę pani Kozanackiej i odpruj frendzlę. Mamy z tego zrobić kapelusz  
„rydikiul” i mufkę... A żwawo  
Dobrze, proszę pani.



Tecia sięgnęła na stół, na którym leżała złożona w serwecie peleryna.

Tadeusz odwrócił się skrzywiony i zadzwonił brzękadłami, które miał na piersiach i biodrach. Cóż ten barszcz?  
Już gotów!..

Wielohradzka ukazała się we drzwiach.

Niech mameczka zanieś do mego pokoju. Wypiję, przebierając się. Gdzież ta salsztangą?

Do stołu się zbliżył i nagle bułkę pomiędzy kwiatami ujrzał.

Kto to wrzucił bułkę pomiędzy bukiety? krzyknął. Pewno panna Tecia... Panna Tecia wie, że dotykać się do moich kwiatów i orderów nie wolno...

Wyrzucił salsztangę i ze złości zaczął gniesć i tak zgniecione bukietki.

O! o!., jakie to wszystko pomięte!., jak to

wszystko wygląda!., to skandal!., to zgroza!.. Przecież tego do archiwum włożyć niepodobna... Teci ręce drżały.

Wzięła pelerynę i chciała oddalić się od stołu. Nagle dostrzegła, jak z potrząsanych przez Tadeusza bukietów wypadła na ziemię maluchna zwinięta karteczka.

Tadeusz zirytowany bił się teraz po gorsie koszuli. Wszystkie brzękadła dzwoniły, jak orkiestra w jarmarcznej budzie. Jak Boga kocham! krzyczał w tym domu utrzymać nic nie można... wszystko się...

Nagle urwał.

Tecia podawała mu ów znaleziony maluchny bilecik.

Wypadło z bukietów!.. wyrzekła, nie patrząc na Tadeusza.

On umilkł nagle, porwał karteczkę i, nie rzekłszy ani słowa, wpadł do swego pokoju i drzwi zatrzasnął.

Z kuchni wysunęła się cicho Wielohradzka.

Dlaczego Tecia nie uważa? zaczęła szeptać, prostując pomięte bukietki. Tadzio jest dziś bardzo rozdrażniony i zmęczony, byle co go w złość wprowadza... Trzeba uważać!

Tecia, dławiąc, się od łez, usiadła na krześle i zaczęła pruć pelerynę.

Obok niej na wysokim stołku bez oparcia zasiadła Wielohradzka i wyjęła z kieszeni okulary, które na nos włożyła.

Tecia nie ma czego beczyc! zaczęła znów półgłosem tylko na drugi raz należy uważać! Tecia wie, że pan Tadeusz przynosi zawsze do domu najładniejsze akcesorya i chowa do swego archiwum. Dostyc trudu i pracy kosztuje go zdobycie tych pięknych rzeczy... przytem, to są pamiątki, dowody jego zręczności, „preferencyi”, jaką mu dają damy przed innymi mężczyznami... To wszystko ma swoją cenę, i Tecia powinna zrozumieć, dlaczego pan

Tadeusz tak bardzo dba o te wszystkie ordery i emblemata...

Lecz Tacia nie chciała nic zrozumieć, tylko podciągała zaczerwienionym noskiem i zawzięcie próbowała frendzlę, z której podnosiły się tumany wiekowego kurzu.

Wielohradzka tymczasem nawlokła igłę, wpięła ją w stanik i, wstawszy, zaczęła szukać linijek i figurek metody Głodzińskiego, które sterczały w dużym koszyku tuż obok okna.

Trzeba przerysować talię pani Kokonieckiej wyszeptła pani Kokoniecka bowiem trochę przytyła, i dawny patron na nic się już nie przyda.

I znalazłszy wszystkie linijki, centymetry, kółeczka i ołówki, zaczęła rysować na kawałku gładkiej obszernej talię pani Kokonieckiej.

Tymczasem Tadeusz zbliżył się do maluchnego, umieszczonego w górze okienka i czytać zaczął ową karteczkę wypadłą z bukietu.

Kartka owa widocznie była oderwana z balowego karnetu, gdyż był to gruby papier, naśladujący nieźle pergamin, mający kształt listka koniczyny. Cieniuchnymi literkami pośpiesznie nakreślone były słowa:

Demain, chez les Jesuites, six heures. Attendez a l'entree.

M.

Twarz Tadeusza rozjaśniła się nagle nieklamana radością.

Pokręcił głową, przeczytał raz jeszcze karteczkę, obejrzał ją na wszystkie strony i nareszcie od okienka odstąpił.

Proszę!., proszę!.. wyrzekł sam do siebie przez zaciśnięte zęby.

Zaczął zdejmować z siebie akcesoria kotylionowe i układał je starannie kolejno na stole, przykrytym jutową serwetą. Poczem zdjął frak, kamizelkę i zaczął ściągać lakierki. Wdział filcowe pantofle i skierował się ku umywalni. Dzbanek pełen ciepłej wody stał obok konewki napelnionej zimną deszczówką. Gąbki, włochate ręczniki, rękawice do nacierania pleców i szyi wisiały w systematycznym porządku. Flakon z wodą kolońską i pudełeczko z kredą stały obok mydła, benzoesu, szczoteczek i pilniczków.

Na te wszystkie przybory, świadczące o doskonałej chęci pielęgnowania ciała, padało światło smutne, skąpe, przyćmione.

Ow pokój, zajmowany przez Wielohradzkiego, był pokojem bez okna, opatrzonym jedynie w rodzaj niewielkiego jednoszybowego otworu, wykrojonego wysoko, prawie pod samym sufitem.

Ukośny promień światła wpadał więc i nie rozświetlał wiele w tej małej przestrzeni, w której łóżko żelazne, pokryte wełnianym kocykiem, i umywalnia

były głównymi sprzętami. Mały stolik, półeczki, na których drzemało kilka zapyłonych książek, pudełeczko ze spinkami, koszyk ze zniszczonymi rękawiczkami balowymi, szczotki i flaszeczka doskonałych perfum angielskich dopełniały umeblowania.

Na łóżku, porządnie ułożony, leżał codzienny garnitur Tadeusza i koszula, w której gors wpięte były spinki. Obok stały wyczyszczone buty i laska, zwieszało się z krzesła palto i kastorowy kapelusz.

Tadeusz ubierał się powoli, nie śpiesząc się, szczotkując starannie włosy, skrapiając kark i szyję wodą kolońską.

Przeglądał się w małym lusterku, zawieszonym nad umywalnią, i wytarł delikatnie i dyskretnie wąsy i włosy olejkiem rycynowym, zaprawionym esencją heliotropową.

Zmienił bieliznę i włożył codzienny garnitur.

Poczem odświeżony, powróciwszy do humoru i równowagi, lecz mając jeszcze ciągle resztki katzenjammeru, wypił duszkiem filiżankę czystego barszczu i zagryzł go ową nieszczęsną salzstangą.

Wziął ze stołu karteczkę, przeczytał raz jeszcze, uśmiechnął się, pokręcił znów głową i schował kartkę do pugilaresu.

Uderzył w tamburyno, zagrzechotał grzechotką, zagwizdał na fleciku i już zupełnie dobrze usposobiony gotował się do wyjścia.

Przejrzał się jednak raz jeszcze w lustrze, i powróciwszy do stołu, policzył ordery.

Poczem drzwi otworzył i wszedł do pokoju, w którym pracowały Teczka i Wielohradzka.

Zastał tylko jedynie Teczka, gdyż Wielohradzka krzątała się znów w kuchni, przygotowując rogalik, który on codziennie do namiestnictwa z sobą zabierał, i tam o jej zjadał w towarzystwie hrabiów i innych obiecujących młodzieńców, pełniących funkcje conceptpraktykantów, funkcję będącą pierwszym szczeblem dyplomatycznej i państwowej kariery.

Wszedłszy więc do pokoju, Tadeusz ujrzał samą Teczka, stojącą przy stole i układającą systematycznie kawałki poprutej peleryny, z której miała być mufka, kapelusz i „rydikiul” dla pani Kozanackiej.

Tadeusz krótką chwilę spoglądał na posmutniałą dziewczynę.

Był teraz w dobrym humorze; woda kolońska, którą kark wytarł, barszcz, karteczka, naznaczająca mu rendez vous, zabarwiły mu życie różowo.

Zbliżył się do Teczki i, biorąc delikatnie w palce, na których błyszcząły, jak jasne opale, wyślifowane gładko paznokcie, guzik swego palta, wyrzekł, udając obojętne roztargnienie:

Nie mogłaby mi panna Teczka przymocować tego guzika? Oderwałem go, chcąc zdjąć z szyi gwizdawkę,

Teczka śpiesznie zaczęła igłą jedwabiem nawlekać.

Dobrze... ja przyszyję!

Podeszła posłuszna i już uradowana tonem jego głosu, żądaniem przysługi, o którą mógł się przecież zwrócić do matki.

On, patrząc na ten pośpiech, zaczął się uśmiechać.

Niech się panna Teczka nie śpieszy. Mnie do biura nie pilno!

Lecz jej pilno było zadowolnić jego żądanie. Tyranizował ją od lat dwóch, od chwili, kiedy babka oddała ją do „pomocy” pani Wielohradzkiej. Wszystkie zmiany jego humoru, kaprysy nerwowca, człowieka, szamocącego się nie w swojej sferze, odbijały się, jak w zwierciadle, na sposobie, w jaki traktował tę dziewczynę, zakochaną w nim do szaleństwa.

Wiedział o tem, miłość tę tolerował, bawił się nią, wywoływał ją, zachęcał, a czasem maltretował, kopał i szydził.

Wychowany przez matkę, do lat sześciu nosił sukienki dziewczęce i długie zakręcone w loki włosy. Bawił się lalkami i wykałał im oczy, przeglądając się później w tych szklanych źrenicach, które trzymał do światła, badając, czy nie dojrzy czegoś nadzwyczajnego w tych perełkach turkusów lub dżetu.

Miał wszelkie cechy kobiety, połączone z niektórymi odcieniami, właściwymi jedynie mężczyźnie. Było to głównym jego czarem, urokiem, tą mieszaniną podwójną i nieokreśloną.

Wiedział o niej i, łasząc się, jak duża płowa

kotka, tyranizował matkę i nieszczęsną Teczka, której serce miało ciągle palpitacje pod połamaniami fiszbinami gorsetu. I teraz, gdy zbliżył się ku niej, zwycięski i pachnący, ręce jej dygotały, jak w febrze. Uczepiła się klapy palta i szyć zaczęła, pochylając nisko głowę... On patrzył na tę masę złocistą włosów, spiętą zręcznie na czubku głowy szpilkami z celluloidu. Bił z tych włosów odurzający zapach orzecha, jakaś woń młodości, pomimo anemii, widocznie trawiącej dziewczynę.

Dlaczego się Teczka na mnie chmurzy? zapytał szeptem, rozdmuchując swym oddechem krótkie kręcone włosy, pokrywające kark dziewczyny.

Ona wzruszyła ramionami i szła dalej, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi.

Nie trzeba się na mnie gniewać!.. szeptał znów Tadeusz z uśmiechem. Teczka wie, że jestem zwykle rozdrażniony, gdy z balu powrócę... że mam „kociokwik"... A przytem nie trzeba bułek kłaść na kwiaty. Będzie o tem Teczka pamiętała?

Będzie!.. odparła cichutko dziewczyna.

To bardzo dobrze... a teraz... proszę podnieść główkę... i popatrzeć mi prosto w oczy...

Lecz dziewczyna ładnym chłopskim ruchem zakryła twarz spracowaną ręką,

Proszę mi spojrzeć w oczy!.. nalegał Tadeusz.

Teczka powoli oderwała rękę od twarzy i podniosła na Tadeusza swe olbrzymie czarne źrenice.

W tej samej chwili jednak poczuła na lewej skroni gorące usta młodego chłopaka.

Cofnęła się szybko, zmieszana, ciągnąc za sobą nitkę jedwabiu przymocowaną do palta.

Tadeusz tryumfował, śmiał się, podkreślając cienkie wąsy.

Przestraszyłem... co?.. pytał.

Ona, rumiana nagle, trzymała teraz oczy wlepione w ziemię. Nagle urwała nerwowo nitkę i wpięła igłę w kamizelkę.

Gniewa się jeszcze Teczka?.. pytał Tadeusz. Lecz już w tej chwili wchodziła Wielohradzka,

trzymając w ręce rogalik zawinięty w papier.

Mam doskonały twarożek i masło majowe, świeże...wymówiła nieśmiało może nasmarować ci bułkę?.. Zjesz z apetytem...

Tadeusz wzruszył ramionami.

Co też mamcia wygaduje! wyrzekł zgorszony. Do czego to byłoby podobne, gdybym jadł twaróg w obecności... tych panów!

Mógłbyś wyjść na kurytarz...

Naturalnie, żeby mnie woźni widzieli. Mamcia nie wie, jak u nas, w namiestnictwie, trzeba być ostrożnym, ażeby nie wpaść w śmieszność. Nie mam ochoty zostać takim pośmiewiskiem, jak Kafthan...

Wielohradzka wzruszyła ramionami.

Co też ty pleciesz!.. Kafthan to karykatura... widziałam go kilka razy u Jezuitów. Rozumiem, że się z niego śmieją...

Tak! tak się to zdaje, ale paść na języczek któremu z tych panów, to człowiek zgubiony. Enfin niech mamcia da rogalik, bo ide do budy!

Wziął w rękę rogalik i ostrożnie wsuwał go do kieszeni.

A cukier jest?

Jest, włożyłam dwa kawałki.

Dobrze!

Od pewnego czasu "ci panowie" wprowadzili w modę jedzenie na drugie śniadanie rogalików suchych i pogryzanie kawałkami cukru.

Naturalnie, Tazio musiał także jeść suche rogaliki i ssać cukier.

Wielohradzka, niezadowolona, kręciła głową.

Mógłbyś wziąć choć plasterek szynki...

Ależ nie! nie!

Zbliżył się do matki układnie i wziął ją za rękę.

Mamuś!.. daj mi kilka papierków na papierosy.

A twoja pensya?

Fiu!.. na dachu rękawiczki, krawat jedwabne skarpetki... cóż tam taka marna pensya!

Wielohradzka sięgnęła do kieszeni szlafroka.

Masz pięć guldenów, tylko oszczędzaj! prosiła. Kropielnicki dziś przysyła po ratę.

Po ratę... za co?

Za twój frak czerwony. Nie pamiętasz?.. Tadeusz uderzył się w czoło.

Ach!.. si! si! pamiętam teraz... myślałem tylko, że to już zapłacone od świętej pamięci... Decidement pamięć tracę!

Przejął ten wyraz francuski od Melunia Orfickiego i szafował nim wobec osób, które Melunia nie znały.

Schował pięć guldenów do pugilaresu, cmoknął matkę w ramię i obejrzał się po pokoju.

Skoro wrócę do domu, ułożę bukiety i ordery w archiwum! wyrzekł, idąc już ku drzwiom.  
I nagle, wspaniałomyślnością zdjęty, szerokim, uprzejmym gościem tacę z bukietami wskazał.  
Możecie panie wziąć sobie po jednym bukietiku...wyrzekł uprzejmie, lecz natychmiast dodał:  
Bierzcie tylko te, które mają podartą koronkę... całe proszę zostawić!..  
Wysunął się do przedpokoju, zginął w ciemnej głębi i nagle ukazał się znów na progu, mrugając na matkę w tajemniczy sposób.  
Marno!., proszę mamy tu na chwileczkę!.. Wielohradzka wysunęła się z szelestem.  
W przedpokoju Tadek ją za rękę złapał.  
Zostawiłem trzydzieści dwa ordery!.. wyszeptał trzydzieści dwa!.. niech mamcia pamięta!..

Wielohradzka ramionami wzruszyła.  
Dobrze!.. będę pamiętała... ale dlaczego mi to mówisz? wiesz, iż nikt tam nie wchodzi, tylko ja i Teczka...  
Wiem, wiem... ale strzeżonego Pan Bóg strzeże! Trzydzieści dwa: gwizdawka, tamburyno, trąbka, flecik, uprząż, baletowa spódniczka, fałszywy nos, sześć szarf i rzepa w siatce... Wszystko policzone!.. A teraz idę!., do widzenia mamci!..  
Cmoknął ją w rękę i drzwi wejściowe otworzył.  
A prosiłbym wyprasować mi na dziś wieczór koszulę...  
Czy idziesz na bal?  
Och!., na niewielką kręciołkę do Andrzejewiczów... nic szczególnego... mało osób z towarzystwa... Przyrzekłem prowadzić... muszę!.. Niech mamcia wyprasuje którą z tych dawnych, gładkich: tam się na modzie nie znają!..  
Dobrze... mógłbyś jednak wypocząć...  
Nie mogę!.. dałem słowo!.. enf.n decidement uciekam!  
I zbiegł ze wschodów jak huragan.  
Wielohradzka wróciła do pokoju i, wzięwszy z tacy dwa pomięte bukietiki, jeden z nich podała Teci, która teraz bardzo pilnie wyskubywała nitki z poprutej peleryny.  
Ma Teczka! wyrzekła Wielohradzka niech

Teczka sobie sceruje koronki manszety i zasuszy fijołki, będzie miała Teczka ładną pamiątkę.  
Teczka wzięła w rękę bukietik i machinalnie zaczęła palcem wiercić pomiędzy kwiatami.  
Wielohradzka patrzyła na nią zdziwiona.  
Co też Teczka wyprawia? zapytała surowo czego Teczka szuka pomiędzy kwiatami?  
Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie i szybko położyła bukietik na oknie,  
Musiała znów Teczka czytać jakie romanse! ciągnęła Wielohradzka, chowając swój bukietik do małej szkatułki i zaraz się Teci wydaje, że w bukietach kryją się listy i jakieś tajemnicze przesyłki... Niech sobie Teczka to wybije z głowy...  
Pisarze komponują fakty, które z życiem nie mają nic wspólnego. Zresztą domy, w których Tadek bywa. są to

najpierwsze domy w Galicyi, a panienki w nich są dobrze wychowane i nie mają nic wspólnego z heroinami powieści, którymi nas obecnie autorowie częstują...

Tecia milczała, pochyliwszy nad robotą swą złotowłosą głowę złotą całą od promieni słońca, które wiosennym snopem przez okno wbiegało a po ustach dziewczyny przemknął się cień smutnego uśmiechu.

Wielohradzka zabrała się do swych linijek, kótek i ołówków; Tecia wyskubywała wciąż nici pokłótemi igłą palcami.

Zaległa, wielka cisza, tylko z oddali dolatywały siekące tony fortepianu.

Piec tonów systematycznie bilo powietrze, szło w górę i powracało jak koń, wprzęgnięty w koło karuzeli.

Wielohradzki wszedł w głąb kościoła, lecz cofnął się natychmiast, widząc, iż majowe nabożeństwo miało się ku końcowi.

Kłęcząc, tłum śpiewał ostatnie zwrotki. U ołtarza gaszono powoli świece. Błyszczał jednak jeszcze zdaleka ten ołtarz w bukiecie złotych światełek. Żółte światło oblewało pęki białych kwiatów, pośród których zielone liście kładły ciemne plamy.

Dokoła morze głów wypełniających szczelnie wnętrze kościoła. Jedynie tylko tu i owdzie sterczały chorągwie aksamitne, sztychem dziane, i kołysały się popychane przez tłum, tłoczący się już ku wyjściu.

Wielohradzki zbiegł ze stopni kamiennych i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zbici w gęstą gromadę, stali już tam mężczyźni, oczekując na wychodzący z kościoła tłum. Niektórzy czekali tu na żony, siostry, matki, które, zdjęte potrzebą duszy w to wiosenne popołudnie, w woni

kadzideł, kwiatów i płynących pod sklepienie hymnów, czyniły zadość swej czci ku Świętej Dziewicy.

Inni przychodzili dla zabicia czasu, dla ujrzenia dam z arystokracji, tej lub owej głośniejszej z urody pani lub panny z mieszczańskiej sfery, lub poprostu z nałogu, z przyzwyczajenia, tak, jak szli o pewnej oznaczonej godzinie na Wały, do Jezuickiego ogrodu.

Stojąc na rogu ulicy, zbici w gęstą kolumnę obserwowali, często robili półgłosne uwagi, które dalej nieco odsunięta massa pospólstwa chwyciła, powtarzała, przerabiała według swoich pojęć i umysłowej potrzeby.

Lecz już po za ową massa sług, uliczników, bab i tejdawiedzi, która zdaje się rodzić z kamieni jak owi legendowi ludzie, rżały konie pojazdów i biły kopytami o bruk, niecierpliwąc się w ciasnej przestrzeni placu, na którym ekwipaże, ustawione w podwójnym szeregu, czekały na ukazanie się swych właścicieli w kamiennej ramie drzwi głównych.

Liberye były przeważnie ciemnej barwy. Konie także maści ciemnej, zaprzęgi wytworne bez przeładowania stałą, lokaje i stangreci o ponurych, bladych twarzach, wygolonych starannie i o regularnych rysach chłopów, rodem ze wschodniej części Galicyi.

Lokaje podchodzili teraz ku wschodom, wchodzili na nie, starając się wzrokiem odnaleźć swych chlebobawców, stangreci zbierali lejce, gotowali się do wyruszenia z miejsca. Tłum zaczął wylewać się już

na wschody i zasypywać chodniki. Był to jednak tłum szary i bezbarwny, kobiety ubogie w chustkach na głowie, małe dziewczynki ślizgające się w zbyt dużych trzewikach, sługi wypomadowane w perkalikowych kaftanikach.

Wielohradzki wsunął się pomiędzy grupę mężczyzn i stanął na stopniu, prowadzącym do sklepu nożownika. Oparł się plecami o futrynę drzwi i odziany w swe dość jasne nowe palto, w zgrabny brązowy kapelusz, przerastał innych mężczyzn

o głowę, górując nad nimi, nie tylko wskutek podwyższenia, jakie zajmował, ale wskutek swego wzrostu, urody i białości cery, która w tem popołudniowym wiosennym oświetleniu nabiera tonów perłowej masy, grającej w promieniach słonecznych.

Wyteżonym wzrokiem patrzył na drzwi, z których wysypywały się teraz postacie kobiece, czarno ubrane, skurczone, z czarnymi torbami na rękach, odzianych w niciane mitenki.

Stawały na stopniach, witały się, rozmawiały, czyniły sobie honory i grzeczności, czując się na tym krążanku jak u siebie. Niektóre z nich były bardzo małe i wątle, w sukniach zbyt długich, w kapeluszach zbyt wielkich, z torbami i książkami olbrzymiej wielkości. Inne zaś, wysokie i chude, miały suknie nadto krótkie, podniesione dziwacznie z boku i z przodu, małe mantylki, dostające za ledwie do łopatek, niewielkie kapelusze na czubku głowy i małe

książeczki w kościstych rękach. Dwie czy trzy szły tryumfalnie, niosąc z sobą koło krynoliny, która, jak balon; kołysała się dokoła ich wyschłych bioder. Gdyż wszystkie one małe czy wysokie wzrostem były chude, przerażające w tej chudości, o nosach i szczękach szpiczastych, policzkach zapadłych, ustach wązkich i bladych, poruszających się, jakby ciągnęły zuciem do tego ruchu zmuszonych.

Wszystkie były podobne do siebie, smutne siostry bliźniacze, niemające w sobie czaru abnegacji siostr klasztornych, tak białych i wdzięcznych w obramowaniu czystym dziewczyczych welonów.

Za nimi zaczęło się teraz wysuwać mieszczaństwo. Mężczyźni, stojący na rogu ulicy, ożywili się nagle i niektórzy zaczęli przybierać zwycięskie pozy.

Każda z kobiet wychodzących na światło dzienne miała ładny ruch nagle olśnionej blaskiem słonecznym gazelli.



Mieszczanki ubrane były zręcznie, szykownie; figury miały dobre, twarze uśmiechnięte. Całe aureole złotych i czarnych włosów wydobywały się z pod kapeluszy, trochę wyzywających, z egretkami piór i pękami wstążek po nad czołem. Młode panienki i młode kobiety nie różniły się strojem. Gdzieniedzie tylko dwa bicze warkoczy opadały na cokolwiek zgarbione plecy pensjonarki.  
Lecz wszystkie prostowały się, idąc śmiało i zgrabnie, dzwoniąc obcasami o kamienie wschodów, wie

dząc; iż są obserwowane, krytykowane, uwielbiane i chwalone.

Doszedłszy do podnóża wschodów, zatrzymywały się jeszcze, papłąc, śmiejąc się, dzieląc się na grupy, rade, że żyją w tę wiosnę, która takim rozkosznym majem śmiała się dokoła.

Zatrzymywała je jeszcze chęć zobaczenia dam z arystokracji, które w swoich ławkach zamodlone oczekiwały, aż cała foule wyjdzie z kościoła. Te małe mieszczańeczki żywiły pewien kult, trochę zazdrosny, dla tych dam, odzianych tak skromnie, a jeżdżących wspaniałymi ekwipażami.

Mściły się, strojąc się według ostatniej mody, lecz za to mogły pozwolić sobie tylko na jednokonekę lub spacer pieszy.

Często, mówiąc o „damach z towarzystwa”, wzruszały pogardliwie ramionami. „Adoptowały kostium angielski pod pozorem szyku mówiły a to jedynie dlatego, że nie umieją się ubrać ani francuską ani wiedeńską modą!..”

Niemniej przeto były ciekawe i zatrzymywały się umyślnie na chodniku, aby być świadkami wsiadania dam do czekających na nie ekwipaży.

Wielohradzki zaczął się niecierpliwić.

Oczy bolały go od ciągłego patrzenia, pozycya nie należała do najwygodniejszych nie mógł jednak zejść na ziemię: zniknie wówczas w tłumie, a na karteczce był przecież rozkaz „oczekiwania przy wyjściu”.

Nagle mężczyźni, którzy do tej chwili z dość bierną obojętnością przyjmowali pojawienie się koteryi mieszczańskiej, z obawy, aby jakaś uszczypliwa uwaga nie uraziła kogoś z bliskich obmawianej kobiety, zaczęli się nagle popychać, pragnąc docisnąć się po nad brzeg chodnika, który był granicą ich terytorium.

W drzwiach zaczęły się pokazywać cienkie sylwetki panien, odzianych w ciemnogranatowe, ciemnozielone, ciemnobronzowe kostyumi, postaci matek w szarych lub czarnych płaszczach i młodych mężatek w zgrabnych kurtkach, o morowych wyłogach i długich zakietach. Jedna z nich miała nawet rodzaj paltosaka, spiętego z tyłu na patkę z sukna i schodziła tak powoli, mimo ohydneho worka, zgrabna, wdzięczna, pełna tej nieokreślonej „dezinwoltury”, którą mają wielkie damy, a która nie będąc arrogancyą, graniczy z nią prawie, łagodząc subtelną linią to, co jest w arrogancyi nazbyt brutalnego.

Powozy zaczęły podjeżdżać z turkotem. Lokaje biegali, rozwiewając fałdy swych paltotów liberyjnych. Damy oczekiwały na swe pojazdy, rozmawiając pomiędzy sobą cicho, bez gestów, bez śmiechu. Wszystkie były uczesane gładko, bez grzywek, z włosami doskonale wyszczotkowanymi.

Panienki miały po większej części męskie kołnierzyki, mankietki i filcowe kapelusze.

Rysy ich były regularne, ale nic nie znaczące, oczy bez wyrazu, jakby zgaszzone nagle pochodnie.

Mężczyźni, stojący na chodniku, zaczęli wskazywać sobie niektóre wybitniejsze osobistości.

Patrz! ta w granatowym żakiecie, to Muszka Chotkiewiczówna, a ta w zielonej sukni, to Muszka Birówna, a ta blondynka, taka czerwona na twarzy, to Muszka Zdatnicka.

Cóż to wszystkie Muszki?

A jakże!.. taka teraz u nich moda!

A ta w jasnym żakiecie, która w tej chwili oddaje swoją książkę lokajowi?

To Orzecka, z domu Charłupczanka.

Ładna

go żurnalu Niezmiernie długi stan, silnie ściśnięty paskiem z brązowej skóry, szczupłe biodra, obciśnięte wybornie skrajaną spódnicą, szerokie ramiona, poszerzone jeszcze wolantami morowego, brązowego koletu, tworzyły całość przypominającą raczej jakieś smukłe ciało brązowozłotej, o strzępiastych łapkach, gadziny.

Głowa, twarz było to arcydzieło sztuki, tak prześliczny był mahoniowy kolor włosów obfitych, skarbowanych i nad czołem falą gęstą podniesionych. Lecz już uszy były do połowy zakryte tą masą rudawobronzową o złocistych, gorących połyskach. Cera twarzy była nadzwyczajnej białości, widocznie sztucznie wypielegnowana, usta drobne purpurowe, nos cokolwiek zadarty, lecz zgrabny i mały. Oczy szafirowe, niewielkie, lecz błyszczące silnie pod powiekami o błękitnym, zmęczonym odcieniu.

W obramowaniu tych włosów ciemnorudych, łamiących się czerwonymi i złotymi skrętami, twarz ta blada, o ciężkich, sinych powiekach, rzuciła się gwałtownie w oczy. Wspaniały zarys czoła, niskiego i trochę zmysłowego, migotanie oczu, śliczny czysty owal dopełniały wrażenia.

Zapięta była szczelnie pod szyję w swym wełnianym kostymie, który spowijał ją, odznaczając jej kształty, jak szata Westalki.

Muszka Dobrojowska do linii biustu miała wszel

kie cechy panny z arystokracji, odzianej w angielski kostium krojem Redferna.

Lecz od biustu począwszy, wolanty koletu, podbite mieniącą się materyą, kołnierz, łamiący się na karku w fałdy, masa włosów, skarbowanych, przepiętych strzałą, na której świecił szmaragdami sadzony monogram, a zwłaszcza kapelus z dwoma białymi skrzydłami Walkyryi, zwycięski i wyzywający, zbliżyły tę śliczną dziewczynę do rycin francuskich

dzienników, do tych sylwetek Guillaume'a lub Mars'a, do afiszów Cheret'a, na których rude smukłe lalki gną się wężowemi ruchami pomiędzy miękkimi liniami draperyi swych strojów. Wszystko było w niej sztuką, graniczącą z artyzmem, tak umiejętnie ślady sztuki zatarte były. Mahoniowego koloru włosy, ich lekka ondulacja, białosc przejrzysta cery, szerokość ramion i przedziwna cienkość kibici rzucały się w oczy, lecz ciągnęły zarazem, wabiły, czarowały, nawet zazdrosne oczy kobiet.

Młoda dziewczyna schodziła powoli ze wschodów, oblana złotawą jasnością zachodzącego słońca. I wszystko mieniło się dokoła niej od gorących barw miedzi: włosy, podszewka koletu, wełna sukni, rączka parasolki.

Jedynie tylko twarz bieliła się zdaleka i czyniła wrażenie tych płaskich twarzątek z kości słoniowej, któremi japończycy inkrustują wachlarze.

Dokoła niej, dokoła tej pięknej lalki o zwycięskich

skrzydłach Walkyryi na miedzianym kasku włosów, zrobiła się nagle pustka, jakby kobiety inne, spłoszone jej nadzwyczajną pięknoscia, nie śmiały się do niej zbliżyć, aby nadto na porównaniu nie tracić.

Hrabina Dobrojowska zatrzymała się u wejścia i rozmawiała z damami. Widać było tylko jej proste plecy, z których spadał cache poussiere z popielatego jedwabiu.

Gdy Muszka ukazała się we drzwiach kościoła i powoli ze stopni schodzić zaczęła, tłum stojący na ulicy zaszemrał: Muszka! Muszka Dobrojowska!

Było to bowiem dziecko lwowskie, wyrosłe w alejach Strelnicy i ławkach jezuickiego kościoła. Znano ją dobrze, interesowano się nią od dzieciństwa. Dziś Lwów cały pysznił się jej niezwykłą urodą. Kraków miał kilka pięknych mieszczanek i jedną uroczą francuską księżnę, lecz Lwów za to posiadał... Muszkę Dobrojowska.

Muszka była obecnie jedną z ciekawosci Lwowa. Mówiono cudzoziemcowi, który chciał odjeżdżać:

A widziałeś pan Muszkę Dobrojowska?nie? to pan zostań jeszcze!..

Muszka wiedziała, iż była popularną. Znać to było po sposobie, w jaki owa lwowska professional beauty schodziła ze wschodów.

Szła powoli, jakby gotując się do tańca, jedno ramię odsunęła od ciała i wdzięcznym ruchem Mer

veilleuse'y opierała się lekko na dość długiej parasolce o ciemnej gałce.

Za każdym krokiem tkanina sukni łamała się i jedwab podszewek szumiał jak rozrzucone liście jesienne. Muszka szła, patrząc napozór obojętnym wzrokiem na cisnące się dokoła niej tłumy. Z pod rzesz nawpół przymkniętych migotał szafir jej oczu i, patrząc na wszystkich, Muszka zdawała się nie widzieć nikogo.

Powóz zajechał, elegancki, wytwornie zaprzężony, z kozłem niskim, na którym stangret zdawał się zapadać w ziemię. Hrabina zeszała szybko ze wschodów, podnosząc wysoko suknię i ukazując tłumom batystową, haftowaną spódnice i aksamitne buciki.

Lecz nikt nie patrzył na matkę; oczy wszystkich były zwrócone na córkę, która chłodna, obojętna, spokojna, wsiadała do powozu pierwsza i stanąwszy na dywanie, zaczęła układać brązową kołdrę, którą odrzucono na przód powozu.

Stojąc tak na podwyższeniu, przerastając cały tłum wysokością swej postaci, Muszka zatrzymała się chwilę, i nieruchoma, z rękami opuszczonymi, potoczyła wzrokiem dokoła. Szafiry jej oczu ślizgały się z szybkością motyla po otaczających powóz postaciach i jedną sekundę zatrzymały się na grupie mężczyzn, nad którymi górował Wielohradzki. Lecz w tej samej chwili, gdy Tadeusz podnosił

rękę do kapelusza, aby się uklonąć szafiry oczu Muszki cofnęły się pod przysłonięte szybko powieki i hrabianka szybko, zręcznie, ruchem wiewiórki, odwróciła się i, pochylając się ku matce, wsiadającej do powozu, podała jej rękę. Wielohradzki pozostał z kapeluszem w ręce, z głową naprzód pochyloną, cały nagle oblany rumieńcem, czując śmieszność swego położenia. Tymczasem lokaj wskoczył na kozioł, powóz skoczył z miejsca i widać było tylko białe skrzydła na kapeluszu Muszki, miedzianej barwy włosy i rozsypujące się dokoła fałdy koletu, które wiatr w gzygzaki rozwiewał.

Muszka siedziała prosto, sztywno, na sposób wiedeński, oparłszy ręce na parasolce, którą trzymała w poprzek kolan. Dobrojowska, przeciwnie, utonęła w poduszkach chowając ręce pod koc jedwabny o lśniącym włosie, który szczelnie nogi obu pań ciepłą draperyą fałd otulał.

Jakby jedynie na owo pojawienie się swej ulubienicy czekając, tłum szybko rozchodzić się zaczął. Niektórzy jeszcze opóźniali się, patrząc na potwornie szpetne córki jednego z dygnitarzy, wsiadające gęsiego do starej landary. Wielohradzki stał wciąż, jak przykuty do miejsca, które obrał poprzednio. Nie śmiał się ruszyć po doznanym afrontie. Zdawało mu się, iż wszyscy wiedzą, że Muszka, kazawszy mu czekać na siebie przy

wyjściu, odwróciła się od niego w chwili, gdy on chciał się jej uklonąć. Pewny był, iż go widziała. Poczł dokładnie jej wzrok na sobie. Dlaczego jednak odwróciła się od niego tak brutalnie? Po co mu przyjąć kazała, skoro nie chciała nawet odpowiedzieć na jego daleki i niekompromitujący jej ukłon?

Wielohradzki gryzł wargi ze złości i szybko zaczął zdejmować rękawiczki. Jak każdy nerwowo chory człowiek, nie mógł znieść silnie przylegającej odzieży. Zwłaszcza rękawiczki drażniły go w szalony sposób. Włożył je dla Muszki, kupił nawet świeżo bladoorzechowe, tak bardzo liczył na ów ukłon, który zamierzał oddać długi, przeciągły, dziękczynny i mówiący wiele, jak pieśń bez słów.

Tymczasem ukłon był fiaskiem, fiasco to było niezrozumiałą zagadką.

Plac opustoszał powoli. Z kościoła wychodziły teraz kobiety, które lubiły i umiały się modlić, szwaczki, które przyszły pod koniec nabożeństwa.

Mężczyźni rozchodzili się także wolno, jakby z żalem, rozmawiając o wieczornym przedstawieniu i świeżych plotkach teatralnych.

Wielohradzki gotował się także do odejścia, gdy ze drzwi wyszła Teczka w swym trykotowym staniku i zbyt krótkiej spódniczce. Schodząc ze wschodów, potknęła się niezgrabnie, lecz nikt na nią nie zważał; tak była nędzną i nieznaczającą. Zeszedłszy ze wschodów, przeszła ulicę i ujrzała Wielohradzkiego.

On spostrzegł ją także i, nagłą potrzebą okrucieństwa zjęty, w chwili, gdy dziewczyna kłaniała mu się niezgrabnie, prześlizgnął się po niej wzrokiem, naśladując wzrok hrabianki; i odwrócił się tym samym wiewiórczym ruchem, jakim odwróciła się od niego Muszka Dobrojowska.

Lecz znalazł się nosem na szybie drzwi nożownika, który, biorąc go za wchodzącego klienta, drzwi szybko otworzył, chcąc ułatwić mu wejście do sklepu.

Rad nie rad, Wielohradzki wejść musiał i głosem wzburzonym zażądał pokazania angielskich scyzoryków.

Gdy kupiec rozkładał przed nim całą szufladę błyszczącą od stali, Wielohradzki przeklinał w duszy Tecię, przez którą do sklepu wejść musiał.

Powoli jednak ochłonął i zaczął szukać sposobu wykręcenia się od kupienia czegokolwiek.

Widzę, że pan nie masz scyzoryków z BirmanghChaster wyrzekł, nadrabiając minąto najlepsza firma, kupiłem scyzoryk taki w Londynie przeszłego roku... był kolosalny!.. Zgubiłem go, a prawdopodobniej służba mi ukradła. Poszukam w innych sklepach... jeśli nie znajdę, sprowadzi mi pan... ale koniecznie „BirinanghChaster”.

Wziął za kapelusz i wyszedł ze sklepu, skrzypiąc butami, zadowolony na razie, że znalazł sposób wykręcenia się od kupna zbytecznego mu sprzętu.

Lecz na ulicy znów go ogarnęło rozdrażnienie i niepewność.

Być może, że popełnił czyn niewłaściwy, kłaniając się Muszce? Może należało stać nieruchomo i tylko oczyma dać jej do poznania, iż „życzenie jej było dla niego rozkazem”. Mając mało przygód podobnego rodzaju, nie znał przepisów obowiązujących mężczyznę, któremu kobieta naznacza podobne rendezvous.

A gdyby nawet był jakiś kodeks w tym rodzaju, czyż podobna go zastosować wobec charakteru tak pełnego niespodziewanych zwrotów, jakim był charakter tej dziwacznej istoty?

Czyż raczej ona sama nie tworzyła osobnego swego własnego kodeksu, który zmieniała stosownie do potrzeby chwili? Idąc ulicą ku domowi, Wielohradzki przechodził myślą wszystkie fazy swego do Muszki stosunku. Wyróżniała go nagle, podczas składkowego pikniku, gdy kotylion zapowiadał się z nadzwyczajną świetnością, i Wielohradzki, prowadzący tańce, zdawał się wahać z wyborem tancerki.

Dokoła szeptano o jakiejś koronie z róż białych i tuberoz, która miała uwieńczyć przy dźwiękach walca głowę królowej balu. Od Wielohradzkiego zależało prawdopodobnie kierować wyborem królowej. Stał we drzwiach hotelowej sali, w której się piknik odbywał, obramowany zielonemi fałdami go

belinu, którym komitetowi starali się zręcznie zamaskować pospolitą futrynę drzwi. Stał i wodził dokoła wzrokiem pełnym powagi, gryzł usta i zdawał się upadać pod ciężarem myśli. Lecz postać jego była kształtna, głowa śliczna, młodość aż olśniewała z tej postaci zdrowego, ładnego chłopaka. Przez pierś wypukłą czerwieniała wielka wstęga nabijana srebrnymi gwiazdami, wstęga wodzireja (conducteur de cotillon), dziwaczna jeszcze i oczekująca na grad orderów i odznak, które zasypać ją miały deszczem złotych motyli.

I nagle Muszka iść ku niemu zaczęła, cała złota w swej gorącożółtej gazie, w kasku swych rudych włosów, śląc gońce szafiry swych oczów w błękitne źrenice chłopaka.

Szła powoli, swym tanecznym krokiem, rozwiewając dokoła gazę swej sukni, jak figurki, zdobiące florentyńskie wazy. Miała olbrzymie rękawy bufowane, pod którymi widać było jej ramiona, trochę chude i pokryte skórą o połyskach atlasu.

Idąc, uśmiechała się dziwnym, zagadkowym uśmiechem sfinksa, który rzuca w tej chwili śmiertelną zagadkę wybranemu przez siebie śmiałkowi.

Uśmiech ten migał po jej ustach, jak noże w rękach zonglera; igrał iskrząco, jak złote punkciki, błyszczące i znikające w skrętach jej olbrzymich włosów.

Gdy znalazła się przed Wielohradzkim, który, zdziwiony tem nagłym objawieniem się wyłącznego dla niego uśmiechu, stał, oczekując na jakiś fakt niezwykły, przewyższający banalność salonowego flirtu, miała w sobie tryumfalną pewność siebie, doskonale pięknej istoty, połączoną z nerwowością nagle zbudzonego kobiecego niepokoju.

Z uśmiechem tym samym, zagadkowym i zimnym, wysłuchiwała jego zaproszenia do kotyliona, do owego kotyliona, który chowała w głębi karnetu, od chwili przybycia na piknik; lecz już oczy jej, błyszczące z pod długich, fryzowanych rzęs, ślizgały się niespokojnie po całej postaci wodzireja ślizgały się, migotały, płonęły, cofały się w głąb i znów powracały.

Zdawało się, że po raz pierwszy widziała go tak dokładnie, tak dobrze, tak „bien”, w całym słowa tego znaczeniu.

Urodą, szykiem, elegancją strojnego motyla przewyższał wszystkich otaczających ją galicyjskich arystokratów.

Zaczęła się dziwić sobie, iż do tej chwili nie zwróciła na niego uwagi. Tańczyła z nim przecież chętnie, spotykała się z nim często, gdyż bywał prawie we wszystkich domach, w których i ona bywała, dopiero dziś dostrzegła jego piękność i tę jakąś błyskotliwość, która ją zawsze wabiła. Wszyscy męż

czym gaśli przy nim i wydawali się jej ter nes. Stanowczo ten flirt ciągnął ją ku sobie.

I przy końcu kotyliona, gdy wirowali pod baldachimem wstążek, trzymanych wysoko przez olbrzymiego Stenia, oczy ich co chwila spotykały się, ręce szukały, usta podawały uśmiechy, które zakwitały nagle wśród warg purpurowych i gasły, jak gwiazdy spadające.

Wieczór ten dla Wielohradzkiego, nagle wyrwano ze swego metier wodzireja patentowanego i uprzywilejowanego pomiędzy arystokracją lwowską, miał wielkie, doniosłe znaczenie.

Zwykle, cały wieczór zajęty jedynie prowadzeniem tańców, akcesoryami kotylionowymi, zgrzany, schrypnięty, zmęczony, obarczony najuciążliwszą missyą, jaką na barki tancerza wkłada gospodyni domu, a przytem przejęty ważnością swej godności, pragnący jak mistrz baletu godnie zaprezentować swych tancerzy, nie miał czasu na flirty, szepty, miłosne awanturki, nawiązywane w kątach cieplarni lub postronnych buduarów, pod zielonemi wachlarzami palm lub fałdami tkanin orientalnych, spadających tęczowemi barwami ze złożonych dzid po nad miękkim aksamitem jedwabnych dywaników Muezina.

Na to trzeba było mieć więcej czasu. Wielohradzki myślał jedynie o udaniu się kotyliona i o rozpowszechnieniu Bostona, którego pierwszy na posadzkę salonów lwowskich wprowadził. Obecnie ten flirt

z Muszką z piękną Muszką, Muszką la Belle, l'Incomparable wprowadził go nagle w świat inny, w świat, który otaczał go dokoła, lecz do którego zajrzeć nie miał czasu, a może i odwagi.

Panna uczyniła pierwszy krok, i gdy szła tak ku niemu uśmiechnięta, cała złota, wiotka i piękna, zdawało mu się, iż zbliża się nagle ku niemu zaczarowana kraina, pełna kuszących i rozkosznych obietnic.

Lecz była to jedynie... obietnica, nic więcej!

Muszka bowiem, zdjęta ową nagłą fantazyą, pociągnawszy go ku sobie, prowadziła na nitce pajęczych kaprysów, nie dopowiadając nigdy swej woli, swej chęci, cofając swe źrenice, myśli słowa, uśmiechy, które posyłała naprzód, jak gwiazda promienie, i zanim promień ten mógł dotknąć oczu, serca, uszu Wielohradzkiego, już znikał w pół drogi, rozplywając się we mgle chłodu i wielkopańskiej arrogancji.

Wielohradzki postępował ostrożnie, nie awansując się, nie narzucając, czekając skinienia, gestu, zachęty, uśmiechu. Często czekał długo, nie przybierając wszakże postawy żebraka. Zrozumiał, iż rola jego powinna ograniczać się do „przyjmowania” tej niespodziewanej bonnafortune'y, która spadła na niego w chwili, gdy orkiestra stroiła instrumenty do walca z „Miss Helyet”. Sam nie ośmielał występować z czemś od siebie, z jakąś własną inicjatywą, posuwającą naprzód ten flirt dziwaczny, tajemniczy, podobny raczej do jakiegoś początku skrywanego

przed ludźmi wiarołomnego romansu. Było w tej przygodzie coś nienaturalnego, przewrotnego, coś, co się czaiło kociemi ruchami i cofało się szybko w głąb źrenic hrabianki. Szczególniej Wielohradzki zauważył, iż Muszka pragnęła, aby nawet cień ich zbliżenia nie przekradł się do wiadomości ludzkiej. Wobec innych traktowała go z lodowatą obojętnością i tańcząc z nim, na czele korowodów kotylionowych, miała zawsze pozór zimnej statuy, obracanej w ramionach obojętnej Jej manekina.

Lecz w chwili rozdawania orderów, bukietów, wstążek, w chwili najniespodziewańszej a tajemniczej, nerwowe uściśnienie ręki, półwzrok, półuśmiech spadał nań nagle z szybkością jastrzębia. Zanim zdołał się opamiętać,

odpowiedzieć, już Muszka odwracała się spokojna, wyniosła, mierząc go arrogantnym wzrokiem wykołysanej w impertynencych dziewczyny.

Nigdy nie zdradziła się jednym wyrazem, nie rzuciła mu jednego słowa, które mogłoby rozjaśnić zagadkę jej postępowania. Zamieniali zwykle banalne słowa dotyczące się tańca. Po raz pierwszy wyszła ze swej rezerwy, rzucając mu ów bukiet. Zmieniła sama porządek figury kotylionowej, i dziś Wielohradzki przypominał sobie dokładnie rozkazujący wzrok, z jakim mu wskazała bukiet podawanych fijołków. On zaś idiotycznie, mógł zgubić ową karteczkę i gdyby nie Teczka...

Złość go porwała na siebie, na Teczka, na Muszkę, na wszystkich...

Czuł, iż postąpił jak głupiec, kłaniając się hrabiance. Pewną ulgę przyniosło mu odemszczenie się na Teczka, lecz niemniej przeto czuł policzek, jaki mu wymierzyła Muszka, odwracając się od niego w chwili jego ukłonu.

Jeżeli do mnie jeszcze napiszemyślał, idąc wielkimi krokami po koszlawych chodnikach i dziurach asfaltu nie pójdę!... Nie chcę widzieć jej pleców... mam już tej zabawki dosyć.

Niemniej przecież w głębi duszy przyznawał, że jest „wzięty”. Nie miał czasu, wcześniej rzucony na posadzki salonów, strawić się w atmosferze tanich miłostek. Rozdając całusy Teczka, czuł się na seryo „wzięty” przez Muszkę i owo „wzięcie”, trwające od dwóch miesięcy, denerwowało go swą zagadkową i dziwaczną niepewnością.

Nie pójdę już nigdy, skoro mnie wezwie! zaręczał w duszy. Woię pójsć do domu i dokończyć „Wołodyjowskiego”!

Po chodnikach snuły się tłumy. Był to dzień wiosenny, jasny i przejrzysty, bladoliliowy od samego poranku, ku wieczorowi w ciemni szafiru powoli przechodzący.

Wały zaczynały szumieć zielonością, a pod drzewami zaszumiała nagle fala kobiet, ubranych jasno, świątecznie, na cześć Wiosny, na cześć Mai o zieleno

nych warkoczach, białawo liliowym welonie nieba i oczach z gwiazd złotych utkanych.

Zielone warkocze Mai, i jasne suknie kobiet; aureole kapeluszy podlotków, i białe paltociki dziewczynek; tu i owdzie jaskrawa plama czerwonej parasolki, zlagodzona łagodną barwą bławatków, fijołków, którymi przeważnie kobiety kapelusze swe tego roku przystrajać zaczęły.

I ciąglewzdłuż chodników, koło szeroko otwartych drzwi sklepów i cukierni fala sukien szumiących jedwabniami spodami, całe słońca włosów złotych, kręconych ponad rozjaśnionymi czołami młodych dziewczyn...

Wielohradzki, włożywszy ręce w kieszenie palta, siedł, złożony usta jakby do gwizdania. Miał na twarzy wyraz gryzącej ironii i niewysłowionej pogardy. Żadna z tych kobiet nie interesowała go: przeciwnie, postaci ich uśmiechnięte, słońca ich włosów gniewały go i dręczyły.

Gęsi!... myślałgęsi mieszczkańskie!... i czego to w domu nie siedzi? czego się to po ulicach włóczy?..

Mała odarta dziewczyna zabiegła mu drogę, podając bukiet liliowych sasanek, sztucznie naśladowujących fijołki. Odsunął ją końcem buta, rad, że może na kims swój gniew wyrzucić.

Dziewczyna zemściła się, rzucając za nim cienkim głosikiem.



Sztucer!... \*)

Wielohradzki przejrzał się w szybie magazynu i ujrzał rzeczywiście „sztucera”. To go pocieszyło trochę, zwłaszcza, że właśnie przeszło mimo niego kilku ludzi źle ubranych. Jeden z nich miał spodnie prawie fioletowe! Wielohradzki wzruszył ramionami. Gdzie ten człowiek wynalazł podobne spodnie?

Nagle zamyslił się. Być może, iż w Paryżu lub Anglii ten kolor wszedł już w modę? Na strojąc kobiecych fioletowa barwa przeważała. Wielohradzki ubierał się modą wiedeńską. Obejrzał się raz jeszcze za owym młodzieńcem o fioletowych spodniach, lecz tłum ludzi przyjął go pomiędzy siebie jak morze wpadającą rzekę. W każdym razie myślał Wielohradzki ten pan z pewnością nie nosi, tak jak ja, pończoch i angielskich podwiązek. To było widać po fatalnym układzie fałd sukna.

Lecz znów myślą powrócił do Muszki.

Jeżeli kazała czekać na siebie, musiała mieć w tem jakiś cel, choćby dla zobaczenia go, dla zamienienia z nim jednego spojrzenia. Dlaczego więc prześlizgnęła się po nim wzrokiem z taką lodowatą obojętnością? A może .. nie widziała go wcale?

Teraz już Wielohradzki nie był nawet pewnym czy hrabianka dostrzegła go wśród tłumu.

Jeśli mnie zaraz nie odnalazła, czemuż nie

\*) Sztucerelegant w żargonie galicyjskim (przyp aut),

szukała wzrokiem? czemuż nie chciała mnie szukać? Wzruszył ramionami i zaczął iść szybciej, stukając O asfalt obcasami.

Niech ją tam! zakonkludował skończę tę głupią awanturę, zaczyna mi to jeść zdrowie spokój odbiera... Nie mogę pracować... Od wczoraj czytam cztery kartki „Wołodyjowskiego” i w żaden sposób nie mogę wymyślić jakiejś szykownej figury do kotyliona u Orzeckich.

I pełen najlepszych zamiarów dodał, wyciągając szyję i jakby wietrząc w powietrzu projekt owej „figury”: „Zajmijmy się czemś seryo... dosyć tych głupstw bez sensu...”

Dochodził do domu i, spostrzegłszy to, zwolnił kroku. Myśl o zobaczeniu matki i Teci, o wejściu do tej ciemnej nory, która nazywała się „jego pokojem” stała mu się poniekąd przykrą. Wychodził pełen dobrego humoru i w doskonałym usposobieniu; teraz nie miał odwagi wnieść swych nagle osowiałych nerwów w tę ubogą ciszę, przerywaną jedynie turkotem maszyny i zgrzytem nożyczek.

Przejdę się jeszcze... pomyślał, kierując się ku ogrodowi Jezuickiemu.

Lecz nagle z bramy kamienicy wysunęła się jakaś ciemno ubrana kobieta.

Była bardzo brzydka i nad czołem jej sterczała duża czarna grzywka, która formowała po nad jej oczyma rodzaj daszka z czarnej ceraty.

Była ubrana w granatowy wełniany kostyum i kapelusz z piórem. Male oczy latały przenikliwie wśród żółtej cery twarzy.

Ujrzawszy Wielohradzkiego, zbliżyła się szybko.

Pan Wielohradzki? spytała. Tadeusz stanął i uchylił kapelusza.

Tak... odparł zdziwiony.

Jestem panna służąca hrabianki Dobrojowskiej...

Wielohradzki nałożył kapelusz, lecz serce mu zaczęło kołatać tak szybko, iż musiał aż usta otworzyć dla nabrania oddechu.

Hrabianka kazała pana prosić, aby pan dziś był w teatrze!

Ukloniła się i szybko przyciskając łokcie do bioder, uciekła.

Ani na chwilę nie przebiegła przez umysł Wielohradzkiego myśl: nie pójść! Pełen nadziei wbiegł do bramy, wdrapał się na schody, cały zajęty myślą wydostania od „mamusy” trzech guldenów, potrzebnych na bilet i wynajęcie lornetki. Radośnie, wesoło zadzwonił i, wpadłszy do pokoju, od progu zawołał:

Mamusiu złota! jedyna! królowo! herbaty, bo Tadzio idzie do teatru!

Wielohradzka, szyjąca przy oknie, szybko podniosła głowę. Wiedziała, że gdy syn jej zaczyna mó

wić o sobie w trzeciej osobie, jest w doskonałym humorze i nerwy jego (o które tak bardzo się lękała) są najzupełniej uspokojone.

Żwawo więc powstała od stołu i, biegnąc do kuchni, zawołała:

Samowar gotów!... odgrzej tylko pierożki!

Tadeusz pobiegł do swego pokoju i zaczął myć się, czesać, perfumować. Zamyślił się długo nad pudełkami, w których leżały krawaty.

Wreszcie zawołał:

Mamuchno!... chodź tu na chwileczkę! Wielohradzka, trzymając w ręku patelnię, na którą wrzuciła już kawałek masła, weszła szybko do pokoju.

O co ci chodzi? spytała.

Nie wiem sam, jaki krawat włożyć do teatru... czy ten w ciapeczki? czy ten w podkówki? Jak mamcia myśli?

Wielohradzka postawiła patelnię na krześle i włożyła na nos binokle.

Ja radzę ci w ciapeczki wyrzekła

w podkowy strasznie obnoszone i teraz byle kto rzeczy sportowych się czepia!...

Mameczka ma rację! zdecydował Tadeusz trzeba będzie krawat w podkowy darować stróżowi!...

I zaczął się ubierać, wciągać kamizelkę, lecz

teraz Wielohradzka nie odchodziła, tylko przez binokle przyglądała się z upodobaniem synowi.

Wiesz, Tadziu!... wyrzekła nareszcie zdaje mi się, że ty tego roku jeszcze urosłeś... Przerastasz mnie teraz o głowę, a przecież ja nie ułomek!

Prostowała się z pewną butą blada, a mimo to bardzo ładna w tem obramowaniu siwych włosów. Szalone przywiązanie, jakie miała do swego jedynaka, zdobiło jej rysy, a zwłaszcza wyraz ust, prześliczną i żywą młodością. Tadzio nadstawił swą głowę wytartą wodą kolońska.

Niech mamuś pocałuje swego urwisa prosi dziecinnym głosem.

Wielohradzka kilkakrotnie, gorąco, szczerze ucałowała głowę syna.

Ach! ty pieścuch! wymówiła z lekkim wzruszeniem w głosie.

Nagle zasyczało coś w kuchni.

Jezu! coś się przypała!

Wielohradzka wybiegła z pokoju z szumem fałd swego szlafroka.

Teraz Tadeusz był gotów.

Wonny, czysty, uśmiechnięty, wyglądał jak lalka wycięta z żurnalu.

Oglądając paznogie, wszedł do pokoju matki, która szybko nakrywała stół obrusem i ustawiała na nim przybory do herbaty.

Ja pomogę!... odezwał się Tadeusz.

Nie! nie! zaoponowała matkamożesz sobie powalać mankiety, a zresztą to babska robota!...

On, bon prince, uśmiechając się, usiadł do stołu. Zgarnął łyżeczką kożuszek z garnuszka ze śmietanką i połknął go jednym haustem.

Poczem obejrzał się dokoła.

Gdzież to Teczka?

Głowa ją boli... odparła Wielohradzka. Pozwoliłam jej chodzić na majowe nabożeństwo. Dziś wróciła z oczyma zaczerwienionymi i prosiła, aby jej pozwolić odejść do domu.

Tadeusz smarował ostrożnie cieniuchną kromeczkę chleba grubą powłoką masła.

Jak ją mamcia jutro zobaczywyrzekłto niech mamcia jej powie, że dlatego się jej dziś nie ukloniłem na ulicy, ponieważ jej nie poznałem... Dopiero, kiedy przeszła, domyśliłem się, że to ona.

Teraz, kiedy on był zadowolony, pragnął, aby inni byli także zadowoleni.

Dobrze! odparła Wielohradzka choć to dziwne... nie poznać Teci...

Mamcia wie, że mam wzrok krótki.

Prawda!...

Westchnęła i podsunęła mu cały talerz odgrzewanych pierogów.

Jedz... pierożki odgrzewane... wiem, że je lubisz!...

Naturalnie!

Zabrał się do jedzenia, popijając herbatą. Nagle Wielohradzka spytała:

Znasz kanoniczke Martel?

Znam.

To szkoda!

Dlaczego? Czy chciała dać mamie robotę?

Tak!... przez babkę Teci... Wielohradzki podniósł szybko głowę.

Niechże mamcia nie bierze!... zawołał niespokojnie. Kanoniczkę spotykam bardzo często, bywa na wszystkich wieczorach...

Wielohradzka uspokoiła go łagodnym gestem.

Nie bój się... skoro tylko znasz tę panią, możesz być przekonany, iż nie przyjmę od niej roboty.

Umilkła na chwilę, poczem dodała:

A jednak szkoda... podobno dobrze płaci...

Mieszczanki także dobrze płacą! podjął Tadeusz żywo a mając pomiędzy nimi klientki, nie może mi mamcia zaszkodzić!...

Zjadł pierogi, otarł usta, zagryzł ciastkiem i powstał z krzesła.

Idę, a skoro wrócę, opowiem mamci, co grali i jak panie na scenie były ubrane!... wyrzekł, biorąc kapelusz.

Wielohradzka, przez chwilę zafrasowana, uśmiechnęła się wesoło.

Możę tam będzie jaki oryginalny szlafrok; uważaj dobrze... to mi go później narysujesz!

Dobrze!...

Wziął ją za rękę i pocałował z przymileniem.

A na bilet da mamuś Tadziowi? zapytał. Wielohradzka bez wahania sięgnęła ręką do kieszeni.

Ileż ci trzeba?

Trzy guldeny!... Aż tyle?

Muszę iść na balkon pierwszego piętra... tam wszyscy z namiestnictwa chodzą... nie mogę bywać w krzesłach...

Podąła mu z pośpiechem żądane pieniądze, tak była rada widzieć go w tym dobrym humorze, który rozjaśniał jej smutne mieszkanie ciepłym, wiosennym promieniem.

Odprowadziła go na schody.

Zapalę wieczorem lampkę i postawię na schodach wyrzekła, opierając się o poręcz zawsze się boję, skoro powracasz tak późno i możesz się poślizgnąć!

On, już na niższym piętrze, podniósł głowę z uśmiechem.

Mam zapalki!... wyrzekł.

Pewnie w pudełku!... troszczyła się znów Wielohradzka tyle razy cię prosiłam, ażebyś nosił w tym metalowym futeraliku, który ci kupiłam. Je

szcze kiedy zapalą się w twojej kieszeni, a to fosfor... siarka... niech Bóg broni!...

Lecz on już zbiegał ze schodów.

Nie bój się, mamuś... do widzenia!... wołał, posyłając jej pocałunki.

Z trudnością dostał Wielohradzki bilet do teatru. Dnia tego bowiem była wielka uczta artystyczna dla publiczności lwowskiej, jedna z tych uczt, które pozostaną pomnikami w repertuarze sceny skarbkowskiej.

Przybyło do Lwowa dwunastu studentów hiszpańskich, „Estudiantina”, ma chere! jak mówiły damy, ciesząc się, iż posłyszają prawdziwy brzęk mandolin i zobaczą kucze włosy synów Andaluzji. Mandoliny te brzęczeć miały w antraktach „jakiejs” sztuki! Ach, Boże! o sztukę tu nie szło... ale Estudiantina! prawdziwa Estudiantina!...

I pełno było w łóżach gwaru, szelestu i śmiechu. Wachlarze powiewały, bo ten majowy karnawał przed wyścigowy upalny był i gorący, jak nigdy.

Gdy Wielohradzki wszedł na balkon pierwszego piętra, wszystkie miejsca oprócz kilku łóż parterowych i pierwszego piętra zajęte były przez publiczność. Kurtyna podniosła się powoli i ukazał się w jamie sceny kartonowy ogród z nadzwyczajnymi, bo rozpiętymi na siatkach dębami, łatanami kawał

kami płótna. Na scenie stało dwanaście krzeseł giętych, pustych.

Wielohradzki precyzyjnie przycisnął się do swego miejsca i zajął je, cokolwiek oszołomiony gorącem, zaduchem i oślepiającym blaskiem gazu, który bił płomieniami z brudnych kloszów, umieszczonych tuż przed poręczą balkonu. Usiadłszy, starał się odzyskać równowagę, gdy usłyszał nagle nosowy, niski głos:

Dobry wieczór!

Obok niego siedział Kafthan, urzędnik z namiestnictwa, rozrosły, silny mężczyzna, trzymający się pochyło, mówiący wolno, przeważnie rzeczownikami, i służący za pośmiewisko „panom z kasyna”.

Wielohradzki przywitał się z nim dość oziębło. Ogarnęła go złość, iż wypadek dał mu miejsce obok Kafthana. Bał się, aby „ci panowie” nie pomyśleli, iż on jest „dobrze” z Kafthanem. Śmieszności lękał się jak ognia. Zdawało mu się, iż samo sąsiedztwo Kafthana już na niego szyderstwo sprowadza. A widział ich dokładnie, rzucali się w oczy natychmiast każdemu wchodzącemu do sali teatralnej. Mieli swoją własną lożę kasynową, tak zwaną „końską”, i siedzieli w niej teraz dwoma rzędami, poddając pod światło gazu swe jasne twarze i nieposzlakowanej białości bieliznę.

Wbrew zapewnieniom niektórych powieściopisarzy nie była to rasa skarłała ani nędzna. Owszem twarze tych ludzi były regularne, doskonale odży

wione, ciała wybornie rozwinięte i utrzymane. Przeważnie rasa była szykowna, wielkopańska, trochę czasem mieszaniną parweniuszów lub ormian zepsuta. Gdzieniegdzie migały wielkie orle nosy lub duże kościste ręce, lecz przeważnie głowy były dziwnie kształtne i harmonijne niektóre nawet zadziwiająco piękne, ramiona szerokie, ręce wąskie i ładnie pielęgnowane.

W pierwszym zaraz rzędzie, jak mumia, nagle do życia powołana, siedział Melunio Orlicki, wyczerniony, wyróżniony; w podwatowanym na ramionach smockingu, z różą świeżą w ustach. Siedział, mrugając oczyma, sztywny i wyprostowany pomiędzy tymi młodymi, którzy śmiali się zdaleka urodą, białością cery i zdrowiem. Wyglądał pomiędzy nimi jak plama atramentu. Lecz „końska łoża” nie mogła istnieć bez Melunia. Stary kawaler zajmował to miejsce od lat tyłu. Chwilami zdawało się, że umrze na tem krześle, na którym jego twardy skielec wysiedział już jamę grobową.

Wielohradzki odwrócił się od Kafthana i z niepokojem ujrzał, iż krzesło obok niego pozostało niezajęte. Kto je zajmie? Wielohradzki rzadko bywał w teatrze, ale zawsze dbał, aby być dobrze „otoczonym”. Tymczasem dziś rozkaz Muszki zmusił go do wzięcia niemal ostatniego biletu, jaki w kasie pozostał. Z najwyższym rozdrażnieniem dostrzegł, iż zbliża się do niezajętego

miejsca drugi urzędnik z namiestnictwa, Wojsa, młody ormianin, parweniusz, trzymany zdaleka przez „tych panów” i nie należący do kasyna.

Wojsa, niski krępy brunet, z twarzą wesołej papugi, usiadł, kiwając niedbale głową Wielohradzmu. I on widocznie nie rad był z sąsiedztwa Kafthana i Wielohradzkiego, gdyż wszyscy na tem targowisku próżności pogardzali jedni drugimi, pnąc się rozpaczliwie na szczyble, które w ich przekonaniu otyłe „wyżej” w ustrój u społecznym postawione były.

Lecz już Kafthan wyjął afisz i rozkładać go zaczął, mrużąc:

Estudiantina... o!... Pampillos, Madrillos, Ciquitos... granie... śpiewanie... o!...

Grubym palcem po afiszu wodził, wreszcie dodał:

„Dom otwarty”...

Wielohradzki nieznacznie teraz po łożach spoglądał, obiecując sobie nie uklonić się nawet Muszce, skoro widocznie sobie tego nie życzyła. Miał zamiar tylko oczyma, wzrokiem dać jej poznać wiele... co? sam nie wiedział, tak dziwne uczucie było w jego sercu dla niej olśniewającej dziewczyny. W każdym razie przygotował oczy melancholijne, głębokie, o ile jego wypukłe źrenice mogły mu na to pozwolić. Czuł jednak, że nie wygląda tak, jak tego pragnął. Kafthan psuł mu całą harmonię; zasłaniał go swem olbrzymim ramieniem. Przytem ta płachta rozwieszzonego afisza, bielącego się na tle różowawej ballustra

dy, była wprost śmieszna. Subtelnie banalny charakter Wielohradzkiego odczuwał te drobiazgi i truł się nimi fatalnie. Była to zawsze męka jego życia.

Muszka jeszcze nie przybyła. Spóźniła się tak zawsze i wszędzie, wchodząc ostatnia, wychodząc najpierwsza. Zjawiała się zawsze, gdy już przestano ją oczekiwać, i odchodziła, gdy jeszcze nie zdołano się na nią napatrzeć.

Wielohradzki wiedział o tem, czekał, ale niemniej czuł pewną gorączkę, która mu ciągle wzrok do niezajętych łóż ciągnęła.

Nagle na pustą scenę wypadło dwunastu czarno ubranych mężczyzn, z których połowa była olbrzymiego wzrostu, a połowa dziwacznie mała. Jeden był tak otyły, iż włożył się na ostatku, śmieszny w swych trykotach czarnych i krótkiej kurteczce. Inny, malutki i chudy przerażająco, miał nogi jak dwie zapalki. Kostiumy ich były nędzne, welwetowe zrudziałe; twarzepospolite, bez żadnych cech charakteru południowców.

Usiedli na krzesłkach, porwali za mandoliny i zaczęli brzęczeć jakieś melodye.

Nastąpiło rozczarowanie.

W łóżach wzruszano ramionami. „Estudiantina” zawiodła! Niemniej przeto las lornetek skierował się na scenę. Hiszpanie grali ciągle, zapatrzeni w struny swych mandolin. I już powoli oswajano się z nimi. Zaczęto nawet przyznawać, iż Pompillos jest interesujący a mały Madrillos bardzo zabawny. Lecz co

najwięcej zaciekało wszystkich, to łyżeczki, które studenci mieli zatknięte za kapelusze. Podawano sobie lornetki, aby lepiej te łyżeczki zobaczyć, i mówiono pocichu ich legendę. Brzęk mandolin tonął teraz w gwarze rozmowy.

Kafthan palec ku scenie wyciągnął, mówiąc grobowym głosem: Łyżki!..

Nagle urwano rozmowę. Studenci, śpiewając, porwali się z krzesel, wrzeszczeli „Olle!” zdjęli kapelusze i, usiadłszy napowrót, grać zaczęli. Publiczność zdziwiona umilkła. I siedziano tak w monotonnym brzęczeniu łaskotanych strun i duszącej powodzi płonącego gazu. Mandoliny dzwoniły z przerażającą jednostajnością. Powoli jednak brzęk ten usypiać i rozmarzać zaczął. Kobiety pierwsze umilkły i poddawały się tej siekającej kąpieli dziwacznych dźwięków.

Kafthan zaś zadecydował półgłosem:

Brzęczenie!...

Lecz Wielohradzki poczuł nagle szarpnięcie nerwów. Jedna z łóż pierwszego piętra zaroila się świeżo przybyłymi postaciami. Wszystkie lornetki skierowały się w tę stronę. Wielohradzki, mimo szalonego wysiłku woli, nie mógł nie pobiedz wzrokiem w tym kierunku.

Oparta o poręcz łoży, w narzuconym jeszcze na ramiona pluszowym płaszczu brązowym, poddając się chętnie pod ogień lornetek, spokojna, chłodna i nad wyraz piękna stała Muszka, nie patrząc na

scenę, nie patrząc na sale patrząc a nie widząc, widząc a nie patrząc swemi szafirowymi źrenicami.

Powoli zsunęła z ramion płaszcz i usiadła na krzesle, odwracając się plecami do balkonu, na którym się znajdował Wielohradzki. Obok niej zajęła miejsce druga piękność lwowska, Orzecka, z domu Charłupczanka.

Lornetki całej publiczności bezustannie teraz śledziły każde spojrzenie, każdy gest obu kobiet, a zwłaszcza Muszki, przy której bladła świeża i okrągła twarzyczka Orzeckiej.

Muszka ubrana była w suknię z aksamitu w dziwaczne tygrysie pręgi. Suknia ta niezmiernie szczelnie przylegała do jej wysmukłego ciała i dawała jej wygląd dużej tresowanej tygrysy. Rękawy olbrzymie z brązowego tiulu, naszytego mieniącymi się kamieniami, osłaniały niedokładnie moreł obnażonych ramion. W rubinach i topazach grały całe snopy

iskier. Z tygryziej tkaniny wysuwały się przebłyski delikatnego, jasnego ciała, bo i szyja cała prawie była obnażona i podniesione wysoko włosy odsłaniały kark, po którym wiły się kręcone drobne, miedzianego koloru loczki. I włosy te, zczesane wysoko, skrócone w ogromny węzeł przepięty rubinową strzałą, bramujące twarz bladą masą ciemnorudych promieni, tworzyły kask tryumfatorski nad czołem tej dziewczyny, denerwującej swą urodą całą salę i pozostającej w tem ogół

nem zdenerwowaniu chłodną, spokojną i pamiętającą o wykarminowanych wargach, o układzie ręki, o pięknej draperyi tworzącego tło płaszcz.

Estudiantina nagle brzęczeć przestała i hiszpanie, uciekli za kulisy, machając mandolinami. Frenetyczne oklaski zmusiły ich do ukazania się, poczem zapadła brudna i zniszczona płachta, nazwana kurtyną.

Kafthan palce w stronę Muszki wyciągnął. Dobrojowska! wyrzekł. Uroda, fummy, kokieterya, malatura... o!...

Wielohradzki nie odpowiadał, znów niespokojny i podrażniony. Muszka nie spojrzała nawet na balkon, gdzie wiedziała, iż on musi się znajdować. Zresztą nie patrzyła zupełnie na salę i skoro tylko kurtyna zapadła, wstała powoli, rosnąc jak sosna, z aksamitu balustrady, i wsunęła się w głąb łoży, nie rzuciwszy nawet okiem po za siebie.

W teatrze tymczasem panował gwar i hałas nadzwyczajny. Orkiestra grała jakąś hałaśliwą polkę. W końskiej łoży pozostał tylko Melunio, wybijający takt futerałem od lornetki.

„Ci panowie” wchodzili teraz do łóż, witali się z damami i stojąc rozmawiali, wybuchając od czasu do czasu głośnym śmiechem.

Wielohradzki czuł się skępowanym. Nie miał śmiałości oddawania wizyt w łożach damom, w których domach bywał, a nawet prowadził tańce. Wie

dział, iż na to potrzeba być kimś należącym do „towarzystwa”. On zaś, pomimo wszystkich pozorów, nim nie był.

Nie chciał również wyjść na kurytarz. Bał się, ażeby Kafthan nie chciał mu towarzyszyć. Te same pobudki skłaniały Wojse do siedzenia w fotelu. Wojsa bał się, aby Wielohradzki nie pragnął pokazać się w jego towarzystwie. Siedzieli więc wszyscy trzej kwaśni i niezadowoleni, patrząc na siebie z ukosa.

Wielohradzki bezustannie śledził łożę zajmowaną przez Muszkę i widział, jak Orzecka wstała i, szeleszcząc białą jedwabną suknią, zrobioną według mody z trzydziestego roku, poszła również w głąb łoży. Od czasu do czasu słychać było tam wybuchy śmiechu Stania Pozbitowskiego i jego dziwaczny dyszkant, zimny i fałszywy.

Wielohradzki zaczął trawić się wewnątrz szalonym niezadowoleniem. Nie mógł otworzyć drzwi tej łoży i wejść tak, jak inni. Na samą myśl tego salonowego zuchwalstwa drętwiał cały. Naraziłby się na śmieszność. Czuł to, wiedział, i to właśnie przeświadczenie sprawiło mu ból dojmujący.

Pocieszał się myślą, iż on jeden właśnie jest połączony z Muszką tą tajemną siecią, która go ciągnie za nią jak cień, siecią płataną przez samą Muszkę i z jej własnej woli. Była to słaba i platoniczna pociecha. Dawało mu to mało radości, nic pra



wie, a zaczynało rwać mu już na strzępki dawną egzystencję.

Antrakt miał się ku końcowi. Końska łoża zapełniła się znowu i publiczność wracała powoli na swoje miejsca. Kobiety zajmowały brzegi łoż, i nagle zrobiło się w teatrze jasno, biało, różowo, złoto, błękitno, od jasnych barw i twarzy otoczonych aureolami włosów o złotych połyskach. Wachlarze zagrały ponownie, niektóre były tak barwne i delikatne, jak skrzydła motyle. Jakaś chórzystka na trzecim piętrze miała wielki wachlarz japoński z purpurowego papieru. Zdaleka rzucał się w oczy jaskrawą plamą, zwłaszcza w tym białawym pyłe, który teraz powoli zaczynał wypełniać teatralną salę.

Muszka powróciła za dawne miejsce. Napróżno Wielohradzki wysunął się na przód balkonu i sterroryzowawszy Kafthana, ręce wdzięcznie na balustradzie ułożył. Muszka usiadła, nie spojrzawszy nawet w tę stronę. Po za nią zjawił się Stanio Pozbitowski. Orzecka pozostała jeszcze w głębi łoży.

Podniosła się kurtyna.

Grano „Dom otwarty” Bałuckiego.

Wielohradzki nie znał tej komedii. Bywał w teatrze rzadko, nie mając ku temu środków. Pierwsze sceny nie uczyniły na nim wrażenia. Patrzył wciąż na plecy i na kark Muszki. Obok widział ciemne, silnie

przyglądzone włosy Stania i jego regularny, nic nie znaczący profil.

Nagle na scenę wszedł Fikalski.

Wielohradzki zaczął mimowoli zwracać uwagę na tę postać. Kafthan aż trząsł się ze śmiechu. Wciąż czegoś w afiszu szukał. Chodziło mu o dowiedzenie się, jakie imię chrzestne miał Fikalski. Wielohradzki zmusił go do milczenia.

Szelest papieru zaczął zwracać uwagę publiczności, a w tej chwili więcej niż kiedykolwiek Wielohradzki nie chciał, aby się nim zajmowano. Ten Fatalny Fikalski ze swym wodzirejostwem, z owym karnetem, w którym wpisane były wieczory i bale zajęte i zamówione naprzód przez Salomejki, Pieprzykiewiczów i inne tańczące osobistości, miał dużo analogii z sytuacją społeczną Wielohradzkiego. Tadeusz odczuł to i w jednej chwili zrozumiał. W stanie nerwowego rozdrażnienia, w jakim się znajdował, nadszłość jego wzrosła do potęgi. Cofnął się w głąb swego fotelu i gryzł gwałtownie wargi. Miał ochotę wypoliczkować, nie tylko Kafthana, który śmiał się konwulsyjnie, ale i Wojnę, który nie śmiał się wcale, i całą publiczność, która zdawała się z najwyższym zajęciem śledzić ową postać Fikalskiego.

A rozmiary sali? pytał na scenie Fikalski.

Wielohradzki patrzył teraz ukosem na Muszkę. Trzymała przy oczach aluminiową lornetkę, osadzoną na długiej rączce, i patrzyła na scenę. Stanio Po

zbitowski coś opowiadał i chichotał się cicho, wtórowała mu Orzecka, która już wróciła na przód łoży. Wielohradzki cierpiał męki Tantara. Był przekonany, że ci ludzie muszą mówić o nim i czynić porównanie pomiędzy Fikalskim scenicznym i ich „nadwornym wodzirejem”, jak czasem żartobliwie nazywano Wielohradzkiego. Rad był teraz z sąsiedztwa Kafthana, który go swymi wielkimi plecami krył i zaszuwał w cień. Z „końskiej łoży” skierowały się na balkon dwie lornetki. Wielohradzki, błądzący z gniewu, przysiągł sobie w tej chwili nie prowadzić więcej tańców. Muszka śmiała się teraz wraz z całą publicznością z krygów aktora grającego Fikalskiego. Wielohradzki zapytywał siebie: „Czy Muszka znała sztukę i czy nie umyślnie sprowadziła go do teatru, aby go ośmieszyć?” Nareszcie kurtyna zapadła. Wielohradzki chciał wstać i uciec z teatru, lecz prawie nikt z publiczności nie ruszał się z miejsca. Natomiast dostrzegł, iż Pozbitowski daje mu jakieś znaki i wywołuje go na kurytarz. Wielohradzki odął usta i, przymrużywszy oczy, patrzył na Stania z pewnego rodzaju arrogancją. Mścił się, jak mógł i umiał. Wreszcie Stanio, zamieniwszy kilka słów z Muszką, wyszedł z łoży i w kilka chwil ukazał się we drzwiach balkonowych. Śpiesznie powstał z miejsca Woj sa i Kafthan, pragnąc przywitać się z młodym „kasynowcem”. Lecz on minął ich, kiwnąwszy im obojętnie głową, i ku

Wielohradzkiemu zmierzał. Krzesło po za Tadeuszem właśnie opustoszało. Stanio zajął je i ku Wielohradzkiemu się pochylił.

Jak się masz!... Wielohradzki kwaśno odparł:

Dobrze! cóż to?... masz do mnie jakiś interes?

Tak!...chciałbym, ażebyś w przyszłym antrakcie wyszedł na kurytarz.

Wielohradzki w tej chwili wyobraził sobie, że to Muszka wydelegowała Stania. Uznał za stosowne podrożyć się.

Nie wiem!... prawdopodobnie wyjdę zupełnie z teatru po Estudiantinie... nudzę się!...

Mówiąc to, odwracał się plecami do Wojsy, który teraz stał się uśmiechnięty, odwrócony twarzą ku Staniowi, czekając dobrego słowa ze strony młodego arystokraty.

Za kurtyną zaczęły brzęczeć mandoliny.

Stanio powstał z miejsca i z jedną ręką w kieszeni od spodni kierował się ku wyjściu.

Miał maniery dziwaczne, nawpół rubaszne, nawpół dystygowane, i chwilami robił wrażenie stajennego parobka, przebranego w wykwinną odzież.

W każdym razie liczę na ciebie... po Estudiantinie wyjdź na kurytarz... będę czekał... wyrzekł, przechylając się przez poręcz ku Wielohradzkiemu.

Enfin, skoro ci tak o to chodzi!... wycodził przez zęby wodzirej.

Mówili sobie ty, gdyż pięć lat przesiedzieli w gimnazjum na jednej ławce i razem zdali maturę. Później, spotykając się ciągle w salonach, pozostali na stopie pewnej poufałości.

Stanio odszedł i Wielohradzki używał teraz w pełni rozkoszy zadowolenia, wynikającego z pogębienia Wojsy i Kafthana. Stanio zajmował pewne wybitne stanowisko pomiędzy złotą młodzieżą, był silnie protegowany w namiestnictwie i, przeskakując awanse, miał już miejsce c. k. komisarza. Przytem majątek wielki, dwie siostry wspaniale za mąż do Wiednia wydane i pewna umiejętność noszenia nazwiska. Wszystko to imponowało Wojsie i Kafthanowi.

Wielohradzki uczuł się trochę pokrzepiony na duchu. Wizyta Stania, to wywołanie go konieczne na kurytarz, pochodzące prawdopodobnie z inicjatywy Muszki, wzdęło pierś jego pewną dumą. Zepchnął więc znów łokieć Kafthana z balustrady i wysunął się naprzód, pod oświetlenie płonącego gazu. Muszka nie odwróciła się nawet, ale Wielohradzki nie czuł się tem dotknięty.

Czekał cierpliwie antraktu. Bawił się lornetką i od czasu do czasu oglądał paznogie. Wojsa zagadał do niego, pokazując mu w łoży drugiego piętra siedzące aktorki. Lecz on wzruszył tylko ramionami z pogardą

i rzucił bystre spojrzenie na tygrysie plecy Muszki. Na scenie studenci hispańscy brzęczeli znów na mandolinach, zrywali się, krzykali olle!.. i siadali z impetem na krzesłach. Za nimi chwiały się papierowe dęby, rozpięte na połatanych siatkach. Z jednej kulisy widać było wypomadowaną głowę jakiejś sługi, która się wysuwała z krzaka nadzwyczajnych róż i patrzyła na hiszpanów wylupiastymi oczyma.

Nagle jeden z hiszpanów podniósł się i zaczął tańczyć, bijąc się tamburynem po karku, po nosie, po głowie, po udach, po kolanach, po piętach... Szarpał się, rzucał, jakby zdjęty epileptyczną drgawką. Publiczność śmiać się zaczęła i bić frenetyczne brawo.

Piękno przemawia zawsze do dusz ludzkich...

Hiszpan wierzgał, rzucał się, tamburyno dzwoniło, mandoliny brzęczały. Nagle wszystko ucichło, hiszpanie uciekli, kurtyna zapadła. Antrakt się rozpoczął. Wielohradzki powstał i umyślnie nie śpiesząc się, powroli, wysunął się z balkonu.

Gdy wychodził na kurytarz, serce mu biło gwałtownie. Stanio już stał pod ścianą, tuż obok kółków z paltami, lecz nie był sam. Kilku kasynowców otaczało go. Zobaczywszy Wielohradzkiego, zbliżyli się ku niemu. Szybko Stanio wyłożył mu rzecz całą. Kasyno ma zamiar wydać piknik, chcąc odwdziżyć się za karnawałowe przyjęcia. Hrabia Dezydery daje do dyspozycji swoje apartamenty. Enfin, będzie to

bał w całym słowa tego znaczeniu. Chodzi teraz o to, aby Wielohradzki przyjął prowadzenie tańców i zajął się przyborami do kotyliona. Trzeba wymyślić jakieś figury, dekoracje, enfin, urozmaicić i uświetnić zabawę...

Otaczali go teraz dokoła wytworni, grzeczni, mówiący pomału i dobrze, zaokrąglonemi frazesami. Biła od nich jedynie woń doskonałej wody kolońskiej, i to użytej w niezmiernie dyskretnej dozie.

Wielohradzki, oszołomiony, porwany swoją manią, upomniał już o Fikalskim i o swoich postanowieniach.

A rozmiary sali? zapytał, marszcząc brwi i gryząc usta.

Stanio mu coś odpowiedział, lecz on nie dosłyszał jego odpowiedzi, tak go przed chwilą wypowiedziane przez niego samego słowa niemile targnęły.

Mimowoli powtórzył frazes Fikalskiego. Spojrzał na stojących dokoła mężczyzn, sądząc, iż spotka się z ironicznymi uśmiechami, źle ukrywanymi pod maską chłodnej grzeczności. Lecz oni zdawali się nie spostrzegać jego zakłopotania. Jeden tylko hrabia Charłupko, brat pięknej Orzeckiej, duży rozłosty blondyn o olbrzymich cygańskich źrenicach, patrzył z góry na Wielohradzkiego i zdawał się przeżuwać jakieś szyderstwo w złotych kędziarach swej brody. Wielohradzki próbował oponować.

Dlaczegoż ja?...pytał niepewnym głosem

dlaczego nie kto inny?., wierzcie mi, jestem zmęczony!.. Zresztą c'est une corve!..

Wiemy, wiemy!. ale nie możesz nam odmówić tej grzeczności.

Wielohradzki wobec tych rasowców, tak doskonale wychowanych i ułożonych, głoszących swój dobrobyt każdym ruchem, przejrzystością cery, krojem odzieży, nie śmiał nawet wyciągnąć postaci Fikalskiego trywialnej lalki mieszczańskiej zastawić się nią dla usprawiedliwienia swego wahania.

Rzucił jednak z nieśmiałym uśmiechem:

Cóż więc?., mam już tak na całe życie pozostać waszym... Fikalskim?

Lecz ci panowie zagłuszyli go protestacjami.

Cóż znowu?., oni poprostu proszą go o oddanie im najwyższej przysługi, wzięcia na siebie najważniejszej" części balu. Zresztą, tu niema porównań, to śmieszne, jakże można nawet mówić o Fikalskim z powodu ich prośby...

Wielohradzki, podbity, ujęty, uśmiechał się głupekowato.

Zresztą.. mon cher wyrzekł Stanio, ujmując go uprzejmie pod ramię musimy przecież wszyscy rozebrać pomiędzy sobą ciężar pracy, który z urządzaniem tego balu na uas spada. Ja zajmuję się dekoracją salonów, Charłupko winami, Bodrowski kolacją, Dezydery usługą słusznie, że ty tak

że z nami ten trud podzielisz. Entre nous, musi być zupełna równość pod względem pracy, inaczej...

Nie dokończył zdania, lecz owo entre nous podbiło do reszty Wielohradzkiego. Tak Stanio, miał słusność. Należało, aby każdy pracował wedle sił swoich i zdolności. Rozjaśniony już i rozweselony, przyrzekł wynaleźć nowe figury kotyliona. Prosił tylko o kilka dni czasu i credit illimite. Przyznano mu ów kredyt jednomyślnie, zastrzegając wszakże, aby nie chciał rozdawać damom dyademów sadzonych perłami i szafirami. Wielohradzki protestował... cóż znowu! wystarczy kilkadziesiąt łokci gazy tyleż kaszmiru i pomoc teatralnego dekoratora.

Ożywiał się i uśmiechał tajemniczo. Widząc jednak, że Charłupko, który w tej całej grupie uchodził za filozofa (czytywał w biurze Platona), patrzy na niego ironicznie, pożegnał się i powrócił na balkon. Wchodząc, prostował się dumnie i oczyma po sali wodził.

Łoża zajmowana przez Muszkę i Orzecką była pusta. Wielohradzki wychylił się i dostrzegł, że bukiet Muszki, lornetki, płaszcze wszystko znikło. Obie kobiety wyszły i odjechały na raut do księżnej Malenżyny. Tak przynajmniej zapewnił

go Kafthan, który zaszedł na chwilę do „końskiej łoży” i nasłuchiwał się plotek robionych w głębi przez całą paczkę starszych członków kasy. Jeden tylko Me

lunio, prosty, sztywny, ufarbowany, sterczał ciągle na swem krześle jak drogowskaz na pobojuwisku. Wielohradzki cofnął się w głąb i ze drzwi wejściowych patrzył na scenę. Rozpoczął się akt drugi Fikalski wprowadził swoją galerię „froterów” Wielohradzki ramionami ruszał. Może tam gdzieś u małych mieszczan zdarzają się takie typy Fikalskich, on jednak figur podobnych nie znał!.. Mimowoli prostował się, tors wydymał i przybierał ironiczny wyraz twarzy Charłupki. Obok niego stojąca bileterka, stara Matulowa, podobna do jakiejś poczciwej szewcowej w swej beżowej szarej sukni, czuła się sterroryzowaną pogardliwymi minami tego młodego pana”.  
Niesmak Wielohradzkiego wzrósł do potęgi, gdy weszła na scenę Ciuciumkiewiczowa ze swemi czterema córkami. Jedna z nich łudząco przypominała mu Tecię. Ten sam jersey czerwony z białą „kamizelką”, spódnica, poddarta z przodu i wlokąca się z tyłu, ta sama kredowa bladość twarzy i szeroko otwarte wielkie czarne oczy. Wspomnienie tej dziewczyny łączyło się u niego z przypomnieniem smutnej i tajemniczej egzystencji, jaką pędził w domu. Mimowoli wzrokiem pogonił w stronę łoży, w której niedawno jeszcze siedziała Muszka. W tej pustej przestrzeni jednak pozostało

jej widmo strojne, piękne, powabne i tak chłodem swym i spokojem ciągnące. Nagle Fikalski za scena przeraźliwie zaczął:

Grrrrrrande chaine!..

Wielohradzki oddał Matulowej lornetkę i uciekł z teatru.

### III.

Nie był to wszakże zły charakter, ani serce w nim nie przeszło w stan znieczulenia. Owszem miał serce i dość łatwe do sentymentu, a nawet do romantyczności. Lecz nazwisko, które nosił, dawne mienie stracone przez dziada, a do reszty

zaprzepaszczone przez ojca, było pierwszym fałszywym motorem jego postępowania. Nazwisko to brzmiało ładnie, pełno, szlachecko i domagało się nawet tytułu hrabiowskiego przydomka bodaj krótkiego, trochę rycerskiego, przypominającego topory na purpurowym polu, ręce z mieczami na lazurze obramowanym gronostajami paludamentu. I historia to była banalna napozór, to spadnięcie na bruk Lwowa tej wdowy po „obywatelu” z ładnym, zgrabnym chłopięciem. Z resztek wydartej od ostatecznego оголоzenia fortuny zaczęło się łatanie edukacji Tadzia, edukacji bez żadnego nakreślonego planu, ani z góry obmyślonego projektu.

Wielohradzka wiedziała, iż należy dziecko „dobrze wychowywać” i „wyształcić” a więc gimnazjum gimnazjum bezmundurowe, pełne pretensji do elegancji małych gogusiów, zaprawiających się na ławkach szkolnych do objęcia później roli „sztucerów”, „kibiców” i „gigerłów”. Wielohradzka ubierała syna swego dobrze, strojnie, czysto, zdejmując zeń tę wykwinną odzież, gdy tylko wszedł na próg domu, czyszcząc, cerując, łąając nocami całami. Chłopak, tak ubrany i noszący takie nazwisko, nie mógł przestawać z kolegami, noszącymi czapki z daszkiem i długie buty, lecz ciągnął, pchany instynktem i radami matki, ku Staniom Pozbitowski, Charlupkom, księżetom Malengom, zajmującym pierwsze dwie ławki w klasie. Chłopcy ci uczyli się dobrze, siedzieli cicho, nie krajali pulpitów scyzorykami i mieli czyste ręce z dobrze obciętemi paznogciami. Nie grali w „stalki”, nie kradli książek, nie chowali żab i kokonów w głębi pulpitów i nie brali udziału w ordynarnych farsach, urządzanych profesorom. Tadeusz, który miał charakter kobiecy, spokojny na pozór i lubiący czystość, porządek i piękno, szybko zbliżył się ku „tym z arystokracji”. Przyjęli go uprzejmie ze względu na nazwisko i piękne maniery. Tadek instynktem odgadł i zrozumiał różnicę, jaka była pomiędzy nim i temi dziećmi. Właśnie wówczas Wielohradzka, widząc, iż szczupły jej kapitał wyczerpuje się zupełnie, zabrała się

do krawieczyzny, starając się znaleźć sobie w tajemnicy kilka pewnych klientek, nieznających się pomiędzy sobą i nienależących do „towarzystwa”. Urodzona bowiem z bardzo rasowej rodziny, nie chciała, aby ktokolwiek wiedział o jej poszukiwaniu zarobku, wiedzona tym fałszywym wstydem, który był częścią jej charakteru. Ten wstyd pracy powoli przeszczepił się i w duszę Tadeusza. Widząc, iż matka kryje się ze swą krawieczyzną, nawet przed sąsiadami i osobami zamieszkującymi tę samą, co i oni, kamienicę, zaczął i on wstydzic się tej pracy. Z początku nigdy w szkołach nie mówił o swym domu. Później kłamał, podniecony tem, co słyszał z ust Charlupki, Pozbitowskiego i innych. Chłopcy ci mówili pomiędzy sobą o swych domowych stosunkach z wielką swobodą. Znali się pomiędzy sobą od dziecka i należeli do tej samej sfery towarzystwa. Wielohradzki sprytnie pochwytą! niektóre szczegóły i z nich zlepił i sztucznie budował dom fikcyjny, w którym niby to przebywał. Ci i drudzy, widząc go zawsze odzianym tak starannie, ułożonym dobrze, nie troszczyli się o resztę. Co więcej, Wielohradzki imponował im często pieniędzmi, które matka dawała mu na „drobne wydatki”. Była to jedyna wyższość, jaką miał nad swymi przyjaciółmi. Nadużywał więc jej, wyludzając od matki znaczne (jak dla dziecka) summy. Gdy skończył gimnazjum i zdał maturę, Wielohradzka

hradzka poradziła mu ucześnieć na... prawo, gdyż prawo według niej było o wiele dystyngowańsze niż medycyna. Lecz prędko dawnemi stosunkami zdołała wkręcić go do namiestnictwa. Była to według niej... karyera. Rzecz pewna, awansestarostwa... kto wie, przy sprycie, powierzchowności i stosunkach, gdzie zająć można!.. I roła już całe niebo doskonałości dla swego jedyńaka. Zachęcała go całą siłą do uprawiania dalej zawiązanym w gimnazyum stosunków. Wprowadziła się na ulicę zamieszkaną „dobrze”, aby Wielohradzki mógł dać swój adres bez zarumienienia się. Nie przyjmowali jednak u siebie nikogo, zostawiając się jej nieuleczalną i ciężką chorobą. Dniami i nocami szyla teraz, potrzebując wiele ze względu na wydatki, jakie pociągało „bywanie w świecie” Tadeusza. Lecz owo „bywanie” stanowiło dla niej wielką pociechę. Według niej stosunki! stosunki!.. to była podstawa karyery Tadeusza. Skoro Wielohradzki wyrobił sobie owe stanowisko wodzireja i zaczął być rozchwytywanym w salonach, ze względu na prawdziwie genialne zdolności w manewrowaniu tańcami; Wielohradzka nie posiadała się z radości. Bez najmniejszej logiki, bez chwili zastanowienia się, cieszyła się z owych „stosunków”, jakie syn jej wyrobił sobie, prowadząc mazury i kotyliony przy dźwiękach orkiestry. Dziwiła się tylko, że awansował powoli. Dlaczego?

przypisywała to brakowi jeszcze odpowiednich stosunków, lecz pocieszała się, iż to przyjdzie.

Tymczasem Tadeusz, w otoczeniu, w jakim przebywał, powoli wyrobił się na zgrabną lalkę, doskonale wygimnastykowaną, mającą pewien gust artystyczny w aranżowaniu tańców i poetyzowaniu figur kotylionowych. Próżność jego wzrosła, mózg przestał się rozwijać. Lecz próżność ta rozwijała się tylko w podwójnym kierunku, a mianowicie: w noszeniu wykwintnej odzieży i w królowaniu tanecznym podczas balów, a nawet najzwyczajniejszych „kręciołek”, na których boston zastępował kotyliona. Szło mu usilnie o zdobycie jaknajwiększej ilości orderów, lecz nie dbał, czyje ręce mu ten order przypinały. Kobiety w sali balowej istniały dla niego o tyle, o ile istnieją pionki, posuwane wprawną ręką gracza na kwadratach szachownicy. Było to jego „ciało baletowe”, którego on był mistrzem. Kokietera stroju, jaką roztaczał, była to kokietera kobiety, ubierającej się zarówno dla olśnienia kobiet, jak mężczyzn.

Zresztą kobiety nie zwracały nań zbyt dużej uwagi w salonach, Wiedziano, iż nie był bogaty, iż nie był epuzer: nie liczył się więc dla pań; a dla mężatek nie przedstawiał ponęty przewrotnego flirtu. Wiecznie biegający, ustawiający pary i krzesła, zaferowany, nie miał czasu na przedwstępne kokieterie.

Pierwsza Muszka wyróżniła go i pierwsza też to była jego bonne fortune'a, i to... królewska. Olśniony, nie wierzący samemu sobie, rzucił się na oślepa w otwierającą się przepaść. Lecz charakter jego uległ wielkiej zmianie. Poprzednio, powróciwszy z biura, zakreślał arkusze papieru nowymi kombinacjami tańców, olśniewał matkę i Tecię opowiadaniem o przetańczonych wieczorach, lub leżał na łóżku, czytając powieści historyczne.

Była to jego pasja, te powieści historyczne, które pożerał z ciekawością młodej mężatki, czytającej po raz pierwszy zakazane romanse francuskie. Wyobraźnię autora gnany, galopował na dzianetach i kruszył kopie lub z muszkietierami dokonywał cudów waleczności. Gdy wstawał później z łóżka i szedł do wypicia wieczornej herbaty, miał w oczach chętkę okrucieństwa i pragnienie dokonania jakichś nadzwyczajnych czynów. Chętka ta rozplywała się w parze buchającej z samowara i roztopiała się w maśle, którym Tadeusz grubo chleb smarować lubił.

Czasem jednak, nie mogąc, jak ongi rycerze, spadać z warownych zamków i niszczyć okolicznych pól, rzucał się jak jastrząb i terroryzował Tecię i matkę, szeleszcząc skrzydłami swych kaprysów. Lecz szybko, widząc, iż przebrał miarę, stawał się kobietą układną i miłą, uśmiechał się, przymilał i swymi błękitnemi, wypukłemi oczyma o przebaczenie prosił.

W tej ciasnej przestrzeni nędznego mieszkania był słońcem i chmurą, wszechwładnym panem.

Żył tak w ciepłym uczuciu matki i bałamuconej przez siebie dziewczyny, nie troszcząc się o prądy, które społeczeństwem wstrząsały. Nie zajmował się nawet polityką i rzadko czytywał dzienniki. Nie był nawet „karyerowiczem” i nie łasił się, nie prosił o awans. Wielohradzka od czasu do czasu rozniecała w nim chętkę „dojścia”, lecz szybko ta myśl sugiestywna gasła w tym ptasim mózgu, przysłoniętym gazą kobiecych kaprysów.

Nawet wybuchy jego gniewu były to półcienie, półtony. Od dziecka był to pastel delikatnymi barwami nakreślony. Próżność dzwoniła dokoła jego głowy, jak grzechotki tamburyny, które znosił do domu nad rankiem razem z innymi akcesoryami kotyliona.

Lecz z chwilą zbliżania się do Muszki, charakter jego zaostrzył się i pastelowe tony pociemniały nagle. Z początku zdziwiony, zdenerwowany tym zdziwieniem i niepewny, teraz szarpał się w jakimś kole tajemniczej zagadki, którą biała ręka panny Dobrojowskiej zakreśliła dokoła jego postaci. Nie kochał jeszcze Muszki, nie umiał jeszcze kochać, lecz biegł za nią, czując dwuznaczną rolę i grę w jaką ta dziewczyna z nim grać zamierzała. Lecz próżność jego szczególnie była tu podrażniona chorobliwie i, jakkolwiek strzegł się, aby nikt nie odkrył początku tej

intrygi, niemniej przeto miłość jego własna czuła się przyjemnie podnieconą. Tem więcej zatem rozumiał nagle kontrasty, w jakie bezustannie rzucała go fantastyczność panny Dobrojowskiej.

Mając niezmiernie impulsywny charakter, przejmował mimowoli ową nierówność postępowania i jak piłkę odbijaną rzucał ją na głowę matki i Teci. Lecz teraz były to już razy bolesne i kobiety zaczynały cierpieć dłużej i silniej. On pogrążony w swym egoizmie ładnego narcyza pół chłopca, pół dziewczyny, nie wiedział nic, wiedzieć nie chciał,



włócząc się teraz po ulicach, po kątach mieszkania, milczący, to znów nadmiernie i głupio gadatliwy, wyszukując powodów do gderania, do złości lub przeciwnie, objawiając nagle jakieś radosne uniesienia, które zakrawały na początki ataków nerwowych.

Wielohradzka z trwogą śledziła ten dzwoniący spazmatycznym śmiechem głos w powietrzu.

Ojciec Tadeusza był człowiekiem niezmiernie nerwowym; dziecko odziedziczyło poszarpane struny nerwów po ojcu. I był w tym chłopcu cały prąd wieku wspaniałego i cudownego w swych nierównych wątpliwościach, lecz prąd ten płynął głupio, smutno, bezwiednie, w ciele ładnej lalki koryto swe złościąc. Był to okaz „schyłkowca”, bardzo prosty, naturalny i nieskomplikowany zwyczajny nerwowiec o duszy kobiecej, z odcieniem silnego egoizmu ładnego mężczyzny, romantyk i fantaś, lubiący wojownicze le

gendy, świeże masło, frak ładnie skrojony i wytworne towarzystwo.

Nie miał żadnych potwornych ani zwyrodniałych zachcianek, dalekim był od gorzkiego pesymizmu, pomimo, iż bynajmniej nie był optymistą.

Posuwał się po szachownicy życia jak zbyteczny pionek, który jednak nieraz służyć może do zamaskowania pustego miejsca. Wiatr lotosu kołysał nim na prawo i lewo, matka usuwała mu z pod nóg przeszkody. Ze wspaniałych salonów wpadał nagle do nory czystej lecz biednej, nazwanej jego domem. Miał ciągle olśnienie krótkowidza, wtrąconego do piwnicy i wyrzuconego w snop słonecznych promieni. Nie miał czasu nawet zastanowić się nad swym położeniem. Był Twardowskim społecznym, zawieszonym między niebem a ziemią. Ave Maria ocaliło czarownika, Ave Maria pracy jego matki i próżność jej utrzymywała go na tych pasach tanecznych, które kołysały nim w społecznej przestrzeni. Przywykł do tego kołysania, i dopiero w chwili zbliżania się do Muszki zaczął szarpać się, nie czując gruntu pod stopami. Lecz było to jeszcze poczucie niewyraźne, do którego przyznać się przed sobą nie chciał. Przestał jednak czytać powieści historyczne i miał nierówny apetyt. Coraz częściej spoglądał na oświetlone okna kasyna, do którego na członka dostać się nie mógł. Zaczęło go już coś gryźć pod sercem i chwilami

zdawało mu się, że stoi na jakiejś trampolinie, z której ma skoczyć w przepaść. Wychodził wtedy na ulicę i szedł napuszony, z miną zblazowanego światowca. Daleką jednak w gruncie rzeczy była ta lalka od gangreny zużycia. Ciało było czerstwe, zdrowe, mięśnie gimnastyką taneczną wyrobione dusza młodego szlagona z pewnym pokostem wyszlifowanego światowca. Lecz zepsucia, zużycia, nie było śladu. Próżność, kokieteria specjalna, płytkość umysłowa, egoizm, zmieszany z tem, co ludzie zowią dobrem sercem, stanowiły podstawę charakteru Wielohradzkiego. Lekkość baletnika, uroda lalki, czar kobiecy, choroba woli, impulsywność dziwaczna, hipertrofia przy najzupełniejszym zastojumysłowym kryły ten charakter welonem chorobliwego wdzięku.

#### IV

Puściwszy w ruch walca tańczące koło, Wielohradzki usiadł na złożonym krzeselku i otarł pot z czoła.

Przed nim wirowała tęcza barw, układająca się w faliste linie, łączących się z sobą par. Orkiestra, ukryta po za lasem palm i oleandrów, grała dyskretnie, jakby nie chcąc płoszyć kręcących się w smugach elektryczności postaci kobiet, z których spływała ku ziemi biel lub błękit gaz, rubin aksamitów i szmaragd jedwabiu. Cały szereg okien szeroko otwartych pozwalał majowej nocy, czarnej i ciepłej, wpływać swobodnie, poruszać drganiem wiatru jedwabie kotar, zwieszających się ze ścian perlowo liliową kaskadą przepysznej tkaniny lugduńskiej.

Snopy róż i bzu o srebrnych odcieniach wędły teraz na głowach czterech marmurowych nimf, stojących w czterech rogach sali. Wachlarze elektrycznych lamp po nad pękami kwiatów rozkładały się

olśniewającą koroną, a u sufitu, na którym złościł si niezwykle plafon w stylu Ludwika XVIgo, bogaty i bogactwem tem przygniatający, śmiały się w purpurę odziane boginie z palmami w dziwacznie skróconych rękach. W oddali bielił się olbrzymi komin, biały marmurowy, szeroko otwarty, podparty dwoma potworami o mistycznie zasmuconych twarzach. I po nad kominem portret samego pana domu, Dezydyrego Dobrojowskiego, stryja Muszki, zdawał się dominować po nad całym tłumem gości. Elektryczność oświetlała silnie płótno, wydobywając zeń maskę twarzy starego kawalera, bladą, o rysach regularnych, cokolwiek zepsutych tłuszczem i opadnięciem mięśni. Ordery i wstęga błękitna, przepasująca kamizelkę, imponowały zdaleka.

Pod portretem, w wielkiej żardinierze z rueńskiego fajansu, kwitły heliotropy i białe gwoździki, tworząc u stóp dygnitarza cały parter delikatnych barw I była to dewiza życia tego człowieka: ślać pod swe stopy wdzięk i czar życia. Kobiety, kwiaty, przepych, uśmiechy, woń i barw tęcza otaczały go dokoła. On życie swe kończył teraz spokojnie, bez wstrząśnień i wrażeń, żyjąc wspomnieniami swych dawnych miłostek i czarem chwili obecnej, czarem platonicznym, kąpiąc się w atmosferze piękności i uśmiechach kobiet, których był powiernikiem i przyjacielem. Najchętniej oddawał swe wykwinicie urządzone apartamenty na usługi dam, i piknik dzisiejszy od

bywał się w jego salonach pod jego protektoratem i opieką. Poprzednio wydał Dobrojowski już bal dla tego samego składu towarzystwa, i dziś ze spokojnem już sumieniem i uśmiechniętą twarzą bawił „starsze panie”, zebrane w sali gobelinowej.

Wielohradzki uważnie patrzył na tańczących, jak wódz, gdy rzuca w gorączkę bitwy garść ulubionej swej gwardyi. Czynił to już poniekađ z nałogu, bo walcem kierować nie mógł, zwłaszcza, że walc ten był prostym, wiedeńskim, rozmarzającym walcem. Lecz oczy Wielohradzkiego mimowoli ciągnęły zawsze za kołem tanecznym. Przed nim, jak maryonетки zgrabne i strojne, kręciło się par kilkanaście i czarne postaci mężczyzn ostro odcinały się na tle jasnych tualet kobiecych. Tańczyły przeważnie panny, i barwy blade, spłókane, nieśmiałe przeważały. Gazy, muśliny, jedwabie i tiule fruwały jak skrzydła olbrzymich libelul, o cienkich kibiciach i kapryśnych a błyszczących ciałach. Gdzieniegdzie czerwony frak migał jaskrawo, lub światło migotało snopem iskier w złotych blaszkach, którymi naszyta była suknia Orzeckiej. Lecz natychmiast następowała cała fala bladego błękitu lub morze zieleni przeciętej różową barwą miękkiego fularu. Jaskrawe barwy tonęły w tej bladej powodzi. I tylko od sufitu złościły się sztukaterye i spadało ciężkie wyzłocenie olbrzymiej rozety, dokoła której boginie w purpurowych sukniach taneczne zakreślały

koło. I ci tu na dole, biali i bledzi, jak wianek opali, zdawali się być poranną mgłą, rozplywającą się wśród delikatnej zieleni palmowych liści, gdy u góry płomienne szaty, podkreślone złotem i zielenią, tryumfowały w apoteozie jasności elektrycznej wraz z portretem starego kawalera, gniotącym stopami usuniętego w cień dyplomaty klomb wielkich heliotropów, przeciętych bielą rozstrzępionych i ostro woniejących gwoździków.

Wielohradzki oderwał oczy od tańczących i zaczął błędzić niemi po sali, szukając Muszki.

Dostrzegł ją w chwili, gdy wychodziła z sali balowej do przyległego salonu. Zdawało mu się; iż stanęła we drzwiach i nie patrząc w jego stronę, zatrzymała się tak krótką chwilę na progu, jakby pragnąc, aby widział, że wychodzi do Petit Trianon, Porwał z się z miejsca, lecz pozostał tak pod ścianą, nie śmiać iść za tą dziewczyną, która dziś szczególnie działała na niego w dziwny sposób.

Stał i patrzył na drzwi otwarte szeroko, prowadzące do małego przedsiönka, z którego było wejście do saloniku i gabinetu, nazwanego, z powodu stylowego umeblowania, Petit Trianon.

Patrzył i wejść nie śmiał. Od samego początku wieczora Muszka unikała go widocznie. Nawet oczy ich nie zdołały się spotkać. I gdy już ogarniała go nerwowa rozpacz na widok tej lodowatej obojętności, uczył nagle w chaine w kadrylu gorący uścisk

nej ręki. Zanim ochłonać zdołał z doznanego wzruszenia, Muszka znikła w tłumie płynących, jak w deptaku, tancerzy. Po kadrylu zbliżył się do niej, pragnął zawiązać rozmowę, lecz ona szybko odeszła, zajęta jakąś tajemniczą konferencyą ze swym kuzynem, Jerzym Malenim, olbrzymem, łysym, pomimo młodego wieku? pełnym powagi i słoniowej dystynkcji.

Wielohradzki uczył się znów na rozdrożu i zaczął wmawiać w siebie, iż uścisk ów był tylko przywidzeniem jego zmęczonej fantazyi, i z goryczą śledził białą suknię Muszki i kask jej rudych włosów, w których światło zapalało rubinowe iskierki.

U pasa Muszka miała bukiet malw prawie czarnych, malw dziwacznych, o wielkich liściach, jak skrzydła nietoperzy, i te drżące delikatne płaty czarne o miedzianych blaskach żalobnie znaczyły się na atlasie białego pasa, jakim suknia Muszki ściśnięta była.

I suknia ta nie była suknią, ale raczej jakąś olbrzymią masą bieli, opadającej fałdami ku dołowi, falą tkaniny przezroczystej, a mimo to zazdrośnie kryjącej doskonałą jej piękność. Z ramion, z gorsu suknia ta zlatywała, obnażając atlas skóry i delikatne zarysy biustu, i zdawało się, że lada chwila draperya spadnie i Muszka wykwitnie z tej śnieżnej chmury, odziana jedynie w płaszcz swych włosów o miedzianych iskrach, które także rozlatywały się,

zaledwie spięte strzałą, na której rubiny monogram  
hrabianki krwawą gwiazdą światu głosiły.

I w ubraniu tem rozebrana, dziwnie czysta

a mimo to niepokojąca, Muszka miała w sobie spokój prawie anielski, pogodne spojrzenie zadowolonej ze siebie i ze świata istoty. Tańczyła mało i od czasu do czasu spoglądała w lustro. Z widoczną przyjemnością zatrzymywała wzrok na swej własnej postaci. Był to rodzaj niemej kontemplacji, cichej, lecz wymownej. Nie poprawiała jednak ani jednego włosa, nie nasuwała spadających z ramion, modą roku, rękawów. Stała przed lustrem i patrzyła na siebie spokojnie z pod przysłoniętych powiek. Widoczne było, iż znajdowała się doskonale piękną i harmonijną. Mówiła jeszcze mniej, niż tańczyła, i obchodziła salony, obnosząc swą twarz pięknego bożyszcza tak, jakby sama się niosła w palankinie, wysadzanej brylantami. Czasem, przechodząc, uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech sztuczny, odsłaniający jedynie doskonałą piękność drobnych zębów. I natychmiast twarz powracała do swej nieruchomości, gdy włosy, rozrzucone dokoła, tańczyły szaloną sarabandę, a suknia zsuwała się z ramion, jak szata tańczącej odaliski.

I tak dziwny i niepojęty był kontrast tej twarzy, marmurowo spokojnej, ze sposobem ubrania i całego układu postaci, iż on to wytwarzał właśnie ową niepokojącą i denerwującą atmosferę, która jak fluid

płynęła od tej dziewczyny i przenikała wszystkich, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Niepokój ten często zmieniał się w pewien rodzaj trwogi. Sztucznie wybielona twarz panny Dobrojowskiej, objęta ramą rudych włosów, zadziwiała i przerażała swoją pięknnością. Był to kwiat egzotyczny nieznan i tajemniczy. Chód jej ślizgający się, taneczny kołysał jej ciałem wiotkiem jak łodygą lilii. I twarz miała białosc lilii, lecz, nie tych rosnących na moczarach, ale sztucznie wychodowanych i centkowanych tygrysiemi pręgi. Biła od tej dziewczyny woń takiej lilii, pomieszanej z zapachem angielskich dzikich perfum jabłecznych. Chwilami woń ta była wprost odurzająca. Lecz zwykle tworzyła dokoła Muszki rodzaj niewidzialnego obłoku, ciągnącego jeszcze po zniknięciu kobiety swój tren komety tajemniczej, echa przeciągłego, błakającego się w cieniu, resztki piosenki dolatującej zdaleka, pod z zasłon mgły górskiej, opadającej białymi szmatami na powierzchnię drzemiących w rozpadlinach stawów skalnych.

Wielohradzki stał wciąż oparty o ścianę, niepewny i wahający. Czuł nerwową częścią swej istoty, iż coś go ciągnie do uroczych zakamarków Petit Trianon, a iść tam nie śmiał. Patrzył więc znów na tańczące grono i machinalnie liczył wirujące pary.

Chwilę zatrzymał swój wzrok na Orzeckiej, tańczącej ze Staniem Pozbitowskim. Kobieta ubrana

była w suknię bladoliliową, haftowaną złotem. Delikatne jej ramiona, ramiona porcelanowej lalki, ubielone lekko różowym płynem, wysuwały się całe z berty, opadającej szeroką falbaną aż do stanu, który, wbrew zwyczajowi, Orzecka nosiła wysoko, na wzór elegantek z czasów Restauracji.

Czarna sylwetka Stania, ubranego we фрак, krótkie spodnie i jedwabne pończochy czarne, odcinała się ostro na tle bladoliliowej gazy. Często szeroki szmat sukni centkowanej złotem owijał nogi tancerza i okrywał je chmurą niepewnej barwy. I wówczas widać tylko było tors Stania, tors wykwintny, elegancki, który zdawał się w tajemniczy sposób planować w przestrzeni.

I dalej Wielohradzki dostrzegał wciąż znajome od lat tylu postaci Charłupki, tańczącego z Lili Dalewską, Malewicza z Muszką Oleksińską, Sewera Drunickiego z jedną z księżniczek Hohensteigen Higmerringen. Pod ścianą stał Kafthan, odziany w czerwony фрак i czarne pończochy, rozkładając na tle srebrzystej materyi, okrywającej ściany, swe rozrosłe plecy niezgrabnego Niemca, wypierającego się swego pochodzenia. Stał pochylony, ciężki, smutny, śledząc przygasłymi oczyma tańczące grono. Tańczył źle, a bojaźń drwin „kasynowców”, którym służył za rodzaj ofiarnego kozła, nie dozwalała mu próbować sił i nabrać wprawy w tańcu.

Wielohradzki chwilę krótką patrzył na niego

przez odległość salonu, i nagle uderzyła go myśl zbyt dużej obecności Kafthana wśród tej „śmietanki” towarzystwa. Jego odosobnienie, brutalna jakaś żaloba, którą włókł za sobą pomimo jasnej barwy odzieży, miała w sobie coś tragicznego. Pchany przez rodziców, wiedziony chęcią próżności, pozwalał deptać po sobie falandze tych motyli o barwnych skrzydłach różowego Pierrota. Nie odrzucał nigdy żartów, które jak grad spadały na jego głowę. Bał się urazić kogoś z „kasynowców”. Przyjęto go na członka kasyna, gdyż przedstawił go hrabia Dezydery i dlatego, że w długie wieczory zimowe można było drwić z niego, robić plotki, bawić się jego kosztem i zabijać jego czas. On znosił to wszystko, pochylając ramiona z mrukliwą obojętnością chłopca lub pajaca, przyzwyczajonego do pocisków rozbawionego tłumu, i tylko oczy wielkie, wsunięte w głąb, ciemniały mu chwilami i nikły w tem pociemnieniu, jak oczodoły w czaszce trupa.

Nagle ze drzwi prowadzących do Petit Trianon wysunął się hrabia Dezydery. Jako gospodarza domu, pełno go było wszędzie. Zjawiał się nagle, jakby wypchnięty z pod ziemi niewidzianą sprężyną. Stanął na progu, oczy zmrużył i widocznie kogoś szukał. Już Kafthan uśmiechał się blado i oczekiwał na jakieś uprzejme słowo, gdy nagle hrabia minął go i wprost ku Wielohradzkiemu zmierzał.

Tadeusz oczekiwał go, prostując się i starając

przybrać jaknajkorzystniejszą pozę. Hrabia Dezydery był wyrocznią młodzieży lwowskiej. Wielohradzki cenił go niezmiernie ze względu na jego szyk, gładkość obejścia i umiejętność artystyczną wydawania pieniędzy; lecz dziś szacunek ten spotęgowało jeszcze pokrewieństwo hrabiego do Muszki. Hrabia bowiem zastępował Muszce ojca i był jej opiekunem.

Dezydery, manewrując pomiędzy tańczącymi, docierał powoli do Wielohradzkiego. W drodze znalazł uprzejme słowo i wdzięczny uśmiech dla każdej z wirujących dam, a Orzecką pobudził nawet do chichotu rzuciwszy jej w przelocie jakiś dowcip słodki, miły dla ucha, jak dźwięk menueta.

Wielohradzki miał ochotę podejść i ułatwić wten sposób Dezyderemu zbliżenie się, lecz zdjęty respektem nie śmiał wrywać się, bojąc się pomylić i wywołać wrazenie narzucania się swoją osobą.

Nareszcie hrabia stanął przed nim i z nadzwyczaj uprzejmym uśmiechem zaczął po francusku, zaokrąglając usta, dokoła których wygolona skóra układana w tysiączne zmarszczki:

Je viens de la part de ma niece...

Urwał, jakby sądząc, że Wielohradzki może nie umie po francusku, gdyż hrabia był niezmiernie sprytny i szybko w sytuacji każdego człowieka oryentować się umiał.

Siostrzenica moja phosi pana!... dodał już po

polsku, lekko r zmieniając na h phosi pana, ażebyś przyszedł do Petit Thianon. Złożyliśmy tam akcesoria kotylionowe i Muszka phagnie dać panu pewne informacye... I znów powtórzył:

Pewne infohmacye!...

Wielohradzki wyprostował się i skłonił głowę z wielką elegancją.

Parfaitement, monsieur le comte! odparł, starając się wymawiać jaknajlepiej każde słowoje suis aux ordres de mademoiselle votre niece!

Szapoklak do piersi przycisnął i czekał z szacunkiem, aż hrabia monokl swój przeczyści, włoży w oko i odejdzie, uśmiechając się raz jeszcze jamą swych ust, w których białeły drobnouchne zęby, zęby Muszki.

Wielohradzki dyskretnie zaczął się przeciskać w stronę drzwi, nie śpiesząc się, pragnąc odzyskać zupełnie równowagę, zanim stanie przed Muszką.

Po raz to pierwszy miał spotkać się z nią sam na sam od chwili owej karteczki, wsuniętej tak nieostrożnie do bukietu, i przysłania panny służącej z ustnem poleceniem bytności w teatrze.

Co mu powie? jak go przyjmie? czy wreszcie zdecyduje się rozjaśnić rzuconą przez siebie zagadkę.

Wielohradzki dochodził już do drzwi, gdy grupa, złożona z kilku osób, zatamowała mu drogę. Po nad głowami wszystkich ujrzał górujące, uparte czoło

Kafthana i usłyszał wybuchy dziwnego spazmatycznego śmiechu.

Staś Malewicz uczeplił się teraz Kafthana i wmawiał w niego konieczność tańczenia kotyliona z najmłodszą córką hrabiego X. Kafthan gryzł usta nerwowo i przestępował z nogi na nogę, skrzypiąc nowymi lakierowanymi pantoflami. Ta „najmłodsza córka” była jego postrachem i grozą.

Malewicz od kilku miesięcy wpadł na myśl wmawiania w Kafthana, iż owa „najmłodsza córka” umiera dla niego z miłości. Kafthan, w gruncie rzeczy niegłupi, poznał się na żarcie, lecz nie śmiał oponować, nie umiał nakazać milczenia rozbawionemu paniczowi. I wszędzie, ciągle i zawsze; czy to w biurze podczas godzin porannych, czy na nocnej inspekcji, czy w kasynie podczas obiadu lub przy zielonym stoliku, czy teatrze, lub na SchnitzelJagdziejwiecznie spadała na kark Kafthana owa „najmłodsza panna”. Znienawidził ją i przesuwiał się koło tej małej ormianki z bijącym sercem, schylając nisko głowę, lecz już Malewicz go dopadał i, chichocąc się cicho, urządzał mu ową tradycyjną „piłę”. Zwłaszcza, skoro przegrał w karty, rzucał się wtedy z całą zajadłością na swoją ofiarę. Wykwintny, wysmukły, przysłowiowo piękny, o stalowej barwy oczach i popielatych włosach, był graczem nałogowym i wojażował pomiędzy Lwowem a Krakowem, w wiecznej pogoni za „dobrą partya”, rozegrywaną na zielonym polu

karcianego stolika. Kafthan często rozpaczliwie śledził wynik gry i stał nieruchomo, wpatrzony w wachlarz kart, wykwitający z białej ręki Malewicza. Wiedział bowiem, że przegraną on zapłaci, przyjmując w milczeniu pociski ironii, szyderstwa, dziecinne żarty, które zdawały się sprawiać ulgę nieszczęśliwemu graczowi i uspakajać mu nerwy. Gdy zaś przeciwnie Malewicz wygrał znaczną sumę, Kafthan oddychał.

Wczoraj jednak grano w kasynie, i to grano wściekle „wielką partyę”. Malewicz zgrał się jak włoskie skrzypce. Zgrzytnął zębami raz jeden i chichotać się zaczął. Dawno już stracił niewielkie mienie, jakie posiadał. Żył teraz z gry i nadzieją dobrego ożenku. Porwał więc Kafthana w swe szpony i dręczył żartami. Wielohradzki, przechodząc mimo, postłyszał:

Musisz pan iść ją zaprosić do kotyliona... musisz pan... albo czekaj ja to za pana uczynię...

Kilka panienek zatrzymało się opodal i rozbawione, różowe od tańca, patrzyły na Kafthana z po za koronkowych wachlarzy. Pozbitowski wzruszał ramionami. Znajdował, że Malewicz nudzi wszystkich. Trwa to zbyt długo, należałoby już coś innego wymyślić.

Wielohradzki wsunął się szybko do małego saloniku, tak białego, iż zdawał się być cały ulepiony z cukru. W alabastrową dużą urnę wpuszczona lampa rozlewała dokoła łagodny śnieżny blask. W bieli tej świetlanej rozpląwały się delikatne malowidła ścian, panneaux o białych tłach, zarzucone

amorkami, różowymi jak zorze, i bukietami kwiatów delikatnych, chorobliwie białych, wiązanych karbowanymi błękitnymi wstążkami. Bukiety owe, aniołki, wstążki pięły się tak ku górze, ku sufitowi owalnemu, po którym na błękitnym tle nieba płynęła nimfa, poprzedzona armią gołębi, motyli i kolibrów. Pod ścianami, na silnie wywoskowanej podłodze, stały białe meble, pokryte kremową w pasy materyą. W głębi majaczył kominek z różowego marmuru; na nim statua wysmukłej Dyany. Po obu stronach dwie wazy z porcelany sewrskiej, dwa arcydzieła różowe, błękitne, białe, wyniosłe i w liniach swych czyste.

Wielohradzki spojrzął dokoła, lecz nigdzie nie dostrzegł Muszki. Drzwi od gabinetu stały otworem. Cicho, ślizgając się, aby zagłuszyć odgłos swych kroków, doszedł do tych drzwi.

W głębi dostrzegł, nie jedną, ale dziesiątki Muszek, które nieruchome, spokojnie, z rękoma niedbale zwieszonymi po obu stronach ciała, stały obok stosu akcesoriów kotylionowych. I wszędzie, wszędzie powtarzała się ta biała postać zwieńczona koroną włosów o połyskach miedzi.

Na odgłos kroków Wielohradzkiego Muszka odwróciła się powoli. Ten sam ruch powtórzyły też inne dziewczyny białe i tak samo piękne, jak ona, które, skąpane w potoku jasności, zdawały się być jej orszakiem, jej swiłą posłuszną na każde skinienie. I był to cały las tych młodych dziewczyn, bia

łych jak brzoza, a smukłych jak sosny, owianych zlatującą z nich draperią, z ciemną plamą ponurych malw w miejscu serca.

Wielohradzki drgnął wobec tego niespodziewanego zjawiska. Stał niepewny i wahający. Nie wiedział, w którą iść stronę i która z tych dziewcząt jest Muszką prawdziwą. Chwilę sądził, że to jest żart, to znów zaczął wątpić o swych zmysłach. Lecz Muszka, bez uśmiechu, spokojnie wyciągnęła rękę. I las rąk? jak w tajemniczym balecie, wyciągnął się nagle ku Tadeuszowi.

Et bien?...zapytała wreszcie dziewczyna. Głos ten ocucił i oprzytomnił Wielohradzkiego. Zrozumiał, iż gabinet miał ściany lustrzane i że

układ tych lusterek sprawiał owo fantastyczne złudzenie. Śmiejąc się, podszedł ku Muszce. Lecz ona cofnęła już rękę i najspokojniej zaczęła przerzucać przybory kotylionowe.

Do czego to ma służyć? spytała, ukazując cały stos welonów gazowych i lnianych burnusów zrzuconych na kanapkę w stylu empire, krytą żółtą materią.

Wielohradzki starał się odzyskać zupełną swobodę i być tak spokojnym, jak ta dziewczyna, która w tej chwili zdawała się troszczyć jedynie o przybory kotylionowe.

To moja tajemnica! odparł, usuwając w głąb welony i burnusy.

Och! wyrzekła Muszka zdawało mi się? że pan nie powinieneś mieć żadnych tajemnic przede mną.

Mówiąc te słowa, powoli podniosła na niego oczy i patrzyła mu wprost w źrenice swymi szafirami z pod długich fryzowanych rzęs o brązowym od cieniu.

Wielohradzkiemu zabiło żywiej serce. Po raz pierwszy Muszka uczyniła aluzję do tego węzła, łączącego ich pomiędzy sobą.

Chciał koniecznie odpowiedzieć coś, coby podtrzymało ową rozmowę, i w tej chwili nie znalazł nic mądrzejszego nad rzucenie banalnego zapytania:

Dlaczego?

Po wązkich ustach dziewczyny przewinął się cień ironii.

Bo... to my prowadzimy zawsze kotyliona... Tak, jak pan jesteś meneur de cotillon, tak samo mnie można nazwać menuese... a więc...

Urwała i wzruszyła ramionami.

Enfin, skoro pan chcesz grać ze mną w cachecache..,



Wielohradzki zaczął obracać szapoplak.

Ja?... wyrzekł nareszcie. Ja przeciwnie... pragnąłbym nie mieć nigdy przed panią żadnych tajemnic! Chciałbym, ażeby pani mogła czytać we mnie jak w otwartej księdze...

Muszka oparła się o poręcz kanapy i patrzyła na niego wciąż z odcieniem ironii.

Mais c'est de l'eloquence ! rzuciła niedbale a propos akcesoryów kotylionowych, podajesz mi pan zdanie wyjęte z jakiejś komedyi Ohneta... Dlaczego to pan czynisz?... Zemuą taka gra na nic się nie przyda. Jeżeli zapragnę słyszeć des phrases bien tourneés, zawołam Pozbitowskiego, Malewicza, mego kuzyna, i będę je mieć do przesytu. Nie lubię girland nawet na ścianach i saloniku, który poprzedza ten gabinet, znieść nie mogę. Nie wij mi pan więc girland z frazesów nigdy!... vous entendez?... jamais.

Wielohradzki uczył się bardzo skonfundowanym. Ów frazes przyszedł mu na usta bez żadnej chęci popisywania się elokwencją. Stał więc zmieszany, powiekami mrugał i usta w podkówkę ułożył, przybierając mimowoli minę, jaką czasem swą matkę i Tecię rozbierał.

Muszka patrzyła na niego długą chwilę i nagle wyciągnęła doń rękę.

O ile ja pana woię, gdy pan nic nie mówi!... wyrzekła, zaginając haczykowato palce, odziane w cieką białą rękawiczkę.

Wielohradzki rękę tę, której cale dziesiątki ujrzał znów w lustrze, pochwycił.

Milczę!.., szepnął, nieśmiało palce drobne Muszki ściskając.

Oui! oui! taisezvous!mówiła dziewczyna.

Lecz oczy mówić beda... szeptał Wielohradzki.

Dlaczego?.., oczom można także nakazać milczenie!

Jakby na potwierdzenie tych słów, odbiegła od niego oczami i Wielohradzki poczuł, że jej dłoń sztywnieje w jego dłoni. Chciał w jakikolwiek sposób przedłużyć tę chwilę rozbudzającej się sympaty i szybko zapytał:

Tańczymy razem kotyliona?

Ona roześmiała się nagle i całe słońce zabłysło w jej oczach, w dołkach jej bladych, matowych po liczków.

Naturalnie! odparła z niezwykłą żywością w głosie.

Ten głos, ten śmiech, to nagle ożywienie się ośmieliły i porwały Wielohradzkiego. Natychmiast więc postarał się o spełnienie niedyskretnej niezręczności.

Ja... byłem przed kościołem!.. wyszeptał, oglądając się na drzwi otwarte... byłem przed kościołem i w teatrze...

Ręce ich rozplotły się.

Muszka nagle wyprostowała się, uśmiech jej znikł, dawny spokój powrócił na jej bladą twarz.

A!.. odparła obojętnie i przez zaciśnięte zębykiedy pan byłeś w teatrze? na jakiej sztuce?..

Wielohradzki uczył, że traci znów grunt pod stopami.

Na „Domu otwartym”! wykrztusił, czerwieniejąc nagle.

Muszka ramionami wzruszyła i, mrugając oczyma, zaczęła w pamięci szukać.

„Dom otwarty”?, connais pas!., co to? balet? opera?... enjin... pen m importe!..

Odwróciła się szybko ku drzwiom i rzuciła okiem w głąb saloniku, w którym było słychać od pewnego czasu szelest sukni jedwabnej.

Marthe!.. zawołała estce toi?

Oui I sois tranquille ! dał się słyszeć głos Orzeckiej.

Muszka znów zwróciła się ku Wielohradzkiemu i wyniośle, zimno, obojętnie mówić zaczęła:

Czy nie znalazłeś pan przypadkiem kartki pergaminu w formie treflu?., wypadła mi z karnetu na wieczorze u Bodeckich... jeżeli ją pan znalazłeś... rendezla moi.

I głosem stanowczym dodała: J'y tiens!

Wielohradzki w milczeniu sięgnął do kieszeni fraka. Nie rozstawał się nigdy z tą kartką, na której zmienionym pismem nakreślone zacierały się już zupełnie literki.

Lecz nagle przyszła mu inna myśl do głowy.

Chciał naprawić swą niezręczność i pokazać się gentelmanem w oczach tej dziewczyny.

Zdaje mi się, iż kartkę tę z\_ starając się nadać głosowi ton obojętny pani za najpierwszem naszym widzenie Urwał i dodał, oglądając guziczki swoich rękawiczek:

Nie wiedziałem, że ta kartka do pani należy... i zapomniałem formy karnetu pani.

Muszka patrzyła na niego chwilę i cień ironicznego uśmiechu przesunął się po jej ukarminowanych ustach. Jakiś rodzaj wzdarcia litości dla tego człowieka, który kłamał w tak nędzny i źle udany sposób, ogarnął ją widocznie.

Zwróciła się ku stosowi welonów i burnusów i ujęła w rękę długi szmat białej gazy, nakrapianej srebrnymi gwiazdami.

Niech mi pan powie, do czego to będzie służyć? I znów głos jej utracił ostrość i brzmiał równo, melodyjnie, bez cienia jakiegokolwiek nerwowej nierówności.

Przed drzwiami słychać było wciąż szelest sukni Orzeckiej, która była tam widocznie na warcie przyjacielskiej i dyskretnej. W oddali konały tony walca, który dopływał do kresu.

Wielohradzki zaczął dawać Muszce potrzebne wyjaśnienia. Głos drżał mu lekko. Położył szapoklak i rozrzucił burnusy z mimowolną gracyą kupczyka. Ona patrzyła na niego jakby przez zasłonę, nie widząc prawie tych pięknych gestów.

Podbijał ją swo

ją urodą i nieokreślonym wdziękiem dziewczyny zamienionej czarodziejskim zaklęciem w pięknego i zgrabnego chłopca. A piękność ta różniła się od urody i sposobu noszenia tej urody Stasiów Pozbitowskich, Malewiczów, Bodeckich i całej falangi „końskiej łoży”. Wielohradzki miał w sobie całą masę kobiecości, miękkiego, kociego ułożenia, kokieterii i pewnej, mimo wszystko, nieśmiałości dziecięcej. Młodzież zaś z arystokracji, pomimo dystynkcji i pięknych manier, wygimnastykowana we wszystkich sportach, była dla niej, dla tej Muszki, tak samo jak oni, sportswoman'ki zamało subtelną i pociągającą.

Wielohradzki w tej chwili, z szerokim welonem gazy w obu rękach, wyciągniętych ruchem tancerki, podnosił ramiona, i przez te białe pajęczki zasłony widać było jego twarz drobną, bladą, usta różowe, delikatne, oczy błękitne, czoło niskie, równo zarośnięte, czoło cesarzowych rzymskich na statuach pleśnią wieków porośnięte. Mówił słodkim, harmonijnym głosem, iż panie welony te włożą na głowy i zostaną zamknięte w rodzaju maurytańskiego domku, panowie zaś, odziani w burnusy, jak arabowie spowici w biel draperyi, pukać będą do zamkniętych wrót domu, i panie kolejno (według woli) wychodzić mają, znajdując na progu tego, którego jej los za tancerza przeznaczył. Wskazywał na złożone w kącie dekoracje dom

ku, wielkie płótna rozpięte na blejtramach teatralnych, i Muszka śledziła gest jego ręki i błysk doskonale wyszlifowanego paznokcia; w którym się światło łamało.

I nagle podbita wyrzekła spokojnie:

Ja wyjdę wtedy, gdy posłyszę trzykrotne stuknięcie, i to w interwallach...

Wielohradzki chciał odpowiedzieć, lecz już wtargnęła do gabinetu Orzecka i, wzięwszy szybko w rękę jeden z welonów, zarzuciła go na głowę.

Śmiejąc się, przeglądała się w lustrze i szybko mówić zaczęła dość skrzeczącym głosem:

Tak! tak! należy się porozumieć, ażeby później nie było zamieszania... według mnie, ten, który prowadzi kotyliona, dzieli swą odpowiedzialność i pracę z damą, która z nim tańczy... wszak prawda?

Głos jej brzmiał jeszcze donośnie wśród masy lustrzanej, gdyż już na progu stanął kuzyn Muszki, Maleni, i olbrzymią postacią swoją zasłonił prawie drzwi całe. Wyborny „koniarz” w ubraniu balowem wyglądał jakby trzymał lejce i prowadził owe sławne breaki, mailcoach'e, z których był tak dumny. Na jego widok Muszka wyprostowała się, porzuciła trzymane w ręku welony i, rzuciwszy przelotne spojrzenie na Orzecką, ujęła ją pod rękę.

Teraz już wiem, o co chodzi... wyrzekła pan (tu wskazała brodą na Wielohradzkiego) wy

tlómaczył mi dokładnie; możemy wrócić do salonu. Viens, Marthe!..

I powoli, uczeplona u ręki Orzeckiej, która także przybrała minę seryo, przesunęła się koło Maleniego, zamieniając z nim dość wymowne i głębokie spojrzenie. Lecz Maleni widocznie opierał się czemuś, nie chciał wykonać jej rozkazu czy prośby, i ona sprytem swoim wyczytała to w jego oczach.

Nie zatrzymując się nawet, rzuciła mu przez ramię:

Oh! je vous en prie!, nie potrafię tańczyć inaczej... Je vous jure...

I odeszła, nie spojrzawszy nawet na Wielokradzkiego, który zmieszany nagłym pojawieniem się hrabiego (który mu szczególnie imponował) zaczął składać porozrzucane burnusy i szale. Maleni stał ciągle w progu, oparłszy się ręką o drzwi białe, dyskretnie złożone.

Był to olbrzym łagodny i spokojny, kryjący pod maską wybornego światowca jakiegokolwiek osobiste uczucia i wrażenia. Wysoko już postawiony u drabiny dyplomatycznej, miał w sobie ciągłą dyskrecję wzorowego dżentelmana, nieożywiającego się nigdy, lecz niepokazującego zarówno bezwzględnej na wszystko obojętności. Oczami Maleni mówił często i dużo (to, co mówić zapragnął), lecz słowa, które z ust jego wypadały, zdawały się być zawsze prze-

mierzone i zważone na wzorowej szali zastanowienia i rozsądku.

Obaj mężczyźni pozostali teraz sami i Wielohradzki uczył ten dziwny lęk i zmieszanie, jakie ogarniało go zawsze w obecności Maleniego. Ten typ arystokratykaryerowicza imponował mu, a człowiek nerwy mu szarpał.

Dla nabrania równowagi zaczął układać porozrzucane akcesorya kotylionowe; w lustrach jednak widział kilkakrotnie odbicie postaci hrabiego. Te wielkie blade twarze, powiększone jasnością łysiny i przecięte plamami czarnych oczu, zdawały się unosić w przestrzeni, jak potworne maski japońskie.

Nagle Maleni ręce w tył pod poły fraka założył i ku Wielohradzkiemu twarzą się zwrócił. Maski w lustrach mignęły i teraz kilka profilów bladych, niepewnych, rozlanych w fałdach podbródków, z nosami zadartymi, majaczyły w srebrnych taflach szklanych.

Hrabia otworzył kilkakrotnie usta i wreszcie wyrzucił z siebie krótkie, okrągłe frazesy, które niepomiernie zdziwiły Tadeusza:

Urządzam pojutrze fete champetre. U mnie, w Paprotce. Jechać będziemy mailami. Później radbym, aby tańczono. Czy zechcesz pan należeć do nas? Może objąłbyś pan dyrekcję tańców? Sądzę, iż możnaby urządzić kotyliona en plein air...

coś nowego, niezwykłego. Enfin, bref, to już zostawiam znanej imaginacji artystycznej pana.

Zawiesił głos i, nie zmieniając ani na chwilę pozy, dodał:

Czy możemy liczyć na pana?

Wielohradzki w pierwszej chwili miał ochotę odmówić, lecz nagle rozszłoniły się przed jego oczyma barwne horyzonty. Kotylion, płynący farandolą pomiędzy wyniosłymi cieniami drzew... Dekorator, baletmistrz, metteur en scene brał przewagę.

Skłonił się więc z powagą, mówiąc:

Je suis a vos ordres! Maleni pośpiesznie zaprzeczył:

To ja jestem na pana rozkazy! Zechciej je wydać, nie oszczędzając swej imaginacji. Będą wykonane z najwyższą skrupulatnością.

Wielohradzki ciągle się czuł zmieszany tą wielkopańską grzecznością.

Jutro... napiszę... i w namiestnictwie, jeśli hrabia pozwoli, moje plany prześlę.  
Parfaitement. Przyjdź pan sam do mego biura. Przynies swoje projekty. Sans discussion sa zatwierdzone.  
Lekko głową kiwnął.  
Au revoir et merci!  
Tadeusz nisko się skłonił i odetchnął, gdy Maleni zniknął z progu, na którym tkwił, jak potworny

drogowskaz, wysuwając naprzód swój tors jarmarcznego siłacza.  
Twarz Wielohradzkiego promieniała teraz radością. Muszka wyraźnie zaczynała zaznaczać swoją ku niemu sympatyę. Jakiego to rodzaju była sympatya, o to Wielohradzki się nie troszczył. Brał to, co mu podawano, czując się szczęśliwym z tych królewskich okruchów. Pełen więc różowych myśli wyszedł z gabinetu. W progu saloniku spotkał już całe grono panien, których białe, liliowe, seledynowe sukienki rozsypały się w przestrzeni jasnych ścian, jak nagle rozwiany bukiet, złożony z cieplarnianych kwiatów. Szczebiot pusty i dźwięczny zaszemrał razem z szelestem wstążek i szybko poruszanych wachlarzy. Był to cały „gołębnik”, wypuszczony nagle na wolność i porwany w siatkę kwieciami zaróżowionych ścian Petit Trianon'u. Dziewczyny delikatne, wysmukłe odziane lekko, powiewnie ślizgały się atlasowemi pantofelkami po lustrzanej tafli woskowanej podłogi lub siadały, rozwiewając dokoła fałdy białych sukien, na fotelach pociągniętych białą lanką i wybitych białą w kremowe pasy materyą. I wszędzie delikatne profile rysowały się na tle girland, z róż i niezapominajek splecionych; koronkowa złota piana włosów, jak piana czary szampana, biła jasną aureolą w tajemniczym półcieniu płonącej w alabastrowej kolumnie lampy.  
Muszki, Musie, Minusie, Maniusie, umitrowane,

bez mitry, z koroną o dziewięciu lub siedmiu perłach przesuwają się w tej bieli, jak damy dworskie Maryi Antoniny, i tylko brakło im panier'ów i wieńców róż księżnej Lamballe.  
Lecz sto lat minionych nie wywarło wielkiej zmiany w układzie figur i mózgów tych wykwintnych lalek, stworzonych na przetańczenie wiosny życia bez troski o chleb powszedni. Nie zwróciły uwagi na przechodzącego Wielohradzkiego, zajęte całe studyowaniem swej własnej nicości. Przeglądały się w lustrach oprawnych w wązkie białe ramy i wydobywały z ukrytych kieszonek małe pudełeczka z pudrem. Znikały na chwilę w obłoku welutyny i pojawiały się znów z porcelaną lwarzy, przygaszoną delikatną, dyskretną osłoną.  
Wielohradzki nie szukał pomiędzy nimi Muszki. Wiedział, iż hrabianka trzyma się zawsze zdaleka od swych rówieśniczek i rada przestaje w towarzystwie młodych mężatek, przysłuchując się ze spokojną, marmurową twarzą ich lekkiej i dowcipnej rozmowie.  
Zwrócił się więc ku orkiestrze, chcąc dać szefowi niektóre wskazówki, gdyż uroczysta godzina kotyliona zbliżała się i obecnie prawie całe towarzystwo, podzielone na małe grupy, zajęło stoliki w sali bufetowej i przy dźwięku kryształów i srebra w powodzi światła i kwiatów spożywało stosy wytwornych potraw i całe strumienie wina.

Tylko „panienki”, jak zawsze eteryczne, objadłszy się cukierkami i opiwszy oranżadą, ze względu na zbyt ściśnięte gorsety, uciekły do Petit Trianon'u.

W salonie krzątał się Wielohradzki, ustawiając krzesła, wydając służbie dyspozycje, układając akcesoria kotyliionowe w roga, sali, odgraniczonym dwoma haftowanymi parawanami.

Niedaleko, koło ściany, ponury i tragiczny stał Kafthan, chmurnie wpatrzony w ziemię. Malewicz drwił dziś z niego bez litości, a Pozbitowski, Bodecki i inni dopomagać mu zaczęli. Perwienusz odcinać się nie śmiał, lecz teraz przetrwał z domieszką żółci wszystkie usłyszane ironiczne przycinki, i karmił się nimi w milczeniu, jak trucizną, którą przecież pił dobrowolnie i której nawet poszukiwał.

Wielohradzki, przebiegając mimo, spojrzął na tę olbrzymią postać, stojącą samotnie na tle jasnego obicia.

Czemu pan nie idziesz do bufetu? zapytał, czując nagłą litość nad tą wyfraczoną niedolą, tak chmurną wśród blasku światła i odgłosów śmiechu, dolatujących dokoła.

Lecz Kafthan nie odpowiedział ani słowa, pogrążony cały w upartym milczeniu.

Na środku salonu, w białe, czarne i pomarańczowe pregi, stoi domek tekturowy z okienkami zakra

towanymi w maurytańskim stylu. Kilka olbrzymich palm wyrasta z posadzki, z mgił mchu, i wysoko rozkłada swe wachlarze liści ciemnych i poszarpanych. Dokoła domku krąży grono Arabów, odzianych w długie burnusy i zawoje dziwacznej formy. Z pod burnusów od czasu do czasu wysunie się noga, odziana w lakierowany trzewik i czarną pończochę jedwabną, lecz szybko niknie, i Arabowie krążą po woskowanej posadzce, wśród palm i mchu tajemniczo, w takt dziwacznej, współsennej melodyi.

Koło wrót domku stoi Wielohradzki, odziany tak jak i inni tancerze, lecz burnus jego jest cieńszy, delikatniejszy, zawój ułożony w bardziej artystyczne formy. Na ramieniu ma pęk róż bladych, niepewnej barwy, i kwiaty te kładą poetyczną nutę w surową całość klasycznego stroju. Delikatna jego twarz występuje jeszcze delikatniej wśród tej śnieżnej bieli, wyrafinowaniem kokieterijnym; turban jego, cokolwiek z czoła zsunięty, odsłania dokładnie jego ładne, regularne rysy.

I co chwila z grona tancerzy występuje jeden i, doszedłszy do drzwi domku, puka i usuwa się na bok. Wówczas otwierają się powoli drzwi i na progu zjawia się postać kobieca, osłonięta welonem gazowym w duże srebrne gwiazdy. Nie odsłaniając owej zasłony, podaje rękę tancerzowi i gdy drzwi zamkną się z powrotem, odchyła welon i ujawnia

ramię araba, odsuwa się na bok, gdzie stoją już inne, związane wypadkiem, pary.  
Gra ta budzi ogólne zainteresowanie. Ze wszystkich salonów pościągano, aby wiedzieć tę nową figurę kotyliona.  
Hrabia Dezydery wprowadził starą hrabinę Bodecką i usadził ją na wygodnym fotelu, pozostając przy jej boku.  
Wielka dama jest głucha, więc hrabia usiłuje krzyżeć, nie przekraczając miary dystynkcyi, i tłumaczy jej cel owej budowli tekturowej, przypominającej dekoracye pantomin, grywanych na arenie cyrkowej.  
We drzwiach sali balowej tłok panuje nie mały. Wszyscy starsi mężczyźni przyszli, zwabieni dziwacznością piosenki arabskiej, którą gra orkiestra z akompaniamentem dzwonków, tryangłów i tympanów.  
Wielohradzki tryumfuje. Ogarnia okiem cisnące się tłumy i czuje się w tej chwili panem sytuacji.  
Przesadza ważność swej roli wodzireja. Sam otwiera drzwiczki domku i, podając z gracyą rękę wychodzącej damie, oddaje ją delikatnie i ostrożnie, jak bukiet szklanych kwiatów, czekającemu na nią tancerzowi. Z radością widzi zadowolenie na wszystkich twarzach, gdyż kostiumy podbudzają zawsze komedyancką stronę, drzemiącą w duszy każdego człowieka. Wielohradzki prostuje się dumnie i zaczyna mrużyć oczy i gryźć usta. Widzi, że Muszka

jeszcze nie wyszła, czuje, iż ona jest tam, ukryta, czeka na dany znak, i że on, Wielohradzki, potrzebuje tylko uczynić jeden gest, aby przywołać do siebie tę dumną i piękną dziewczynę.

Wszyscy tancerze mają już swe tancerki. Biel welonów i burnusów zaściela całą przestrzeń salonu.

Wielohradzki zbliża się do domku i trzykrotnie, słabo, dyskretnie uderza we drzwi. Otwiera je sam natychmiast i odsuwa się cokolwiek.

Na progu ukazuje się Muszka.

Wbrew przepisom, hrabianka ma welon odsłonięty i prześliczna jej twarz ukazuje się nagle w obłoku białej gazy i w srebrnej koronie z gwiazd, jak nieziemskie zjawisko.

Ręce, splecione na piersi, przytrzymują fałdy welonu, który ją otacza przezroczystą smugą białą, jak mgła poranna.

Wiedziona instynktem kobiecym, przed włożeniem welonu przyglądała falujące włosy i podciągnęła skromnie opadające ramiączka sukni. W tych ciemnych pasmach włosów, w których nawet złoto iskier wygasło, twarz jej nabiera dziwnego uroku dziewczęcego, niewinnego wdzięku.

Stoi chwilę nieruchoma, czując, że wszystkie spojrzenia biegną ku niej i dziwią się tej niesłychanej przemianie, lecz już Wielohradzki zbliża się ku niej i rękę swą wyciąga.

Muszka podaje mu swą rękę, nie patrząc na niego,

rozmarzona i w pół senna, zasłuchana w melodyę arabską, kołysankę tęskną i porywającą.

Wielohradzki daje znak muzyce, i nagle kołysanka zmienia się w walca, który chwilę drga w powietrzu nieśmiało, jak nagle uwiecznione echo, i powoli przechodzi w taneczne tempo.

Arabowie ujmują w pół swe odaliski, w mgłę i gwiazdy spowite.

I zaczyna się wie szereg srebrnobiały, rozkołysany namiętnie, śnieżny w potokach elektryczności, okrążający, jak wał śniegu, mury domku.

Burnusy wiewają, welony srebrzą się, iskrzą, jak szmaty mgły porannej, rozjaśniane morą nagich gorsów i ramion lub złotem włosów, w których teraz światło migocące zapala iskierki.

W tej bieli, w tym delikatnym szumie wirujących tkanin, płyną powoli złączone pary rozbawione, rozflirtowane, uśmiechnięte, i tylko teraz ciemne wachlarze liści palmowych wznoszą się tryumfalnie, wykwitając w swej apoteozie, jakby z masy skrzącego się śniegu i kołyszącego się lodu.

Dokoła rozległ się szmer uwielbienia. Ta biel, te welony, te gwiazdy płynące na skrzydłach gazy, ta odzież malownicza i wdzięczna tworzyły całość artystyczną i ciągnącą oczy, przyzwyczajone do banalności fraków i balowych strojów kobiecych. Tu i owdzie rozległy się oklaski. Hrabia Dezydery wołał: Bhavo bhavo!.. wtóro

wała mu stara hrabina Bodecka. Czar roztaczającej się dokoła przezyczystej bieli zaczynał porywać wszystkich. We drzwiach duszono się literalnie.

Wówczas Wielohradzki uczył wielką dumę, rozsadzającą mu piersi. Oklaski te, które tańcząc słyszał, bezwarunkowo należały się jedynie tylko jemu, gdyż to on ubrał te maryonетки i w ruch puścił. Tryumf ten upajał go. Metteur en scene promieniał w nim w całej pełni. W objęciach trzymał Muszkę, która w tej chwili wydawała mu się nadziemską istotą, i czuł, jak ręka hrabianki ścisnęła delikatnie jego palce, pomimo, że oczy błędziły wśród tłumu przesuwających się przed nią postaci.

Lecz Wielohradzki na ten szczegół nie zważał; upojony, oczarowany, tańczył wciąż, mając w objęciach Muszkę, a przed sobą białą smugę wirujących par i mgłę rozwiewanych welonów, których gwiazdy, jak srebrne szlaki tajemnicze i urocze, migotały przed nim z uśmiechem wschodzących jutrzeńek.

## V

Wielohradzka zaczęła być na seryo o syna niespokojną.

Powróciwszy z pikniku, zamknął się on w swoim pokoju, gwizdał, nucił był w dobrym humorze, lecz wbrew przyjętemu zwyczajowi nie pił barszczu i nie zjadł sałcsztangi, którą mu Tęcia przyniosła.

Poszedł do biura, mając pod pachą portfel pełen papierów, i wróciwszy z biura, zasiadł do obiadu jedynie dla formy.

Nie jadł ani rosółu, ani mięsa, ani mizeryi, tylko wciąż po obrusie jakieś kółka i gzygzaki kreślił, mrużąc półgłosem:

Dwie czternaste pary!..

To znów liczył coś na palcach, nuciąc, gwizdząc walce i polki, raz nawet krzyknął głośno:

Arretez!.

Wielohradzka nigdy nie widziała go w tak gorączkowym usposobieniu. Wiedziała, iż układał fi



gury i kombinacje, lecz ta gorliwość i pośpiech, z jakim pracował, zaczynały ją niepokoić.

Jedz, Tadziu!.. prosiła zupełnie z siłą opadniesz,..

Lecz on uparcie głową kiwał.

Nie! nie!., może później... teraz mam pilną robotę.

Na wszystko jest czas!odparła Wielohradzkateraz powinieneś jeść obiad... proszę cię!..

Nie!., gdyż nie mam ani chwili do stracenia upierał się Tadeusz jutro parti de plaisir w Paprotce... prowadzę tańce, nie mam jeszcze figury nowej wymyślonej. Żadnego clou!.. A rozumie mama, iż po wczorajszej figurze arabskiej muszę wykomponować coś niezwykłego. Sukces obowiązuje...

Nadymał się ciągle, nie mogąc zapomnieć szelestu braw, które do tej pory szumiały w jego uszach.

W Paprotce? spytała Wielohradzka.

Tak, u Maleniego! rzucił niedbale Tadeusz.

U Maleniego?..

Tak!..

Lecz nie mógł długo zachować obojętnego tonu. Radość tryskała mu z oczu. Szybko porwał matkę za rękę.

Ha?., co mamuś na to?.. Tadzio zaproszony do Maleniego?.. będzie fortancerował!.. Co mama na to?..

Wielohradzka rozradowała się szczerze. Pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

Dzięki Bogu!.. wyrzekła dzięki Bogu, zaczynasz już wchodzić na drogę do kariery... Maleni to gruba ryba... jeżeli zechce, może cię zaprotegować... możesz awansować...

Wielohradzki machnął ręką.

Ech!., ja tam o to nie dbam. Zostawiam to Charlupce!.. Teraz chodzi mi o co innego. Widzi więc mamcia, że mam nielada ciężar na swoich barkach.

Widzę! widzę i cieszę się! Czy zechcesz, ażebym sprzątnęła ze stołu i przyniosła ci papier i pióro?.. Będiesz tu pracował..

Lecz Wielohradzki wyciągnął się na krześle.

Dziękuję, mateczko!.. wyrzekł powoli. Chcę trochę wypocząć... Nie uwierzy matuś, jak taka praca umysłowa męczy...

Wielohradzka pokiwała głową i szukała w myśli łatwego tematu do rozmowy, który pozwoliłby wypocząć spracowanemu mózgowi wodzireja.

Z kim tańczyłeś wczoraj kotyliona? spytała.

Z Muszką Dobrojowska.

A która z panien była najpiękniejsza?

Muszka Dobrojowska.

A najładniej ubrana?

Muszka Dobrojowska.

Powstała z krzesła i wyniosła, majestatyczna, blada w obramowaniu swych siwych włosów, zaczęła zbierać salaterkę z mizeryą i półmisek z mięsem ze stołu.

A zresztą... dodała? zatrzymując się nagle tuż przed synem i kładąc mu rękę na ramieniu czy ty wiesz, co ci jeszcze Bóg w przyszłości dać raczy?... Jesteś jeszcze dzieckiem... całe życie przed tobą... Masz pełne prawo do ożenienia się bogato, z panną z dobrego domu, słowem, możesz zrobić... karierę!

Wielohradzki podniósł na matkę swe wielkie, błękitne oczy.

Och! wyrzekłnie myślę o tem nigdy!..

To źle! odparła Wielohradzka. Bywając w salonach, powinieneś mieć na celu swą przyszłość, a tak piękny, elegancki, z dobrem nazwiskiem chłopak nie może przesunąć się niepostrzeżony... Pamiętaj, co ci mówię! Masz zupełne prawo do zrobienia świetnej partyi. Niech to przekonanie nie odstępuje cię ani na chwilę...

Nagle w kuchence zaruszało się coś koło komina.

Czy to ty, Teci? spytała Wielohradzka.

Tak, ja, proszę pani! odparł po chwili cienki głosik dziewczyny.

Co tam robisz?

Grzeję żelazka!

Nie potrzeba... czy babka już ubrana?

Tak, proszę pani!..

Chodźże tutaj, co tam robisz jeszcze w tej ciemnej kuchni?

Po chwili na progu drzwi ukazała się Tecia, ubrana w szkocką bluzkę i czarną spódniczkę wełnianą. Głowa jej aż lśniła od jakiegoś olejku i włosy piętrzyły się wysoko, na czubku spięte całą baterią szpilek z celluloidu.

Babcia... czeka! wyrzekła nieśmiało dziewczyna.

Wielohradzka spojrzała na nią ze zdziwieniem i nagle, przypominając coś sobie, uderzyła się w czoło.

Ach! tak!., tak!., powiedz babci, że natychmiast przyjdziemy. Idź naprzód!

Tecia zniknęła we drzwiach kuchenki. Wielohradzka zbliżyła się układnie do syna.

Mój Tadziu!.. wyrzekła powoli dziś imieniny Teci... możebyśmy poszli na chwilę do Pikniewiczowej ..

Wielohradzki wzruszył ramionami.

Ani myślę!., to stara plotkarka.

Ależ mylisz się!.. tłumaczyła matka. Zresztą pomyśl, dawna nasza sąsiadka, stara kobieta... czeka na nas...

Zawahała się chwilę, wreszcie dodała dość szybko:

Zrób to dla mnie!., proszę cię!.. Tecia jest mi wielką pomocą w mej pracy! Dziewczyna nie

zmiernie chętna i zręczna... Ja się starzeję... często ona pracuje za nas obie... Mój Tadiusiu!..  
Wielohradzki powstał i kierował się do swego pokoju.  
Dobrze! dobrze!., fraka przecież chyba nie włożę...  
Nie! nie!., weź anielez, to wystarczy.  
Anielez?.. co też mania mówi!., pójdę w żakiecie...  
Lecz Wielohradzka znów prosić zaczęła.  
Mój Tadiusiu!., zrób to dla mnie!.. Pikniewiczowa może się obrazić!., żakiet w dniu imienin!.. Mój Tadiusiu!..  
No dobrze!., dobrze!.. zabrzmiał z po za drzwi głos Tadeusza wezmę anielez, tylko ten stary, bez aksamitnego kołnierza...  
Dokoła stołu, nakrytego serwetą siatkową, zasiadło całe towarzystwo.  
Na stole znajdował się tort, biedny tort biszkoptowy obłożony cieniuchnemi plasterkami smażonego tataraku. Na środku tortu różowiła się cukrowa róża. Obok, na tacy. kieliszki, butelka wina i korkociąg i kilka małych talerzyków, na których srebrzyły się łyżeczki.  
Pociągając wiecznie zakatarzonym noskiem, kręcił się dokoła stołu Felek w zbyt krótkim świątecz

nym garniturze. Na kanapce włosieniem pokrytej Wielohradzka w jedwabnej sukni i Pikniewiczowa, staruszka zmarszczona i chuda, w dużym czepku z fioletowymi kokardami. Dolna jej szczęka była w ciągłym ruchu, tak, jakby Pikniewiczowa w ustach miała prowizye orzechów. Po za tem była to staruszka dość miła, o spłowiiałych zielonych oczach, dystygowana w ruchach i sposobie wyrażania się, lecz wiecznie rozboleła i rozplakana. Wzdychała często i do tej chwili nie mogła przetrwać ruiny, w jaką ją zięć, a ojciec Teci i Felka, wpędził.  
Obok matki, na fotelu bezstyłowym i ciężkim, przypominającym brak gustu drugiego Cesarstwa i krynoliny, które się weń wciskały, siedział Wielohradzki, znudzony i myślą odbiegający z tego niewielkiego mieszkania, w którym panował płaczliwy smutek, siatkowe firanki i patarafka ze strzyżonych kawałeczków włóczki.  
Chwilami zatrzymywał wzrok na siedzącym naprzeciw niego mężczyźnie. Był to wysoki blondyn, czerwony, z twarzą świecąca od potu, jak lakierowana lampa. Ubrany odświętnie w długi surdut, miał w ręku kapelusz z dużemi kresami. Pikniewiczowa traktowała go uprzejmie, zwysoka, z grzecznością wielkiej damy.  
Przedstawiając go Wielohradzkim, wyrzekła płaczliwie:  
Pan Janczewski!..

W błękitnych źrenicach mężczyzny nie znalazła już ani śladu sympatii, tej przelotnej fantazyi, którą od lat dwóch czasem, w chwili dobrego humoru, przewijała się i ciągnęła ją w zastawione sieci.

Natomiast instynktem kobiecym odczuła zimno zupełne i pewien rodzaj estetycznej odrazy. W jednej chwili zrozumiała, iż była niezgrabną, źle ubraną, źle uczesaną, że Tadeusz nudził się i z grzeczności prostej i banalnej siedzi tu, przy tym stole około tortu i naprzeciw babki, która znów z Wielohradzka zapuszcza się w rodowody i wymienianie koligacji znaczniejszych rodzin arystokracji galicyjskiej. Zwróciła się do stołu i znów, ukradawszy kawałek tortu, położyła go na talerzu. Obojętnie skierowała się w stronę pana Janczewskiego, który napełniał gorliwie stojące rzędem kieliszki.

Proszę pana! wyrzekła dziewczynka, podając ran talerzyk.

Janczewski pośpiesznie postawił na stole butelkę

i talerzyk pochwycił.

Ślicznie dziękuję! wyrzekł zmieszany, lecz pomimo zmieszania wzrok w twarz Teci zatapiajmy.

Lecz ona odwróciła się od niego tak, jak przed chwilą odwrócił się od niej Tadeusz, i nagle osowiała i zmartwiona usiadła na brzeżku krzesła, miętosząc w czerwonych rękach wstążkę, którą bluzka jej w pasie przewiązana była. Obok niej Felek zapy

chał się kawałkiem tortu. Lecz babcia Pinkiewiczowa spójrzała na wnuka i natychmiast zawołała:

Teciu! pokaż państwu, jakie to powinszowanie Felek wykaligrafował.

Chłopak, przyzwyczajony do popisów, jak uczona małpka, dojadł spokojnie resztę tortu i bladymi oczami śledził siostrę, która, powstawszy, podeszła do komody i usiłowała otworzyć szufladę.

Nie udawało jej się jednak. Komoda była ciężka, staroświecka, massive mahoniowa.

Pan Janczewski rzucił się do pomocy; mimowoli Tadeusz powstał i zbliżył się także.

Niech pani pozwoli!..

Obaj przemówili równocześnie, stojąc po obu stronach klęczącej przy szufladzie dziewczyny.

Ona, na sekundę, znalazła się pomiędzy nimi dwoma i przeszło ją gorące uczucie, jak gdyby jej kto kark wrzącą wodą oblewał. Bezwiednie prawie zwróciła się w stronę mechanika.

Proszę pana! wyrzekła, powstając i miejsca mu przy komodzie ustępując.

Tadeusz powrócił na swój fotel i teraz jadł tort delikatnie, wybrednie, trzymając łyżeczkę estetycznie i odsuwając na bok tatarak osmażony w cukrze. Tort był dobry i świeży. Tadeusz lubił łakocie. Jedząc, błędził myślą po wczorajszym pikniku i jutrzejszej majówce. Kombinował nowe figury kadryla kotyliona. O mazurze nie można było marzyć,

jakkolwiek doradził Maleniemu wysłać miejsce przeznaczone na sale balową wielką ilością sosnowych igieł. Tańcząc wczoraj kotyliona, kilkoma słowami umówił się z Muszką o prowadzenie tegoż tańca w Papatce. Otaczała go atmosfera łaskocących wspomnień. Unikał wzrokiem widoku, ruszającej się szczęki Pikiewiczowej i siatkowych firanek, aby nie psuć sobie iluzji. Byłby rad zamknął oczy, aby mózg cofnąć się w głąb siebie i nie widzieć nic z otoczenia, które go tak raziło.

Tymczasem Teci podała Wielohradzkiej duży arkusz papieru o wyłożonych ramach, po których czepiały się amorki i łabędzie i czerniły się niekształtne litery, z pod których wystawały gdzieniegdzie ślady źle wytartego ołówka. Teci

rozwiązała starannie tanią wstążeczkę, którą owa „laurka” związana była, i położywszy rękę na głowie Felka, stała smutna, z ustami zacisniętymi, z plamami swych czarnych oczu nagle w cień zapadłych. Promienie wesołego wiosennego słońca przez szyby przymkniętych okien przez siatkę firanek wpadały do pokoju i słały się po sosnowej podłodze, starannie wyfroterowanej. Jasność ta ujawniała zniszczone tasiemki, które sukienka Teci mozolnie u dołu naszyta była, i jej nowe buciki, zbyt ciasne, o płaskich obcasach, już cokolwiek skrzywione źle ustawioną stopą. Wielohradzka unosiła się nad pięknością pisma

Felka. Starła się ciągle być podwójnie uprzejmą, za siebie i za syna, który siedział wciąż milczący, z pustym talerzykiem w ręce.

Nagle Pikniewiczowa wytwornym gestem przywołała do siebie Felka.

To nie wszystko! wyrzekła. Felix nauczył się powinszowania na pamięć...

I zwróciwszy się do wnuka, dodała parafiańską francuzczyzną:

Dis ton compliment, mon ami!..

Felek podciągnął nosem, opuścił ręce, i przestępując z nogi na nogę, recytować zaczął:

Teciu miła, Teciu droga, W uroczysty dzień imienia, Niechaj wielka łaska Boga Twoje czoło opromienia.

Bądź szczęśliwą i wesołą. Roztaczaj uśmiech wokoło; Niechaj szczęście i dostatki Staną na progu twej chatki.

Recytujący głos dziecka rozlegał się w ciszy, którą przerywał tylko donośny oddech pana Janczewskiego, sapiącego w swem apoplektycznym usposobieniu. Pikniewiczowa kiwała w takt głową, Wielohradzka usiłowała przybrać zachwyconą minę, Teczka stała nieruchoma, wpatrzona teraz z rodzajem rozrzewnienia w bladą twarzyczkę brata. Zdawało

się, że zapomniała o obojętności Tadeusza, o panu Janczewskim, o wszystkich, i jedynie widziała obecność tego dziecka, które sama dzieckiem jeszcze wychodowała i wyniańczyła, zbudzona nagle do roli kobiety w swem przedwczesnym sieroctwie.

Tymczasem Tadeusz, nagle wyrwany ze świata swych myśli, kołysany cienkim głosikiem recytującego Felka, powracał do swych kombinacji i posługiwał się teraz perspektywą teatralną, rzucając na malownicze tło Paprotki grupy tancerek w jasnych sukniach i sylwetki mężczyzn, odzianych w ciemne stroje.

On sam stał na boku i patrzył, jak wódz, na rozstawioną elegancką i rozbawioną armię, wojującą z wrogiem... czasem, który koniecznie „zabić” było trzeba. Obok siebie miał adjutanta w osobie Muszki, adjutanta o pancerzu z atlasowego różowego ciała i w kasku włosów, rozrzuconych dokoła spokojnej twarzy, kasku, zda się, splątanych z węzów o jedwabnym, miedzianym, pełnym złotych iskier, połysku.

## VI

Na placu Jura, tuż u stóp Sacre Coeur, naznaczono rendezvous dla wyjazdu ekwipaży gości zaproszonych przez Maleniego do Paprotki.

Na szerokiej jasnoblond płachcie piasku o białawych, niepewnych smugach czerniały teraz ekwipaże: amerykany, breaki, maile, victorie, żółciły się sztylpy butów służby Maleniego i Bodeckich, białały taranty, zaprzęzone do „koszyka” Orzeckiej, czerwieniał dach dziwnego omnibusu, należącego do Stania Pozbitowskiego. Kobiety powysiały z powozów i teraz przechadzały się wśród kół ekwipaży, tuż pod kopytami i łbami koni z pewnością woltyżerek, gotujących się do wzięcia udziału w jakiejś wielkiej pantomimie. Panienki szczebiotały głośno, czując się tu więcej u siebie, trochę dalej od oczu gawiedzi, która, cokolwiek odsunięta, rozsypywała się przerwanym różańcem kilkudziesięciu próżniaków, „flanujących” w to czerwcowe popołudnie w cieniu

ogrodu Jezuickiego i zwabionych brzękiem uprząży i jasnymi barwami sukien i parasolek kobiecych.

Słońce jasne, promienne, zwycięskie i tryumfujące, błyszcząco, jak olbrzymia lampa, z której zdjęto abażur mgły i szkło chmur. Szafirowe we środku, skrzyło się promieniami wszystkich barw, jak brylant olbrzymi, osadzony w morzu szafiru. I w głębi tej dekoracji wznosiło się Sacre Coeur klasztor wychowawczy, cichy i tajemniczy. Promienie słoneczne zapalały olśniewające ogniska w szybach zamkniętych okien. Czasem zdawało się, że w powietrzu słychać było przeciągły jęk organów, płynący z kaplicy klasztornej. Wówczas panienki i panie zatrzymywały się, podnosząc głowy. Prawie wszystkie wychowane były w tych murach i znały dobrze głos tych organów, które co niedziela rozbrzmiewały po nad ich głowami, okrytymi w białe zasłony muślinowe. Niektóre z odcieniem żalu patrzyły na bramę klasztoru. Inne, a pomiędzy nimi Orzecka i Minusia Bodecka, wzruszały ramionami z uczuciem ulgi pięknych ptaków, które z cel wydostały się na swobodę. Lecz wszystkie czuły się jak u siebie pod temi murami, po za którymi rosły i rozwijały się teraz ich młodsze siostry lub córki. Lubiły ten wielki pałac, na którym odbywały się manewry i który swą pustynią rozrywał je w chwili odbywania naznaczonej pokuty. Śmiejąc się, pokazywały Malewiczowi i Dezyderemu pewne małe okienko, tak zwany „pokój for

tepianowy, w którym zamykano uczennicę krnąbrną.

nieposłuszną lub nagle zbuntowaną. Orzecka przyznawała się, iż przepędziła tam większą część czasu, przeznaczonego na swe wykształcenie, a zapytana przez Dezyderego, co robiła przez te długie godziny, zamknięta sama w pokoju, w którym, oprócz krzesła i fortepianu, nie było żadnego innego mebla, odpowiedziała, śmiejąc się wesoło:

Wdrapywałam się na fortepian i spałam jak zabita.

Zachichotała znów, pokazując w tym uśmiechu dwa rzędy zębów białych, jak dobrane perły. Mężczyźni patrzyli na nią z zachwytem. Była to zdrowa roślina o pięknych kształtach, rada z życia, z siebie i ze swego otoczenia. Rujnowała męża na stroje ta mała Charłupczanka, flirtująca z Malewiczem, Pozbitowskim i innymi. Wiedziano wszakże, iż była uczciwą i wierną mężowi. Trzepotała się tylko w słońcu i rada przeglądała w oczach mężczyzn. Obecnie starała się czasem przybierać poważniejszą minę, gdyż wprowadzała w świat pupilkę męża, sierotę, Muszkę Statnicką. Przy wysokiej, chudej, spokojnej dziewczynie Orzecka wydawała się jej młodszą siostrą. Niemniej przybierała poważne miny po to, aby za chwilę wybuchnąć śmiechem.

Bił od niej ten śmiech srebrzysty i woń fijołków St. Remo, którymi przepajała swe suknie. I w tej chwili odziana w ametystowej barwy fular, pachnąca

świeżo i rozkosznie, wyglądała zdaleka jak olbrzymi fijołek, wytryskający powabnym kielichem ze szmatu złotego piasku.

Dezydery pytał, kogo powiezie swemi kucami, które dzwoniły zdaleka trochę przeciążoną uprzężą o podkładach z fioletowego aksamitu.

Nie wiem odparła Orzecka zobaczę...

Może Muszkę Dobrojowską.

Cóż znowu?.. Muszka jedzie mailem Maleniego, to rzecz dawno ułożona.

Na koźle?

Naturalnie!..

Malewicz podsunął się teraz. Twarz miał pobladłą z powodu nieprzespanej nocy. Przegrał wszystko, co miał przy duszy, nadrabiał jednak sztucznym humorem.

I zaraz ofiarował się na towarzysza Orzeckiej. Lecz młoda kobieta pokręciła głową.

Nie! nie!.. Wezmę z sobą Musio Statnicką.

Laissez la la! pojedzie mail'em Bonickich, są jeszcze cztery miejsca wolne...

Nie! nie! protestowała Orzecka. Musia pojedzie ze mną... została mi oddana w opiekę...

Malewicz chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle na plac wypadł niewielki szaraban, zaprzężony w parę karych, jak piekielne smoki, koni.

Szaraban zakreślał gzygżaki; napróżno mężczyźni siedzący na koźle starali się pohamować zapał

swych rumaków: niewprawną ręką ściągała zbytnia lejce; konie pędziły, wyrzucając kłęby piasku. Zaczęły z szaloną szybkością okrążyć plac, waląc od czasu do czasu kopytami w pudło szarabana. Jak zjawisko dziwaczne i straszne pędziły, zakreślając koło i pozostawiając w środku całe zgromadzone towarzystwo, ekwipaże i inne konie. Wszyscy

umilkli i śledzili z zadziwieniem ową piekielną jazdę czarnych koni, czarnego powrozu i czarnego człowieka, który, olbrzymi, z ramionami ściągniętymi siedział na kozle, błyskając w skurczu rozpaczliwie skrzywionych ust dwoma rzędami dużych, żółkłych zębów.

Orzecka przyłożyła do oczu swoją face a main, mężczyźni dobywali monokli.

Qui estce? pytano się wzajemnie. Nagle Malewicz zaniósł się ze śmiechu.

Kafthan! krzyknął dając słowo Kafthan!..

Tragiczny woźnica dobiegał mety, którą jego kapryśne rumaki zakreśliły sobie w przystępie chwilowego rozdrażnienia. Zwolniły bowiem biegu i zatrzymały się same, okryte kurzem i pianą. Kafthan. siny, trupio blady z gniewu i trwogi, nie śmiał ruszyć się na ławce. Szaraban jego o dwóch kołach, z dwiema poprzecznymi ławeczkami, nie miał właściwie kozła, lecz z prawej strony coś nakształt wysuniętej poduszeczki, na której powożący siedzieć musiał. Kafthan ostrożnie osunął się na ławeczkę, wyściełaną aksamitem centkowanym i przepiętym

rzemykami i zbladł jeszcze bardziej, widząc biegnącego ku niemu Malewicza.

Co to, Kafthan? krzyczał Malewicz kupiłeś sobie bestye apokaliptyczne z obrazu Chelmońskiego?

Na piae w tej chwili wjechało lando namiestnikowej.

Cztery panienki, odziane w skromne kretonowe sukienki, siedziały w głębi powozu.

Co za szczęście, że wreszcie zdołałeś pohamować swe jukiery ciągnął Malewicz. Ręczę, że czwarta panna namiestnikówna dostałaby spazmów, patrząc na twą jazdę!..

Zaczął konie oglądać.

Drogo zapłaciłeś?..

Kafthan rad, że Malewicz odwraca rozmowę i że będzie mógł pochwalić się zapłaconą sumą, odpowiedział:

Dwa tysiące trzysta razem z szarabanem.

Czego? centów?...

Nie! reńskich!..

To za drogo!.. A ta szkapa ma monatsblind na prawem oku...

Kafthan poruszył się niespokojnie.

Co znowu!..

Naturalnie!.. Stoisz na przeciagu, szkapy zgrzane... jeżeli nie mają monatsblindu, to dostaną...

Nagle Malewicz otworzył drzwiczki szarabanu.

Ja z tobą pojedę!

Kafthan pośpiesznie zaczął mu robić miejsce; wiedział, że przejdzie tortury, poddając się drwinom Malewicza przez cały czas drogi; czuł się jednak tak odosobnionym, iż byłby przyjął stu Malewiczów, aby tylko mieć któregośkolwiek z tych paniczów w swoim ekwipażu.



Lecz teraz uwaga wszystkich zwróciła się nagle na ekwipaż Jurka Bodeckiego, zaprzężony w parę jukierów, z których jeden zwłaszcza był przedziwnej piękności. Kosztował dwa tysiące guldenów i był bez zarzutu. Drugi, dobrany do maści i wzrostu,

O wiele tańszy. Powóz zwykła dorożka wiedeńska ze sławnymi kocami przewieszonymi przez kozieł. Woźnica fiakier wiedeński, Bratfisch jakikolwiek, w zwykłym ubraniu dorożkarzy wiedeńskich. Zwartym murem otoczono jukiery, rozmowy wiodły się żwawo, szebiot kobiet mieszał się z głosami mężczyzn. Jeden tylko Melunio Orlicki, uróżowany i wyczerniony, spowity w długi płaszcz popielaty i straszny w tem oświetleniu słonecznym, wdzięczył się do czterech panien namiestnikówien, które apatycznie siedziały we wnętrzu landa.

Lecz ciągle jeszcze nadjeżdżały powozy, a nawet dorożki, przywożące przeważnie mężczyzn niemających własnych powozów. Właśnie Orzecka dziwiła się nieobecności Muszki, gdy zdaleka poznano konie i liberyę Dobrojowskich. Za chwilę Muszka, wy

siadłszy z powozu, odziana w długi płaszcz ze złotawego mieniącego się jedwabiu z massa pelerynek, nastroszonych dokoła jej ślicznej głowy, witała się z Malenim, który natychmiast dał znak gotowania się do wyjazdu. Długie trąby zabłysły w powietrzu jak złote szpady i przeciągła, dziwaczna melodia rozległa się po całym placu, głusząc rzenie koni, brzęk uprząży i szmer rozmowy. Grali trębacze mail'u Maleniego. Zrobił się ruch; zaczęto wsiadać do powozów wśród śmiechu, wrzawy i nawoływania się. Orzecka biegła ku swoim kucom, ciągnąc za sobą Musie Statnicką. Aureola kapelusza Muszki Dobrojowskiej zabłysła na koźle mail'u wysoko po nad głowami wszystkich. Kafthan, zielony z trwogi i zdenerwowania, powstrzymywał swe „szkapy", które dźwięk trąb doprowadzał do szaleństwa. Teraz bowiem trąbom Maleniego odpowiadało echo trąb mail'u Bonickich, na który właśnie windował się z trudem Melunio Orlicki, pragnąc zająć miejsce w gronie panien, których jaskrawe parasolki zaczynały zamieniać powierzchnią breku na fantastyczny parter olbrzymich kwiatów.

Nagle, wśród chaosu i wrzawy, zajechała jeszcze jedna dorożka i wysiadł z niej Wielohradzki, błydy ze zdenerwowania i zmęczenia, W biurze dowiedział się z rozmowy, iż wszyscy mężczyźni biorą na siebie dziś płaszcze dla okrycia się przed kurzem, który na drodze do Paprotki był przysłowiowym.

Wielohradzki wybiegł z biura i do tej chwili szukał wszędzie gotowego płaszcza, który chciał kupić za wzięte od matki pieniądze. Znalazł wreszcie jeden, jedyny, popielaty z pelerynką, i porwała go głucha rozpacz! Płaszcz był według jego przekonania zbyt krótki. Lecz wysiadłszy z dorożki i rzuciwszy okiem dokoła, uspokoił się. Płaszcze Bodeckich i Pozbitowskich były jeszcze krótsze. To mu przywróciło trochę fantazyi, lecz teraz nie wiedział, gdzie się ma podziać, do jakiego wsiąść ekwipażu, do kogo się przyczepić.

Wszyscy ci ludzie zdawali się być sobą zajęci, tworzyli grupy, koterye, kółka, byli pomiędzy sobą jak jedna wielka rodzina. Wielohradzki wzrokiem zaczął szukać Muszki. Dostrzegł ją wysoko, królującą w tryumfie obok Maleniego, mającą po za sobą, jak dwór posłuszny jej skinieniom, kilka rzędów kobiet i mężczyzn, zapelniających ławki mail'u. Trąby dzwoniły wciąż uparcie i wesoło; służba, odziana w buty ze sztylpami i kapelusze z kokardami, gotowała się do zajęcia miejsca wewnątrz powozu.

Wielohradzki nigdy chyba nie znalazł się w tak głupim położeniu. Nikt na niego nie zważał, nikt go zdawał się nie widzieć. Orzecka przejechała mimo niego, zajęta całą prowadzeniem swych kuców. Pozbitowski przebiegł jak strzała, dążąc do swego omnibusu. Wielohradzki obejrzał się za swoją do

rozką. Miał ochotę wsiąść do niej i pojechać za całym towarzystwem. Lecz natychmiast myśl ta go opuściła, Dorożka wobec tak świetnej linii powozów! Ogarnął go żal do Muszki, do Maleniego, iż zaprosiwszy go, nie pamiętali o nim. Rozgniewany, rozżalony, zaczął myśleć o powrocie do domu. Lecz właśnie mail Maleniego ruszył z miejsca, i Wielohradzki widział, jak Muszka w aureoli swego wielkiego kapelusza rozpoczynała wieść cały orszak roześmiany, rozbawiony i powoli oddalała się, znikając na zakręcie drogi.

Powozy szły jedna za drugą, i teraz był to długi szereg najdziwniejszych ekwipaży, które zdawały się być ogonem komety, zatapiającej się w słoneczną jasność białej drogi, szeroko otwartej i płynącej w przestrzeń nieskończoną długością olśniewającego węża.

Wielohradzki cały rwał się za tymi, którzy oddalali się od niego z obojętnością najwyższą; gorączkowo obejrzał się dokoła. Wzrok jego padł na szaraban Kafthana, który cierpliwie czekał, ażeby zająć ostatnie miejsce w tym tryumfalnym pochodzie.

Jednym susem Wielohradzki dopadł do drzwiczek szarabana.

Macie dla mnie miejsce? zapytał, i nie czekając odpowiedzi, wskoczył do wnętrza powozu.

Obiad miał się ku końcowi. Teraz służba zapalała lampy, osłaniając je abażurami w formie kolorowych tulipanów, i ustawiała je na stole. Podstawy lamp tonęły w massie liści, z których obrus był utkany. Ta orgia kwiatów i zieloności odurzała i rozmarzała zarazem. Kobiety co chwila odrywały róże z tych niezliczonych girland, które wiły się wśród srebra i kryształów, i gryzły nadwiędłe listki. Tylko kandelabry z mchu utkane stały całe i niewzruszone, wznosząc ku górze snopy jarzących świec.

Podniesiono całą jedną ścianę namiotu i oparto ją wysoko na dzidach. Przez tę szeroką bramę wpływało chłodne powietrze wieczoru i bładniebieski zmrok nadchodzącej nocy.

I tylko drzewa w oddali nabierały wyrazistszych kształtów. Niektóre miały rozpięte korony, jak olbrzymie wachlarze delikatnej koronki, inne karłały jak murzynki smutne i opuszczone, inne szły prosto w górę, jakby uciekając przed wzrokiem ludzkim, który krzywdę im czynił.

I drzew tych była moc cała, nieskończona, armia nierówna wzrostem i umundurowaniem.

Nawet niejednakowe światło, niejednakowe cienie owijały je teraz powoli. Gdzie niegdzie białe smugi wlokły się wśród paproci i gąszczu się chwytały to znów szafir czysty zdawał się być resztką dziennego nieba, zabłąkaną wśród zmroku.

Wielohradzki wzrokiem te odcienie i formy śledził. Siedział koło dwóch podlotków, które mówiły mało, lecz jadły dużo cukierków. Muszka tronowała w klanie Bodeckich i bawiła się wesoło z Jurkiem, tęgim i roslym chłopcem, o twarzy ogolonej, przypominającej stajennego chłopca lub wielkiego pana. Wielohradzki, którego rola wodzireja rozpocząć się miała dopiero w chwili otworzenia balu, nudził się w czasie tego obiadu i w duszy krytykował całe urządzenie stołu, znajdując tę profuzję liści śmiesznym objawem sentymentalności miejskich majówkowiczów.

Koniecznien zachciało się im jeść na trawie... myślał teraz, licząc świece i starając się odkryć, w jaki sposób mech trzymał się na drewnianych szkieletach kandelabrow.

Ukryta wśród lasu muzyka grała Symphonie pastorale Saint Saens'a, lecz nikt nie zważał na te produkcje. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem, tak jak pod koniec każdego obiadu, przy którym znaleźli się wszyscy „swoi” i należący do jednej sfery towarzystwa. Kilku wszakże ludzi milczało tak, jak Wielohradzki. Byli to urzędnicy z biura Maleniego, których on zaprosił na ową partie de plaisir z kurtuazyą wielkiego pana.

Siedzieli obcy, zmęczeni, znużeni, starając się przybierać o ile możliwości ożywione i pewne siebie miny. Naprzeciw Wielohradzkiego umieścił się

Kafthan, jeszcze groźniejszy i tragiczniejszy niż zwykle. Malewicz drogo kazał mu opłacić zaszczyt wiezienia go swym szarabanem. Drwił z niego bez miłosierdzia przez całą drogę, folgując w ten sposób swym nerwom nad wszelki wyraz udręczonym „czarną seryą”, jaka się dla niego przy stoliku gry rozpoczęła od dni kilku. Teraz siedział obok Orzcckiej i Stanickiej i śmiejąc się coś im rozpowiadał. Kafthan był pewien, iż to o nim mowa, i gryzł się, przezuwając tę zgryzotę, jak konieczną do wypicia truciznę. \_

Wielohradzki starał się nie patrzeć na twarz Kafthana i oczyma śledził wśród drzew resztki dnia dogasającego. Nie miał natury skłonnej do marzeń, a jednak w tej chwili zapragnął serdecznie wyjść z tego namiotu, z pod snopów jarzącego światła i szeregu kolorowych tulipanów lamp, i pójść daleko w las, który filtrował przez szczeliny swej piersi jasne błękity, szafiry, liliowe opale, biel pereł dogasającego światła i ciemne onyksy rozpoczynających się cieni. Pragnął przede wszystkim znaleźć w spokoju i ciszy jakiś pozór do zbliżenia się do Muszki i wręczenia jej owej pamiętnej kartki z karnetu, którą ona zwrócić sobie kazała.

W przystępie nadzwyczajnej delikatności wytarł napisane przez dziewczynę wyrazy, tak, że teraz kartka była zupełnie biała i czysta, tak, jakby nigdy lekkomyślna ręka kobieca nie wezwała go na

schadzkę za jej pośrednictwem. Uczyniwszy to, rad był z siebie niezmiernie. Kłamiwe wykręty Muszki, które rzucała mu z lodowatą obojętnością, imponowały mu niezmiernie. Chciał dorównać jej choć w części i pokazać, że i on potrafi być wysoce „dyskretnym”. Pewny był, że Muszka usiłowania jego odczuje, zrozumie i ocenić potrafi.

Dziś nie widział jej prawie. Zablęśla mu wysoka na koźle mail'u, po nad czerwonymi smugami kół w aureoli swego wielkiego kapelusza. Później przesunęła się koło niego z szelestem jedwabnych fałd płaszcza, którym otulała się zazdrośnie, kryjąc swą suknię przed oczyma innych kobiet. Słyszał ją tylko, jak prosiła Maleniego, aby zaprowadził ją do psiarni, i urywane zdania tej rozmowy dolatywały go wśród szumu lasu.

Czy twoje nowe psy courants przybyły?

Nie jeszcze, mam jednak cztery Gordon Setters, czarne, podpalane, prześliczne. Ręczę, że ci się podobają.

Och, mnie się wszystkie twoje psy podobają. Pysznie je kompletujesz. A twoja suka gaskońska czy żyje?

Żyje, ale nie mam już z niej żadnej pociechy. Chciałam ją wymienić u Jurka na dwa Bassety, wiesz, Dachshundy niskie, ale przedziwnej piękności, i dodać mu jednego z mych Briquetów d'Artois, lecz nie chciałam...

Czy to prawda, że Paton'a chciałeś dać Staniowi?

Tak.

Proszę cię, nie dawaj tego psa nikomu. Ręczę, że z niego będziesz miał pociechę... Black fiels Spaniels nigdy nie zawodzą...

Oddalili się, trzymając się pod rękę i Wielohradzki mimo woli patrzył, jak wśród gąszczy leśnego znikają ich sylwetki...

Poszedł obejrzeć miejsce przygotowane do tańców, poprawił girlandy, zdobiące estradę zarezerwowaną dla starej Bodeckiej, która zawsze musiała tronować, otoczona dworem hrabin i dam, wszedł po ścieżynce świeżo wygracowanej i wijącej się wężowo na dość wysoki wzgórek, odsłonięty i zakończony niewielką platformą obsadzoną liliami.

Z góry spojrzął na arenę, usypaną igłami, na nieskończoną ilość lampionów, pouczepianych na niewidocznych nitkach drutów, i stał tak chwilę udrapowany w fałdach swego cachepoussiere'u, jak wódz w przeddzień walnej potyczki.

Nareszcie zeszedł powoli, jakby z żalem, i szedł w stronę namiotu, pod którym zbierało się powoli całe towarzystwo.

W drodze spotkał Kafthana, którego Malewicz wypuścił ze swych szpon, i dostrzegł, że Kafthan najwyraźniej go unika. Przeszedł więc mimo i siedząc przy stole, starał się nawet nie spotkać ze wzrokiem swego kolegi biurowego.

Obok

Kafthana dwóch gogusiów, ubranych modnie, mówiących nazbyt głośno, przez cały czas trwania obiadu unosiło się nad taktem i ostrożnością, z jaką fiakier wiedeński schylił się dla ujęcia lejca i jak potem delikatnie a subtelnie trzymał te lejce trzema palcami każdej ręki.

Teraz już rozmowa stała się ogólną w podnieceniu humorów, pomimo temperatury chłodnego wieczoru. Powietrze wiejskie upajało może więcej niż wino. Kobiety zwłaszcza miały migocące iskierki w źrenicach, przyćmione odcieniem sentymentalności. Stara pani Bodecka, mająca w uszach brylanty wielkości korka od karafki, tronowała na

honorowym miejscu, ze spokojem przywykłego do hołdów drewnianego Buddy. Dezydery, pełen uśmiechu i uprzejmości, przyjmował od czasu do czasu zwierzanie, jakie mu rzuciła raczyła. Dalej, w klanie młodszych kobiet ogniskiem, kolo którego grupowały się spojrzenia, były Orzecka i Muszka, jedna podobna do ametystu w swych fijołkowych fularach, druga w lekkiej jedwabnej sukni, mieniającej się złotem i zielenią, jak sukienka chrząszcza, czającego się wśród traw szerokolistnych.

Orkiestra grała teraz całą seryę starych menuetów i pierwszy skrzypek popisywał się solo, mając, jako akompaniament, dyskretny chór orkiestry całej, przygłuszonej jakby nagle opadającą zasłoną. Lecz nikt nie słuchał delikatnej melodii, i powstawać zaczęto

od stołu, na którym kwiaty wędły w gorącu świec, wydzielając powoli zapach spoconych i rozgrzanych ciał ludzkich. W lasach zaczęły przebłyskiwać latarki. Panie naciągały okrycia i Wielohradzki, który jeden z pierwszych wysunął się z namiotu, widział, jak rozchodzono się po lesie grupami, parami, mającąc wzdłuż drzew, nakształt tajemniczych i dziwnych cieni o białych lub zupełnie ciemnych konturach.

Zapalił papierosa i zaczął iść także w głąb lasu, rad, że wreszcie znajdzie się sam i przestanie słyszeć chór uwielbień nad „dyskretyą i taktem wiedeńskiego woźnicy, z jaką... i t. d.". Obejrzał się jeszcze za Muszką i dostrzegł, jak stała przed namiotem, owinięta płaszczem i otoczona całą grupą mężczyzn. Była w tej chwili od niego bardzo daleko myślą i całą swą postacią. Spuściwszy głowę na piersi, zagłębił się Wielohradzki w zarośla. Wiedział, że pobudka, wydzwoniona przez trębaczy, da znać o rozpoczęciu balu. Miał jeszcze najmniej godzinę czasu przed sobą. Szedł więc wciąż wązka ścieżyną wśród niewielkich krzaków, u których stóp wszędzie sterczały wachlarze paproci. A paproci tych biała tak wielka ilość, a wysokość ich była tak olbrzymia, że chwilami szlak ścieżki ginął i Wielohradzki zapadał w tę ciemną zieleń po

pas i musiał odgarniać z całą siłą gałęzie, okrywające mu plastron koszuli.

Zgubię się jeszcze w tym stepie pomyślał, lecz nagle przejęła go jakaś radość niech tam! dodał w duchu niech im prowadzi kotyliona, kto chce... skoro o mnie tak mało się troszcza.

Nagle zdawało mu się, iż posłyszał dźwięk pobudki, i porwał się do powrotu, lecz było to złudzenie słuchu; cisza była dokoła, cisza wielka przedwieczorna, zwiastunka nocnej kotylanki. Gdzie las rzedniał, tam przez koronkę liści przeświecało teraz bladeżółte niebo. Wielohradzki kapelusz z głowy zdjął i pod chłód wieczorny poddawał rozpalone czoło. Ogarnęło go dziwne rozmarzenie. W kurzu miasta i klatkach biurowych wegetujące ciało upiło się przezczystem powietrzem wsi i do smutku ciągnęło duszę i serce. Sentymentalna strona jego kobiecej natury zaczęła się budzić wśród tego wieczornego zmroku. Zapomniał w tej chwili o egoizmie i swej narcyzowej naturze. Człowiek pierwotny, drzemający na dnie duszy każdej ludzkiej istoty, budził się w tym c. k. konceptpraktykancie, spaczonym przez wytwory pseudocywilizacji. Piers jego, rozrosła i szeroką, krył krochmalny pancierz koszuli, wyprasowanej przez matkę stalowem żelazkiem, a na karku sterczała obroża kołnierza i krawata czarnego, szerokiego, w stylu krawatów z trzydziestego roku. Tymczasem pierś pragnęła swobody, kark chciał się

uwolnić z obroży, całe ciało zaczęło dążyć do prostoty. Chwilę szarpało się nieudolnie i nagle zapadło w smutek wielki, wtórujący milknącym w mrocznych cieniach drzewom, widząc się spątane powijakami mody i konwenansów, tak, jak duch spętany był fałszywą chęcią osiągnięcia najwyższej summy kłamanego i sztucznego zadowolenia. Wielohradzki nie analizował jednak swego stanu duszy i ciała. Nie zapadł jeszcze na chorobę analizy, która przy jego słabej woli stać się mogła śmiertelnym niebezpieczeństwem. Przyjmował sytuację i uczucia tak, jak przychodziły, i patrzył na nie wprost, nie stając nigdy w roli obserwatora.

W tej chwili czuł się smutnym i osamotnionym. Zapóźniona wiewiórka zaszemrała wśród gałęzi i skakać zaczęła szybko z drzewa na drzewo. Wielohradzki śledził ją przez chwilę, lecz bez najmniejszej ciekawości. Znikła mu wśród cienia gałęzi. On szedł dalej i nagle wydostał się na niewielką, okrągłą polankę. Pomiedzy kępami paproci szemrała woda. Kilka dużych głazów pokrywał mech i bluszcze. Wielohradzki usiadł na jednym z nich i wpatrzył się w szmat nieba, widniejącego po nad ową polanką.

r

Śledził zmianę barw nieba i dziwić się zaczął, że nigdy nie zauważył tej subtelnej przemiany tonów w chwili nastania zmroku. Zanurzył rękę w miękką kępę mchu i zerwał duży liść paproci. Nagle przyszła mu na myśl matka, która zawsze za wsią tęskni

ła i miasta nie mogła znosić. Często chwaliła ciszę i urok wsi. Wielohradzki zaczynał rozumieć to jej upodobanie. Oddychał lżej i ten smutek, który go ogarnął, nie sprawiał mu fizycznego bólu. Zdawało mu się, iż zanurzono go nagle w jakiejś chłodnej kąpieli. Oparł głowę na ręce i siedział tak skurczony, smutny, bez śladu zwykłej fantazyj i estetycznej linii w formie pozy.

Nagle z boku polany rozsunęły się wachlarze paproci i pomiędzy tym bukietem olbrzymim i królewskim ukazała się Muszka, osłonięta szczerze swym jedwabnym płaszczem. Na głowę zarzuciła jedną z pelerynek i spięła ją pod brodą, co tworzyło dokoła jej twarzy rodzaj hełmu zapiętego ze złotej blachy. Dostrzegłszy wstającego z kamienia Wielohradzkiego, szybko pobiegła ku niemu.

Dobry wieczór! zawołała prawie wesoło. On tak był zdziwiony i olśniony tem niespodziewanem szczęściem, że stał, nie śmiąc się odezwać, ani wyciągnąć ręki.

Lecz ona już była przy nim i mówiła szybko, biegnąc oczyma po wierzchołkach drzew, otaczających polanę.

Nie widziałam pana w chwili wyjazdu. Z kim pan przyjechałeś?

On, zdjęty nagle fałszywą ambicyą, nie chcąc się przyznać do jazdy w powozie Kafthana, odparł wymijająco:

Z Malewiczem.

A!., sądziłam, że Malewicz jechał na mail'u} obok Statnickiej...

Usiadła na kamieniu pomiędzy bluszczem a paprociami i obojętnie patrzyła dokoła.

Wielohradzki zdobył się na odwagę i ręką na okrąg polany ukazał.

Ładnie tu? prawda? zapytał.

Oui!. pas mal! odparła Muszka i natychmiast dodała widziałeś pan juki ery Bodočkih? Nadzwyczajne!.. Maleni umiera z chęci odkupienia ich za jakąkolwiek cenę. Ale Jurek powiedział, iż za żadną cenę nie sprzeda. Gdy byliśmy w psiarni, Maleni ofiarowywał Jurkowi cztery tysiące i swoje cztery nowosprowadzone Gordon Settery. I co pan powie... Jurek odmówił...

Mówiąc te słowa, wyciągnęła rękę w stronę Wielohradzkiego i położyła swe palce na dłoni młodego człowieka.

Powiedziałam jednak Maleniemu ciągnęła dalej, a w głosie jej nie zaszła żadna zmiana że jeśli Jurek po wyścigach zdecyduje się sprzedać jukiery, stanowczo mu radzę, aby sprowadził innego dorożkarza z Wiednia. Ten Bratnagel ma wygląd złego i ponurego człowieka...

Urwała na chwilę, poczem dodała:

Nie lubię ludzi złych, być może dlatego, że sama jestem złą istotą...

Wielohradzki chciał zaprzeczyć, lecz sprytnie odczuł, iż zaprzeczenie to będzie zbyt banalnym frazesem.

Pan jesteś dobrym, poczciwym chłopcem, prawda? spytała nagle, pociągając go prawie ku sobie. Ten właśnie łagodny wdzięk, ce charme presque enfantin, jest pana największą zaletą. Prawda, że pan nie umiesz się gniewać?..

Wielohradzki z całą szczerością odpowiedział natychmiast:

Nie!., nie umiem!.,

Był przy niej tak blisko, iż mógł usiąść obok, na brzegu kamienia. Nie śmiał jednak, bojąc się ją spłoszyć. Przykłęknął tylko na poduszce z mchu, ciągle trzymając rękę dziewczyny. Zmrok zapadał coraz większy i nie można było dostrzedz kształtów paproci, które czerniły się w oddali zbitą massą tajemniczej fali.

Może się to panu dziwnem wydawać, że sama będąc złą, lubię łagodne i dobre charaktery... ciągnęła dalej dziewczyna ale tak było ze mną od dziecka. Znosiłam tylko niańki, bony i guwernantki spokojne i ciche... Nie pamiętam, czy kiedykolwiek można było co u mnie uzyskać inaczej, jak pokorą i prośbą...

Wielohradzki mimowoli zaczął przybierać pokorną postawę. Instynktem i taktem wiedziony, miał

w tej pokorze nutę dziecięcą, nawpół rozgrymaszoną, bez unizoności żebraczej.

Muszka patrzyła wciąż przed siebie szeroko otwartymi oczyma, jakby wśród ciemności odkrywały się przed nią nieskończone horyzonty.

Naprzykład Mirzę, ponterkę francuską Maleniego, najlepiej lubię z całej psiarni Paprotki, bo pokorne to, dobre, kochane... Orzecka też lubię, bo Marta jest najłagodniejszą kobietą na świecie... Enfin nawet w kwiatach, roślinach lubię bluszcze, mchy... bo to pełza pod stopami i ściele się pokornie...

Zapanowała chwila milczenia. Wielohradzki pragnął skorzystać z niej i oddać Muszce ową kartkę z karnetu, lecz młoda dziewczyna nagle go spytała;

Jakie pan ma imię?

Wielohradzki wstydził się trochę swego imienia. Ów „Tadeusz” brzmiał według niego bardzo pospolicie. Postanowił je więc upiększyć, tłómacząc je na francuski język.

Thaddee!.. odparł półgłosem.

Lecz ona zdawała się już nie słyszeć jego odpowiedzi, goniąc ciągle przesuwaną się jej przez umysł myśl.

Pan wyjeżdża na lato?

Nie wiem... prawdopodobnie...

Przez Orzecka panu powiem, gdzie będę w lecie...

Tadeusz gorąco zaczął dłoń dziewczyny ścisnąć.

Dziękuję!., dziękuję!..

Pochylił się nad jej ręką i całować zaczął drobne palce osłonięte duńską rękawiczką. Woń dzikiej jabłoni ogarnęła go w tej chwili. Skóra rękawiczki przepojona była Apple Blossomem. Muszka ręki nie cofała i niskim, trochę przyciszonym głosem rzuciła:

Pokieruję tak, aby na season wybrać jakieś nieznanne wybrzeże morskie... Zabawimy tam najmniej dwa miesiące..,

Zawiesiła głos i po chwili dodała, patrząc znów przed siebie:

Vous liendrez?.. n'estcepas?..

Oui!.. wyszeptał Tadeusz oui!.. Muszka na chwilę przymknęła oczy, lecz nagle powstała z kamienia, prosta i smukła, owinięta w złoto swego płaszcza i w nocne cienie, które teraz zdawały się podnosić z ziemi, jak kłęby czarnej i fatalnej mgły, grozy i smutku pełnej.

Nous serons heureux!.. wyszeptała nagle jakby sama do siebie.

Po lesie rozległa się jękliwie pobudka.

Bał się rozpoczyna!.. wyrzekł Wielohradzki.

Tak!., chodźmy!.. Wielohradzki sięgnął po portfel.

Przedewszystkiem muszę zwrócić pani zgubę, Muszka zadziwiła się prawie impertynencko.

Moją zgubę?.. Pan?..

Tak... oto ona..

Podawał jej kartkę złożoną nie tak, jak była w bukietcie. lecz tak, jak zwykle leżała w karnecie.



A!!.. wyrzekła Muszka mówi pan, że to moja zguba?., niechże i tak będzie... nie przypominam sobie jednak, czy zgubiłam podobny przedmiot.

Wyciągnęła jednak rękę, wzięła kartkę i zaczęła ją drzeć w drobniuchne kawałki.

Tańczyć więc będziemy jedynie walca, kadryla i kotyliona? zapytała; rozrzucając strzępki papieru dokoła polany. Wielohradzki doznał niemałego zawodu, widząc, iż Muszka nie dostrzegła jego nadzwyczajnej dyskrecji w wytarciu śladów jej pisma.

Tak!..odparł teren jest wysypany igłami, ale sądzę, iż jedynie walce i chodzone tańce można ryzykować. Miałem ochotę zorganizować pavane, gdyż cztery pary, które tańczyły go przeszłego roku w namiestnictwie, są dziś w komplecie, ale lękam się bez próby...

Tak!., tak!.. odrzuciła Muszka lepiej nie ryzykować... Uciekam! . Je me sauve!..

Pani pozwoli... będę towarzyszył... już ciemno!..

Och!.. znam doskonale Paprotkę, nie boję się, a wreszcie...

Pobiegła w stronę lasu.

Marthe!., Marthe!.. zawołała.

Me voila!.. odparł głos Orzeckiej.

I nie spojrzawszy nawet na Wielohradzkiego, Muszka z szelestem i szumem zanurzała się w morzu paproci.

Kotyliion ma się ku końcowi.

Setki lamp bładozielonych i bladoróżowych kołyszą się na gałęziach drzew.. Gdzieniedzie płoną pochodnie. Estrada cała utkana gwiazdami lampionów, z po za lasu ku górze, ku czarnemu oceanowi przezystego szafiru biją snopy rac i tryskają bukiety złocistych fajerwerków. Muzyka gra jeszcze walca i w tej chwili Wielohradzki rozdaje różnokolorowe szklane latarki w formie gwiazd, które tancerze za pomocą rusztowań drucianych, opasujących ich ramiona i czaszkę, przytwierdzają sobie na czubku głowy. Śmiechy i żarty głuszą niemal dźwięki orkiestry, grającej pianissimo. Orzecka zanosi się ze śmiechu, nie mogąc wejść w zbyt ciasny na jej okrągłe ramiona pancierz drucianej klatki. Malewicz pragnie jej przyjść z pomocą, lecz ona zwraca się z prośbą ku Dezyderemu, który zeszedł z estrady, od boku starej pani Bodockiej, i wmieszał się pomiędzy tancerzy, zaciekawiony mnóstwem kolorowych światełek, które migotały teraz już na głowach tancerzy. Za nim Melunio Orlicki, zziębły pod warstwą bieli

dła, szedł jak cień nieodstępny, prezentując wtem czarodziejskiem oświetleniu swą bladą twarz starej i źle zakonserwowanej mumii. I teraz powoli w ślad za nimi osoby niebiorące udziału w kotyliionie schodziły z estrady i mieszały się z tancerzami pod szmerem, szerokim baldachimem rozłożonych nad placykiem, gałęzi. Jasne sukienki kobiet nabierały w tych refleksach zielonych i pomarańczowych latarni tęczowych blasków, skradzionych z palety jakiegoś Van Gogha. Tu i owdzie nagle występowała blada twarz dziewczyny, twarz dziewic Boticellego o massie złotych włosów dokoła wydłużonego profilu, oblanego zielonem światłem, które czyniło z niej nieziemską istotę, planującą w przestrzeni. To znów jaskrawy blask odcinał ramiona i plecy jakiejś kobiety, której głowa, okryta czarną massa włosów i pochylona na piersi, niknęła w cieniu.

I był to cały zbiór istot fantastycznych, chwilami monsturalnych, dzwoniących hałasem i śmiechem, tonących w powodzi dwubarwnych płam, szeleście drzew i delikatnej harmonii menueta.

Zdalone na estradzie, jak oczy mistycznego wilka, świeciły brylanty starej pani Boddockiej, rozdzielone bladawą plamą jej twarzy. Dokoła niej grupowały się inne kobiety w obramowaniu różnokolorowych lampionów. Potok łamiących się jedwabów zalał estradę ciemną kaskadą. Gdzieniedzie połykiwały tony szmaragdu lub rubinu i nikiły w po

wodzi przytłumionych tonów. U stóp estrady, zbity w jeden wał, tłum mężczyzn czerniał, kończąc te harmonie ciemni, wśród której jarzyły się ognie dormeuses i żółte światło kandelabrow, płonących wewnątrz namiotu.

Wielohradzki dobywał ostatek sił, aby przyspieszyć ową finalną apoteozę kotyliona. Prowadzenie tańców pod odkrytym niebem nużyło go niewymownie. Zachryął, pomimo, iż od owego pamiętnego wieczoru, podczas którego po raz pierwszy ujrzał „Dom otwarty”, starał się nie krzyczeć głośno i komenderować dyskretnie. Pomimo tego jednak gardło go bolało i czuł wielkie znużenie. Kotylion był wyjątkowo świetny i tancerze sprawili się karnie. Teraz jednak należało antrakt skrócić, aby nie osłabiać wrażenia. Biegał więc tu i owdzie, zaklinając, prosząc o pośpiech, pomagając w przymocowaniu rusztowań drucianych, ustawiając kolejno mężczyzn i damy. Hałas jednak wzrastał się, wszyscy zartowali, nie śpiesząc się bynajmniej, zadowoleni z tej teatralnej feerie, do której gotowali się z przejęciem, jak do walki z wiatrakami. Wielohradzki biegł ku Orzeckiej, która miała na bakier przekrzywioną lampkę i śmiała się, otoczona całym sztabem młodzieży. Lecz nagle ogarnęło go zniechęcenie. Opuścił ręce, widząc, iż jest sam jeden przeciw całemu batalionowi, i stanąwszy na środku areny, oczyma szukał Muszki. Stała tuż obok niego, rozmawiając

z Pozbitowskim. Złote słońce, jasne i przezroczyste, błyszczało po nad jej głową. Szeroko rozchodziły się promienie tego słońca, szklane, delikatne, o gorąco żółtej barwie. Wewnątrz, ukryte tajemniczo, płonęło światło, rozświetlające swym blaskiem całą powierzchnię słonecznej lampy. Wszystkie inne latarki w formie gwiazdek malały i bladły wobec tego wspaniałego słońca, płonącego jasno po nad kaskiem rudawych włosów Muszki, włosów, które teraz mieniły się całą masą rubinowych iskier i miedzianych refleksów.

Mieniąca się suknia, która owijała jej ciało, wydawała się utkaną ze złota i zieleni. Szeroko wycięta u szyi, z olbrzymimi rękawami, kończącymi się wysoko po nad łokciami, dawała jej pozór jakiejś fantastycznej libelluli, zabłąkanej wśród nocy, z rozpiętymi do lotu gotowymi skrzydłami. Wązkie i długie ciało, silnie obciśnięte mieniącą się materią, wykwiatało z nad ciemni, jak łodyga wspaniałego egzotycznego kwiatu.

Wielohradzki wpatrzył się w to urocze zjawisko i zapomniał na chwilę o swem wodzirejostwie. Słyszał jej głos niski, leniwy, słyszał, jak mówiła do Stania, wzruszając lekko ramionami:

A gdyby i tak było?.. Stanio kręcił głową.

Nie byłoby w tem najmniejszego sensu.

Dlaczego?

Statnicka jest bardzo bogata, a Malewicz nie ma ani centa...

Muszka znów wzruszyła ramionami.

Cóż ztąd? zapytała.

Jakto? różnica majątkowa!

Och! to nie przeszkoda...

Oddalili się, rozmawiając, i Wielohradzki uczył, iż nagle jakiś ciężar moralny spada mu na piersi, coś nakształt refleksyi, zastanowienia się...

Różnica majątkowa... pomyślał według niej to nie przeszkoda!..

Lecz już szukano go, gdyż wszyscy mieli przytwierdzone lampki i teraz sami pragnęli znów rozpocząć tańce.

Wielohradzki pobiegł ku muzyce i grać kazał farandolę. Zabrzękły tamburyna, zagrzecotały bębny i zapiszczały flety.

Piosenka południa Francyi popłynęła w dal, ku paprociom galicyjskim. Śpiew chłopów Prowancyi wiódł do tańca

łańcuch arystokracji lwowskiej. Powoli zaczął szykować się ów łańcuch i Wielohradzki dobierał barwy gwiazd według ułożonej gammy przez jednego z nadwornych malarzy kasyna. Na czele zabłysło słońce Muszki.

Wielohradzki zbliżył się do niej.

Rzecz ułożona... pani powiedzie farandolę na sam szczyt pagórka, ja pilnować będę oświetlenia...

Uśmiechnęła się do niego w blaskach swego słońca, które oblewało ją złotą falą. Wielohradzki uczył,

iż traci głowę. Zebrał jednak resztę przytomności i klasnął w dłonie.

En route!.. zawołał. Orkiestra wrybuchnęła z całą siłą i Muszka popłynęła, znacząc takt dyskretnie, aby nie naruszyć estetycznej linii, w jakiej słońce płynąc miało. Wielohradzki cofnął się z areny ku krzakom, wśród których stali ukryci elektrotechnicy, mający rzucać elektryczne promienie na tańczące grono. W ciemności jednak, wiedzeni przez Muszkę, okrążali tancerze arenę, tworząc koło barwne, mieniające się od światła, jak pierścień olbrzymi sadzony szafirami, rubinami, topazami, szmaragdami i spojony słońcembrylantem. Klejnoty te zdawały się płynąć same w przestrzeni, bo tancerze, według informacji Wielohradzkiego, starali się opuszczać twarze, aby nie psuć efektu.

I pierścień ten wił się teraz wężowo, jakby łamany nagle palcami olbrzymia, aż nagle rozerwał się na dwie części, które mijając się wzajemnie zaczęły i wreszcie złączone mieszały się harmonijnie po to, aby rozprysnąć się nagle w promienie krzyża, którego środek stanowiło słońce, płonące na czole Muszki. I teraz twarze zaczęły majaczyć fantastycznie, tajemniczo, przyciemnione obramowaniem włosów i u mężczyzn odcięte od reszty korpusu ciemną linią odzieży. I była to cała armia głów bez ciał, płynących w przestrzeni, roześmianych lecz milczących, często bladych trupio w błękitnym blasku, to znów

purpurowych jak upiory w krwawym oświetleniu. I tylko, jak punkt kulminacyjny potężny i wspaniały, wy tryski wał z tej farandoli ściętych głów jaszczurczy tors Muszki, złoty, promienny, z białą plamą twarzy, pleców i karku.

Wielohradzki, oparty

O pień drzewa, śledził ewolucję tancerzy z gorączkowym napięciem. Czuł, iż orszak ten, fantastycznie piękny, ma w sobie czar sabbatu nieszkodliwych upiorów, wiodących taneczny korowód przy dźwiękach wygrywanej na gałęziach drzew symfonii północy. Wzrok jego gonił za Muszką i za wzrokiem biegła cała jego istota. Widział tylko niepewną sylwetkę jej twarzy i biustu i teraz więcej niż kiedykolwiek wydała mu się niepochwytą, doskonale harmonijną istotą. Zaczął mimowoli przypominać sobie całą rozmowę, przeprowadzoną na polance, i ogarnęła go gorączka. Obiecał, że przyjedzie nad morze... obiecał!..

Tymczasem farandola płynęła teraz powoli w stronę wzgóрка, który zupełnie tonął w cieniu. Muszka bez wahania wiodła cały łańcuch i zaczęła piąć się po ścieżce, która spiralnie wznosiła się ku górze. Wielohradzki zbliżył się ku elektrykowi, który zaczął gotować się do rzucania promieni.

Waż farandoli, sadzonej szafirami, rubinami, topazami, płynął wciąż ku górze w takt dziwacznej muzyki, drażniącej formalnie nerwy. Słońce Muszka wznosiła się powoli, coraz wyżej, jakby na skrzy

dłach nocnych mgieł, i wiodła za sobą cały rój gwiazd, orszak barwny i migocący, królewski dwór. królewskiego jej majestatu godny. Wszyscy na estradzie zgromadzeni i wśród areny stojący goście śledzili wzrokiem to promienne słońce, które biegło w ciemnie i chwilami wydobywało na jaw bladą twarz kobiecą i biust spowity w złotą tkaninę. Płynęła tak wśród ciemności, pierwsza i najpiękniejsza tajemnicza i ciągnąca oczy ludzkie niewysłowionym, czarem piękności i nieukróconej pychy. I nagle zatrzymała się na szczycie wzgóрка, unieruchamiając całą farandole, której węzowa linia, utkana gwiazdami, łączyła ją z ziemią migocącym łańcuchem.

Purpurowy, mieniaący się zielenią i złotem promień światła oblał ją nagle gorącą kaskadą i z niej spłynął ku innym tancerzom, stojącym teraz nieruchomo, jak szereg różnobarwnych posągów. Blaski lampek zgasły, lecz natomiast całe orgie barw grały teraz na fałdach sukien, na massach włosów, na szmatach ciał, na twarzach kobiet. I punktem kulminacyjnym tych blasków, źródłem światła promiennego, tęczą roztopionych klejnotów była Muszka, wspaniała, tryumfująca w swej piękności, wykwitatająca z ciemnej zieleni, jak kwiat złoty, czarowny i legendowy, z łodygi swego ciała, spowitego w mieniaącą się blaskami złota i szmaragdów szatę. Nie śmiała się teraz; nagle spoważniała, z oczyma przy

słoniętymi ciężarem powiek, z ustami zaciętymi w tajemniczym milczeniu.

Wielohradzki patrzył na nią jak na drogocenny brylant oprawny w złoto i rozrzucający dokoła słoneczne promienie i czar powabu kobiety z hojnością marnotrawcy. Wszystko płynęło ku niej: spojrzenia i uwielbienie ludzi, promienie światła, tęcza barw, służąca jej za tło, na którym jaśniała w tryumfie, w niezwyciężonej i wiecznie doskonałej piękności dziewiczej.

## VII.

Powoli zapadał zmrok i wkradał się do okna, przy którym szła Wielohradzka.

Koło niej Teczka składała już robotę i przysuwała maszynę do ściany.

Stara kobieta usiłowała napróżno nawlec igłę.

Niech pani pozwoli... ja nawlekę!.. wyrzekła Teczka wyciągając rękę.

Wielohradzka podała jej igłę i nitkę. Teczka zbliżyła się do okna i zaczęła nitkę zębami przygryzać.

Wielohradzka patrzyła na nią przez chwilę. Błada twarz młodej dziewczyny nabrała teraz bladości opłatka; jedynie tylko czarne oczy świeciły się wśród tej białej maski.

Brałaś dziś pigułki? spytała nagle Wielohradzka,

Brałam, proszę pani.

A piłaś wino czerwone?

Piłam, proszę pani. Wczoraj babci pani Bodocka przysłała dwie butelki... Babcia mi dała do obiadu pół kieliszka.

Podziała Wielohradzkiej nawleczoną igłę.

Proszę pani, już nawleczone!..

Lecz Wielohradzka zaczęła także składać robotę.

Ciemno już... nie widzę... mogę sobie do reszty oczy popsuć...

Zwróciła się znów ku Teci:

Niechże Teczka pamięta święcie słuchać doktora: brać pigułki i leczyć się. Teczka jest chora na niedokrwistość. Taka choroba nieuleczona może się na złe obrócić.

Teczka machnęła ręką.

Wielohradzka gest ten pochwyciła i zmarszczyła brwi surowo.

Teczka jest głupia!.. wyrzekła dobitnie. Naczytała się znów Teczka romansów i zachciało się Teci umierać. To grzech wyzywać śmierć, kiedy Bóg w nieskończonej dobroci swej Teci jeszcze do grobu iść nie każe. Czy Teczka zwaryowała, bawiąc się w jakąś desperację? Ma Teczka z łaski Boga i babki co jeść, w czym chodzić, gdzie spać, ma Teczka rodzinę zącą i dającą jaknajlepsze przykłady... czego się Teci zachciewa?

Teczka stała, przestępując z nogi na nogę i łykając ślinę. Ciemne oczy utkwiła w zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju Tadeusza.

Być może... ciągnęła dalej Wielohradzka

iż z czasem trafi się Teci jaki poczciwy człowiek, i Tecia pójdzie za mąż...

Nie, proszę pani!..przerwała nagle dość reżolutnie Tecia ja nie pójdę za mąż!..

Tecia jest jeszcze głupsza, niż przypuszczałam odburknęła Wielohradzka. Jeżeli się znajdzie uczciwy, z dobrem nazwiskiem i odpowiednim stanowiskiem człowiek, to nikt Teci o zdanie nie będzie pytał. Zrobi się to, co się zrobić powinno... Słyszała Tecia?.. A teraz idź do domu, bo trzeba babce i Felkowi herbatę przygotować.

Ide, proszę pani.

Z poręczy sofki zdjęła Tecia włóczkową chusteczkę i, owinąwszy się nią powoli, jakby z żalem, kierowała się ku wyjściu. Lecz nagle drzwi prowadzące do pokoju Tadeusza otworzyły się i w progu stanął sam Tadeusz. Natychmiast Tecia przyspieszyła kroku i uciekła, jakby złapana na gorącym uczynku.

Tadeusz nie spojrział nawet na wychodzącą, lecz powolnym, ospałym krokiem zbliżył się ku matce.

Ona wyciągnęła ku niemu rękę i z największą troskliwością ujęła jego dłoń.

Tadziu!., ty masz gorączkę!wymówiła z odcieniem trwogi w głosie.

Tadeusz usiadł naprzeciw niej na framudze okna i zaspamym wzrokiem powiódł dokoła.

Nie mam gorączki!.. wyrzekł powoli tylko spałem długo i mocno!..

Ziewnął i dodał natychmiast:

Niech mamus da herbaty... Wypiję i położę się na dobre... Spać mi się chce...

Wielohradzka patrzyła na syna z wyrazem wielkiego współczucia.

Musisz być chory... ciągle teraz śpisz... może odsypiasz karnawał... ale to nienaturalne... Dlaczego nie czytasz?., dawniej czytałeś przez całe

Wielohradzki skrzywił się leniwo i z framugi osunął się na krzesło.

Och!., dawniej to co innego... teraz nie mogę czytać... w głowie mi się miesza!..

Położył głowę na kolanach matki.

Strasznie jestem zmęczony i śpiący wyrzekł w pół sennym głosem.

Wielohradzka pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

Wiem, co cię trapi wyrzekła pocichuale bądź dobrej myśli: wszystko się na dobre obróci.

Tadeusz szybko podniósł głowę.

Tak mamcia myśli?

Naturalnie. Inaczej miałabym o pannie Dobrojowskiej bardzo złe wyobrażenie... Ale pod tym względem jestem spokojna. Znam jej matkę i choć jest tylko Jeleń z domu, ale wiem, że ma doskonałe

zasady i musiała je przekazać córce... Dla zabawki, z lekkomyślności taka dystygowana i dobrze wychowana panna, jak Muszka, nie rozpoczyna tak ważnego kroku. Bądź spokojny: świetniejszą widzę przed tobą przyszłość, niż marzyć mogłam...

On patrzył na nią cokolwiek więcej ożywionym wzrokiem. Od kilku tygodni o szarej godzinie rozmawiali teraz otwarcie, gdyż Wielohradzki, trapiiony swem kobiecym usposobieniem, czuł konieczną potrzebę jakiegoś dyskretnego powiernika. Wielohradzka, instynktem wiedzioną, odgadła prawdę, półsłówkami doprowadzała syna na drogę zwierzeń i szybko uzyskała od zdenerwowanego chłopca dokładne określenie jego stosunku z Muszką. I nagle wypadło z jej ust słowo, które jak grom uderzyło w Tadeusza. Małżeństwo!

Według Wielohradzkiej syn jej mógł się ożenić z panną Dobrojowska. I przed olśnionym chłopcem zaczęła roztaczać tysiące przykładów, tysiące małżeństw, w których mąż oprócz nazwiska i urody nie przyniósł nic ze swej strony.

Według niej te małżeństwa były bardzo szczęśliwe i dowodziły wielkiego przywiązania, boć i mężczyzna czynił ofiarę ze swej miłości własnej, przyjmując posażną żonę, i abnegacją tą dawał jej dowód swej bezinteresownej miłości. Było to dowodzenie cokolwiek bałamutne, lecz Wielohradzka czerpała je rzeczywiście

w głębi duszy, przekonana o prawdzie słów swoich. I nagle zaczęła gorąco kochać tę Muszkę, nieznaną, zaledwie dojrzaną w cieniu kościelnym, która wyróżniła jej syna i z taką lekkomyślną szczerością zdawała się objawiać mu swe uczucia.

I od tej chwili Wielohradzka całymi godzinami komentowała wraz z synem każde słowo, każdy ruch, każde spojrzenie Muszki. Wyszędłszy z założenia, że Muszka, wychowana za granicą, ma swoje pojęcia i swój odrębny, a czasem nadto swobodny sposób zachowania się, tolerowała teraz w niej wszystko, zaślepiona macierzyńską miłością, nieprzerazona niczem, nawet kartką, nawet potajemnymi uściskami rąk, igrających z palcami Tadeusza, jak z bukietem kwiatów lub ze skrzydłami wachlarza.

Wielohradzka widziała to jedno, iż Muszka kochała się w jej synu. Kochając i przyznając się do tego uczucia, musiała myśleć o małżeństwie. Wielohradzka bowiem nie znała flirtu, nie wiedziała nic

O tym nowomodnym objawie neurastenii i przewrotności ludzkiej. Przyjmowała uczucia prosto i nie pojmowała inaczej rozwiązania miłosnej intrygi, jak w połączeniu dozgonnym. Pomimo zaślepienia wiedziała doskonale, że pomiędzy Muszką a Tadeuszem leży cała przepaść, lecz, na romantyzmie wykarmiona i wyhodowana, sądziła, iż miłość Muszki zdoła tę przepaść wypełnić. Dlatego więc owo tajemnicze i niewyraźne postępowanie panny Dobrojowskiej

znajdowała dość naturalnym i tłumaczyła je delikatnym sondowaniem serca i siły miłości, zanim do otwartej walki z rodziną i światem przyjdzie. Wiedziała, iż walka ta będzie gorąca, ciężka i długa, lecz ani na chwilę nie wątpiła o zwycięstwie Tadeusza. Dziś rodzaj arrogancyi Muszki wydawał się jej tylko objawem silnej woli, i to, co dawniej poczytywała jej za wadę, dziś dawało jej rękojmię doskonałości charakteru dziewczyny. Słowem według Wielohradzkiej była to „Miłość ubogiego młodzieńca” z bardziej ludzką i szlachetniejszą bohaterką.

Ona zaś stawiała po za postacią swego syna, gotowa także do walki, zbrojna w bezgraniczną miłość macierzyńską, w fałszywie pojęte przekonanie

O szczęściu życiowym, i gorączkowo pragnęła jak najszybszego wyjaśnienia całej sytuacji. Zalecała jednak synowi dyskrecję i cierpliwość, zachęcając go do zdania się zupełnego na wolę Muszki.

Ona wie, czego chce, i wie najlepiej, jakimi środkami zdoła przeprowadzić swe plany!.. mówiła Wielohradzka do syna.

I teraz, o szarej godzinie, rozpoczynali ciągle

i zawsze jedną i tę samą rozmowę, z tą jednak różnicą, iż o ile on stawał się niepewnym i wahającym, o tyle ona zdawała się być zupełnie spokojną, ufą i pełną otuchy. Lękała się zawsze, aby Tadeusz nie zawiązał stosunku z jaką zamezną kokietką, któraby mogła lekkomyślnością swoją zepsuć mu sytuację

w świecie, w którym przebywał. Zrozumiał, iż w całej tej sprawie chodzi o Muszkę, doznała olśnienia. Widziała syna swego mężem panny Dobrojowskiej, komisarzem cesarskokrólewskim, starostą w Żółkwi lub Sądowej Wiszni.. później może... kto wie, starostą w Krakowie...

Serce jej biło gwałtownie. Do ust cisnęła się modlitwa dziękczynna. Nareszcie... syn jej nie zginie, „nie zmarnuje się” i zajmie przynależne mu stanowisko. Nie mówiła jednak z nim o karierze. Wiedziała, iż owe możliwe awanse, owa drabina dygnitarska nie olśniewała go i nie ciągnęła nigdy. Kryła tę ambycję w głębi duszy. Z Tadeuszem mówiła tylko o Muszce. Widziała, iż syn jej zaczynał kochać się niemal po dziecinnemu, po studencku. Rzuciła słowo „małżeństwo” i zmieniła tor jego myśli.

Od tej chwili Tadeusz spoważniał i zaczął sam uważać się za feuilletowskiego bohatera. Miał oczy powleczone mgłą i zdawał się ciągle myśleć błędzić w przestrzeni. Ożywiał się tylko, rozmawiając z matką o Muszce, zdjęty kobiecą potrzebą zrzucenia ciężaru, jaki dręczył jego moralną istotę, egoistycznie nudny w ciągiem przeżywaniu jednych i tych samych frazesów, które nizał na różaniec miłosnego samolubstwa.

Lecz Wielohradzka, równie jak on nieznużona, powracała teraz ciągle do tego tematu, podsycając nieustannie jego imaginację i tworząc dokoła niego

atmosferę romantyzmu, przesiąkniętą platonyczną obecnością Muszki. I Tadeusz dążył teraz do domu z najwyższą niecierpliwością, wiedząc, iż tam tylko jedynie może mówić swobodnie, myśleć głośno i że znajdzie w głosie matki echo własnych myśli. Winszował sobie, że wpaść na dobry projekt uczynienia z matki powiernika, który dodawał mu energii i słabnąca wiaro rozbudzał.



A wiara ta w istnienie jakiegokolwiek uczucia ze strony Muszki słabła teraz coraz więcej, gdyż Muszka od chwili owej rozmowy w Paprotce nie dała o sobie nawet znaku życia. Znając jej kapryśne usposobienie, Tadeusz bał się jej narzucać swoją osobą i teraz jedynie Wielohradzka chodziła do katedry, o godzinie dwunastej w niedzielę, aby ujrzeć zdaleka Muszkę i powiedzieć o tem synowi. Lecz widziała ją zaledwie dwa razy.

Nadchodziły wyścigi; cała arystokracja galicyjska zaczęła ścigać do Lwowa. Urządzano nieustannie SchnitzelJagdy i Tadeusz słyszał, jak w biurze Malewicz, Pozbitowski i inni „koniarze” komentowali i rozbierali wypadki dnia poprzedniego, rzucając jak kulami, nazwiskami Dobrojowskich, Bodockich, Statnickich i innych. Wiedział, iż Orzecka miała fatalną szkapę i nosiła pod amazonką popielate jedwabne trykoty. Słyszał, jak Malewicz, zanosząc się ze śmiechu, opowiadał, iż wmówił w Kafthana, że koń jego wierzga, i Kafthan powinien sobie kazać na

plecach rajtroka wyszyć wielką podkowę z białego sukna. Kafthan pochwycił tę myśl z wielką skwapliwością i dał odpowiednie polecenie krawcowi. Malewicz obiecywał sobie wiele radości z powodu owej podkowy. Lecz już Stanio Pozbitowski błagował i śmiał się z Malewicza, który, będąc wybornym graczem, nie był tęgim jeźdźcem. Wygrawszy niedawno w karty znaczną sumę, zjawił się nagle na placu Jura w chwili wyruszania całej kalwakady na „halbblutce”, kupionej naprędce ze stajni Bodockich i mającej brzydkie przyzwyczajenie tarzania się w piasku. Klacz, widząc step złotego piasku, ścielącego się dokoła, zapragnęła użyć kąpieli i położyła się, zmuszając Malewicza do zeskokcenia z siodła, ku wielkiej ucieście Kafthana i całego towarzystwa. Stanio Pozbitowski, opowiadając ten takt, śmiał się do łez. Wtórował mu Jurek Bodocki, który klacz natychmiast odebrał i pieniądze Malewiczowi zwrócił. Malewicz przyjmował te drwiny wesoło i piękna twarz jego, roweselona i rozjaśniona, zadziwiała siedzącego przy biurku Wielohradzkiego regularnością rysów i czystością liliową doskonale pielęgowanej skóry. Lecz w tej atmosferze plotek i stajennych przygód nie wspomniano nigdy o Muszce. Wielohradzki nie śmiał się o nią pytać, lękając się zdradzić ze swą tajemnicą. Wiedział tylko, że była we Lwowie, gdyż raz Pozbitowski przyniósł zbiorową fotografię

całego „towarzystwa” w chwili rozpoczęcia SchnitzelJagdu, prowadzonego przez Orzeckiego, któremu przypadła rola jelenia.

Pozbitowski zbliżył się do stolika, na którym leżała fotografia, i wymieniał osoby, wskazując je ołówkiem.

Orzecka!.. o tu... wsiada na swoją szkapę... koło niej Melunio w płaszczu i w cylindrze na bakier... tu ja, tu moja matka i dwie siostry, a tu stara pani Bodocka, tu hrabianki... niedaleko Kafthan...

Nieprawda!.. pokaż!.. zachichotał Malewicz.

Pochylił się nad stolikiem i śmiał się, mając usta zapchane rogalikiem i cukrem.

Jak Boga kocham, prawda!.. wołał prawie przy samym powozie... umyślnie się tak umieścił... Hej!., panie Kafthan...

Natychmiast w sąsiednim pokoju dały się słyszeć ciężkie kroki i na progu ukazała się olbrzymia, tragiczna postać Kafthana.

Widziałeś pan fotografię?..

Jaką?..

A no zbiorową, z ostatniego Schnitzlu... Dlaczego umieściłeś się pan u stóp czwartej panny?  
Z pod brwi krzaczystych Kafthan rzucił na Malewicza ponure spojrzenie.  
Malediction wrzasnął „koniarz” co za

oczy!., jettatura!.. z pewnością dziś przegram moje ostatnie czterysta guldenów!..

Lecz Kafthan wyszedł z pokoju ciężkim krokiem, pochylając jeszcze więcej zgarbione plecy. Tymczasem Pozbitowski przyglądał się drobnym figurkom, czerniącym się na fotografii, i starał się rozpoznawać fizyognomie.

Zdaje mi się, że to... Maleni!.. tak, to jego łysina!

Pst!... zasyczał Bodocki, pokazując drzwi prowadzące na kurytarz.

A to Muszka Dobrojowska, obok niej Muszka Zaborowska, a tu niżej Muszka Hrunicka...

Wielohradzki wpatrzył się w czarną plamkę, mającą reprezentować Muszkę, jego Muszkę... i mimowoli przedstawiał sobie chwile, w której ta fotografia była zdejmowaną. Słoneczny plac Jura, setka ekwipaży, stroje kobiet, świetny szyk mężczyzn, wesołość, nietroszczenie się o jutro, bezustanna zabawa, jedna smuga śmiechu, błysku i wszelkich estetycznych zadowoleń. Ze świata tego był on prawie wykluczony, czasem jednak dopuszczany w chwili, gdy świat ten błyszczący kręcić się zaczynał. On w ruch puszczał i kierował. Lecz był zabiedny, aby mózdz znajdować się na takiej fotografii i stanowić jedną z tych czarnych plamek, które były odbiciem ich postaci. Rozgoryczony powrócił do domu i, nie jadłszy prawie obiadu, rzucił się na łóżko. Zaczął

po raz pierwszy może tak dotkliwie odczuwać swoją nędzę i ubóstwo. Dawniej owe SchnitzelJagdy były mu obojętne. Dziś marzył o nieb z gorączkową pożądlivością.

O szarej godzinie przywłókł się do owej framugi okna i usiadł naprzeciw matki, zdrećzony, zbolały stokroć więcej, niż to Wielohradzka przypuszczać nawet mogła. Ona, zmęczona całodzienną pracą pośpieszną, z całą przyjemnością zanurzyła się moralnie w ową kąpiel romantycznego uczucia i sama naprowadziła syna na drogę zwierzeń. Lecz dziś Tadeusz milczał, czując w sercu, oprócz miłosnego niepokoju, jad drećzących go od rana myśli. Nie mógł i nie chciał mówić o nich przed tą kobietą, która pokłóte palce owijała szmatkami płótna, pragnąc je wygoić do jutrzejszej pracy. I w milczeniu tem się trawiąc, cierpiał więcej, bo jego natura potrzebowała koniecznie ujścia. Milczał jednak, i szary cień zapadał mu na twarz, cień smutku i wielkiego niezadowolenia.

Tymczasem Wielohradzka starała się obudzić wiarę w sercu syna. Po raz setny powracała do tłumaczenia mu, iż postępowanie Muszki nawet ona sama znajduje naturalnem.

Jakże chcesz mówiła aby Muszka tak otwarcie i brutalnie stanęła do walki ze światem! Powoli, umiejętnie przygotowuje teren, stara się wybadać matkę, opiekuna, całe swe otoczenie.

Tadeusz, milcząc, głową kiwał. Wielohradzka pochwyciła go za rękę.

Słuchaj, dziecino! wyrzekła. Zmuszasz mnie tą swoje niewiarą do powiedzenia ci całej prawdy. Małżeństwo twego ojca i moje było twem przyszłym małżeństwem z Muszką. I on, jak ty, był ubogi, tylko rasowy, pan w każdym calu i mający piękne nazwisko. Ja, z zamożnego domu obywatelskiego dziewczyna, wyróżniłam go odrazu w tłumie otaczającej mnie młodzieży. Przewalczyłam, przecierpiałam i doprowadziłam do tego, że ojciec twój mnie poślubił... Zawahała się chwilę i twarz jej piękna w obramowaniu siwych włosów, na które padał zmrok wieczoru, przybrała odcień zakłopotania.

Nie powiem... ażebym postępowała z twoim ojcem, jak postępuje z tobą panna Dobrojowska ciągnęła łagodnie lecz... inne czasy, inne obyczaje. Rozumiem to i uwzględniam. I ja kryłam się długo, ze swoim wyborem, lękając się gniewu i oporu rodziców... Wreszcie przyznałam się...

Uścisnęła gorąco rękę syna.

I ona się przyzna!.. wyrzekła zobaczysz będziesz szczęśliwy!., ja także!., och! droga, dzielna dziewczyna!..

Tadeusz od kilku chwil myślał o tem, iż zataił przed matką punkt ważny, to jest przyrzeczenie da

ne Muszce, iż przyjedzie nad morze w sezonie letnim tam, gdzie ona przebywać będzie.

Nie śmiał się do tego przyznać, nie śmiał o tem mówić. Rozpacz bezsilna ogarniała go. Nie miał nawet dziesiątej części pieniędzy potrzebnych na tak daleką i kosztowną wycieczkę. Co począć miał!..

Minęły wyścigi, i Tadeusz przesiedział te dni w biurze i w domu. Nie chciał jechać dorożką na tor, co dawniej byłby uważał za szczyt szczęścia. Zaczął się teraz robić coraz wybredniejszym w sposobie pojawiania się w towarzystwach, i sama myśl niewzięcia udziału w corso powyścigowem odwiodła go od myśli pojechania na tor. Te trzy dni były dla niego najwyższą męczarnią. W dodatku wiedział, iż odbyło się kilka wieczorów, na które go nie zaproszono. Zaczął tracić nadzieję w świetność gwiazdy, która go wiodła do tej chwili i ułatwiała mu przesuwanie się po ślizgawce życia. Ostateczny cios spadł na niego z ust Stania Pozbitowskiego, który dnia jednego w rozmowie z Charłupką wspomniał o nagłym opustoszeniu Lwowa.

Wszyscy wyjeżdżają! mówił przedwczoraj Bodoccy, wczoraj Muszka Dobrojowska, dziś Orzeccy...

Ba!.. odparł Charłupko zostaną się panny namiestnikównie, kaiserkonigliche fornalka, będziemy grać z nimi w tennis; namiestnikowa mówiła mi, iż urządzić będzie gardenparty...

Śliczna perspektywa!., westchnął Pozbitowski. Wielohradzki pochylił się nad swym biurkiem i udawał, że czyta Waltera Scotta. Ale litery skakały mu przed oczami. Muszka wyjechała, nie zobaczywszy się z nim nawet. Prawdopodobnie zapomniała o nim zupełnie.

Powrócił do domu i od progu matka, spojrzawszy na jego twarz zmienioną, spytała szeptem z powodu obecności Teci: Et bien?..

Elle est partie!.. rzucił Tadeusz przez zaciśnięte zęby.

Wszedł do swego pokoju i tam położył się na łóżko w palcie, zakrywając twarz ręką. Martwił się, nie jak mężczyzna, ale jak dziecko, jak nerwowa i rozkapryszona kobieta. Nie krył się przed matką ze swym zmartwieniem. Owszem, przesadzał je nawet, pragnąc wywołać współczucie.

Wielohradzka zbliżyła się ku niemu, starannie drzwi zamykając. Chwilę szukała wytłómaczenia postępkowi Muszki i sposobu pocieszenia syna, lecz nic znaleźć nie mogła. Zaczynała sama dziwić się, lecz nie straciła ani na chwilę wiary, ani pewności siebie. Pochyliła się nad leżącym Tadeuszem, który wcisnął twarz w haftowaną poduszkę.

Nie martw się pocieszają go. Dostaniesz dziś jutro list, w którym znajdziesz słowo pożegnania i nadziei. Ja mam jaknajlepsze przeczucie...

Prześpij się... ja wychodzę... wstąpię do kościoła... Bóg przemieni to nasze strapienie... Zobaczysz, list wkrótce mieć będziesz...

Wielohradzki nie odpowiedział ani słowa, lecz jeszcze większy niepokój pochwycił jego istotę. Listu tego bał się jak ognia.

Jeśli bowiem Muszka da mu znać, gdzie się znajduje, powinien jechać natychmiast. Lecz za co? z kądem wziąć potrzebnych na tę podróż pieniędzy? Kto wie, dokąd Dobrojowskie pojedą? Nad Atlantyk? lub nad morze Śródziemne?...

Wielohradzka, zasłoniwszy okienko firanką z ciemnozielonej satyny, wyszła cicho z pokoju. Koło okna siedziała Teci i szyła pilnie, wyciągając nerwowym ruchem igłę z tkaniny. W jasnym oświetleniu delikatny, błądy jej profil rozpląwał się prawie i nikł w przestrzeni. Słońce zapalało świetlane blaski w jej włosach i migotało w celluloidzie strzały, sterczącej blond promieniem z pośród upiętej wysoko torsady.

Siedząc tak przy tem oknie, z którego płynęły strugi przejrzystego światła, miała w sobie wdzięk obrazu, nakreślonego ręką jakiejś belgijskiej impresjonistki. Bładoliliowe draperyę łączyły się z lekko zaprawioną woskiem podłogą, po której słały się promienie słońca.

Wielohradzka zbliżyła się do stołu i w kapeluszu i w okryciu zaczęła układać sfastrygowane

z glasy staniki i rękawy. Starła się zawinąć je w gazetę tak, aby tworzyły jaknajmniejsze zawiniątko. Chwilę opuściła ręce i stała tak zafrasowana, spoglądając na zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju syna.

Cierpiała nad tem, iż musiała w całej tej sprawie pozostać bezczynną i nie mogła żadną miarą wystąpić ze swą interwencją. Nie była jednak zdziwiona tą całą przygodą. Według niej Tadeusz, czy prędzej czy później, powinien był zrobić „karyerę” i zacząć ją od zawarcia jakiegoś świetnego związku małżeńskiego. Zbroiła się więc do walki, znając

slaby charakter syna. Postanowiła isc do kościoła i prosic Boga o sily i cierpliwosc. Dziś, mając podwójne zmartwienie, potrzebowała ciszy kościoła. Oprócz bowiem strapienia z powodu syna, lękała się teraz, iż Teczka lada chwila opuścić ją może. Pikiewiczowa wezwała ją zrana do siebie i prosiła, aby wpływem swoim uzyskała od Teczki zgodzenie się na zostanie żoną pana Janczewskiego. Mechanik oświadczył się o Teczce i, zyskawszy przychylną odpowiedź babki, znalazł się nagle wobec szalonego oporu ze strony samej panny. Pikiewiczowa tłumaczyła Wielohradzkiej, iż Janczewski, kolligacyami swymi spokrewniony z Charłupkami i innymi wysokimi rodami, będzie awansował szybko i zrobi „karyerę”. Damy, opiekujące się Pikiewiczowa i dające jej dożywotnią zapomogę, życzyły sobie

tego związku. Tymczasem Teczka wybuchem łez odpowiedziała na czynione jej w tym względzie zapytania i teraz zamknęła się w uporczywym milczeniu, którego nic przełamać nie mogło, Wielohradzka z uśmiechem na ustach składała Pikiewiczowej życzenia, lecz serce zamierało w jej piersiach. Teczka, raz zamąż wydana, musiała, naturalnie, opuścić jej pracownię i przestać dopomagać jej w pracy. Była to dla niej ruina, gdyż młoda dziewczyna prawie sama jedna dźwigała teraz cały ciężar powierzanych Wielohradzkiej robót.

Nic chcąc jednak dla egoistycznych powodów druzgotać przyszłości całej rodziny, Wielohradzka od rana usiłowała nakłonić Teczke do przyjęcia oświadczenia pana Janczewskiego. Teczka jednak bez gniewu i zalu odparła stanowczo, iż zamąż wyjść nie myśli, i z takim zapalem zajęła się szyciem i fastrygowaniem świeżo skrajanej sukni, iż Wielohradzka poczuła chwilową otuchę, wstępującą w jej zamierające z trwogi serce.

Niemniej jednak obecnie, kierując się już ku wyjściu, uznała za stosowne zwrócić się ku dziewczynie, która z ustami pełnymi szpilek siedziała pochylona nad bladoliliową kaskadą jedwabiu, opływającą ją dokoła.

Wychodzę... wyrzekła Wielohradzka powracając za godzinę. Niech Teczka pomodli się o dobre natchnienie i zastanowi się nad tem, co powiedzia

ła. Pan Janczewski zdaje się być uczciwym i zacnym człowiekiem. Gniazdo dobre, ród bogobojny. Przytem babka będzie z tego niewymownie szczęśliwa...

Zawahała się chwilę, poczem dodała mniej już pewnym głosem:

Ja... także!

Lecz Teczka, nie wyjmując z ust szpilek, zaczęła mówić przez zaciśnięte zęby:

Proszę pani... ja nie mam się co namyślać... ja za mąż nie pójdę... mnie tak dobrze... ja zawsze zostanę przy babce... przy Felku... i przy pani... dokąd mnie pani zechce trzymać u siebie...

Wielohradzka miała ochotę pocałować Teczke w czoło, lecz powstrzymała to grzeszne według niej uczucie radości.

Niech się Teczka jeszcze namyśli... wyrzekła, za kłamkę ujmując a!., jeszcze jedno... niech nie szyje na maszynie, bo pan Tadeusz się połoczył...

I, jakby czując konieczną potrzebę zwierzenia się z części swego strapienia, dodała:

Nie trzeba robić hałasu... Tadzio ma zmartwienie...

Teczka szybko głowę podniosła...

Co mu się stało, proszę pani?.. zapytała nieśmiało.  
Lecz Wielohradzka ściągnęła tajemniczo usta.  
To są zmartwienia, których Teczka jeszcze

nie rozumie!.. odparła, znikając w głębi przedpokoju.  
Za chwilę słychać było, jak delikatnie zamykała drzwi wejściowe, szumiąc jedwabną podszewką sukni, zlataną z  
tysiąca kawałków różnorodnej czarnej materii.  
Koło okna pozostała Teczka, blada w jasnym oświetleniu, które nadawało jej cerze przejrzystość japońskiej porcelany.  
Ze złożonymi na kolanach rękami siedziała prosto, sztywno, jak dziewice na obrazie prymitywistów, odziane w sztywne  
futurały blado zabarwionych brokartów. I tylko z jej ciemnych oczu zaczęły szybko toczyć się duże łzy.

### VIII.

Z bijącym sercem sięgnął Wielohradzki ręką po list, który na jego biurku w namiestnictwie leżał pomiędzy nielicznymi  
papierami, rozrzuconymi dokoła.

Koperta była zwyczajna, biała, bez zapachu, bez monogramu, koperta osób niechających się kompromitować lub  
niemających środków do wykwintnej dbania o sposoby korespondencji.

Tadeusz chciał już rozerwać ową kopertę, gdy do pokoju wszedł Pozbitowski i Jurek Bodocki, rozmawiający głośno o  
świeżym skandalu w łonie arystokracji galicyjskiej. Książę Boniński ożenił się z wieloletnią swą „przyjaciółką”, córką  
ekonoma, i podobno miał zamiar otworzyć salony i przyjmować przyszłej zimy. Bodocki pochwalał niezmiernie  
odwagę Bonińskiego i cieszył się nadzieją tej „bonne farce”, jaką Boniński damom galicyjskim urządził. Pozbitowski,  
mniej ekscentryczny, bardziej konserwatywny, ramionami ruszał i zdania swego nie wypowiadał.

Wielohradzki list do kieszeni włożył i wysunął się cicho z pokoju na kurytarz.

Po froterowanej posadzce, wśród wąwozu ścian białych, biegła ścieżka dywanika aż ku oknu otwartemu szeroko; po za niem szumiały i zieleniały drzewa rosnące na szkarpach. Szybko w oddali przesunęła się z jednych drzwi do drugich sylwetka Wojsy, niosącego pod pachą egzemplarze sztuk teatralnych przysłane do cenzury.

Wielohradzki podszedł ku oknu i wreszcie kopertę rozerwał. Na białej ćwiartce papieru nakreślono tylko te słowa:

France, Finistere, Concarneau. To było wszystko.

Wielohradzkiemu zdawało się, iż czyta wyrok swej śmierci.

Wolał już zupełne Muszki milczenie. Te trzy wyrazy nakreślone smagały go chłostą nędzy. Schował list do kieszeni i, oparłszy się o okno, patrzył na ulicę, nie widząc nic, prawie obłąkany z bezsilnego gniewu, jaki nim miotać zaczął.

Finistere! Concarneau!..

Musiało to być gdzieś na północy Francji, nad brzegiem oceanu. Tysiące mil dzieliło go od tego miejsca. Nie mogli nawet marzyć o pojechaniu natychmiastowem. Postanowił nie mówić nawet matce o otrzymaniu listu. Po co? wszak ona nic poradzić nie jest w stanie.

Oparł się o ramę okna i bezmyślnie zaczął patrzeć przed siebie. Przed nim, po za szerokością placu, który szarzał jasno w przestrzeni, bieliły się brutalnie baryery, otaczające dokoła szkarpy. Po za niemi pnie drzew nabierały fioletowoczerwonych tonów. Na żółtym piasku alei grały złote plamy słoneczne. I dalej panował cień trawników dobrze utrzymanych, pokrytych baldachimem lipowych gałęzi. Tu i owdzie migały sylwetki ludzi, dzieci odzianych jasno, mundury żołnierzy, białe fartuchy nianiek. Gdzieś daleko grała katarynka i urywane, chrypliwe tony dolatywały do uszu Wielohradzkiego. Zdenerwowany, cofnął się od okna i powrócił do biura. Usiadł, starając ukryć się po za rodzaj szafki, stojącej na biurku i przeznaczonej na chowanie papierów. Lecz i tam słyszał ciągle nosowy głos Stenia, jego śmiech kozi i niski gardłowy głos Jurka. Rozmawiali teraz o Malewiczu i o jego prawdopodobnem małżeństwie z panną Statnicką. I znów Bodocki znajdował odwagę panny bardzo „bath”, a Pozbitowski ramionami ruszał. Poczem utonęli w powodzi drobnych plotek, zaglądając od czasu do czasu do rozmaitych psiarni, stajni i wozowni. Plotkowali z prawdziwem zamięłowaniem, zręcznie, dowcipnie, tak, jak to mężczyźni plotkować umieją. On dit było ciągle na porządku dziennym. Wielohradzki, który dawniej przysłuchiwał się takiej

rozmowie z pewnym rodzajem respektu, dziś gryzł sobie do krwi ręce, aby nie wybuchnąć nagle nerwowym płaczem i nie zacząć ciskać papierami i raportami na głowy arystokratycznych plotkarzy. Porwał Walter Scotta i zaczął czytać przerwana powieść. Lecz teraz znów Bodocki powrócił do Malewicza i opowiadał, że zapanuje wielki smutek wśród dam, skoro ten professional lower ożeni się i przestanie w wolnych chwilach od grania w karty flirtować na seryo i na żarty.

Wielohradzki wetknął obydwie wielkie palce w uszy i siedział tak blady, z oczyma nagle podsiniąłymi, z wargami pogryzionymi, w przystępie szalonego nerwowego podrażnienia.

Gdy powrócił do domu z silnem postanowieniem niemówienia matce o otrzymanym liście, pierwsze jego słowa były:

Mam list!..

Wielohradzka złożyła ręce jak do modlitwy.

Chwała Bogu!.. zawołała radośnie.

Lecz on zawrzał cały i wybuchnął teraz tak długo powstrzymywaną rozpaczą.

List!., tak!., zapewne, otrzymał list, a raczej świstek, na którym było wypisane miejsce pobytu Muszki, lecz co mu z tego? do czego mu to służy?., do czego?..

Położył przed matką ów arkusik papieru i sam zaczął biegać po pokoju, jak pantera po klatce. Rozerwał u szyi kołnierzyk i krawat. Rozdrażnienie i upał dusiły go. Sine żyły wystąpiły mu na skroniach, na delikatnym tle przejrzystej skóry.

Wielohradzka przeczytała list i zdziwiona spojrzała na syna.

Nie rozumiem twego rozdrażnienia... Panna Dobrojowska przysłała ci swój adres, chcąc, ażebyś do niej napisał.

Trzeba, ażebyś brulion ułożył dziś wieczorem.

Lecz on przerwał jej gwałtownie, nie hamując nawet swego uniesienia.

Nie!.. krzyknął nie pisać, nie układać bruliony powinienem... ale... jechać!!! Tak! jechać do tego Concarneau!.. i to natychmiast. Zataiłem przed mamą, iż lekkomyślnie przyrzekłem Muszce przyjechać tam, gdzie ona będzie w lecie!

Dziś, wierna swemu przyrzeczeniu, daje mi znać o sobie, i przesyłając adres, wzywa, abym dotrzymał danego jej słowa... a ja... jechać nie mogę! nie mogę!., nie mam za co!., nie mam za co!..

Wielohradzka poblądła nagle i usiadła na poblizkiem krześle, jak ktoś, na kogo spada nagle nieprzewidziany zupełnie cios w chwili wielkiej radości. Twarz jej postarzała nagle o kilkanaście lat, ręce obwisły wzdłuż ciała.

Tymczasem Tadeusz zaczął znów biegać po po

koju, rwąc feerycznie krawat i zaciskając go dokoła szyi.

Jechać!.. śmiał się gorzkojechać!., z czym? z temi czterema guldenami w kieszeni?.. A!., gdy pomyślę, że stracę Muszkę przez tę moją nędzę przekłętą, mam ochotę polecieć nad staw Pełczyński i rzucić się w wodę!..

Chciał jeszcze mówić, lecz Wielohradzka powstała nagle i ze stanowczością żelazną w głosie wyrzekła:

Postaraj się o urlop i dowiedz się, ile kosztuje kolej tam i z powrotem do tego Concarneau...

Tadeusz stanął na środku pokoju i ramionami wzruszył.

Po co?... zapytał przecież nie pojedę!.. Lecz Wielohradzka odparła z prostotą:

Pojedziesz!., musisz!..

I Tadeusz pojechał.



IX.

Trzęsący omnibus hotelowy o wyłożonym dziwnie pudle zaczął dudnić z hałasem po bruku. Tadeusz, zmęczony forsowną w trzeciej klasie jazdą, wtulił się w kąt i przymknął oczy. Lecz w okienku drzwi pojawiła się głowa posługacza, który wrzasnął z całej siły:

Le port!..

Tadeusz oczy otworzył i zaczął patrzeć przez szyby na panoramę portu Concarneau, znajdującego się w chwili pełnego przypływu morza. Patrzył i oczom swym nie wierzył, tak czarowny widok miał przed sobą. Wychowany pomiędzy ulicą Jezuicką i namiestnictwem, nie zastanawiał się nawet, iż na świecie, oprócz Wałów i salonów, ogrzanych sztucznym światłem i przesyconych duszną atmosferą, są inne jeszcze miejsca, pełne jasności, przestronne i całe białe od szerokiej płachty staczającego się w przepaść widnokregu.

Jego biedne oczy koncepspraktykanta otwarły się

szeroko na widok starego miasta Concarneau, występującego nagle fortyfikacjami z granitu z fal morza, fal w tej chwili szarzielonych, osrebrzonych massa białej piany, która śniegowym wałem bramowała obrosłe szmaragdową pleśnią granity.

A dokoła tej fortecy, tak czarodziejsko wyrastającej wśród fal, jak potworny i skamieniały kwiat

o zębatej koronie, kołysał się cały las bark, statków

i łodzi o jasnozielonych, purpurowych i brązowych korpusach. Z purpury tej i zieleni sterczały wysoko w górę maszty, z których spływały olbrzymie siatki, wydęte wicherem o czarująco delikatnych, niepewnych i zmieniających się barwach. Zdaleka wyglądały te siatki jak olbrzymie wuale z krepy szafirowej, brązowej, liliowej, szarej... Wiatr rozwiewał je jak najcieńsze, najdelikatniejsze zasłony. Na ciemnym szafirze nieba cień tych krep siatkowych nabierał mistycznych, dziwacznych tonów, kryjąc w swych fałdach brutalność masztowego skieletu. I daleko, daleko; wzdłuż kamiennego ocembrowania wybrzeża, widać było tę masę wualów, wiewających powoli, wysoko, po nad tłumem rybaków i rybaczek, cisnących się po nad wybrzeżem. Omnibus zawraca teraz dokoła placu, po którym biegały dzieci, odziane w szafirowe płótno i w klekocące drewniane saboty. Wielohradzki dojrzał jeszcze całą masę białych, muślinowych czepków, których szarfy wiatr rozwiewał, płaskie kosze, osrebrzone tysiącami sardynek, i żółte

stroje rybaków, rozchodzących się z bark po szynkach i knajpach nadbrzeżnych.

Owionął go ostry zapach warechu i świeżych ryb. Dzuł się dziwnie niespokojnym i mimowoli drżał teraz na całym ciele. Lecz już omnibus zajeżdżał przed hotel pierwszorzędny i wysoka kobieta w małym czepku, odziana czarno, z

twarzą rozpaczliwie smutną, otwierała drzwiczki omnibusu. Była to sama właścicielka hotelu, pani Leclinche, chłopka bretońska, z bogactwami i wiecznie zachmurzona. Szybko zmierzyła wzrokiem wykwinne ubranie podróżne Wielohradzkiego i oceniła jego bagaże. Widziała, iż walizki nie były wielkie, lecz dość eleganckie, okryte pokrowcami z szarego płótna, na których czerniły się dyskretnie wyszyte monogramy. Zwróciwszy się do służby, zadysponowała numerem i, oddawszy dziewczynie walizki, powróciła na ławkę, stojącą przed hotelem, na której usiadłszy z założeniami na piersiach rękami, zdawała się zapominać o Wielohradzkim i o świecie całym. Z pod oka jednak śledziła wciąż sardynierki, przechodzące z koszami pełniami sardynek przez plac, czekając na wysłanie swych ludzi w chwili, gdy fabryki przestaną już kupować potrzebne im ilości ryb. Poźniej bowiem przybyłe barki musiały sprzedawać połów swój za bezcen, nie chcąc być zmuszonymi do wrzucania sardynek w morze. Pani Leclinche miała niewielką fabrykę, cokolwiek oddaloną od miasta. Skupowała

zwykle już trochę przestarzałe sardynki i miała je za znacznie niższą cenę, spekulując na ogólnej nędzy, panującej pomiędzy rybakami Concarneau.

Tymczasem Tadeusz gorączkowo obmyślał się z podróznego kurzu i, zadzwoniwszy na służącą, rzucił jej z niechęcią pytanie: czy hrabina Dobrojowska mieszka w tym hotelu? Dziewczyna, gapiowata bretonka o wspaniałych czarnych oczach, cała roześmiana w promieniach muślinu swego czepek i olbrzymiego kołnierza, odparła, że jest w hotelu „comtesse Dobrożecki” i że te panie są teraz na wybrzeżu. Tadeusz podziękował jej uprzejmie, na co bretonka odparła skromnie, iż „niema za co”, i, pozostawszy sam, otworzył walizy i rozkładał na krzesłach, fotelach i stole zgniecione cokolwiek przez tak daleką drogę ubranie. Po głębszym jednak namyśle postanowił nie zmieniać podróznego garnituru i jedynie włożyć świeżą bieliznę, krawat i kapelusz. Nie wiedział bowiem, co i kiedy się kładzie nad owym „morzem”, pomimo, że krawiec we Lwowie dał mu odpowiednie informacje.

Ubrawszy się, uczesawszy, skropiwszy wodą kolońską, przejrzał się Tadeusz z zadowoleniem w lustrze. Zmęczenie podróży dodało mu interesującej bledkości. Schudł trochę i oczy mu zapadły. Znalazł się ładnym i powrócił jeszcze raz do lustra, aby lekko pociągnąć popękane od wiatru wargi pomadką poziomkową. Wciągnął rękawiczki i, nałożywszy

kapelusz, wyszedł wreszcie, starając się odgadnąć, które z tych zamkniętych drzwi prowadziły do pokoju Muszki. Na wschodach spotkał się nagle z całą bandą młodych dziewczyn w białych, różowych, niebieskich bluzkach i szewiotowych ciemnych spódnicach. Panny te mówiły po angielsku i miały duże nogi, obute w jasne trzewiki, i wielkie zęby, wysuwające się fatalnie aż po nad dolne wargi. Niektóre miały małe męskie kapelusiki na gładko wyczesanych włosach, inne berety, a dwie czy trzysukienne kratkowane czapki z daszkami silnie opuszczonymi na cokolwiek zaczerwienione nosy. Panny te przemknęły koło Tadeusza jak cienie, nie zwracając na niego uwagi, szwargocząc głośno i dźwigając pod pachą teki, pudelka z farbami, płótna na blejtramach, składane krzeselka, a nawet male stalugi trzcinowe.

Wielohradzki wyszedł na ulicę i szedł teraz wzdłuż ocembrowanego brzegu, pragnąc wydostać się na „plażę”, gdzie prawdopodobnie znajdowała się Muszka. Lecz tłumy bretonek, cisnące się dokoła bark, z których rybacy podawali im cebry i kosze sardynek, zmuszały go co chwila do zatrzymywania się. Pod domami siedziały całe rzędy kobiet

bezczynnych, z rękami opuszczonemi na czarnych fałdach odzieży, i patrzyły na port, do którego bezustannie wpływały barki o żółtych i pomarańczowych ża

glach. Żagle te przy wejściu do portów zwijały się szybko, jak skrzydła olbrzymich ptaków dążących do gniazda o wieczornej porze. I zamiast żagli, powoli ku górze wznosiły się siatki rozpięte szeroko, siatki, w których szafirze lub zieleni przeblyskiwały srebrne ciała dużych ryb o purpurowych ogonach i skrzelach. Dno barki wyścielał śnieg sardynek, w którym słońce zapalało złotawe iskierki. I kołysząc się zwolna, nowo przybyłe łodzie torowały sobie drogę ku kamieniom ocembrowania pomiędzy masą innych bark, a na podstawie srebrnej sardynek rysowała się teraz postać rybaka, brutalna i niezgrabna, w niekształtnych liniach odzieży, uszytej z żaglowego płótna, gorącopomarańczowego koloru.

Od brzegu wyciągały się ręce, ramiona kobiet, rzucające po przez głowy innych, jak piłkę potworną i pękniętą, płaskie koszyki. Krzyk gardłowy wypełniał powietrze. Ciemne twarze mężczyzn, zjedzone przez wiatr i wodę morską, ciemniały jeszcze pod wpływem nabiegającej krwi z wysiłku przy dźwiganiu koszów. Kobiety zachowywały ciągle dziwną przejrzystość płci, niemal dziewiczej, pod delikatnym obramowaniem swych prześlicznych muślinowych czepków. Kilkanaście szarf długich, oszytych koronką, zwieszało się z pod takiego czepka, a wiatr rozwiewał je dokoła, jak promienie świetlanej i doskonale białej mgły. Kohnierze białe odsłaniały szyje rybaczek i spadały do pasa na czarnej tkaninie aksa

mitem ubranego stanika. Spódnice krótkie sięgały niemal do kolan i odsłaniały nogi w wysokich skarpetkach z zielonej wełny. Na nogach klekotały saboty.

Wielohradzkemu zdawało się, iż nagle znalazł się na przedstawieniu jakiegoś baletu, i że te rybaczki w koronkach i zielonych skarpetkach zaczną niezadługo jakiś taniec przy dźwiękach orkiestry teatralnej. Lecz one rozchodziły się wolno po zaułkach miasta, po dwie, niosąc kosze sardynek.

Niektóre przechodziły most zwodzony i znikaly w obrębie fortyfikacyi starego miasta, które teraz traciło cokolwiek na swej tajemniczości, pokryte lasem masztów i siatek pełnych ryb.

Wielohradzki zapominał się ciągle, stając co chwila na brzegu ocembrowania. Ten ruch, to morze, tak blisko rozbijające się o kamienie, tuż pod jego stopami, zadziwiała go. W oddali po za linią portu dostrzegał białawą płaszczyznę olbrzymią, niezmierną. Był to ocean, i Wielohradzki uczył nagle dreszcz trwogi. Biedna dusza lwowskiego filistra doznała wstrząśnienia. Odwrócił się i zaczął iść szybko wzdłuż domów, na których progu siedzieli mężczyźni szyjący kobiece spódnice i dziecinne sukienki. Tymczasem kobiety, obarczone ciężarem ryb, kierowały się szybko w stronę fabryk, których kominy sterczały samotnie wzdłuż wybrzeży. Tu i owdzie z szynków dochodziły ochryple głosy, ry

bacy wychodzili z łodzi i znikali w głębi szynkowni, zmęczeni i żujący tytuń.

Wielohradzki błędził chwilę wśród tych domów pomiędzy bandami dzieci, które przeciągały po ulicach poważne i milczące w swych aksamitnych czepkach, haftowanych złotem i szklanemi paciorkami. Zatrzymał się przed sklepem sabotów i dziwił się, jak ludzie mogą chodzić w podobnych pudełkach. Lecz tuż obok niego maluchna dziewczynka szła szybko, kłękając po bruku drewnianymi podeszwami sabotów, i malutkie jej nóżki wysuwały się z pod dość długiej szafirowej spódniczki, obciążone czerwonymi pończoszkami. Nagle Wielohradzki pochylił się ku dziecku, pytając: *Ou est la plaqe?*

Lecz mała podniosła na niego wielkie czarne oczy i nie odpowiedziała nic, nie rozumiejąc po francusku. Weszła w wązka uliczkę, która schodziła na dół, cała obwieszona massa liliowych akacyj, zwieszających się z murów bramujących ten wąwóz. Wielohradzki patrzył na dziecko, jak szło poważne i spokojne, podobne do szafirowo odzianej mniszki, podnosząc sabotami brzeg sukienki i niosąc niemal nieruchomie swą głowę, okrytą muślinem bardzo skomplikowanego czepka.

Mimowoli ta miniaturka kobiety, niknąca coraz dalej wśród murów zielonych od pleśni, pociągnęła go za sobą. Wszedł w tę uliczkę cichą i odludną

i szedł tak długo pomiędzy ciasną przestrzenią liliową, zieloną i różową od akacyj i złotą od przedzierających się przez gałęzie promieni słonecznych. I nagle doznał olśnienia. Uliczka urywała się na zakręcie, i oczom Tadeusza odsłoniło się morze, całe różowe i jasno popielate, rozciągające się niezmierzoną płaszczyzną pod baldachimem przeczystego szafiru.

Wielohradzki stanął na chwilę i zamienił się cały w oczy, zapominając na sekundę o Muszce, oczarowany, podbity; lecz wnet usunąć się musiał, gdyż z wąwozu uliczki wypadł teraz mały wózek, naładowany rozmaitej wielkości łódeczkami i okręcikami, ciągniony przez dwóch chłopczyków odzianych w białe flanelowe garnitury z ponsowemi beretami na złotych włosach. Za wózkiem pędziło kilka dziewczynek z łopatami i kubelkami w obnażonych do pleców rękach. Cała ta banda, piszcząc, krzycząc, migając purpurą beretów, rozwiewając różowe i białe fałdy sukienek, przemknęła koło Wielohradzkiego i zapadła po kostki w piasek biały i czysty, który rozścielał się dokoła delikatną warstwą, obramowany zielenią tuż ciągnących się łąk, które szły w górę, ku miastu, służąc za podstawę nadbrzeżnym willom i murom opasującym zabudowania fabryczne.

I wówczas dopiero Wielohradzki zrozumiał, że jest na owej „plaży”, której szukał. Przed nim morze wyzarło rodzaj małej zatoki i teraz łagodnie

muskało ten brzeg, cały biały od lekko zwilgotniałego piasku, po którym snuły się ciemne sylwetki postaci ludzkich. W półokrąg, jak łoże teatralne, stały kabiny, pomalowane czerwono lub żółto, i sterczał duży piec blaszany, przy którym jakaś kobieta olbrzymia, odziana w rybacki kaftan i męski kapelusz, grzała kubły z wodą. Kilkadziesiąt osób zajmowało brzeg „plaży”.

Zdaleka widział Wielohradzki kilka kobiet odzianych w długie białe peniuary, chodzących tu i owdzie pomiędzy grupami osób siedzących na składanych krzeselkach lub na fotelach w formie małych namiotów. W liliowej powierzchni morza migotały blisko brzegu czarne punkciki. Byli to bez wątpienia kąpiący się. Po lewej, na wierzchołku niewielkiej skały, odcinały się czysto, jak chińskie cienie, sylwetki kilku małych chłopców, giestykulujących żwawo. Cisza była wielka i tylko szmer lekki rozbijającej się o kamienie wody rozplątywał się w powietrzu.

Wielohradzki stanął niepewny i niezdecydowany. Przez całą drogę gorączkowo podniecony odsuwał myślą chwilę spotkania się z Muszką. Tyle razy był boleśnie dotknięty, gdy przybył przez nią wezwany, iż zaczynał nie mieć więcej złudzeń. Mimo to jednak urok tej długiej, pierwszej w życiu podróży, romantyczne rady matki upoiły i rozkołysały go. Teraz stanął wobec rzeczywistości. Wyobrażał sobie, iż Muszka, ta jego Muszka, jest tam, o kilka kroków,

i ogarniała go wielka nieśmiałość. Wezwała go sama, lecz czy pamiętała już, iż sformułowała z dobrej woli to wezwanie? Jak go przyjmie? co mu powie? może wobec tych wszystkich ludzi odwróci się od niego, jak od natrętnego intruza...

Zaczął powoli okrążyć „plażę”, topiąc nogi w piasku i posuwając się z trudnością. Nie miał odwagi zejść na dół i zmieszać się z tymi ludźmi, którzy na tem morskiem wybrzeżu, pod ścianami kabin, zdawali się być u siebie, na swoim terytorium. Gdy przedostał się na drugą stronę zatoki, ze zdziwieniem ujrzał, iż po za pierwszą jest druga „plaża”, a za tą trzecia i czwarta.

Lecz tu było mniej osób. Dwie kabiny, zamknięte na kłódki, sterczały samotnie, oparte o skałę. Kilka osób znajdowało się na wybrzeżu.

To ośmieliło Wielohradzkiego. Brnąc w piasku, zeszedł i odetchnął, gdy poczuł żwir pod stopami. Wtedy dostrzegł, że po brzegu chodzili mężczyźni w kostiumach kąpielowych i wygrzewali się na słońcu. Byli to ludzie dziwaczeni, z długimi włosami i brodami. Dwóch paliło fajki, plując na żwir, a jeden z nich, kościsty, olbrzymi brunet, który miał na plecach swego trykotu wyhaftowaną wieżę Eiffel, siedział na piasku, z nogami podkurczonymi na sposób turecki i w milczeniu patrzył na morze.

Żaden z tych ludzi nie spojrzał nawet na Wielohradzkiego. Wszyscy zdawali się być pogrążeni

w jakiejś niemej kontemplacji i zajęci tajemnicą własnych myśli. Po za jedną z kabin Wielohradzki, przechodząc, zauważył stalugi, płótno, pudełka z farbami i drzemiącą murzynkę, odzianą w jaskrawą żółtoczerwoną szatę. Do murzynki tuliła się małpa, nawpół zakopana w piasku.

Wielohradzki minął i tę „plażę” i mimowoli szukał teraz kąta, gdzie mógłby myśli zebrać i nakreślić sobie plan działania. Trzecia „plaża” była zupełnie pusta, bez kabin, bez kąpiących się ludzi. Olbrzymi szmat piasku rozścielał się od morza ku górze, ujęty z obu stron w ciemne ramiona skał i przechodzący powoli w zieleń łąk, z których tu i owdzie wystrzelały czerwone pnie świerków o czarnych bogatych baldachimach.

I tylko po prawej stronie, na wierzchołku skały, zamajaczyła zdaleka jakaś sylwetka. Mewy od czasu do czasu zrywały się z brzegów, przelatywały po nad powierzchnią morza i spadały znów na skały, gdzie pozostawały nieruchome, zapatrzone w dal, zasłuchane w łoskot fal.

Wielohradzki zaczął iść w kierunku skały. Pragnął usiąść na jej wierzchołku i zostać chwilę sam z sobą. Nie pragnął teraz ujrzeć Muszki, wprawdzie chciał się otrząsnąć z doznanych wrażeń.

Teraz, pozostawiony sam sobie, samotny, zaczął się analizować i instynktem oszczędzał swe

nerwy. Czuł, iż nie jest w tej chwili przygotowany do stanięcia oko w oko z Muszką.

Wszedł na wierzchołek skały i nagle, z drugiej strony odłamu kamienia, ujrzał pannę Dobrojowską.

Oddech mu zamarł w piersiach, ona zaś zupełnie spokojnie, z lekkim odcieniem dobrze odegranego zdziwienia, wyrzekła, podając mu rękę:

Tiens!.. cest vous?..

I z pod przysłoniętych rzęs patrzyła mu prosto w twarz, z takim spokojem, jakby to nie ona rozkazem swoim zwabiła go na ten kraniec Europy, nad brzegi oceanu.

On patrzył również na nią, lecz był zmieszany, jak człowiek złapany na gorącym uczynku kradzieży albo innej zbrodni.

Widział przed sobą jej prześliczną twarzyczkę, wysuwającą się z dziwnego kapelusza, zrobionego z różowego batystu w formie dużej budki, jaką noszą angielskie Kały Grenway dziewczynki.

Miedzianego koloru jej włosy lekką złotawą pianą ciemniały pod arkadą koronek i batystu, przez którą przeświecały różowe, słoneczne blaski. Nigdy może Muszka nie wydała mu się tak piękną, tak złagodzoną jakimś dziecinny, uroczym wdziękiem.

Szerokim, miękkim gięstem ukazała mu natychmiast horyzont, mówiąc z półuśmiechem:

Regardez!.. comme c'est beate!.. Wielohradzki pobiegł oczami po za tę rękę, która,

wysmukła i piękna, zamajaczyła przed nim, opięta długą rękawiczką duńską. Pragnął porwać ją, przycisnąć do ust, do serca, zdjęty nagłą potrzebą wypowiedzenia wszystkiego, co tłumił w sobie od tak dawna, lecz milczenie Muszki dławilo mu wyrazy cisnące się do gardła. Nie chciał być śmiesznym: a czuł, iż byłby śmiesznym, dając w tej chwili ujście swym romantycznym popędom.

Muszka, zapatrzona w dal, zdawała się w tej chwili już zapominać o jego obecności.

Przed nią słońce zapadało powoli, zawieszono jeszcze po nad morzem nakształt olbrzymiej purpurowej lampy. Odbijało się w morzu daleko, rozplaszczając się na całe pasma, drżące złotem i krwią rubinów. Lecz już w oddali, ku skrajom widnokręgów, i niebo i morze przybierało żółtobiałe tony i zlewało się razem tak, iż zdawać się mogło, że to ocean podnosi się ku górze i przechodzi w ten ciemny szafir, służący za tło purpurze słonecznej. Z mokrego warechu, który włóczył się brązowymi kłębami po rozpadlinach skały, wznosiła się ostra woń jodu. Dziwaczne zielony mchy o szmaragdowych cieniach czepiały się kamieni jak warkocze topielicy. I nagle, z szaloną szybkością, zaczął konać dzień. Morze cofało się, odsłaniając coraz więcej wybrzeże, pokryte teraz gładką powierzchnią zwilżonego piasku. Po morzu liliowobiałym, o czerwonych smugach świeżo przelanej krwi, przesuwały się barki

o brunatnych, szeroko rozpiętych żaglach. Wiatr powiał silniejszy i w górze słońce bladło, zatracając swą purpurę, topiąc ją w blaskach chłodnej, pomarańczowej barwy.

Wielohradzki chciał coś przemówić, rozpocząć rozmowę, chwalać morze, pytając o starą hrabinę, lecz Muszka uprzedziła go szybkim ruchem, nakazując mu milczenie.

Oh!.. taisto!.. zawołała po raz pierwszy mówiąc mu ty taisto!..

On umilkł, nie mogąc pojąć, dlaczego ona każe mu milczeć wtedy, gdy jemu potrzeba słowa piersi rozsądza, wtedy, gdy sa sami i mówić mogą bezpiecznie. Lecz ona powróciła znów do swej kontemplacji i pragnęła odnaleźć widocznie przerwane przez Wielohradzkiego marzenie.

Trudno jednak było. Urok znikł, Muszka zmarszczyła brwi i niecierpliwie zaczęła gryźć usta.

Czar prysł!.. wyrzekła jakby do siebie półgłosem.

Wielohradzki naiwnie zapytał:

Dlaczego?

Ona popatrzyła na niego z pewnym rodzajem współczucia i nareszcie wzruszyła ramionami.

Nic... nic... chodźmy!.. wyrzekła.

Zeszli powoli ze skały i Wielohradzki, który ślizgał się po wilgotnej massie warecka, podziwiał, jak Muszka zsuwała się lekko, stawiając umiejętnie na

odłamkach skały swe stopy, obute w płócienne o gumowych podeszwach trzewiki.

Milcząc, przeszli całą „plażę”, i teraz Muszka szła cokolwiek naprzód, dziwnie wiotka i kształtna w swym białym flanelowym kostiumie, składającym się ze spódnicy, krótkiego żakietu i sznurowanej u szyi bluzki. Przechodząc mimo drugiej „plaży”, Muszka zatrzymała się na chwilę, obok drzemiącej murzynki.

Coż to? śpisz, Dżali? spytała po francusku.

Murzynka, a raczej taitianka, otworzyła szeroko swe prześliczne czarne oczy (oczy dobrego domowego zwierzęcia) i z uśmiechem, odsłaniającym w ciemni jej twarzy dwa sznury białych zębów, odparła chrapliwie:

Moa... froidl..

Przytulila małpę, owinęła się w szmatę jedwabiu i znów zaczęła drzemać, ciągle zmarzła i drżąca, nawet w jaskrawym blasku słońca. Muszka pochylała się nad małpą i głaskać zaczęła jej kosmatą czaszkę.

Joli Coco!.. mówiła pieszczotliwym głosem.

W sercu Wielohradzkiego wezbrał wielki żal. Muszka miała nawet dla zwierząt dobre słowo: dla niego nic, prócz odegranej komedii w chwili powitania. Gdy odeszli od małpy, zdjęty nagłą determinacją, wyciągnął rękę.

Ja panią pożegnam! wyrzekł, starając się ukryć zły humor.

Lecz ona wciąż szła dalej, nie patrząc na niego.

Cóż znowu? odparłazaczekaj pan chwilę, przedstawię pana mojej mamie...

Dochodzili do kabin, i Wielohradzki ujrzał zdaleka samą hrabinę Dobrojowska, która stała na stopniach swej kabiny, ubrana szaro, z parasolką białą w ręku. Obok niej krzątała się panna służąca, składając fotele, stołeczki, książki, i wnosząc ten cały bazar do wnętrza kabiny. Wielohradzki poznał w niej natychmiast tę samą istotę, która oczekiwała nań we Lwowie przed bramą domu i wezwała go w imieniu Muszki do teatru. Otoczyła go natychmiast dziwaczna atmosfera tajemnicy i kłamstwa. Ta służąca powiernica, spełniająca tajemnicze zlecenia córki i krzątająca się koło matki, przejęła go niesmakiem i trwogą. Lecz już widok samej Dobrojowskiej, którą widywał tylko zdaleka, dopełnił tej trwogi. Zdawała mu się, że od tej szaroubranej damy, na pozór nic nie znaczącej i podobnej do tuzina dam z arystokracji, zależą losy jego przyszłego życia. Mimo swego zmieszania, starał się jednak iść z gracyą, o ile mu piasek, wypełniający jego półbuciki, na to pozwalał. Nie miał pojęcia, w jaki sposób odbędzie się owa ważna prezentacja. Tymczasem Muszka, doszedłszy do matki, wyciągnęła rękę w stronę Wielohradzkiego i wyrzekła z wielką prostotą:

Mamo! pan Wielohradzki!.. Dobrojowska uśmiechnęła się blado i uznała za stosowne zdziwić się: co robi ten pan Wielohradzki w Concarneau. tak daleko od Lwowa?

A!.. a!.. wyrzekła, głową kręcączkąd pan się tu wziął?.. Taki kąć zapadły!.., co pana tu zagnało?..

Wielohradzki nie przewidywał tego zapytania. Spadło na niego, jak piorun, lecz Muszka, dostrzegłszy jego zakłopotanie, zaczęła mówić:

Och!.., pan Wielohradzki nie może się tu znudzić... Artysta!..

Pan maluje?.. spytała stara hrabina.

Tak!.., troche!.., akwarelle... odparł Wielohradzki, patrząc uparcie na końce swych bucików.

A!.., w takim razie mówiła Dobrojowskarozumiem pana preferencyę dla Concarneau. Mnóstwo tu artystów. Sanderson, pejzażysta amerykański, z całą szkołą amerykanek, także tu bawi... Trzydzieści panienek... bardzo oryginalne dziewczęta. Przytem jest kilku Francuzów malarzy... ale to wielkie oryginały... Czasem się ich lękam... mają długie brody... włosy... Ils ont l'air des anarchistes...

Zaczęła śmiać się cicho i zwróciła się ku pannie służącej, która zamykała kabinę na klucz, chmurna i czarna pod strzechą swej odstającej grzywki.

Panna Marcela skończyła? spytała hrabina.

Tak, proszę pani hrabiny.



Proszę wziąć Mopcię i zawołać Tamtutkę... Panna Marcela wyciągnęła rękę, i dopiero teraz Wielohradzki dostrzegł, iż hrabina trzymała pod pachą małego pieska, tak popielatego, jak jej okrycie.

Tamtutka!.. wołała panna Marcela.

Z po za kabin wybiegł śliczny King Charles z olbrzymimi czarnymi oczami.

En route!.. zakomenderowała hrabina. Muszko, podaj mi ramię, bo utonę w tym piasku!

Muszka podała matce ramię i obie, skinąwszy głową Wielohradzkiemu, odeszły powoli, kierując się w stronę wąskiej uliczki, którą wydostał się na „plażę” Wielohradzki.

Tadeusz patrzył za nimi przez długą chwilę. Szły wolno, obie sztywne, prawie jednakowego wzrostu, obojętne na wszystko, co się wokół nich działo.

Za nimi, jak cień, wlokła się czarno ubrana panna Marcela, a za panną Marcelą kopała się w piasku Tamtutka, wyglądająca zdaleka jak czarna niewielka kula.

Za chwilę cała ta karawana, obnosząca z taką godnością swe moralne i fizyczne ja, zniknęła pod arkadami liliowych akacji i różowych powojów.

Table d'hote!..

Wielohradzki pewny, że spotka przy stole Muszkę, wszedł pierwszy do sali jadalnej.

Chciał cofnąć się od progu, widząc, iż niema jeszcze nikogo, lecz już pani Leclinche płaczliwie wskazywała mu miejsce w samym środku długiego

Oto miejsce pana! wyrzekła grobowym głosem.

Wielohradzki usiadł i zaczął wodzić wzrokiem po ścianach pokrytych deskami, na których wisiały stare porcelanowe talerze z Quimper i rozkładały się dziwaczne obrazy o brutalnych płaskich sposobach malowania. Gdzieś jaśniał bladoliliowy pasek morza roztopionego w szklance osłodzonej wody. Jasne światło gazu wydobywało złośliwie na wierzch wszelkie wahania się nieumiejętnej techniki wirtuozów pendzla i oświetlało tryumfalnie proste środki, jakimi widocznie „nowi” starali się osiągnąć doskonałą summę wrażeń dla patrzącego na ich obraz człowieka.

Wielohradzki, zdziwiony, uznał w duszy, iż podobne „bohomyzy” nie powinny być zawieszane nawet w salach hotelu, a wiedząc tyle o prerafaelitach, co o królowej siamskiej, ciasną duszą filistra zwracał się chętniej ku liliowym piaskom, mającym być olejną fotografią nieskończonego w swym majestacie morza.

Tymczasem dokoła stołów krzątały się sługi, przeważnie młode dziewczyny, odziane w kostiumy

rybaczek, tylko w dłuższych spódnicach i bez sabotów na nogach.

Zapalały kandelabry, układały owoce, przynosiły serwetki wsunięte w srebrne i kościane kółka, oznaczone nazwiskiem właściciela, i kładły je obok talerzy. Wielohradzki usiłował odgadnąć, gdzie siedzieć będzie Muszka, i gorąco mu się robiło na myśl, iż może zajmie miejsce obok niego. Po za nim, przez rząd szeroko otwartych okien, widać było konanie dnia, przepływającego z jasności w błękitnawoszarą mgłę. Z trzaskiem zamykano żaluzje. Rybacy kłócili się na placu i ochryple ich głosy mieszały się ze szczękiem talerzy. Nagle, z ostatnią zamkniętą żaluzją, wrzask ten ucichł i teraz tylko słychać było dźwięk fajansu i suchy łoskot przetrząsanego srebra.

Lecz już powoli drzwi otwierać się zaczęły i wchodzili goście, szukając swych miejsc, odsuwając krzesła, oglądając serwety, zamieniając je, witając się wzajemnie. Nikt nie zwracał uwagi na Wielohradzkiego, który w swym kostiumie lwowskim, skrajanej modą wiedeńską, w sztywnym kołnierzyku i krawacie miał minę wystrojonego komiwojażera. Wszyscy ci ludzie, którzy wchodzili do sali jadalnej, przybierając maniery i pozy rybaków i rybaczek, mieli na sobie odzież flanelową, luźne bluzy, koszule rozchylone u szyi, szewiotowe żakiety, alpagowe kurtki, ręce opalone, twarze zaczerwienione

i pogryzione słońcem, morskiem powietrzem. Z hałasem i śmiechem wtargnęła grupa dzieci, dwóch chłopców w marynarskich kurtkach, dwie dziewczynki w długich, flanelowych, różowych sukienkach. Rzucili się do swych krzeseł, czyniąc wielkie zamieszanie, zajmując dużo miejsca swymi maluchnymi osóbkami.

Prawie wszystkie miejsca przy stole były teraz zajęte. Dwa krzesła obok Wielohradzkiego i trzy naprzeciw pozostały próżne. Teraz rzędem zaczęły wchodzić amerykanki i zasiadać dokoła osobnego stołu, który bielił się, jak długi wazki wąż, w głębi sali. Wszystkie te miss były do siebie podobne: chude, cienkie, w bluzkach perkalowych, odstających na plecach jak balony, w spódnicach z ciemnej wełny. Niektóre miały cere dość świeżą i przejrzystą, przeważnie jednak były to brzydkie dziewczyny.

Na samym końcu stołu, w otoczeniu owych amerykanek, zajął miejsce siwy mężczyzna, wysoki, blady, o długiej, białej brodzie i spłowiałych turkusowych oczach. Miał wygląd morfinomana i źrenice zaszklone. Był to sławny malarz amerykański, Sanderson, nauczyciel tej całej falangi młodych ń, które przywędrowały za nim po grzbiecie oceanu do Bretanii, dla „studowania morza”.

Dziewczyny usługujące roznosiły zupę, bulion bładawożółty, po którym pływały kawałki chleba.

Łyżki zaczęły dzwonić o talerze i jedynie ten hałas przerywał grobową ciszę panującą w sali. Grono malarzy Amerykanów i Anglików, odzianych correct w surduty i krawaty, odbijało od reszty gości swą zimną poprawnością

niekompromitujących się w zbytniem *laisser aller* ludzi. Wielohradzki zaczął się przypatrywać ciekawie tym bladym, podłużnym twarzom, oprawionym w wązkie paski baków lub wygolonym starannie, jak twarze aktorów lub dzokiejów. Zauważył, iż od czasu do czasu malarze przesyłali znaczące spojrzenia ku missom, a te nawzajem odpowiadały z pod przysłoniętych powiek, zaczerwienionych od wiatru i słonego powietrza morskiego.

Nagle drzwi się otworzyły z hałasem i wtargnęło do sali czterech mężczyzn oraz owa murzynka, którą Wielohradzki widział drzemiącą na „plaży” po za kabinami. Murzynka miała teraz tryumfujący turban z fularu mocno czerwonego. Dreptała po za mężczyznami, którzy szli prosto ku swoim miejscom, rozmawiając głośno. Odziani byli dziwacznie, brudno w zbyt ciasnych koszulach, w wypłamionych kurtkach. Jeden z nich miał na nogach saboty i stukał niemi przeraźliwie; inni szli cicho, jak koty, mlaskając kaloszami o zbyt wyfroterowaną podłogę. Swobodnie i niedbale zajęli miejsca i zabrali się ostro do jedzenia zupy, odgarniając długie włosy i brody, które im spadały na ramiona, nadając pozór bandytów włoskich. Koło Wielohradzkiego usiadła

murzynka i natychmiast wpakowała olbrzymi kawałek chleba w swoje szerokie usta. Miała ruchy małpy i kurczyła się na krześle, ciągle zziębła. Gorąco jednak zaczynało już panować w sali i jedna z dziewczynek otwierała wentylatory. Inne sprzątały talerze i przynosiły półmiski. Wielohradzki posmutniał i zaczął melancholijnie wpatrywać się w swój pusty talerz.

Muszka nie przyszła.

Liczył tak wiele na owo zbliżenie się przy stole, na ciągłą rozmowę, na to odosobnienie się, pomimo obecności współbiedników! Zamiast Muszki, miał obok siebie potworną postać taitianki, czarnożółtą w okrutnym świetle gazu, z płamami sinemi paznocy na długich kościstych palcach.

Wielohradzki podniósł oczy, chcąc uniknąć widoku tej ręki, która ciemniała przed nim na bieli obrusa, poruszając się nerwowo, jak gad czarny i potwornie brzydki. Szmer rozmów zaczynał powoli dźwięczeć w powietrzu. Roznoszono ryby nieznanie Wielohradzkiemu, prawie purpurowe. Francuzi ożywiali się, nalewając wino, jabłecznik lub piwo. Dzieci rozprawiły dość głośno o zapowiedzianych za dni parę regatach, w których miały wziąć udział wszelkie malutkie okręciki, jachty, barki będące w posiadaniu dzieciarni w Concarneau. Długowłosi mężczyźni zawiązali pomiędzy sobą pogawędkę, interpelując się

przez stół, nazywając się pomiędzy sobą nabi \*) i zdając się nie zważać na otaczające ich osoby. Jedyne tylko klan malarzy amerykańskich jadł w milczeniu, zamieniając spojrzenia z missami, które jadły powoli, nie śpiesząc się, wyprostowane w sztywnych kołnierzykach kretonowych bluzek.

Wielohradzki szczęśliwy był z owego braku ciekawości, jakim się odznaczyli ci wszyscy ludzie. Był jednym krzesłem zapełnionym czemś, co zdawało się nie egzystować w przestrzeni. Nie potrzebował ukrywać wcale złego humoru i zdenerwowania, jakie go ogarniało. Myślą przebiegał świeżo odbytą podróż, męczącą, straszną, upokarzającą, w brudnym wagonie trzeciej klasy, pomiędzy chłopami, plującymi bez przerwy na podłogę, i handlarzami koni, którzy powracali do Laval. Jechał tak bez wytchnienia przez Wiedeń, przebiegał miasta, goniąc tanie pociągi, i dopiero w Laval wsiadł do pierwszej klasy, lękając się jakiego nieprzewidzianego wypadku, któryby mu kazał się wstydić za tę

źle ukrytą nędzę. Przywitanie z muszką nie odpowiedziało jego oczekiwaniom. Dziewczyna znów zamknęła się w sobie zazdrośnie i nie dała mu niczem poznać, że była rada z jego przybycia...

Chouxfleurs, sauce blanche... zabrzmiało nad jego uchem.

\*) W hebrajskim i arabskim mli znaczy prorok. (P. A.)

Wziął odrobinę kalafiorów, pragnąc odosobnić się znów i powrócić do swoich myśli. Lecz teraz było to już niepodobieństwem. Rozmowy krzyżowały się w powietrzu, a grupa długowłosych mężczyzn żarliwą dyskusją przewyższała wszystkich. Wielohradzki zaczął się im przyglądać uważniej i zdziwiony był dziwną łagodnością, jaka przebijała się z tych twarzy. Wszyscy byli do siebie podobni; sposób noszenia długich włosów i bród nadawał im zapewne ową wspólną cechę. Z rozmowy ich Wielohradzki zrozumiał, że to była właśnie owa grupa źle wychowanych malarzy francuskich, o których mówiła hrabina Dobrojowska. Zbliżka jednak byli mniej straszni, niż widziani na wybrzeżu w purpurze zachodzącego słońca. Wielohradzki starał się pochwycić treść ich rozmowy. Lecz napróżno wyteżał swoją inteligencję. Słyszał ciągle słowa: „synteza”, „symbol”, „styl” imiona: Gwido ze Sieny, Cimabue, Ghirlandajo, Monticelli... I znów, z błyskotliwością, właściwą wykształconym Francuzom, ludzie ci przeskakiwali w rozmowie do wad ustroju społecznego, do namietności wstrząsających umysłem ludzkim, do psychologii, do filozofii, wspominając bezustannie Platona, cytując Villiers de l'Isle Adam'a. Był to chaos, gorączka słów, wymiana myśli, chwytanie w lot wrażeń. Wielohradzki, ze swoim biednym, zaciemnionym umysłem filistra lwowskiego, przeraził się wobec tej napozór beładnej gadaniny ludzi, tak jaskrawo

już wysuwających się po za zwyczajne objawy szaroty codziennego życia ślimaka biurowego. Dla niego prócz ścian namiestnictwa, salonów i powieści historycznych, nie istniały żadne horyzonty. Tymczasem ci ludzie o długich włosach i poplamionych farbami kurtkach grali w piłkę wiedzą i własnym zrozumieniem obowiązków człowieka. Malarze amerykańscy, ciągle milczący, zdawali się uważnie przysłuchiwać słowom tych czterech „rozczochników.” Czasem półgłosem zamieniali z sobą jakąś uwagę, lecz natychmiast milkli i siedzieli jakby skamieniałe sfinksy w swoich dobrze wykrochmalonych gorsach, nad talerzami, zieleniejącymi resztką sosem oblanymi kalafiorów. Obiad dobiegał do końca. Wnoszono pieczone i sałatę. W okienku, przez które wysuwano z kuchni półmiski, ukazała się biała postać „szefa” i obok niego tragicznie melancholijna pani Leclinche. Gwar rozmów wypełniał teraz całą salę. Jedna z dziewczynek różowo ubranych, korzystając z zamieszania, piła czyste wino szklankami i purpurowe rumieńce wykwitły na jej małą twarzyczkę. Francuzi promienieli na widok salatek z sałatą. Miss agielskie żądały już sera i owoców, jedząc bardzo mało, dla zachowania „wiotkości” swojej kibici. I nagle, tuż po za Tadeuszem, zaczęły rozmawiać dwie usługujące dziewczyny. Jedna z nich zapytywała drugą: czy comtesse posłano sałaty. Na przeczącą odpowiedź,

dziewczyna wzięła salaterkę i znikła z nią we drzwiach, które do tej chwili były zamknięte. Przez szczelinę Tadeusz dostrzegł brzeg nakrytego obrusem stołu, oblanego jarzącym światłem. Natychmiast zrozumiał, że Dobrojowska jada osobno, w małym saloniku. Sprawilo to mu pewną ulgę, iż wiedział, że przez ścianę znajduje się Muszka, która zanadto była wyniosła i dumna, aby się mieszać z tym szarym tłumem. Zaczął żywić sekretną nadzieję, iż może hrabina zaprosi go do swojego stołu, i z wielkim apetytem zjadł udko kurczęcia oraz cały stos sałaty. Nalał nawet murzynce szklanekę wina, za co otrzymał tak straszne przewrócenie białkami, iż wzdrygnął się nerwowo, nie będąc przygotowanym na podobne wyrażenie wdzięczności.

Gorąco w sali panowało straszliwe. Francuzi pocili się, i mężczyźni bez żenady rozpinali kamizelki, rozwiązywali krawaty. Kobiety wachlowały się serwetami. Dzieci kręciły się na krzesłach, pijąc coraz więcej wina. Jedynie tylko amerykańskie i amerykańskie pozostały spokojni. Za to malarze francuscy gestykulowali teraz zawzięcie, deklamując całe tyrady na cześć Oven'a. Dziewczyny usługujące krzątały się, roznosząc ser, ciastka i owoce, a białe ich czepki wirowały po sali, jak olbrzymie ćmy, zwabione światłem gazu. I nagle z wielkim hałasem zaczęto wstawać od stołów, cisnąc się ku wyjściu. Wielohradzki, pragnąc pokazać się dobrze wychowa

nym, uklonił się murzynce, która roześmiała się, pokazując dwa rzędy olbrzymich, żółtych zębów. Turban zsunął się jej na bakier, fałszowane wino podniecało dobry humor. Zaczęła podskakiwać, jak małpa, pomiędzy dziećmi, które ją otaczały, przyglądając się jej ze źle ukrytą ciekawością.

Wszyscy przechodzili teraz do salonu i na werendę, każąc sobie podawać tam kawę i likiery. Wielohradzki, nieprzyzwyczajony do jedzenia obiadu o tak późnej porze, wysunął się na plac, pragnąc odetchnąć świeżym powietrzem.

Uśpieni w barkach ludzie leżeli na duie łodzi, poowijani smołą napojonem płótnem, które w słabym świetle zawieszonych u burty latarek nabierało tonów bladooranżowych.

Barki te stały rzędem wzdłuż ocebrowania, jak cała serya dziwacznych i nędznych alków, wrytych teraz w dno portu, z którego morze uciekło, odsłaniając łożysko zawałone kamieniami i krzakami warechu, przybierającymi w cieniach nocy zagadkowe kształty przysiadłych do ziemi potworów.

Na środku portu, czarną massą dźwigając się od ziemi, uśpione i ciche, wznosiło się stare miasto Concarneau, i tylko most zwodzony, oświetlony kilkoma latarkami, znaczył się mistyczną ścieżką, zawieszoną w przestrzeni.

Wielohradzki szedł wzdłuż wybrzeży i łoskot jego kroków po kamieniach rozchodził się daleko. Jedyne tylko oświetlone szynki wyrzucały ze swego wnętrza kłęby ludzkich głosów, głosów ochrypłych, przyciszonych szczelnie zamkniętymi drzwiami. Gdzieś tam pijany rybak leżał na chodniku lub zataczał się wzdłuż wybrzeża, pragnąc znaleźć swą barkę. I tylko u góry, pomimo panujących ciemności, kołysały się lekko wiatrem wydymane welony siatek, jak wale niewidzialnych żalobnych tancerek wykonywujących ewolucję pod sklepieniem w kir spowitej świątyni.

Wielohradzki oddychał z trudnością. Straszne wyziewy rozkładających się ryb zatrwały powietrze. Szybko Tadeusz odnalazł ową uliczkę, którą się wydostał na „plażę”, i bież nią zaczął. Znalazłszy się przed kabinami, odetchnął. Powietrze było czyste. Dokoła panowała cisza i spokój zupełny. Tylko zdaleka słychać było szelest fal morskich. Wszystko jednak rozplywało się teraz w ciemności. W oddali wszakże, wysoko, jakby w powietrzu zawieszony, płonęły purpurowo latarnie morskie. Wyglądały jak nagle rozpalone w przestrzeni ogniska. Promienie ich płynęły daleko. Lecz nic dostrzedz więcej nie było można. Morze cofnęło się, jak zwierz do legowiska. Wielohradzki zaczął błądzić po „plaży” i znów uczucie wielkiego osamotnienia przepełniło mu serce.

Przypomniał sobie matkę i usilne staranie, z jakim zdołał pożyczyć w różnych miejscach tych pięćset guldenów, jakie mu dała na drogę. Nie starał się powstrzymać jej w tym szalonym postanowieniu. Wydawało mu się rzeczywiście, iż przyjazdem swoim dokona cudu. Tymczasem rezultat był nędzny, mały i smutny. Tadeusz postanowił nie pisać matce całej prawdy. Oddalony od niej, nie pobudzany serdecznością jej głosu do szczerych zwierzeń, zaczynał znów być blagierem i pozwalał chętnie przechwalania się brać górę nad codzienną szczerością. Zresztą, nie wiedział jeszcze nic pewnego. Kto wie, co mu jutro przyniesie...

Nagle zobaczył jakieś dwa cienie, sunące po skałach i niknące w oddali. Wyteżał wzrok i śledził je, gdy znów podobna para musnęła go prawie i zniknęła w jakiejś rozpadlinie. Wielohradzki, nagle zaniepokojony temi milczącymi zjawiskami, zaczął iść pośpiesznie w stronę hotelu. Lecz co chwila spotykał teraz takie pary, przesuwane się w stronę skał, jak sylwetki pokutujących cieni.

W jednej z tych par Wielohradzki poznał jedną z miss amerykańskich, prowadzoną pod rękę przez jednego z amerykańskich malarzy. Wybrzeże zaroilo się teraz od tych czarnych sylwetek. Zdawało się nawet Tadeuszowi, iż w jednej z tych kanciastych i sztywnych postaci poznał samego mistrza, Sandersona, o szklistych źrenicach morfinomana, pro

wadzącego pod rękę najmłodszą ze swych uczennic lecz nie był pewnym.

Powrócił teraz na wybrzeże, gdzie coraz więcej w płótno smołowe owiniętych postaci zaległo dna barek. Latarki, kołysane wiatrem, rzucały niepewne drżące smugi. W jednym szynku drzwi uchylły się nagle i Tadeusz dostrzegł całą bandę francuskich malarzy, pijących koniak razem z rybakami i chłopami. W ponurem oświetleniu szynkownianej izby brodate ich twarze nabierały znów wyrazu fantastycznej dzikości. Pomiędzy nimi płonął turban murzynki i błyskały

białka jej oczu. Nagle drzwi się zamknęły i w umyśle Tadeusza pozostało widzenie ujrzanego nagle dziwnego obrazu.

Gdzieś, w oddali, jakiś majtek zaczął wyć popularną piosenkę:

Allons a Lorient Pecher la sardine...

I nie mogąc przypomnieć sobie dalej ani melodyi, ani słów, powracał ciągle do tych dwóch wierszy, do tych dwóch taktów, z uporem pijaka W wycie to przeciągle wpadł nagle odgłos dzwonów. Było to couwrefeu, godzina dziewiąta, godzina spoczynku.

Głos dzwonów przeleciał w tej czerni po nad barkami, po nad starem miastem, zamkniętem w kamiennej skorupie fortu, i po fałdach rozwianych wi

chrem siatkowych welonów popłynął na morze, nad którym czerwieniła purpura latarni portowych.

Po placu błdził Wielohradzki, wpatrując się w okna hotelu, w których powoli światła gasły. Chciał odgadnąć, gdzie się znajdował pokój Muszki, i banalny w objawie swych uczuć, zwracał się w swą moralną istotę, pragnąc pobudzić serce do rozwiązania tej zagadki.

Lecz serce milczało...

## IX.

Niechże pan weźmie moje bokale, a ja poniosę siateczki.

Więc na seryo idziemy łowić kraby?

Na seryo... robię to codzień po odpływie morza. Zobacz pan, jak się wybornie bawić będziemy!

W białym berecie, z pod którego wymykały się pasma kręconych włosów, w białym krótkim żakiecie o dużych złożonych guzikach, z siatkami na ramieniu, ze szklanymi słojami pod pachą i z niezwykłą wesołością w szafirach oczu, przywitała Muszka schodzącego wczesnym rankiem ze wschodów, Tadeusza.

Wielohradzki trzymał w ręce list, który napisał w nocy do matki, proste zawiadomienie o szczęśliwym przybyciu i kilka słów o serdecznym powitaniu Muszki.

Nie spodziewał się zastać panny Dobrojowskiej w przedsionku hotelowym. Zmieszał się i list ukrył w kieszeni.

Muszka dostrzegła ten manewr i przy

gryzła usta. Szybko jednak przybrała na twarz maskę wesołej obojętności, oddała Wielohradzkiemu słoje i zaprosiła go na połów krabów.

Musimy wstąpić na „plażę” do naszej kabiny wyrzekła nie mogę przecież wejść do wody ubrana tak, jak jestem w tej chwili.

Przeszli plac i zagłębili się w wąwóz, na który spadał deszcz akacyj. Poranek był prześliczny. Niebo miało tony opalu. Słońce z trudem przebijało się przez te mgły mleczne, które powoli rozdzierały się, znacząc owe rozdarcia złotymi zygzakami. Gdy doszli do „plaży”, morze zdaleka miało te same białe barwy, niepewne i wahające. Gdzieś migotała złotawa iskierka, lecz szybko gasła, pokryta płatami piany. Szeroko rozciągała się piaszczysta wydma łożyska, na którego jasnej posadzce występowały brutalnie czarne skały, przyczajone, to znów wyciągające się w górę, pierwsze nakształt uśpionych potworów, drugie, jak olbrzymie, zrywające się do lotu ptaki wodne.

Wielohradzki stał koło kabiny, w której przebierała się Muszka; i smutek jego i zniechęcenie rozplływały się razem z temi mgłami, które słońce ostrzem swych promieni rozpraszało. Życie wydało mu się całym pasmem nieskończonych rozkoszy, i pełen otuchy przyglądał się swemu białemu flanelowemu garniturowi w wązkiej niebieskiej paseczki. Na nogach miał długie ciemnogrnatowe pończochy, silnie obciążone

gnięte i wybornie kształt łydki uwidoczniające. Obuty w płócienne trzewiki o kauczukowych podeszwach, które kazał sobie wczesnym rankiem do hotelu przynieść, odsłaniał stopę małą, kształtną, stopę kobiety. O charakterze wiecznie chwiejnym i niezdecydowanym. Szeroki pas granatowy jedwabny ścisnął jego biodra. Głęboko wycięta biała koszula wełniana, związana krawatem z tego samego, co i pas, jedwabiu, dopełniała kostiumu. Na głowie Tadeusz miał beret granatowy, włożony z pewnym szykiem, tak, jak noszą berety młode kobiety, nie uciskając całej czaszki

i nie zakrywając czoła. W tem całym ubraniu, a raczej półchłopcym kostiumie uroda jego, delikatna i dziewczęca, uwidoczniała się i nabierała wdzięku, Woniał dyskretnie werweną, i ten zapach, cokolwiek mdły i niewyraźny, był wybornym akompaniamentem do jego całej istoty.

Drzwi kajuty otworzyły się z cicha i wybiegła z nich Muszka, odziana dziwacznie, w szerokich plisowanych spodniach z granatowej serży, które opadały dokoła niej nakształt spódniczki. Wązkie stopy obute miała w espadrille białe płócienne, tors zaś okryty granatową, fularową koszulą, szeroko otwartą u szyi, z dużym, wełnianym białym marynarskim kołnierzem. Na głowie beret biały, a na plecach zarzucony żakietek ciemny o świecących guzikach. Wyglądała jak paż smukły i zuchwały, no

sząc ten kostium trochę ryzykowny z nieporównaną dystynkcyją i wdziękiem.



Wielohradzki wpatrywał się w nią z niemym zachwytem, ona zaś patrzyła na niego z widocznym upodobaniem. Chwilę tak skrzyżowały się te cztery źrenice. Pierwszy ocknął się mężczyzna i, uśmiechając się teraz tak, jak uśmiechają się ci, którzy mają atut w ręku, wyrzekł:

Chodźmy!

I poszli w głąb wydmy piaszczystej, ku drzemią cym lub zrywającym się do lotu skałom, po za którymi białe, jak mleko, morze powoli zaczynało się złocić i różowić po brzegach szumiących fal.

Szli tak długo, milcząc, aż dotarli tam, gdzie woda cienkimi strumykami przepływała po piasku, naksztalt niezliczonych strumieni, czystych jak łza i szemrzących cichutko po milionach muszelek, które się żółciły, różowiły, białeły i czerniły wśród niepewnego tła piasku. Wielohradzki zdjął trzewiki i pończochy, ukrył je w rozpadlinie skały i brodził teraz boso po piasku, cokolwiek zażenowany, nieoswojony ze zwyczajami przyjętymi na wybrzeżach morskich, Lękał się kataru i newralgii, lecz widząc, z jaką odwagą i niedbałością Muszka zanurza się w coraz głębsze pasma wody, usiłował ją naśladować, pomimo

pewnego wstrętu, jaki mu ta zimna, szczypiąca woda sprawiała.

Co chwila przelatowały drobniuchne szare rybki, uderzały go po nogach i zakopywały się szybko w piasek, niknąc w jednej chwili, niemal w czarodziejski sposób. Czasem przewinął się jakiś długi robak, który zastanawiał Muszkę, śledząc ciekawie jego wężykowate ciało. Tu i owdzie płynęła dziwaczna gwiazda kraba, mała i jakby z kryształu zrobiona. Muszka jednak potrząsała głową. Pragnęła dziś złowić kilka większych krabów do swojego akwaryum, które miała w pokoju hotelowym.

Szli więc coraz dalej, spotykając teraz gromadki dzieci błądzące wśród wody, z siateczkami na ramionach, wpół nagie, ciemne od wiatru morskiego, lub młode dziewczyny w kostiumach kąpielowych, idące na połów krewetek. Jakiś pies, chudy i brzydki, błądził wśród skał i nagle pokornie przyplątał się do stóp Muszki, która przyjaźnie pogłaskała go po długim, lisim pysku.

Pan się dziwi, że ja tak lubię zwierzęta?... spytała nagle. Lubię je, bo wiem, że pieścić swoją sprawiam im wiele radości... Pokorne to i tak się łąsi...

Głaskała wciąż łeb kudłatego kundla.

Czegóż ty szukasz tu po skałach, sieroto? spytała może czekasz na swojego pana, który barką popłynął na morze?...

Nagle zwróciła się ku Wielohradzkiemu i dość rozkazująco spytała:

Do kogo był ten list, który pan schował do kieszeni, widząc mnie w bramie hotelu?...

Wielohradzki spojrział na nią zdziwiony i ogarnęła go wielka radość.

Ta jej niedyskrecja zbliżała ich już, łączyła jakimś węzłem, w słowach wyrażonego uczucia zazdrości.

Płaski jego umysł nie znalazł nic lepszego, jak w banalny sposób wyzyskać sytuację.

Och!... wyrzekł, cedząc wyrazy pani tej osoby nie zna... to... enfin... nie mówmy o tem.

Uśmiech ironii przesunął się przez usta Muszki.

Powiedziałam już panu wyrzekła tym samym ostrym głosem że lubię tylko istoty dobre, potulne i proste... Jestem sama trop bonne comedienne, ażebym mogła znosić grę innych aktorów koło siebie. Prosto, otwarcie, szczerze, poczciwie powiedz mi pan, do kogo pisałeś?

Wielohradzki w tej chwili porzucił maskę subtelnego światowca.

Do mojej mamy!... odpowiedział prawie dziecięcym głosem.

Muszka uśmiechnęła się teraz znowu, lecz bez śladu ironii, i szafiry swoich oczu utkwiała w twarzy Tadeusza.

Powtórz to pan jeszcze raz!... wyrzekła.

Do mojej mamy!... powtarzał Tadeusz.

A ona podała mu nagle swoją rękę i, wciąż się uśmiechając, wyrzekła: Dziękuję!...

Rzuciła siatki na skałę i usiadła na wielkim kamieniu płaskim, głaszcząc wciąż jedną ręką zbłąkanego psa, który się do niej tulił, a drugą przyciągając sobie Tadeusza, pokornego i usiłującego być jaknajprostszym, jaknajszczerzym, skoro w ten sposób mógł zdobyć jej dobre słowo iserce.

Słońce teraz tryumfalnie rozproszyło mgły i blady błękit zaczął się ukazywać, kładąc niebieskie plamy na powierzchnię morza. Tu i owdzie zjawiały się barki o szeroko rozpiętych żółtych i pomarańczowych żaglach. Jakiś jacht przepłynął zdaleka, płaski, z parasolem dachu w purpurowe i białe paski. Po skałach, gdzie czerniały całe masy warechu, chodziły bretonki w białych czepkach i, schylając się, zbierały brunatne kłęby roślin, składając je, mokre i oślizgłe, w duże płachty szafirowe, rozciągnięte na grzbiecie kamieni. I nagle wyjechał z po za skały wóz zaprzężony w dużego rudego konia, napełniony warechem, mając na wierzchu tej zionącej jodem sterty dwoje dzieci w niebieskich sukienkach i czerwonych, jak mak polny, czepkach. Stary breton, dawny rybak, z twarzą zjedzoną morzem, niemal brunatną w jasnym oświetleniu słonecznym, trzymał konia za uzdę i przeprowadzał wóz ostrożnie wśród nagromadzonych dokoła kamieni. Jedno z dzieci

podniosło się nagle i przez chwilę chwiała się na czarnej płaszczyźnie warechu, jak roślina o błękitnej łodydze, uwieńczona purpurowym kwiatem. I nagle pozostało nieruchome, z wyciągniętymi rękami, odcinając się z precyzyjną dokładnością na tle coraz bardziej jaśniejącej przestrzeni.

Muszka, szeroko oddychając, piła tę czystość i ciszę, ten bezmiar olbrzymiej krystalicznej pustyni i, trzymając wciąż rękę Tadeusza, zaczęła mówić niskim, harmonijnym głosem:

Niech mi pan tu nigdy nie mówi o Lwowie...

O tych, którzy nam są wspólnie znani... Ja tu chce żyć zupełnie innem, pełniejszym, piękniejszym życiem... Nie chcę, aby mi sylwetki tych ludzi ściąły jasną linię morza...

Dobrze! odparł Tadeusz. Ja sam radbym o nich zapomnieć.

Był w tej chwili zupełnie szczery. Ta poranna wycieczka, złota od słońca i różowa od uśmiechu

i obecności Muszki, przenosiła go w nieznaną mu dotąd krainę szczęścia. Ogarnęło go rozmarzenie, smutek; uczył, że zaczyna się kochać w Muszce bez pamięci. Lwów majaczył w oddali, jak wejście do butwiejącego grobowca. Chciał o nim zapomnieć, o swej nędzy, o namiestnictwie, o wszystkim.

Muszka szerokim gestem ukazała mu przechodzącą grupę rybaczek.

O ile one od nas estetyczniejsze... o ile więcej mają w sobie wdzięku!...  
Lecz Tadeusz nie odczuwał jeszcze tego piękna i zauważył w duchu, że wszystkie te kobiety były płaskie i źle zbudowane. Zachował jednak dla siebie tę uwagę, teraz przykląkł obok Muszki i delikatnie, kolejno całował jej cokolwiek opalone palce, z których Muszka poprzednio zsunęła rękawiczki, rzucając je na deseczkę kabiny. Białe ptaki nagle porwały się do lotu i zaczęły bić skrzydłami, kierując się w stronę morza. Płynęły w jasności słonecznej, która powoli zaczęła gorzeć luną na skraju horyzontu. Muszka radosnym głosem zawołała:

Mewy!... patrz!... mewy!...

Tadeusz rękę jej do swej twarzy przytulił.

Jaka pani dobra!... wyszeptał. Muszka śmiać się zaczęła przeciągle.

Muszę!... choćbym nie chciała... Mam wszystko, dokoła mnie, co mi jest drogie... morze... słońce... tęczę barw... ciszę... i dwa pocziwe stworzenia...

Obiema rękami pogłaskała psa po łbie. Lecz Wielohradzki nie czuł tego dziwnego zidentyfikowania go z psim przybłądą.

Nie znałem pani... z tej strony wyrzekł byłaś pani tak zawsze poważną, dziwną, niemal surową...

Och!... odrzuciła Muszka nie uwierzy

pan, jak owo milieu przejrzyste i jasne na mnie działa... A przytem...

Urwała i pochyliła się teraz nad psem, któremu uważnie przyglądać się zaczęła, i Jak pan sądzi? jaka to rasa? mnie się zdaje, że to będzie chienloup. Spotykałam często takie psy w Bretanii, tylko... tamte miały guzy na czole, a ten... nie ma guza.

Wysunęła prawą rękę z dłoni Wielohradzkiego i zaczęła gorliwie poszukiwać owego guza na łbie zwierzęcia.

Niema... wyrzekła po chwili co też to może być za rasa?... A może to jaki batard, a ja napróżno sobie głowę łamię.

Jak pan sądzi?

Nie wiem... nie znam się...

Prawda, zapomniałam. Nie należysz pan do sportowców... I w tem cały pana wdzięk...

Dawniej Tadeusz byłby się nadął i odpowiedział: „nie lubię sportów”; dziś czuł, iż to kłamstwo fałszywe może sprawić złe wrażenie, więc milczał, klęcząc wciąż na kamieniu z potulną miną grzecznego chłopczyka.

I Muszka zdawała się teraz pogrążoną w ciągłej kontemplacji morza.

Patrz pan wyrzekła jak się tam mienią turkusy, szafiry, szmaragdy... Wszystko to wypływa z liliowej bieli porannej i powoli zamienia się w cały pas najkosztowniejszych klejnotów.

Po chwili dodała, przeciągając zgłoski:

Ja kocham się w morzu!...

Tak!... podchwycił Tadeusz dobrze pani mówi, że kocha się w morzu. Pani kocha w tych mieniących się falach siebie samą... swój charakter... swe porywy... nawet barwę swych oczu...

Więc według pana jestem taką mieniącą się tęczą?

Tak!...

Jedną z tych heroin obecnych francuskich romansów, niepochwytłą, nadzwyczajną, une Slave aux yeux glauques... prawda?

Głos jej brzmiał ironicznie. Różowe usta w złośliwym uśmiechu krzywiły się niemiło. Tadeusz doznał uczucia zimna.

Tak!... troche!... wybełkotał, tracąc kontenans.

Ona leciuchno, prawie niedostrzeżenie wzruszyła ramionami.

Oh!... que c'est fade!... wyrzekła, odwracając głowę.

Zapanowało głuche milczenie, przerwane tylko na chwilę cieniutkimi głosami dzieci, które powracały z połowu, zmoczone, obryzgane wodą, z kieszeniami wypchanymi masą muszli, ze wstążkami warecki, przewieszonymi przez plecy. Nagie ich różowe nóżki zamigotały w powietrzu, purpurowe berety przez

chwilę rzuciły płomienną nutę i zgasły po za parawanem skał.

Tadeusz klęczał, jak dzieciak na pokucie, szczerze zmartwiony i skubał własne palce z gorliwością, godną lepszej sprawy. Nagle zdecydował się położyć kres tej sytuacji.

Pani znów niedobra!... wyrzekł cicho, a głos jego brzmiał taką szczerą pokorą, iż Muszka odwróciła się szybko i z uśmiechem spojrzała na jego zasmuconą minę.

Ależ nie!... nie!... zawołała niejestem niedobra!... nie lubię tylko, gdy kto chce ze mnie gwałtem zrobić ekscentryczną istotę. Nie znam nic trywialniejszego i bardziej banalnego, jak wszelkie ekscentryczności...

I zrywając się nagle ze skały, dodała:

Chodźmy łowić kraby!...

I poszli znów dalej ku morzu, wśród ciemnych stert war echu, pełzającego po piasku, jak najcudowniej wycinane wstęgi. Przed nimi masa niezmierną wody pokrywała się coraz gęściej kadłubami statków i teraz tryumfalnie z owej walki złota, rubinów, opali i szmaragdów stawała się jednym wielkim szafirem, czystym, doskonałym, który przechodził ku brzegom w błądź turkus, oprawionego w srebro pian.

Mamy jeszcze godzinę czasu przed sobą... wymówiła Muszka później wrócimy na śniadanie i, idąc koło poczty, wrzucimy list do mamy.

Wymawiając te słowa, starała się nadać im intonację głosu Wielohradzkiego. On, nagle porwany, usłyszał ten dźwięk i przejęła go radość i nadzieja, gdy Muszka raz jeszcze, jakby wsłuchując się w ulu. bioną melodyę, powtórzyła z lubością melomana:

Do mamy!...

Codziennie teraz rano wychodzili na połów owych krabów i siadali na odłamach skały pomiędzy stosami brunatnego warechu. I natychmiast Tadeusz szukał ręki dziewczyny, która poddawała się chętnie tej dyskretnej pieszczocie i pozwalała całować swe palce długie, wązkie, zakończone różowymi pazurkami.

Patrzyli na morze, mówili niewiele: onaciągłe pomimo pozornego przystępu szczerzej dobroci zamknięta w sobie, często ironiczna; onniepewny i wahający się, lecz wchodzący już w rolę pokornego psa, czekającego cierpliwie na dobre słowo swego pana i chlebodawcy.

Często spotykali na skałach którąś z Amerykanek, siedzącą sztywno przed stalugami pod parasolem z białego płótna, przymocowanym do poręczy krzeselka. Muszka zamieniała z malarką kilka słów po angielsku, co pozwalało amerykance pokazać szereg strasznych zębów i rzucić na Tadeusza przelotne, ledwie dostrzegalne spojrzenie.

Raz Wielohradzki posłyszał najwyraźniej:

Your correspondent!...

No!... odparła Muszka.

Lecz amerykanka zaczęła śmiać się tak, iż jej bluzka, tworząca na plecach garb, zupełnie wysunęła się z paska.

Tadeusz zmarszczył brwi i uczuł się tym śmiechem mocno dotknięty.

Skoro zeszedli ze skały, odezwał się natychmiast:

Cóż to za monstrum!...

Mówił umyślnie głośno, pragnąc, aby amerykanka usłyszała ostatni wyraz.

Lecz Muszka, będąca dnia tego w wnie wielkiej pobłażliwości, wyrzekła tonem właściwym doskonale pięknym kobietom, które w obecności mężczyzny bronią innych, doskonale brzydkich kobiet:

Och!... piękność jest rzeczą względną... On ne Sait jamais, co ludzie rozumieją pod słowem piękność! Te panienki nie są piękne... być może..., ale mają dużo dystynkcyL. są zgrabne... doskonale wychowane... ułożone... i rozumieją życie...

Co do tej ostatniej kwestyi, ma pani najzupełniejszą rację odparł ciągle zirytowany Tadeusz.

Muszka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Pana zapewne razi ich flirt z kolegami? Co do mnie uznaję to za rzecz zupełnie naturalną. Korzystają z wolności i swobody... są młode... kochają...

Och!... podjął Tadeusz.

Ależ tak!... ciągnęła Muszka kochając sezonowo... Taka miłość kompletuje ogólną harmonię, całą pieśń morza, nieba, gwiazd, urok ciszy i promieni słońca... Czy pan tego nie rozumie?

Nie!... odparł Tadeusz.

A!... zdziwiła się Muszka tiens, ja myślałam...

Lecz Tadeusz, zdjęty nagłą śmiałością, szybko mówić zaczął:

Nie... nie rozumiem... miłość nie może być sezonowa... to niejest miłość, to zabawka...

A!... pan rozumie tylko miłość tragiczną... na całe życie!...

Tak!... na całe życie!...

Zatrzymali się teraz na środku dużej płaszczyzny, po której biegły srebrne strumienie wody.

Oczy ich po raz pierwszy może spotkały się szczerze, otwarcie, i pierwsza kobieta uciekła w bok źrenicami, jakby ten nadmiar silnego uczucia, który się objawił w tym lalkowatym wzroku mężczyzny, przeraził ją i sprawił w jej moralnej istocie silne wstrząśnienia. Zaczęła iść naprzód szybko, milcząc; nagle spoważniała, zamyślona, lecz on dogonił ją i, ująwszy jej rękę, zapytał niskim głosem, pochylając się nad jej ramieniem:

Czy to cię przeraża?...

Ona nie odpowiadała, pobladła, z oczyma rozsze

rzonemi, postarzała nagle, jakby na jej barki walił się ciężar przechodzący siły.

Lecz nie odsuwała od siebie drżącego i olśnionego swoją śmiałością chłopaka: przeciwnie, zwalniała kroku, jakby pod urokiem mistycznej i niewidzialnej siły.

Czy cię to przeraża? powtarzał Tadeusz.

Nie!... odparła nareszcie zaledwie dosłyszalnym głosem.

Milczeli chwilę, oddychając ciężko, lecz szli ciągle ku morzu, które, dziś wzburzone, biło z dalekim głuchym łoskotem o skały i podstawy sygnałów.

Tadeusz pochylił się tak, iż ustami prawie dotykał włosów dziewczyny.

Na całe życie?... zapytał.

Na całe życie!... zabrzmiało jak echo.

Tego dnia Tadeusz, powróciwszy do hotelu, zastał dwa listy pod swoim adresem.

Na jednej kopercie poznał rękę matki, drugi adres był nakreślony nieznanem mu pismem. Zadziwił się niepomiernie.

Oprócz matki, nie wiedział nikt o miejscu jego pobytu.

Zdjął go nerwowy niepokój. Zamknął drzwi na klucz i rozerwał ową kopertę. Ukazała się ordynaryjna ćwiartka papieru, zakreślona drobnem, nie wy

robionem, prawie dziecinnem pismem. Wielohradzki brwi zmarszczył i, usiadłszy na stole, czytać zaczął.  
List Teci do Wielohradzkiego.

Bardzo się pan zapewne zadziwi, dostawszy ten list, i to jeszcze więcej pana zadziwi, że to ja do pana piszę w sekrecie przed Babką i Mamą Pana. Ale ja bardzo dużo walczyłam, zanim wzięłam pióro do ręki, dużo płakałam, bo wiedziałam, że źle robię i że nie powinnam pisać do Pana tak w sekrecie przed Babką i przed Pana Mamą. Tylko mnie się zdawało, że Pan był dla mnie bardzo życzliwy, a nawet przez jakiś czas to Pan mówił mi, że jest moim przyjacielem. Więc ja pomyślałam, że przecież Pan to sobie przypomni i tego mojego listu za złe wielkie mi nie poczyta. Ja, widzi Pan, nic nigdy nie zapomniałam z Pana dobroci dla mnie, i teraz mam to wszystko ciągle żywo przed oczami, tak, że ani na chwilę nie mam wolnej myśli, i schudłam i nie śpię, a wciąż tylko przypominam sobie, że Pan był dla mnie taki dobry i tak życzliwie się ze mną obchodził.

Ja nie wiem, czy Pan to wszystko pamięta i czy Pan też jeszcze myśli o mnie kiedy, bo ostatnimi czasy to zdawało mi się, że Pan mnie nie lubi, i starałam się Panu z drogi schodzić, aby tylko Pan źle na mnie nie patrzył, bo takie Pana oczy to mi bardzo wielki smutek sprawiały i ja już potem w nocy nigdy nawet zasnąć nie mogłam.

Więc jabym wolała, żeby mi Pan poprostu powiedział i poradził, co ja mam począć, bo Babka i Mama Pana chcą, żebym wyszła za męża za pana Janczewskiego, i chwili spokoju teraz w domu nie mam, tak mnie ciągle Babka prosi i namawia. Babka mówi, że to będzie dla niej śmierć spokojna i los Felka zapewniony... Ja chciałabym wiedzieć, co mam robić, czy mam się jeszcze czego dobrego spodziewać w życiu i czekać cierpliwie, czy też już tak powiedzieć sobie, że dla mnie wszystko przypadło i pójść za tego pana, Babkę uspokoić i bratu dać wychowanie? Niech Pan mi napisze szczerze, jak na świętej spowiedzi: ja się nie pogniewam i przebaczę Panu, i będę zawsze dla Pana i dla Mamy Pana życzliwą przyjaciółką. Choć smutno mi będzie i bardzo ciężko tak wyrzec się wszystkiego. Ale niech będzie tak, jak Bóg chce. Ja tak postąpię, jak Pan powie, i nigdy się nawet żalić nie będę, że o mnie tak Pan prędko zapomniał. Niech Pan ten list spali, proszę Pana na słowo honoru, bo bardzo się boję, ażeby kto nie dowiedział się kiedy o tej mojej śmiałości. Ale to tylko rozpacz mnie doprowadziła do tego, niech mi Pan wierzy i nie myśli źle o mnie, bo ja jestem bardzo nieszczęśliwa i mam przeczucie, że ja to już taka nieszczęśliwa zostanę na całe życie. Adres Pana to ja podpatrzyłam z koperty, jak Mama adresowała, tylko błagam Pana, niech Pan mnie nigdy nie zdradzi, bo chyba zabiłabym się ze wstydu, gdyby się ludzie do

wiedzieli, że ja do Pana taki list napisałam. Niech Pan napisze na pocztę restante, to ja codzień wpadnę, jak będę odprowadzać Felka do szkoły. I raz Pana jeszcze proszę, na wszystko co panu święte, niech Pan mi napisze całą prawdę, niech ja wiem, czy Pan też jeszcze o mnie myśli.

Przywiązana i nieszczęśliwa

Tecia.

Tadeusz wolno odłożył list na bok.

Skrzywił usta, zasepił się, przez długą chwilę siedział nieruchomy, przenosząc się nagle myślą do Lwowa, do ciasnych i smutnych klatek swego mieszkania, do wyrobniczej postaci Teci w czerwonym jerseyu, schylającej swą anemiczną

twarz nad turkoczącą maszyną. I powstało w nim wielkie uczucie niesmaku i odrazy do samego siebie za to bezmyślne i głupie zbliżanie się do tego dziecka, do którego nic go nie ciągnęło! Nie mógł teraz zrozumieć, dlaczego w sekrecie przed matką zamieniał z ową Tecią spojrzenia, uściski rąk, nawet pocałunki. Dziewczyna wzięła tę rzecz na seryo i najwyraźniej w liście pragnęła dowiedzieć się prawdy. Pograżony w egoistycznym zadowoleniu nie odczuł ani na chwilę rozpaczy, jaka dławić musiała serce dziewczyny. Siedząc tak na stole, w tym eleganckim numerze hotelowym, obwieszonym draperiami zielonego aksamitu i zastawionym meblami z różanego drzewa i palisandry

mając przed sobą przez otwarte szeroko okna cały port morski, z którego wystawały tajemnicze i fantastyczne fortyfikacje starego grodu, cały jeszcze upojony pięknnością, elegancją, szykiem Muszki, sam szykowny i zgrabny w swej białej flanelowej koszuli i pasie z czarnej wełny, z beretem na lekko zafryzowanych włosach, nie umiał a raczej nie chciał zrozumieć smutków innej istoty. I tak jak w porcie mijał obojętnie klnących i złorzeczących sobie rybaków, którzy wskutek konkurencji zmuszeni byli wyrzucać owoc całodziennej, ciężkiej pracy w otchłań morza i skazywać tem samym siebie i swą rodzinę na nędzę i głód całej doby, tak samo stawał obojętny, a raczej znudzony, wobec skargi Teci, uważając ten list tylko jak rodzaj intruza, nieproszonego gościa, który mu przypominał w niewłaściwej chwili szarą banalność jego życiowej ścieżki i jego niewytłómaczoną minioną głupotę.

Wyciągnął rękę i sięgnął po list matki. Otworzył kopertę i zaczął czytać ćwiartki bladezielone, zakreślone pięknem, równem pismem spokojnej i ufnej zawsze w przyszłość kobiety.

List matki do Tadeusza.

Najmilszy mój i najukochańszy Synu.

Po twym pierwszym liście, krotkim i nakreślonym z widocznym pośpiechem, nadszedł wreszcie twój list drugi, dłuższy i szczerze mnie radujący. Te trzy

dni, które trwała twoja podróż, spędziłam na modlitwie, tak bardzo się lękałam jakiego wypadku na kolei, boć to o to nietrudno, zwłaszcza za granicą. Nareszcie odetchnęłam, mając od ciebie wiadomość. Gdybyś wiedział, ile mi szczęścia i radości przysporzyły te słowa twojego listu, w którym tak ładnie i serdecznie piszysz, iż pierwszy twój list został wrzucony do puszki przez „was dwoje”. Błogosławiłam was w myśli oboje, ciebie mój Tadiusz najdroższy, i tę dobrą, szlachetną dziewczynkę, którą codziennie więcej kocham i którą z taką radością przycisnę do serca i nazwę swą córką. Mów jej często o mnie i nawzajem wywdzięczając się za jej dla mnie delikatne i pocziwe uczucie, staraj się być z jaknajwiększą atencją i respektem dla jej matki. Wiem, iż nie potrzebuję ci tego polecać. Znam twój takt i wiem, że rozumiesz całą doniosłość podobnego kroku. Potrzeba, ażebyś pozyskał serce nietylko panny, ale i całej rodziny; wtenczas poczujesz się pomiędzy niemi jak u siebie i sytuacja twoja się ugruntuje. Niemniej przeto bądź pełnym szacunku dla hrabiny, lecz bez zbytej unizoności. Oni mają za sobą w tej chwili przewagę materialną, lecz tymoralną. Oboje wraz z Muszką walcząc zwyciężycie, a wasza stara matka odetchnie radośnie ciesząc się waszem szczęściem. Mówię ciesząc się z daleka gdyż ja z wami mieszkać nie będę. Wiem, że młode małżeństwo lubi być w domu samo. Wyślecie mnie na wieś, na moją



drogą wieś, do której bardzo tęsknię, i tam ja odetchnę swobodnie i dokończę życia w spokoju, ciszy i modlitwie za was oboje i za szczęście wasze. Jeszcze dwa tygodnie, zanim cię ujrzę i przycisnę do mego serca. Bardzo mi tu smutno bez ciebie, każdy kącik mi ciebie przypomina. Wczoraj uporządkowałam twoje archiwum. Nie bój się, nie popsułam nic i wszystkie ordery i cacka napowrót ułożyłam na swoim miejscu. Zdrowie moje niezłe, trochę mi tylko oczy nie dopisują. Teczka za to ma się jakoś niedobrze, chudnie i traci siły. Płkownik koniecznie postanowiła ją wydać za męża. Ja się zachowuję neutralnie. Oto chyba wszystkie nowiny. Niewiele cię one obchodzą, bo masz teraz o czymś ważniejszym do myślenia, o czymś, co los twego całego życia rozstrzyga. Zawsze miałam nadzieję i wiarę w miłosierdzie Boskie. Wiedziałam, że nie dziś to jutro pozycja twoja się zmieni i że powrócisz nareszcie na stanowisko, które zajmować winienes. Dobroć Boża jest nieograniczona. A teraz niech cię ucałuje, mój synu najukochańszy, i polecając opiece Boskiej i natchnieniu Bożemu, kreślę znak Krzyża nad twoją głową.

Twoja najprzywiązańsza matka,  
Adela Wielohradzka.

P. S. Mój drogi Tadzistaraj się, aby te pieniądze, które ci dałam, wystarczyły, bo trudno

byłoby mi posłać ci jeszcze cośkolwiek. Całuję cię raz jeszcze was dwoje Twoja matka.

Tadeusz obydwie listy złożył do szafy, namyślił się jednak i, szybko zapaliwszy świecę, wyjął listy i spalił je w głębi kominka. Uczyniwszy to, obejrzał popiół, roztarł w palcach to, co jeszcze pozostało z kawałków spalonego papieru, i wydobywszy z podróżnej teczeki arkusik papieru, pisać zaczął.

List Tadeusza do matki. Droga Mamo!

Liścik Mamy w tej chwili otrzymałam i natychmiast nań odpowiadam, całując ręce Mameczki za jej dobre słowa i poczciwe życzenia. Spełniło się przewidywanie Mamuchny. Dziś, przed chwilą ja i Muszka zamieniliśmy z sobą przyrzeczenie dożgonnego przywiązania. Nie wiem teraz, co mam począć. Czy zapytać jej, jak mam postępować? Jak Mamuchna myśli? Boję się jakimś niestosownym krokiem popsuć to, co ona, biedactwo, musi zdobywać u swej rodziny. Nie mówiliśmy nigdy o tem, bo pojmuje Mameczka, jaka to jest delikatna materya. Przyznałbym się w takim razie do mojej inferiorite, musielibyśmy analizować sytuację, a to dla nas obojga byłoby niewymownie przykre. Obecnie jednak jestem prawie spokojny, bo Muszka nie kryje już przedemną swego uczucia i, nie zapominając na chwilę o takcie

i godności kobiecej, otwarcie daje mi do poznania, iż jestem dla niej czemś i że się liczę w jej życiu. Nigdy nie widziałem jej we Lwowie tak miłą, naturalną, dobrą i szczerą, jak tutaj. Jestem przekonany, że Mateczka przywiąże się do niej całą duszą. Dlaczego Mamusia pisze, że z Tadzkiem już mieszkać nie będzie, skoro się Tadzio z Muszką ożeni? Mamusia będzie zawsze z nami: jestem pewny, że Muszka nie pozwoli, aby Mamcia osobno mieszkała. Wszystkie garnitury leżą doskonale, tylko się trochę w kuferku pognioty. Koszule zaś, tak jak Mamcia je zwija, są wybornie dowieszone i gorsy zupełnie nie połamane. Tylko tutaj chyba nigdy nie włożę fraka, bo tu niema kasyna i wieczorem wszyscy się rozchodzą do swoich pokojów. Posłucham rady Mameczki co do zyskania sympatii samej hrabiny, ale, jak dotąd, nie widziałem jej prawie. Muszka mnie przedstawiła matce, hrabina mnie doskonale przyjęła, i od tej chwili znikła mi z przed oczu. Pójdę jutro na plażę w godzinie kąpiel i zastosuję się do życzenia Mamy. Kończę ten list, bo lada chwila zadzwonią na obiad. Niech się Mamuchna nie boi: nie wydam więcej, jak Mamcia mi dała, gdyż, tu niema poprostu na co wydawać. Wiem, że i te pieniądze Mamcia cudem zdobyła, ale może już w niedalekiej przyszłości zdołam odwdziżyć się Mamci za wszystkie jej dla mnie dobrodziejstwa.

Ręce i nogi Mamci całuję i proszę kochać mnie zawsze i być jaknajlepszej myśli i nadziei.

Najprzywiązawszy syn,

Tadzio.

P. S. Niech Mameczka powie Teci, że ja radzę jej szczerze, aby się nie wahała i poszła za męża za pana Janczewskiego. Włożywszy list do koperty i nakreśliwszy adres, Tadeusz umył ręce, przygładził włosy, uperfumował się dyskretnie wodą kolońską i zeszedł do sali jadalnej, nie zmieniając ubrania. Przyjął bowiem sposób życia Francuzów, którzy siadali do stołu w flanelowych koszulach i espadrylach o podeszwach słomianych, nie żenując się bynajmniej, przesadzając o ile możliwości owo zaniedbanie w stroju, jakby dla kontrastu z Amerykanami, którzy, zawsze correct, zmieniali swe dzienne kurtki na smokingi i stanowili w kącie stołu klan światowy, detonując tą poprawnością na ogólnem tle stajennego zaniedbania innych gości.

Wielohradzki zasiadł na swoim krześle i z miną znudzonego wielkiego pana zaczął czytać menu. Zauważył, iż dystygowańsze osoby piły wody mineralne i droższe wina. I on miał teraz swoją armię butelek, która obstawiał dokoła talerze. Nie rozmawiał z nikim, niezmiernie dumny ze swej blizkiej zażyłości z Dobrojowskiemi, których odosobnienie się

imponowało niezmiernie Francuzom. Naprzeciw niego malarze francuscy, codzien więcej rozczochrani i dziwaczni, prowadzili teraz rozmowę o Wolterze, starając się zrehabilitować jego fatalną a niezasłużoną opinię. I nagle, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, zaczęli mówić o Muszce, porównując jej rysy do obrazu Tomasza Grimma, znajdującego się w Southampton Galerie. Wielohradzki zmarszczył brwi, zaczął gryźć usta i wyzywająco

spojrzał na rozczochrane głowy malarzy, gotowy w każdej chwili do nerwowego wystąpienia w razie, gdyby który z tych panów ośmielił się w lekceważący sposób odezwać o panie Dobrojowskiej.

Lecz malarze, jedząc szparagi, debatowali teraz, czy nie należy przyjąć jako pewnik teoryę, iż zamiast transformacji, udoskonalającej coraz więcej żywą istotę, istnieje wręcz przeciwna transformacja obniżająca. I tak my, ludzie, jesteśmy niższe istoty niż owady i ptaki, lecz wyższe niż zwierzokrzewy i rośliny. Powoli zatracając ruch, który jest życiem, i wrastając w ziemię, staniemy się cząstką kamieni, gruntu skalnego, i utworzymy ową bryłę wystygłą, która będzie w przyszłości ziemią naszą.

Wielohradzki przez chwilę starał się zrozumieć wątek tej rozmowy tak, jak codziennie mimowoli starał się wniknąć w sens owych dziwacznych a dla niego niezrozumiałych słów, które po przez stół krzyżowały się dokoła niego z szybkością i migotliwością

błyskawicy. Lecz malarze, znudzeni już tym przedmiotem, zajmowali się teraz „Katechizmem buddyjskim” przez Soubhadrę Brikshon i ganili niezmiernie jogo zbyt dowolny układ, „dla użytku europejczyków” sporządzony. Powitała dyskusya gorąca i ożywiona, gdyż jeden z malarzy bronił owrego Soubhadrę i usiłował dowieść, że katechizm ów jest najzupełniej zgodny z doktryną Buddy Gotamy. Wśród tej wrzawy murzynka, coraz więcej zziębnięta, zjadła całą stertę szparagów, połykając je całe, i otwierała przytem tak szeroko swe grube wargi, iż zdawało się, że połknie cały stół wraz z biesiadnikami. Niektórzy goście, siedzący bliżej klanu malarzów, zaczęli mieszać się do tej dyskusyi, i nagle Wielohradzki uczuł się otoczony teozoficzną atmosferą, pełną burżuazyjnego mistycyzmu. Pojawienie się olbrzymich baranich pieczeni, złączonych się rudemi masami w obramowaniu białych półmisków, przerwało żarliwe ścieranie się zdań przeciw i w obronie budyzmu. Rzucono się z zapałem do mięsa i sałaty i przez długi czas widać było tylko szczęki poruszające się i miażdżące jadło. Lecz, gdy służące zjawiły się, aby uprzątnąć talerze, błękitny kwiat modnego mistycyzmu zaczął krążyć znów w przestrzeni. Wypoczywano po zwalczeniu troche twardej baraniny, w oczekiwaniu kremu czekoladowego, który zapowiadało menu, przelatując z rąk do rąk z szybkością papierowego motyla. Czasu tego

użyto na powrót do badania źródeł wszelkich religii. Jakiś komiwojażer zaimponował wszystkim, mówiąc, iż ma znajomego, którego brat widział na własne oczy indyjskiego fakira. Malarze teraz wrzuszali ramionami, patrząc na mówiącego z politowaniem. Wielkie rzeczy! Każdy z nich potrafi to samo; trzeba tylko.. chcieć. Podkreślali to słowo i uśmiechali się tajemniczo, porozumiewiając się wzrokiem. I nagle, jakby chcąc zaznaczyć pogardę swoją dla tych filistrów, czepiających się zbyt wysokiego przedmiotu rozmowy, zaczęli mówić pomiędzy sobą o teorii harmonii barw, którą można było mechanicznie przeprowadzić na podstawie biegu planet. Była to już rzecz fachowa, i powoli teraz teozoficzne rozmowy milkły niepodsycane, zwłaszcza, iż pojawiły się salaterki pełne czarnego kremu, obłożonego złotem, wyschlęmi biszkoptami.

Wielohradzki siedział, milcząc, pochylony nad talerzykiem, i jadł leguminę, pełen jakiegoś błękiego zadowolenia. Myśl o Teci, która go niemile drażniła w chwili rozpoczęcia obiadu, odbiegła go zupełnie. Teraz już tylko cały był przejęty swą miłością dla Muszki i dusza jego rwała się po za te drzwi, za którymi znajdowała się hrabianka.

Na „plaży” czerniło się aż od dzieci, które znosiły swoje okręciki, yachty, łódeczki, barki, yolle, i ustawiały je rzędem na piasku. Stary wilk morski Jagoury, z nogą drewnianą i twarzą czarną od wichru i soli, czekał w niewielkiej łodzi spokojnie, paląc fajkę i pluąc w morze. Co chwila jakieś dziecko wybiegało tuż po nad brzeg, tak, że fale, zielone dnia tego jak szmaragd, moczyły końce drobnych nóżek, i, stanąwszy nad wodą, krzyczało:

Jagoury!...

Ben quoi?... pytał flegmatycznie breton. Dziecko dawało mu jakieś polecenie, którego on słuchał obojętnie, kiwając głową. Ono bowiem miał zabrać na swą łódź wszystkie okręciki i wypuścić je na pełne morze. Latarnia morska była meta tych regat miniaturowych; dziesięć franków pierwszą nagrodą. Statków zapisanych była spora liczba; lecz ciągle jeszcze nadciągały dzieci, prowadzone przez bony w białych fartuchach i muślinowych czepkach, niosące maluchne okręciki. Ze wszystkich uliczek, rozpadlin murów, wąwozów, wysuwali się tryumfujący malcy w beretach, z nagiemi łydkami, drepcąc po piasku, bijąc się z boną i spiesząc nad brzeg, aby natychmiast zacząć krzyczeć:

Jagoury!...

Ben quoi?

Lecz dzieci już odbiegały i stawały na ich miejsce

inne, tak samo w beretach, z nagiemi łydkami, i wołały cieniutko:

Jagoury!...

Starsze osoby powoli odmykały swoje kabiny, wydostawały fotele i składane krzesła i siadały, usiłując znaleźć choć odrobinę cienia. Słońce jaśniało w całej potędze i piasek plaży był prawie gorący od jego promieni. Purpurowe parasole, porozpinane dokoła, wyglądały jak polne maki olbrzymie, a złoty kolor piasku zdaleka sprawiał wrażenie wielkiego ładu pszenicy. Kilka dziewczynek miało błękitne sukienki, co w ten łąn rzucało niewielkie punkty chabrowe. Lecz już morze zielenią swoją, dziwną i nieusprawiedliwioną (bo całe niebo czerniało aż do szafiru), obejmowało wielką ramą wysuniętą daleko przylądek i, bieląc się lekko srebrną pianą w rozpadlinach skał, symfonię chabrow, maków i kłosów zmieniało w step zieleni, step niezmierny, niosący na swoim rozkołysanym grzbiecie pomarańczowe plamy rozpiętych szeroko żagli.

Nagle u brzegu powstał ruch wielki: powoli mały i bosy breton, w płóciennych spodniach i niebieskiej kurtce, zaczął podawać kolejno okręciki Jagouremu, który przybił do ścieżki kamiennej, sterczącej wysoko wśród fal morskich. Chłopak skakał dziwnie zręcznie po czarnych grzbietach kamieni, a gromadka dzieci, stojąca na brzegu, śledziła jego ruchy z wielkim natężeniem. Lecz nagle jeden z małych chłop

ców w czerwonym berecie pobiegł tuż za bosym bretonem i, szybko przeskakując z kamienia na kamień, przedostał się do łodzi Jagourego. Było to niejako hasłem, natychmiast bowiem cały tłum chłopaków i dziewczynek rzucił się ku owej ścieżce z piskiem i hałasem. Bony wmieszały się także pod pozorem opieki i w mgnieniu oka łódź Jagourego napelniła się beretami, wśród których bieliły się czepki sług i żagle miniaturowych okręcików. Hoe ho!... krzyknął Jagoury. Bosy chłopak odepchnął łódź, która, obciążona, wypłynęła na morze. Widać było na tle ciemnych desek kilka różowych rączek, gwałtownie pragnących zanurzyć się w wodzie. Berety powiały pożegnaniem, pisk i śmiech dopłynął razem z falą do brzegu, i nagle wszystko ucichło; łódź płynęła po tafli szmaragdu, pozostawiając za sobą szeroką brózdę o dziwacznych, złotosafirowych połyskach.

Wówczas Wielohradzki zbliżył się ku paniom Dobrojowskim, które siedziały w cieniu wielkiego parasola, wpół leżąc niedbale na dużych fotelach, z trzciny i szarego płótna złożonych.

Tadeusz pragnął zastosować się do rad matki, zbliżyć się cokolwiek do samej hrabiny i dać się jej poznać z jaknajlepszej strony. Wydawało mu się to zupełnie naturalne i nawet niezbędne.

Hrabina siedziała znużona upałem i zdenerwowana morskim powietrzem. W fałdach jej sukni spa

ła Tamtutka. Dama ubrana była szaro. U jej stóp skurczona, w kapeluszu Salutystek i dżetowej pelerynce, siedziała panna Marcela.

Muszka zdaleka odcinała się na szarem tle płótna jasną barwą letniej sukienki. Był to rodzaj bareżu, mieniącego się liliową i złotą nitką. W stanie ściągnięty stanik szeroką białą morową wstążką płynął ku górze w tysiącnych drobnych fałdkach i rozchodził się w olbrzymich rękawach, spadających ku łokciom okrytym skórą niezmiernie długich rękawiczek. Duży kapelusz Cabriolet w stylu Directoire'u z wielkimi liliowymi różami, umieszczonemi tuż po nad uszami Muszki, nadawał jej twarzy cechę niezmiernie artystyczną i stylową.

Siedziała nieruchoma, z oczyma wlepionymi w przesławny Coimopolis Bourget'a, który dla stopnia jej umysłu był najzupełniej odpowiednią strawą.

Gdy Wielohradzki zbliżył się ku Dobrojowskim, obie damy, zaczytane w owym episierskim psychologu, drgnęły, a Tamtutka, obudziwszy się zaszczekała, groźnie. Wielohradzki z uśmiechem zdjął kapelusz i przypomniał się hrabinie, która zdawała się spoglądać na niego ze zdziwieniem. Lecz uśmiech jego zlodowaciał na widok nagle ściągniętych brwi Muszki i gniewnego spojrzenia. Zdawała się być zdziwioną i niemile dotkniętą jego przybyciem. Hrabina jednak, jako dobrze wychowana osoba, zaczęła wypytywać Wielohradzkiego: co robi, czy poczynił duże

stttdya i czy znajduje Concarneau rzeczywiście tak niezwykle pod względem malowniczego położenia? Wielohradzki odpowiadał zdławionym głosem, starając się o ile możliwości odzyskać równowagę, lecz wzrokiem omijał Muszkę, lękając się spotkać z jej rozgniewanym spojrzeniem. Czuł, iż popełnił znów jakąś niewłaściwość, i rozpacz ścisnęła mu serce. Jakkolwiek nie patrzył teraz na Muszkę, nerwami widział ją wybornie. Siedziała nieruchoma. Przez przywoitość położyła książkę, ale oczyma błędziła po morzu, nie biorąc żadnego udziału w rozmowie i zachowując się, jakby Wielohradzki nie był jej zupełnie znany. Z tą zmarszczką na czole, z ustami zaciętymi, wystrojona, prześliczna, przypominała najzupełniej tę Muszkę lwowską, która królowała wśród balów lub wiodła orszak ekwipaży na mail'u Maleniego.

Nagle powstała i zwróciła się ku pannie Marceli.

Będę się kąpać! wyrzekła niech panna Marcela otworzy kabinę.

I szybkim ruchem złożyła fotel, tak jakby lękała się, ażeby Wielohradzki nie zajął jej miejsca. Z Bourgetem pod pachą weszła do kabiny i z jakąś nerwową złością drzwi za sobą zamknęła.

Tymczasem Dobrojowska przeciągała z Wielohradzkim rozmowę. Nie mieli jednak sobie nic do powiedzenia i nić przewodnia rwała się ciągle, płacząc się w kółku prostych komunałów. Nadeszła

chwila, w której Wielohradzki czuł, iż musi się oddalić, i że przeciąganie tej rozmowy zaczyna już być natręctwem. Pomimo upału oblewał go chłód, tak wielkie moralne zimno biło od tej kobiety, ubranej w stalowe, wystygłej barwy szaty, od jej twarzy grzecznie z wielkopańska uśmiechniętej, od jej oczu, av których teraz dopiero Wielohradzki dostrzegł zupełne podobieństwo do oczu Muszki w wyrazie, oprawie i mieniącym się prześlicznym szafirze. Zmrożony, onieśmielony, a mimo to prawie rozpaczliwie natrętny, stał wciąż Tadeusz przed Dobrojowska, nie umiając już teraz zręcznie się pożegnać, odejść, przerwać tę niewłaściwą, śmieszna sytuację, która go do rozpacz doprowadzała. Nagle otworzyły się drzwi kabiny i w ciasnym ich otworze pojawiła się Muszka. Była w bluzie flanelowej, białej, podbitej delikatnym różowym jedwabiem. Na nogach miała czarne jedwabne skarpetki i białe espadrille, związane gumowemi wstążkami. Na ramiona zarzuciła płaszcz biały, najeżony kilkoma rzędami pelerynek. Na głowie związała fular purpurowy, mieniący się dziwnie w promieniach słońca. Ukryła pod nim włosy, i oczy jej w tem obramowaniu krwaweni na białym fatalnego wyrazu. Stała wciąż na progu kabiny z brwiami zmarszczonemi, jakby oczekując na odejście Tadeusza, którego nie chciała spotkać na swej drodze.

Nareszcie Wielohradzki wzrok ten zrozumiał i, uchyliwszy kapelusza, na bok się usunął. Natychmiast Muszka zeszła ze schodów, a za nią, jak cień czarny, sunęła panna Marcela. Tamtutka, poszczekując, zesunęła się z kolan hrabiny i zaczęła biedz za panną Marcelą.

Wielohradzki, idąc wolno ku drugiej plaży, śledził wzrokiem oddalającą się ku brzegowi Muszkę. Szła powoli, wyprostowana, rozwiewając fałdy swego płaszcza. Czuła się doskonale piękną i tryumfowała w tej apoteozie ujawnionej swej urody, idąc powoli ku falom, które teraz leniwie brzeg oblewały, zielone o złotych pręgach, przeciętych srebrem piany.

Wielohradzki wszedł na skałę dzielącą obie plaże i usiadł, patrząc wciąż na Muszkę, która teraz zatrzymała się, rozmawiając z kilkoma Amerykankami. Dziwacznie wydłużone postaci owych miss, odzianych w czarne lub ciemnozielone kostiumy, silnie znaczyły się na jasnej powierzchni piasku. Przez chwilę stały tak ciemne i chude, ukryte pod rondami swych dużych słomianych kapeluszy, mając pośrodku białą smukłą postać Muszki z purpurową plamą fularu, jak kwiat płomienny w słońcu rozkwitającą. I nagle porwały się wszystkie i wbiegły do wody, roztrzaskując pianę. Olbrzymie srebrne koło otoczyło je.

Znikły w nim i po chwili wypłynęły wśród zieleni i szafiru, kołysząc jedynie skrzydłami kapeluszy

i mając na czele płomienny fular Muszki, czerwieniący się w oddali, jak rubin na tem tle z szafirów i szmaragdów utkanem.

Zaczęły płynąć wszystkie razem ku trampolinie, która wystawała płaskim, żółtym grzbietem daleko od brzegu. W drodze spotkały amerykańskich malarzy, płynących w przeciwną stronę. Dziewczyn, minęły mężczyzn i dopadły trampoliny. Jedna po drugiej wysuwały się z wody i siadały lub stawały na deskach. Sylwetki ich odcinały się w przestrzeni z przedziwną czystością. Słońce zalewało je teraz potokami światła, żłobiąc złociste bruzdy w szumiących falach. I tylko jedyna postać Muszki, biała i różowa, miała w sobie przejrzystość opalu. Kontury jej rozplywały się w przestrzeni, purpura fularu była już tylko maluchną, migocącą w powietrzu gwiazdeczką.

Wówczas sercem Wielohradzkiego zaczęło szarpać jakieś dziwne przecucie. Zrozumiał, iż gra w zakryte karty, lecz bał się je odwrócić i sytuację wyświetlić. Przypominał sobie intonację jej głosu, gdy powtórzyła za uim „na całe życie” Była szczerą. Lecz dlaczego dzisiaj znalazł w niej tyle opornego gniewu? Kiedy była więc szczerą? dziś, czy wtedy? Odwrócił głowę i spojrzał na drugą „plażę” Tuż u stóp skały, na której siedział, ujrzał całe mrowisko Amerykanek, siedzących przy porozstawianych stalugach. Sam Sanderson, ze swą twarzą morfinomana,

siedział wyprostowany na małym krzeselku i jakieś szkice kreślił. Na samym brzegu unieruchomieni w romantycznych pozach stali trzej mali chłopcy, niby zajęci puszczaniem na wodę drewnianego statku. Fale oblewały ich boscie stopy, obdarte berety okrywały głowę. Nieruchomi, jakby nagle zakłęci, przedstawiali wybornie typ „rodzajowego” obrazka. Amerykanki gorliwie przenosiły na płótno olejne fotografie tej teatralnej sceny, Sanderson od czasu do czasu wstawał, szedł ku morzu i potwornym akcentem wydawał rozkazy modelom: Voplous an ariere!. Profesor powracał na swoje miejsce, zatrzymując się po drodze przed stalugami tej lub owej uczennicy. Milcząc, zamieniał z nią kilka gestów.

Dziewczyna kiwała głową i znów zapadała cisza,

Wielohradzki powstał i ku trzeciej „plaży” iść zaczął. Lękał się, aby Muszka go nie dostrzegła i nie posądziła o niedyskrecję. Czuł, iż ani na krok nie posunął się w zbliżeniu do panny Dobrojowskiej i że pomimo zamienionych uścisków i kilku słów bardziej znaczących lękał się jej tak samo, jak we Lwowie.

Minął trzecią „plażę” i wyszedł teraz na brzeg zupełnie pusty, zawalony kamieniami, pomiędzy którymi szumiały fale, unosząc na sobie całe wstęgi ciemnego warechu. Odetchnął, nie widząc stalug i błękitnych bluzek Amerykanek. To bezustanne szarpa

nie szmatek natury i przenoszenie jej na kawałki płótna zaczęło go męczyć i wydawać mu się śmieszną pretensją. Jego estetyka ograniczała się rozróżnianiem oleodruku od akwarelli. Lecz ten bezmiar piękności natury porwał go swą wielkością i przepychem. Zrozumiał bezmiar i bogactwo. Kawałek płótna i trochę farb wydało mu się nędzą śmieszną i pretensjonalną.

Szedł wciąż naprzód, widząc teraz przed sobą całe stosy tych szarych, wielkich łomów, oszlifowanych przez fale i okrytych ciemnobronzowym płaszczem warechu. Po lewej stronie rozciągała się płaszczyna morza, migocąca teraz kolorami tęczy, po prawej zieleniały łąki, czerniły się świerki, białały wille. Kilka domów stało zupełnie osamotnionych. Jeden z nich, niewielki, z wieżyczką, podbił duszę Tadeusza. Szczególniej pociągnęła go wieżyczka.

Dobrze byłoby tu we dwoje!... pomyślał, patrząc melancholijnie na zamknięte okiennice. Domek niewielki, ale byłibyśmy bliżej jedno drugiego. W wieżyczce urządziłbym sobie fumoir.... Pokręcił głową nagle zdjęty galanterią, Nie!... to byłby boudoir Muszki... ręczę, iż pozwoliłaby mi palić jednego papierosa po obiedzie... Pilibyśmy tam czarną kawę!... Przed oczyma jego, jak fata morgana, przesunęło się widzenie różowego (koniecznie różowego) buduaru, z nieodłączną skórą białego niedźwiedzia na

podłodze i szafką, w której stałyby saskie i sewrskie figurki. I tam, on, koło Muszki, pijący kawę z malutkiej filiżaneczki i strząsający popiół z papierosa piątym palcem, tak, jak to robił Malewicz w chwilach ataku wyższej kokieterii...

Marzenia te uniosły go. Szedł dalej, ciągle wykręcając głowę w stronę willi, z której balkonu powiewała karta "a vendre on a louer".

Nie opłaci się wynajmować... myślał Wielohradzki lepiej kupić. Ciekawy jestem, co też to może kosztować? Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy franków...

Nagle coś mu pod stopami zapiszczało. Cofnął się przerażony.

Z kamienia podniosła się murzynka, owinięta purpurową draperią.

Moa pose?... wymówiła, jakby tłumacząc swą obecność i dziwną, skurczoną pozę, jaką natychmiast znów przybrała.

Wielohradzki obejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł stalug. Natomiast tu i owdzie na kamieniach ujrzał siedzących nieruchomo francuskich malarzy zaopatrzonych w skurczoną na grzbiecie kamienia murzynkę. Zdaleka wydawała się jak potworny głowonóg, o czarnych, chudych ramionach. Przysiadła skurczona z promieniami swych nóg i rąk, rozciągniętych pośród gąszczu warechu, miała w sobie



fatalną grozę jakiegoś potwora dziwnego, czającego się na upatrzonej ofiarę.

Tadeusz, zmieszany tem spotkaniem, cofnął się i mimowoli ku owej willi z wieżyczką iść zaczął. Doszedłszy do kraty, stanął i pozostał tak nieruchomy, wpatrując się w ową kartę uczepona o kraty balkonu, kartę, którą wiatr na obie strony kołysał.

I z uporem maniaka ciągle czytał:

A vendre ou a louer.

x.

List Tadeusza do matki.

„Mateczko najdroższa i najukochańsza!

„Parę słówek tylko piszę naprędce. Jestem bowiem niezmiernie zajęty. I niech Mamuś zgadnie czem? Wymyślaniem nowych figur do kotyliona!!!! Prowadzić bowiem będę tańce na balu, który amerykańska kolonia wydaje tu dzisiaj. Zwrócono się do mnie z prośbą o zaaranżowanie kotyliona. Nie wiem. z kąd dowiedzieli się o tej mojej specjalności. Enfin, tak nalegali, że musiałem przyjąć, tem bardziej, iż widziałem, że Muszka sobie tego życzy. Mam wiele kłopotu, gdyż pojmuje mateczka, iż tu niema żadnych przyborów, a zamało jest czasu, aby je z Paryża sprowadzać. Panienki więc same zajęły się fabrykowaniem orderów, bukietów, szarf, a ja tymczasem suszę sobie głowę, starając się coś z tych domowych fabrykatów ułożyć. Co zaś do samej pani Dobro

jowskiej, to tak, jak Mameczka kazała, zbliżyłem się i zostałem niezmiernie życzliwie przyjęty. Niech się Mameczka nie niepokoi. Wszystko będzie dobrze. Z ostatniego listu widzę, iż Mama trochę straciła na humorze. Czy czasem Matuchna nie za dużo pracuje? Ja utylłem trochę, bo kuchnia wyborna i powietrze morskie świetne, dodaje apetytu. Frak mój nawet jest trochę ciasny. Droga Matusiu, zbliża się już termin mego wyjazdu. Za cztery dni, to jest w chwili otrzymania mego listu, wyślij mi umówioną depeszę. Przypominam Ci tekst:

Revenez immediatement, affaires urgentes, moi malade. W ten sposób znajdę usprawiedliwienie z mego nagłego wyjazdu przed Muszką. Mogłaby żądać, abym pozostał, a Mamcia wie, że Tadzio nie ma już wiele pieniędzy i tylko tyle, co na drogę. Całuję rączki drogiej Matusi, czekam depeszy i sercu Mamci się polecam najprzywiązańszy syn Tadzio."

Napisawszy ten list, Wielohradzki zaniósł go na pocztę i powrócił czempredzej do swego pokoju, gdzie spędził całe popołudnie na kreśleniu kótek, kresek i liczb, stanowiących kombinacje kotylionowe. Widocznie za inicjatywą

Muszki, jeden z amerykańskich malarzy zbliżył się do niego po śniadaniu i, przedstawivszy się, w bardzo gładki sposób prosił

swoją wypowiedział. Próżność Tadeusza mile pogłaskana została. Ci Amerykanie imponowali mu niezmiernie swą wykrochmaloną poprawnością. Przyjął zaproszenie skwapliwie, zdziwił się jednak, gdy Amerykanin, z zupełnie seryo miną, zapowiedział mu, że ów bal będzie kostiumowy i że wszyscy biorący w nim udział, tak mężczyźni jak kobiety, przebrani będą za małe dzieci.

Petit s gar cons... petit es filles!..

A!... zdziwił się Tadeusz.

Spotkawszy na ulicy Muszkę, idącą w stronę kabiny z panną Marcelą, chciał przejść obok, lękając się popełnienia nowej niedyskrecyi, lecz panna Dobrojowska, roześmiana, wesoła i prześliczna w swej różowej batystowej budce i muślinowej białej sukni, wyciągnęła do niego rękę, wabiąc go gestem i głosem. Wielohradzki podbiegł uszczęśliwiony. Panna Marcela dyskretnie usunęła się na bok. Zaraz zaczęli mówić o projektowanym balu i o kostiumach dzieciennych, zaakceptowanych jednomyślnie przez klan Amerykanek. Lecz Muszka wzruszyła ramionami, oświadczając, iż za nic nie włoży fartuszka małej dziewczynki, lecz przyjdzie w tualetcie spacerowej. To samo postanowił Tadeusz, któremu tytuł conducteur de cotillon nadawał pewne prawo zachowania balowego stroju dorosłego mężczyzny. I weseli, nagle rozradowani, szli obok siebie, radzi z życia i doskonałości swego zdrowia i urody, kąpiąc

się literalnie w sympatycznych prądach, jakie ich otaczały. Zaglądali przez balustradę w morze i zachwycali się tajemniczą krepą siatek, które wiatr rozwiewał jak szaty almei tańczącej wśród fal.

Minęli port i wydostali się na gościniec, po którym krzyżowały się niezliczone ścieżki. Zagłębili się w jedną z nich, całą zieloną od gałęzi drzew, rosnących po za liniami murów. I nagle wzrok ich doznał olśnienia. Pomiędzy tą ciemną zielenią wznosiły się wały lśniącego srebra i miedzi złotej, pełnej kolorowych iskier.

Promienie słońca wpadały przez otwory gałęzi i migotały wśród tych skarbów, które zdawały się wylewać kaskadami i z ponad murów, aż na środek ścieżki, pomiędzy mchami srebrzyć się, złocić i czerwienią miedzi połyskać.

Były to okrawki pudełek od sardynek, które mieszkańcy spożytkowywali, tworząc z nich kolczasto i bezpieczne ogrodzenia. Lecz w tym półcieniu, w tych migotliwych blaskach przekradającego się słońca, były to skarby Golkondy, rzucone pod stopy przechodniów z hojnością jakiegoś mistycznego bogacza. Tworzyły on wały fantastycznych bogactw, całe kopalnie nagle odkryte i na światło dzienne w doskonałej już formie wyprowadzone. Wśród zieleni złoto i srebro szalało migocącymi i ciągnącymi się blaski.

Muszka wyciągnęła obie ręce, porwana nagle urokiem tego przepychu.

Jakie to ładne!., zdaje mi się, że wchodzimy do jakiegoś Sezamu!.. Przypomina mi się AliBaba i czterdziestu rozbójników...

Wielohradzki westchnął.

Ach... gdyby ta blacha była szczerem złotem wyszeptał.

Muszka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Chciałbyś pan być nababem? spytała. On odparł z wielką szczerością:

Chciałbym...

Dziewczyzna ramionami wzruszyła.

Czy sądzisz pan, że to dodałoby ci uroku? zawołała. Nabab to w obecnym składzie społeczeństwa istota bardzo banalna, pospolita i zwykle niezajmująca... Przynajmniej ja tak sądzę...

Wielohradzki gorączkowo chwycił się tego tematu rozmowy, który zdawał mu się rozświetlać całą sytuację.

Byłem pewny zaczął zdławionym głosem iż pani, tak jak zresztą wiele kobiet wychowanych w dostatkach i zbytku, ceni ów zbytek .. i owe dostatki. .

Muszka szła ciągle naprzód ostrożnie, zgarniając swe szeroko rozpościerające się białe muśliny i ochraniając je od rozdarcia o kolce blachy.

Zapewne odparła już poważniej i nagle zeszywniała moralnie cenienie dobrobyt, tak, jak cenienie własną istotę, do której się przyzwyczaiłam. Są je

jednak chwile i uczucia, które z owymi „dostatkami”, jak je pan nazywasz, nie mają nic wspólnego...

Tadeusz zbliżył się ku niej i widząc, iż ona nie tylko nie przyśpiesza kroku, ale raczej zwalnia szybkość swego chodu, pochylił się znów nad jej ramieniem.

A więc ja?.. zapytał.

Pan?., należysz do tych osób, których pozycja materialną jest dla mnie najzupełniej obojętna... nie troszczę się o nią... nie pragnę nawet wiedzieć nic w tym względzie... Pan istniejesz dla mnie sam, sam bez otoczenia, bez warunków życiowych...

I powoli, przysłaniając powieki, dodała:

Pan jesteś moim snem!.. Tadeuszowi nagle zaczęły drżeć wargi.

Dlaczego... snem? zapytał niech będą rzeczywistością...

Ona zwróciła ku niemu swą piękną twarz i nagle Tadeusz ujrzał przed sobą jej oczy powleczone jakąś mgłą wilgotną.

Rzeczywistością senną... wyrzekła powoli, jakby namyślając się, jakim nic nie znaczącym wyrazem zakończyć harmonijny akord tej przedmiłosnej strofy.

Przed nimi wił się wciąż ów wawóz pod sklepieniem drzew, tajemniczy i nieskończony. Amarantowe kiście digitalu kwitły całami i pękami w rozpadlinach murów; kamienie, obrosłe szmaragdowym mchem,

mieniły się od plam słonecznych, a kaskady blach zamieniały się teraz w istne potoki srebra i złota, zalewając chwilami ścieżkę i tamując drogę.

Zdaleka słychać było szmer kroków panny Marceli i szelest jej sukni.

Muszka odwróciła się, widocznie zdenerwowana obecnością panny służącej.

Panno Marcelo! zawołała nawpół rozkazująco, nawpół z uśmiechem ja i pan Wielohradzki pójdziemy do fermy w Croine napić się mleka... Niech panna Marcela tu na nas zaczeka... Panna Marcela mleka nie lubi!

Jak marionetka nagle nakręcona, przysiadła panna Marcela na płaskim kamieniu i, podparwszy głowę, spokojnie czekać zaczęła.

Tymczasem Muszka i Wielohradzki zaczęli iść szybko, biedź prawie. Twarz hrabianki pokryła się rozkosznymi dołkami, tak roześmiana była cała jej istota, przejęta nagle rozkoszą wesołości dziewczęcej. Tadeusz, porwany, rozkochany, uszczęśliwiony, biegł za nią wśród palm paproci, kiści digitalu i srebrnych kaskad blachy. W swej białej sukni, delikatnej i przejrzystej, po której ślizgały się promienie słońca, wysmukła, z aureolą różowej jutrzenki kapelusza dokoła głowy, zdawała się zjawiskiem delikatnym, z woni i barwy róży złożonym.

Biegając, wyciągnęła przed siebie ręce i płynęła wśród tej jasności, pod baldachimem liści, które, jak

spękane, stare szyby kościelne, zielony czarodziejski blask na nią rzucały.

Tadeusz szedł za nią i nagle uczuł w głowie zamęt, jakiś chaos, jakby opuszczała go wola, pamięć, sumienie. Biała postać mającą przed nim hipnotyzowała go i on, zwykle przebywający w ciasnej przestrzeni wrażeń, przeraził się nieledwie tem nagle wstrząśnięciem, jakiego doznawać zaczął.

Gdzie my idziemy? zawołał nagle, a głos jego zabrzmiał tonem trwogi.

Muszka stanęła, i tonąc cała w paprociach i kępie liliowych dzwonek, odparła:

I po co to pytać? po co to chcieć koniecznie wiedzieć, gdzie nas życie poprowadzi... oczy zamknąć i... czekać...

I uśmiechając się dodała:

Wieczna ciekawość nieznanego!... fievre de l'Inconnu!... a przecież to nieznanne... zakryte.. to cały urok życia!...

Podniosła w górę ręce, założyła je za głowę i pod rzęsami zablęśły dziwnie jasno i miłośnie szafiry jej oczu...

Urok życia!... powtórzyła, patrząc prosto w twarz Tadeusza.

On rzucił się ku niej i nagle zuchwały, niemal brutalny, porwał ją w objęcia.

Muszko!... wyszeptał, nie śmiejąc całować

jej ust, które uśmiechnięte miał tuż przed swojemi ustami.

Ona wciąż patrzyła na niego z pod przysłoniętych rzęs; z wpeł otwartych warg migotały teraz perły zębów białych, jak u młodej wilczycy.

Tonęli teraz w jasności, woni, blasku w tęczy barw migocących koronami kwiatów.

Tadeusz w tej chwili nie liczył, nie kombinował: widział tylko przed sobą ukochaną i pożądaną kobietę. I cicho, namiętnie, z po za zaciśniętych zębów zapytał:

Ty moja?... prawda?... moja?...

Jej oczy pociemniały i zęby zacięły się, tak jak u niego, jakimś nerwowym, spazmatycznym wysiłkiem. Milczała, powoli tracąc dziewczęcy wdzięk i przybierając nagle maskę dojrzałej kobiety.

Odpowiedz!... szeptał mężczyzna.

Przyszłość odpowie!.. rzuciła nagle i, wyslizgnawszy się z objęć Wielohradzkiego, znów naprzód biedź zaczęła.

W ciemnej chacie o rzeźbionych belkach migotał na wielkim kominie ogień, trawiący nędzne brzoźowe gałęzie.

Na pniaku drzewa, prawie dotykając sabotami ognia, siedział stary breton i, paląc fajkę, pluł w popiół.

Niedaleko, w kołysce, rzeźbami ozdobionej, leżało doroczne dziecko, poważne, spokojne, z twarzą dorosłego mężczyzny, bladą i nalaną. Dwie czarne źrenice utkwiło w świecące gwoździe, któremi meble nabijane były, i zdawało się pogrążone w ekstazie mistycznej dziwaczne i chorobliwe w swym aksamitnym, złotem haftowanym czepku. Wielohradzki i Muszka usiedli za stołem, czekając na mleko, które czarno odziana chłopka wielką drewnianą łyżką z misy przelewała w małe miseczki.

Cała gromada milczących i chmurnych dzieci, zbita w kącie w jedną masę błękitnego sukna, purpurowych czepków, sabotów i zasmolonych twarzy, śledziła z pod oka tę pannę białą ubraną, strojną i elegancką, której obecność napełniała ciemnię izby jakąś chorobliwą i niepokojącą dysharmonią. Pończochy Wielohradzkiego, pończochy wiedeńskie, dość pstre, dalekie od wykwintnej harmonii angielskich wełn, drażniły także te chłopskie umysły. Lecz zdziwienie kryły dzieci w sobie, ciągle poważne, zamyślane i smutne, z twarzami zestarzałymi przedwcześnie, w ciemni izby obstawionej dokoła artystycznie rzeźbionymi meblami.

Czuć tu było nędzę piękną, szamocącą się ze szpetotą, panującą wszechwładnie, przechowującą zazdrośnie artyzm codziennych sprzętów z poetyczną skrzętnością Japończyków, Łóżka, szafy, komin, ławy, łyżki, zawieszzone

u stropu w rodzaju drewnianego pudełka; deska, na której leżały czarne bochenki chleba, wszystko to miało w sobie linie i zarysy przechowane z Wieków Średnich, z lekką domieszką gotyku w ornamenta cyach, lecz w całości zachowujące harmonię stal, czerniących się w półmroku starych, rozpadających się w gruzy bretońskich kościołów. Wielohradzki i Muszka, przedzieleni wązka deską stołu, siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu, i tylko oczy ich spotykały się co chwila, migocąc jak fajerwerki.

Hrabianka zdjęła z głowy „kapotkę” i oparła się plecami o ciemnobrunatne tło ściany. Włosy je były prawie tej samej barwy, co deski, lecz promienie słońca, wpadające ukośnie przez drobne szybki jedyne okna, zapalały w kręconych kędziorach aureole złotych iskierek.

Wzrok jej wciąż wpadał w źrenice Tadeusza i uciekał szybko jakby spłoszony. Dodawało jej to uroku. Był to fałsz z pozorami eleganckiej naiwności, przewrotność wszystko wiedzącej dziewczyny, złagodzona wdziękiem trwożącego się podlotka.

We drzwiach chaty zaciemniło się nagle. Ciężko wlokąc pokrzywione nogi, wszedł Jagoury z fajką w ustach. Odziany w swe poszarpane ubranie poławiacza sardynek, miał wygląd żebraka. Lecz beret granatowy z fantazją spadł mu na ucho olbrzymie, włosem obrosłe. Poszedł wprost do komina i nachy

lił się nad ogniskiem. Szczypcami drucianymi wyjął żarzący się węgielek i, pykając głośno, fajkę gasnącą rozniecać zaczął.

I nagle parsknął śmiechem brutalnym, hałaśliwym. Stary breton, siedzący koło komina, nie poruszył się nawet, nie spytał Jagourego o przyczynę tej wesołości. Bretonka, nalewająca mleko, podeszła do stołu i postawiła dwie miseczki purpurowe, dziwacznie malowane, przed Muszką i Tadeuszem.

Bara? zapytała.

I nie czekając na odpowiedź, zdjęła z deski olbrzymi bochen czarnego chleba i położyła go na stole.

Tymczasem Jagoury zbliżył się także do stołu i w zczerniałych rękach kruszyć zaczął kawał hreczanego naleśnika.

Śmiał się ciągle, pluł w ogień i kiwał głową.

Okruszy zgarnął i wszystko razem wtłoczył w rodzaj dziury, których było kilka na powierzchni stołu.

Bretonka wlała mu w ten otwór trochę mleka i zamieszała tę zupę palcem. Jagoury odłożył fajkę i usiadł na ławie.

Permettez?zapytał Muszki, uchylając beretu. Panna Dobrojowska skinęła głową. Przyglądała

się ciekawie tej olbrzymiej ludzkiej maszynie, którą morze pokryło czarną rdzą, a jod warechu pokostował rudą barwą. Jagoury zdawał się jakimś starym

rybakiem, zbiegłym ze sceny teatralnej. Jadł powoli, zanurzając łyżkę w otwór stołu, zastępujący mu głębokie talerze i wszelkiego rodzaju cywilizacyjne nakrycia.

I nagle, z ustami pełnymi mleka i okruszków naleśnika, mówić zaczął, mieszając czystą francuszczyznę z żargonem bretońskim.

Wyborna farsa!... ci panowie z obserwatorium... tam... po za miastem, prawie koło stacyi kolei... gdzie to uczeni z całego świata schodzą się obserwować i krajać biedne bydłatka morskie... znów popełnili wielkie głupstwo... Od kilku lat chcieli wykluczyć jajka homarów... Dręczyli się męczyli, urządzali akwaria... dyabli wiedzą nie co... i nic!... Homary nie chciały się wykluczyć. Aż po wielu, wielu pracach, badaniach, naukach, kombinacjach... odkryli, że... że...

Tu szeroka dłoń Jagourego zaczęła migać w powietrzu. Stary wilk morski machał rękami i znów zanosił się od śmiechu.

Wielka cisza panowała w izbie. Dzieci stały w kącie jak skamieniałe, a bretonka usiadła przy kołysce z rękoma splecionymi na fartuchu, w postawie istoty, przywykłej do ciąglego próżnowania.

Tylko przeciągły śmiech Jagourego huczał po hacie i rozbijał się jak fala o kanty rzeźbionych mebli.

Odkryli, że... ciągnął dalej majtek że... ho

mary wykluwają się jedynie w wodzie, będącej w bezustannym ruchu!... Oto co znaleźli! I radzi, jakby złoto nauczyli się fabrykować, zawołali mnie i mówią mi: Piotrze Jagoury, jakie to my odkrycie zrobili! Wiemy, że jajka homarów muszą do wyklucia znajdować się w wirującej wodzie... A ja parsknąłem śmiechem i mówię: było też czego trzy lata sobie głowę suszyć... A toć każdy bęben wie w Concarneau, że homary potrzebują do wyklucia ruszającej się wody... I znów śmiał się długo i przeciągle, trawiony wciąż nienawiścią do tych „cywilizowanych”, z których pieniędzy żył, a którzy spadli na jego port rodzinny ze swymi stalugami, kabinami, regatami, pudełkami farb, czerwonymi parasolami, namiotami, obserwatoriami, kalając mu to morze, które teraz już należało do wszystkich, jak ulicznica, zamiast mieć jedynie dla swoich łaskawe przyjęcie, na wzór wstydlivej i strzegącej swego ogniska małżonki. Skrzętnie notował wszystkie śmieszności i błędy popełniane przez owych „cywilizowanych”, których ochrzcił mianem ogólnem „etrangers”. Myśl, iż kilku uczonych tam, po za białymi murami państwowego obserwatorium trzy lata dręczyło się nad odkryciem tego, co wiedziały od wieków dzieci dźwigające się od ziemi i kołyszące się na dnies barek na srebrnych stertach sardynek, wprowadziła Jagourego w rozkoszną nerwową wesołość. Od rana opowiadał tę „dobrą farsę”

wszystkim, kogo napotkał na swój drodze. Teraz umyślnie usiadł przy stole, aby śmiechem swoim upokorzyć tych dwoje wystrojonych, którzy włóczyli się po chatach po to, aby przyglądać się nędzy. I nagle Jagoury porwał się od stołu i, wsadziwszy w kieszeń swą wygasłą fajkę, powlókł się ku drzwiom, nie skinąwszy nikomu głową. Starzec siedzący przy ognisku nie ruszył się nawet, to samo i młoda kobieta nieruchoma, z twarzą poźółkłego Sfinksa I tylko dziecko w kołysce zwróciło teraz swe wielkie, smutne, marzące oczy na czoło Muszki i pozostało tak wpatrzone w aureolę włosów hrabianki, aureolę płonąca całą od iskier zachodzącego słońca. Tadeusz patrzył wciąż na Muszkę i napawał się szczególną dystynkcyą i harmonią jej ruchów. Ręce jej, długie i szczupłe, wiły się prerafaelitycznymi gestami w przestrzeni. Mała główka, osadzona na wąskiej i białej szyi, miała chwilami w sobie jakiś chorobliwy wdzięk sentymentalnozmysłowych heroin Balzaka. Od czasu do czasu Muszka podnosiła do ust purpurową czarkę i piła mleko z łakomstwem dużej, gibkiej, rudej kotki. W tem otoczeniu artystycznej nędzy piękność jej występowała z podwójną siłą. Zdawała się wonnem cieplarnianym kwiatem, purpurowym Hibiscusem o delikatnym kielichu, wrzuconym w smutną ciemnię średniowiecznej komnaty.

Nagle przed oczyma Tadeusza pojawiła się inna postać trywialna: zgarbiona, w jersey'u czerwonego stanika, jedząca brzydki śliwki i wypluwająca w garść szorstkiej ręki pestki. Często widywał Tecię jedzącą i nigdy nie zastanowił się nad różnicą rasowych przyzwyczajęń. Skrzywił się i potrząsnął głową, jakby chcąc spłoszyć natrętne widziadło. Kształtna, wązka ręka Muszki, opięta w żółtą duńską rękawiczkę, spoczęła delikatnie na blacie stołu. Bez namysłu Wielohradzki pochwycił ją w swą drżącą rękę. Przez chwilę te obie ręce złączone zarysowały się w promieniu słońca, bijącym przez okno. Bretonka, siedząca przy kołysce, podniosła się z ziemi, i klekocąc sabotami, zbliżyła się do stołu. Zaczęła zbierać miseczki i łyżki, sięgnęła po chleb i nagle uśmiechnęła się, widząc tych dwoje młodych, zapominających o reszcie świata wśród wąwozu okiennej framugi. Mari et femme!... zapytała, pokazując dwa rzędy czerniałych zębów. Ręka Muszki cofnęła się szybko, jak mała pantera, powracająca do swego legowiska. Non!... non!... zawołała i wybuchnęła dziwnym, przeciągłym śmiechem. Och!... śmiała się, nakładając kapelusz. Ta kobieta wzięła nas za małżeństwo... Co za dobra farsa!... jak mówił Jagoury...

Wielohradzki uśmiechnął się z przymusem. Miał ochotę zawołać: Cóż w tem dziwnego!... lecz nie śmiał. Czuł, iż znów stoi nad przepaścią i że jednym słowem może rozświetlić całą sytuację. Cofnął się jednak przerażony. Zaczął szukać pieniędzy w kieszonkach kamizelki, i znalazł tylko dwie dziesięciofrankówki. Uniesiony hojnością podróżujących po za granicami kraju Polaków, rzucił na stół ową złotą monetę. Bretonka zafrasowała się. Nie mam pieniędzy... nie mogę zdać reszty. Lecz on banalnym gościem fałszywego wielkiego pana wskazał ręką na stół. Gardez tout ca! wyrzekł, zmiierzając ku Muszce, która nagle spoważniała, zatrzymała się przy kołysce dziecka i uważnie w twarz malca patrzyła. Idziemy? spytał Wielohradzki. Tak. Zbierając fałdy sukni, wysunęła się Muszka z chaty. Stojąc na dziedzińcu, na którym suszyły się sterty paproci, zwróciła się ku Wielohradzkiemu z widocznym niesmakiem w wyrazie twarzy. Dałeś jej pan dziesięć franków? spytała po co? Pięćdziesiąt centymów było aż nadto dobrą zapłatą. Po co psuć takich ludzi! Lecz on szybko zbliżył się ku niej i porwał ją za rękę.



Moja żona! wymówił cichym, namiętym głosem.

Muszka znów śmiać się zaczęła.

Tak, tak! a ty... mój mąż!...

I wzięwszy się pod rękę, iść szybko zaczęli ku gardzieli wąwozu, w którym oczekiwały na nich kaskady srebra, złota, jasność plam słonecznych, szmaragdy mchów i bluszczu, amarant digitalu, fiolet dzwonek i... blaszana grzywa panny Marceli, tej panny Marceli, która, według słów Muszki, nie lubiła mleka

Pracownia wspólna amerykańskich malarzy mieściła się w jednym z domów, stojących tuż po nad balustradą portu.

Pracownia była duża i pusta. Jedynie ściany pobielone zarysowane były czarnymi plamami karykatur.

Pomimo wielkiej ilości świec, oprawnych w różnorodnego pochodzenia świeczniki i lichtarze, w pracowni tej panował smutny półmrokżółty, chorobliwy, opadający od sufitu jakimś welonem szarego popiołu.

Szerokie okno, wychodzące na port, przysłonięte było całe czarną płachtą wełnianą. I kir ten jeszcze smutniejszy nadawał wygląd owej sali, w której odbywał się ów „bal” kolonii amerykańskiej, bawiącej w Concarneau.

W kątach majaczyły zwalone stalugi, blejtramy, pudełka, pędzle, szczotki, zwoje płótna, pozaczynane szkice i paki potrzaskane, na których czerniły się jeszcze cyfry kolejowe.

Jedno pudełko płaskie, wypełnione trocinami, w których kryła się cała tęcza pasteli, leżało otwarte na podłodze, tuż prawie pod nogami tańczących gości. Około okna, na brudnym stole, zakreślonym mozaiką farb, stała duża waza, a dokoła niej szklanki.

Na ziemi, pod stołem i wzdłuż okna rzędy wypróżnionych butelek, a na krześle błękitna torba, w której czerwieniły i żółciły się pomarańcze i cytryny.

Na środku pracowni kręciło się kilka par przy dźwiękach rozklekotanego pianina, w które walił z całej siły jeden z malarzy amerykańskich. Reszta towarzystwa skupiała się przeważnie dokoła stołu, wazy i szklanek. Missy podchodziły śmiało, chwyciły łyżkę wazową i wypełniały szklanki ciemnym napojem, utworzonym z mieszaniny rumu, ginu, whisky, koniaku, szampana, wina czerwonego i białego, rozmaitego gatunku, kirschu, cytryn, pomarańcz, korzeni i rozmaitych innych ingrediencji.

Panienki odważnie i śmiało połykały szklankę za szklanką tego piekącego napoju. Żółta ich cera nabierała dziwacznych liliowych blasków. Małe oczki świeciły się, żółte zęby migały. Mężczyźni pili także, lecz stosunkowo mniej, niż panny. Atmosfera ponczowego

flirtu wypełniała pracownię. Rozklekotane pianino skrzeczało wciąż z jakąś bzikowatą zaciętością. Jeden z Amerykanów porwał świecę z lichtarza, i zgasiwszy ją, zaczął kruszyć stearynę, rozsypując ją po podłodze. Lekkie „oach!” dały się słyszeć tu i owdzie. Eteryczne miss ślizgały się po tych stearynowych okruchach. Lecz szybko owe wykrzykniki przemieniały się w liche chichot jakby rozbawionych puszczyków. I znów rozklekotany głos pianina górował, dominując nawet nad szczękami chochli skrobiącej dno wypróżnionej szybko wazy. Teraz zaczynały pukać korki i z nowo otwartych butelek lały się całe kaskady płynów do wnętrza wazy. Jedna z miss krajała cytryny, druga

pomarańcze. Spiczaste ich łokcie, z których zsuwały się zbyt szerokie cholewy rękawiczek, migotały białawymi punktami na ciemnym tle firanki. Wielohradzki, siedzący obok Muszki, zwrócił jej uwagę na ten fatalny kant nazbyt obnażonych ramion. Hrabianka uśmiechnęła się i, nagle rozsunięty tęczowy wachlarz, zasłoniła nim siebie i Wielohradzkiego. Znikli oboje po za tym parawanem z jedwabnej gazy, po której wiły się arabeski srebrnych gwiazdek. I zaczęli śmiać się oboje serdecznie, wesoło, z jakąś pustotą dziecięcą. Ten „bal” był dla nich wyborną komedia, na której występowali w roli widzów. Przez rzeźbę rączki wachlarza, zbliżywszy swe głowy, patrzyli ..

Przed nimi, w półciemnym, leniwem świetle skakało kilka par dorosłych, a nawet przerosłych ludzi, odzianych w dziecinne, króciuchne sukienki. Kobiety miały spódniczki sięgające kolan, fartuszki z szeleczkami lub zupełnie okrywające sukienki, nędzne włosy, spomadowane i splecione w cieniuchne warkoczyki, na ramionach bransoletki koralowe. Niektóre miały włosy rozpuszczone i spięte grzebyczkiem, jedna zaś, trzydziestoletnia kobieta, płaska, chuda, z czerwonym nosem, włożyła na głowę biały haftowany czepeczek i potrząsała trzymaną w ręku grzechotką. Mężczyźni ubrani byli, jedni w sukienki i fartuszki, inni w majteczki krótkie do kolan, skarpetki i bluzki. Dwóch miało duże śliniaki pod brodą, na których zwieszały się kółka kościane, takie, jakie daje się niemowlętom w chwili wyrzynania się ząbków. Duże krezy obejmowały ich twarze białem kołem, uwidoczniając spaloną cere, zmarszczki i od tytoniu pożółkłe zęby. Sam Sanderson spacerował z tornistrem na plecach i z długą kantówką w ręce. Na głowę weisnął bourelet trzciny, rodzaj wypchanego wałka, który chroni czaszki dzieci chłopów francuskich od rozbicia w razie wypadku, i wpół senny; ze szklanymi oczyma starego morfinomana, kręcił się wśród tańczących w długiej białej sukience, przewiązanej w pasie kawałkiem błękitnej gazy. Pomędzy temi potwornymi dziećmi, o szyjach pomarszczonych i czarnych, policzkach obwisłych.

ustach pożółkłych, oczach podsiniawych, skaczących jak frygi na stopach płaskich, olbrzymich, odzianych w pantofle z kokardami, krążyła najmłodsza i najładniejsza z Amerykanek, przebrana w klasyczną liberyę maniek francuskich. Wielki czepiec z wstążek purpurowych czerwieniał na jej głowie. Suknia, z płótna w kratki czerwone i białe, także wielka rotunda i duży biały fartuch dopełniały stroju. Owa mamka biegała na prawo i lewo, karciała, bila po łapach, stawiała do kąta i obcierała nosy. Wszyscy bowiem grali komedię i zastosowywali postępowanie swe do stroju, jaki przywdzieli. Te wysokie płaskie kobiety, ci mężczyźni o rybiem spojrzeniu bezkrwistych gentlemanów zachowywali się tak, jak horda rozpuszczonych i źle wychowanych dzieciaków. Piszczeli, skrzeczeli, bili się, popychali, wydzierali sobie zabawki i szklanki z ponczem. Mamka wpadała nagle pomiędzy „niegrzeczną” grupę i rozdzielała klapsy. Lecz była zajęta głównie flirtem z Sandersonem. W przystępie romantycznego uniesienia poklepałszy go po brodzie, zaprowadziła do kąta i postawiła twarzą do muru. Stary morfinoman szedł, wyprawiając grymasy rozkapryśzonego dziecka. I nagle stanął w kącie, kopiąc tylko od czasu do czasu przechodzących, którzy oddawali mu te kopnięcia z procentem. Muszka i Wielohradzki patrzyli na te długą, białą postać mistrza, przylepioną do muru i od czasu do

czasu poruszającą się, jakby za pociśnięciem sprężyny. Obok niego miss w czepku i gentelman w śliniaku, zamieniając flirtujące spojrzenia, wychylali szklanki gorącego grogu.

Dwie missy w fartuszkach, z trocha niezdecydowanej barwy włosów, związanych błękitnymi kokardami, biło się rozkosznie o tekturową lalkę, odebraną innej miss. Jakaś panienka, odziana w sukienkę Kate Greenway, z mitynkami i olbrzymią budką muślinową, piastowała gutaperkowego kota, nie zaniehbując prowadzić nader ożywionego flirtu z wysokim i chudym mężczyzną w paskowanej bluzce i słomianym kapelusiku.

Jakaś dziwna aberracya umysłowa, razem z przewrotnością, właściwą wpadającym w stan zdziecinnienia waryatom, zdawała się panować tu wszechwładnie. Te skoki, piski, klapsy, nagie łydki i kolana, olbrzymie fartuchy, hafty krótkich spódniczek, świstawki, bębenki, kółka do wyrzynania się zębów, cienkie warkoczyki, krezy, bakenbardy, czerwone nosy, żółte zębywszystko to razem tworzyło fatalne wrażenie domu obłąkanych, spędzonych razem w karnawałowej chwili, dotkniętych jedną i tą samą man ją, cofających się w swym rozwoju ku mrocznej ciemni, z której pracą lat całych wydobyli zostali.

Czy zna pan operetkę „Donnę Juanitę”? spytała Muszka Wielohradzkiego.

Znam.

Pamięta pan w ostatnim akcie święto Jamaiki? Wszyscy aktorzy przebierają się za dzieci. Stary Pambillo flirtuje z Rogerem, przebrany za dziewczynkę. Nazywają się: Pampusiek i Nitećka Ci wszyscy ludzie robią na mnie wrażenie takich Pampuśków i Niteciek. N'estcepas?

Wielohradzki potwierdził i patrzył z zachwytem na tę śliczną dziewczynę, tak artystycznie piękną, w porównaniu ze szpetotą, jaka otaczała ją dokoła. W dziwacznej gazowej sukni, mieniającej się jak tęcza, od gorącego szafiru, oranżu, purpury, szmaragdu aż do bladych tonów topazu i opali, zdawała się jakimś czarodziejskim zjawiskiem, zabłąkanem w krainę wiedźm i potworów. We włosach jej migotała gwiazda brylantowa, kryjąca się do połowy w tym kasku tryumfatorki, który lśnięciami karbami wznosił się wysoko nad jej nizkiem i kształtnem czołem. Siedziała wpół leżąc, na płóciennym fotelu, na który narzuciła swą wielką pluszową szafirową rotundę. Na tle tej ciemnej, chłonej światła tkaniny uwidoczniła się jeszcze więcej jej smukła kibic, długi stan jak doskonale piękny kwiat natury, rozkwitający niespodzianie tęczowemi barwy wśród półmroku nocy letniej.

Nikogo ze "starszych" osób nie było na tym balu. Owa wolność panieńska Amerykanek usuwała wszelkie „przyzwoitki”, drzemiące pod ścianami podczas zebrań europejskich. Hrabina Dobrojowska także

pozostała w domu. Za granicą Muszka zwykle używała amerykańskiej swobody. Nawet panna Marcela była tu zbyt zbyteczna. Muszka miała powrócić do hotelu razem z innymi panienkami.

Od początku wieczoru Wielohradzki przysunął się do hrabianki i pozostał przy niej, nie troszcząc się bynajmniej o powodzenie tańców, co zresztą było wobec rozbikowania się Amerykanów najzupełniej zbyteczne. Tadeusz i Muszka zajęli jeden kąt i tam siedzieli po za parawanem wachlarza Muszki. Szafiry oczu Muszki stały się czernią onyksów. Wielohradzki rozkochany, wpatrywał się w prześliczny owal twarzy Muszki, w jej cere przejrzystą, białą, lekko przysłoniętą warstwą woniejącego Apple Blossomem pudru. Ta woń dzikiej jabłoni, słodka, a zarazem drażniąca, płynęła nieustannie z fałd jej sukni, ze zwojów jej włosów, z ałasu jej skóry, z każdego powiewu wachlarza lub poruszenia ręki. Tadeusz dławiał się literalnie tą wonią. Po raz pierwszy poznał wyrafinowaną subtelność zawachlarzowego flirtu. Zamknięta i rozpalona od światła przestrzeń denerwowała więcej, niż szerokie łany wrzosu lub zarośla Paprotki. Mówili mało, lecz oczy ich spotykały się co chwila, i te oczy zamieniały gorące słowa, uściski, pocałunki, pieszczoty. Wrenice Muszki przysłaniała wilgotna mgła, która srebrzyła się i migotała na równi z blaskiem brylantów, ukrytych wśród włosów. Pod wpływem spojrzeń wargi ich rozchylały się, jak

by chwytając niewidzialne pocałunki; ręce ich w fałdach pluszu rotundy spotkały się i splotły nerwowo, wpinając paznokcie w ciało, nie czując bólu, odrętwiałe z nadmiaru uczucia.

Tymczasem Amerykanie skakali ciągle, a rozklekotany fortepian brzęczał jakąś nieokreśloną, niezrozumiałą melodię. I nagle rozległ się krzyk:

Wirginia roadt!... Wirginia roadt!...

Szybko utworzyły się dwa szpalery.

Z jednej strony kobiety, z drugiej mężczyźni. Fortepian zaklekotał gigue i natychmiast, jak maryonетки w ruch puszczone, tancerze i tancerki zaczęli po czworo doskakiwać do siebie, brać się za ręce, odskakiwać, tupać, przebiegać nogami, zakładać ręce na piersi, powracać na miejsce i kręcić się w kółko, jak puszczone w ruch bąki.

Połowa świec zgasła, lecz oni nie zwracali na ten szczegół uwagi. Wiercili się i kręcili, podskakując teraz w rodzaju łańcucha, z minami obłąkanych, puszczonych w ruch batami dozorców.

Małe warkoczyki podskakiwały na plecach, kółka kościane, grzechotki, turkotki, trąbki, kapelusiki, czerwone nosy, nagie kolana migotały w przestrzeni. Mistrz Sanderson zgubił swój wałek i szarfę. Jego biała, długa, haftowana sukienka (sukienka rocznego dziecka) wiewała dokoła chudego ciała, jak śmiertelna koszula. Panienska, ubrana w strój mamki, skakała, mając czepek przekrzywiony na prawe

ucho. I nagle, jakby na dany znak, przeraźliwym wrzaskiem wybuchnęła ze wszystkich piersi straszna, potworna melodia:

„Tarara boum de ay!...”

Muszka podniosła się z krzesła.

Chodźmy!... ci ludzie zanadto mnie denerwują!... wyrzekła, owijając się w rotundę.

Jakto?... już?... zapytał z żalem Tadeusz. pani chce wracać do domu?...

Lecz ona odwróciła się ku oknu, pokazując oczyma srebrne smugi światła księżycowego, jaśniejącego po za szybami, poprzez ciemną tkaninę firanki.

Chodźmy! tam tak srebrno... tak jasno!...

A kotylion?

Muszka wzruszyła ramionami.

Pan, jak dobry wódz, nie chcesz nawet takich niedobitków opuścić bez swej komendy... Lecz niech się pan nie lęka... ci państwo wolą gigue i swoje gincoctail i whiskycoktail, niż kotyliona i ordery... Chodźmy!...

Szybko, pod ścianą idąc, wysunęli się z pracowni. Nikt się za nimi nie obejrzał, a gdyby nawet dostrzeżono ich wyjście, nikt z tych mistrzów flirtu nie zdziwiłby się zbyt. Młoda miss i młody gentleman szli flirtować przy blasku księżycy. Było to rzeczą zupełnie naturalną i nikogo nie interesującą.

Muszka i Tadeusz, zbiegłszy ze wschodów, zna

Jeżeli się na ulicy, lecz ścieżkę prowadzącą do morza zatamowała im grupa ludzi, złożona z rybaków i malarzy francuskich. Wszyscy, porządnie pijani, otaczali Jagourego, który z najwyższą pogardą wyrażał się o wszystkich obcych przybyszach, przepełniających Concarneau. Wśród czkawki pijackiej opowiadał teraz, jako w obserwatorium przeszłego roku zaprowadzono wielkie badania przyczyn, dla których sardynki przestały przepływać w bliskości Concarneau. Wydawszy dużo pieniędzy i straciwszy wiele czasu, uczeni z obserwatorium odkryli wreszcie przyczyny, które oddalały przyływ sardynek do Concarneau. Zaczęli ogłaszać je drukiem, zasypując swe memoryały mnóstwem nazw, zupełnie niezrozumiałych. Nagle sardynki przyplnęły, i to w tak wielkiej ilości, że on sam, Jagoury, sprzedawał całe barki na nawóz dzierżawcom folwarków okolicznych.

I mówiąc to, stary rybak tryumfował, drwił, uderzając się pięścią wr zapadłe piersi.

Nom de nom! cre nom de nom!.. klął spluwając.

Inni rybacy potwierdzali jego słowa, dodając, że rząd sprawił obserwatorium własny statek parowy, którym ci panowie jeżdżą na spacer w towarzystwie kokotek.

Lecz malarze francuscy zaczęli gniewać się

i występować w obronie wiedzy. Krzyczeli, iż nie wolno jest urągać jej poszukiwaniem. Głosy te

ochryple mieszały się z sobą, płynąc chrapliwą melodią po nad balustradą ku morzu. I nagle rzucili się na siebie zajadle i zaczęli bić się wzajemnie rybacy i artyści, zapominając, że przed chwilą pili razem w szynku wódkę, nazwaną przez nich chaoul'em.

Koło ściany przytulona, skurczona stała murzynka, trzymając na ramieniu równie skurczoną małpę. Tak zwierzę, jak i taitianka patrzyły na ten kłęb zbity z ciał ludzkich, walający się po flizach z charczeniem i przekleństwem ochrypłych głosów.

W źrenicach małpy i czarnej dziewczyny było wiele smutku, zdziwienia i pogardy.

Muszka i Wielohradzki obeszli dokoła dom i wydostali się na „grewę”, z kąd można było prawie prosto przejść na „plażę”. Powoli zaczęli iść w kierunku kabin, które minęli, zdążając ku trzeciej „plaży”, zwykle osamotnionej.

Lecz dziś nie było ciemni. Przeciwnie, jasność dziwna, złożona ze srebra i błękitu, rozplywała się w przestrzeni.

A Wysoko na przejrzystym szafirze zawieszony księżyc roztaczał dokoła aureolę białawego prawie blasku. A na ziemi, na morzu, blask ten nabierał błękitnych tonów, czasem przechodząc w seledyn, czasem ciemniejąc nagle szafirem, często błyskając chłodem turkusów. Cała przestrzeń morza była taka srebrnobłękitna, i gdzieś tam, pod uderzeniem wiosel cicho sunących łodzi, zabłyskały nagle wstęgi nieokreślonej jasności, fosforycznych blasków

i gasły szybko, rozplywając się w ogólnym oświetleniu.

Muszka i Wielohradzki szli wolno, w milczeniu. On otoczył ramieniem wysmukłą postać dziewczyny. Gdy wchodziła na skałę, zdawała się na chwilę cała owiana morską falą o blaskach fosforycznych. Z tej tajemniczej a uroczej fali występowała wyniosłe jej drobna głowa, jej twarz nagle pobladła i złoto jej włosów, w których świeciła gwiazda brylantowa.

Usiedli w zagłębieniu skały, na tem samym miejscu, na którym nastąpiło ich przywitanie niepewne i wahające.

I zaraz Tadeusz przypadł do jej rąk, szukając jej dłoni w delikatnych fałdach pluszu. Powoli, miękkim giestem ściągnął jej rękawiczki i zaczął całować te różowe dłonie, woniejące odurzającym zapachem. Hrabianka z widoczną chęcią poddawała się tej niebezpiecznej pieśczoście. Tadeusz podnosił od czasu do czasu głowę i patrzył wprost w twarz dziewczyny, która rzeczywiście w tej chwili była niezmiernie piękną w blaskach księżyca.

Delikatna jej cera stała się w tem turkusowosrebrnym świetle śnieżnobiałą. Po za nią tło skały szaroniebieskie służyło jej za rodzaj baldachimu. Brylanty gwiazdy migotały zwyczajnie, walcząc o lepsze z jednolitym, zimnym blaskiem księżyca, i tylko fosforyczne wstęgi, snujące się wśród fali, miały

te sianie czarowne, tęzowe światło brylantowych promieni.

Wielohradzki powoli ręce Muszki zarzucił sobie na szyję i pozostał tak wpatrzony w jej oczy, w jej twarz, w jej usta, czując, iż w tej powodzi srebra i łagodnego a melancholijnego blasku niknie jego wzburzenie, które go ogarniało tam, w pracowni malarzy amerykańskich.

Natomiast przejmowało go szalone wzruszenie i smutek. Walczył długo, czując, iż lzy nabiegają mu do oczu. Wstydział się tego nadmiaru czułości, tem bardziej, że twarz Muszki miała wciąż w sobie wyraz dziwny rozmarzonego Sfinksa.

Patrzyła przed siebie, na morze, rozplywające się w szafirze i srebrze, i zdawało się Wielohradzkiemu, iż ten szafir i srebro chłoneła w swoje źrenice. I nagle zamigotało coś na jej rzesach. Czy i ona płakała? Nie śmiał się pytać, lękał się przerwać czar tej chwili. Czuł się tylko ze zbytku szczęścia nieszczęśliwym i był w tej chwili prawie dzieckiem, potrzebującym pieśczości, uspokojenia.

Powoli osunął głowę na jej kolana i pozostał tak nieruchomy, ukrywszy twarz w jej dłoniach. Wówczas Muszka spojrzała na niego z pod przymkniętych rzęs i usta jej wyszeptaly, jakby mimowoli: Pauvre petit!

XL

Z przestrachem Wielohradzki przeliczył zawartość swej portmonetki i pugilaresu.

Miał jedynie tyle pieniędzy, ile mu na zapłacenie hotelu i na drogę było potrzeba.

Matka nie przysłała telegramu.

Tadeusz zaczął się niepokoić, nie wiedząc, jak wybrnąć z tego położenia.

Szybko zeszedł ze wschodów, ubrany, jak zwykle na połów owych krabów, które ginęły natychmiast, wtłoczone w ciasne akwaryum o szklanych zielonawych ścianach.

Na dołę zastał Muszkę, czekającą na niego pod werendą.

Przyniesiono dwa telegramy! wyrzekła panna Dobrojowska jeden dla pana, drugi dla mnie. Otworzyłam przez pomyłkę telegram, zaadresowany do pana... Proszę nie mieć mi tego za złe... Nie przeczytałam ani słowa...

Wiedział, że kłamała, ale kochał ją teraz z taką bezwzględną zapamiętałością, iż byłby jej darował nie tylko niedyskrecję, kłamstwo i kokieterię, ale nawet najgorszą zbrodnię.

Wziął więc telegram i z udaną niezłe obojętnością przebiegł błękitny świstek wzrokiem. Ściągnął brwi i przez chwilę zafrasował się, jaką przybrać minę. Postanowił od razu oznajmić Muszce o swym odjeździe.

Ja wyjeżdżam!... wyrzekł, przybierając ton stanowczy, jakby opancerzając się przed prośbą lub łzami Muszki.

Lecz ona zupełnie spokojnie odparła:

A!... kiedy?

Wielohradzki uczuł się do żywego tą obojętnością dotknięty.

Dziś po południu!...

A!

Nie spytała go o przyczynę, nie zażądała, aby pozostał jeszcze. Opuściła wzrok na telegram, który trzymała w ręku, i zaczęła go czytać uważnie i dokładnie.

Poczem zwinęła i włożyła w kieszonkę żakietu.

Stali teraz oboje przed sobą tak, jak obcy, jak ludzie, którzy się widzą po raz pierwszy i ostatni w życiu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Pierwszy Wielohradzki gwałtem wyrwał się z tej piwnicznej atmosfery milczenia.

Czy mogę pisać?... zapytał prosząco. Lecz ona zdziwiła się takim żądaniem.

Po co?... my także niedługo zabawimy w Concarneau. Jedziemy przez St. Malo do Londynu, a potem prawdopodobnie na Wiedeń do Jarmuszówki, na sezon polowań. Zresztą nie wiem dokładnie... marszruta cała nie od nas zależy... od okoliczności... Chciałam być w Londynie, bo pod Konilred są podobno nadzwyczajne SaintHuberty... Pan wie... takie duże psy czarne do ścigania dzików. Miałabym ochotę mieć SaintHuberta. Nikt w Galicyi nie ma tej rasy, nawet Bodoccy, nawet Maleni... Je serais la seule!... l'unique!...

Oczami błędziła po placu, po siatkach zagli, kołyszących się w przestworzu. Zdawała się Wielohradzkiemu nagle przeistoczoną, znów tą sportwoman'ką, zakochaną w psiarni, istotą ludzką, rzucającą nazwami ras psich, jak kulami. Ścisnął mu serce wielki żal, serdeczny i szczery. Nie chciał wracać z takim wrażeniem do Lwowa, chciał zawieźć matce inną, pewniejszą nadzieję. Delikatnie więc, układnie przechylił głowę i zrobił najpokorniejszą, jak umiał, minę.

Chodźmy łowić kraby!... wyrzekł prosząco. Ona broniła się, jakby nagle opancerzona i przywołana do rzeczywistości kobieta.

Nie!... nie!... dziś nie mam czasu!... Mama trochę cierpiąca., mnie głowa boli...

Lecz on nalegał. Ostatni raz!...

Oczy jej mimowoli padły na jego twarz ładną, bladą i zmęczoną. Miał wygląd lekko zabarwionego posągu: tak blade, pastelowe tony mieniły się pod jego skórą i w jego źrenicach. I zwyciężoną tą dziwnie subtelną urodą chłopaka, panna Dobrojowska nagle zdecydowała się.

Chodźmy!... wyrzekła.

I szli znów wzdłuż balustrady wybrzeża, nad którą kołysały się welony siatek, welony brązowe, zielone, oranżowe, mieniące się, jak mora, na tle nieba Barki wypoczywały, a ciężkie postaci rybaków ześlizgiwały się z ocembrowania na ławki łodzi. Po dnie nagi em włóczyła się zieleń porostów i ciemne wstęgi warechu. Wpół nagie dzieci biegały, czepiając się kamieni fortyfikacyi.

Muszka i Wielohradzki szli w milczeniu: on smutny, ona jakaś surowa i znów zeszywniała moralnie. Gdy wyszła ze swojej kabiny, ubrana jak zwykle, zdawało się Wielohradzkiemu, iż rzuciła na morze wzrok pogardliwy, prawie nienawistny. Lecz szybko wyraz ten cofnął się pod jój ciężkie powieki. Wchodząc na „plażę”, była tylko obojętna, zimna, roztargniona, taka, jaką ją widywał często wśród salonów lwowskich, w chwili prowadzenia kotylionów.



Zaczął niemal żałować, że uprosił u niej ten ostatni spacer i zmusił ją nieledwie do oddania mu długiego pożegnania. Instykt kokieteryi kobiecej, który istniał zawsze na dnie jego duszy, mówił mu, że był to rodzaj gwałtu moralnego, jaki duszy jej zadał. Lecz żebracza natura męska przeważała i drżącym głosem zapytał:

Dlaczego mi pani nie pozwala pisywać do siebie?

Nie było odpowiedzi.

List taki skróciłby mi czas oczekiwania... rozumie pani, że teraz każda chwila będzie dla mnie męczarnią.

Muszka brwi zmarszczyła.

Jeżeli pan nie masz w sobie cnoty cierpliwości, to lepiej... radzę... staraj się pan zapomnieć o... Concarneau... i spędzonych w nim chwilach.. Sądziłam, że pan jesteś cierpliwszy i że...

Urwała, widocznie szukając słów, dobierając frazesów. Lecz on stawał się coraz natarczywszy, popełniając błąd za błędem, zwyczajem nieprzyzwyczajonego do fortelów miłosnych mężczyzny.

Czy można mówić o cierpliwości w takiej chwili!... zawołał czy pani nie wiesz, że ten, kto kocha, nie umie być cierpliwym?

Muszka nagle wyprostowała się i płomień przebiegł po jej twarzy.

Kto pana upoważnił czynić mi podobne wyznanie? spytała.

Stali właśnie na tem samym miejscu, na którym Muszka jak echo powtórzyła: „na całe życie!”

Tadeusz otworzył szeroko oczy i zaczął się jękać.

Ja... sądziłem... że...

I nagle ku rekom Muszki się rzucił i, porwawszy je, całować zaczął.

Przepraszam!... przepraszam!., to nie ja wyrzekłem to słowo, to moje serce, ale ja... wyjeżdżam. Pani mi nawet pisać nie pozwala... Pani dziś dla mnie taka niedobra... taka niepoezciwa... dlaczego?... dlaczego?...

Muszka milczała przez długą chwilę i nagle wybuchnęła śmiechem.

Co za tragedia!... zawołała co za tragedia!... po co na wszystko zapatrywać się z tak dramatycznej strony? To dobre na scenie, w powieściach!... Trzeba życie brać tak, jak ono jest.. tak jak się ofiarowuje... i czekać z ufnością, co nam przyszłość przyniesie.

Szybkim ruchem wsunęła swoje rękę pod ramię Wielohradzkiego.

Przyszłość... przyszłość, grand bebe, należy do nas dwojga... Mamy jeszcze całe życie przed sobą!... całe życie!... czy ty rozumiesz doniosłość tego słowa?

I nie czekając na jego odpowiedź, zerwała ze swo

jej głowy beret i, powiewając nim w powietrzu, zawołała z gorączkową wesołością:

Vive l'avenir!... vive l'avenir!...

Stado mew, spłoszone, bijąc skrzydłami, porwało się ze skały i zaczęło przesuwać się po nad głowami tych dwojga młodych, apoteozujących zagadkowy czar przyszłości, rozwiewając w słońcu swe śnieżne skrzydła nakształt olbrzymich świeżo rozkwitłych nenufarów, czarowaną mocą krążących w przestrzeni.

## XII.

Gdy Wielohradzki, wysiadłszy z dorożki, wbiegł na wschody, doznał wrażenia, jakby włókł za sobą jakiś straszny ciężar moralny i fizyczny, odbierający mu władzę mięśni i myślenia.

Uczucie to nie opuszczało go ani na chwilę w czasie podróży, lecz tu w tej wschodowej klatce spotęgowało się nagle i nabrało większej wyrazistości i mocy.

Sądził, iż zastanie matkę na dworcu kolejowym; tymczasem szukał jej napróżno. Musiał jechać do domu sam.

Nadmiar złego nie miał na zapłacenie dorożki ani centa. Drogę z Krakowa do Lwowa przeżył o głodzie, wypiwszy w Przemyśle tylko kawy za ostatnie trzydzieści centów, które mu pozostały w kieszeni.

Odrzuć więc wpadł w całą nędzę prozy życiowej.

Za nim stróż niósł kuferek, gdyż Wielohradzki, który często czyścił sobie sam buty, uznałby się

znieważonym przez zanieśenie na górę łomoczek. Stojąc przed drzwiami, z przyzwyczajenia klucza po kieszeniach szukał, lecz drzwi otworzyły się same, tak, jak to zwykle czyniła Wielohradzka. gdy ukryta w przedpokoju kroki syna poznawała nieomal od pierwszego piętra.

Wielohradzki ujrzał jakąś postać kobiecą mającą w przedpokoju. Szybko poskoczył i rzucił się jej na szyję, lecz natychmiast uczył jakieś drobne ramiona, odpychające go z taką nerwową siłą, iż zatoczył się i oparł o ścianę.

Równocześnie posłyszał głos Teci, głos pokorny, matowy.

Przepraszam pana!...

Zrozumiał, że wzięwszy Tecię za matkę, rzucił się jej na szyję. Ogarnęła go złość i wpadł nagle w swój dawny zły humor. Odebrał z rąk stróża walizkę, zaczął udawać, iż szuka po kieszeniach pieniędzy.

Nie mam drobnych!... wyrzekł wyniośle jutro Mateuszowi zapłacę!

Mateusz skinął głową.

A Einspanner? \*)

Wielohradzki doznał dziwnego uczucia. Chciał zwrócić się do Teci i zażądać od niej guldena, lecz gniew i wstyd zatamował mu słowa. Postanowił

\*) Jednokonna dorożka w żargonie galicyjskim

czekać powrotu matki. Odwrócił się do stróża i rzucił z niechcenia:

Niech mu Mateusz powie, żeby zaczekał. Biorę go na godzinę!...

I porwawszy walizkę, wpadł do swego pokoju. Tam znalazł wszystko na swoim miejscu. Podłoga aż lśniła się od wosku. Kołdra opięta świeżem prześcieradłem czerwieniła się zdaleka. Na stole w szklanym wazoniku stał bukiet rozmaitych kwiatów. Obok niego buteleczka wody kolońskiej, jeszcze nieodetkana, i nowy, imitujący szyldkret, grzebień.

Wielohradzki usiadł na łóżku i ze ściśniętym sercem patrzył dokoła. Ten pokój mały, ciemny, ubogi, podobny do jakiegoś pretensjonalnego więzienia, sprawił na nim przygniatające wrażenie. Ów bukiet, flaszeczka wody kolońskiej, grzebień tani z celulozoidu te niespodzianki, prezenty, które na niego czekały, powiększyły jeszcze wrażenie nędzy i szarego niedostatku, w które wpadał.

W dodatku owo niespodziewane znalezienie się w objęciach Teci, jej rozpaczliwe a tak dziwnie pogardliwe odepchnięcie przejmowało go szalonym niesmakiem.

Miał ochotę otworzyć drzwi i powiedzieć tej dziewczynie, iż była to jedynie pomyłka z jego strony, iż w ciemności wziął ją za matkę, której nieobecności nie umiał sobie wytłumaczyć; miał ochotę, a nie śmiał, czuł się jak sparaliżowany, związany

wobec tej dziewczyny, której gniew, wzgardę, wstręt odczuwał doskonale, pomimo, iż minął ją, przebiegając przez pokój, nie spojrzawszy nawet w jej stronę.

Ukrył więc głowę w dłonie, i tak siedział na łóżku, skurczony, zgarbiony, nie mając ani odwagi ani chęci obmyć się z kolejowej sadzy i podróżnego pyłu.

Z zamyślenia tego wyrwało go wejście matki. Wielohradzka wbiegła w kapeluszu, kolecie i rękawiczkach. Porwała go w swe objęcia i witała ze łzami w oczach; poczem szybko mówić zaczęła. Spóźniła się na pociąg... szła bowiem piechotą... nie lubiąc tramwajów.

Wielohradzki całował jej ręce, ciągle zamyślony; znużony, z ustami zaciętymi w niewytłumaczonym milczeniu.

Lecz Wielohradzka gorączkowo go pytać zaczęła:

I cóż? i cóż? ..

On powolnym ruchem wskazał na drzwi, po za którymi była Teci.

Quand nous serons seuls!... wyrzekł w formie odpowiedzi.

Ona zaraz wyjdzie... odparła matka. Nagle rozległ się dzwonek. Wielohradzka zbliżyła się do drzwi.

Kto tam? Zobacz, Teci, kto dzwoni. Rozległ się głos Mateusza.

Einspanner pyta, czy ma czekać dłużej?

Na Wielohradzkiego uderzyły płomienie. Po raz

pierwszy uczył się skrepowanym, sięgając do kieszeni matczynej. Stracił przyzwyczajenie ciągłego proszenia się o pieniądze potrzebne na uprzyjemnienie egzystencji.

Wolał zastawić się kłamstwem,

Mateczko!... nie mam drobnych .. niech mateczka zapłaci dorożkarzowi...

Wielohradzka zafrasowała się widocznie.

Dawno czeka?

Nie wiem... może pół godziny, może trzy kwadransy...

Wielohradzka zaczęła szybko mrugać oczami.

Daj to, co masz!... Teczka rozmieni. Wtedy zdjęła go jakaś rozpaczliwa energia.

Zwrócił się ku matce, pobladły cały i zmęczony zdenerwowaniem, które go od chwili wstąpienia na próg domu dławilo.

Je n'ai rien! wykrztusił prawie tragicznym głosem.

Wielohradzka wysunęła się za drzwi i przytknęła je.

Tadeusz słyszał dokładnie, jak kazała zejść stróżowi i powiedzieć dorożkarzowi, aby jeszcze zaczekał chwilkę. Poczem szeptała coś z Tecią, i dziewczyna wybiegła szybko, mówiąc półgłosem:

Wezmę od babki.

Wielohradzki zrozumiał, że i matka nic miała ani centa i że pożyczone przez Tecię pieniądze zapłacą

jego dorożkę. Ten fakt zwiększył jego rozdrażnienie. Postanowił natychmiast poprosić matkę, aby nigdy od Teci, ani jej rodziny, nie przyjmowała żadnej pieniężnej przysługi.

Lecz Wielohradzka weszła, i Tadeusz nie powiedział ani słowa. Zaczął tylko porządkować drobiazgi na półkach i układać książki. Z kieszeni palta wyjął dużą książkę w żółtej oprawie i położył ją na wierzchu. Było to Salammbô Flauberta, które Tadeusz kupił na jednej z kolejowych stacyj, skracając czytaniem nudy podróży.

Tymczasem Wielohradzka, trochę zaniepokojona zachowaniem się Tadeusza, stała w milczeniu koło stołu i układała kwiaty w bukietach. Twarz jej wydawała się bardzo bladą, a pasma włosów, zakrywających dawną modą uszy, jeszcze więcej zbieleły.

Ubrana była, jak zawsze, starannie, nawet elegancko.

Tylko rękawiczki, które miała jeszcze na ręku, były bardzo zniszczone i miały palce zasmarowane atramentem.

Wreszcie widząc, iż syn nie zdejmuje nawet palta i coraz więcej zacina usta, które już teraz wązka linijką znaczyły się wśród twarzy, odezwała się sama jakimś niepewnym, nieśmiałym głosem:

Czy panie Dobrojowskie pozostały w Concarneau?

Tadeusz poskoczył ku niej i porwał ją za rękę.

Mamciu złota!... zaczął gorączkowo ją mamcią błagam, niech mama mnie o nic dziś nie pyta... Jestem znużony, rozdrażniony, zdenerwowany... enfin, que saisje!...

Wielohradzka protestowała.

Chciałam się tylko dowiedzieć...

Jutro... mamcia dowie się o wszystkim... sam powiem! Dziś nie mogę!... nie mogę!...

Zęby mu dzwoniły, oczy miał łez pełne, zdawało się, że wloką go na średniowieczne tortury.

Wielohradzka przeraziła się jego zdenerwowaniem.

Dobrze!... dobrze!... wyrzekła uspokajająco. Powiesz, kiedy chcesz i co zechcesz... Teraz umyj się, przebierz i odpocznij. Przyniosę ci gorącej wody, dolej trochę gliceryny, bo inaczej ta sadza kolejowa zniszczy ci cere na kilka tygodni.

I stając już u drzwi dodała:

Do herbaty przygotowałam ci świeże masło, twarożek i trochę kiszki paszтетowej... Czy dobrze?

Do ust Tadeusza nabiegła ślina.

Och!... ja nic jeść nie będę! mruknął, zdejmując palto.

Niemniej przeto, tak, jak zresztą zawsze, do stołu usiadł i zjadł pół bochenka chleba, maselniczkę masła i ćwierć funta kiszki paszтетowej. Dopiero, gdy zabrał się do twaroga, spostrzegł, że matka pije czystą herbatę.

A mamcia? zapytał, odzyskując razem z napełnionym żołądkiem przebłycki lepszego usposobienia.

Wielohradzka zawahała się chwilę.

Ja?... Nie zważaj na mnie... ja suszę!... Tadeusz zadziwił się niemało.

Dlaczego? wszak to dziś środa?

Właśnie na twoją intencje... do świętego Józefa...

I pochylając się ku synowi, z niezrównanym, niemal dziewczęcym wdziękiem, dodała:

Patrona małżeństw szczęśliwych!...

Tadeusz brwi ściągnął, miał ochotę wstać od stołu, uciec do swego pokoju i zamknąć się na klucz. Ta alluzja do małżeństwa z Muszką sprawiła mu ból niemal fizyczny. Lecz zastanowił się i z chmurną miną sięgnął po salatarezkę, w której bielił się twaróg. Poczem zabrał się do drugiej połowy chleba i wyskrobał pustą już maselniczkę. Lecz gdy najedzony do sytości znalazł się w swoim pokoju i, szybko rozebrawszy się, włożył pod koldrę, porwał go straszny żal, smutek, tęsknota za tą przejrzystą przestrzenią, gdzie opałowe morze pod turkusową kopułą oświetlone było złotą lampą słoneczną, drgającą brylantowymi blaski, za temi wawozami pełnemi srebra, zieleni, purpury kwiatów i szmaragdu bluszczów, za tą wyśnioną, elegancką postacią Muszki za jej rękami (muszlami różowemi), za jej oczami

szafiru), za jej ustami (odblaskiem jutrzeńki). Zaczął nadawać jej w myśli najśłodsze i najpięszcotelniejsze nazwy, podniecał się wspomnieniem jej ukośnych spojrzeń, słów niedomówionych. I znów zdawała mu się niedościgną, daleką, tak, jak wówczas ay Paprotce, gdy niosąc nad czołem złote słońce, stanęła na wyżynie, mając u stóp swoich orszak gwiazd i ciał ludzkich, z których żadne nie mogło doścignąć jej w doskonałości barwy i linii.

Pomimo ciemności, Tadeusz nerwami czuł, widział nędzne mebelki, zapełniające jego pokoikstół okryty skromną serwetą, półeczki z książkami, drugi stół z miską, dzbankiem i flakonikami, stanowiący cabinet de toilette nędzarza. Zwłaszcza owo okno, umieszczone na górze, okratowane, zasłonięte białą firaneczką, wkręcało mu się w mózg, jak prawdziwe okno celi więziennej, przysłonięte cieniem „kosza”

Ta uparta wizja okiennego otworu, która, jak zwierzę czuwające, dyszała życiem w ciemności i zdawała się kratami swojemi i szmatką firanki drwić ironicznie z sytuacji Tadeusza, mieszała się nieustannie w jego myślach ze świeżymi wspomnieniami miłości, dobrobytu, niezmierzonej przestrzeni, które żyły jeszcze w głębi jego umysłu, Ogarnęła nim gorączka. Podniósł się i usiadł na łóżku, oddychając ciężko. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Zdawało mu się, że te wszystkie sprzęty, nędzne i ubogie, to mieszkanie niemal pod strychem,

te książki, skupowane za składane przez matkę centy, ta maszyna do szycia, która odpoczywała teraz, jak koń w deptaku spracowany zdawało mu się, iż te rzeczy nieruchome i nieżyjące utaiły tylko swoje życie i wszystkie w tajemnicy żyją i pracują na jego zgubę. Uwięziły go pomiędzy sobą, jak stado małych złośliwych i nędznych, i codziennie szydzą z jego niedołęstwa, ubóstwa i niemożności pozbycia się ich widoku.

Przez umysł jego, jak przez mgłę, przesunął się tryumfalny okrzyk Muszki:

Vive l'avenir.

Mignął biały płat jej beretu, zaświeciły szafiry oczu...

Chciał odegnać dręczące go mary tem magicznym zaklęciem, lecz napróżno. Groza jego i strach wobec tej armii niby uśpionej, a przecież tak potężnej, wzrosły. Szybko ukrył głowę pod poduszkę i naciągnął kołdrę bał się, jak małe dziecko wieczorami przez niankę straszone.

I wtłoczywszy rękę w usta, zaczął łkać cicho, ale boleśnie, zanosząc się, jak kobieta schorowana i życiem zmęczona. Lecz gdy wstał nazajutrz, obudzony turkotem maszyny, poczuł się dziwnie rzeźkim, żwawym i peł

nym fantazyi. Ubrał się szybko i uśmiechnięty wszedł do pokoju, w którym matka, odziana w pikowy szlafrok, ustawiała właśnie na tacy przybory do jego śniadania.

Widząc wchodzącego syna, zdziwiła się niezmiernie.

Jakto? już wstałeś?... a, mój Boże!... pewnie maszyna nie dała ci spać...

Lecz Tacia, nie podnosząc głowy, odparła:

Proszę pani... jeżeli mamy odnieść tę bluzkę

O jedenastej, to jakże było czekać!

Lecz Wielohradzki po dawnemu do lustra podszedł.

Nic nie szkodzi, matusiu!... nic nie szkodzi. Wypałem się doskonale. Teraz proszę o kawę

i zalczstangę... Idę do biura!

Przyglądał się sobie z zadowoleniem. Był bardzo bladej i miał błękitne pod oczyma smugi. Ale to tylko dodawało mu wdzięku. Obejrzał zęby i rozszerzał usta, wykrzywiając je w dziwnym uśmiechu, tuż przed taflą lustrzaną.

Wielohradzka, uradowana zmianą jego usposobienia, nalewała mu kawę.

Wypijesz tutaj, czy w swoim pokoju?  
Nie, tutaj, razem z paniami!  
Maszyna turkoce, rozboli cię głowa...  
Och! niema obawy.

Pyszności!... a co za kożuszek!... tylko u nas w kraju umieją przyrządzać kawę.  
Pił powoli, smakując, wyskrobując garnuszek. Wielohradzka patrzyła na niego z po za swych binokli, z sedecznym uradowaniem.

Smakuje ci?... zapytała.

Bardzo!

Usiłował nie spojrzeć na Tecię, lecz dziewczyna, powstawszy od maszyny, zbliżyła się ku Wielohradzkiej.

Proszę pani spytała co zrobimy u szyi? kołnierz marynarski? czy plisowaną falbanę, czy stojący zwykły kołnierzyk?  
Była tak blisko Tadeusza, iż ten mimowoli oczy podniósł i spojrzał na nią przelotnie. Zdziwił się wielką zmianą, jaka w niej zaszła.

Była teraz jeszcze więcej „dziewczynką” niż kiedykolwiek, tak bardzo schudła, zbladła i zmizerniała. Ubranie jej składało się z szarej płóciennej sukienki i białego fartuszka. Włosy, z powodu ciągłego bólu głowy, czesała teraz gładko i spinała w węzeł, niemal na samym karku. Nadawało to jej cechę szlachetniejszą, odsłaniając bardzo kształtną i małą głowę.

Miała zupełnie wygląd pensyonarki.

Wielohradzka zwróciła się ku synowi.

Powinszuj Teciwyrekła. Tydzień temu odbyły się jej zaręczyny z panem Janczewskim.

Tadeusz chwilkę zawahał się.

Był tak wielkim egoistą, iż te zaręczyny, których pragnął i które uwalniały go od Teci, zadrasnęły go lekko. Szybko jednak opamiętał się i z wielką dystynkcyą i kurtuazyą powstał i skłonił się przed, panną Pikiewiczówną, trzymając w ręce łyżeczkę pełną kożuchów.

Serdecznie się cieszę!... winszuję!... szczęścia życzę!...

Tecia nie skinęła nawet głową, tylko odebrawszy z rąk Wielohradzkiej bluzkę, powróciła do maszyny i, usiadłszy, ową sławną „Silencieuse” z hukiem i turkotem stebnowaó zaczęła.

Tadeusz tymczasem zawijał w papier cukier i rogalik i, włożywszy na głowę kapelusz, do lustra raz jeszcze podszedł.

### XIII.

Minęły długie trzy tygodnie.

Tadeusz przez ten czas raz jeden prowadził tańce w ogrodzie namiestnictwa, podczas zwykłej dwutygodniowej garden party. Niedobitki arystokracji lwowskiej włóczyły się wśród spiekoty i kurzu ulic lub kryły się po za spuszczonej storami okien. Przeważnie młodzież zapelniająca biura namiestnictwa była w komplecie, uzyskując urlopy z trudnością i starając się zachować je na miesiące jesienne, w chwili otwarcia polowań.

Namiestnikowa zbierała tych kilkanaście osób, nudzących się piekielnie, pod cieniem kasztanów obszernego ogrodu i starała się wynaleźć im jakie takie rozrywki. Grano w krokiet, nawet w wolanta. I był to raj dla panien namiestnikówien, które same, bez niebezpiecznej rywalizacji, kręciły się wśród tych rasowych koncepspraktykantów, z których niemal każdy dźwigał na swojej ostrzyżonej głowie koronę

hrabiowską, baronowską, ba... czasem mitrę książęcą.

Wielohradzki powoli wszedł w swoje dawne towarzystwo.

Nerwy jego uspokoiły się. Przestał lękać się mebli i owego zakratowanego okna, osłoniętego płachtą firanki.

Zrozumiał, że w dniu przyjazdu ogarnęło go zanadto brutalne przejście z poezji i piękna w ciemną szarotę smutnej rzeczywistości. Uchwycił się teraz drugiej połowy swojej egzystencji, tej sztucznej, błyskotliwej, złożonej z przebywania w kołach arystokracji, i mówienia „ty” arystokratycznym kolegom biurowym.

Miłość Muszki rozwinęła w nim szaloną pychę. Teraz niemal z politowaniem patrzył na Charłupkę, na

Pozbitowskiego, na tych innych, którzy nie byli wyróżnieni przez pannę Dobrojowską. Małżeństwo Malewicz z bogatą panną Statnicką było już rzeczą postanowioną i ogólnie wiadomą. I Wielohradzki z radością widział, iż nikt się temu związkowi nie dziwił, wszyscy mówili o nim jako o fakcie zupełnie naturalnym i stosownym. Malewicz, nie posiadający ani centa, brał pannę mającą trzykroć sto tysięcy guldenów posagu. I nie spadał bynajmniej w opinii świata. Owszem, od chwili zaręczyn stał się „kims”, nabrał więcej znaczenia, zaczynał się „liczyć”, tak jak Bodocki, Pozbitowski i inni. Wielohradzki każdy ten objaw śledził ciekawie. I mimowoli prostował

się także, chętniej i częściej mieszał się do rozmów „tych panów”, którzy dobrzy chłopcy odpowiadali mu uprzejmie, lubiąc go za jego ładną twarz, doskonałe maniery i umiejętność w noszeniu dobrze skrojonej odzieży.



Powoli także ogarniała go chęć ciągłego paplania o Muszce i Wielohradzka wiedziała teraz wszystkie szczegóły jego pobytu w Concarneau, z wyjątkiem wszakże niektórych chwil spędzonych sam na sam z Muszką, podczas których flirt ich przechodził po za granice przez flirt zakreślone.

W ten sposób Muszka przedstawiała się Wielohradzkiej jak rozkochana, trochę lekkomyślna dziewczyna, lecz rozkochana uczciwie, tak, jak ona sama, Wielohradzka, zakochana była przed laty w swoim późniejszym mężu. I raz na ten teren wszedłszy, Tadeusz zaczął coraz więcej idealizować i uszlachetniać swój stosunek z panną Dobrojowska, kłamiąc po kobiecemu, lecz kłamiąc z serca, tak, iż na drugi dzień nie wiedział już, co było prawdą a co kłamstwem.

W ciemni nocy Muszka zdawała się inną istotą, niż przy świetle dziennem. Marząc o niej w gorączkowym śnie, widział ją jako kobietę ciągnącą ku sobie czarem wyzywającej piękności. Pożądał jej jak kochanki i nie marzył o małżeństwie. Mając wyobraźnię podnieconą czytaniem „Salammbó”, stroił pannę Dobrojowska w czarną szatę córki Hamilkara,

a na jej ramiona wkładał ciemną purpurę płaszcza, wlokącego się za nią na wzór fal, które wiernie towarzyszyły jej krokom. Widział ją schodzącą z owych olbrzymich schodów, oświetloną purpurą ogni płonących drzew i mającą po obu stronach dwa długie szeregi białych ludzi, odzianych białą, niemających ani rzesów, ani brwi, ani włosów. On sam zaś był ucieleśnieniem Matho i wił się na lwich skórach, owijając się prześcieradłem, jakby cudownymi fałdami welonu Tanity.

Realistyczna forma dzieła Flauberta porwała go i uniosła, równocześnie każąc mu wśród otoczenia wyszukiwać postaci poznanych z kart książki. Salammbó miała twarz Muszki, i owe usta, otwarte jak „kwiat granatu”, były ustami Muszki, ramiona, pokryte sznurami brylantów ramionami Muszki.

Lecz rano widzenie zniknęło, i Muszka przeistaczała się w zakochaną, pocziwą dziewczynę, dążącą, całą siłą do połączenia się węzłem małżeńskim z człowiekiem wybranym przez siebie wśród tłumu. Ta sympatya, nieledwie uczucie, z którym Wielohradzka wymawiała jej imię, dodawała jej uroku dziewczyny normalnej, wychowanej przy boku matki, dość cichej i skromnej. Odkąd Tadeusz dowiedział się, iż matka jego była w tej samej sytuacji względem jego ojca, jak Muszka względem niego, mimowoli często identyfikował postać matki z postacią Muszki. Przy świetle dziennem dwie te kobiety zaczynały łączyć się

w jedno. Często prosił matkę, aby opowiadała mu drobiazgowo, jak zwalczyła wszystkie przeszkody i zdołała połączyć się ze swoim mężem. I gdy Wielohradzka łagodnym głosem opowieść swą po raz setny zaczynała, Tadeusz przymykał oczy i słowa matki w myśli ilustrował, podstawiając jako bohaterkę Muszkę. Był bowiem teraz chwilami bardzo romantycznie usposobiony i, o szarej godzinie zwłaszcza, romantyzm ten objawiał się zupełnie dziecinnymi, naiwnymi symptomatami.

W biurze zaś działo się przeciwnie.

Zapatrywał się trzeźwo i jasno, lecz trzeźwo i jasno po swojemu. Malewicz był dla niego punktem wyjścia.

Bezustannie studiował jego zachowanie się i mimowoli przybrał jego chód, ruchy, noszenie głowy. Zaczynał podrzywać z Kafthana, który teraz był jeszcze chmurniejszy, tragiczniejszy i bardziej milczący. Malewicz starał się

zostać c. k. szambelanem. Był to pusty tytuł, lecz zawsze jaki taki tytuł. Na to trzeba było wylegitymować się z dostojęstwa rodu. Wielohradzki zaczął interesować się temi szczegółami i uradował się, widząc, z jaką łatwością przyszedłoby mu otrzymać szambelanie.

Gdzie obecnie przebywała Muszka nie wiedział. Pożegnali się wśród gradu pocałunków i pieszczot. Muszka zdawała się nawet mieć łzy w oczach, on zaś płakał, jak dziecko. Mimo to pisać do siebie nie pozwoliła, mówiąc: „po co? wkrótce się zobaczymy!...”

Pewnego wrześniowego popołudnia Wielohradzki siedział w biurze i, oparłszy łokieć na stole, czytał „Salamambo”. Przez otwarte okna widać było ogród namiestnikowski i drzewa, zaczynające lekko żółknąć od szczytów. Po trawnikach biegały panny namiestnikówny w czerwonych bluzkach i czarnych spódniczkach. Zdaleka miały wdzięczne linie młodych dziewcząt. Grały w wolanta zręcznie i z dużą wprawą.

Na sofce, przygotowanej dla urzędników, którzy mieli nocną inspekcję, siedział Stanio i Jurek Bodocki. Zjedli śliwki, które Stanio przyniósł w torebce, i ziewali z nudów i gorąca. Zaczęli mówić o przyszłych polowaniach i cieszyli się nadzieją wyjazdu do Szabrowki, zamczku myśliwskiego wśród gór Karpackich, należącego do pewnej liczby akcyonaryuszów, którzy corocznie, w październiku i listopadzie, na polowania zjeżdżali.

Pozbitowski, który się zajmował kuchnią, niepokoił się, czy jeden kucharz zdoła nakarmić czterdziestu ludzi.

Zkąd bierzesz czterdziestu? pytał Bodocki.

Ze służbą...

Ach tak!... skoro będziesz liczył służbę i psiarczyków i stajennych, to więcej naliczysz, niż czterdziestu...

Trzeba, ażeby ktoś z nas pojechał naprzód

i zobaczył, czy owa kolonia letnia bardzo nie zanieczyściła zamczku?

Jaka kolonia letnia?

Prawda, ty nic nie wiesz, nie byłeś na ostatniej sesji. Pozwoliliśmy kanonicznie Haden sprowadzić do Szabrowki całą czeredę małych dziewczynek. C'est une bonne action!... quoi!

Zapewne!., zapewne!...potwierdził Bodocki. Rozmowa urwała się, i Wielohradzki, który nie mógł czytać, słysząc obce głosy, wstąpił znowu na szczyt Akropolu.

Lecz Pozbitowski znów zaczął mówić, teraz półgłosem i z jakimś ironicznym uśmiechem.

I cóż Maleni?

Jurek Bodocki powstał z sofy i, włożywszy ręce w kieszenie, zaczął po pokoju chodzić,

A no, nic... odparł to było dawno do przewidzenia... ce n'est pas tene surprise.

Zatrzymał się u drzwi prowadzących do drugiego pokoju.

Jak Boga kocham!... zawołał szeptem, zaglądając przez szparę och!... mais cest epastrouillant! colossal! pyramidal!

Co takiego? spytał Pozbitowski.

Pst... cicho... nie skrzyp butami, bo go spłoszysz!

Kogo?

Kafthana! stoi ukryty po za framugą okna i patrzy na ogród... och! ale jak patrzy!  
Kto jest w ogrodzie? Wielohradzki. zobaczno! Tadeusz podniósł głowę i spojrział przez okno.  
Cesarskokrólewska fornalka!...  
Ach!!!  
Wszyscy trzej spojrzeli na siebie.  
Czyżby?...zaczął Pozbitowski i urwał, wybuchając śmiechem.  
Oh!... non! non!... protestował Bodoockica serait trop cocasse!...  
Śmiali się jeszcze długą chwilę i Bodoocki powrócił na dawne miejsce.  
Quel animal!...rzucił, wzruszając ramionami. Pozbitowski ułożył się na sofie, zwiijając się w kłębek.  
Spać mi się chce!... wyrzekł powoli. Byłem wczoraj na kolacy u Brandmagla.  
Po co tam chodzicie?...  
A cóż z czasem zrobić? w lecie niepodobna we Lwowie wytrzymać...  
I układał się do snu jak wielki kot czarny, błyskając tylko białą pikowej kamizelki.  
Nie wiesz kiedy Maleni wróci? spytał Bodoocki.  
Nie wiem! jeżeli wróci, to w każdym razie nie na długo...  
Wielohradzki zamknął książkę i, oparłszy głowę

na rękę, mimowoli rozmowy swych kolegów słuchać zaczął.  
Dlaczego nie na długo? ciągnął dalej Bodoocki.  
No, przecież przenoszą go do Wiednia... Po ślubie będą w Wiedniu mieszkali...  
Wielohradzkiego ogarnęła ciekawość. Maleni się zenił; był to fakt niezwyklej doniosłości w dziejach arystokracji lwowskiej.  
Maleni się zeni? zapytał, podnosząc się i wysuwając cokolwiek głowę z poza półeczek biurka.  
Tak! odparł Bodoocki, który teraz także układał się do snu na drugim końcu sofy, znużony nadmiarem pracy i gorąca.  
Z kim? pytał Wielohradzki.  
Z Muszką Dobrojowska! zabrzmiała odpowiedź.  
Głowa Wielohradzkiego znikła szybko po za półkami biurka.  
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

— Może powiedzieć panu Janczewskiemu, ażeby lepiej wiedział, jak rzeczy stoją...

— Nie... trzeba wszystkich powoli do tej katastrofy przyzwyczaić ..

— Jak pan chce... ja się zupełnie zastosuję do pana woli.

I ze ślicznym a niezgrabnym ruchem niewieściej pokory pochyliła Tęcia głowę przed rozpartym na krześle Tadeuszem. Nastąpiło milczenie.

Niewiele mieli sobie do powiedzenia ci dwoje, znów nagle zbliżeni — jego fantazją, jej miłością. On miał minę Papkina, który bez walki wiódł za sobą jeńca, ona czuła się nieśmiałą i zawstydzoną. Przebaczyła tak łatwo, na pierwsze niemal skinienie.

G. Zapolska. — Wodzirej. Tom II.

Teraz stała kolo stołu, prując pośpiesznie przyszyte krzywo haftki wzdłuż aksamitnego stanika. Była to robota samej Wielohradzkiej, którą Tęcia naprawiała, wyciągając duże ścięgi jedwabiu, które dość krzywo znaczyły się na aksamicie. Wielohradzka widziała coraz mniej, szyla źle i krzywo. Tęcia z wielkim taktem i dyskrecją naprawiała tę fuszerkę, gdy Wielohradzka wychodziła z domu. Dziewczyna śpieszyła się gorączkowo. Duże czerwone plamy wystąpiły jej na policzki.

Tadeusz wyciągnął ku niej rękę.

— Czemu Tęcia tak się ciągle z daleka trzyma?... Czy mi Tęcia nic ufa?

— Ufam, proszę pana! — odparła dziewczyna — ale nie mam czasu. Okropnie się śpieszę... Jak babcię Kocham, nie mam czasu.

Tadeusz się skrzywił.

— Niech Tęcia oduczy się tego zaklinania, to bardzo nieładnie mówić ciągle "Jak babcię Kocham"...

— Dobrze, proszę pana, to już nie będę tak mówić...

Tadeusz namyślił się chwilę.

— Albo niech Tęcia mówi, bo to może ma pewien wdzięk taka prostota.

— Jak pan chce! — odparła — mogę mówić, mogę nie mówić...

Milczeli znów przez długą chwilę. Od okna padał

majowy wieczorny blask, trochę liliowy, złagodzony jeszcze bielą firanek.

— Dlaczego Tęcia włożyła dziś broszkę? — spytał znów Tadeusz.

Dziewczyna zaczerwieniła się nagle, jak wiśnia, i milcząc spuściła głowę.

— Tyle razy prosiłem... — ciągnął Wielohradzki, kołyszając się na krześle — żeby Teczka nie nosiła ani broszek, ani maneli, ani żadnej norymberszczyzny... Żadna dama, która się umie ubierać, nie nosi na codzień biżuterii — co najwyżej kolczyki, zawsze jedne i te same, i pierścionek... Teczka nie ma gustu za centa, a w dodatku słuchać mnie nie chce...

— To nie ja... to babcia... — wyszeptała wreszcie Teczka.

— Co babcia?

— Kazała mi włożyć tę broszkę koniecznie... jak babcię Kocham!...

— Znowu?...

— Co?

— Jak babcię Kocham!...

— Przecież pan mi pozwolił... — tłumaczyła się dziewczyna.

On założył nogę na nogę i stopą, odzianą w pantofel z monogramem, kiwać zaczął.

— Nie o to chodzi... — wyrzekł, mrużąc oczy po co Teczka broszkę włożyła na siebie?

— Powiedziałam już: babcia mi kazała...

— Pytam dlaczego?...

— Bo... bo... ten garnitur... to prezent...

— A!... od kogo?...

— Od... pana Janczewskiego... Babcia każe mi koniecznie nosić i broszkę i kolczyki... Ja nie chciałam i nawet umyślnie rozdrapałam sobie ucho igłą: niby mnie te kolczyki obciążają uszy... Ja wiedziałam, że pan się będzie gniewał, dlatego to zrobiłam. Ale już dzisiaj nie mogłam się wykręcić. Babcia mi kazała włożyć broszkę... Musiałam... Tadeusz wyduł usta w ironicznym uśmiechu,

— A!... więc to prezent... od pana Janczewskiego... bardzo piękny... cóż to przedstawia ta broszka? lokomotywę? może zapalić? znacznie buchać para... Bardzo... bardzo dystyngowany gust... Winszuję...

Teczka pochyliła jeszcze niżej głowę. Oddychała szybko. Nagle szybkim ruchem odpięła broszkę i schowała do kieszeni.

— A!... — podjął Tadeusz — a!... przepraszam... nie wiedziałem, iż ta piękna broszka jest tak bardzo pannie Teczce drogą i że żarty moje aż skłonią Teczka do zdjęcia tego drogiego klejnotu... Niech pani przypnie znów to świecidełko. Nie powiem już ani słowa w tym przedmiocie .. proszę... proszę ..

Teczka nie odparła ani słowa, tylko szła wciąż zawzięcie.

Na jej lśniące ręce spadły dwie duże łyżki, które

szybko obtarła o fartuszek, bojąc się, aby nie splamiły aksamitu.

Tadeusz patrzył na te łyżki z pewnego rodzaju zadowoleniem.

— Czego pani płacze? zapytał, podkreślając wyraz „pani” — przecież przeprosiłem za moje niewczesne żarty z dobrego gustu pana Janczewskiego... Proszę włożyć broszkę... Nie chcę pani pozbawiać przyjemności noszenia tak miłej pamiątki.

Widocznym było, iż wielką ulgę i przyjemność sprawiało mu doprowadzenie do łez tej cichej dziewczyny, która nareszcie zdobyła się na odpowiedź.

— Nie dlatego płaczę,, że... pan śmieje się z pana Janczewskiego,, ale dlatego, że pan myśli, iż ja dobrowolnie kładę jego prezenty... Mówiłam panu już, że babcia kazała...

— Och!.., z rewolwerem nad panią babcia nie stała!...

— Nie, ale..

Urwała i nagle, usiadłszy koło stołu, położyła głowę na rękę i płakać zaczęła, wołając:

— Czemu mi pan tak dokucza?... Czemu mi pan tak dokucza?...

On siedział nieruchomo, lubując się w tej myśli, iż mógłby dwoma słowami osuszyć te łzy, a jednym pocałunkiem otworzyć niebo tej istocie. Lecz nie wyrzekł tych słów, nie dał pocałunku, przedłużając przyjemność tej „sceny”, którą powtarzał i wywoły

wał coraz częściej, wiedziony chęcią dokuczania istotom, mającym dla niego serdeczne uczucie w głębi duszy.

Patrzył na Tecię i w myśli powtarzał sobie:

— Płacz!... płacz!,, dobrze ci!..

Patrząc tak, zdziwił się, jak wydała mu się małą, chudą i nędzną, siedząc z głową ukrytą, z linią grzbietu zarysowaną szarem płótnem stanika. I ogarnął go niesmak, gorycz, zniechęcenie. Ta cała scena nudzić go zaczęła. Szukał teraz w myśli, jakby ją obrócić w coś, co może mu dać nową sumę wrażeń, i nie mógł nic znaleźć, zaczął się niecierpliwie i miał za złe Teci, iż umiała tylko płakać. Chciał kłótni, nerwowej zamiany zdań, wyrzutów, gniewu — natomiast miał tylko letni deszcz łez. Ziewnął i wzruszył ramionami.

Dziewczyna ciągle płakała. Tadeusz chciał wstać i odejść do swego pokoju, lecz ktoś do drzwi lekko zastukał.

Tecia porwała się z miejsca i wybiegła do przedpokoju. Po chwili powróciła, prowadząc za sobą dwie małe dziewczynki.

— Kto to? — zapytał Tadeusz.

— To małe Zimermana — odpowiedziała Tecia, nie patrząc na niego.

Dwie małe Żydóweczki, odziane w perkalikowe sukienki, dygnęły przed Tadeuszem, dygnęły przed

Tecią i dygnęły raz jeszcze przed próżnią, jak dwie nakręcone lalki.

Tata przyszyła! — wyrzekła starsza, wyciągając rękę, w której miała głęboki talerz, nakryty spodkiem. Mniejsza wyciągnęła także rękę z kawałka chały opadł na ziemię papier zadrukowany.

Obie dziewczynki były prześliczne: białe, różowe, buzie okrągłe, oczy szafirowe, duże i marzące Noski miały zadarte, włosy blond, lśniące i splecione w warkocze. Na nogach białe pończochy opadały w obwarzanki; zbyt krótkie sukienki ujawniały brak podwiązek.

Tadeusz nie ruszył się z miejsca, przygasłymi oczami patrząc na obie Żydóweczki.

Tymczasem Tacia wzięła talerz i do kuchni zmierzała.

— Przełożę do menażki — wyrzekła — i zaraz wam talerz oddam.

Idąc, odkryła spodek.

Ostrosłodka woń cebuli wypełniła pokój.

Tadeusz skrzywił się wykwintnie.

— Niech panna Tacia to wyniesie, bardzo proszę...

— Przecież pan rybę po żydowsku bardzo lubi...

— Lubię, ale gdy jem., proszę to zaraz wynieść. Dziewczynka znikła w kuchni, po chwili wróciła i oddała talerz starszej Żydóweczce.

— Kłaniajcie się tatce i podziękujcie za rybę — wyrzekła, gładząc młodszą po głowie.

Lecz Zimermanówny nie ruszały się z miejsca.

— Tatko prosił, żeby pani dała rate! — wyrzekła

wreszcie starsza, zupełnie poprawną polszczyzną. Twarz Teci pokryła się wyrazem zakłopotania.

— Pani Wielohradzka wyszła... . niema jej w domu!

— To my poczekamy. Tatko kazał zaczekać! — odparła dziewczynka i natychmiast, ciągnąc za sobą siostrę, usunęła się do drzwi.

I przylepiwszy się do ściany, stały tak obie, białe, różowe, niebieskookie.

Tadeusz ze złości zaczął bębnić po krawędzi stołu.

Te dwie małe dziewczynki, czekające pokornie na rate należną ich ojcu, wydawały się mu dwoma katami, którzy czyhali na niego z rozpalonemi do białości obcęgami.

Nie śmiał jednak odwrócić się i wyrzucić Zimermanównien za drzwi. Wiedział, iż matka nie zapłaciła ostatniej raty. Z ironią więc gorzką ścigał teraz wzrokiem kręcącą się po pokoju Tecię. Miał ochotę napaść znów na nią. Obecność dzieci wstrzymywała go. Czuł jednak, iż nerwy go dławią i że wybuchnie lada chwila pod jakimkolwiek pretekstem.

— Jeżeli panna Tacia — wyrzekł nareszcie — umyślnie tu te dzieci sprowadziła, aby mnie zmusić do wyjścia z domu, to w takim razie cel został dopięty. Wychodzę!...

Lecz siedział na krześle i coraz silniej nogą kiwał.

— Wychodzę!... — powtórzył dobitnie.

Tacia nie odpowiedziała ani słowa, lecz szybko zbliżyła się do dzieci.

— Chodźcie do kuchenki — wyrzekła — zaczekacie tam na panią... dam wam krzeselka,

Wzięła dwa plecione krzeselka i wyprowadziła obie dziewczynki, które dygnęły przed plecami Tadeusza, suwając zbyt dużymi trzewikami, widocznie kupionymi na wyrost. Tacia powróciła i znów zabrała się do szycia.

Tadeusz ziewnął głośno i ręce za tył głowy założył.

— Dlaczego Tacia nic nie mówi? — zapytał — czy Tacia się jeszcze dąsa?... Śliczny charakter!

— Ja się nie dąsam — odparła, siadając koło okna dziewczyna — tylko...  
— Tylko?  
— Aniołby nie wytrzymał, tak mi pan wciąż dokucza.  
Tadeusz wzruszył ramionami.  
— To Teci wina!  
— Moja?  
— Tak! Gdyby Teczka nie była takie masło maślane, to byłoby inaczej.  
Teczka pokiwała głową i zaczęła przygotowywać maszynę.

— Tak pan mówi — odparła — a gdybym ja za każdym słowem odcinała się panu, to nasze klótnie Bóg wie jakby długo trwały...  
— Aż do pogodzenia., może panna Teczka nie lubi się godzić?  
Śmiał się nieszczerze, fałszywie, otwierając szeroko usta. Widocznem było, iż robi wszystko, co może, aby wmówić w siebie, iż i jego te „pogodzenia” bawiły.  
Dziewczyna nie odpowiedziała nic, tylko z szumem zaczęła zbierać dokoła maszyny sfastrygowane bryty spódnicy.  
Znów zastukano do drzwi.  
Teczka wstała od maszyny i pobiegła otworzyć. Lecz w przelocie zatrzymał ją Tadeusz. Porwał ją za rękę i do siebie przyciągnął.  
— No, i cóż?... panno Dąsalska?—zapytał, oczami oczu dziewczyny szukając.  
Ją opuścił cały rezon i pewna odwaga, jaką odzyskiwała, oddalając się od niego.  
Opuściła głowę i zaczęła wolną ręką oczy sobie zakrywać.  
— Dąsamy się jeszcze? — pół szeptem mówił Tadeusz — to źle!... Niech Teczka zapamięta, że ja tylko dobre i pokorne stworzenia koło siebie noszę i tylko dobrych i pokornych umiem cenić i kochać... Cały urok Teci leży właśnie w jej pokorze i dobroci. Będzie to Teczka pamiętać?...

— Będę! .. — odszepnęła dziewczyna.  
— Dobrze! a teraz... niech Teczka idzie drzwi otworzyć...  
Dziewczyna, już rozjaśniona, wpadła do przedpokoju i, otworzywszy drzwi, cofnęła się widocznie zmieszana.  
— Kłaniam pięknie!... — dał się słyszeć głos kobiety, wymawiający dziwnie szeroko samogłoski.  
Teczka weszła do pokoju, a za nią ukazała się wysoka stara żydówka, o podłużnej czerwonej twarzy, obramowanej orzechowemi wstążkami atlasowej peruki, z pod której bieliło się wysokie, dość gładkie czoło i czerniały małe oczki, wsunięte w głąb pod fałdami skóry, na której czerwone plamy znaczyły miejsce nieobecnych brwi.  
Odziana w czarny watowany kaftanik i zbyt długą brązową spódnice, trzymając w ręku duży parasol, weszła, mrużąc oczy i powtarzając raz jeszcze:  
— Pięknie się kłaniam!...



Tadeusz mimowoli wyprostował się na krześle. Przed panią Pake Liliental, najgłośniejsza wierzycielką jego matki, miał pewien mimowolny respekt, połączony z nerwową odrazą. Wsunął nogi pod krzesło i zakłopotany zaczął znów bębnić po stole.

— Pani Wielohradzka nie jest w domu? — spytała pani Pake.

— Wyszła., wróci późnym wieczorem—odparła Teczka.

— Ja... poczekam! — uśmiechnęła się uprzejmie Pake Liliental— stara już jestem, to ciężko tak chodzić po piętrach nadaremnie... Państwo pozwolą?

Usiadła na brzegu krzesła i spódnica jej rozpostarła się, jak balon, zakrywając jej stopy, odziane w prunelowe sznurowane trzewiki.

— Pan dobrodziej tak sobie odpoczywa? — spytała, zwracając się do Tadeusza.

— Aha!... — odmruknął Tadeusz.

— Pan dobrodziej się też pewnie spracował... ale co to młody, to się wy wczasuje przez ćwierć godziny. Nam, starym, to więcej czasu potrzeba.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Pani Pake, osoba niezmiernie towarzyska, podsycała znów rozmowę.

— Byli my wczoraj w teatrze, ja i mój starszy subjekt — zaczęła — mam interesa z paniami aktorki, to one mi dają łoża, a czasem zwykłe siedzenie numerowane. Wczoraj grali takie smutne sztuki, bardzo smutne sztuki... Taki król, co to dzieciom rozdał całe swoje pieniądze, a potem zbankrutował i tak sobie po lesie chodził i włosy wydzierał.. Pan dobrodziej zna te sztuki?

— Znam.

— To bardzo śliczne sztuki. Ja zawsze proszę, aby te panie z teatru mi dawały platz, wtedy, gdy

Powróciła do pokoju i, przechodząc koło Tadeusza, zatrzymała się na chwilę.

— Dlaczego pan taki smutny? — spytała. Nie było odpowiedzi.

Dziewczyna przełknęła kilka razy ślinę, jakby zabierając się do jakiegoś ciężkiego wyznania.

— Bo... jeżeli... panu o tę broszkę przykro... — zaczęła przyciszonym głosem — to ja... tę broszkę gdziekolwiek wyrzucę... a babci powiem, że ją zgubiłam. Mnie o nią nie chodzi., jak babcię Kocham... niech mi pan wierzy...

Tadeusz podniósł na nią przygasłe oczy.

— O jakiej broszce Teczka mówi? — zapytał.

— No... o tej... od pana Janczewskiego...

A!...

znów zamyślił się, zaciąwszy usta.

Nagle zachrobotał klucz w zamku i drzwi otworzyły się szybko.

Teczka nie zdołała jeszcze powrócić na swoje miejsce, gdy wyniosła postać Wielohradzkiej ukazała się w progu.

Z pod włożonych binokli spojrzała przenikliwie na syna i na zmieszaną dziewczynę. Poczem zbliżywszy się do stołu, położyła na nim trzymane w ręku paczki.

— Miałaś wyjść dziś po południu... — wyrzekła wreszcie, zwracając się ku Tadeuszowi.

grają smutne sztuki. Ja lubie siedzieć i płakać,.. Bo po co mi wesole sztuki słyszeć? Wesole, to zawsze głupie. Tak ja powiedziałam memu starszemu subjektowi. Bo on toby tylko śmiał się i chciał wielkiej uciechy...

Zamilkła, poczem, wyciągnąwszy z kieszeni dużą chustkę, otarła nią usta.

— Bardzo się wczoraj splotałam... — dodała — wielką miałam zabawę...

Tecia zaczęła szyc na maszynie i slychać bylo przerażliwy turkot, klekot, hałas. Lilientalowa spoglądała z niepokojem w okno. Szabas zachodził. Musiała iść do domu. Wielohradzka nie nadchodziła. Wreszcie żydówka wstała i z uśmiechem zaczęła się kłaniać dokoła.

Ide... późno na mnie.. przyjdę w poniedziałek, bo w niedzielę to u państwa święto.

Ukloniła się, i Tadeusz mimowoli ukłon ten jej oddał.

Ogarnął go wielki smutek, i życie wydało mu się jakąś ciemną jamą, do której nie dostawały się nawet promienie słońca.

Pani Pake sunęła cicho ku drzwiom, wreszcie znikła w głębi przedpokoju.

Tecia wyszła za nią i przez chwile slychać bylo jak namawiała małe Zimmermanówny do powrotu do domu. Drobne nóżki zatupały w przedpokoju i Tecia zniknęła drzwi wejściowe z wielkim pośpiechem.

— Czego? aktów adwokackich?

— Nie... egzemplarzy teatralnych... Tadeusz ruszył ramionami.

— Jakże mamcia chce, ażeby ja kopiował egzemplarze teatralne!.. Przecież te kopie pójda do cenzury, do namiestnictwa. Wojsa i Pozbitowski będą je czytali. Poznają moje pismo... Bóg wie go!...

Wielohradzka pokiwała głową.

— Prawda!... zapomniałam...

Tadeusz otworzył drzwi i wszedł do swojego pokoju. Prosto posunął się w stronę łóżka i rzucił się na posłanie. W ruchu tym była cała masa leniwiejących w bezustannem rozdrażnieniu nerwów, zgębienie moralne, prowadzące do anemii fizycznej.

Leżał tak długo, odwrócony ku ścianie.

Ściemniało się powoli.

Tadeusz drzemał i z półsnu tego obudził go głos matki.

— Tadziu!.. na herbatę!...

Głos matki brzmiał ostrzej niż zwykle.

Wielohradzki zwłókł się z łóżka i rozczochny, z oczyma zapuchłymi i nosem świecącym, wszedł do pokoju matki.

— Jestem!... —wymówił, ziewając— a!... cóż tu tak brzydsko pachnie?..,

— Ryba po żydowsku. Będiesz jadł?..,

— Naturalnie!

Zasiadł do stołu i jeść zaczął. Unikał wspomnienia o bytności Lilientalowej i córeczek Zimmerman,

— Tak... ale wolałem zostać w domu...—odparł Wielohradzki.

— A!...

Zdjęła kapelusz i z twarzą zachmurzoną zbliżyła się ku Teci.

— Teczka zaniedbuje się w robocie!...—wyrzekła dość ostrym głosem. — Pani Somgajło oddała mi stanik czarny jedwabny dlatego, że fiszby są Bóg wie po jakimś odrobione..,

Teczka, milcząc, wzięła do ręki paczkę, którą jej podawała Wielohradzka.

Wiedziała, iż owe źle odrobione fiszby wsuwała i obrzucała krzyżkowo sama Wielohradzka. Pokornie jednak zabrała się do prucia, nie spojrzawszy nawet na zachmurzoną twarz matki Tadeusza.

Wielohradzki wstał z krzesła i zaczął iść ku drzwiom, prowadzącym do jego pokoju. Miał na sobie stare paletko, zielonawe, wytarte i zbyt krótkie. Powłóczył nogami. Ręce trzymał w obciążonych kieszeniach.

Matka powiodła za nim wzrokiem i nagle zawołała:

— Tadeusz!...

Wielohradzki stanął i powoli głowę odwrócił.

— Słucham mamy!...

— Mam dla ciebie robotę.

— A?... cóż to takiego?

— Przepisywanie...

Wielohradzka nie jadła nic, piła tylko czystą herbatę i gryzła bułkę.

— Mamcia nie je? — zapytał wreszcie Tadeusz, biorąc ostatnie dzwonko.

— Nie!... — odparła Wielohradzka — nie! nie mam apetytu... Gdy zjesz, chciałabym z tobą pomówić.

— Niech mama mówi... mnie to jeść nie przeszkodzi.

— Będziesz się znów ciskał, irytował... Tadeusz widelec położył.

— A!... więc to znów o Teczce chodzi? Wielohradzka brwi ściągnęła; twarz jej przybrała wyraz pewnej stanowczości,

— Tak!... o Teczce. Czujesz doskonale, że zawiniłeś, skoro natychmiast zrozumiałeś, o czym mówić będę.

Tadeusz zaczął znów jeść rybę, odgarniając delikatnie pieprz i cebulę na brzeg talerza.

— Nie zawiniłem!... — wyrzekł powoli, cedząc słowa. — Lubię towarzystwo Teci, i ona ma do mnie sympatyje... nie widzę w tym żadnej zbrodni.

— A jednak to jest zbrodnia. Ta dziewczyna, zapominając o nierówności społecznej, jaka was oboje rozdziela, gotowa się tobą zająć. Cóż wtedy?...

— Hm!... — chrząknął Tadeusz — nie rozumiem, o jakiej nierówności społecznej mamcia mówi. Teczka jest szwaczka, et hien apres? A mama?

Na twarz wielohradzkiej wystąpił rumieniec.

G. Zapolska, ir Wodzirej. Tom II.

— Ja nie jestem szwaczką — odparła wyniośle. — Robić suknie dla kilku pań znajomych, to nie jest być szwaczką... Ja Teci płacę...

— A te panie mamie placa...

— Jeszcze raz ci powtarzam: to co innego... Zresztą Teczka nie jest dla Ciebie partya...

Złośliwy uśmiech wykrzywił usta Tadeusza.

— Proszę mamy!... proszę mamy!... — wyrzekł powoli, kładąc nacisk na każde słowo — spróbowałem według rad mamy starać się o rękę hrabianki, i jakoś nieszczególnie mi się powiodło. Doszedłem do przekonania, że lepiej robić komuś sobą łaskę, niż o łaskę żebrać...

Na twarz Wieiohradzkiej wystąpiły rumieńce.

Szybko ukryła twarz w dłonie i siedziała, milcząc nagle zgnębiona wspomnieniem Muszki i nieudanych konkurów Tadeusza.

Zapadło głuche milczenie, przerywane tylko śpiewką samowara, niknącą, dziwną, urywaną, wyjąca chromatycznie, to znów syczącą cicho.

Wielohradzka pierwsza ocknęła się z zadumy.

— W każdym razie — wyrzekła, nie odsłaniając twarzy — proszę Cię, pozostaw Tecię w spokoju. Ja odpowiadam przed babką za tę dziewczynę... Nie mogąc się z nią ożenić...

Lecz Tadeusz przerwał nagle z pewną fantazyą uporczywą w głosie:

— I dlaczegoż to, proszę mamy?

Wielohradzka podniosła głowę.

Spojrzeni sobie w oczy wyraźnie: on—z chęcią hysteryczną dokuczenia quandmerne jakiejś żyjącej a przychylniej sobie istocie, ona—z osłupieniem wobec niespodziewanego i przerażającego ją zapytania.

— Tak, dlaczegoż? powtórzył Tadeusz.

— Powiedziałam, że...

— Niestosowna dla mnie partya i tam dalej... a ja odpowiedziałem mamci, że hrabianki jakoś nie śpieszą wydać się za mnie... a księżniczki Higmeringen, spokrewnione z Montaleonami, nie przyjechały jeszcze do Lwowa... Pozostaje mi więc Teczka... Dość miałem zawodów... Pozwoli mamcia, że teraz ja kierować będę moją przyszłością i sądzę, że lepiej oboje na tem wyjdziemy. Sur ce... wstaję i wynoszę się...

Powstał od stołu i wziął z cukierniczki kawałek cukru i z koszyka rogalik.

— Mam dziś nocną inspekcję... dlatego, dobranoc mamie!

Musnął ją lekko ustami po ręce i wszedł do swego pokoju, z którego wyszedł za chwilę ubrany mniej starannie, niż zwykle, w starym palcie, narzuconem na zniszczoną już kurtkę.

W rękę trzymał wysoki wiedeński półcylinder, opasany krepą.

— Prosiłbym mamci, aby mi krepę u kapeluszy odświeżyła — wyrzekł, kierując się ku wyjściu.

— Po co? — spytała Wielohradzka. — Sądziłam, że zdejmiesz załobę. Karnawał minął, nie będą cię już więcej zapraszać...

— Tak!... karnawał minął, ale oni wymyślą nową seryę, nowy karnawał letni, przed wyścigowy.

Wielohradzka, nie wstając z miejsca, z niepokojem bolesnym śledziła zaniedbaną postać syna.

— Dlaczego nie chcesz bywać w porządnym towarzystwach?—spytała wreszcie stłumionym głosem.

Tadeusz parsknął śmiechem.

— W porządnym towarzystwach! — zawołał, śmiejąc się ironicznie — w porządnym towarzystwach!... Według mamy to, co szychem świeci, to jest... porządne towarzystwo! Ha! ha! kolosalne! kapitalne... porządne towarzystwo...

— Porządniejsze, niż twoi obecni przyjaciele.

— Nie wiem, co mama ma przeciw moim obecnym przyjaciołom... Sato biedacy, tak jak ja, urzędniczki, gryzipiórki, nic więcej. Schodzimy się w podrzędnej knajpce, przy kufelku piwka, i rozprawiamy literaturze i socjologii. Kształcę się, uczę i rozwijam. Mamcia powinna być wdzięczną moim obecnym przyjaciołom.. Nie tańczę kotylionów z hrabiankami

nie wodzirej uje na piknikach ... ale trudno... Woję moich obszarpanych Radoltów, niż owo porządne towarzystwo, które mamcia tak adoruje...

Giął się na dwoje z przesadzoną skromnością, jak kot nad brzegiem rozpalonej blachy.

Przysuwał łokcie do bioder, przybierał minę pełnego ironii biedaka, aktora prowincjonalnego, grającego rolę ubogiego kancelisty.

Wielohradzka, wciąż nieruchoma, patrzyła na syna z pod oka.

— Że twój Radolt obszarpany... to więcej, niż pewno...

— Biedny, mameczko... biedny, jak ja...

— I ty, widzę, zaczynasz zaniedbywać się; dlaczego nosisz ten stary żakiet?...

— Według stawu grobla.

— To dobre w domu, ale dziś idziesz do namiestnictwa.

— W namiestnictwie wiedzą, że niejestem Bodoockim, lecz tylko biednym koncepspraktykantem... Nie mogą mi mieć za złe moich wytartych łokci i kołnierza. Zresztą zdaje mi się, iż jeszcze nie zapłaciliśmy wspaniałych garniturów, w których odbyłem... wyprawę po złote runo. Należy się oszczędzać. Dobranoc mamie!

Wyszedł wciąż skurczony, grający komedię, ironiczny, spychający na barki matki przyczynę swego niepowodzenia miłosnego, ciskający jej w oczy ten zawód, którego zapomnieć nie mógł.

W pierwszych chwilach chory, szalenie zdenerwowany, usypiał się chloralem, uspokajał bromem. Powoli zgryźliwość ogarnęła go, zastępując kobieconerwowe ataki. Dokuczał wszystkim: matce, Teci,

kolegom biurowym i sobie samemu najwięcej.

Zżółkł, zbrzydł, zestarzał się nagle. Jego wdzięk łagodny, subtelny, dziewczęcy — znikł. Zwłaszcza wobec matki przesadzał swą przymusową maskę ubóstwa. Poznał się z kilkoma quasiliteratami i z nimi teraz spędzał wieczory w atmosferze tytoniu, gazu i złej kuchni. Drwiąco patrzył teraz na „kasynowców”. Wszyscy oni wydawali mu się odpowiedzialnymi za postępek Muszki. Chwilami miał ochotę wypoliczkować którego z tych ładnie uczesanych i doskonale umytych rasowców; nie miał jednak dość odwagi. Dokuczał im tylko ironicznymi przycinkami, które jemu zdawały się olbrzymiej wagi, na nich zaś nie robiły żadnego wrażenia.

Wdział na siebie żalobę, aby ochronić się od zaproszeń na bale i wieczory. Z ironią odzywał się teraz o zabawach tańczących, które nazywał „kręciołkami”.

Spróbował łatwych miłości z sługami i pannami usługującymi w piwiarni. Uczuł jednak niesmak i zniechęcenie.

Postanowił wmówić w siebie nową miłość nowe „zakochanie się”.

I zaczął znów bałamucić Tecię.

Wyszedłszy z domu, Tadeusz szybko podążył na Chorążczyznę.

Ściemniało się i czarna sylwetka człowieka zapalającego gaz migiała po brzegu chodnika.

Niektóre wystawy sklepowe zamykały się, inne żółciły się oświetleniem leniwem i niepewnym. Na Wałach pełno było przechodniów. Tadeusz wszedł do piwiarni i, przeszedłszy sale, pustą i słabo oświetloną, do „ogrodu” zmierzał.

Znalazłszy się na środku, obejrzał się dokoła. Pomimo wczesnej stosunkowo godziny, stoliki były już pozajmowane przez grupy mężczyzn, wśród których gdzieś migotał kwiat na kapeluszu kobiety.

Lampy gazowe, białymi kulami przyćmione, paliły się, roztaczając światło.

Na stoliki, pełne kufli i miseczek z „kwargłami”, kelnerzy wnosili i ustawiali świece, osłonięte szklanymi tulipanami.

Świece te, słabo płonące, nadawały jakiś tragiczny wygląd całemu ogródkowi.

Kilka chorych i smutnych drzew sterczało pośrodku. Rozpaczliwy smutek i łatana moralna nędza wyły po kątach, rozrzucając dokoła narkotyki piwa, tytoniu i fałszowanych likierów.

Ludzie, idąc do tej knajpy, mówili zwykle: „chodźmy do Waregskiego na raki, będziemy się bawić.”...

Lecz, usiadłszy przy stolikach, nie bawili się wcale. Pili tylko dużo i szkodliwych rzeczy.

— Pst!... pst!... — rozległo się z kąta werendy.

Tadeusz drgnął i szybko w tę stronę kierować się zaczął.

— Jak się masz?...

— Nareszcie!

Kilka rąk wyciągnęło się ku niemu. Z jednej opadł mankiet bez spinki. Właściciel ręki i mankietu szybko się schylił, inni z szumem miejsce Tadeuszowi robić zaczęli.

— Witaj, witaj! ty cesarskokrólewski koncepcjami!.czekamy na ciebie!... fest nowina!

— No, co? co?... Gembosz wyleciał wreszcie ze swą Mączałówką z ogródka?

— Ale!... gdzie tam... siedzi po drugiej stronie werendy i wciąż czeka na przeciwników... To o co innego chodzi!

Tadeusz roztargnionym wzrokiem spojrzął na olbrzymiego mężczyznę w wielkim kapeluszu i palonych butach, który siedział nieruchomo na dwóch krzesłach, trzymając w rękach niezmiernie grubą i długą pałkę.

Był to Gembosz z Gnilewic, redaktor brukowego pisemka, który antagonistom swoim zapowiadał, iż co wieczór znajduje się w restauracyi Waregskiego: on i jego pałka, zwana Mączałówką, i tam na miejscu załatwia wszelkie polemiki i spory, jakie mógł wzbudzić swemi artykułami wstępneini lub kierunkiem pisma.

Tadeusz szybko zaczął się interesować ową zapowiedzianą nowiną.

— Więc cóż? więc cóż?... — pytał.

czesanemi, atramentowej czarności, włosami, rozkazującym ruchem ręki nakazał milczenie i ku Tadeuszowi się zwrócił:

— Cóż to? nie wiedziałeś, że nasz Malunio pisze? — zapytał.

— Nie... — odparł Tadeusz — pierwsze słyszę.

— Przecież to dość głośna historia. Malewicz żeni się ze Statnicką

— Tak, wiem o tem...

— Ale panna jako warunek położyła, aby Malewicz odznaczył się jakimś wybitnym czynem: czy to na polu sztuki, czy literatury, słowem, aby był... czemś. .

Piekielny wybuch śmiechu przerwał Radoltowi. Literaci zaczęli się znów pokładać, a mały pan w zbyt długim surducie zbił spodek i przylepił sobie kwargiel \*) na środku czoła.

Radolt spojrzął na niego swemi prześlicznymi czarnymi oczyma.

— Gliwiński, jesteście idyotami!... — wyrzekł spokojnie i znów ku Tadeuszowi się zwrócił.

— Malewicz — ciągnął, oparłszy głowę na wychudzonej ręce — Malewicz, namyślając się nad zrobieniem arcydzieła, wybrał to, co najłatwiejsze: napisanie nowelli. No. . i napisał... nowellę!

Tadeusz po gazetę sięgnął.

\*) Mały serek, podawany do piwa.

— Patrz!... — zawołał Radolt, kładąc na stole niewielkich rozmiarów pismo.

— Cóż to takiego?

— Czytaj!

Tadeusz pochylił się i zaczął czytać:

Majowa pieśń nowella przez Stanisława hr. Malewicza.

Podniósł głowę zdziwiony i ramionami wzruszył. Cóż to? kpiny?

Pochylił się znów nad gazetą i półgłosem czytał: „Słońce ozłociło blaskiem swoim łany zboża.

Wśród maków i bławatków szło dziewczę, pełne

wdzięku...

Przerwał mu wybuch szalonego śmiechu

— Kapitalne!...

— Piramidalne!...

— Koniarze piszą!... ci panowie z Kasyna piszą!... kaiserlichekonigliche filary tworzą nowelle!...

Tak zwani „literaci” fachowi śmiali się tak, iż spadali prawie z krzesel, kładli głowy na stół, bili się z wielkiej uciechy po cylindrach. Ich blade twarze wykrzywiały się, jak maski japońskie. Zaczerwienione od bezsennych nocy oczy zachodziły łzami.

Jeden z nich, mały, szczupły, drobny, odziany w zbyt długi surdut, którego rękawy zakrywały mu palce, z wielkiej uciechy wypił kufle swych sąsiadów. Lecz Radolt, wysoki młokos, z gładko przy

którem siedział krzywo, uczepiony, jak zmarzłe ptaszę.

— Napisze satyrę... zobaczycie... tak, jak to ja umiem, wierszami... satyrę na tyeli wszystkich potomków... Ja ich nauczę gwizdać po kościele z ich... panie tego... budą... Dostyc już mam tej imponocyi... Kretyni... rasa zanikająca, zdegenerowana... gangrena społeczna... pasorzyty ludzkości...

Kwargiel zsunął się nagle z jego czoła i upadł na piasek. Gliwiński rozdeptał ser butem.

— Tak z nim zrobię!... o tak!... rozdepczę... zgniotę... w pył obrócić!... — dodał z całą zaciętością człowieka małego wzrostu, źle rozwiniętego i zmuszonego dla braku pieniędzy odziewać się w cudze sur. duty i sypiać „po kolegach”. Radolt marzącym wzrokiem patrzył w przestrzeń. Przed chwilą kelner przyniósł zapaloną świecę, otuloną kloszem, i postawił ją na stole. Leniwe, smutne światło oblało zapadłą twarz dziennikarza. Plamy oczu, czarne, olbrzymie, obramowane frendzlą długich rzęs, rozplywały się szarawymi cieniami na żółtej skórze twarzy. Nos wyciągnięty, chudy, wazki nikł prawie, linij ust widać nie było. I twarz ta cała, był to blade szmat trójkątny, dziwaczny i fatalny, występujący niepewno wśród cieni, splamiony czernią źrenic.

— Pomyśleć... — zaczął Radolt — pomyśleć, że taki pan zajmuje miejsce ?iam, tym, którzy chleb

— Muszę przeczytać...

— Och!... zapytaj Podgórskiego, wiesz, tego, co, z pieniędzy żony swej żyjąc, wielkiego pana udaje; zapytaj go, a on ci tę nowelkę od a do zet wyrecytuje...

— Dlaczego?

Radolt ramionami wzruszył.



— Bo ją sam napisał.  
— Jak to? a więc to nie Malewicz?...  
— Spodziewam się... przecież tu widać najdoskonalej styl i formę Podgórskiego. Paniczowi zachciało się być nowelistą, ale nowelle pisać trochę trudniej, niż zadawać szyku na wyścigach. Więc... czy kupił, czy wyprosił... ale to więcej, niż pewne, że sam nie napisał...  
— Jednakże... — zaproponował Tadeusz — przypominam sobie, że w klasach Malewicz w wypracowaniach stylowych miał dużo fantazyi...  
— Och!...—zawołał mały pan w zbyt dużym surducie—to było kiedyś, przed potopem. Jeśli była jaka fantazyja, no, to ją konie, rozpusta i karty zjadły!... To kretyn, kretyn, kretyn, ten zdechłak kasynowy. Malutką, zżółkłą dłonią bił się po dece piersiowej, zapadłej i nędznej pod rozkroczymalonym gorsem koszuli. Z przyklepionego na czole kwargła spływała mu wzdłuż nosa ku brodzie żółtawa, lepka ciecz. Był tak mały, iż zajmował zaledwie pół krzesła, na

codzienny w takiej suterrenie dziennikarskiej pieką! On pisze darmo... nam płacą dwa centy od wiersza. Och!... ci... amatorowie pióra to nasi najstraszniejsi nieprzyjaciele!...  
Cofnął się jeszcze więcej w cień, tak, że zdawał się już tylko niepochwytną mara.  
— Niech sobie piszą, skoro ich to bawi — ciągnął dalej — niech piszą, ale niech wydają w książkach swym własnym nakładem. Da to zajęcie i zysk drukarniom... Lecz niech nam nie zabierają tych kilku nieszczęsnych szmatko w bibuły, które nam pozostały jako jedyny sposób do pracy i do... życia!...  
Westchnął, a westchnienie to powtórzyły jak echo drobne piersi Gliwińskiego.  
— Mam cztery nowelle od roku w szufladzie redaktora... — mówił głos Radolta i muszę czekać, A taki pan hrabia przyjdzie z nieswoją pracą i frt... natychmiast idzie w kolumny. Ja zaś tymczasem,, robię korektę! Ha! ha! korektę! I później ludzie zawołają: — Radolt się zmarnował! zdekadencja! zaprzepaścił talent!... rozpił się... co?...  
Gliwiński głową kiwał. Tak! tak! — przyświadczał—nie dość, że się talent marnuje, ale wpada w długi. „Bohemia”— to dobre w książce i w Paryżu, gdzie podobno są garkuchnie, które na kródę żywią. Ale spróbować tak „u Lwowi” nie zapłacić za porcję knedli!... Zdejmą ostatni tuzurek z grzbietu i do policji zaprowadzą...

Wyprostował się, pociągnął trochę piwa i dodał:  
— Poczekajcie!..., zmieni się to, jak moją satyrę wyrznię.  
— Gdzie? gdzie? — spytał Radolt — w Masce błękitnej,  
— Naturalnie!...!  
— Pleć, pleciugo... Maską błękitną redagowaną przez Podgórskiego, a pan hrabia, przysięgnę, nowellę od Podgórskiego kupił.  
Lecz Gliwiński upierał się przy swoim.  
— Ta i cóż? — zapytał, przesadzając jeszcze swój akcent lwowski — albo to redaktor wtrąca się do suteryny? W ostatniej chwili zawsze mówi: „Golińsiu, duszo, biegnij na miasto, przynieś jaką ploteczkę i zrób ją wierszami.

Dwieście, sto pięćdziesiąt, stosownie do miejsca". Ja mam czasem plotkę w kieszonce gotową, czasem nie, a jak mi się biegać do kawiarni teatralnej nie chce, to sobie tak wykoncypuję sam, w kąciku, przy biurku, jaki skandalik, ubiorę w niego albo aktorkę, albo jakiego bogatego żyda, albo nowego kandydata, albo nieboszczyka Fredrę, albo jeszcze kogo, i napiszę satyrę... Ta to bardzo proste... Redaktor idzie na rozdobudę i nigdy moich satyr nie czyta...

— Ale jak przeczyta, to cię napędzi!...

— Owa!... za to, co mi płaci, nie może się tak bardzo rozbijać. A potem, właśnie w jego interesie leży, aby napaść na hrabiego. W ten sposób

mi zgniotę. On, panie tego, kroniczkę prozą... a ja, panie tego, kroniczkę wierszem.

Rozpierał się na biało malowanym stołku, który teraz już zajął cały z wielką butą i nerwową emfazą.

Z kącików ust ciekła mu ślina, małe zaczerwienione oczki tryumfalnie potoczył dokoła.

— Może ni? — zapytał — może ni?

Lecz Radolt, który już zupełnie znikł w cieniu, odezwał się powolnym głosem:

— Pleciesz! kupy się nie trzyma. Do Warszawy, to trzeba sprytu i wykształcenia. A ty może wykształcony?

— Rychtyg co i ty!...

— Widzisz!... widzisz co to za wykształcenie! Mówisz: rychtyg. Nie mówi się rychtyg, ale akurat.

Gliwiński ramionami ruszył.

— Może tam w kasynie, ale my, mieszczenie, mówimy „rychtyg”, i tak mówić będziemy. A ty, arystokrato gramatyczny, nie imponuj nam swoim parlefranse, bo to nas nie oślepi... Nie takie ja już w moich satyrach umieszcza! Ojoj!

Z ironią głową kiwał, z kieszeni wyciągnął cygaro i zaczął tępy scyzorykiem je piłować.

— Havana szelma po dziesięć centy!... szeptał przez zęby z jakąś dziwną wściekłością.

Tadeusz nagle obok siebie, na ziemi, postrzegł

nikt Podgórskiego nie posądzi, że to on nowellę sprzedał...

Tadeusz, milcząc, pił złe i ciepawe piwo i z pod oka na Gliwińskiego patrzył. Ta cała banda literackiego proletariatu, która była za biedna, za źle odziana, za mało obrotna, aby zająć wreszcie jakieś stanowisko, w gruncie rzeczy odpychała go od siebie.

Ponieważ jednak postanowił dokuczać samemu sobie, wmówić w siebie, iż powinien znajdować się w towarzystwie tej drugiej partii kolegów szkolnych, tych, do których nie zbliżał się nigdy, napuszony, elegancki i związany węzłami zdawkowej przyjaźni z Malewiczem, Pozbitowskim i innymi „koniarzami” in spe, spełniał więc sumiennie ów program powrócenia „do właściwej sobie sfery”, jak mówił w chwili rozdrażnienia przed matką, i siedział tak przy stoliku w pół senny, czując tylko chwilami szarpające się w sobie nerwy sympatycznym drganiem, gdy ci fachowi literaci, wyrosli w nędzy i bezustannym braku, z nienawiścią napadali na „tamtych, dobrze odzianych, umytych i żyjących z rent, pozostawionych im w spadku po rodzicach.

— Wiecie, coby my zrobili? — zaczął znów Gliwiński oto, pojechaliby my do Warszawy. Malo to naszych tam poszło, a teraz, panie tego, i sławę mają, i dobrze się im wiedzie... Pojadę, panie tego, do Warszawy, pojadę... i Prusa na nic memi satyra

nogi Radolta, które powoli wysuwały się z cienia, jakby nieśmiało i pokorne.

I natychmiast zrozumiał Tadeusz cały dramat nędzy i ukrywanego niedostatku. Spodnie były przypięte szpilkami do butów, aby, podnosząc się, nie zdradziły braku skarpetek. Pomimo to jednak żółtawe kawałki przeblyskiwały pomiędzy źle ściągniętym sznurowadłem butów. Tadeusz z nienawiścią spojrzął na leżący na stole numer dziennika. Za nędzę Radolta czynił odpowiedzialnym Malewicza, za, pominając, iż sam posiadał w swej szafie cztery tuziny skarpetek z fil d'Ecosse, tuzin jedwabnych czarnych i tuzin wełnianych, na mrozy i chłody jesienne.

W tej samej chwili siedzący nieruchomo Gembosz porwał z łoskotem za Mączałówkę. Wszyscy siedzący pod werendą zwrócili się ku redaktorowi, sądząc, iż to jakiś antagonista albo obrażony poseł do rady państwa przychodzi zażądać „odwołania”.

Lecz przed werendą stał mały niepokazny człowieczek, odziany ciemno, i z wielkiem zajęciem przypatrywał się olbrzymiej postaci osławionego redaktora. Skoro jednak ten ostatni pochwycił za kij, człowieczek umknął i pośpieszył ku estradce, na której gromadzili się muzykanci.

Po chwili widać było, jak próbował pikuliny i wydymał zapadłe policzki.

— Będzie muzyczka!.. — podjął Gliwiński — zagrają nam znów owo Loin cłu bal czy de bal...

G. Zapolska. — Wodzirej. Toni. IF.

dyabli wiedzą. Raz chciałem to w satyrę wsadzić i ani weź nie wiedziałem, jak się to pisze. Co dziwnego? Niejestem panem hrabią... żadne kocmołu chy paryzkie nie uczyły mnie pacierza po francusku. Tadeusz uznał za stosowne się odezwać:

— Mówi się: Loin du bal... Gliwiński oczy ironicznie zmrużył.

— A!... dziękuję!... du, du... dobrze... będę pamiętał. Wielohradzki zna się na takich delikatesach sztrasburskich, bo strasznie się koło arystokracji kręci... Kaiserlickekönigliche Fikalski... ha! ha! niech żyje Bałucki!

Tadeusz brwi zmarszczył.

— Mylisz się... wyrzekł ze złością — od przeszłego roku prowadzę tańców i nie bywam u „tych panów”. Cenię ich tak, jak wy, a może jeszcze surowiej, bo znam dokładniej.

— No! no! — uspokajał go Gliwiński — nie stawiaj się... żartowałem... Na zgodę postaw turnę, boś Krezus między nami, panie kochanku!

Podkręcał sterczącą pod nosem szczecinę.

Tadeusz zawołał kelnera. Zwykle kończyło się na tem, że on piwo fundował. Pochlebiali mu to. Zachował od dzieciństwa manję imponowania drugim pełną kieszenią. Była to jego jedyna pociecha a często i zemsta.

Niedbale zadysponował pięć halb i jeden seidel.

Muzyka zaczęła rzeczywiście grać walca, i skrze

czące tony umykały w żółtych smugach światła pod rzadkie gałęzie suchotniczych drzew.

— Napawajmy się—odezwał się nagle Radolt— napawajmy się... to jedyna uczta, jaką nam połykać wolno. Wejście mi do teatru zabrano z powodu mej awantury z sekretarzem...

— A mnie z powodu mej satyry o córce dyrektora...

Siedzieli chwilę, milcząc, zasłuchani w banalną melodyę, którą ćmy dokoła świec tańczyły.

— Bardzo lubię muzykę... — wyszeptał prawie Radolt.

I znów zapadło milczenie.

— Chciałbym kiedy posłyszeć Wagnera — odezwał się nagle Gliwiński — zawsze o nim piszę w swych satyrach, ale nic jeszcze nie słyszałem porządnie. Czy to prawda, że on tyle robi hałasu, i że tylko słyhać bębny i trąby? co? taże powiedźcie, ludzie, niech wiem już raz, czego się trzymać?...

Radolt cofnął się znów w cień i, złożwszy ręce ua parasolu, który zawsze z sobą nosił, odpowiedział:

— Nie... Wagner nic zawsze robi tyle hałasu. Często nawet jest bardzo słodki i harmonijny... Często nawet kołysze...

— Słyszałeś? gdzie?

— We Wiedniu, gdy byłem jeszcze młodym chłopcem. Nieraz cały wieczór nieruchomy przesiadiałem.

Gliwiński zasmucił się nade.

— Jakże my durni w tym Lwowie, jakże my durni! jak murem od świata oddzieleni!...

— Jak murem od świata oddzieleni! — powtórzył jak echo Radolt.

— I gdzie się tu wykształcić? gdzie smaku nabrać? ta ani obrazu, ani porządnej muzyki, ani nic, nic: choć siadłszy płacz!

I nagle rzucił się na leżący na stole dziennik.

— O!... takie panowie koniarze to mają dobrze! jeżdżą po świecie, słuchają dobrej muzyki, napatrzą się na różne postępy... a my co? Z knajpy do redakcyę z redakcyi do żyda, od żyda do komornika, od komornika do knajpy... I potem pisz!

— I potem pisz!... — powtórzył Radolt. Tadeusz porównywał swoje życie z życiem tych

ludzi. I on, tak jak oni, zasklepiony, siedział w biurze, w knajpie... Słowo „żyd" przypomniało mu atlasową perukę pani Liliental i białe pończochy Zimmermannówien. Były to te same galery, rozjaśnione tylko wysiłkiem pracy macierzyńskiej, lecz galery—nic więcej!

I porwał go szalony smutek, graniczący z rozpaczą. Jękliwe tony orkiestry wydały mu się wyciem opuszczonego psa. Miał ochotę zacząć zawodzić wraz z niemi. Szybko powstał od stołu i należne za piwo pieniądze nadbiegającemu kelnerowi rzucił.

W cieniu, cicho, jak nagle z pod ziemi wyrastająca mara, podniósł się Radolt.

— Pójdę z tobą... — wyrzekł.

Tadeusz mimowoli wzrokiem ku swym spodniom przypiętym szpilkami rzucił, lecz otrząsnął się i z niezrozumianą dla innych ironią wyrzekł;

— Chodź!... chodź, ty moje drugie ja,.. Lecz Radolt głową potrząsał:

— Nie! nie!... ty, ja, co innego.—Ty karyerowicz ja —wyrobnik bez roboty...

Wzięli się jednak pod ręce i wśród grup otaczających stoliki szli z nerwową fantazją, z ironicznym uśmiechem na ustach.

Na werendzie gruby Gembosz wciąż Mączałówkę ścisnął, czekając na swoich adwersarzy. Gliwiński wyskrobywał scyzorykiem, na którym były ślady tytoniu, spodek po kwarglach. Widoczna była, iż głód mu ścisnął żołądek, Obok dwóch urzędników jadło sznycle po wiedeński!, z korniszonami.

Gliwiński nogi pod krzesło ukrył i zaklął, kurcząc się w zbyt obszernym surducie.

— Taż dyabli człowieka wezmą, albo co...

Tymczasem Tadeusz i Radolt zmierzali ku namiestnictwu.

Tadeusz czuł, że dziennikarzkorektor opiera się silnie na jego ramieniu. Spojrzał ukosem na Radolta, i ten żółty trójkąt ciała, splamiony czernią oczodołów, wydał mu się trupa głową, okrytą bladą, cieniuchną gaza.

— Chory jesteś? — spytał mimowoli, zwalniając kroku.

— Nie... — odparł Radolt — jestem tylko zmęczony. W nocy muszę czekać na korektę i często ślęczę do trzeciej. Potem już się kłaść nie warto...

— To źle, to nie higienicznie... Radolt parsknął śmiechem.

— Kpisz, czy o drogę pytasz ze swoją higieną? Jak to zaraz znać maminego synka, co dba o swoje drogocenne zdrowie! Wielka historia, jeżeli mnie dyabli wezmą! Nie żyję, wegetuję, a co boleśnieszka, że rozumiem, co jest pełne życie... Mam dwadzieścia cztery lata, a zdaje mi się, że żyję już od lat stu i że wszystkie nędzy przeżyłem, jakie nędzom przypadły w udziale.,.

Przechodzili przed piae Maryacki. Duże okno wystawowe księgarni międzynarodowej świeciło jasną łuną

Radolt przystanął.

— O!... — wyrzekł — patrz! patrz!... tych ciastek, tych łakoci mi potrzeba... Ile tu ich, tych co piszą, co mogą pisać, co mają o czym pisać! Mnie to najwięcej żre, że nawet ich przeczytać nie mogę, nic, tylko tytuły. .

Pochylał się ku szybie z pewnym moralnym pożądaniami.

— O patrz!... patrz!... Alexis, Lemonnier, tu z węgierskiego Dezzo Malonyay, tu Jacobson... Och!..

z „Bettelstudenta”. Mijając Tadeusza, uchylił kapelusza i poszedł, gwizdząc coraz donośniej.

— Malewicz?.. — wyszeptał Radolt.

— Tak! idzie na inspekcję. Będziemy dziś razem pokutowali w biurze ..

— Phi! jak to pan hrabia nóżki stawia...—szydził Radolt —jak klacz wyścigowa. Laury autorskie dodają mu werwy... A jakie to było zawsze fałszywe i złe, nawet w klasach. Pamiętasz, Tadek? Ręczę, że, aby dostać ten posąg Statnickiej, nie zawahał się przed niczem.. Biedna dziewczyna, musi teraz iść za niego...

Tadeusz zaoponował.

— Co znowu!... co znowu!... Radolt głową pokiwał.

— Naturalnie, ty ich bronisz, bo gadaj, co chcesz, zawsześ do nich lgnął i lgniesz. Ale cóż z tego?... oni ci kamieniem za chleb płacili i zapłacą. Chciałbym, żebyś dla ukarania zakochał się w jakiej „koniarcie”, i to folblutce, i żebyś od niej szcztka dostał.. Ha! ha!... toby cię nauczyło...

— Bywaj zdrów— burknął Tadeusz, i zły, zmieszany wbiegł na schody prowadzące do biura.

W biurze został już Malewicz.

Zapalona lampa kołysała się u sufitu, dwie świece stały na biurkach, oprawione w mosiężne lichtarze.

Z otwartych okien płynął łagodny chłód letniego wieczoru.

nie chcę dzieł o ewolucji socyalnej, ani psalterzy z Bóg wie jakiego wieku, lecz te drobiazgi.. to, co się dziś rodzi, jutro ginie...

— Jednakże w czytelnich,.. — zaczął Tadeusz.

— Nie, w czytelnich niema tych nowości, bo często nie przypadłyby one do gustu abonentów...

Nie, w czytelnich ich niema.

— Chodź!... chodź!... gorączkujesz się niepotrzebnie

Poszli dalej w cieniu chodników. Sklepy zamykały się z łoskotem, przechodniów coraz mniej było na ulicach...

— Czy wiesz — wyrzekł znów Radolt — że raz jeden w redakcyi, och! już dwa lata temu, ktoś powiedział, że ja naśladowę Verlaine'a? Ten „któs to był jeden z tych ludzi, którzy mogą jeździć po świecie, czytać, słyszeć, widzióc... a potem na uas, zamurowanych, od idiotów wymyślają. Nie wiedziałem, kto był Verlaine... od tej pory dowiedziałem się i sprowadziłem sobie jego poezye... He one mnie kosztowały!.. To też ten Verlaine — to wszystko, co posiadam!

Minęli teraz stragany bojków, oświetlone kagankami. Ich śniade, piękne twarze miały wygląd masek fantastycznych, zawieszonych w powietrzu. Nieco niżej, nad powierzchnią fasek z bryndzą, migały ręce grube, czarne, postronkami żył poprzecinane.

Dochodzili do namiestnictwa. Po za nimi rozległo się gwizdanie. Któs artystycznie gwizdał walca

Tadeusz zbliżył się do biurka i ze złością zaczął przewracać u niego papiery. Wmawiał w siebie, iż ktoś ino poruszy} po obiedzie wszystkie przedmioty, znajdujące się na biurku.

Skrzypiąc lekko butami, w szarawym garniturze angielskim, chodził po pokoju Malewicz, Stawiał elegancko nogi, obute w zgrabne wycięte trzewiki, po nad którymi połyskiwały stalowe skarpetki. Białą ręką gładził faworyty i wąsy. Był zadowolony, promieniejący.

Powracał właśnie z teatru, gdzie był point de mire wszystkich lornetek. Narzeczona przyjęła go niezmiernie uprzejmie i z wyróżniającą grzecznością.

W łożu aktorskiej dojrzał, że aktorki czytały jego nowelę, objadając się cukierkami. Poczem zaczęły lornetować w jego stronę. Nawet panny namiestnikówny uśmiechały się znacząco.

— Tiens... — pomyślał — to wcale niezłe atu — takie autorstwo.

Napisał tę nowelkę dość mozolnie, ale napisał sam, na brudno dwa razy poczem przerobił ją po francusku, aby się dowiedzieć, jak też pto wygląda; wreszcie przepisał na czysto, starając się pisać niewyraźnie, jak literat z zawodu. Odczytując swoją prace, zawyrokował w duszy, iż jest to szczyt „kretynizmu”, lecz wi dząc dokoła owe cukierkowe zachwyty dam, zaczął wierzyć, iż spłodził coś „niezłego”.

— Tak, coś w guście Sienkiewicza, tylko styl dys ty ńgowańszy... — powiedział mu Pozbitowski.

Charłupko zaś porównał go do autora „MadamChrysanteme\* i nazwał „lwowskim Lotim”, uśmie chając się przytem z nieporównaną ironią.

Lecz Malewicz ironii nie chciał zauważyć. Włożył w oko monokl i rozpierał się w łoży z niedbałą miną zblazowanego na punkcie pochwał i ludzkiej ciekawości człowieka. Postanowił uchwycić ową szansę i urządzić w kasynie wielką partyę nazajutrz po południu.

Teraz przyszedł do biura odbyć pokutę inspekcjy ną; lecz, nerwowo podniecony, nie mógł usiedzieć na miejscu.

Chodził wciąż po wązkim dywaniku, który szarą linią ciągnął się pośród wywoskowanej podłogi. Żałował, iż Wielohradzki miał dziś z nim przesiedzieć inspekcję. Wolał Bodockiego, Pozbitowskiego, słowem kogoś, z kim mógłby pomówić swobodnie, poradzić się co do układu stajni i zakup na ekwipaży. Miał ochotę podczas wyścigów zadziwić całą Galicyę zaprzęgiem a la daumont, który zaczynał w Paryżu wchodzić w modę. Lecz wahał się; mody angielskie, bardziej correct, ciągnęły go ku sobie.

Tymczasem w sercu Tadeusza rosła burza.

Nie patrząc na Malewicza, widział go przecieź dokładnie i rozdrażniony do najwyższego stopnia zagryzał do krwi wargi. Bezustannie równał siebie z tym „kasynowcem”. Byli obaj bez grosza majątku,

na jednym i tem samym stanowisku w biurze, obaj szykowni, młodzi, elegancy. Teraz przed Malewiczem otwiera się cały świat, a on, Tadeusz, jak pies na uwięzi, gryzie swój łańcuch, wiążący go do spróchniałych desek budy!

I dlaczego? Bo Statnicka miała dość odwagi, aby wziąć sobie na „utrzymanie tego ładnego męża, gdy Muszka... Och! Nagle Malewicz zbliżył się do Tadeusza i wyjął z kieszeni dziennik.

— Czytałeś? — zapytał, nie mogąc dłużej wytrzymać, trawiony gorączką autorską, zebrzącą bezustannie pochwał i podziwian tłumu.

Tadeusz zmarszczył brwi i przez szerokość biurka z nienawiścią wpatrzył się w uśmiechniętą twarz hrabiego.

— Co takiego? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

— Nowelkę... tu na dole... Pieśń majowa... och! drobnostka .. nic wielkiego... Cependant...

Podsuwał mu dziennik pod oczy, lecz Tadeusz dość szorstkim ruchem odepchnął od siebie gazetę.

— Czytałem! — wyrzekł dobitnie, akcentując każdy wyraz. — Podgórski ma trochę zdolności a przytem un style tres personnel. Trudno go nie poznać.

Malewicz zbliżył się tak, iż opierał się łokciami o półki biurka.

— Podgórski? — zapytał — dlaczego Podgórski? to nie on, ale ja te nowelkę napisałem...

— Ach! ty? — zadziwił się Tadeusz — patrzcie, możnaby przysiąc, że to styl Podgórskiego... ?le zrobiłeś, wybierając na swój debiut genre Podgórskiego... To nasuwa pewne podejrzenia... I tak dziś już mówiono, że... enjin...

— Że co? — zapytał Malewicz nerwowym głosem.

— Och!... nic. plotki, des choses en l'air...

— Mam prawo wiedzieć... chcę... musisz mówić...

— Eh bien, je lachę tout... Mówiono, że nowelkę tę kupiłeś gotową od Podgórskiego i że pod swoim nazwiskiem umieściłeś w dzienniku. Voila!

Malewicz parsknął śmiechem.

— Cette ideel — zawołał napozór spokojnie i zaczął znów chodzić po ścieżce dywanu. Wyrzucił tylko monokl z oka i uśmiechał się nerwowo.

Tadeusz, po wypowiedzeniu tych słów, uczył nagłą nerwową reakcję. Nie miał kobiecej wprawy w rzucaniu insynuacji, w anonsowaniu tego, co „mówiąc, i w pozostawianiu quand meme w równowadze.

Ukłuwszy miłość własną Malewicza, dmuchnąwszy złośliwym oddechem na jego nadętą wesołość, zmieszał się i byłby serdecznie rad, gdyby Malewicz całej tej sprawy nie wziął na seryo. Lecz na to się nie zanościło.

Malewicz nagle stanął na środku pokoju tuż pod świetlanym kręgiem, który lampa na podłogę rzucała, i urywanym głosem zapytał:

— Słuchaj... Tadeusz... kto to mówi?... Tadeusz nie podnosił głowy. Wydobył z szuflady biurka gumową poduszkę, na której drzemał podczas inspekcji, i zabierał się do nadęcia w nią powietrza. Posłyszawszy pytanie Malewicza, zmieszał się jeszcze bardziej.

— Kto?... niewiem!... nie pamiętam!...

— Słuchaj! — zasyczał Malewicz, a oczy jego jak dwa ostrza szpad przeszywały powietrze — jeżeli mi nie powiesz, pomyślę, że to ty, i...

— Och! — zaprzeczył Tadeusz ja? cóż znowu! Przeciwnie ja cię broniłem... Przypominałem im nawet, że w klasach pisałeś dobre wypracowania stylowe...



— W klasach?... przypominałeś?... — zawołał Malewicz — więc to ktoś z moich szkolnych kolegów... Tienś! tie?!... spotkałem się przed chwilą z tym szubrawcem Radoltem... Tak! to nikt inny, tylko on!... Już dwa razy czytałem w Gońcu ironiczną wzmianką o mnie i o mojej czarnej seryi karcianej. To on!., nikt inny!., to on!...  
— Cóż znowu! — protestował Tadeusz — mylisz się, nie on!  
— Nie broń go! . a to vanuspieds!.. ja go nauczę respektu i tę odrażającą gębę zamknę... Ach!.. Thorreurl

\_ pst! — uspokajał go Tadeusz — nie krzycz tak głośno. Namiestnikowa wróciła z teatru i będą pili herbatę w altanie, bo służba niesie światło i tace do ogrodu. I nabrawszy spory zasób powietrza w płuca, zaczął dmuchać w rożek poduszki, która powoli wydymała się jak bania.

### III.

Pomiędzy gałęziami tarniny widział Tadeusz drobną postać Teci, idącej szybko w stronę Węglin skiego lasku. Pragnął ją dogonić, przyspieszał kroku i znów zwalniał, gdyż po raz pierwszy może Teci wywoływała w nim ładne, estetyczne wrażenie. Smakował je i usiłował przedłużyć, zgłodniały, nie widzący oddawna nic, coby miało w sobie harmonię barw i linii.

Przed nim droga dość szeroka, lecz zarosła pa sami trawy, zasłana była cała ukośnemi promieniami słońca. Po obu stronach ciemne mury tarniny, a za niemi tu i owdzie rozłożyste lipy lub grusze, wyciągające daleko zielone ramiona. Po prawej — niewielki punkcik bladoliliowy, lecz barwy liliowej czystej, niezbrudzonej żadną przymieszką innego cieniu.

To suknia Teci.

Płynie, rozwiewa się u dołu, lekka i przejrzysta.

jak olbrzymi kielich dzwonka. Nóg dziewczyny nie widać. Sunie po nad trawą, jakby w powietrzu, i nie czując się obserwowaną, ma wdzięczne ruchy podrażającej dziewczynki, łamiącej się kształtnie w liniach Androgyny, Idzie, a

raczej płynie, w smugach słońca, po nad żdźbłami trawy, z dużym kapeluszem słomianym w ręku, jak ze złotą tarczą, która czasem w powietrzu zakreśli duże koło. Wówczas zabłyszczą atłasowe, żółtawe wstążki, pofruną i znów znikną, opadając ku ziemi, jak skrzydła ptaka.

Lecz nagle Tęcia stanęła i obejrzała się.

Dostrzegła Tadeusza i zwraca się ku niemu. Kładzie pośpiesznie kapelusz, który tworzy złotawą aureolę dokoła jej bladej twarzyczki.

I czeka.

Tadeusz przyśpiesza kroku. Ta dziewczyna, czekająca na niego wśród słońca i zieleni, sprawia mu złudzenie. Czuje jakieś przyjemne uczucie, ogrzewające jego moralną istotę. Po raz pierwszy może z pewną radością wita się z dziewczyną.

— Dzień dobry Teci... dzień dobry!

Wydaje mu się cirowszą, różową i więcej ożywioną. Lecz ona, już zafrasowana, pyta:

— A dawno pan mnie dostrzegł? On uśmiecha się.

— O!... dawno!...

— A dlaczego pan na mnie nie zawołał? Ja idę bardzo prędko. Babcia i doktor dla ruchu kazali mi

dużo chodzić... ale pan przecież nie potrzebuje się męczyć?... prawda?...

— Prawda! ale ja przypatrywałem się Teci, jak Tęcia ładnie wygląda.

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie.

— Och!... mój Boże!... Pan znów zaczyna żartować... Taka stara sukienka... już ma dwa lata. Trzy razy w tym roku prana... Lila kolor to zaraz pełźnie na słońcu...

— To też o wiele ładniejszy, skoro trochę spełźnie...

— Tak! tak! ja wiem, że to teraz modne, tylko nie wszystko ładne, co modne.

Tadeusz nie próbuje nawet jej wytłómaczyć, dlaczego to słońce, ta zieleń i ona sama, liliowa jak dzwonek, miały w sobie urok i harmonię.

W bok skręca rodzaj wąwozu ciemnego i zacisznego, po którym migają plamy słoneczne.

Tadeusz obejmuje delikatnie Tęcię i kieruje ją w stronę ścieżki.

— Chodźmy tędy... chłodniej...—mówi łagodnie. Tęcia bez wahania idzie z nim. W tej chwili dusza jej pływa cała w radości i szczęściu bez granic.

Weszli do wąwozu, Tadeusz posuwa Tęcię naprzód.

— Niech Tęcia idzie... ja idę za Tęcią... Lecz dziewczyna rzuca mu pytanie:

— A dokąd też ta ścieżka prowadzi?

G, Zapolska. — Wodzirej. Tora II.

On z głębi swej istoty, z zakątków jakiegoś mauzoleum, dobywa odpowiedź:

— Po co pytać? po co psuć sobie rzeczywistość? chwytajmy z teraźniejszości to, co się wziąć da...

Milknie, nagle urażony w jakąś moralną ranę, którą to słońce, te słowa, ten wąż, pełen akacy i paproci, i ta jasno ubrana dziewczyna w nim budzą. Teczka milczy i, westchnąwszy lekko, idzie naprzód, idzie ciągle, usiłując ochronić sukienkę od przydrożnych cierni. Pod rondem kapelusza nie widać prawie jej włosów. Jest mniejsza i drobniejsza niż Muszka, lecz stanik, uszyty bluzkowym fasonem, pokrywa dość zręcznie chudość jej ciała. Tadeusz umyślnie zwalnia kroku i teraz już bez ogródki, skalpelem swą bliznę moralną rozdziera. MuszkaTeczka... czyż w gruncie rzeczy to, co w Muszce ukochał, nie było ową harmonią barw, linii, jasną gammą odcieni, dopełniających zasadniczymi tonami otaczających ją dekoracji?

Oto teraz, Teczka, z brzydkiego pokoju, z nad maszyny przeniesiona w słońce i zielen, ubrana w jasną i delikatną tkaninę, jest równie ładna, równie wdzięczna, jak hrabianka. Gdyby była lepiej odżywiana i karbowana włosy, nie byłoby chyba wielkiej różnicy. Pozostaje obojętne i stopień wykształcenia. Teczka ma czasem bardzo niezgrabne ruchy, prawda; ale za to często tak ładnie, tak sympatycznie patrzy,

wstaje, chodzi. Zresztą, wszystko zależy od ubrania, co zaś do wykształcenia..., I nagle Tadeusz pyta:

— Czy Teczka skończyła pensję?...

Teczka przystaje i, cała zaczerwieniona, odpowiada:

— Tak, proszę pana, skończyłam konkwit u pańien ormianek.

Sacre coeur, ormianki... to jedno! Ormianki uczą darmo, panie Sacre coeur biorą tysiące. . Tadeusz jest coraz więcej zadowolony.

— Niech Teczka idzie!... — mówi, dając dziewczynie znak ręką.

Ona zrywa liść paproci, na którym perli się rosa, i wdzięcznym ruchem zasłania się przed promieniem słońca, który teraz dość brutalnie przedziera się przez gałęzie.

Tadeusz, zdziwiony, patrzy na ten ruch. Gest Muszki!... jej podniesienie ręki, jej zakreślenie półkola wachlarzem paproci...

Stanowczo, wszystkie młode dziewczęta są te same. Zależy tylko, gdzie się znajdują. Muszka, ubrana w szkocką bluzkę i szyjąca dzień cały na maszynie, straciłaby swój majestat królewski i dziwaczny urok professionalbeauty.

Teczka dnia tego nie mówi o babce, o pana Janczewskim, nie pyta się: „czy nie lepiej już raz wszystko powiedzieć.”

Milczy i gra dalej swą rolę liliowej dziewicy, sunącej wśród złota, słońca i wachlarzów

rosy. Idąc, ciągnie za sobą spojrzenie i wzrastającą sympatię Tadeusza.

„W gruncie rzeczy dobra dziewczyna — myśli Wielohradzki — przebaczyła mi wszystko, i moje brzydkie postąpienie po otrzymaniu jej listu. Wszystko... Ta przynajmniej mnie kocha, och! może być tego pewnym...”

I znów wola głośno;

— Teczka!...

Dziewczyna się zatrzymuje.

— Słucham pana!...

— Czy Teczka mnie kocha?... Lecz cóż się to dzieje?

Tecia paproć z ręki upuszcza, drży, ogląda się dokoła, otwiera nagle pobladłe usta. Wielohradzki chwyta ją w objęcia,  
— Cóż to?... co się stało?..  
Tecia zaczyna płakać, kryje twarz w dłonie.  
— Dlaczego Tecia płacze?  
— Bo... pan się o takie rzeczy pyta, że..  
— No i cóż?., pytam się, czy Tecia mnie kocha?.. Tecia wyrywa mu się z ramion i zasłania twarz rondem kapelusza.  
— Ach Boże mój, Boże!..  
Tadeusz wzrusza nieznacznie ramionami. Przypomina sobie, iż często ukradkiem całował tę dziewczynę: dlaczegoż więc teraz płacze, rumieni się, wstydzi?.,. Lecz z drugiej strony scena ta sprawia

mu wielką przyjemność. Widzi, iż Tecia, pomimo zewnętrznego podobieństwa z Muszką, zachowuje odrębne moralne cechy, i płochliwość tę dziewczęcą, której nie miała i nie mogła mieć panna Dobrojowska.

Rad więc przedłużyć tę scenę.

— Ha!... skoro mnie Tecia nie kocha... Powtórny potok łez i wśród szlochania wyjęczone słowa:

— Ależ... jak babcię kocham... Pan wie... że ja... bardzo nawet...

Nagle rozlega się straszny szelest łamanych gałęzi. Tecia przerażona się cofa.

— Cóż znowu?—gromi ją Tadeusz—niech Tecia idzie dalej... To pewnie pies, albo jaki chłopak.

Tecia ociera oczy.

Idą dalej. Szelest ustał. Nagle słychać głos kobiecy, wołający:

— Mik!...

I znów łomot gałęzi, a potem zupełna cisza.

— A widzi Tecia, że to był pies — tłumaczy Tadeusz — niech Tecia oczy obetrze i przestanie płakać, bo widocznie, iż nie jesteśmy sami na tej ścieżce.

Idą więc dalej, i nagle ścieżka zakręca się, rozszerza i wreszcie jasną bramą wychodzi na drogę trochę staranniej utrzymaną i wysypaną drobnymi kamieniami.

Tadeusz zajmuje miejsce przy boku Teci i idzie, gryząc świeżo zerwaną trawę.

Na drodze widzi stojącą kobietę, której jasnopopielata spódnica niknie prawie na szarawem tle kamieni.

Lecz dokoła tej postaci kobiecej skacze, miga, skręca się czarna sylwetka olbrzymiego psa. Kobieta wyciąga ramiona, wysoko po nad głowę, powolnym, leniwym ruchem.

Pies szczeka i skacze, pragnąc dosięgnąć jej dłoni.

— Jakaś pani!.. — szepce Tecia.

— Więc cóż?—odrzuca Tadeusz.—To widocznie z tej willi, którą widać pomiędzy drzewami. Co za szkaradne domostwo!...

— Nie!... bardzo ładne!... — szepce Teczia — takie wieżyczki!...

Tadeusz przypomina sobie willę nad brzegiem morza w Concarneau, tę willę, na którą patrzył, snując dziwaczne projekty. Ze złością więc powtarza:

— Szkaradne wieżyczki!...

Zbliżyli się już o tyle, że mogą rozróżnić dokładnie kolor włosów i szczegóły stroju owej damy. Twarzy jej jeszcze nie widać, bo głowę trzyma schyloną, poprawiając coś około obroży psa, który stoi teraz spokojnie, olbrzymi, majestatyczny, zwracając w stronę Tadeusza i Teci swój piękny łeb podpalany, ożywiony olbrzymiami, żółtawymi źrenicami, łeb rasowców, SaintHubertów.

— Och!... jaki wielki pies!... — szepce Teczia.

Dama wyprostowuje się energicznie. Przywiązała ramię dużego plecionego bata do obroży psa, i teraz zaczyna iść szybko naprzeciw Tadeusza i Teci, prowadząc psa za sobą.

Tadeusz w tej chwili dostrzega, iż damą tą jest Muszka, i przez błyskawiczną chwilę ma tysiące myśli i projektów krzyżujących się wzajemnie.

Gniew szalony ogarnia go. Traci przytomność. Widzi, że Muszka idzie wprost ku niemu, i równocześnie dziwi się zmianie, jaką w niej dostrzega. Jest, nie ubrana, lecz odziana, jak panna służąca. Ma na sobie szarą spódnicę, czarny króciuchny zakieciak, rodzaj fularu barwy niezdecydowanej, zapięty pod szyję, i na głowie męski kapelusik filcowy. Lecz co najwięcej uderza Tadeusza, to zmiana jej twarzy, postarzenie nagłe, brak zupełny pudru i aureoli włosów dokoła czoła i uszu. Włosy te, jakby zmoczone, gładkie, ściągnięte po chińsku w węzeł, giną pod rondem śmiesznego kapelusza. Muszka idzie dużymi krokami, odpychając spódnicę kolanami, rękę lewą trzyma w kieszonce żakietu, w prawej dzierży bat, na którym ciągnie psa.

Wszystko to dostrzega Tadeusz w jednej sekundzie i równocześnie stara się powziąć jakieś postanowienie. Lecz gdy Muszka jest już od niego o kilka kroków, pod jej aroganckim, zwykłym spojrzeniem zdejmuje szybko kapeluszek i pochyla głowę. Ona za

ledwie dostrzegalnie odpowiada mu na ten ukłon, zimna, sztywne, obojętne, ta sama, jaką ją nieraz widział schodzącą ze stopni kościoła lub siedzącą w łóżku teatralnej.

I każde poszło swoją drogą.

Ona prowadzi na spacer psa, odziana nawpół po męsku w ten słoneczny, letni ranek; on idzie obok Teci, która pyta go z kobiecą ciekawością:

— Kto to taki?...

Głos ten przyprawia Tadeusza do przytomności. "

Spogląda na Teczia. Wydaje mu się bardzo ładną, młodziuchną, z troszką rozrzuconych włosów, wymykających się z pod ronda kapelusza.

— To jedna z dam... — odpowiada — Teczia ją musiała widywać na maj owem nabożeństwie u jezuitów.

— Nie! . — odpowiada Tecia — te panie zajmowały zawsze pierwsze ławki po prawój stronie, potem za nimi stawali ich lokaje, a ja siadywałam w kącie po lewój, przy wejściu do chóru.

Tadeusz głową kręci.

— Strasznie zbrzydła ta pani!... — mówi, wydymając usta.

— A!... tak?... a co jej się stało takiego?

— Za mąż bogato poszła!...—odpowiada z ironią

Tadeusz.

Gdy dnia tego Tadeusz, pożegnawszy Tecię na rogu ulicy Akademickiej, poszedł do biura, rad był z siebie niezmiernie. Spotkanie Muszki, którego się zawsze lękał, nie sprawiało na nim tak wielkiego wrażenia. Przypisał to obecności Teci i bezustannie teraz w pamięci porównywał postaci obu kobiet. Ta Muszka w śmiesznym kapeluszu angielskim, wlokąca na rzemieniu olbrzymiego psa, nie miała nic wspólnego z ową Muszką ubraną w batysty różowe i zamkniętą w konsze budki z białego muślinu. Tamta — był czar, uśmiech, wdzięk, poezya, elegancya; ta zaś — „koniarka”, o brzydkiej, grubej cerze, oczach niewyspanych i podsiniątych, o szorstkich, nieestetycznych ruchach.

„Kochałem w niej akcesorya, nie ją samą — myślał Tadeusz. — W oddaleniu nabrała w oczach moich indywidualnego czaru, lecz dziś, widzę jasno, widzę dobrze, widzę dokładnie...”

Wzruszył ramionami na samą myśl, iż Muszkę porównywał z Salammbo.

„Ona? w tej brzydkiej sukni, z tym fularem na szyi? ona — Salammbo? co znowu?”

Przesadzał teraz, o ile mógł, owo zbrzydnięcie Muszki, w rzeczywistości niespokojny i drżący.

„Jak to dobrze, że teraz kocham się w Teci!..” — zakonkludował, siadając przed biurkiem.

Pół godziny siedział w ciszy i osamotnieniu. Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł Pozbitowski.

Skinął Tadeuszowi głową i usiadł na sofie. Równocześnie prawie przez pokój przesunął się Kafthan, niosąc w ręku złożone w naleśnik papiery. Pozbitowski skinął ręką.

— Słuchaj, Kafthan, gdzie tak pędzisz? widziałeś

Maiętnego?

Olbrzym przystanął i zaczął gryźć wąsy.

— Nie... nie widziałem! — odburknął basowym głosem.

— No, to śpiesz się, bo Maleniowie jutro rano wyjeżdżają z powrotem do Wiednia. Jeżeli naprawdę chcesz być przeniesionym, Uf aut vous remuer, mon cher. Chociaż dlaczego ty chcesz być przeniesionym?

Błady uśmiech przesunął się po ustach Kafthana.

— To już moja rzecz! — wymówił, ku drzwiom zmierzając.

Lecz ktoś go za połę kurtki schwytał.

— Cóż to? masz przed nami sekrety? Kafthan?... Bój się Boga!.., co się z tobą dzieje?...

Kafthan odwrócił się i uśmiech znikł z jego twarzy.

— Niech mnie hrabia puści... — wyrzekł cichym głosem.

Malewicz zanosił się ze śmiechu.

— Nie puszczyć, aż na łonie mem złożysz tajemnicę twą...

We drzwiach ukazała się głowa woźnego.

— Jego Ekscelencya prosi pana Kafthana... Kafthan rozpaczliwie się szarpnął. Malewicz puścił połę jego kurtki.

— Masz, Kafthanie, twój kaftan: idź do Ekscelencya to ci z niego kurtkę skroi...

Kafthan zniknął za drzwiami. Pozbitowski ujął głowę w dłonie.

— Nie śmieć się tak! — wyrzekł płaczliwie — mam straszną migrenę, twój śmiech mnie drażni!

— Pardon! — rzucił z kurtuazyą Malewicz — nie wiedziałem... ale ten Kafthan ze swemi tajemniczenii minami okropnie mnie bawi. Prawda, że ten idyota coś knuje? Podobno chce się przenieść do Wiednia. Dlaczego?

— Mówiłem mu właśnie — jęczał Pozbitowski — aby się zobaczył z Malenim.

— A!... dobrze, że sobie przypomniałem... o której godzinie ten obiad?

— O szóstej.

— Kto będzie z kobiet?

— Maleniowa i Orzecka,

— Dlaczego nie więcej?

— Jakże chcesz? gdzie? w tej małej salce na dole, w której kasyno pozwala nam przyjmować damy? I tak siądzie nas do stołu szesnaście osób. Będziemy ściśnięci tak, że łokciami nie będzie można ruszyć...

— A czy przystrojono trochę ściany kwiatami?

— Spodziewam się! I właśnie ztąd pochodzi moja migrena! Ten Dezydery sprowadził całą oranżeryę. Kazałem natychmiast połowę wynieść...

Położył się na sofie, jęcząc cicho.

— E!... baba z ciebie! — zakonkludował Malewicz.

Poszedł do swego biurka i zaczął przewracać na niem massy czystego papieru.

— Wiesz... Charłupko przeskoczył — zaczął znowu — zamianowali go ni ztąd ni zowąd komisarzem...

— Wiem — odparł Pozbitowski — to Orzecka wyprosiła u Maleniowej.

— Naturalnie... teraz trzeba ferlakurowac Muszce. Niezadługo Charłupko zostanie starostą...

— Widziałeś Muszkę?

— Widziałem.

— Do twarzy jej małżeństwo i Wiedeń. Nabrała sportowego szyku. Zarzucałem jej zawsze, iż brakowało jej tego czegoś... coto... Teraz wszystko w porządku. Niema jak mężatka!...

Ożywił się, zapomniał o migrenie, usiadł na sofie i małe wąsiki pokręcał.

— Cóż to? — zapytał Malewicz — będziesz jej robił kurę?

— Nie teraz... jeszcze zawcześnie... za jaki rok, dwa. Wtedy, gdy się przeniosą do Lwowa, Sądzę że nie będzie wielkich trudności...

— Prawdopodobnie.

Zamilkli obaj. Tadeusz z pewną rozkoszą wsłuchiwał się w ich słowa. Zwłaszcza ostatnie zdanie Malewicza, owo „prawdopodobnie”, sprawiło mu wiele złej radości.

Malewicz wyjął z kieszeni pilnik do paznogi, przy którym wisiały miniaturowe nożyczki, i, wcisnąwszy je na palce, zaczął wystrzygać z papieru całe serye chłopczyków i dziewczynek trzymających się za ręce.

— Więc mówisz, że tak wyprzystojniała? — zapytał, wykrzywiając usta, zapracowany, pragnąc jaknajdelikatniej wyrzeźbić drobnouchne figurki.

— Kto? — zapytał Pozbitowski, śledząc ciekawie robotę Malewicza.

— No... Maleniowa...

— Według mnie...

Tadeusz z nagłą odwagą do rozmowy się wmieszał.

— Spotkałem dziś Maleniowa — rzucił niedbale, kreśląc esy na arkuszu papieru — i muszę wyznać, że zrobiła na mnie fatalne wrażenie. Zbrzydła, postarzała się, nabrała jakichś nieestetycznych ruchów, a przytem ubrana...

— Po angielsku — odparł Pozbitowski — to bardzo szykownie i w dobrym tonie.

— Być może — ciągnął dalej Tadeusz, a serce łopotało mu w piersiach jak ptak spłoszony — ale

pani Maleniowej angielskie mody nie do twarzy. Nie wiem, co zrobiła z włosami, ale dziś była uczesana jak pokojówka...

— Może świeżo tub wzięła — odrzucił Pozbitowski i natychmiast ku Malewiczowi rękę wyciągnął.

— Tu as tort wycinać z cienkiego papieru... weź gruby arkusz, urzędowy, i zrób im szersze stopy, będą się lepiej trzymać.

Wziął z rąk Malewicza nożyczki a z biurka duży arkusz.

I zaczął starannie, uważnie wycinać nowe szeregi laleczek, gdy Malewicz ostrożnie ustawiał koła białych, maluchnych postaci na czarnej ceracie sofy. Obaj ci „urzędnicy” obracali językami w ustach, przewracali oczami, przybierali miny małych dzieciaków, urządzających papier owej wesele.

Nagle Malewicz głowę podniósł i odstąpił na środek pokoju, przypatrując się swemu dziełu z zadowoleniem.

— Ca y est... — wymówił zacierając ręce. Tadeusz udał wielkie zainteresowanie. Wmawiał w siebie coraz lepszy humor. Autosugestia ta udawała mu się niezmiernie pomyślnie.

Od dni kilku wstawał wcześniej, towarzysząc Teci podczas jej rannych higienicznych przechadzek. Zaczął czuć się rzeświejszy, silniejszy fizycznie i moralnie.



— Teraz zróbcie mamy pod ścianami — zaproponował, przechylając się przez biurko.  
— I wodzireja... koniecznie... — dorzucił Pozbitowski.  
Tadeusz cofnął się, lecz Malewicz zwrócił się ku niemu i rzucił od niechcienia pytanie:  
— Ten Radolt... bardzo musi być ubogi, co?  
Tadeusz przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego właściwie Malewicz pyta go o stan finansów Radolta.  
— Bardzo... — odparł prawie machinalnie.  
— A... wiesz, gdzie mieszka? Możesz mi powiedzieć jego adres?..  
— Po co? czy chcesz mu dopomóc? Malewicz milczał chwilę i wciąż ustawiał lalki.  
— Może — wycedził przez zęby. Tadeusz się uradował.  
— Zrobisz bardzo dobrze... Radolt jest bardzo zdolny i bardzo nieszczęśliwy. Mieszka przy ulicy Sobieskiego, numer dwunasty...  
— Dziękuję ci...  
Tadeusz zabrał się znów do kreślenia esów na papierze.  
— Prosiłbym cię tylko... — wyrzekł z wymuszoną swobodą w głosie — ażebyś, widząc Radolta, nie wspominał mu... o naszej przedwczorajszej rozmowie, wiesz... a propos nowelki...

— O, bądź spokojny — odparł z kurtuazją Malewicz — nazwisko twoje nie będzie nawet wymówione.  
I schyliwszy się nad kanapą, zaczął ołówkiem rysować twarze i tualety wycinanym przez Pozbitowskiego lalkom.  
Ranek mijał, w złoto słoneczne spowity, i jakiś ptak, ukryty w ogrodzie, ćwierkał głośno i gderliwie.  
Całe strugi słońca wlewały się teraz do pokoju.  
Tadeusz powstał i storę szybko zapuszczać zaczął.  
— Nieznośny blask! — wyrzekł — niepodobna pracować spokojnie...  
I, usiadłszy przy biurku, na czystym arkuszu rebus francuski komponować zaczął.

#### IV.

Nazajutrz nad wieczorem Tadeusz spotkał na placu Bernardyńskim Radolta.

Dziennikarz miał dwie plamy na zapadłych policzkach.

— Jak się masz!.., jak się masz!.. — wyrzekł szybko, podając rękę Tadeuszowi — wiesz, mam ci powiedzieć ważną nowinę..,

— Cóż takiego? straciłeś miejsce? Radolt rzucił się niecierpliwie.

— Czy sądzisz, że mnie same pechy się tylko przytrafiają w życiu? Szczęśliwy tam bardzo w życiu nie byłem i nigdy chyba równocześnie dwóch szczęść nie widziałem... Ale stracić miejsce? Bój się Boga!., a tożbym chyba bojkiem został i bryndzę zaczął sprzedawać, zawijając ją w moje manuskrypty...

Skierował swe wielkie czarne oczy w stronę placu Sobieskiego, gdzie świeciły się latarenki, przyczepione do straganów bojków.

G.Zapolska,—Wodefrel. Tora II. &

Urwał, roześmiał się złośliwie, i machnąwszy ręką, dokończył:

— Już ja wiem, co mu powiem... Ujął Tadeusza pod rękę.

— Chodźmy w stronę Łyczakowa.

Weszli na ulicę Piekarską, która teraz tonęła cała w dziwnym, szarawoblękitnym blasku. Tu i owdzie zaczynały płonąć latarnie, które miały srebrne, czyste światło gwiazd, zawieszonych różańcem w przestrzeni.

— Jedno mnie cieszy... — podjął znów Radolt — to to, że jestem widocznie kimś, skoro taki pan hrabia liczy się z moim zdaniem. Wie, że jestem surowy i że omamić się nie dam: więc chce mnie ująć grzecznością i słodyczą. Ale takie rzeczy nie mają na mnie wpływu.... Drwię z ich uśmiechów, tak, jak drwię z pogardy, jaką obrzucają moją zniszczoną okryjbiędę..

Podniecony, zgorączkowany, machał ręką, robił wrażenie człowieka podchmielonego.

Tadeusz, ze swem babskiem usposobieniem, czyniącem z niego niepoprawnego gadułę, przechodził męki Tantała, pragnąc dotrzymać tajemnicy i nie wspominać o możliwej propozycji pomocy ze strony Malewicza.

Milczał więc i laską po końcach butów uderzał, zdziwiony trochę tём nagłym ożywieniem się Radolta.

— Choć... o ile byłoby mi lepiej, spokojniej w ich wysmarowanej masłem koszuli, niż w tym zakiecie, który musiałem dziś zasmarowywać atramen tem... Bojko byłem... powinienem był nim zostać do śmierci.., A tak co?..

Dopiero teraz Tadeusz dostrzegł, że Radolt miał cień twarzy tych czarnowłosych chłopów, pochylonych nad straganami w oświetleniu smutnych latarek. Lecz był to cień cienia, ten szmat trójkątny zielonawego ciała, który zdawał się być delikatną osłoną jakiegoś niespokojnego i dziwnego ducha.

— Nie o to jednak chodzi... — ciągnął dalej Radolt — dostałem list od... Malewicza!

Tadeusz milczał, przygotowany do tej wiadomości. Zapytał jednak:

— A!... cóż on chce od ciebie?

Pisze do mnie dość przyzwoicie... Przypomina mi, iż jest moim kolegą szkolnym. Nazywa mnie swoim... podwójnym kolegą. Uważasz? delikatna alluzja do owej sławnej nowelli... I kończy, zapraszając mnie na jutro, na godzinę piątą, do siebie ..

— I cóż?... pójdziesz?...

— Naturalnie. Powiem mu, co o nim myślę, śmiało, w oczy. Być może, iż zechce kupić odemnie powieść i wydać ją pod swoim nazwiskiem... Wtenczas ja mu powiem: Panie hrabio... albo nie, powiem mu: mój Malewicz!... mój Malewicz...

Z energią przebierał w powietrzu palcami, na których zółciły się pozaginane suchotnicze paznokcie

— Tu, panie, moje stosunki!... tu, panie, moja protekcja! mówił. — Do cholery ciężkiej wszystkie obietniki pomocy!...

— Jednakże — wtrącił Wielohradzki — bez stosunków i protekcji ciężko na świecie ..

Radolt zachmurzył się i stracił fantazję.

— Prawda, ciężko... — powtórzył, nagle z sił opadły.

Szli ciągle w górę ku cmentarzowi; powoli jedna po drugiej gwiazdy zapalały się na niebie. Na dole, na ziemi, jak odbłask słaby i nędzny, migotały latarnie gazowe, wstążkami światła w oddali brzegi ulicy znacząc.

Cisza zapadała coraz większa. Słysząc było dokładnie lekki stuk obcasów Wielokradzkiego i anemiczne szuranie zniszczonych podeszew Radolta.

I nagle w tę ciszę wpadł ochryply głos Radolta:

— Tadek... czy są też pomiędzy... nimi inteligentni ludzie?

Tadeusz zdziwiony podniósł głowę.

— Między... nimi?

— No tak...! w twoim highlifie? ha? Tadeusz zastanowił się chwilę.

Nigdy nie zadawał sobie podobnego pytania. Stopień inteligencji tych, co go otaczali, był mu obojętny. Wystarczała porządna odzież i ładne maniery.

— Skoro taki wypadek mnie w życiu spotkał — mówił dalej Radolt — to aż nabieram chęci do pracy Ręczę ci, że będę całą noc pisał. Dali mi wianie do oceny „Historię historii cywilizacji”. Tysiąc stron... mam to wszystko przeczytać i ocenić! Rozumiesz? ocenić i to przez jedną noc!... Machnę cokolwiek, zajrzę tu i owdzie, wykręcę się sianem. A przez resztę nocy napiszę nowellę... piękną nowellę... nie mistyczną, choć to teraz moda przyszła, ale jędrną, zdrową, chłopską... coś ztamtąd.., od bojków...

Zsunął kapelusz z głowy, zacisnął pięści i szedł wielkimi krokami, roztrącając przechodniów.

— I zobaczysz .. — ciągnął urywanym głosem — ja wybrnę.., wybrnę, jak Boga kocham, wyjdę na ludzi... to jest na takich ludzi, co to mają do swej dyspozycji czcionki i bibułę.. nie wierzysz?...

Wielohradzki pokręcił głową.

— Dlaczego nie?... — wyrzekł układnie — skoro tylko wyrobisz sobie stosunki...

Radolt machnął ręką.

— Stosunki! — wrzasnął — co mi po nich? plu ję na stosunki!... Ja, jeżeli się wyrobię, to tem o!... tem... patrzaj, ty filarze cesarskokrólewski!

Wyciągał w ciemniejszą przestrzeń swe wychudłe ręce, które wysuwały się z krótkich rękawów tużurka chude i żółte.

— No? co? — nalegał Radolt

— Zapewne... — bełkotał Tadeusz — zapewne... muszą być... wykształceni... jeżdżą za granicę... Malewicz był w Turcyi...

— Bo gdyby oni byli inteligentni, to kto wie..., możnaby z nimi na seryo walkę rozpocząć — ciągnął Radolt. Potrząsnął głową, jakby gotując się do tej walki.

— Polemika!..., ach!... to jedno! to podstawa dziennikarstwa!... Gdybym mógł polemizować z ludźmi inteligentnymi, byłbym bardzo szczęśliwy!...

I nagle, przeskakując swoim zwyczajem z jednego przedmiotu do drugiego, zapytał:

— Tadek! czy ty widziałeś kiedy człowieka zupełnie szczęśliwego?... Tylko zrozum mnie dobrze: szczęśliwego, zadowolonego ze swej roli społecznej, z tej odrobiny pożywienia moralnego i materyalnego, jakiej mu los raczył udzielić? Człowiaka, który

nie chciałby "dojść", wybrnąć, który wszelkimi sposobami nie szukałby pozbycia się dawnej skóry i wsunięcia się w inną, wygodniejszą. Powiedz, czy ty to widziałeś?

— Widziałem.

— Któż to taki?

— Młoda dziewczyna. Radolt ręką machnął.

— EL. kobieta! .. to się nie liczy!..

Wielohradzki nic nie odpowiedział, tylko myślą uprzytomniał sobie ranną z Teeią przechadzkę. W wąwozie, pełnym paproci, Tecią zwróciła się ku niemu zarumieniona, z oczyma, błyszczącymi wielką radością.

— Taka jestem szczęśliwa! — wyrzekła półgłosem — och! taka bardzo szczęśliwa... Gdybym tylko mogła powiedzieć wszystko babce i mamie pana, i oddać ten garnitur panu Janczewskiemu... już nicby mi chyba do szczęścia nie brakowało! Prawda?

Teraz dopiero przypomniał sobie jej słowa, jej uśmiech, dźwięk jej głosu.

Ta—była szczęśliwa.

Nie pragnęła nic, materyalnie czuła się najzupełniej zadowoloną i nie trawiła się myślą o krzywdzie socyalnej, jaka była jej udziałem.

Spojrzał ukosem na Radolta i nigdy może jego dawny kolega nie wydał mu się tak bardzo istotą „wykolejoną”, jak w tej chwili.

Szedł ciężko, jak chłop za pługiem, nędzny i strawiony gorączkową walką o byt w zaduchu i nikczemności miejskiej. Ręce silnie zarysowane zwiesił beczynnynie, zaginając palce haczykowato, jakby zdjęty ciągłą chęcią wydzierania innym ich zdobyczy.

Był widmem samowolnej nędzy, widmem groźnym i fatalnym, rzuconym podmuchem losu na bruk gnijącego w intelektualnym zastoju miasta. W zapa

radzki uciekł szybko, porzucając niezapalouego papierosa.  
Z bijącym sercem wpadł do swego mieszkania.  
Wielohradzka szła przy lampie, zasłoniętej zielonawym abażurem.  
Przy maszynie siedziała Teczka i pilnie zszywała jakieś kawałki jedwabiu.  
Zobaczywszy syna, Wielohradzka dała znak ręką  
Niech Teczka przestanie... pan Tadeusz powrócił!...  
Tadeusz miał ochotę pójść do swego pokoju, położyć się czempredzej i zgasić świecę.  
Lecz przemógł tę chęć i zbliżył się uprzejmie do stołu. f  
— Przeczytam paniom gazetę — wyrzekł, sięgając po dziennik.  
Lecz Wielohradzka zmarszczyła brwi z niechęcią.  
— Nie... proszę cię... idź do siebie... my mamy bardzo pilną robotę... musimy dziś siedzieć długo w nocy...  
Tadeusz upierał się, czując w duszy potrzebę moralną pozostania przez czas jakiś obok Teci i matki. Bał się swych myśli, wspomnienia nocnego Muszki, tych dwóch oświetlonych okien kasyna, które, jak oczy rysia, migotały przed nim w ciemności.  
Wielohradzka wyciągnęła ku Teci rękę.

dłej piersi miał cały grób chłopskiej upartej rozpacz, pomieszanej z burżuazyjną chęcią „dojścia”.  
Duma pługowca kazała mu pogardzać protekcją, stosunkami, lecz w głębi jego duszy drżały całe morza pragnień rozporządzenia czcionkami i płachtami dzienników, które w jego trupiozapadłych oczach rządziły światem, opinią i losami ludzkości.  
I szli tak długo obaj, milcząc już i tylko wpatrzeni przed siebie, obaj niezadowoleni i niechętni, wydzierając się duszami ze swych „ja”, które z mocą skorpionów do nich przypadły, i z którymi ciągle śmiertelne walki toczyli.  
Tylko Radolt głośno wołał i, jako „źle wychowany”, otaczał się atmosferą jęku i złości; gdy tymczasem Wielohradzki ironią zatruwał się powoli, sącząc ten jad w swą ptasią duszę kobieco rozwiniętego mężczyzny.  
Rozstawszy się wreszcie z Radoltem, Tadeusz powlókł się w stronę domu. Przechodził pod oknami kasyna. Mimowoli zatrzymał się i szukał okiem salki, w której odbywał się obiad wydany na cześć Muszki. Nie był pewien, czy były to okna, zasłonięte szczelnie roletami z szarego płótna i silnie oświetlone. Obszedł dokoła cały gmach i znów po wrócił do tych dwóch okien, które ciągnęły go, jak magnes. Zatrzyma! się na chodniku i zaczął zapalać powoli papierosa.  
Nagle z bramy wyszedł Jurek Bodocki. Wielo

Wielohradzka rzuciła na stół nożyczki z niezwykłą u niej złością.

— Być może... tymczasem jednak jest to osobistość kompromitująca, i proszę cię, ażebyś mi go nigdy do domu nie przyprowadzał... Rozumiesz?...

— Rozumiem. Dobranoc mamci!... Nie było odpowiedzi.

Po raz pierwszy Wielohradzka nie życzyła synowi „dobrej nocy”.

Rozterka i troska o Tccię rosła w niej z dniem każdym. Owe słowa Tadeusza, wyrzeczone niedawno a dotyczące się możliwego jego związku z Tecią? były dla niej uderzeniem piorunu. Przypuszczała płochosć, miłość, i uczciwość jej kobieca czuła się niezmiernie dotknięta postępowaniem Tadeusza. Lecz tych kilka słów otwarły przed nią przepaść nędznej przyszłości, w której wegetować miał jej syn i jej wnuczka. Łzy zaćmiewały jej oczy. Była to bowiem dziwna natura w tej kobiecie: mieszanina duchoworeligijnych aspiracji i szalone przywiązanie do materialnych warunków życia.

Z kawałków jedwabiu lepiała podszewki sukien, które zużywała, klęcząc na kamiennych flizach kściola. Z kawałków protekcyi, posagu jakiej bogatej jedynaczki chciała ulepić synowi wygodne gniazdo, uświęcone i pobłogosławione Sakramentem małżeństwa. Tymczasem projekty jej rozbijały się w pach i niweczyła je nędzna postać ubogiej szwaczki, małej

— Niech Teczka da mi te dwa kliny i niech idzie spać... Ja sama suknię skończę...

— Ależ... proszę pani... — oponowała Teczka.

— Niech Teczka idzie spać!... — powtórzyła dobitnie Wielohradzka.

Teczka cicho wysunęła się z pokoju.

Tadeusz gryzł wargi, wahając się wywołać nową scenę. Nerwy jego zaczynały znów drgać całe; lękał się samego siebie.

Milcząc, skierował się ku drzwiom swego pokoju.

Teraz Wielohradzka pragnęła go zatrzymać, cała pobladła w świetle lampy.

— Dlaczego uciekasz? chciałeś mi czytać gazetę? — spytała.

Tadeusz pokręcił głową.

— Nie!... teraz nie mam ochoty... jestem zmęczony! — odparł, ujmując za klamkę.

Wielohradzka z pod okularów starała się dojrzeć twarz syna.

— Zapewne znów byłeś w restauracyi ze swoim... Radoltem...

— Nie... byłem z nim na spacerze.

— Nie wstyd ci wychodzić z takim obszarpańcem?

Tadeusz usta wyduł.

— Mamusia źle robi, lekceważąc Radolta. Zobaczysz mamusia, jak on się wybije. Niezadługo będzie redaktorem.

Zobaczysz mamucia!...

v.

Nazajutrz, w biurze, Tadeusz mimowoli śledził zachowanie się Malewicza.

Professional lover lwowski był widocznie nerwowo podrażniony.

Śmiał się, dowcipkował i co chwila odwoływał na bok Pozbitowskiego, Charlupkę i Bodockiego, z którymi coś szeptał, ściskając im ciągle ręce.

Koniarze kiwali głowami, zapewniali go tajemniczo, uspokajali, poczem rozchodzili się po to, aby za chwilę zejść się znowu i radzić w kącie tak, jak bengali, te ptaszki o czerwonych dzióbkach, rajcujące w kącie klatki i spowiadające się ze swych miniaturowych tajemnic.

Wielohradzki śledził z pod oka te wszystkie narady, nie biorąc w nieb udziału.

Dzień był prześliczny, jesień nadciągała powoli, lecz już tu i owdzie drzewa w ogrodzie namiestnika przybierały odcienie złota i miedzi.

dziewczyniny, którą Wielohradzka uważała za swą najemnicę. Tyle ofiar, nocy nieprzespanych i strawionych nad robotą dla zapłacenia garniturów frakowych i jedwabnych skarpetek Tadeusza, wszystko szło w niwecz, pozostawiając po sobie tylko galerę długów.

Wielohradzka ocierała szybko łzy. płynące z pod podwójnej pary binokli, jaką miała na oczach. Drżące ręce kłóły materię, igła zakreślała krzywą linię.

Wzięła ze stołu czarną koronkę i zaczęła umocowywać odpiwające się dżetowe paciorki.

Jedna z jej łez spadła na czarną, przejrzystą tkaninę i zalsniła się pomiędzy dżetami.

Stara kobieta ostrożnie wpięła w łzę swą igłę.

Łza rozpułyła się. a Wielohradzka, zdjawszy z nosa binokle, przecierała je uważnie i tłumiła łkanie, które zaczynało prawie rozpaczliwie wstrząsać jej piersi.

Wielohradzki wstał w wybornem usposobieniu.

Muszka w nocnych marzeniach wydała mu się jeszcze brzydszą i pospolitszą. Zresztą, jak u każdego neurastenika, autosuggestya grała tu olbrzymią rolę. Wielohradzki chciał widzieć Muszkę brzydką, i widział ją taką. I wstawszy, zażądał od matki wykwintej bielizny, nowego krawata, rękawiczek i brązowych jedwabnych skarpetek.

Wielohradzka, uszczęśliwiona, uczyniła zadość jego żądaniu. Namówiła go, aby wziął nowy żakiet

i laskę ze złotą główką. Gdy przyszedł przejrzeć się w lustrze i tak jak dawniej uśmiechał się do siebie, mrużąc oczy i zaciskając usta, Wielohradzka nie posiadała się z radości.

— Nareszcie — myślała — z gustem ubrania powróci mu chęć bywania w świecie, w porządnym towarzystwie...  
Dzięki Ci, Boże!...

Zawinęła mu w papier rogalik i cukier.

— Chcesz? — zapytała — odpruję ci krepę  
ii kapelusza?

Lecz on szybkim ruchem powstrzymał jej rękę.

— Nie! nie! mateczko!. Niech mama zostawi... To jedyna moja obrona przed natrętnymi zaprosinami tych... państwa!  
Rzucił to ostatnie słowo z wysoką ironią. Wielohradzka podchwyciła szybko:

— Cóżby w tem było złego, ażebyś znów zaczął bywać w świecie?...

— Och!... taki świat!..

— Cóż chcesz... elegancki...

— Och!... taka elegancja!...

Zaczął się śmiać przeciągle, mając ochotę wygadać się przed matką o spotkaniu Muszki, o jej trywialnej przemianie;  
lecz należałoby przyznać się do rannych spacerów z Tecią, a tego Tadeusz uczynić nie chciał.

Zadowolnił się więc powtórzeniem kilkakrotnem:

— Och!... taka elegancja!...

Ironia ta nie opuściła go ani na chwilę, nawet w biurze. Wynajdywał teraz trywialne strony w obejściu Malewicza,  
Bodockiego, Pozbitowskiego. Z po za swojego biurka, w milczeniu, krytykował, śledził, czynił ironiczne uwagi. Zaczął  
nawet rysować karykaturę całej grupy, zbitej w kącik, koło drzwi.

Stanowczo, burżuazya miała racyę, mówiąc, że „kasynowcy” stajnią trącą.

Bezwiednie kreślił niezłą syntezę ich postaci. Kilkoma pociągnięciami pióra oddał długą, szkieletowaną sylwetkę  
Stania, drewnianą elegancję Malewicza, paróbkowatą piękność Bodockiego. Zmysł jego krytyczny subtylizował się w  
tej formie.

I nagle na czystej ćwiartce zaczął kreślić syntezę Muszki „sportowej”, z psem olbrzymim, uczeptionym na bacie. Lecz  
mimowoli nadawał jej dawne kształty Androgyny. Niezadowolony, podarł papier i znów

obserwował Malewicza. Przypomnił sobie wczorajsze nagle zapytanie Radolta:

— Czy są między nimi ludzie inteligentni? Co właściwie Radolt nazywał inteligencją? Czy zdanie matry? czy  
chodzenie do uniwersytetu? Czy łatwość encyklopedyczną w rozmowie? Ptasi umysł Wielohradzkiego pracował w tej  
chwili, zastanawiając się nad tą kwestyą. A on? Tadeusz? czy był inteligencją. Zdawało mu się, że tak—przynajmniej  
twierdziła tak często Wielohradzka. Lecz czy inteligencją jego różniła się w czem od inteligencji „koniarzy”?  
Niezdecydowany, wysadzony z równowagi, kreślił wciąż po papierze gzygzaki i linie. Powoli z tych arabesk  
wysunęła się postać kobieca: Tecia z aureolą kapelusza, w fałdach rozbiegających się w przestrzeń sukienki. Lecz było  
to połączenie Teci i tej „pierwszej”, która szła przed nim w wozie nadmorskim, wśród srebra i zieleni. Piana włosów



wysuwała się z pod ronda kapelusza. Szybko Tadeusz podarł znów papier i wrzucił strzępy do kosza. „Koniarze” wynieśli się teraz do biura Charłupki, i zupełna cisza panowała dokoła. I tylko od czasu do czasu słychać było skrzyp butów Kafthana, który w sąsiednim pokoju porządkował szuflady swego biurka.

Według obietnicy danej Radoltowi Tadeusz znalazł się na placu Bernardyńskim o trzy kwadransy na piątą. Zastał tam oczekującego na niego literata.

Radolt odziany był z widoczną starannością. Miał niebieską kretonową koszulę, szarą kamizelkę, pożyczony surdut, zbyt długie spodnie i ciemne skarpetki. Uczesany, umyty, zieleńszy niż zwykle, oczy miał dziwnie błyszczące.

— Ha? dziwisz się, że mnie widzisz tak wystrojonego?— zapytał z przymuszonym śmiechem. — Nie chcę, aby ten pan wyobrażał sobie, iż prócz nich wszyscy ludzie są brudni i obszarpani... Oni człowieka tylko cenią z powierzchowności... Na razie więc trzeba im zaimponować i zagrać na ich dudce... Inaczej niepodobieństwem będzie osiągnąć moralną przewagę.

Tłómaczył się tak, skrępowany i zawstydzony tą biedną elegancją, która uwidoczniała jego nędzę, wychudzenie i brak przyzwyczajenia noszenia całej odzieży.

Z fantazją jednak nasunął na ucho świeży cylinder i zawołał:

— Chodźmy!...

Poszli w stronę placu Maryackiego: Tadeusz—milczący, Radolt — ciągle rozgorączkowany i podniecający się widocznie dźwiękiem własnego głosu.

— Na każdą jego uwagę mam już gotową odpó

G. Zapolska.—wodzirej. Tom .

— Idź sam!... będę czekać tu na ciebie... nie siedź tylko długo...

Radolt pokiwał głową.

— Zawsze z ciebie zmoczona kura... Boisz się narazić... Sądzisz, że im nasobaczę i nawymyślę! Nie lękaj się... potrafię się zachować przywoicie, przywoiciej może niż oni.

Lecz Wielohradzki z najwyższym uporem zwracał się ku Wałom.

— Skoro chcesz mnie gwałtem zabrać z sobą — wyrzekł — uciekam!., czekać będę na ciebie na Wałach, na pierwszej ławce. Idź!... piąta już wybiła.

I zanim Radolt zdołał wyrzec jedno słowo, Wielohradzki oddalił się szybko, wywijając w powietrzu laseczka.

Wszedłszy w aleję Wałów, usiadł na pierwszej ławce, zajętej już przez dwie starannie ubrane żydówki. Wielohradzki, który był antysemitą zażartym, odsunął się na sam brzeg ławki. Odwróciwszy się od żydówek plecami, zaczął rozmyślać i zastanawiać się nad niekonsekwencją swego postępowania.

Dlaczego właściwie zgodził się towarzyszyć Radoltowi? Dlaczego czeka na niego, narażając się, iż Malewicz może go zobaczyć w towarzystwie Radolta?

Związał się pewną przyjaźnią z Radoltem „na złość” sobie samemu i arystokracji. Upokorzenie Malewicza cieszyło go. Zapewne; lecz czy rozsądnie, było narażać się na nienawiść Malewicza? Mógł

wiedz!... Ho! ho! . niech on nie myśli, że to balotowanie kasynowe albo kwestye wyścigowe... Po raz pierwszy w życiu ten pan może posłyszycy głos, który mu wskaże jego obowiązki. .

— Zkąd wiesz, o czym on z tobą chce mówić? — przerwał mu Tadeusz.

— Zkąd? — krzyknął Radolt — ależ to łatwe do odgadnięcia... Czuje we mnie nieprzyjaciela... lęka się mnie... chce mnie wyrozumieć, dyskutować zemną... usprawiedliwić się... Znam ja tę litanię na pamięć... Tryumf! tryumf dla mnie najwyższy to wezwanie!... Im więcej się nad tem zastanawiam, tem więcej tryumfuję!... Ha! ha!... liczą się ze mną... boją się mnie... Nareszcie!...

Doszli do rogu ulicy Kopernika.

Wielohradzki zatrzymał się na środku chodnika.

— Idźże sam dalej, ja tu na ciebie zaczekam. Lecz Radolt pochwycił go za rękę:

— Wiesz co, chodź ze mną do Malewicza.

Będziesz świadkiem mojego tryumfu i jego upokorzenia.

Wielohradzki szarpnął się prawie gniewnie:

— Oszalałeś? cóż ia tam będę robił?

— Będziesz świadkiem starcia się dwóch kast... tragicznej potyczki bosej armii z tymi, co noszą czerwone buty... chodź! chodź!...

Wielohradzki brzwi ściągnął, twarz mu pociemniała z irytacji.

przecież szkodzić mu i upokarzać go bez afiszowania się w towarzystwie Radolta.

Żydówki rozmawiały głośno, przeciągając dziwacznie samogłoski.

Wielohradzki, zdenerwowany, zatknął sobie palcem ucho. Lecz to niewiele pomagało. Skrzeczący głos przedzierał się z dziwaczną dokładnością i dręczył go fatalnie.

r Jeżeli Malewicz dopomoże Radoltowi i dźwignie go z biedy,.. — zaczął myśleć znowu — stanie się to niejako za moją przyczyną .. Prawda, zrobiłem plotkę, powtórzyłem słowa Radolta, ale plotka ta ma jaknajlepsze następstwa...

Kto wie? może Radolt nie ma słuszności, twierdząc, że w tych ludziach niema odrobiny serca... Kto wie?..."

Zaczął powoli odgarniać laską liście, które już spadały z drzew, i zgromadzać je w maluchną mogiłę.

„To pewne..o — zakonkludował — że u „nich” mężczyźni muszą być lepsi niż kobiety."

Nagle ktoś dotknął jego ramienia.

Tadeusz odwrócił się i ujrzał Radolta

— To ja .. — wyrzekł literat — to ja! . Wielohradzki wstał z ławki i z przerażeniem najwyższem spojrział na swego kolegę.

Radolt był trupio bład, z czoła spływały mu krople potu, rozwiązany krawat wisiał mu wzdłuż kamizelki.

— Co ci jest? co się stało?...

Radolt uczeplił się jego ręki.

— Powiem ci później... chodźmy!..

— Gdzie? czy chcesz, ażebyśmy wstąpili do kawiarni?

Lecz Radolt głową potrząsł.

— Nie!... nie!...

— Odprowadzę cię do domu.

— Nie!.., nie!... nie chcę .. ja się tam zabiję!... Drżały mu usta, ręce, nogi. Tadeusz, przerażony, usiłował posadzić go na ławce.

— Radolt!.. oprzytomnij! Bój się Boga!., Ludzie na ciebie patrzą!...

Lecz Radolt, jak małe dziecko, głowę tulił do ramienia Wielokradzkiego.

— Weź mnie ztąd!...—jęczał—weź mnie ztąd!... zaprowadź do siebie!.. Och! gdybyś ty wiedział, co „oni” mi zrobili... gdybyś ty wiedział!...

Jedna z żydówek zbliżyła się ze współczuciem.

— Ten pan zasłabnął?... może co przynieść? Kilku przechodniów zatrzymało się. Wielohradzki, który unikał zawsze wszelkich scen

ulicznych, podrażniony, zrozpaczony, uchwycił prawie brutalnie za rękę Radolta.

— Chodź do mnie!... — zawołał.

Radolt podniósł się z wysiłkiem i powlókł się za Tadeuszem, a tymczasem zebrany już tłum wymieniał uwagi:

— Co mu to? zemdłał?

— To nie... może się trochę upił!

— E!... co znowu. Prędeż z głodu, bo blady, jak śmierć angielska...

— Ale tam... z głodu, taki kibic w cylindrze i lakierkach...

— A może mu ojciec umarł!

Tymczasem Tadeusz, lękając się nowego wybuchu rozpaczy ze strony Radolta, nie badał, nie pytał, lecz szedł szybko, wlokąc za sobą ten szmat człowieka, zgniecione nagle jakąś przeciwnością. I mimowoli Tadeusz czuł pewną odrazę do Radolta, do tych jego publicznych i jawnych łez, bezsilności, tchórzostwa. Zdawało mu się, że Radolta okrył nagle trąd, że wlecze za sobą cień jakiś, chorobliwy i brzydki. Nie miał odwagi obejrzeć się i spojrzeć w twarz swego towarzysza. Biegł pod ścianą domów, patrząc z trwogą w dal uliczną, czy nie spotka kogo z „kasynowców."

Ulica była prawie pusta i czasem tylko cicho środkiem przemknęła się karetą, sunąca delikatnie na gumowych kołach. Okna przeważnie kryła biel storów. Rozpoczął się powolny powrót z wód i wyjazd ua jesienne polowania.

Arystokratyczna część miasta miała wygląd eleganckiego cmentarza.

Nareszcie Wielohradzki i Radolt dotarli do bramy domu zamieszkiwanego przez Wielohradzkich. Tadeusz trwożne spojrzenie zagłębił w bramę, Nie chciał, aby stróż widział jego nowego gościa, Lecz stróż

siedział w swej izdebce, która była czysta, widna, okazała i miała nawet firanki muślinowe, zasłaniające okienka wychodzące na branie. Przebiegli dziedziniec i zaczęli wdrapywać się na wschody. W ciszy słychać było ich kroki i podciąganie nosem Radolta, który widocznie nie miał chustki. Tu, w tej klatce wschodowej, Tadeusz uczuł się bezpiecznym, wiedział, iż nikt nie zobaczy Radolta, I równocześnie z ustąpieniem tej obawy obudziło się w nim coś nakształt litości. Miał ochotę pożyczyć literatowi swej chustki, lecz prędko myśl ta ustąpiła innej: jak też matka przywita tego nieproszonego gościa, co jej powiedzieć, jak wyłómaczyć?

Niezdecydowany, otworzył kluczem drzwi przedpokoju.

— Wejdz—wyrzekł do Radolta, który stał u prga—zaczekaj chwileczkę, uprzedzę moją matkę!...

Wszedł do pokoju. Radolt pozostał w sionce.

Wielohradzka siedziała przy oknie, wszywając w pasek aksamitną spódnicę. Teczka klęczała przy niej i kończyła obszywać jedwabnym sznurem brzeg spódnicy. Ametystowa barwa aksamitu płonęła cała w blasku zachodzącego słońca.

Wielohradzki zbliżył się do matki.

— Mamusiu! — wyrzekł przyciszonym głosem — pan Radolt przyszedł ze mną .. niech mamusia poprosi go na herbatę...

Białe czoło Wielohradzkiej przecięła rasowa

zmarszczka. Giest ręki, wyniosły i zimny, odpowiedział przecząco. Nie wyrzekła ani słowa, lecz widocznie było, iż zawrzała oburzeniem na tego „obszarpanego” intruza, który niedość, że zaciągał Tadeusza do podejrzanych miejsc zabaw i taniej wesołości, ale teraz jeszcze swą cynicznie brudną postać pod dach jej wprowadzał.

Lecz Tadeusz, nagłym instynktem zdjęty, pochylił się nad matką.

— Marno!..—wyszeptał Radolta wielkie spotkało nieszczęście . Nie mogłem go tak zostawić... Mdlął na ulicy...

Z czoła Wielohradzkiej znikła zmarszczka. Stara kobieta powstała natychmiast z twarzą w srebrze włosów, dobrą i nagle zainteresowaną. Aksamit fioletowy opływał ją dokoła, jak dostojna dalmatyka,

— Niech wejdzie! — wyrzekła z prostotą.

VI.

— Niech pan poczeka, dam panu jeszcze jedną chustkę!...

I dobrotliwie Wielohradzka wyjęła z drżących rąk Radolta zwiniętą w kłębek szmatkę, mokrą od łez i czarną i od smug fiksaturu, którym sobie literat wysmarował obficie zwykle rozczochrane pasma długich włosów.

— Pani... mi... daruje... — jękał się Radolt, łkając coraz głośniejsz — pani mi daruje.. ale., ja... nie mogę się wstrzymać od łez...

— Niech pan płacze! — wy rzekła Wielohradzka. — Skoro panu będzie lżej na sercu, to pan nam opowie, co pana spotkało. Naturalnie, jeżeli to nie będzie niedyskrecją z naszej strony wdzierać się w pana tajemnice.

— Och nie!... nie!... ja powiem... powiem... tylko teraz nie mogę... bo mnie lży duszą...

Ze drzwi kuchenki wysunęła się Teczka z tacką, na której bielili się filiżanka.

— Proszę pani... kwiat pomarańczowy!

— Dobrze, postaw na stole i podaj cukierniczkę. I wszyscy troje, zgromadzeni dokoła siedzącego na krześle Radolta, tworzyli prąd sympatii i współczucia. Wielohradzka i Teczka krzątały się ze łzami w oczach, przerażone i smutne na widok tej rozpaczliwej nędzy w wytartym tużurku, ocierającego oczy o koniec rozwiązanej krawaty. Tadeusz w karnym zamknięciu mieszkania dozwolił sercu swemu na wydobycie się chwilowe ze skorupy egoizmu i co chwila pochylał się nad plecami szlochającego Radolta.

— No! no!... — uspokajał go — nie płacz... nie płacz... widzisz przecież, że jesteś między życzliwymi ci ludźmi! Powoli łkanie umilkło, przeszedłszy w cichy jęk.

Radolt położył głowę na stole i tylko pod cienką tkaniną tużurka widać było różaniec jego kości pacierzowej, wstrząsany spazmem boju. Cienie występowały z kątów pokoju i wydłużały się na powierzchni posadzki. Firanki okien przybrały dziwnie błękitną barwę.

Tadeusz usunął się do swego pokoju i, pociągnawszy za sobą matkę, opowiedział jej pokrótce cały przebieg sprawy z Malewiczem. Naturalnie, zataił swoje gadulstwo. Wielohradzka pokręciła głową.

— Cóż oni mu takiego mogli zrobić? Przecież nie

dopuszcili się jakiegoś trywialnego czynu; ludzie tak dobrze wychowani... tak dobrze urodzeni... Ten Malewicz toć jedna z najdystyngowańszych rodzin... Pojąć nie mogę.. Ha, zobaczmy...

Delikatna sylwetka zarysowała się na progu.

— Proszę pani — wyszeptła Teczka — samowar się gotuje, szynkę ułożyłam na talerzyku, zapaliłam lampę... czy mam ją wnieść do pokoju?

— Tak! tylko uważnie, ażebyś nam nagle w oczy nie zaświeciła. Biedak napłakał się tyle...

— Dobrze, proszę pani, postawię z tyłu, po za nim, na komodzie... Dobranoc państwu!

Wyszła tak cicho, jak zjawiała się. Tadeusz poczuł nagle rozrzewnienie w sercu i chwilę na drzwi patrzył. Jasna smuga światła padła przez szczelinę. Tadeusz chwycił rękę matki i pocałował.

— Dziękuję matczeco... — wyszeptał.

— Za co?

— Ze mamcia taka dobra...

Lecz Wielohradzka, która miała sama łzy w oczach, zaczęła śmiać się z udaną dobroduszością.

— Co też ty gadasz? to mój obowiązek! Weszli oboje do pokoju.

Zastali Radolta, stojącego przy stole.

Był straszny.

Blady, opuchły, z czarnymi pręgami fiksatuaru rozmazanymi na białej masce twarzy. Nie płakał już

lecz drżał cały, tuląc ręce ściśnięte w kułak do za padłej piersi.

— Chciałem państwa pożegnać! — wymówił z wysiłkiem.

Lecz Wielohradzka zbliżyła się ku niemu i zawołała prawie ze śmiechem:

— Co też to pan mówi? zostanie pan u nas na herbacie... Będzie panu lżej, weselej. Tadeu, zajmij się panem... ja zakrzętnę się koło herbaty.

Bez oporu Radolt zajął znów swe dawne krzesło i siedział teraz w milczeniu, oczyma załzawionymi śledząc Wielohradzka, która ze zdwojoną żywością zastawiała stół i zapuszczała rolety.

W półświecie lampy trójkąt jego twarzy, przecięty ciemną linią zsiniałych warg, miał fatalny wygląd planującej w przestrzeni mary. Tadeusz mimowoli doznał uczucia nerwowego przestachu. Byłże to człowiek żyjący? byłże to widmo, bielejące w cieniu?

Lecz Wielohradzka wniosła samowar i nagie miedz zablęśla hypnotyzującym światelkiem. Błędne źrenice Radolta uparcie śledziły wyniosłą postać starej kobiety. Poczem zaczęły powoli toczyć się wzdłuż otaczających go przedmiotów. Widocznym było, iż ta ofiara fatalizmu oddawna nie wiedziała czym jest gniazdo rodzinne. Dym kawiarniany zasłaniał jasność lampy, płonącej na bieli obrusa, po środku okrągłego stołu. I łopotanie wichru i śniegu po szybach, dobrze osłoniętych czysto wypranymi firankami, dobrze

zakitowanych i okrytych warstwą ciepłą mchu, nie obilo się dawno o jego uszy, pełne zgrzytu i świstu moralnej i materyalnej wichury.

Gdy pociągnięty przez Tadeusza zasiadł do stołu przed gorącą filiżanką herbaty i nasmarowaną kajzerką, nowy potok łez zalał mu lica. Wielohradzka, stawiająca w tej chwili czajnik na wierzchu samowara, delikatnie, ostrożnie położyła swą piękną rękę na pochylonej głowie literata.

— Powiedz pan wreszcie — wyrzekła z macierzyńską troskliwością jak się to stało? co oni panu zrobili?...

Szybko odsunawszy się od stołu, ująwszy kolana splecionymi rękami, wśród łez i jęku skarży się Radolt, opowiada, przerywa, kryje twarz w zmoczoną szmatę chustki lub ociera oczy w brzeg obrusa.

W milczeniu, zeszytywniali ze zgrozy, z oczyma utkwionymi w opowiadającego, Wielohradzka i Tadeusz słuchają. I przed ich oczyma przesuwa się cała scena fatalna, potworna, wskrzeszana teraz prostymi słowami, bez przesady i kłamliwych wykrętów.

Więc—wejście Radolta do mieszkania Malewicza. Przywitanie się dwóch dawnych kolegów, z początku zimne i chłodne, i stopniowe topienie się tego chłodu pod wzrastającą dobroduszością Malewicza. Professional lover zaczyna wdawać się w dyskusję z Radoltem i nagle pyta:

— Dlaczego mówiłeś pan że nowelka, którą wydrukowało pewne pismo, niejest mojego pióra, lecz została kupiona przeze mnie od Podgórskiego?

Chwilę Radolt miesza się i nie umie znaleźć odpowiedzi. Jakkolwiek był przygotowany na to pytanie, na walkę słów, na szermierkę zdań, na wygłoszenie dość brutalnej tyrady, to przecież grzeczny ton Malewicza, jego wykwintne maniery i ten sposób mówienia nawpół ironiczny, a przecież uprzejmy, odrazu wysadzają z siodła bywalca knajp i drukarskich, pełnych zaduchu izb mieszkańca. Gdyby Malewicz doskoczył doń z gniewem, furją, rzucił się nań gwałtownie, bojko mistyczny, jakim był Radolt, odpowiedziałby mu w tym samym tonie i uchwyciłby ster całej sceny bez najmniejszej trudności. Lecz Malewicz pyta z niechęcia prawie, z grzecznym wyrzutem: „dlaczego mówiłeś pan”, i mówiąc to, ogląda swe ładne, błyszczące paznogie. Radolt błądzi wzrokiem po rozwieszonej na ścianie zbrojowni, po gobelinach, zakrywających drzwi, zatrzymuje się na wysmukłej statuetce, stojącej na środku stołu.

W pokoju tym pachnie elegancki mężczyzna i wytworna kobieta. Radolt, piorunujący na zbytki i salony, mimowoli mruży delikatnie powieki. Jakże się klócić w takiej atmosferze? rzucać argumenty zebrane w dymie taniej knajpy w tę przestrzeń zapełnioną artystycznym! cackami?

Radolt jest esteta, wie dobrze, co jest harmonia i dlatego jedynie na zapytanie Malewicza odpo

wiada zdławionym głosem, któremu usiłuje nadać cechy pewnej buty:

— Bo takie jest moje przekonanie!

W lustrze, oprawnem w wązkie srebrne ramy, widzi swą trójkątną, zielonawą twarz, synonim nędzy i wyniszczenia. Przez szerokość stołu ma przed sobą piękny, czysty, biały kark Malewicza i dostrzega w skróceniu jego kształtny profil i ironii pełne oczy. Mówić o zanikającej i butwiejącej kaście" czy to możliwe?

Malewicz milczy i nagle, podniósłszy głowę, znajduje się naprzeciw Radolta. Chwilę w czarne, rozszerzone źrenice korektora zatapia swe stalowe, chłodne, marzące oczy. I szybko, jakby recytując wyuczoną rolę, zaczyna mówić o ciężkich warunkach literackiego zawodu, o niezliczonych przeszkodach, jakie muszą znajdować się na drodze każdego rozpoczynającego ten zawód człowieka. I powoli ożywia się, głos jego, nabiera pewnych cieplejszych odcieni, giesty robią się okrągłejsze, przyjaźniejsze.

Powstał nawet i chodzi teraz wzdłuż pokoju, zatrzymując się czasem przed siedzącym wciąż Radoltem. I tylko teraz unika spotkania się ze wzrokiem swego dawnego kolegi szkolnego.

— Jeżeli ja... — mówi — na pierwszym kroku mam trudności i zawody, cóż to musi być pomiędzy tymi, którzy piszą dla centa, dla wywalczenia sobie kawałka chleba... Prawda?

— Prawda! — przyświadcza Radolt.

Chęć kłótni, rozprawy gorącej opuściła go zupełnie. Atmosfera piżma, którym napojono gobeliny, i ten zbytek, tworzący ciszę kołyszącą do snu moralnego, w szalony sposób zaczyna działać na rozstrojone nerwy literata. Zagłębił się w fotelu, lecz nogi ze zbyt długimi spodniami ukrył pod serwetą stołu. Na chwilę jeszcze budzi się w nim usypiająca energia, wtedy gdy Malewicz stawia przed nim pudełko cygar.

— Dziękuję!... — odpowiada sucho i sam dziwi się, jak to niegrzeczne odezwanie się, źle brzmi wśród ścian tego miękkiego gniazda.

Lecz Malewicz mówi dalej. Od czasu do czasu rzuca słowo francuskie, widocznym jest jednak, iż stara się mówić przeważnie po polsku. I pyta, z kąd ta nienawiść szalona, jaką żywią dzisiejsi zwłaszcza belletryści do wyższego świata, który przecież może dla nich więcej uczynić, niż cała szara większość pseudointeligencji?

— Gdybyście nas znali!... gdybyście nas przynajmniej znali!... — woła, wzruszając ironicznie ramionami.

— Jednakże... — protestuje Radolt.

— Co? — przerywa Malewicz — jednakże? Zna" cie nas? jak? gdzie? kiedy?... Widzicie nas zdaleka i tworzycie sobie najfałszywsze o nas pojęcie. Widząc mnie, naprzykład, dlatego, że mam mo rtimery

Malewicz odstał od niego kilka kroków i głos podniósł, wymawiając dobitnie każde słowo:

— Czy i wtedy jeszcze mówiłbyś pan, że Malewicz jest próżniak i skupuje gotowe nowelki do umieszczania pod swoim nazwiskiem?

Radolt, w ekstazie wyzwalającego się z więzów ptaka, odparł:

— O, panie hrabio!... ja byłbym ci wdzięczny

całe życie!..

Malewicz w ręce klasnął.

I nagle z fałd gobelinów wystąpili czterej mężczyźni: Pozbitowski, Charłupko, Bodocki i młody Orzecki. Stanęli milcząc w czterech rogach salonu.

Przez purpurowe zasłony okien światło koralowe opływało twarz trupią Radolta, który, nie rozumiejąc jeszcze o co idzie, mimowoli, niezgrabnie kłaniał się tym ludziom.

— Biorę panów za świadków... — wyrzekł wolno i dobitnie Malewicz — iż ten pan miał ochotę uczynić ze mnie ofiarę szantażu!

Gkły Radolt skończył, oboje Wielohradzcy śledzili, milcząc, jakby nagle groza zamroziła im na ustach słowa.

Lecz Radolt zaczął znów jęczeć i skarżyć się boleśnie:



wiedeński szyk i jestem czysto umyty, nienawidzicie mnie,.. Pan sam mnie nienawidzisz: przyznaj się pan, prawda? Oparł się o stół, uśmiechnięty blado, kokietujący na zimno, tak, jak to czynił z kobietami w chwili miłosnej ekstazy. Radolt uczeplił się ramion fotela i powtórzył z rozpaczliwym uporem:

— Nie!... Dlaczego miałbym pana nienawidzić? ale... takie jest moje przekonanie...

— A moje przekonanie jest, że pan jesteś nieszczęśliwy i wyjątkowo zdolny człowiek. Zawsze mnie pan interesowałeś... Nawet jeszcze w szkołach troszczyłem się o pana... potem znikłeś mi pan z oczu; dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, że dać się zmarnować panu, to rzecz zła i karygodna...

Radolt otworzył szeroko oczy. Któs nim się zajmował? troszczył się o niego? uznawał go za człowieka talentu?... Jasność zalała mu mózg, a gorąco rozsadzało pierś. Powstał z krzesła.

— Gdybym się też panem zajął, dźwignął pana, wysłał za granicę? ha? co? — pytał dobrodusznie Malewicz — cobyś pan ua to powiedział?...

Po czole Radolta płynął pot. Cała jego moralna istota w tej jednej chwili przebiegła Kalwaryę przeżytych nędz i agonii. Opierając się o stół, wybelkotał:

— O... panie hrabio...

G. Zapolska. — Wodzirej. Tom II.

— Boże mój!.. — płakał — jutro ta cała historia rozejdzie się po Lwowie... Jestem zgubiony... Wszystkie pozory są przeciw mnie... A! a! jak oni to zręcznie urządzili., jak oni mnie podeszli... o!., jak ja cierpię!...

Tarzał głowę po krawędzi stołu smutnym ruchem rozpaczającego chłopca. Nareszcie oba łokcie położył na stole i lamentował głośno, zawodził, jakby nad nim, nie miastowy sufit, ale strzecha chałupy krzyk j ego żaloszny tłumila.

— A tom dobrze wyszedł... wdałem się z panami, i oto co ze mnie zrobili!.. A dobrze mi tak!.. Po co między nich lażłem!.. Po co się dałem złapać na ich piękne słówka!.. Przyjacieli!., interesował się mną!.. Och!., co oni zamiast serc mają... pustkę?., co oni zamiast serc mają?

I nagle porwał się z miejsca Tadeusz i zaczął szybko biegać po pokoju. Ogarnęło go szalone wzruszenie. Lecz nie pochodziło ono jedynie z żalu nad Radoltem, lecz i z tej budzącej się w nim, a na pozór uszpionej rozpaczy, jaką przeszedł sam niedawno z powodu zdrady Muszki. Jęk Radolta odbijał się w jego piersi zdwojonym echem. Zdawało mu się, że to on sam wyrzuca z głębi siebie te słowa.

— Po co pomiędzy nich lażłem? oto, co ze mną zrobili! dlaczego im zaufałem?

Ten drugi, bład, podobny do widma, skąpanego w mgle łoż, to było tylko odłączenie się cząstki jego

własnego bólu i skryszalizowanie się w pewną formę. Z szaloną egzaltacją wybuchnęły w nim wszystkie zasklepione rany i bóle. Nie mógł dłużej wytrwać w milczeniu. Zapragnął sa?n się zalić, nie przez usta Radolta. Zgrzytając zębami, na zapytanie: co mają zamiast serca? — rzucił głosem, w którym szemrało cale morze goryczy:

— Co? zamiast serca?.. Końską podkowę! bożka

elegancyi! psa do polowania na dziki!., que saisjel...

Wielohradzka pragnęła uspokoić go giestem

i słowy.

— Ależ, Tadius! ..

Lecz on przerwał jej szybko:

— Nie! nie!., sama matuś widzi, co z nas ten piękny mamin świat zrobił!...

Nie płakał wszakże, tylko trząsł się cały, a oczy mu nagle pociemniały i zdawały się cofać w głąb głowy. Szerokim giestem ukazał na Radolta i uderzył się w piersi.

— O!., niech mamcia patrzy!., tak wygląda każdy, co się do nich zbliży! To są dzieła tych panów i pań!.. Uciekać! uciekać od nich na kraj świata... jak od morowej zarazy!..

Wielohradzka powstała z miejsca, oczy miała łez pełne.

— Mój Tadius! proszę cię!., błagam!., uspokój się!...

on biegał wciąż po pokoju z głową podaną naprzód, roztrącając meble, uderzając się o kanty krzesel.

— Nie!., nie!., nie moze być spokojny... ja nigdy już spokojny nie będę... Zanadto przecierpiałem, ażebym mógł odzyskać spokój... a! nędznicy!

Teraz jego głos tłumiał łkanie Radolta.

Egoizm jego brał górę nawet w chwili bólu i przytłaczał sobą wszystkie inne cierpienia.

Nagły łoskot powrócił go do równowagi.

Radolt, wyczerpany, osunął się zemdlony na ziemię.

Noc.

W pokój u Tadeusza pali się wstawiona w miskę z wodą świeca.

Na łóżku leży Radolt rozebrany, okryty kołdrą, mającący i skarżący się ciągle niewyraźnemi słowy.

Wielohradzka ostrożnie, delikatnie, przytrzymując jedną ręką szumiące fale jedwabnych podszewek, drugą zmienia u głowie literata leżący kompres.

Poczem szybko, cicho oddała się, przymykając lekko drzwi.

W pierwszym pokoju pali się lampa i koło zasłanej prześcieradłami sofy kręci się ubrany jeszcze

Tadeusz. Na pozór spokojny, ma jednak w zaciśnięciu warg\* nerwowy rozstrój i ból stłumiony.

Wielohradzka podchodzi do sofy i układa poduszki.

— Będziesz źle spał!.. — szepce, zwracając się w stronę syna.

Tadeusz macha ręką.

— Co tam!.. — odpowiada — gdybym był spokojny moralnie, przespałbym się doskonale na podłodze... Ale tak!

Wielohradzka siada na fotelu i przyciąga do siebie syna, patrzy w jego twarz ze smutkiem i niepokojem.

— Dlaczego ty ciągle myślisz o tem? — pyta. — To już minęło, stało się. Karta odwrócona, krzyż położony! Taka widać była wola Boska.

— Mama posiada chwalebna rezygnacyę; ja jej nie mam.

— Moje dziecko! rezygnacya toć wynik konieczności. Co ci pomoże szarpać się i rzucać pioruny na... tych ludzi? Przedewszystkiem, ubliżając im, ubliżasz samemu sobie, ponieważ bądź co bądź... rodem do nich należysz. Ten biedny chłopak złorzeczy na... dwór, taka to już kolej i konieczność — ale ty, Tadeu? prawdziwie nie rozumiem chwilami, jak możesz tak zapominać o własnem swem pochodzeniu? o własnej swej godności!..

Prostowała się, odzyskiwała znów caładystynkcyę wielkiej damy. lecz Tadeusz smutnym gościem przeciął jej dalsze słowa.

— E! proszę mamy... — wyrzekł, siadając na brzegu sofy — to są wszystkie piękne słowa... a rezultaty są inne i ciężkie do przebycia. Ja wiem jedno: mam dosyć bywania w wielkim świecie i pragnę odsunąć się jeszcze więcej.

— Dlaczego wszystkich tych ludzi podciągasz pod jedno miano? Pomiędzy nimi są ludzie wielkiej zacności i nadzwyczajnych zalet...

— Być może! ja jednak poznawać ich nie pragnę. Dosyć mi tego, co przeszedłem i...

Ujął rękę matki i dokończył:

— I co mamcia przeszła...

Oczy Wielohradzkiej zaszkliły się łzami. Po raz pierwszy Tadeusz, zamiast czynienia jej gorzkich wymówek, wspomniało jej cierpieniu. Próbowała jednak protestować.

— O... ja... — wyrzekła — ja w tej sprawie się nie liczę. To ty, moje biedne dziecko, ty przeszedłeś wiele...

Tadeusz, po dawnemu, osunął głowę na kolana matki.

— Tak... matucho!.. oboje przeszliśmy smutne chwile. Ale niechże się to nie powtórzy... Odsunę się jeszcze więcej od nich... skończyły się prowadzenia kotylionów i wodzirejostwo! Niech im tam aranżuje

tance kto chce.. Ja mam dosyć... woję siedzieć w domu.

Wielohradzka westchnęła. Serdeczna radość ogarnęła ją. gdy czuła znów głowę syna pokorną i łagodną, tulącą się do niej z ufnością, lecz troska o „karyerę” dławiła ją ciągle jak zmora.

— Czy to nam źle tak razem.. — szeptał Tadeusz — będę mamci czytał w zimowe wieczory gazety, książki... Teczka nam zrobi herbaty.., Panie będziecie szyły... Nie, daję słowo, takie ciche życie może mieć wiele uroku: zobaczy mama! Wielohradzka smutnym wzrokiem spojrzała dokoła.

Ten biedny i czysty pokój wydawał się jej w tej chwili grobem, w którym Tadeusz dobrowolnie chciał się zagrzebać.

— I wie mama... — ciągnął dalej Tadeusz — ja, im więcej się zastanawiam, tem więcej dochodzę do przekonania, że Teczka byłaby dla mnie doskonałą żoną, a dla mamy wyborną synową.

Ujął rękę matki i podłożył sobie pod głowę.

— Niech się mamcia nie gniewa... nie unosi... nie sprzeciwia. Ile razy mamcia mówiła, że kobieta powinna być cichą, łagodną, skromną! To są wyrazy mamy. Czy Teczka nie jest właśnie taką cichą, łagodną kobietą?..

— Tak! ale czy ta partya dla ciebie? Tadeusz uśmiechnął się z ironią.

— Mamciu!., najlepiej o „partyach” nie wspominać. Nie udają się nam owe „partye”; wiemy coś o tem...  
I nagle wpadł w rozdrażnienie, porwał się od kolan matki i, siedząc na ziemi, zaczął się bić rękoma po głowie.  
— Czego mamcia mi przypomina te brudy? czego?., Wielohradzka przerażona pochwyciła go za rękę.  
— Tadzio!., co robisz? głowa cię rozboli!.. ja ci nic nie przypominam... Więc myślisz, że Tecią.,  
Aby go uspokoić, chwyciła się imienia Teci; lecz Tadeusz, wciąż rozdrażniony, mówił teraz szybko, urywanemi zdaniami, połykając słowa:  
— Partya... to była partya... ta kokietka, ta bourgetowska panna... ze swym posagiem i z psiarnią... Partya!., która wpędziła ich w długi.  
I nagle zwrócił się ku matce.  
— Ileż mamcia ma długów?  
Nie mówił: ile „my” mamy długów, lecz: ileż mamcia, tak już przywykł wszystkie ciężary materialne spędzać na plecy matki.  
— Co ci do tego! — Westchnęła Wielohradzka. Lecz on uparcie nalegał, drapiąc nerwowo podłogę paznokciami.  
— Nie! nie!., muszę wiedzieć! chcę wiedzieć, ile też mamcię ta stosowna dla mnie partya kosztowała...  
— Och!., proszę cię, nie mówmy o tem...  
— Owszem, mówmy. To przecież jeszcze jedno dobrodziejstwo ze strony tych... państwa...

I wśród tej nocnej ciszy z ust Wielohradzki ej zaczęły padać drobne cyfry, nic nie znaczące wobec milionów poruszanych przez ręce ludzkości, lecz dzwoniące uparcie w ciasnej klatce skromnego mieszkania. Tyle Zimmermanowi... tyle... za każdą cyfrą twarz Wielohradziej przeciągała się, rysy ostrzały w świetle lampy. Tak! tak!., tyle pieniędzy!., piętnasty procent i wypłata na raty...  
Tadeusz słuchał, lecz cyfry te nie przerażały go. Kilkaset guldenów!... Pokręcił głowę. Słyszał często Pozbitowskiego, Malewicza wyliczających cyfry swych długów. Była to inna litania, z tysiącami. Lekko więc porwał się z ziemi i, ukląkłszy znów przy kolanach matki, śmiać się zaczął.  
— E!.. nie takie to znów miliardy!.. — mówił prawie wesoło. — Całą zimę siedzieć będę w domu i wezmę się do przepisywania ról, skoro egzemplarzy teatralnych przepisywać nie mogę. Mamcia mi to wyszpera, tylko ostrożnie... Zobaczysz mamus, Tadzio też dopomoże do spłacenia długów, ożeni się z Tecią i będzie z wodzireja — ojcem rodziny!  
Wielohradzka uśmiechnęła się blado i, pragnąc do reszty wprowadzić syna w dobry humor, odparła;  
— Ha!... to widzę iż trzeba mi rozmówić się z Pikniewiczową. Niech oddadzą pieścioneł panu Jan czewskiemu...  
Lecz teraz Tadzio porwał się, jakby spazmom ukropem:

— Nie!., nie!., niech mamcia jeszcze oficjalnie nie występuje... Mamy czas...  
Wielohradzka, uszczęśliwiona z tego braku stanowczości, przyświadczyła:  
— Tak!., tak!., mamy dosyć czasu... Staraj się dobrze wybadać swe serce... Teczka także...  
Tadeusz całował kolejno palce Wielohradzkiej z dziecinną, ładną pieśczożą.  
— O jedno mamcię proszę... niech tylko mamcia nigdy nie nalega ua mnie, ażebym powrócił pomidz „tych ludzi" i kotyliony i prowadził. Nie mam ochoty wpaść kiedy w taką zasadzkę, w jaką wpał ten biedny Radolt...  
— Och!.. — zaprotestowała Wielohradzka — tobie nigdy coś podobnego wydarzyć się nie może.  
Wielohradzki głową kiwał.  
— Kto to wie... z nimi nic można być bezpiecznym i spokojnym.  
Przez pokój, jak niewidzialny nietoperz, przesunął się cichy jęk Radolta.  
Wielohradzka przytuliła do siebie syna, jakby chroniąc go od powiewu tej skargi.  
— To... on z chłopów? — spytała szeptem.  
— Tak!...  
— To nic dziwnego, że tak iiiiwytrzymały na moralne cierpienie. Fizyczne zniesie łatwiej... widziałam to nieraz na wsi...  
I znów przez pokój przebiegł jęk, jakby zawo

dzenic baby nad zgłodniałą na przednówku „gadziną".  
Nazajutrz rano Tadeusz wszedł do biura ze stałem postanowieniem poróżnienia się z Malewiczem.  
Radolt leżał bezprzytomny, i wezwany doktor zapisał długą litaniją lekarstw i okłady z lodu na wierzch głowy.  
Tadeusz spał źle, sofa miała zepsute sprężyny, rano—nie mógł umyć się w swym pokoju, przytem musiał biedz po doktora, do apteki. Wszystko to wprawiło go w jaknajgorsze usposobienie. Pragnął więc na Malewiczu pomścić, nie jego postępek z Radoltem, ale swoje niewyspanie i utrudzenie.  
Usiadł przed biurkiem z hałasem i natychmiast kopnął nogą kosz pełen papierów, który się znajdował obok krzesła.  
Malewicz siedział już przy swem biurku i podniósł głowę z nad książki, którą czytał. Zobaczywszy Tadeusza, głośno i wesoło zawołał:  
— Jak się masz!., dobrze, żeś przyszedł. Wielohradzki mimowoli skinął głową i zaciął usta.  
Malewicz powstał z miejsca i szybko ku niemu podszedł.  
— Wiesz, co się stało? — zapytał — ten infamis Radolt chciał urządzić szantaż... Należy, ażebyś

wiedział, jak się rzecz miała, gdyż przed tobą właśnie ten pan ośmielił się oskarżać mnie o kradzież literacką... Zbliżył się zupełnie do Tadeusza, wytworny, grzeczny, uprzejmy, błyskający bielą ślicznych zębów — pan w każdym calu — starający się podbić swym wdziękiem i zjednać sobie teraz jaknajwiększą ilość przyjaciół. Chodziło mu bardzo o Tadeusza. Znał jego wadę plotkarską, wiedział, że Wielohradzki może być najlepszym kolporterem tej całej sprawy. Zwłaszcza pomiędzy ludźmi, z którymi żył Radolt, Tadeusz mógł opowiedzieć historię szantażu tak, jak ją chciał mieć opowiedzianą Malewicz, a hrabiczautor pragnął zjednać sobie zarówno plebs jak i całą wyższą sferę towarzystwa lwowskiego. Powoli nabierał coraz więcej autorskiej pretensyi i chciał, aby rehabilitacya była głośna i szybka. Sprytem swym odgadł wewnętrzne usposobienie Tadeusza. Pochylił się ku niemu i ujął go delikatnie pod ramię.

— Chodź! — wyrzekł uprzejmie — opowiem ci tę całą scenę...

Wielohradzki, ociągając się, powstał. Nie chciał być nadto brutalnym. Czuł rękę Malewicza przyjacielsko obejmującą jego ramię. Ręka ta była niezmiernie giętka, ale silna jak stal.

Zaczęli obaj chodzić po brzegach dywanika, przycinającego szarą linie posadzkę pokoju.

Malewicz półgłosem opowiadał scenę, którą miał z Radoltem. Eskamotował zręcznie niektóre szczegóły. Powtarzał ciągle: entre nous i powiększał swą serdeczność względem Tadeusza.

Ten ostatni, z początku nadęty i kwaśny, powoli stawał się niezdecydowanym i miękł w tej niepe wności, jaka go ogarniać zaczynała.

Zapewne—nauka, jaką Radolt odebrał, była ciężka, lecz czy nie zasłużył na nią, rozgłaszając ową potwarz, tak ubliżającą Malewiczowi? Posądzić autora o podpisanie się pod cudzem dziełem było to samo, co uczynić go złodziejem. Malewicz z bocznej kieszeni zakietu wydobyl manuskrypt nowelli, brulion pokreślony i mozolnie widocznie pisany. Podsuwał go pod oczy Tadeuszowi. Wielohradzki przyznał, iż było to pismo Malewicza. I natychmiast hrabia pochwycił go tryumfalnie za rękę, wołając:

— Tu vois!% . tu vois!..

Tadeusz zaczął protestować. Wszakże on nigdy nie wątpił w prawdziwość słów Malewicza. Wiedział dobrze, iż nowellę pisał hrabia, a nie Podgórski. I na zapytanie Malewicza, czy widział Radolta, odparł wymijająco:

— Tak... krótką chwilę...

Malewicz nie puszczał ręki Wielohradzkiego.

— Przypuszczam... — wyrzekł — iż teraz chyba przestaniesz znać się z tyra człowiekiem. Żaden

z nas mu ręki nie poda... Nie sędzę, ażebyś chciał się wyróżnić.

Tadeusz dwuznacznie wzruszył ramionami, lecz Malewicz nalegał gorąco.

— Teraz powinniśmy trzymać się wszyscy razem i nie dać temu proletaryatowi literackiemu zjeść nas swemi potwarzami i szantażami. N'estce pash..

Tadeusz, patrząc w ziemię, odparł:

— Certainement!

Malewicz uściśnął go kilkakrotnie za rękę i tryumfująco zabrał swój brulion, który rozłożył na sofie.

— Pójdę teraz do Kafthana... pokażę mu manuskrypt i opowiem rzecz całą.

Wyszedł.

Tadeusz powrócił do biurka zły i osowiały. Rad był, że uikt go nie widział spacerującego pod rękę z Malewiczem.

Przypomniał sobie nocną rozmowę z matką, postanowienie unikania tych ludzi. W głębi jego duszy tkwiło jeszcze przekonanie, że Malewicz postąpił źle, lecz już z drugiej strony Radolt powoli tracił swą rolę ofiary. Malewicz miał rację mścić się za rozsiewanie nieuzasadnionej potwarzy. Zdrowy, tryumfujący, czysto ubrany i grzeczny hrabia przeważał szalę sympatyj na swą stronę.

Impulsywność bowiem Wielohradzkiego oparta była jedynie na materialnych wrażeniach. Zmysły rozstrzygały o jego sympatyjach i antypatyjach.

Słuch, wzrok, węch... Estetyka jego była banalną estetyką Lemkego. To i to było piękne, tamto zaś— brzydkie. Nie widział nigdy tragicznego piękna w szpetocie. Wymuskanie linii i gładkość płaszczyzny podobała mu się przede wszystkim. Chromolitografie miały dla niego wdzięk nadzwyczajny. Stanąwszy przed płótnami Van Gogha, odwróciłby się od nich ze wstrętem. Radolta jęk i twarz upiora, pobladłego od wewnętrznej walki z marą porządku społecznego, wydawała mu się brzydką w porównaniu z prześliczną cera Malewicza. Nieporządek i nieład, jaki obecność Radolta sprawiła w jego pokoju, dopełniały wrażenia.

Wróciwszy do domu, zastał matkę i Tecię przerażone nowym atakiem spazmatycznego płaczu, z jakim przebudził się Radolt z półsnu, w którym był pogrążony. Doktor miał powrócić nad wieczorem. Trzeba było iść znów do apteki. Słowem, nie mówiono o nikim i niczem, tylko o Radolcie. Tadeusz uczuł się usuniętym na plan drugi. Ogarnęła go zazdrość, którą chciał jednak pokonać. Z kwaśną miną wszedł do swego pokoju i zbliżył się do chorego. Radolt nie spał. Odziany w nocną koszulę Tadeusza, przystrojoną małoruskim haftem, na białym tle poszewki robił wrażenie trupa.

— Wyciągnął rękę, którą Tadeusz uściśnął.

— Byłeś na mieście? — zapytał chrapliwym głosem — cóż mówią?...

Tadeusz ramionami wzruszył.

— Nic nie mówią! — odparł wymijająco.

— Widziałeś tego... człowieka?

— Kogo?

— Pana hrabiego.

— Nie... nie widziałem...

— A!... nie przyszedł do biura? Nie.

Radolt uniósł się na łóżku i oczy szeroko otworzył!

— Dlaczego?... czy nie może strawić swego tryumfu? czy wstydzi się tego, co uczynił?

Głowa mu opadła na poduszki.

— Ja na jego miejscu wstydziłbym się bardzo... — dokończył gasnącym głosem.

Tadeusz kręcił się koło półeczek i przekładał książki. Postanowił milczeć i nie przyznawać racji ani jednej, ani drugiej stronie. Neutralność wydawała mu się najwygodniejszą do zajęcia pozycją. Zaduch, panujący w pokoju, dławił go. Wziął z toaletki wodę kolońską i nacierał sobie skronie. Poczem buteleczkę schował w kieszeń kurtki. Teraz szukał pod łóżkiem pantofli.

..... Pozwolisz, że się przebiorę? — zapytał z kurtuazyą wielkiego pana.

Radolt śledził jego ruchy smutnymi oczyma.

— Czy nie jesteś u siebie? — zapytał wreszcie półgłosem,

G. Zapolska.—Wodzirej. Tom II

Milczeli obaj, czując, że uici sztucznej sympatii jaką okoliczności związały pomiędzy nimi, rwać się zaczynały kolejno. — Przeze drzwi wsunęła się głowa Wielohradzkiej.

— Nie śpi pan? — zapytała stara kobieta — dam panu filiżankę bulionu.

Radolt porwał się i chciał protestować.

— Cyt!.. — przerwała mu Wielohradzka — kto to widział starszych nie słuchać! Wypije pan Franciszek bulion, zje kawałek kury... Siły powrócą, a z niemi ochota do życia...

Zniknęła we drzwiach, i za chwilę słychać było szcęk porcelany i szkła w ciemnej głębi kuchenki. Z oczu Radolta zaczęły płynąć dwie strugi łez.

— Twoja matka... to święta... — wyrzekł, ocierając oczy po chłopsku, rękawem koszuli.

Tadeusz milczał. Nawet ta pochwała matki podnieciła jego zazdrość. Do tej chwili żył wyłącznie sam w myślach i czynach swej matki. Teraz ten drugi zabiera mu część macierzyńskiej opieki.

Korzystając z wejścia matki, która wniosła bulion na tacy cynowej, pokrytój serwetą. Tadeusz wyszedł do pierwszego pokoju.

Zastał w nim Tecię, przesypującą liście pomarańczowe z jednej torebki w drugą.

— Co Tecia robi? — zapytał z pewną suchością w głosie.

— Oczyszczam liście pomarańczowe... w aptece tak niedbale je utrzymują...

— A!., czy to dla mnie ta troskliwość ze strony Teci?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

— Coż znowu! przecież pan, dzięki Bogu, zdrów i nie potrzebuje uspokajać swoich nerwów. To dla tego biedaka...

Żeby pan wiedział, jak on dziś rano płakał, to się serce krajało...

Tadeuszowi zaczęły się trząść ze złości wargi.



— Ja także nieraz płakałem... — wyrzekł z goryczą — a pannie Teci nawet na myśl nie przyszło gotować mi ziółka na uspokojenie nerwów...

Tecia spojrzała na niego zdziwiona.

— Ile razy pan był smutny, tyle razy i ja byłam bardzo smutna... — odparła z prostotą — nie mogłam pana pocieszać, bo... wtedy... pan mnie od siebie odsunął... Nie śmiałam... Ale przecież, skoro pan tylko się do mnie zwrócił, ja zaraz przyszedłam...

— Ta! ta! ta!.. — zaśmiał się ironicznie Tadeusz —wszystkie kobiety jesteście te same! Nowe sitko na kołku!.. C'est du propre!.. Winszuję gustu!..

Zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami. Trzymał ręce w kieszeniach kurtki i zaciskał tak pięści, że aż paznogie mu w dłoń weszły.

— Z tem wszystkim widzę... — zaczął znowu— widzę, iż jestem tu zbyt czyny. Obie panie nie macie czasu zająć się mną i dać mi chociażby szklanek her

baty!., Uciekam!.. Tecia powie mamie, że idę do cukierni na herbatę... Panie tymczasem uspokójcie nerwy tego pana... Na swą domową kurtkę wsunął palto letnie i porwał kapelusz.

— Żegnam panią! — wyrzekł z ceremonialnym ukłonem adieu!..

Wyszedł, stawiając nogi jak indyk, nadęty i napuszony.

W tej samej chwili Wielohradzka wyszła z pokoju Radolta, niosąc próżny talerz i kawałki bułki.

— Co to? Tazio wychodzi?

— Tak, proszę pani! — odparła półgłosem Tecia. — Pan Tadeusz powiedział, że idzie do cukierni na herbatę..

— Dlaczego?..

— Ja nie wiem, proszę pani!.. Wielohradzka spojrzała podejrzliwie na młodą dziewczynę.

Przypuszczała, iż pomiędzy Tadeuszem i Tecią zaszła jakaś scena miłosna. Daleką bowiem była od przypuszczenia, iż Tadeusz dławiał się w tej chwili śmieszem i dziecinnemi uczuciami zazdrości.

Tadeusz pierwszy podsunął Radoltowi myśl wyjazdu na wieś.

— Dobrze zrobisz, wyjeżdżając ze Lwowa,, o! na czas jakiś! — wyrzekł, zatrzymując się przed fotelem, na którym siedział teraz Radolt owinięty w pled, drżący i zziębły, pomimo szafiru i złota panującego w przestrzeni.

Radolt potrząsnął głową.

— Nie mogę... nie mam pieniędzy... Zresztą jutro mam już zamiar wyjść. Pójdę do redakeyi... nie wiem, kto mnie tam w korekcie zastąpił... muszę powrócić na dawne stanowisko.

Tadeusz spotkał rano Dolińskiego, który uwiadomił go o postanowieniu redaktora: odprawienia Radolta, jeżeli zjawi się w redakeyi, i odebrania mu miejsca korektora.

— Uważasz pan!...—mówił satyryk—tak się Radolcisko zabrało tym szantażem, że redaktor o nim słyszeć nie chce.

Ja go tam broniłem, bo to dyabli wiedzą, jak było. Taże z takimi kibicami, jak te hrabiowie, co to mądre szelmy za ręce

się trzymają, niewiadomo nigdy, co to jest prawda, a co nie. Chciałem nawet satyrę napisać o tej historii, ale mi ją mój redaktor też obciął i nie pozwolił...

I kiwając głową dokończył;

— Według mnie Radolcisko przepadł... i nie ma co ludziom się na oczy pokazywać!

Toż samo myślał i Tadeusz. W głębi duszy lękał się jeszcze, aby Radolt nie doszedł prawdy i nie

dowiedział się, że to on właśnie był przyczyną tej sprawy. Kilkakrotnie bowiem Radolt wyrzekł:

— Gdybym choć wiedział, kto mu moje słowa powtórzył...

— Cóżbyś mu zrobił? — zapytał Tadeusz, nadrabiając fantazją.

— Uszybym mu obciął..

Radolt bowiem pragnął teraz koniecznie jakiejs zemsty, jakiegoś głośnego czynu odwagi, który mógłby go odrazu zrehabilitować i sympatyę ludzką zwrócić w jego stronę. Marzył o spoliczkowaniu Malewicza w teatrze lub na ulicy. Czuł jednak, iż na to nie stanie mu odwagi. Dręczył się więc, bił z własnymi myślami, w jednej chwili przeżywał tysiące chwil własnego życia.

Tadeusz, znudzony, zmęczony, wstał i, wyszedłszy do drugiego pokoju, do matki się zbliżył.

— Niech mamcia mu radzi, aby na wieś do rodziców sobie pojechał... — wyszeptał, pochylając się nad siedzącą przy oknie Wielohradzka.

Stara kobieta złożyki trzymaną w ręku robotę.

— Co też ty mówisz!... — wyrzekła półgłosem. — On nie ma siły, nie zniesie podróży... niech się biedak jeszcze trochę wzmocni...

Tadeusz brwi zmarszczył.

— Owszem... Radolt jest dość silny, a świeże powietrze zrobi mu dużo dobrego... Ja mamcię pro

szę, niech mameczka go dłużej nie zatrzymuje u was. Ludzie nareszcie się domyśla i... jeszcze gotowi pomyśleć... że... byliśmy z Radoltem w znowie. Wielohradzka powstała przerażona:

— Co też ty mówisz, Tadziu!., co też ty mówisz?!..

— Och!.. — odparł niedbale Tadeusz. Mameczka nie zna ludzi i nie wie. do czego oni są zdolni: pojmuje mamcia, jak taka rzecz może mi zaszkodzić i zepsuć karierę!..

Rzucił ten ostatni wyraz prawie tryumfująco, wiedząc, iż matka nie zdoła się oprzeć podobnemu argumentowi.

I w gruncie rzeczy wierzył w to, co mówił. Owo zniknięcie Radolta dziwiło wszystkich. Lwów wrzał od plotek i przypuszczeń. Jedni sądzili, iż Radolt utopił się ze wstydu, inni przypuszczali, iż go zaaresztowano. Cała spleśniała bezsenność małego miasteczka objawiła się teraz w błyszczącej zuchwałości.

I tylko Malewicz tryumfował teraz w apoteozie swego zwycięstwa, pokazując się wszędzie, na spacerach, w teatrze.

Mieszczaństwo śledziło z zaciekawieniem wyraz jego twarzy. Pokazywano go sobie, szepcząc „to ten.” I wielka jego uroda, szyk, nieposzlakowany krój odzieży, ładne maniery, a zwłaszcza imponująca pewność siebie, pociągały tłum.

tak, jak pociągnęły Tadeusza. Gdy pewnego wieczora w dzienniku ukazała się znów nowelka jego pióra pod tytułem „Sonata księżycy”, przyjęto ją z sym

patycznym uznaniem. Stanowczo, Radolt był pobity i pogrzebany. Nikt go nie bronił, bo nawet jego knajpowi przyjaciele zamilkli. I zaczęto sądzić jego postępek coraz surowiej, coraz ostrzej. Owo zniknięcie było najlepszym dowodem jego winy. Nikt nie stał teraz po stronie człowieka, który chodził po ziemi bez skarpetek, kryjąc swe bosc nogi w podarte obuwie.

## VI.

Wszystkie piękne postanowienia Tadeusza rozwiały się w puch.

Nie biega wprawdzie z wieczoru na wieczór, zrzekł się zupełnie stanowiska wodzireja, lecz nic czyta owych gazet wieczorami, przy lampie, tak, jak to matce obiecywał.

Z nadejściem zimy ogarnia go anemia, a z nią silne bóle newralgiczne całej lewej połowy twarzy. Bierze ciągle antypirynę, która pogrąża go w lekki stan ekstazy. Pomimo starań matki nie chce odżywiać się należycie, grymasząc ciągle, jak panna na wydaniu. Je tylko pieczone jabłka i sery rozmaite. Godzinami całymi leży nieruchomy na łóżku, wpatrując się w sufit. Jakaś głucha uraza i chęć ujawniania owej urazy nurtuje go bezustannie. W biurze zamyka oczy i pochyla się na sofę, znudzony i rozmarzony gorącem, jakie w całym gmachu panuje. Jak przez sen słyszy szmer głosów Pozbitów

skiego, Malewicza, Bodockiego, opowiadających o nowej śpiewaczce operetkowej, którą sprowadzono z Warszawy. Słowa ich dobiegają uszu jego, jakby z po za jedwabnej zasłony. Gdy później przywlecze się do domu i; zjadłszy obiad, ułoży się ubrany na łóżku, głosy kolegów biurowych brzęczą delikatnie dokoła jego twarzy. Przestał zajmować się Tecią i tylko czasem, gdy matki niema w domu, przyciąga ku sobie sflonioną dziewczynę i przysuwa swą twarz do

jej twarzy. Siedzi tak długo, nieruchomy, zapatrzony w przestrzeń, a Teczka błędnie i czerwienieje, nie mogąc sobie wytłumaczyć tej przemiany.

Wielohradzka kilkakrotnie prosiła go o udanie się do lekarza, lecz on kiwał ręką niedbale, mówiąc:

— Po co?

I z uporem histerycznej kobiety akcentuje wszystkie objawy swej anemii i neuralgii, tak, jakby widok chorego Radolta podziałał nań i poddał mu chęć naśladowstwa.

Z początku było tak rzeczywiście, lecz powoli zniechęcenie i spleen ogarnął go w szalony sposób. To ciche życie, które zdawało mu się możliwym, a nawet pożądanym, obecnie dławiło go i męczyło fatalnie. Nie miał jednak siły ani chęci powrócić do dawnego chaosu. Gdy przypomniał sobie gwar, bała\* i światło salonów, mimowoli cofał się i mrużył oczy. I tak, niepewny, wahający się, zmęczony i niechętny

wlókł się teraz przez życie, nie mając ochoty nawet jeść dla podtrzymania egzystencji.

— To nie życie... to wegetacja — mówił sam do siebie, wzruszając ramionami.

Tymczasem Wielohradzka z bohaterstwem walczyła z powodzią długów. Spłacała raty z najwyższym wysiłkiem, lecz zaległa za komorne i w sklepie, w którym brała podszewki i tak zwane „dodatki”, dług jej rósł z przerażającą szybkością. Teczka pracowała dniami i nocami, dźwigając prawie na własnych barkach cały ciężar roboty. Obie kobiety schudły, zbladły, nie dosypiając nocami, wstając równo ze świtem. I w tym zbliżeniu się w pracy, zbliżały się powoli ich serca i dusze. Dopomagając sobie wzajemnie, walcząc ze zmorą snu przy świetle lampy, zanurzały się bezwiednie w atmosferę wzajemnego przywiązania i ufności. Teczka oddawna czuła się już niewolniczą serdeczną matką Tadeusza; lecz, nieśmiała i cicha; lękała się objawów swego przywiązania. Zaprzedała się tylko w niewolę pracy i wynikami jej chciała dowieść tego, co w głębi serca czuła. Wielohradzka zaś, od chwili pobytu Radolty, poznawszy brak egoizmu i serdeczność nędzarza, mimowoli część tej sympatii, jaką w niej obudził korektor, przeniosła na Teczka. Znalazła w niej bowiem te samą wygórowaną wrażliwość, dobroć i wdzięczność. Wśród walk materialnych, trosk powszednich, jakie przechodziła, zapragnęła

teraz jakiej stałej, pocziwej, dziecięcej miłości, której od Tadeusza spodziewać się nie mogła. I patrząc na tę głowę dziewczęcą, schyloną nad robotą z taką energią, z taką siłą, wytrwałością i zaparciem się siebie, Wielohradzka czuła, iż serce jej taje, i że ta dziewczyna, która może nie była „partya” dla jej syna, jest „partya” dla jej zmęczonego i żądnego przywiązania serca.

Całowała teraz Teczka w głowę na dobranoc i zegnała ją tak, jak Tadeusza, mówiąc:

— Spij z Bogiem i dobrze!..

Pokorne pochylenie głowy dziewczyny, jej nieśmiały pocałunek, złożony na ręce, rozrzewniał ją i napępiał pociechą,

— Dobrze... dobre dziecko!... — mówiła patrząc, jak Teczka znikła we drzwiach, słańając się ze znużenia i braku spoczynku.

Mimo to jednak z pewną trwogą oczekiwała z ust syna nowej wzmianki o zamiarze ożenienia się z Teczka. Gdyby tu szło o zaprzeczenie jej własnego życia w wieczną szarotę i niewolę, nie zawahałaby się ani na chwilę; lecz pozwolić

Tadeuszowi zaślubić Tecię zdawało się jej—zamknąć rajskiego ptaka do klatki i nałożyć mu na skrzydła wiekuiście pęta.

Pewnego styczniowego ranka srebrno było i białe od śniegu i mrozu.

Tadeusz siedział przy swym biurku rozmarzony gorącym, które buchało z rozpalonego pieca. Wycia

gnął nogi, wsadził ręce w kieszenie od spodni i znudzonym, szklanym wzrokiem powitał wchodzącego Pozbitowskiego.

Mam do ciebie prośbę — wyrzekł „koniarz”, zbliżając się do Wielohradzki ego.

— O co chodzi? — zapytał Tadeusz, przybierając jeszcze więcej znudzoną postawę.

— Zastąp mnie dzisiaj na inspekcji.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam wielką ochotę być na toniboli w teatrze...

Wielohradzki skrzywił się, ziewnął i, wyciągając ręce w górę, odpowiedział:

— A ja nie mam ochoty nudzić się za ciebie w tej przeklętej budzie...

Pozbitowski wszakże nalegał:

— Och! możesz mi oddać tę przysługę... Zresztą to tylko zamiana. Skoro przyjdzie twoja kolej, ja ciebie zastąpię.

— Nie! nie mogę!

— Ależ... dlaczego? Ty wszakże ua maskaradę nie idziesz?

— Qui sait!

— Cóż znowu! mówiłeś, że jesteś w żałobie.

— Żałoba moja się skończyła. Właśnie wybierałem się dzisiaj na tombolę.

— Słowo?

— Słowo!

Sam nie wiedział, dlaczego się upierał, dlaczego chciał popsuć Pozbitowskiemu zabawę. Powtórzył owo „słowo:?” prawie machinalnie. Gdy się opatrzył, było już zapóźno.

Pozbitowski ku drzwiom zmierzał.

— Pójdę poprosić kogo innego... Tylko pamiętaj, gdybyś na tombolę nie przyszedł, pomyślę, że to un parti pris de la part...

Wyszedł.

Wieczorem Wielohradzki po wypiciu herbaty, zamiast położyć się jak zwykle, zaczął krzątać się po swoim pokoju.

— Mameczko—zapytał—czy mam czystą frakową koszulę?

Wielohradzka, siadająca właśnie do pracy, aż drgnęła z podziwu, słysząc to zapytanie. Tecz również podniosła głowę z najwyższym zdziwieniem.

— I nie jedną, ale sześć czystych znajdziesz w swojej szafceodparła po chwili Wielohradzka— Ale dlaczego mnie o to pytasz? czy idziesz na jaki wieczór?

— Och! — jęczał Tadeusz — gorzej niż na wieczór... muszę iść na tombole!  
— Dlaczego musisz?  
— Dałem słowo.  
— Komu?  
— Och! to cała historia!

I stękając i jęcząc, przerywając sobie co chwila wydobywaniem krawata, rękawiczek, lakierowanych półbucików, zaczął Tadeusz opowiadać swą przygodę z Pozbitowskim.

— W ten sposób muszę iść na tę przeklętą tombole... — zakończy!, ze złością rzucając zdjętymi butami.

Wielohradzka milczała przez chwilę, wreszcie odezwała się niepewnym głosem:

— Może to i dobrze... rozerwiesz się trochę... Za całą odpowiedź Tadeusz roześmiał się ironicznie.

Zresztą już był gotów i wyszedł ze swego pokoju strojny, ładny, elegancki, pachnący. Dawny wodzirej zdawał się powstawać z mogiły. Błady był tylko i jakby niewyspany. Ziewając, zbliżył się do stołu i stanął obok Teci.

— Żeby mamcia wiedziała, jak mi się spać chce...

— To nie idź, dlaczego się masz przymuszać? Gdyby to jeszcze na wieczór do namiestnika albo do jakiej wpływowej osobistości, rozumiem konieczność przymusu... ale nie na tombole...

— Powiedziałem już mateczce, że muszę zrobić prosty acte de presence. Wrócę za godzinę. Dobranoc!  
Ziewnął raz jeszcze, pocałował w rękę matkę i zawahał się chwilę przed Tecią,

— Dobranoc pannie Teci!..—wyrzekł, kłaniając się dziewczynie z galanterią.

— Dobranoc panu! — odparła Teci, szukająca w tej chwili pomiędzy stosem skrawków nożyczek. Oczy jej zdawały się unikać wzroku Tadeusza, usta ułożyły się w podkówkę, ręce wykonywały machinalne, bezmyślne poruszenia.

Wielohradzka także opuściła głowę i nie patrzy na syna.

Zdejmuje ją trwoga, czy Tadzio nie zażąda kilku guldenów, tak jak to zwykł był dawniej czynić, gdy był w „świecie”. Kasa jej wyczerpana nie może znieść podobnego wydatku.

Lecz nadspodziewanie Tadeusz nie prosi o pieniądze. Ziewa, połyka trochę antypiryny, przegląda się w lustrze i nareszcie wychodzi, nowe froufrou w fraku, pozostawiając po sobie smugę odurzającego zapachu doskonałej wody kolońskiej i leciuchną woń terpentyny, którą na lato frak jego zwilżony został.

Idzie wolno przez ulicę, nie śpiesząc się, dobrze owinięty w długi płaszcz z peleryną, który spada masą czarnych fałd niemal do kostek. Szapoklak zsunął cokolwiek z czoła i pomimo zimna czuje co chwila uczucie podskórnych płomieni, przebiegających mu wzdłuż karku, policzków i czoła. Niezwykle ożywienie panuje na ulicach miasteczka. Tombola, na której bilety będą sprzedawać „aktorki”, wyprowadza śpiący tłum z uśpienia. Oprócz aktorek będą

damy z towarzystwa. Siedzą w łóżach, kokietując, plotkując i flirtując ua wszystkie strony. Wejść można łatwo. Bilety tanie. Kostium zlatany z perkalu, szychu i brudnego atłasu. W kontramarkami możliwa zamiana wytartej odzieży na lepszą, to samo i co do kaloszy. W dawnej sali sejmowej, ważkiej kieszce obstawionej staremi dekoracyami, tańce. Wiele uciechy estetycznej i materyalnej. Powoli kulawe szkapy einspannerów wiozą pary krakowiaków o wytluszczonych kierezyach. Tu i owdzie Carmen wysiada, pokazując nogi obleczone w bawełniane różowe pończochy. Gaz na ulicach płonie żółto i chorobliwie. Czasem przemknie karetą z massa filtra na koźle i kominami kapeluszy służby. Po za karetą czepiają się male chłopaki, międzynarodowa armia, odziana w mundur biedy i lekkomyślności, luni, na chodnikach, krzyczą na stangretów:

— Batem go! batem go!...

I nagle pędzi coś jak kula, migocąc czerwonym światelkiem. Jakiś zapóźniony bicyklista sunie na rowerze przez środek ulicy.

Ulicznicy, dojrzawszy go, pędzą za uim, krzycząc sakramentalne lwowskie:

— Wa ryat! waryat!...

Cieniucbne ich głosiki piszczą, forsują nutę. Podniosły ją teraz o oktawę. Te dwa tony przeraźliwe natychmiast znajdują echo. Maski, jadąc w sankach, podejmują ton skwapliwie.

G. Zapolska. — Wodzirej. Tom II.

których płoną świece w kandelabrach. Przy nich aktorki, którym od czasu do czasu widać głowy ciemne lub jasne, pochylone nad tacami lub koszykami pełnemi małych zwitków papieru. Tłum otacza stoliki, pochylając i śmiejąc się, robiąc głośne uwagi. Czasem przemknie arystokratyczna postać „kasy nowca” i zatrzymuje się przy stoliku. Wówczas ciekawość tłumu wzrasta. Płomienie świec kołyszają się gwałtownie. Tłum wymienia głośno cyfrę złożonych pieniędzy i zwykle wrusza ramionami, dziwiąc się skąpstwu „tych panów”. Tłumu tego nawet miliardy Rotszylda nie zadziwią. Jest drwiący, zuchwały, bliagierski. Zwłaszcza maski w kostiumach świecących szychem, tryumfują trywialną werwą bohaterów anonimowych — i całe szare, pomimo barw jaskrawych swych łachmanów, kręcą się zuchwale pod deszczem nut, które umieszczona na galerii orkiestra sypie bezustannie z rykiem trąb i hukiem chińskiego kapelusza. Na samym końcu sceny wznoszą się schody, prowadzące do dawnej sali sejmowej, schody brudne, ciemne, zaśniewane całe i oślizgłe. I po tych schodach, jak kaskada bezbarwna, pomimo tęczy kolorów, przesuwa się bezustannie fala ludzi, idących bezmyślnie z jednej sali do drugiej, oślepionych blaskiem gazu, ubezwłasnowolnionych przez owcze błędzenie bez celu.

Wielohradzki, stojąc ua środku balkonu, patrzył

— Waryat! Waryatf...

Cyklista pędzi jak szalony, wreszcie znika. Śnieg zaczyna padać, i teraz dzieciaki lecą w podskokach, chwytając fruujące płaty w powietrzu — Lody! — wrzeszczy jakiś malec pół bosy, pół nagi, wirujący jak cień nieuchwytny wśród jasnych smug światła, płynących z okien niezamkniętych jeszcze sklepów.

Wielohradzki, jak ślimak w skorupę, zaszywa się w fałdy swego płaszcza. Ciepło mu w nim i dobrze. Radby zatrzymać go w sali, lecz chęć dawnego eleganta przeważa nerwralgię. Zrzuca więc płaszcz w kontramarkarni i wchodzi na balkon pierwszego piętra, trzymając, zwyczajem francuskim, ręce w kieszeniach spodni.

Przed nim, jakby w kotlinie obramowanej ścianami o rozpadlinach łóż i galeryi, kręci się już kilkaset osób, deptąc podłogę brudną, zalaną całą potokami błota i roztopionego śniegu. Wśród czerni paltotów i fraków męskich nikną nędzne kostiumy masek i biaława żółtość obnażonych ramion. Podniesiona kurtyna ujawnia scenę ujętą w czerwone płótna proscenium i paludamentów. Scenę obstawiono dekoracjami jakiegoś starego pałacu dożów o wyblakłych i biednych złoceniach. W środku puf duży, sceniczny, zasmarowany bielidłem rąk aktorskich. Wpufie palmy i draceny, nędzna roślinność, wędniejąca w atmosferze gazu i zaduchu. Na prawo, na lewo, pod złożonemi festonami dekoracyi, stoliki, na

wciąż na dół, nie mogąc w pierwszej chwili wśród tej arlekinady rozróżnić odrębnych sylwetek lub jakichkolwiek linii. Zwłaszcza czarne dna cylindrów i szapoklaków dominowały, głusząc temi drobnymi płaszczyznami wszystkie inne wypukłości i punkty. Lecz powoli zaczynał rozpoznawać przy pierwszym stoliku czarną postać Pozbitowskiego obok, w różową gazę odzianej, drugiej naiwnej teatralnej. Nieco dalej jedna z lwowskich kokotek, ubrana w purpurowy strój Mefistofelesa, odcinała się linią bioder, obciągniętych purpurowemi trykotami. Środkiem sali szło czterech mężczyzn, trzymając się pod ręce. Wszyscy mieli na twarzach peruki a maski na włosach. Fraki mieli włożone odwrotnie, toż samo koszule i kamizelki. Wielohradzki przymknął oczy, nie mogąc znieść widoku tej monstrialnej przemiany. Jakaś krakowianka, z bardzo tłustemi i lśniącemi rękami, z chusteczką w ręce, spacerowała sama, poprawiając co chwila brudną, niebieską atlasową maskę. Wielohradzki śledził ją wzrokiem przez chwilę. Była niska, krępa i widocznie biedna, bo buciki jej, jakkolwiek starannie oczyszczone, były wykrzywione i bez formy.

Gdy przechodziła koło łoża kasynowej, z po za firanki wysunęła się długa trupia ręka i uszczypnęła dziewczynę w nagie ramię. Wielohradzki poznał rękę Melunia Orlickiego. Dziewczyna zatrzymała się i zaczęła krzyczeć, lecz na przodzie łoża poja

wił się Malewicz i zaczął śmiać się głośno, patrząc na nią z wysokości i bawiąc się widocznie jej gniewem. Wielohradzki powoli z łoża kasynowej wzrok przeniósł ku innym łóżom, i ogarnęło go dziwne uczucie.



Od półtora roku przeszło nie widział tych ludzi zebrany eli razem, wystrojonych i zbitych w pewien klan — odsuniętych od reszty społeczeństwa, jakby siatką gardefeu niewidzialnego.

Wszyscy byli na swych dawny eli miejscach. Stara pani Bodocka tronuje w łoży namiestnika. Cztery panny hrabianki siedzą rzędem jak egzotyczne ptaszki, owinięte białymi płachtami balowych narzutek. Łoże pierwszego piętra zajęły wszystkie znaczniejsze rodziny arystokracji galicyjskiej, i Wielohradzki widzi całą kolekcję Muszek, odzianych białą, lila, błękitno, na tle ciemnopurpurowego obicia ścian. Niektóre były już mężatkami; torsy, ich owinięte aksamitem lub jedwabiem, zamiast lekkiej gazy, wysuwały się tak samo chude i dziewicze z po za aksamitnej linii balustrady. Tu i owdzie ciemniał błam futrzanej rotundy lekko na ramiona zarzuconej, lub delikatnie fryzowały się w przestrzeni srebrne kędziory angory, formujące tło, na którym odcinała się wężowa, wązka sylwetka dystygowanej postaci kobiecej. I te piękne kształtne głowy, nosy proste, oczy duże i jasne, ręce drobne, karki silne a delikatne — migotały wśród fałd aksamitu, atlasu,

puchu futer, piór i śnieżnobiałych plastronów koszul, bielejących wśród czerni aksamitnych kołnierzy frakowych. Niewielka przestrzeń dzieliła tych ludzi od szarego tłumu, snującego się na dole, lecz przestrzeń ta wydała się Tadeuszowi olbrzymią.

Były to dwa światy, które nie miały ze sobą nic wspólnego.

Jeden błędził wśród śniegu, błota i pozlepianych łachmanów, drugi eteryzował się na wysokości kilku metrów z błyskotliwością zawieszzonego w powietrzu brylantowego naszyjnika.

Tadeusz odwrócił się teraz i patrzył na lewą stronę sali, patrzył powoli, z zalem dobrowolnego wygnańca, widzącego zdaleka wewnątrz Raju.

I w pierwszej łoży, dotykającej ścianą balkonu, ujrzał Orzecką, silnie otuloną w okrycie z aksamitu heliotropowego, bogato zasnute złotym haftem.

Suując się, młoda kobieta zwracała głowę w głąb łoży.

Któs tam stał, jakaś druga kobieta, bo z po za ściany wysuwała się ręka w jasno perłowej rękawiczce, trzymająca przepyszny wachlarz z czarnych piór strusich.

nagle kobieta ukazała się cała, odziana w amarantowy cieniowany aksamit, zasypyany deszczem dżetu.

Światło gazu zagrało w perełkach dżetowych

i w splotach włosów, zapalając wszędzie migocące złote iskierki.

Chwilkę kobieta zdawała się gorzeć cała w świetle tych iskier, w śniegu tego światła, aż powolnym, jakby zmęczonym ruchem osunęła się na krzesło, odwracając się plecami w stronę balkonu. ;?

I teraz Tadeusz miał przed sobą trójką ciała

gorącej karnacyi, ujęty w dwie linie amarantowego aksamitu i trzecią, górną, uformowaną z lekko wijących się drobnych włosów rudej a raczej miedzianej barwy.

Tadeusz usta zaciął aż do krwi.

O kilka kroków, przedzielona trampolina balkonu, siedziała Muszka, lecz nic ta „sportowa”, w niezkim kapeluszu i w angielskich trzewikach bez obca sów, lecz dawna Muszka rudowłosa, elegancka, strojna w kask swych fryzowanych włosów.

Do oczu Wielohradzkiego nabiegła purpurowa fala. Chwilę zabrakło mu oddechu. I cała rozpacz zawodu wybuchła w nim z szaloną gwałtownością. Po raz drugi przeszył wzrokiem spokojny i marmurowy kark Muszki, która teraz lornetowała głąb sali swoją aluminiową, błyszczącą lornetką. Tadeusz porwał się ku wyjściu. Wybiegł na korytarz, potrącając bohaterkę, odzianą w świeżą suknię beżową i pantofle filcowe. Zbiegł ze wschodów i wpadł do sali. Prędko jednak opamiętał się i zatrzymał jeszcze

kiętego kola. I znów znalazł się u wejścia do sali. W oddali dostrzegł czerwone trykoty Mefistofelesa i czwórkę mężczyzn idących tyłem, strasznych potworów o nieruchomych, uśmiechniętych maskach. Cofnął się i upadł na jakąś miękką i ciepłą masę. Był to stos odzieży rzuconej na ziemię przez służbę kontramarkami. Wielohradzki pośpiesznie wyjął z kieszeni numer papierowy.

— Proszę o mój płaszcz... — zawołał prawie rozpaczliwie.

Lecz czekał długo na przeciagu i zimnie, co chwila bowiem wchodziły teraz maski cokolwiek strojniesze, owinięte w koronki i jedwabie. Służba w kontramarkarni traciła głowę, rzucając podawaną jej odzież na ziemię, gdyż na szaragach miejsca już nie było.

Wreszcie podano płaszcz Wielohradzkiego.

Klnąc i złorzecząc, odział się nim i skierował ku wyjściu. W chwili gdy wszedł do przedsionka, ogarnął go żal serdeczny. Zdawało mu się, że pozostawia za sobą coś mu bardzo drogiego.

Znalazłszy się pod kolumnadą, Tadeusz stanął jak wryty. Patrzył bezmyślnie na zajeżdżające kolejno sanki, z których wysiadały teraz maski cokolwiek strojniesze, owinięte w atlas i tanie koronki. Pod kolumnadą, pomimo zapalonych latarni, panował szarawy, brzydki półcień. Za to ulica cała była żółta od światła, które płynęły z okien gmachu teatralne

pod werendą balkonu. Nie chciał, aby Muszka dostrzegła go w tłumie tego „drugiego świata”.

I znów powrócił pod drzwi balkonu, których otworzyć nie śmiał. Stał więc niepewny i wahający, aż spłoszył go gwar głosów kobiecych na korytarzu prowadzącym do łóż. Rzucił się na lewo i znalazł jakieś przymknięte małe drzwiczki. Po za nimi drzemał strażak. Drabina ważkich wschodów pięła się pod górę. Strażak, zbudzony nagle, z podziwieniem patrzył na groźną minę Tadeusza. Chcąc skierować się w jakąkolwiek stronę, Wielohradzki zaczął szybko piąć się po wschodach.

I nagle wpadł w zaduch, krzyk i szalone gorąco. Znalazł się na paradyzie, po którym snuły się całe kłęby masek, maszynistów, strażaków i służby teatralnej. Zaraz przy drzwiach Wielohradzki potknął się o krakowiankę z chusteczką w rękę, o wykrzywionych bucikach.

Rzuciła się ku niemu i porwała go za potę od fraka.

— Znam cię! — zawołała piskliwie.

Wielohradzki wyrwał się z jej olbrzymich rąk i znów zbiegł ze wschodów. Na dole przywitał go zdziwiony wzrok strażaka. To go rozdrażniło do reszty. Co chwila słyszał ryk trąb orkiestry teatralnej. W rozdrażnieniu potęgował to wrażenie słuchowe do wycia szalejącego orkanu, który go pędził przed siebie bez celu i możliwości wydobycia się z tego za

lekko oświetloną szybką znaczyło się w przestrzeni. Na szybce przyczepiono kartkę z napisem:

Domina i kostiumy charakterystyczne świeże i gustowne do wynajęcia. piętro — numer drzwi .

Banalny umysł Tadeusza w jednej chwili powziął również banalne postanowienie: włożyć domino, maskę i wejść niepostrzeżenie do sali. Kto wie — może nawet zbliżyć się i powiedzieć Muszce kilka słów prawdy, napiętnować jej czoło. . pogardą..

Machinalnie sięgnął do kieszeni fraka i wyjął mały pugilaresik. Zaczął liczyć odebraną rano pensye. Wystarczy mu na wynajęcie domina, a wreszcie zostawi zegarek, płaszcz, ale domino mieć musi. coraz więcej podniecał się w swojej egzaltacji. Widział się już w czarnym płaszczu, zbliżającym się ku Muszce. Przez chwilę patrzeć będzie tylko na nią przenikliwie. Co jej później powie, sam nie wie. ale czuje, że wyrazy cisną mu się do ust z przerażającą gorączką.

Biegnie na trzecie piętro, lecz tam gubi się w labiryncie ganków otaczających dziedzińce. Jakaś dziewczyna stoi oparta o balustradę i pluje na dół, w przepaść ciemną, którą ma pod nogami.

Wielohradzki zbliża się ku niej.

— Przepraszam panienkę! — mówi jak może najspokojniejszym tonem — gdzie tu są domina do wynajęcia?

go, a zwłaszcza z kawiarni, zajmującej prawy parter teatru. W żółtawej tej powodzi rysowały się sylwetki mężczyzn, odzianych w palta i kalosze, dążących w stronę teatru lub wchodzących do kawiarni. Były to olbrzymie cienie chińskie, ukazujące się na wzór sylwetek wyciętych z czarnej blachy po za zasłoną mgły przejrzystej i wilgotnej.

Tadeusz stał ciągle na progu przedsionka, gryząc nerwowo wargi. Dopóki był w gmachu teatru, wmawiał w siebie chęć ucieczki, lecz, stanąwszy na progu kolumnady, nie czuł dość siły, aby się oddalić i powrócić do domu.

Jakiś mężczyzna w czarna eni dominie przemknął obok niego, potrąciwszy go prawie ramieniem. Z pod długiego płaszcza jedwabnego wysunęły się nogi odziane w czarne spodnie i długie berlacje. Tadeusz, uczuwszy popchnięcie, z całą furją zwrócił się w stronę biegnącego mężczyzny.

— Brute!... — zawołał głośno — Brute!... Lecz maska znikła w przedsionku, nie zwróci w y uwagi na wykrzyknik Wielohradzkiego. Tymczasem Tadeusz powoli zaczynał decydować się do opuszczenia swojego stanowiska. Postąpił kilka kroków, lecz nagle zajeżdżające sanki, które zatoczyły się z fantazją na chodnik, obryzgały go ciemnym roztopionym śniegiem. Jak kot zmoczony, parsknął Tadeusz i znów cofnął się do przedsionka. Znalazł się przed okienkiem kasy, które matową,

Dziewczyna odwraca swą głowę oskubanego ptaka i odpowiada:

— Ta na czarnym korytarzu, u NanciL.

— A! .. a gdzie ten czarny korytarz?

— Ojej!... —dziwi się dziewczyna—pan nie wie, gdzie czarny korytarz? taże każdy dzieciak zna, gdzie czarny korytarz.

Wreszcie decyduje się pokazać Wielohradzkiemu kierunek ganku, prowadzącego do owego czarnego korytarza. Wydostawszy się w rodzaj ciemnego i wilgotnego wąwozu fatalnego, oblepionego śniegiem, dostrzega Tadeusz jaśniejszą smugę światła, padającą z jakichś drzwi otwartych.

Kieruje się ku tej smudze i słyszy zmieszany gwar głosów.

Wchodzi w tę żółtą jasność i gwar cichnie. Przed nim —jama niewielkiego pokoju oświetlonego kilkoma dymiącymi kinkietami.

Na łóżku, na stołach, na wieszadłach, rozłożone jak puste manekiny, świecą się kostiumy dziwaczne, upstrzone trocha galonów i srebrnych frendzli. Tu i owdzie wydobywa się szmaragdowa plama atłasu, lub wątpliwa białość jedwabiu. Na ziemi wala się tęcza pstrokacizny arlekiiskich kaftanów. Wysoko — na szubienicy wieszadeł — sterczą płaskie kapelusze z płaczącymi gałęzmi rozfryzowanych piór strusich.

W kącie piec z otwartymi szeroko drzwiczkami czerwienieje piękną barwą rozpalonych węgla. Koło niego stoi nieduży żyd, odziany w długie buty, surdut i czerwony szalik wełniany.

— A ja mówię pannie Nanci, co maskarada kiepska jest... Byłem na sali... Same łatyrody...

— E! .. — odpowiada z po za wieszadeł jakiś cichy głos kobiecy — to się wie, że maskarady nigdy udać się nie mogą... Od piętnastu lat zawsze jedno i to samo...

Wielohradzki staje na progu i oczy mruży.

— Cicho!... upomina żyd — panno Nanciu, jakiś gość przyszedł.

Z po za wieszadeł wysuwa się suehotnicza postać niemłodej kobiety. Suknia wisi na niej jak worek. Okręciła się dużą chustką wełnianą i smutnym niechętnym wzrokiem patrzy na Wielohradzkiego.

— Pan sobie życzy? — pyta, kaszłąc lekko.

— Proszę o domino!

— Białe? różowe? niebieskie? — pyta kobieta i długie jej palce w wełnianych mitynkach przerzucają całe stosy zwiędłych atłasów.

— Nie... — mówi Wielohradzki, wchodząc do pokoju—proszę mi dać czarne domino, zupełnie czarne, świeże i dystyngowane.

Kobieta kręci z zakłopotaniem głową.

— To będzie trudno.... wszystko takie zniszczone...

Powoli, mozolnie przyszywa kokardę i podaje Wieloliradzkiemu maskę.  
Tadeusz kładzie maskę na twarz, i wypukłe jego oczy odrazu zostają udreżone tą fatalną baryerą, która je przyciska.  
— Może wykrajać większy dziury? — proponuje żyd w czerwonym szaliku.  
Lecz na korytarzu dają się słyszeć piski, chichoty i śmiechy.  
Nancia szybko uprzęta porozrzucane kostiumy i poprawia światło lamp.  
Wielohradzki, nie chcąc być widzianym w tej kuchni tajemnicy, pyra szybko, zdjęty znów gorączką:  
— Ile się należy?  
— Piętnaście guldenów...  
— Dobrze!... proszę oto pieniądze. Zostawię tu mój płaszcz i za godzinę przyjdę po niego!..  
Wychodzi i na korytarzu mija całą bandę podrostków, zmierzających ku jasnej smudze światła.  
— To ci szyk maska!—odzywa się jeden, potrącając Tadeusza.  
— Zostaw go, to jakiś z grandy!...—mówi drugi, rechocząc cicho.  
Lecz inni dopadli już drzwi i wołają:  
— Panno Nanciu, panno Nanciu, daj nam panna kostiumy dzikensów z Hafrykanki!..  
Wymawiają „Hafrykanka”, szczekając prawie z wysiłkiem to H nieszczęsne.

Żyd z pod pieca uznaje za stosowne wtrącić swoją radę.

— Daj panna Nancia wielmożnemu panu czarny domino z Balu maszera — panna Nancia wie. ten. co to pan Rubirato podarł i opluł ze złości przeszłej zymy...

Nancia szuka jeszcze chwile, wreszcie wyciąga duże czarne morowe domino z wielkim kapturem.

— Pan może przymierzy? — pyta, zbliżając się do Tadeusza.

Wielohradzki kładzie na łóżku swój klak i płaszcz i naciąga domino. Gorączka go opuszcza powoli Ten zimny, brudny, ciemny pokój, pełen łachmanów, ta suchotnica, której chude kościste biedne palce czuje dokoła siebie, jak palce w ruch puszczonego szkieletu — działają na jego nerwy w uspokajający sposób. Sala balowa, Muszka, wydaje mu się bardzo daleka. Chwilę ogarnia go znużenie i chęć zderzenia z siebie domina, które, zbyt obszerne otula go szelestem czystego jedwabiu. Nasuwa jednak kaptur na głowę i kryje się w fałdy mory, jak ślimak w skorupę.

Nancia dobywa z szuflady kawałki czarnej wstążki.

— Przypnę panu kokardę na lewym ramieniu — mówi nawłócząc igłę—pan Robirato podarł to domino ze złości, wtedy gdy grał w „Balu maskowym.” Daliśmy tu tę late, ale zblizka widać doskonale, że to inna mora. Zasłonię kokardę... to będzie polityczniej.

jąc się trywialnie, wymyślając sobie, sypiąc koncepty, równie brudne, jak ich pończochy i rękawiczki. Wielohradzki, pozbawiony woli, osłabiony, oślepy, idzie naprzód, wdrapuje się na schody prowadzące do sali sejmowej, błąka się po bufecie, powraca znów do sali i płynie za procesją masek, które, coraz więcej rozzuchwalone, piszczą, krzyczą, tworząc straszny, potworny akord, bijący w górę tryumfującym wrzaskiem rozhukanych zwierząt.

Wreszcie Wielohradzki wydostaje się z sali i zaczyna krążyć po korytarzach łóż parterowych, w których prawie niema nikogo i lampy palą się pół jasno.

W kącie widzi Melunia Orfickiego, z którego twarzy opada powoli tynk i róż, ujawniając żółtą cere zasuszonej mumii. Stary lowelas z nadzwyczajną czułością trzyma za rękę krakowiankę w wykrzywionych bucikach i z chusteczką w grubych palcach.

— Aniele mój! czy ty mnie kochasz?—pyta stary „koniarz” z nieporównaną intonacją w drżącym ze starości głosie. Wielohradzki cofa się i wchodzi na balkon. Spogląda na łożę Muszki i znów nerwy jego drgać zaczynają.

Muszka siedzi ciągle, odwrócona plecami do balkonu, i rozmawia z Orzecką, która objada się smażonemi owocami, złakomstwem rozpieszczonej kotki. Trójkąt ciała Maleniowej bieli się ciągle w ramach akxa

G. Zapolska. — Wodzirej. Tom II

Tadeusz ucieka szybko, ocierając fałdy swojego domina o mury, z których wilgoć kapie. Wydostaje się na ganek i tam, zdaleka, w ciemni, widzi sylwetkę dziewczyny ciągle plużącej w czarną przepaść dziedzińca. Mijają i zbiega do sali. Miesza się z tłumem masek, i nie może się oprzeć wzruszeniu. Nie czuje się bynajmniej odosobnionym i zamaskowanym. Przeciwnie, zdaje mu się, że wszyscy go poznają i pokazują sobie, drwiąc z jego przebrania. Drży z zimna, a natomiast twarz płonie mu pod naciskiem maski. I oczy jego, trwożne i zmęczone, biją powiekami, iak motyle skrzydłami. Światło je dręczy, maska uciska. Przed sobą Wielohradzki widzi ciągle jakąś masę zbitą, wśród której nic zrozumieć nie może. Kaptur z chrzęstem nieznośnym zasłania mu uszy. Z dźwięków orkiestry słyszy od czasu do czasu ryk trąby lub brzęk blachy. Tłum prowadzi go, niesie, pcha naprzód. Chwilowo olśniły go świece zapalone w kandelabrach ustawionych na stole, przy którym siedzą aktorki. Ten bukiet jarzący, wykwitający nagie po nad morzem głów ciemnych, oślepił go. Cofa się ku łożom parterowym i opiera się o ścianę. Pragnie odpocząć, lecz ktoś go ciągnie za kaptur. Odwraca się i dostrzega, że to Malewicz, nie poznawszy go, pragnie rozerwać się i zabawić, dokuczając maskom. Odchodzi więc wolno, wpada znów w wir tłumu i napróżno wykręca głowę, chcąc dojrzeć łożę Muszki. Za nim, przed nim drepczą maski, popycha

wiednie biegnie na korytarz, dice znaleźć się teraz blisko niej, przyjrzeć się jej twarzy. Na korytarzu spotyka się nagle z Pozbitowskim, który sam wychodzi z łoży. Wielohradzki, oślepiiony przez swą maskę, potrąca kasynowca i prawie bezprzytomnie, nie zmieniając głosu, mówi:

— Przepraszam cię!

Pozbitowski chwyta go za fałdy domina.

— Wielohradzki? — pyta ze śmiechem. Tadeusz, który nigdy jeszcze nie miał u siebie domina, nie umie się wykręcić.

— Ja!., puść mnie!..

Lecz Pozbitowski chwytą go jeszcze silniej.

— Nie! nie!., mam ideę... musisz mi pożyczyć swego domina...

— Cóż znowu?

— Na chwilkę! Proszę cię!., pójdę zaintrygować Melunia Orlickiego. To stary idyota., trzeba koniecznie *lux faire une farce*...

— Jednakże...

— Niema jednakże... schowasz się tu do łoża, a ja powrócę za dziesięć minut i oddam ci domino. *Que diable!* możesz mi oddać tę przysługę...

I szybko Pozbitowski otwiera drzwi do łoża Orzeckiej i Muszki i wrzuca w ciasną klatkę łoża prawie nieprzytomnego Wielohradzkiego.

— *Mesdames!*..—mówi po francusku—ta maska to dobrze wam znajomy pan Wielohradzki. Zgodził

mitu i gorącej linii włosów, przybierając teraz śliczne różowe tony, właściwe skórze brunetek; Wielohradzki wpija wzrok w tę jasną plamę, tak powabną w wycięciu sukni. Patrzy, i cała odwaga opuszcza go. Czuje się śmieszny i głupi w tym dominie wypożyczonym z garderoby teatralnej, które jakiś uszminkowany śpiewak podarł, a on podniósł i wdział na siebie, zakrywszy „łatę” kawałkiem zwiędłej wstążki. I w tym odzieniu miał ochotę zbliżyć się do niej, do pani Maleniowej, odzianej w aksamit amarantowy, królewsko piękny, błyszczący tajemniczem! srebrnymi refleksami. Któs jest w głębi łoża, bo Orzecka wyciąga rękę z pudełkiem cukierków. Może Maleni. I krew zbiega do serca Wielohradzkiego na myśl o pokaźnej wielkopańskiej postawie dygnitarza cesarskokrólewskiego. I w tej samej chwili ta łoża wydaje mu się odosobnioną od innych łoż, czemś większem, wspanialszem, bardziej arystokratycznym... Nagle mężczyzna w łożu powstaje i zbliża się ku Orzeckiej; Wielohradzki poznaje Pozbitowskiego. Jakieś uczucie ulgi ogarnia go na myśl, że Maleni nie znajduje obok się Muszki. I widzi, że Muszka podnosi się także, wyciąga rękę po płaszcz, który Pozbitowski jej podaje. Mózg Wielohradzkiego przeszywa błyskawica. Odchodzi! Porywa się i on ze swego miejsca i prawie bez

się pożyczyć mi swojego domina na pięć minut. Biegnę zaintrygować Melunia. Wy tymczasem przechowajcie w swej łoży Wielohradzki ego do mojego powrotu.

Orzecka z wielkiej radości rozsypała na ziemię smażone owoce.

— Tak!., tak!.. — zawołała, śmiejąc się rozkosznie — idź pan, my będziemy lornetować do waszej łoży. Trzeba zobaczyć *la tete que fera Melanio*, gdy mu pan powiesz o...

Przerwała, śmiejąc się dwuznacznie.

— Pan wiesz o czem chcę mówić... — dokończyła, kryjąc swą ładną twarzyczkę za koronką prześlicznego Louis XVI wachlarza.

— Wiem!., wiem!.. — uspokajał ją Pozbitowski, zdejmując z Wielohradzkiego domino. — Enfin, jestem gotów i mam teraz minę jakiegoś pana z Rady dziesięciu...

Uklonił się nisko paniom, swobodny zupełnie pod dominem i kagańcem maski.

— Mesdames!..

Wyszedł, szeleszcząc fałdami domina, olbrzymi w tem długim odzieniu, które spadało mu zaledwie do kolan, z najeżonym hełmem kaptura po nad wązkiem białawem pasmem czoła.

W łoży, koło drzwi, przyklejony do ściany, pozostał Wielohradzki. Zdawało mu się, że razem z tem dominem zdarto z niego wszelką odzież i wystawiono

go na urągowisko publiczne. Widział przed sobą tylko jasny otwór łoży, jamę świetlaną, w której majaczyły różowawe kręgi balkonów i złotawe plamy świateł gazowych,

Wówczas powoli podniosła się z krzesła Muszka i, otuliwszy się futrem, iść ku niemu zaczęła. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków, a Wielohradzkiemu wydawało się, że ta olbrzymia postać schodzi ku niemu z bajecznej odległości po świetlanej smudze dziwaczego oświetlenia. Szeroki kołnierz rotundy, kołnierz niebieskich lisów o barwie niepewnej i chorobliwej kotów angorskich, chowanych w cieplarniach bogatych apartamentów, tworzył dokoła jej szyi i ramion puszystą aureolę, w której grały białawe światełka. I tylko z tego srebrnobłękitnego puchu wykwitła jej głowa, cała także złota i ruda od światła przebijającego kędziory i zapalającego tryumfalny ogień we wnętrzu brylantowej gwiazdy, drżącej wysoko, niemal w przestrzeni.

Szła dość szybko, lecz Tadeuszowi zdawało się, że idzie ku niemu całe lata, i że on, patrząc na nią, przeżywa epoki oddalone, o których dawniej nie miał nawet wyobrażenia. Przycisnął ręce do ściany i stał jak żak szkolny, złapany na gorącym uczynku jakiejś psoty. Ona doszła ku niemu i wyciągnęła obie ręce.

— Enjin! — wyrzekła prawie przez zaciśnięte zęby.

Jeś? co się z panem działo?... Kilkakrotnie przyjeżdżałam z Wiednia do Lwowa prawie umyślnie dla pana, i nigdzie pana spotkać nie mogłam. Raz jeden w lesie... wtedy, gdy towarzyszyłeś pan jakiejś panience... Dlaczego pan nie starałeś się ze mną zobaczyć? .. Czy Concarneau pozostawiło tak niemile wspomnienie? Czyś zapomniał — enfin, voyons — powiedz pan prawdę!

Wielohradzki patrzył ciągle w lustro, lecz z uwagą wsłuchiwał się w słowa Muszki. Nigdy jeszcze nie mówiła do niego tak bezładnie, otwarcie, takim głosem zmęczonym, a mimo to wstrząsającym do głębi. Nigdy nie odsłoniła tak swego niepokoju i jakiegokolwiek moralnego wzruszenia. I natychmiast Tadeusz zaczął odzyskiwać władzę nad samym sobą i czuć, że teraz po jego stronie jest wyższość pokonanej i zdławionej łzami namiętności. Nie zdawał sobie jednak jeszcze sprawy z tego zmienionego stanu rzeczy, tylko instynktownie przybrał ton chłodnego sarkazmu i kłójącej ironii.

— O!... — bąknął prawie nieśmiało — niepotrzebnie pani wspomina Concarneau... zdaje mi się, że niedobrze jest mówić o snach... gdyż... to przeszkadza ich urzeczywistnieniu.

Gdy wymówił ostatnie słowo, odetchnął: tak wiele wysiłku kosztowało go to banalne zdanie, które zaczerpnął z jej własnego dykcjonarza. Pa



Wielohradzki na te wyciągnięte ręce kobiety patrzył, i przejęło go zdumienie i trwoga.

Oczekiwał pogardy, chłodu, obojętności, ale nigdy tej jakiejś fatalnej namiętności, rozbudzonej i niecierplivej, którą ujawniały te dwie wyciągnięte kusząco ręce, ładne, kształtne, opięte w jasnoperłowe długie rękawiczki i ozdobione złotymi kołami, tak, jak ramiona niewolnicy egipskiej.

Muszka, widząc, iż Tadeusz stoi nieruchomy, osuwa się na krzesło, znajdujące się w głębi łoży. Oddziela się w ten sposób od reszty sali i, rozrzucając zręcznym ruchem rotundę, tworzy rodzaj parawanu, po za którym kryje się w całości. Głowę nawet pochyla i wsuwa w masę futra. Energicznym ruchem wskazuje Wielohradzkiemu drugie krzesło, stojące przy drzwiach. Tadeusz siada, milcząc ciągle, dusząc się zdenerwowaniem i zapachem fijołków i futra, który nagle przepelnia kąć łoży. Po nad głową Muszki, w lustrze zawieszonym na ścianie widzi odbicie kawałka sali i kilku łoż parterowych. Nie chcąc spotkać się ze wzrokiem Muszki, patrzy uparcie w lustro i dostrzega czerwone trykoty kokotki, wijące się jak płomienne węże na tle czarnych paltotów i domin...

Tymczasem Maleniowa mówi szybko, głosem urywanym, pochylając się cokolwiek w stronę Tadeusza: y;

— A!., nareszcie! nareszcie!... ale gdzie pan by

była panną Dobrojowską, przepych jej stroju, tryumfalna jej uroda, bogactwo, które ją otaczało, zaczęło wytwarzać dokoła niej świetlany nimb, który oślepił jego istotę. Aksamit, futro, brylanty, ręce kształtne i wązkie, rasa całego ciała, zapach doskonałych perfum — składały się na całość tej kobiety, wypełniającej sobą horyzont jego myśli i wzroku. I znów, zwykłą asocjacją idei, osunął się Wielohradzki na swą własną moralną i materyalną nizinę, i nędzna szafka, w której bielilo się trochę wytworniej szój a już cerowanej bielizny, czerniły się trzy czy cztery kamizelki, surduty, smockingi, zarysowała się jako jedyny dostatek, jedyny kapitał, jaki mógł przeciwstawić przepychowi Muszki. Przyłączyło się jeszcze przekonanie, iż przepych ten głównie płynie ze związku jej z Malenim, jednym z najlepiej cenionych wyścigowców na terenie dyplomatycznego Steeplechase'u i osobistym przyjacielem arcyksiążąt wiedeńskich.

Czy Wielohradzki mógł wobec tego wystąpić ze śmieszną pretensją nieziszczonych zamiarów matrymonialnych? W tej chwili przejęła go groza na sama myśl tej śmiałości, z jaką dawniej dążył do podobnego celu. Zkąd mu przyszła ta myśl? jak mógł przypuszczać? .. pozwolić matce zapożyczać się, brnąć w toń długów dla niemożliwej chimery? Spuścił oczy w ziemię i nie śmiał patrzeć w twarz Muszki. Czuł ją blisko przy sobie, nerwową i różgo

trzymał wciąż pilnie w lustro i mrugał oczyma ze zbytniego wyteżenia wzroku.

— Mówię o Concarneau... — zaczęła znów Muszka — gdyż widzę, iż pan o niem zapominasz... A ja nie chcę, ażebyś pan zapomniał... nie chcę... rozumiesz pan?...

Jeżeli zapomniałem, nie moja w tem wina — odparł Tadeusz.

— Ale dlaczego? dlaczego? co się stało? powiedz pan, co się stało?...

Tadeusz szybkim ruchem przeniósł wzrok z lustra na twarz Muszki. Chwilę nie widział nic, oślepiony blaskiem brylantów, wreszcie zaczął dostrzegać linie jej ust, które teraz drżały nerwowo.

— Jakto, co się stało?... — zapytał zdjęty najwyższem zdumieniem.

— Naturalnie!., przecież to było ułożone, iż zobaczymy się znów we Lwowie...

Patrzyła mu prosto w oczy, i on pod tym wzrokiem zaczął się mieszać i tracić chwilową pewność siebie.

Nie śmiał wspomnieć o jej małżeństwie z Malenim, To, co dla niego było przeszkodą niepokonaną, dla niej zdawało się nie istnieć nawet. Wobec tych danych, czy mógł robić jej gorzkie wymówki za to, że nie chciała czekać, aż on, Wielohradzki, oświadczy się o jej rękę?

I znów, tak jak dawniej, wtedy jeszcze, gdy

netowała zawzięcie łożę kasynową, wstała nagle i zbliżyła się ku Maleniowej.

— Pozbitowski skończył swe intrygi—wyrzekła wesoło — i powraca do nas. Za chwile tu będzie.

Wielohradzki powstał z krzesła i przycisnął się do ściany. Był serdecznie wdzięczny Orzeckiej za tę interwencyę, Czuję, iż powinien coś uczynić, odpowiedzieć harmonijnie na gorączkową nerwowość Muszki, nie był w stanie jednak znaleźć nic stosownego. W miarę jej podniecania się on chłódł w jakimś smutku szarym i prawie beznadziejnym.

Tymczasem Orzecka szczebiotała, opierając się o ścianę, wesoła, rumiana, kształtna w swej jasnej sukni. Jedną ręką gładziła powoli futro Muszki, drugą ładnym giestem położyła na poręczy krzesła, z którego wstał Wielohradzki. Była uosobieniem kobiety bezzmysłowej i bezmózgowej, ładnej figury, ściśniętej doskonale dopasowanym rzymskim gorsetem. Z wielkim wdziękiem zaprosiła Wielohradzkiego na szereg wieczorów, które odbyć się miały w jej domu.

— Mam nadzieję... — zakończyła — iż obejmiesz pan dawne stanowisko naszego conducteur de cotillon. Nikt nie był w stanie pana zastąpić. Żałowano powszechnie, iż pan zmuszony byłś przestać bywać w świecie... Sądzę jednak, że teraz żałoba skończona, i że mogę liczyć na pana... Wszak prawda?

Wielohradzki za całą odpowiedź skłonił się z wy

rażczkowaną, w powijaku futra, które wydawało gorącą woń. Twarz ta, tonąc w cieniu, prawie czarna, pokreślona liniami oczu i ust, przecięta bielą zębów, wydawała mu się upiorem, którego lękać się należało, — Mówiono mi... —

szepce Maleniowa — iż usunął się pan od bywania w świecie .. Podobno jesteś pan w żałobie. Dzisiejsza jednak obecność pana na tomboli prouue le contraire. Nie chcę badać przyczyn, które pana zatrzymywały daleko od nas, ale chcę, ażeby ta dobrowolna banicya skończyła się... Ja pozostaję na cały karnawał we Lwowie, mąż mój będzie lawirował między Lwowem i Wiedniem. U a ses devoirs, ja zaś pragnę odżyć w atmosferze mego kochanego Lwowa... Czy pan wiesz? to śmieszne, ale ja Lwów kocham! kocham!...

Przeciagnęła ręką po czole i dodała szybko:

..... A może nie Lwów, może...

Ręka jej opadła znów i zginęła w fałdach futra.

— Sama nie wiem, co mówię... mam widocznie gorączkę...

Zamknęła oczy i przechyliła w tył głowę.

— Mam gorączkę!... — powtórzyła i pozostała tak z wpeł otwartymi ustami, tonąc prawie cała w srebrnym puchu futra.

Nagle zaszeleściła suknia Orzeckiej. Młoda kobieta, która przez cały czas rozmowy Wieloradzkiego z Muszką dyskretnie odwrócona Ior

soką kurtuazją. Nie miał siły odmówić. Postanowił jednak napisać do Orzeckiej i zastawić się brakiem czasu, albo chorobą matki.

Czar jednak wielkoświatowy już wniknął w jego żyły i zaczął wypełniać jego istotę. Z łoży do łoży płynęły teraz te nieuchwytnie prądy, łaskocące wykwintem codziennej bez troski. Cały rok Wielohradzki odwykł od upijania się elegancją i szykiem i wystawą zbytku. Uczuł, iż w głowie mącą mu się myśli, serce bije słabo pod balową kamizelką. Obok siebie miał znów Muszkę—i ta myśl, że to nie panna Dobrojowska, lecz pani Maleniowa znajduje się o kilka kroków, zaczynała mu być obojętna. Była to... Muszka i to mu wystarczało.

Pozbitowski otworzył drzwi łoży i, śmiejąc się, zaczął zdejmować domino. Zaintrygował Melunia Orlickiego, który na korytarzu flirtował z krakowianką w wykrzywionych bucikach. Opowiedział mu wiele faktów z jego przeszłości i teraźniejszości (sekretów Poliszynella), które wprawiły starego kasynowca w głębokie rozmarzenie. Obecnie siedzi w głębi łoży na ławeczce i, pukając palcem w czoło, powtarza:

— Kto to być może? — dumny i rad, że on jeden z całej bandy był wreszcie intrygowany (przez jakąś przyzwoicie odzianą maskę.

— A teraz, ty — mówi Pozbitowski do Wielohradzkiego — uciekaj i nie pokazuj się w sali. Melunio przyczepi się do ciebie i nie da ci spokoju!...

— I tak miałem zamiar powrócić do domu .. — odpowiada Wielohradzki, owijając się w domino.

Koronki czarne spadły mu do koła szyi, która, obrzeżona wyłożonym kołnierzem koszuli, rysuje się biała, delikatna, z cokolwiek błękitnym refleksem. Głowa jego, kształtna i ładna, w tych fałdach czarnej mory i gipiury nabiera wdzięku kobiecego, trochę chorobliwego i sztucznego. Maleniowa patrzy teraz na Tadeusza z dziwną, a dawniej nigdy nie

okazywaną wobec ludzi śmiałością. W głębi jej oczu migocą dwa światełka. Tadeusz kłania się i wychodzi, nasuwając na głowę kaptur.

— Charmant garçon!—mówi swobodnie Orzecka, zajmując dawne miejsce na przodzie łoża.

Muszka nie odpowiada, tylko pozostaje w głębi na krześle i przechyla głowę, topiąc ją powoli w fale futra.

Wielohradzki powraca do domu.

Przez drogę stara się nie myśleć. Gwiżdże nawet przez zęby, idzie prędko, otulony w płaszcz, przez opustoszałe ulice, ciemne, pełne śniegu i śliskiego błota. Czasem zadzwonią zdaleka sanki i przemkną gdzieś w odległej uliczce. Zresztą, cisza grobowa. Czarne mauzolea domów, okryte białymi całunami śniegu, mającą wśród nocnej ciemni.

Wielohradzki prawie biegnie wśród tej pustki

i ciemniej, a wiatr rozwiewa mu szeroko pelerynę płaszcza. Wielohradzki czuje, iż obok niego, jak cień natrętny, jest cały kłęb wspomnień, myśli, nierozwiązanych zagadnień, które pędzą za nim i przybierają kształty konkretne. Nie chce jednak zwracać się ku nim, ucieka, zaciskając zarazem węzeł moralny, wiążący go z tem wyodrębnieniem się pewnych form jego istnienia. Ciągnie za sobą tę falangę jak stado tajemniczych ptaków.

Dopał do domu, zadzwonił. Biały murzyn, odziany wiatrem, dzwoniący zębami, otwiera mu leniwie. Lecz

Wielohradzki nie zastanawia się, jak zawsze, nad ustawieniem wyrotnem całej drabiny społecznej. Zapomina nawet dać stróżowi ową tradycyjną „szóstkę”.

Pnie się teraz po wschodach, podnosząc fałdy płaszcza. Stróż wraca do legowiska i wsuwa się w ciepły jeszcze barłóg.

Wielohradzki ostrożnie otwiera drzwi, i gorąco panujące w mieszkaniu napędza mu krew do głowy. Przy stole siedzi Teczka i szyje, przysunawszy lampę prawie na sam brzeg stołu. Wielohradzka, znużona, śpi ubrana na łóżku, osłoniętym parawanem. Słysząc jej oddech ciężki, trochę astmatyczny.

Teczka, ujrawszy Tadeusza, przykłada palec do ust. .

— Sza... nie budź pan mamy... niech odpocznie!..

Tadeusz cichutko zbliża się ku dziewczynie i chwyta ją w swoje objęcia. Teraz on jest rozgorączkowany i nerwowy. Gorąco całuje oczy, usta, szyję Teczki, która, cokolwiek zdziwiona, broni się instynktownie przed temi pocałunkami, w których odczuwa coś sztucznego

— Może pan napije się herbaty? — pyta szeptem, uwalniając się z objęć Wielohradzkiego.

Lecz on przyciąga ją znów ku sobie i całuje nerwowo, całuje, nie ją, nie Teczka, ale jakąś abstrakcją potrzebę miłości. I nagle zwraca się ku drzwiom swojego pokoju, porzucając niemal brutalnie dziewczynę, która traci równowagę, chwieje się, opiera

stół i wreszcie pozostaje nieruchoma, z wypiekami na twarzy, z oczyma szeroko otwartymi, jakby pod wpływem jakiegoś groźnego widziadła.

Tymczasem Tadeusz, wbiegłszy do swojego pokoju, przedewszystkiem przekręca klucz w zamku,

to dwukrotnie. Chce pozostać sam ze swojemi myślami, jakkolwiek nie wie, gdzie i w jakim porządku myśli te ma skierować. Chwilę kręci się po pokoju w świetle przyćmionej lampy, palącej się wysoko na półeczce. Nagle siada na

łóżku, ciągle owinięty płaszczem, i kurczy się, jak zziębła na wiosennej grudzie wrona. Chce myśleć, lecz nie umie. Całą farandolę wrażeń, przeczuć przyszłych wrażeń ma pod swoją, cokolwiek spłaszczoną, czaszką. Postano wienie jedno wyłania się z tego chaosu. Nie powie

matce o spotkaniu Muszki. Czuje, iż o panie Dobrojowskiej mógł mówić swobodnie, o pani Małeniowej me należy. Kłamstwo i tajemnicę już ma na ustach zaciśniętych nerwowo. Dojmujący ból przeszywa mu prawe ucho i policzek. Newralgia wieczorna porывa go w swoje szpony i kładzie kres niepewności i ułudzie wrażeń oderwanych. Zrywa się z łóżka i, jęcząc cicho, pije dwie łyżki antypiryny, zmieszanej z akonityną, poczem powoli do snu się gotuje.

— Druga figura z cieniem!., z cieniem!., pardon:..

Jak na skrzydłach czarnych, trzępiących się dziwacznie, pędzi Wielohradzki pomiędzy dwiema liniami tańczących. Trzymanym w ręce szapoklakiem przecina powietrze. Ślizga się po posadzce z gracyą młodej baletniczki, a biały krawat jedwabny, szeroki, w guście krawatów z roku, ma przekreślony trochę na bakier.

— Pary z prawej!... z praaawej!...—powtarza, otwierając usta, jak nowe wrota.

— Dobrze!... dobrze!... nie krzycz!... — mityguje jego zapal Charłupko, któremu owo „z prawej” wpadło w samo ucho, jak bąk, nagie w ciasną przestrzeń wrzucony.

Lecz Wielohradzki, jak wódz w czasie walki, waleczny i nieustraszony, biegnie dalej, rzucając swoją komendę rozpaczliwym teraz tonem. Nikt go

G. Zapolska. — Wodzirej. Tom II.

nie słucha w tym finale kadryla, finale wesołym i troszkę podnieconym wybora kolacją, spożyta przy małych stolikach w profuzji śnieżystych kiści bzu i pęku róż, rozsypanych w przestrzeni.

Wielohradzki w tej barwnej alei, którą tworzą dwa rzędy tancerzy, ukwieconych również massa bzu i róż, przesuwają się ze zwinnością jaskółki. Dawna anemia znikła. Policzki wypełniają gorączkowe rumieńce. Jest on jak kobieta światowa,

chętnie oddychająca sztuczną atmosferą balu. Pierś jego rozsadza rozkoszne uczucie aktora, powracającego po dłuższej przerwie na deski sceniczne. Pomimo oporu i nieuwagi ze strony tancerzy, zajętych flirtem, kwiatami, miłością, plotkami, manewrowaniem szapokłakami lub wachlarzami, nie umie gniewać się i, zatrzymawszy się chwilę na środku sali, ociera pot z czoła bladezieloną chusteczką jedwabną.

— Grand rond!... — woła zdesperowany, opuszczając myśl urządzenia figury z „cieniem” o

Rond formuje się powoli wśród śmiechu i wrzawy. Panie w szerokich, fałdzystych na dole sukniach, rozkładających się na posadzce na wzór kosztownych parasoli, podają ręce taneerzom. Ci, w krawatach stendhalowskich, we frakach o aksamitnych kołnierzach, przypominają karykatury Rostignaców. Krótko ostrzyżone przy skórze włosy, spiczaste przycięcie brody i wąsów, nie harmonizuje ze stylem stroju. Lecz już tu i owdzie pokazuje się twarz gładko ogo

Iona, włosy przyczesane i zlepione fiksatuarem. Światło kinkietów i świec, gorejących w kandelabrach wśród płaskich liści roślin, migoce błotnistymi plamami na powierzchni tych balzakowskich głów. Z ramion kobiet opadają suknie i rękawy olbrzymie, u łokci ściągnięte wstążkami. Gdzież talie prababek z tradycyjną w pasie bransoletką? Włosy bramują twarze pasmami dziewczem, twarze pokryte kremem Simons'a i pudrem Sarah Bernhardt. Oczy, zafarbowane indyjskim błękitem, usiłują mieć romantyczny chłód i sztuczną egzaltację, lecz błyszczą nerwową żywością krwi szybko płynącej.

I pod falami róż i bzu, które spadają, wędnąc, z gałęzi pajaków, zaczyna płynąć w takt piosenki Carmeny cała farandola tych panów i pań; przebranych maskaradowo, komponujących swoje głowy, twarze, ciała — na wzór niedawno jeszcze wyszydanych Lucyanów Rubeupre. To, co było brzydkie, teraz jest piękne, lecz właściwie teraz jest brzydkie, bo czysty i wypływający z warunków epoki styl zmodernizowany przez paryskich krawców i fryzjerów stracił swój kryształ i wdzięk, stając się brzydkim hermafrodytą.

Wielohradzki podaje rękę swej tancerce i miesza się z całym gronem. Prześliczna bladobłękitna sukienka Dory HohensteigenHigmeringen, obramowana ciemnym futrem, lekkimi fałdami gazy dotyka go, jak skrzydła olbrzymiego motyla. Księżniczka,  
ir

zaczęła tańczyć z Wielohradzkim, który, proszony przez Orzecką, księżniczkę uczynił „wodzirejką” i dał jej miejsce adjutanta przy swym boku. Dora z wesołą radością przyjęła tę rolę i natychmiast zaczęła ją grać na seryo. Zajmowała się przyborami do kotyliona i wczasie figur tanecznych często interwencją swoją czyniła wiele zamieszania i nieporządku.

Wielohradzki czuł teraz ciągle jej drobną ładną rączkę w swej dłoni, lecz dotknięcie tej ręki nie wywierało na nim wcale wpływu magnetycznego.

Była to wesoła, dobra ręka poczciwego kolegi, lecz nie ręka kobieca, pełna elektrycznych prądów. Dwukrotnie już na tych wieczorach tygodniowych u Orzeckich tańczył z księżniczką, i zawsze po za jej główką powabną i wdzięczną szukał czegoś, innej twarzy i innej głowy, która zdawała się teraz unikać jego spotkania.

Muszka Maleniowa, jako mężatka młoda i żona dygnitarza, ustąpiła teraz berła panieńskiego wdzięku księżniczce. Na pierwszy wieczór u Orzeckich nie przyszła wcale. Wielohradzki uczył łód w sercu, widząc, iż dwunasta wybiła, a Maleniowie nie przybyli. Wir taneczny jednak ciągnął go koniecznością przymusu. Księżniczka szczebiotem swoim i dowcipami tworzyła dokoła niego miłą dziewczęcą cieplarenkę. Niemniój przeto błądził po apartamencie wśród lasu fraków i fali sukien jak zbłąkany. Zdawało mu się,

uprzejma i doskonale wychowana, uśmiecha się do swego tancerza, uśmiecha stę do swego visavis, uśmiecha się do dam siedzących pod ścianami, do róż, do światła, do siebie w lustrze, do całego świata, i do swego własnego życia. Ma lat osiemnaście ta wiedenka, biała, różowa, przepysnie zbudowana, prześliczna, pachnąca, z twarzą klasycznie wdzięczną, z szyją łabędzią, z ramionami atlasowemi, z dołkami na buzi, na szyi, na gorsie, na łokciach. Jest to usobienie beztroski kobiecej, luksu społeczeństwa. Rada z siebie, ze świata, uznająca, iż tak, jak jest — jest dobrze, i zeflona, Dora, i jej siostra, Mitzi (mniej ładna, lecz jeszcze weselsza), powinny zawsze pozostać młode, wdzięczne i szczęśliwe.

I odrazu Dora zagarnęła dla siebie berło królowej karnawału. Jej wiedeński szyk, trochę rubaszny, lecz błyszczący, toalety oryginalne, a zwłaszcza łatwość obejścia, przy wielkiej napozór prostocie, pociągnęły wszystkich. Siostra jej, Mitzi, pozostała w cieniu. Wiedzano, iż była „zakochana” w jednym z arcyksiążąt i że ten starał się właśnie o pozyskanie zezwolenia na swój ślub z panną HohensteigenHigmeringen. Lecz Dora była wolna. Bezwiedna jej kokieterya, prawie naiwna, roztaczała się dokoła na wszystkich i dla wszystkich. Urodzeniem i stanowiskiem była tak wysoko, iż zdawało się jej, że nic, żaden flirt z c. k. koncepspraktykantem bezpłatnym namiestnictwa poniżyć jej nie może. Odrazu chętnie

iż Orzecka śledzi go z pewną złośliwością w swych piwnych, okrągłych źrenicach. Przybrał więc maskę pozornej obojętności i gorliwie zajął się kotylionem.

Orzeccy, niebogaci, lecz żyjący z wysiłkiem nad stan. przepychem akcesoryów i nadmiarem kwiatów pokrywali szczupłość apartamentu i niezbyt wykwinne umeblowanie salonów. Znać tu było przejście armii tapicerów, świeżo upięte portyery. zbyt nowe lustra, całe regimenty złożonych krzesłek o czarnych atlasowych poduszkach. Lecz gospodyni domu, zarumieniona jak wiśnia, dziecięcą wesołością i zakłopotaniem witała swych gości. Po raz pierwszy otworzyła swe salony i widocznym było, iż działa z trwogi, aby cokolwiek nie zdradziło ich braków i kłopotów pieniężnych. Ztąd — zbyt w kolacyi i winach, moc światła i kwiatów, przepych w akcesoryach kotylionowych. Bawiono się doskonale, i Wielohradzki, który odwykł od widzenia kręcących się bezmyślnie splecionych par po środku salonu, doznawał chwilami zawrotu głowy na widok tej masy ciem nokolorowej, wirującej z jakąś rozpaczliwą elegancją po blond tafli lśniącej posadzki.

Prędko jednak oswoił się z tym widokiem. To szaleństwo balowe weszło mu już poprostu w krew; oddychał pełną piersią w atmosferze wędnących kwiatów i rozgrzanych ciał kobiecych. Przez chwilę

zamknął oczy i wciągał w siebie tę woń, jak suchotnik pierwsze ciepłe, rozkoszne prądy budzącej się wiosny. Rzempolenie orkiestry balowej, zamiast drażnić mu nerwy, działało na niego uspokajająco. On, który nie mógł znieść turkotania maszyny, na której szła matka lub Teczka, słuchał chętnie skrzekliwych tonów polek lub piszczenia miaukliwego Straussówskich walców. Newralgia jego peryodyczna, zjawiająca się zawsze z nadejściem nocnych cieni lub w gorącu, zniknęła. Pozostał tylko lekki szmer wzdłuż, szczęk, który był mu miły. I teraz, gdy jeszcze na drugim wieczorze ujrzał wchodzącą Muszkę, zaczął się dziwić sobie, jak mógł tak długo wytrzymać w odosobnieniu, nie korzystając z możliwości choćby chwilowego wydostania się z nędzy życiowej, w jakiej przebywać był zmuszony. Właśnie dnia tego, rano, matka po raz pierwszy zażądała jego pensji biurowej, i on przyznać się musiał, iż wydał ją na wynajęcie domina i rozmaite inne akcesorya balowe. Miał wprawdzie jeszcze w kieszeni kilka guldenów ale zataił tę wiadomość, chcąc kupić sobie świeży krawat i rękawiczki. Wielohradzka, słysząc odpowiedź syna, zbladła: widocznie liczyła na te pieniądze na spłacenie długu lub na bieżące wydatki. Nie zrobiła mu ani słowa wymówki, lecz, milcząc, z czołem przeciętym głęboko zmarszczką, wyszła do kuchni, gdzie pozostała długą chwilę zamyślona i nieruchoma. Wieczorem, widząc, iż Tadeusz ubiera się we frak

i gotuje do wyjścia, spytała go prawie sucho, bezdźwięcznym głosem:

— Idziesz na bal?

— Tak, proszę mamci.

— Do namiestnictwa?

— Nie, do hrabiostwa Orzeckich.

Dodał ów tytuł „hrabiowski” do nazwiska Orzeckich dla pogłaskania dumy matki. Lecz ona, wbrew swojemu zwyczajowi, nie okazała mu rozradowanej twarzy w żółtym świetle lampy przyciemnionej abażurem. Miała ciągle ten wyraz troski powszedniej, trywialnej, codziennej, która je jak skorpion, gryzie duszę jak miał węglowy — palce. Teczka również zdawała się być zgnębioną nawałem roboty karnawałowej, przeróbkami przeszłorocznych sukien, z których koniecznie należało zrobić nowe stroje. Przytem te dwie kobiety, stara i młoda, żyły się tak razem w tej ciągłej pracy, że zdawały się mieć wspólne troski, myśli, uczucia. Na czole Teczki rysowała się ta sama zmarszczka, która żłobiła czoło Wielohradzkiej. To samo smutne ust zacięcie i pochylenie głowy. Z tem wrażeniem jakiegoś powszedniego smutku i zziębnięcia moralnego wyszedł Tadeusz na drugi bal do Orzeckich. W salonie, przy dźwiękach muzyki odżył, a nadejście Muszki dopełniło jego metamorfozy. Muszka przesunęła się jak cień przez salon i zniknęła we drzwiach małego



pokoiku, który, zastawiony nieuniknioną japońszczyzną, nosił nazwę „małego salonu”.

W przesunięciu się tem pozostała w pamięci Tadeusza gorąca barwa rudego aksamitu, z którego zrobiona była suknia Muszki. W barwie tej mieściła się cała masa odcieni, począwszy od rubinowych refleksów, skończywszy na żółtawopłowych blaskach. Podobnej barwy kosztowne futro bramowało dół sukni, jak wąż olbrzymi i wierny. Na głowie skrzyła się korona z rubinów. Dwie szeleczki z łańcuszków złotych, przetykanych rubinami, ścigały na ramionach stanik, z którego spadały olbrzymie bufiaste rękawy. I jeszcze w oczach Wielohradzkiego pozostało wrażenie olbrzymiego koła wachlarza ze złotych koronek i perłowej masy, unikat łączący materiały epoki Ludwika XVI z formą japońskich ekranów i

Przez cały prawie wieczór Muszka pozostała w „małym salonie”. Sprytem kobiecym odgadła, iż rywalizować z Dorą Hohensteigen Higeringen jest dla niej rzeczą niemożliwą. Sytuacja jej nie dozwalała flirtu i nadmiernego tańca. Obnosiła teraz wszędzie z sobą majestat dyplomatyczny swego męża i wiedziała, że ten majestat będzie zaporą nieprzelamaną w odzyskaniu dawnych sukcesów salonowych. Wolała więc zrezygnować sama i, nie pospolitując się w tanecznym gronie, stworzyć dokoła siebie rodzaj cercle'u, w którym łatwo zająć może

królewskie stanowisko. Chciała zająć miejsce starej pani Bodockiej w świecie dyplomatycznym i teraz już zaczynają grać swą rolę z nieporównaną zręcznością. W pierwszej chwili nastąpiło pewne zdziwienie, na widok, z jaką łatwością Muszka abdykuje z berła królowej balu. lecz prędko dokoła jej fotelu utworzyło się grono wesołych causeurów, tych, których dreptanie w tańcu nudzi lub męczy, i którzy, zblazowani na wdzięki dziewcząt, chętnie garną się w kąci, w których, jak sygnały łatwej rozmowy, powie" wają wachlarze mężatek.

Wielohradzki, przykuty do sali balowej obowiązkami wodzireja, tańczył ciągle, lecz coraz więcej wykręcał głowę w stronę małego salonu, z którego chwilami dolatywały go wybuchy śmiechu Pozbitowskiego. W pauzach pomiędzy tańcami widział, iż wiele osób wchodziło do japońskiego pokoju, lecz on, zdjęty zwykłą nieśmiałością, wejść tam nie śmiał. Ludzie ci byli u siebie, pomiędzy sobą, rozumieli się i bawili doskonale wśród porozpinanych po kątach parasoli i fałszywych kakemonosów porozwieszanych na ścianach. Lecz on, oprócz tańca, nie miał z nimi nic wspólnego. I obwieszony, jak koń, chomałami kwiatów, orderów i szarf kotylionowych, zaczął w głębi duszy czuć głuchą nienawiść do nich wszystkich, tak jak wtedy, gdy w Paprotce czuł się odosobnionym Twardowskim, zawieszonym pomiędzy niebem i ziemią...

Z najwyższą pasją zaczął ustawiać pary do dalszego ciągu kotyliona, przerwane dzięki Dorze, która, wbiegłszy do saloniku, nie mogła się zdecydować na opuszczenie tego wesołego grona. Wielohradzki stał tuż przy drzwiach, lecz nie

chciał nawet na chwilę wejść do tej zalanej potokami czerwonego światła przestrzeni, wśród której odczuwał obecność Muszki.

I nagle, z pośrodku siedzących podniosła się Muszka i chwileczkę zarysowała się sama po nad całą grupą czarnych fraków, ostrzyżonych głów i powichrzonych fryzur kobiecych. Krwawe oświetlenie nadawało jej ramionom i twarzy żółtość kości słoniowej. Całe snopy purpurowych iskier płonęły w koronie jej rubinów. Wielohradzki stał przy progu zmieszany, nie mogąc się cofnąć, patrząc mimowoli na to błyszczące widmo, śmieszny w massie kwiatów, zwieszających mu się na piersi, z bładozieloną wstęgą wodzireja, związaną na lewym biodrze w preten syonalny węzeł, odpowiedni dla prowincjonalnego tenora.

Muszka podniosła do oczu lornetkę, osadzoną na długiej rączce, wysadzonej rubinowemi cyframi, i sekundę jedną patrzyła tak na Tadeusza z miną na wpół kokotki, na wpół wielkiej damy, przyglądającej się czemuś dawniej znanemu i uleciałemu ze zbyt krótkiej pamięci.

Wielohradzki odczuł wybornie śmieszność swej

sytuacji i arogancję tego spojrzenia. Odnalazł w niem panno Dobrojowską, powiększoną rozmiarami pani Maleniowój. Cofnął się w tył, lecz Muszka w tej samej chwili opuściła rękę i zginęła w tłumie powstających mężczyzn. Równocześnie we drzwiach zjawiała się księżniczka i, śmiejąc się, wyciągnęła jakby do lotu swe prześliczne ramiona. — Me voila! — zawołała wesoło. I w wirze walca dostrzegł jeszcze Wielohradzki, jak Maleniowa z królewską powagą przechodziła przez salon w towarzystwie Orzeckiej i stryja Dezyderego; Maleni bowiem bawił w Wiedniu. Wielohradzki, narażając się na upadnięcie razem ze swą tancerką, przesunął się jednym susem na drugi koniec sali, aby nie znaleźć się na drodze Muszki.

Pani Maleniowa wyszła z salonu i za chwilę Orzecka powróciła sama. Maleniowa odjechała.

Równocześnie z jej odejściem ogarnęło Wielohradzkiego podwójne uczucie. Doznał ulgi i uczucia opuszczenia. Bez werwy i imaginacji dokończył kotyliona, skrócił figury i przyśpieszył zakończenie. Wyszędłszy na ulicę, szedł chmurny i zamyślony. Wzrok Muszki, jaki padł na niego z po za szybki lornetki, świdrował mu mózg i odnajdywał dawne, zastygłe już klisze. Tego rodzaju spojrzenie panny Dobrojowskiej nieraz już smagało Tadeusza jakąś litościwą ironią. Dlaczego jednak była inną w loży, tak banal

Lecz dnia tego nadzieja Teci doznała zawodu.

Tadeusz, zdjąwszy w przedpokoju palto i kalosze, przesunął się przez pokój jak cień, jak Muszka, i zaledwie skinąwszy głową na uprzejme „dobry wieczór panu!” dziewczyny, zamknął się w swoim pokoju.

nie podnieconą, niemal natarczywą? I znów w umyśle Tadeusza powstało pytanie dawne i nierozwiązane: „dlaczego?” Wchodząc na próg mieszkania, zapomniał o możliwości zastania jeszcze Teci i matki przy pracy. Lecz matka spała ubrana, z kompresami z różanej wody na zboląłych powiekach.

Przy stole na zwykłym miejscu siedziała Teca, schylona nad falbaną tiulową, w którą nawłóczyła pracowicie wążuchne różowe wstążeczki. Chude palce dziewczynki białły wśród delikatnej tkaniny. Z pod abażuru lampy padał krąg światła na leżące na stole przedmioty i wydobywał zimny srebrny blask z napastrka i nożyczek. Na odgłos kroków Tadeusza, Teca podniosła głowę. Pewna radość odbiła się na jej zmęczonej twarzy. Przeciągała teraz umyślnie tak długo nocne czuwanie, aby zobaczyć Tadeusza powracającego z balu. Obecnie spaceru ich poranne ustały z nadejściem zimy, a od pewnego czasu Tadeusz okazywał Teci dziwnie kapryśne i nierówne wybuchy czułości, to znów zupełnego zubożenia. Dziewczyna jednak zapamiętała jego gorące pocałunki w chwili powrotu z maskarady. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia przestachu, uczyła wielką rozkosz, przypominając sobie tę chwilę. I pragnęła, aby się powtórzyła ta sekunda radości. Pracowała na nią noc całą, i gorącą myślą pragnęła ją sprowadzić jak promień wiosenny przyłot jaskółek.

## VIII.

— Ja kostium swój sprowadzam z Krakowa — wyrzekł Pozbitowski, naciągając palto na plecy. — Przy Floryańskiej ulicy jest hafciarz, który wyszywa wspaniałe kierezye. Będę miał na plecach koguta i dwie kury.

— Sukmanę będziesz miał białą? — spytał Malewicz.

— Nie... granatową atlasową, a ty?

— Ja białą sukienną!

— To źle, będziesz się wyróżniał.

— O to właśnie mi chodzi.

— O co? o co panu chodzi? — pyta po francusku Dora HohensteigenHigmeringen.

— O pozyskanie pani serduszka... — odpowiada w tymże języku Malewicz.

Ładna panienska wybucha śmiechem.

— Cóż znowu? jesteś pan przecież narzeczonym!

— Cóż znaczy? Zresztą ja mówię o pozyskaniu pani serca... nie mówię o oddaniu mojego .. To różnioa!

Dora śmieje się i, opiera kształtną nóżkę o podstawę pieca, który sterczy w rogu zimnej i zbyt widnej sali. Białe, długie zasłony zwieszają się melancholijnie u olbrzymich okien. Jasnoperłowe ściany przecina gdzieniegdzie tafla luster. I wszędzie kinkiety gazowe, wystygłe i zamarłe, całymi gronami zakurzonych winogron sterczą wśród tej zimnej pustki.

Pośrodku sali niewielka grupa ludzi, otulonych w palta, futra, rotundy i żakiety. Wszyscy zziębli, przeskakują z jednej nogi na drugą, mężczyźni, trzymając ręce w kieszeniach, kobiety, tuląc mufki do twarzy. Orzecka, w szarej angorze i popielatym, aksamitnym bereciku, najwytrwalej znosi chłód, zawsze pełna werwy, animuszu i dobrego humoru.

— Zaczniemy raz jeszcze... — woła — no! dalej, dalej...

I podaje rękę Bodockiemu, który, uderzając hołubca, sunie naprzód.

— Miouście!.. — skrzeczy z pod pieca Pozbitowski.

Lecz już Charłupko mazurowym krokiem zmierza ku niemu i zręcznym ruchem przykłęka tuż u nóg księżniczki.

Panienska podaje mu rękę, odrzuca w tył mufkę, zawieszoną na wstążce, i biegnie na środek sali.

Cienki głos skrzypiec odzywa się z kąta nutą krakowiaka.

Charłupko wyprowadza księżniczkę i obejmuje ją wpół silnem ramieniem dobrze zbudowanego mężczyzny. Ona, wiotka i smukła, w swoim piaskowej barwy zakiecie, wspina się na palce, pragnąc oprzeć dłoń na jego ramieniu. Za nimi ustawiają się inne pary: więc Starzycka z Malewiczem, druga panna namiestnikówna z Pozbitowskim, Musia Bordnicka z młodszym Baworkowskim, Orzecka z Bodockim, wreszcie, na samym końcu, czarna, wielka, tragiczna postać Kafthana, tańczącego z czwartą panną namiestnikówna. Jest to figiel Malewicza, lecz wielkie zdziwienie ogarnęło klan „kasynowców”, gdy zobaczyli pewien rodzaj zadowolenia na twarzy Kafthana w chwili ogłoszenia mu nazwiska jego tancerki.

Z boku, równając pary, jak oficer wobec mustrujących się rekrutów, galopuje Wielohradzki, ustawia, poprawia, daje instrukcya. Wszyscy słuchają go z nadzwyczajną uwagą. Niemała to bowiem partya do zagrania to „Krakowskie wesele”, które ma wpaść do sali resursy, w której ma odbywać się za tydzień bal na dochód Towarzystwa Magdalenek. G. Zapolska.—Wodzirej. Tom II.

Stara pani Rodocka jest patronesą tej instytucji. Naturalnie, wpływem sjoim i stosunkami stara się uświetnić program tego balu.

Dwanaście par, złożonych z kwiatu high life'u lwowskiego, a raczej galicyjskiego, punkt z uderzeniem dwunastej ma wpaść z brzękiem podkówek, z szelestem wstążek i piór pawich, i odtańczyć krakowiaka ze „śpiewkami”. Pierwszą parę stanowić będzie Charłupko z księżniczką, której przypadła w udziale rola panny młodej. Od tygodnia zgrabna wiedenka wprawia się w pas krakowiaka i oberka i tańczy teraz doskonale, z nadzwyczajnym wdziękiem i brawurą. Na Wielohradzkiego spadł ciężar ułożenia tańca i całego baletu. Teraz Tadeusz nie myśli nawet o wymawianiu się od wzięcia udziału w podobnych zabawach. Owszem, porywa go jakiś szał. Odżywa tylko wśród balowej wrzawy. Nigdy tak chętnie nie uciekał z domu i nie śpieszył na bale. Zaczyna ubierać się dwie godziny wcześniej, tak wielką rozkosz sprawia mu sama myśl i przygotowania do nocnej zabawy. Nie odrzuca żadnego zaproszenia. Prowadził już tańce u

Baworkowskich i Lubeckich. Lecz fantazja jego wyczerpała się. Z trwogą widzi, iż nie jest w stanie utworzyć nowój kombinacji, nakreślić nowej figury. Przeżuwa jeszcze dawne pomysły, strojąc je w girlandy przerozmaitych nowości, lecz w gruncie

rzeczy dostrzega pustkę zupełną. Nazywa to brakiem natchnienia i zwała winę na matkę i na Tecię, które, jakieś chmurne i milczące, drażnią jego nerwy. Ucieka z domu i przedłuża teraz swoją obecność w biurze. Instynktem zgaduje nędzę i materyalne kłopoty, które blakają się, jak cienie, wśród ścian mieszkania. On zaś, cały przejęty oderwanymi myślami, nie chce, nie może zastanowić się nad smutnem położeniem tych dwóch niewolnic, które egoizm jego za nim wlecze.

Z trudem najwyższym, w pocie czoła, zdołał Tadeusz złatać kilkanaście figur krakowiaka.

Po tój wyczerpującej pracy kilka dni chodził milczący, zmęczony, lecz, wbrew dawnemu zwyczajowi, Wielohradzka nie okazała mu zwykłego w takich razach współczucia.

Tadeusz wzruszył ramionami i zdecydował, że matka stanowczo rojw się egoistką,

Z ćwiartką papieru w ręce, zakreślona rozmaitemi zygzakami, biega Tedeusz po zimnej sali Towarzystwa Muzycznego, w której odbywają się próby krakowiaka.

Biega, cały siny od zimna, w długiem, szarawem palcie, z barankowym, czarnym kołnierzem, które daje mu fantazyjną cechę jakiegoś chłopca w świecie, przebranego za dandysa.

Czapka karakułowa, lekko przechylona na ucho,

kryje mu całe czoło. Welniane, bronzowe, w kratę, z pomarańczową barwą, rękawiczki angielskie, niezgrabne, powiększają mu dziwacznie ręce i przedłużają palce.

Nareszcie ustawił równo pary i teraz sam wchodzi w rząd, obejmując szczupłą talię trzeciej panny namiestnikówny.

Chwila uroczystego milczenia, wreszcie głos Tadeusza wzbija się pod brudny i dawno uieczyszczony sufit: ; v'

— En arant! całe koło! ..

Z szelestem jedwabnych spódnic i szuraniem nóg, pędzą tańczący i na komendę Tadeusza zatrzymują się w miejscu.

Jeden tylko Kafthan zatacza się jak pijany, co wywołuje głośny chichot Malewicza i złośliwe uwagi młodego Baworkowskiego.

Teraz dwójkami, czwórkami schodzą się i rozchodzą ciągle pod komendą Wielohradzkiego, który, zgrzany, z paltem rozpiętym, lata, biega, skacze, woła, piszczy, zaklina, żebrze prawie o trochę uwagi. ' : .

Z brwiami zmarszczonemi, z ustami zacisniętymi słuchają go uważnie panowie i damy, czując całą ważność roli, w jakiej publicznie wystąpić mają.

Godziny upływają za godzinami. Życie pędzi z bezpowrotną szybkością. Wielkie pytanie: co zro

biłeś z czasem? przechodzi bez wrażenia, bez echa. Z okien pada sinawy cień zachodzącego słońca. Skrzypce rzempolą z pod serca wiejskiego wydartą piosenkę. Szmer jedwabnych spódnic i szuranie butów zagłuszają prawie, owijając w miejską cywilizacyjną szarotę. Dusza piosenki ucieka i pozostaje szkielet baletowego tańca.

#### IX.

Jak widmo fantastyczne i dziwaczne, tak teraz przesuwała się przed wzrokiem Wielohradzkiego Muszka wśród sal balowych.

Spotkał ją kilkakrotnie, nawet zdołał się jej uklonić, lecz nigdy nie zamienili już z sobą kilku wyrazów, nawet kilku spojrzeń.

Maleniowa przechodziła teraz mimo Tadeusza, jakby nie znała go wcale, jakby ten wodzirej, skaczący wśród całej falangi fraków, nie był jej nigdy prezentowany. Znów lodowata, zimna, wyniosła, obnosiła wśród salonów swą wielką piękność i rodowe brylanty Malenich z godnością nieruchomą drewnianego Buddy.

Nigdy w oczach jej nie zabłyśł ognik ciekawej gorączki, jaką objawiła w ciasnej przestrzeni łoży. Przesuwała się koło Wielohradzkiego, jak koło lokaja, i znikła zawsze w buduarach, salonikach,

gdzie natychmiast otaczaną była zwykłym swym dworem causeurów.

Renoma jej tualet dziwnych i niechwytnych z banalnych świstków żurnalowych rozchodziła się teraz szeroko.

Komentowano każdy jej strój, uczesanie, sposób noszenia bransoletek i wachlarza. Na ślizgawce zjawiała się z maleńką jaszczurką, uczepioną na złotym łańcuszku, tuż przy jej szyi.

Włosy jej, uczerwione kataplazmami z Henne, nabierały teraz prześlicznej złotaworudej barwy. Tworzyły dokoła jej twarzy rodzaj świetlanej aureoli i nadawały jej czar, którego niepodobna opisać. Równocześnie rysy za pomocą elektrycznego masażu wyciągnęły się i jeszcze więcej Wy szlachetniały. Stawała się teraz powoli kusząco piękna.

Patrzyła z pod przysłoniętych rzęs, uczernionych umiejętnie i kunsztownie. W spojrzeniu tem znać było wielką i silną woję, chwilowe może osłabienie pod wpływem namiętności, lecz osłabienie to skrywane silnie w najgłębszych tajnikach jej charakteru. Gdy przechodziła przez salon, pozostawało po niej smuga niepokoju nadzmysłowego, coś jakby z przejścia upiora wśród nocnej ciszy. Nie zapominała się nigdy, nawet wśród najłżejszej rozmowy, i potrafiła

prowadzić ją W ten sposób, że to partner jej, a nie ona, rzucał w przestrzeń lekkie słowa i drażniące myśli. Z całą swobodą i cudowną intuicją weszła w rolę mężatki i nigdy nie miała w sobie sympatycznego załę

jednak nie myślała wiele, tylko czuła, iż wzięcie udziału w ogólnej rozmowie ztraci w niej czar wyodrębnienia. I zdawała się szydzić, być z nimi, lecz nie ich, uciekać duchem w chwili znudzenia, powracać i krążyć dokoła, jak ptak widmem nocnym spłoszony. Ci wszyscy „koniarze i jej rówieśnice nie zdawali sobie dokładnie sprawy z tego, co czuli w jej obecności, lecz, gdy odeszła, gdy była od nich daleko, powracali ciągle myślą do jej postaci, do wyrazu jej ust rozchylonych, płowych barw jej sukien i jej milczenia, ciągnącego ku sobie, jak tafla stojącej wody. Tymczasem w karecie, wiozącej Maleniowa w stronę mieszkania Dezyderego, który młodą parę „na karnawał pomieścił u siebie, młoda kobieta, otulona w puch futra, siedziała napozór spokojna i zmęczona. Lecz szczęki jej zaciskały się nerwowo tak silnie, że usta wyginały się w podkowę fatalnego grymasu. Był to jedyny objaw, iż nerwy w niej nie zmartwiały zupełnie, i kobiecość, zbudzona małżeństwem, nurtowała teraz bogactwo sił jej młodości.

Powóz się zatrzymał i w świetle latarni stojący przy drzwiczkach lokaj oglądał już martwą maskę swej pani, zwykłą maskę egzotycznej lalki otulonej w delikatną miękkość jedwabnego, podbitego pluszem kapturka.

knienia nowozaślubionych. Z mężem obchodziła się obojętnie i zimno, lecz z pewnym rodzajem szacunku. Widocznym jednak było, iż szacunek ten głównie jest oparty na czei dla wysokiego dyplomatycznego stanowiska, które zajmował Małem. I była tak bardzo przejęta wielkością tego stanowiska, iż nie dopuszczała napozór nawet do niewinnego flirtu. Postępowanie jej było correct w całym słowa tego znaczeniu. Ciągnęła za sobą massy, uwiel bkmie tłumy, lecz zdawała się nie czynić żadnego wysiłku, aby to uwielbienie pozyskać. I tak, jak umiała nosić brylanty, tak samo potrafiła już zaznaczyć swą odrębną wartość moralną wobec świata. Zdawało się, że wzięła za dewizę „ne toitchez pas la reine i, zastawiwszy się tarczą tej królewskości, od pierwszej chwili czyniła wszystko, aby nawet cień podejrzenia nie przesunął się po jej imieniu.

Zdawała się nie spostrzegać, iż ten jej chłód i wyniosła poprawność działają podniecająco na każdego professional lover) który się do niej zbliżył, AVśród gorączkowej wesołości i dziwacznej atmosfery podniecenia, jaką dokoła siebie wzbudzała, nie śmiała się nigdy, z głową cokolwiek spuszczoną na piersi, z ustami nawpół rozchylonemi. Zdawała się analizować, badać tych ludzi, myśleć o nich całe zagadkowe światy. W gruncie rzeczy

za mało... imponujące. Wszystkie jej stroje składały się z kombinacji rudawozłotej, tak, jak jej włosy, które zmusiła do odbłasków gorącego kruszcu, błyszczącego w promieniach zachodzącego słońca, I często, znużona krwawą spalenizną swego stroju, szukała oczyma jakiejś bladoliliowej sukni i oczy jej odpoczywały, a cała istota nabierała pewnej harmonii i spokoju.

Z miuą królowej i władczyni była niewolnicą swej własnej podłości, lękliwej, płaszczącej się przed potworem „konsyderacyi” światowej.

Ujęta niewolą konwenansów, obnosiła z sobą trupa siebie samój, maryonetkę nakręconą według pewnej modły, i ten trup, ta lalka zrosły się już tak dobrze z nią samą, iż ona nawet czuć przestawała, co było w niej fałszem a co prawdą. Nie mając ani okruszyny wiary, modliła się długo i często, nawet wtedy, gdy była sama. Czytała gorliwie Modlitwy, nie pozwalając ani jednej własnej myśli przesunąć się przez umysł. Z uczuciem ulgi zamykała książkę i wstawiała z klęcznika już zupełnie obojętna i mistycznie wystygła, przekonana, iż w chwili modlitwy była zupełnie corrette i zachowała pozory szczerości.

Widziała przed sobą życie długie i wygodne, jak drogę słoneczną i dobrze utrzymaną. Ona, na koźle mailcoach'a powoziła czwórką materyalnego, dyplomatycznego, światowego i moralnego powodzenia.

Moralnie była to najdoskonalsza i typowa panna, dobrze wychowana i dobrze urodzona. Nie była ona ani lepszą ani gorszą od tych, które razem z nią tańczyły kotyliona. Wiedziała, iż na świecie jest nędza, i że ci, którzy mają dużo, powinni być „miłosierni”. W wielki post robiła powijaki i włóczkowe kaftaniki dla ubogich dzieci. Lecz to, co posiadała, należało się jej wedle jej pojęcia. Z nowych prądów nie znała ta kobieta nic i znać nie chciała. Czytała Lottiego, Bourgeta, Stendhala i tych autorów polskich, którzy u nas funkcję podobną w literaturze spełniają. Przerzuciła raz „Eve future” Villiers de l'Isle Adam'a, i nie zdziwiła się nawet, że nic nie zrozumiała z tych genialnych myśli. Gdy była we Włoszech, Botticelli i Piotr dei Santo pociągnęli jej wzrok czystością prawdziwego arcyzmu, lecz nie zatrzymała się przed nimi, gdyż całe towarzystwo szło podziwiać woskowe gabinety naśladowców Rafaela. Ciągnęły ją ku sobie tęsknice niskich piosenek, lecz zadawała gwałt swej duszy, udając, że lubi.. Masseneta. I we wszystkim i zawsze ta kobieta czyniła sobie przymus ciągły, bezustanny, regulując (teraz zwłaszcza) swe słowa, ruchy, czyny, stroje, niemal myśli, do składu galeryi widzów, która ją otaczała. Kolory lila i bledozielony sprawiały jej oku przyjemność. Wzrok jej lubował się w tych barwach, lecz wygnała je ze swej toalety, gdyż były

Nie mogła i nie chciała poniżyć się do zbliżenia z kimś; nie należącym do jej świata. Ostrożność tę przed wystawieniem na śmieszność Maleniego dyktowała jej pycha i ambicja wygórowana.



Tadeusz nie należał właściwie do „świata” i nie liczył się.  
Dlatego też...

Mąż jej od czasu do czasu kierował lejce lub podcinał leniwszego rumaka. Za nią, jak dwór królewski, ciągnęły inne ekipaże karyerowiczów, biegnące także do celu Wszeckzadowolenia. Lecz ona trzymała ciągle czoło tej wyścigowej linii i nie miała nigdy zamiaru dać się wyprzedzić komukolwiek na galicyjskim torze. Raczej przejechać po trupach, niż pozwolić się zdystansować w tem steeplechase. Nie lubiła Wiednia, gdyż tam wobec arcyksiężniczek musiała schodzić na plan drugi. Woląla wypełniać ciasnotę parafialną Lwowa majestatem swej piękności i stanowiska.

W gruncie rzeczy była to natura zmysłowa i prosta, ładnie artystyczna, lecz spaczona w kierunku artyzmu banalnością powszednią. Dobrojowscy byli świeżo upieczoną arystokracją galicyjską. Pochodzili z małomiasteczkowych łyków. W Muszce gorzał temperament dobrze rozwiniętej rusinki, mozolnie doprowadzonej do anemii dobrobytem i pozorem cywilizacji.

Niemniej przeto w trupie tej kobietykaryerowicza żyła kobieta prawdziwa, żywa, pełna jeszcze sił niezsmarowanych i chcących być spożytkowanymi w jakimkolwiek kierunku. Nieprzytępione pracą intelektualną, rwały się w stronę zmysłów i budziły w niej przecucie wielkich a niedozwolonych rozkoszy. Lecz nawet i w takich chwilach Muszka pamiętała o godności dyplomatycznej, jaką mąż jej piastował.

x.

Rozpacz ogarnęła Tadeusza u myśl o zbliżającym się balu.

Nie miał kostiumu, a codziennie słyszał w biurze i na próbach o cudach, jakie miały być wyszyte na kierezyi

Pozbitowskiego, o butach Malewicza, o brzękadłach Kafthana,

On jeden pomiędzy nimi wszystkimi nie zajął się swym strojem, i to go doprowadziło do rozpacz. Kilkakrotnie już chciał pomówić w tej sprawie z matką, lecz Wielohradzka, zgnębiona jakąś i chmurna, nic zachęcała go ani słowem do rozpoczęcia tej rozmowy.

Raz nawet, gdy Tadeusz, z pewną nieśmiałością, zawiadomił ją o wzięciu udziału w owym krakowiaku; o którym teraz cały Lnów mówił, Wielohradzka wzruszyła ramionami i zacięła usta, szyjąc z podwójną gorliwością.

— I co? — pytał Tadeusz, przybierając swe

dawne kocie miny — mameczka nie cieszy się, że Tadzio przed starą panią Bodocką zaaranżuje krakowiaka. Wielohradzka milczała chwilę, wreszcie odparła:

— Cieszę się... ale...

Ale co?

— Ale myślę, co począć... Zimmermanowi nie zapłaciłam dwóch rat... Żyd dość grzeczny, ale dziś bardzo stanowczo zapowiedział mi, że dłużej czekać nie będzie.

Wielohradzki porwał się z krzesła i zaczął szybko chodzić po pokoju. Ta nędza materialną doprowadzała go w tej chwili do szaleństwa. Czuł, iż stracił w matce sprzymierzeńca swych pierwotnych uciech. Zły i gniewny, ze zmarszczką na czole, nie chodził, lecz biegał po wąskiej szufladzie pokoju, jak zwierz zamknięty w klatce. Nagle zbliżył się ku matce i stanął przed nią.

— Mateczko.. — wyrzekł, hamując się z wysiłkiem — ja muszę być na tym balu, ja muszę mieć kostium!...

Wielohradzka nie podniosła oczu, nie przestała szyć, lecz powieki jej szybko migotały, jak spłoszone motyle.

— Ja,.. przyrzekłem pani namiestnikowej!... kłamał Tadeusz, widząc matkę nieruchomą i nie entuzjazmującą się bynajmniej na stanowczy ton jego mowy.

— Przyrzekłem pani namiestnikowej, a co ważniejsza, tańczę z jedną panną namiestnikówną. Mama rozumie, że nie mogę zrobić afrontu i w ostatniej chwili powiedzieć, iż nie mam sobie za co sprawić kostiumu.

— Dzień dobry pani!—mówi, nie wstając z miejsca.—Pani daruje, że nie wstałam, ale się ugrzewam. Stara jestem.

— Proszę, niech pani Pake siedzi — uspokaja ją Wielohradzka i zaraz przystępuje do kwestyi zaciągnięcia nowej pożyczki, tak, jakby chciała odrazu z serca swego zrzucić ciężar, który ją przytłacza.

Lecz pani Pake kiwa głową i marszczy się cała, jak stara cytryna.

Nowa pożyczka?... to trochę trudno.. ta jeszcze nie spłacona... Przytem ona wie, że Wielohradzka jest bardzo godna osoba, tylko, że ma duże długi, i to po rozmaitych miejscach. Jakże pani Pake może jeszcze pożyczyć?

Wielohradzka, przecibła chłodem, panującym w sklepie, stoi widocznie znużona i wyczerpana. Opiera się o kontuar i nie widzi nawet, że subjekt podsuwa jej trójnożny zydelek.

Pani Pake kładzie i zdejmuję mitynki, kiwając wciąż głową.

— Mnie pani żal—mówi znów powolnym głosem, a słowa jej padają w zimną ciemnię sklepu, jak krople wody na lodową powierzchnię — ale eo pani mi

daje za gwarantowanie? Pani nie ma żadnych nieruchomości.

— Mam meble...—wtrąca nieśmiało Wielohradzka — mam maszynę...

— Ech! — odpowiada lekceważąco stara żydówka — meble, to jak meble... co tam za wartość?... a maszyna? pani ma Singerówkę? a co to teraz znaczy? byle stróż dostanie Singerówkę na raty!... Aj aj!  
Siedziała wciąż skurczona po za kontuarem i zaledwie czubek jej głowy było widać. Słysząc było tylko jej głos leniwy i matowy. Wielohradzka oparła się teraz obiema rękami o kontuar i czuła się coraz więcej znużoną i zziębłą.  
— Ale ja pani co powiem... — podjęła znowu żydówka — mnie żal, że taka godna osoba z pakudnemi takimi żydami, jak Zimmeinan; się opędza .. ja od pani nabędę wszystkie długi i pani mnie weksel podpisze... od tej pory pani będzie mieć ze mną do czynienia...  
Wielohradzka doznała olśnienia.  
Było to jej marzeniem pozbyć się tych drobnych dłużników, przed którymi teraz zaczynała się kryć i lękać się ich zjawienia. Z wdzięcznością spojrziała na szal, w którym się kryła jej wybawicielka.  
— Ale się pani musi na coś zgodzić...—ciągnęła pani Pake—ja pani meble i maszynę zajmę i do pani użytku zostawię... To dla pewności dla moich sukcesorów... boja pani wierzę, ale to dla sukcesorów...  
G. Zapolska. — Wodzirej. Tom U.

Wielohradzka brwi zmarszczyła.

Wejście urzędników, opisujących meble, taksatora, tej całej czarnej bandy, stanowczo kompromitowało ją w oczach całego domu.

— Te panowie... —mówiła pani Pake—przyjdą sobie raniutko, i to po jednemu, ażeby nie było gwałtu i żeby ludzie w kamienicy nie wiedzieli. Po co kto ma wiedzieć? Nawet stróż nie będzie wiedział, do kogo oni idą...

Wielohradzka uspokoiła się. Skoro nikt nie będzie wiedział, eo jej szkodziło przejść tę prostą formalność?

— Pani mi spisze, co komu winna, aja się z nimi ułożę... ciągnęła—później pogadamy o procent...

— A da mi pani Pake trochę gotówki?

— No!... a ile pani potrzebuje?

— Siedemdziesiąt guldenów.

— Aj, aj!., takie wielkie pieniądze... I na co to pani, kiedy ja długi zapłacę?...

Wielohradzka nie odpowiedziała ani słowa. Wstyd jej było przyznać się, że za te pieniądze chce sprawić kostium krakowski synowi.

— Ja dam pani pięćdziesiąt, pani mi da podpis na sto i zapłaci mi pani rate co miesiąc po dziesięć guldenów...

Dobrze?...

— Dobrze!... — odparła Wielohradzka.

— Niech pani mi te listę dłużników napisze. Subjekt! daj wielmożnej pani pióra i papieru, a prędko.

Za chwilę Wielohradzka, siedząc na zydelku, opisywała zziębłą ręką:

zimmermanowi.....guld.

W rynku za podszewki.....

Na Krakowskiej za pasmanterye

U lampiarza.....

U szewca.....

Za nici, igły, fiszbinę .... — cent.

dalej szła ta litania długa, nieskończona, znacząc dzień po dniu coraz większy upadek nędzy powszedniej.

Wielohradzka pracowicie przypominała sobie te drobiazgi i od czasu do czasu wzrok jej zaćmiony zatrzymywał się w kącie, w którym czerniła się chustka okrywająca panią Pake i jaśniał wazki pasek jej czoła.

W kącie subjekt, przyzwyczajony do scen tego rodzaju, z chłodną obojętnością przypatrywał się wytartym tumakom Wielohradzkiej i dziwił się w duszy: dlaczego pani Pake wchodzi w taki duży interes z taką bardzo „znędzoną” osobą? Gdy Wielohradzka w pół godziny później wyszła ze sklepu, niosła paczkę, w której znajdował się granatowy atlas i purpurowy aksamit.

Przeszła ulicę i wszedłszy do sklepu, w którym sprzedawano szych i świecideła, kupiła znaczną ilość blaszek, złotych nici, świecideł i frendzli.

Znużona i zziębła powróciła do domu.

## XI.

Nigdy jeszcze z takim niepokojem nie ubierał się Tadeusz, jak w dniu balu kostiumowego.

W wigilię przymierzył buty, a w czapce z pawiem piórkiem jadł obiad i pił herbatę. Mówił, że to dlatego, aby włosy ulegały się dobrze pod barankiem i aby przyzwyczał się do noszenia tego stroju z fantazyą i z chłopską. Był w doskonałym humorze, lęk się tylko, czy matka i Teczka wykończą haft kierezy na czas i czy haft ten będzie dosyć bogaty.

Teczka nie kładła się już czwartą noc z rzędu. Oczy jej zapuchły od ciągłego patrzenia na świecące nici, a palce miała nabiegłe krwią i obrzmiałe. Widząc jednak, jak gorączkowo Tadeusz pragnął, aby jego kostium był najpiękniejszy, postanowiła dogodzić jego kaprysowi i wszelkimi siłami starała się zadowolnić jego wymagania. Wielohradzka niewiele jej pomagała z powodu swych osłabionych oczów. Cały więc ciężar pośpiesznego zrobienia kostiumu spadł na Teczka.

Stare żydówki siedziały ciągle przed bramami domów lub u stopniach sklepów, odziane w perłowe bindy i z garnkami węgla, ukrytymi w fałdach szerokich spódnic.

Na środku ulicy krzyczały dzieci o płomiennych ustach i czarnych jak onyksy oczach. I tylko słońce teraz prawie znikło zupełnie i znaczyło się za ledwie bladą żółtą plamą. Po ziemi kłęby pary marzły i z liliowych robiły się sine. W oddali, na rynku, na ratuszowym zegarze biła powoli czwarta godzina.

flakoników, pilników i nożyczek. W sekrecie uczernił sobie trochę brwi i lekko upalonym korkiem podsinil oczy, aby wydać się bardziej interesującym. Gorączka paliła go całego. Kierezya była jeszcze niewykończona, a zegar wskazywał pół do dziewiątej. Krakowiak miał być wykonany o północy, lecz Tadeusz drżał cały z niecierpliwości, chcąc zobaczyć całość kostiumu,

W kuchni Wielohradzka odprasowywała atlas sukmany. Teczka, zgięta we dwoje, niemal nieprzytomna ze znużenia, kończyła obszywać kierezyę złocistą frendzlą.

We drzwiach zadzwoniły podkówki i stanął Tadeusz w bucikach i jedwabnych czerwonych spodniach, z paltotem, narzuconym na plecy.

— I cóż? — zapytał.

— Zaraz .. za kwadrans — odparła Teczka, nie podnosząc głowy.

Tadeusz wrzasnął przeraźliwie:

— Za kwadrans!... Niech panna Teczka lepiej powie, że i za godzinę się nie wyguzdrze.. Boże mój, Boże! Już ja widzę, co to będzie...

Ręce dziewczyny drżały na tle purpurowego aksamitu.

— Niech pan będzie spokojny! — odparła półgłosem.

Lecz on jak trąba powietrzna przeleciał przez pokój i wpadł do kuchni. Wielohradzka szukała

Lecz rozkochana dziewczyna dumna i szczęśliwą była z tej misji, szczęśliwą podwójnie, gdyż Tadeusz siadywał teraz przy niej często i długo. Wprawdzie nie mówił nic, a gdy matka wyszła, nie korzystni tak, jak dawniej, aby dręczyć ją, tyranizować, a potem pociągać ku sobie pozorami dobrego słowa; lecz dla niej już sama jego obecność wystarczała i była serdecznym zadowoleniem. Nie kierezyę, lecz sto metrów aksamitu wyszłyby chętnie szychem i krwią swoją, byle przedłużyć tę chwilę obecności Tadeusza przy swym boku.

A jednak pomiędzy tem dwojgiem zapanowała znów atmosfera przymusu i czegoś sztucznego, nienaturalnego, co krępowało usta i wzrok Teczki, dławilo ją i głowę, jak pod jarzmem, chylić kazało.

Był to zapewne wzrastający egoizm Tadeusza, który coraz szerzej rozpościerał swoje skrzydła, dusząc objaw wszelkiego innego istnienia. Tak szerokie miejsce zaczynał zabierać ten człowiek, że obok niego nie było już nawet kąta na cudze myśli i czyny.

W dniu balu od zmroku pozapalał lampy i świece, które, w braku lichtarzy, pozatykał w butelki. Przyszedł z miasta już lekko ufryzowany i obwinął sobie głowę białym fularem z obawy, aby podczas zakładania kostiumu kunsztowne pukle nie rozleciały się i nie rozwinęły.

W ciasnej przestrzeni pokoiku płonęła ta illuminacja dziwaczna, gorejąc dokoła lusterka, szczotek

w ognisku duszy i przerażona odwróciła się, trzymając pogrzebacz w ręku.

— Co się stało? — spytała.

— Jakto, co się stało? Kostium nie gotów i nigdy nie będzie skończony. Niech mamcia mi da sukmanę... pójdę bez kierezyi. Najem się wstydu, ale obowiązek przedewszystkiem.

— Jakto? Przecież Teczia kierezyę wykończa...

— Ach! Ta mamma miła Teczia na złość mi nie chce skończyć kostiumu; ja wiedziałem, że tak będzie..

Wypadł z kuchni i znów wleciał do swego pokoju. Włożył na głowę czapkę, i to go zajęło przez chwilę. Usiadł przed lustrem i przyglądał się sobie z uwagą. Sam nie wiedział dlaczego, lecz na ten bal liczył, jakby na jakiś ważny wypadek w swym życiu. Znał lokal resursy i wiedział, że niema w nim postronnych buduarów i gabinetów. Muszka zatem musi pozostać w ogólnej sali i patrzeć na niego, gdy tańczyć będzie. Porwał się z krzesła i, odrzuciwszy palto, zaczął ciąć hołubce. Szło mu dobrze, podkówki dzwoniły rażne i żywo.

Zegar wybił dziewiątą.

Na ten głos Tadeusz drgnął i znów się ku drzwiom rzucił. v

— Ja panie proszę dać mi ten kostium., taki, jak jest!... — zaczął wołać rozpaczliwie — proszę... bo chyba oknem wyskoczę!...

Teczia porwała się od stołu, Wielohradzka wpadła z kuchni z sukmaną w ręku.

Obie podbiegły do rozkrzyczanego mężczyzny. Lecz on w paroksyzmie wściekłości nie widział podawanego stroju, lecz krzyczał ciągle, bijąc pięściami

drzwi:

— Chyba oknem wyskoczę!..

Teczia i Wielohradzka zamieniły z sobą porozumiewawcze spojrzenie. Oczy Wielohradzkiej zaszczyły łzami. Nic nie mówiąc, położyła na krześle sukmanę

wsunęła się za parawan. Teczia wzięła sukmai

i kierezyę i weszła do pokoju Tadeusza, odsuwając go dziwnie silną ręką od progu.

— Proszę pana! — wyrzekła zdławionym głosem — oto wszystko gotowe!...

Podniosła oczy i spojrzała mu teraz prosto w twarz, lecz spojrzenie to było dziwne, badające i w gruncie chłodne.

Długą chwilę oczy dziewczyny zatrzymały się na lalkowato] twarzy mężczyzny i wreszcie znów znikły pod nabrzękłemi powiekami

I milcząc, Teczia wyszła z pokoju, po raz pierwszy od bardzo dawna trzymając podniesioną głowę.

Tadeusz zaczął się ubierać, cokolwiek zmieszany i ostygły w swym gniewie. Panująca w drugim pokoju cisza drażniła go niewypowiedzianie. Ubrał nie szybko i nagle w jasności świec zabłysnął jak kosztowne cacko, ładne i jaskrawe.

Strój ten, zmanierowany i teatralny, upiękuszony kosztownością mate

nia, późniejsze swe sny fatalne. dręczące, w których widywał Muszkę jako ową Hamilkara córkę. I znów czytać zaczął. Jej włosy, posypane piaskiem fioletowym, zebrano były wysoko na wierzchu głowy, według mody chanaeńskich dziewczyc. Sznury pereł, uczepione u jej skroni, spadały aż do kącików jej ust, różowych, jak granat na wpół otwarty. Na piersi miała cały zbiór drogocennych klejnotów, lśniących jak łuski rybie. Jej ramiona, pokryte dyamentami, występowały nagie z fałd tiuniki bez rękawów, ugwieżdżonych purpurowymi kwiatami na tle czarnego jedwabiu. Zamknął książkę i chwilę długą siedział, przedstawiając sobie Muszkę w tym stroju. Zwłaszcza kask jej rudych włosów, posypanych fioletowym piaskiem, dokładnie rysował się przed jego oczami. Wybiła jedenasta.

Wielohradzki zerwał się i narzucił płaszcz na ramiona. Wbiegł do pokoju matki, lecz Wielohradzka spała, oddychając ciężko. Po raz pierwszy może nie obejrzała stroju syna idącego na bal, nie pożegnała go zwykłym: „baw się dobrze, moje dziecko!” Wielohradzki chwilę stał na środku pokoju, wahając się, czy zbudzić matkę, przeprosić i pożegnać. Lecz śpieszył się, a przytem czuł, iż od tej matki, która oddycha tak ciężko tam, po za parawanem, nie pozyska zbyt dużego zapasu dobrego humoru na przebyte wieczoru. Nie była to już owa „mamuś” dawnych czasów. I szybko zbiegł ze wschodów,

ryałów, z których był zrobiony, doskonale nadawał się do jego lalkowato) urody wypieszczanego paniczka. Gdy zapiął pas, zarzucił kierezye, błyszczącą, jak słońce, od haftów, złotych i srebrnych blaszek, a na lekko pokręcone włosy włożył czerwoną czapkę z pawim piórkiem i pękiem różnokolorowych wstążek, ładny był jak malowanie, i czuł to sam wybornie, przybierając plastyczne pozy i biorąc się z delikatną rubasnością pod boki. Spojrzał na zegar. Było zaledwie wpół do dziesiątej. Miał jeszcze przed sobą godzinę czasu, i teraz, gdy już był ubrany, nie wiedział, co z tą godziną zrobić.

Usiadł na krześle i nadstawiał ucha, chcąc posłyszeć teraz głos matki albo Teci.

Lecz cisza była zupełna. Nawet Tecia musiała już pójść do domu, gdyż nie słychać było łoskotu maszyny, ani szczęku jej nożyczek.

Znudzony, spojrzawszy dookoła i na półkach ujrzał grubą w żółtej oprawie książkę.

Machinalnie sięgnął, otworzył i zaczął czytać po francusku:

Nagle zabłysnął cały pałac od niezliczonych światła, drzwi środkowe otworzyły się i jakaś kobieta, córka Hamilkara, okryta czarnymi szaty, ukazała się na progu.

SalammbG!

Przypomniał sobie swój powrót z Concarneau, tę książkę czytana w wagonie wśród gorączki rozsta

Na estradzie, pokrytej purpurowym suknem iudrapowanej białym i różowym muślinem, siedzi stara pani Bodocka w fioletowej aksamitnej sukni.

Na głowie ma brylanty, na rękach ma brylanty, na piersiach ma brylanty, na szyi ma brylanty, w uszach ma tak wielkie brylanty, że aż dwa druciki, założone za włosy, podtrzymują te olbrzymie kule, z obawy, aby uszy magnatki nie przerwały się wskutek tego ciężaru.

Oświetlenie jaskrawe, elektryczne, zapala czarodziejskie blaski w massie tego skryształizowanego węgla. Na tylnej ścianie gobelin, zielonawy, przygasły, służy za doskonale tło dla uwydatnienia promieni tego słońca. I wzrok każdego wchodzącego do sali balowej ciągnie ta światłana masa, rozsypująca dokoła tęcze ognia i blasków. Siedząca obok namiestnikowa, księżna Ponikwicka, Małężyna i inne gasną zupełnie ze swą wystawą turkusów, szafirów, pereł i opali.

czując do matki żal, iż tem zmęczeniem swoim, smutkiem, skłopotaniem psuje mu dobry humor, zabawę... wszystko. Stróż zawoła! mu sanki, i cała gromada sług, stojąca w bramie, doznała olśnienia na widok kostiumu, przeblyskującego w fałdach płaszcza.

Z wielkim szykiem i elegancją Tadeusz, pod pozorem naciągnięcia okrycia, odkrył przed tem niewykwintnem gronem przebogactwo swego stroju i, brzękając podkówkami, przeszedł przez bramę z czołem podniesionem dumnie.

Sanki ruszyły z miejsca, a sługi chichotały się, trącając łokciami:

— A to się wyczupurzył... ehi! ehi! ehi!...

— A sługi nawet nie mają.

— A żydy do nich wciąż po raty chodzą!...

— A jak to chodzi, jak gąsior, co stado wodzi!...

— O joj! o joj!...

Lecz stróż zgasił gaz i ćwierkające grono, okryte derami chustek, rozpierchło się po ciemnościach klatek wschodowych.

Brylanty swym blaskiem zabijają wszystko, mając w sobie jakąś okrutną czystość skoncentrowanych łez nędzarzy całego świata.

Dokoła sali biegną galerye, drapowane białe i różowe, ubrane zielenią i pękami storczyków.

Filary podpierające te galerye mają na sobie plisowane powijaki różowe i gałęzie bluszczów, czerniące się na tem tle przejrzystem. Jest to banalna cukierkowa dekoracja sal balowych, ubranych gustem tapicerów o ciasnej estetyce, i mająca w sobie sentymentalną miękkość tualet z czasów drugiego Cesarstwa. Jedyne tylko estrada, na której siedzą damy patronessy udrapowana jest tkaninami kosztowniejszemi, pożyczonemi przez Dezyderego, lecz zawsze utrzymanemi w tonach różowych, srebrnych i białych. I cała ta sala wygląda jak wielka sypialnia młodej dziewczyny, przystrojona na wigilię ślubu.

Na galery ach tłok i wrzawa, Całe mieszczaństwo lwowskie, to uboższe, które nie mogło zdobyć się na kostiumy, wypełnia ciasne przestrzenie ganku, tłoczy się na ławkach i przybywa ciągle, bezustannie garnirując ściany mozaiką twarzy rozplywających się w tej górnej wyżynie, jak gamma chromatyczna plam o mglistych i niewyraźnych barwach.



Gdzieniedzie migoce jasna tualeta kobiety, biały puch atlasowej sortie de bal, okrywającej zazdrośnie szczupłe ramiona młodej panienki. Przeważnie jednak tualety są ciemne, surowe, wełniane. Wszystkie lornetki skie

rowane są na brylanty pani Bodockiej. Nazwisko magnatki przebiega z ust do ust. Dają się słyszeć okrzyki podziwu, westchnienia, wykrzykniki. znów wszystko tonie w ogólnym szmerze rozmowy lub w dźwiękach orkiestry, grającej tuż po nad estradą, po za szpalerem oleandrów i świeżo rozkwitłych kamelii.

W sali na dole, pomimo stosunkowo dość wczesnej pory, niemal pełno, a strojnie i błyszcząco od różnokolorowych kostiumów. Mężczyźni przeważnie we frakach czerwonych, niebieskich, liliowych, z białymi kwiatami w butonierkach. Niektórzy zarzucili domina. Jakiś czarnogórzec kręci się, odziany w swą baletową spódniczkę. Clown, wielce elegancki, żółty, atlasowy spaceruje z miną karawaniarza. Gdzieniedzie czarne fraki kładą żalobną nutę. Lecz już akord wesoły kostiumów kobiecych rozjaśnia wszystko.

Właśnie osiem par bogatej burżuazyi skończyło tańczyć pawana w strojach z czasów Henryka IIgo. Rozchodzą się po sali—kobiety w białych i błękitnych atlasowych sukienkach z bufiastymi rękawami, mężczyźni w jedwabnych trykotach i niebieskich krótkich płaszczkach. Jak stado ptaków o lazurowych skrzydłach, krążą wśród łąki jaskrawych kolorów. Na tę brutalną nutę składają się przeważnie cyganki, których jest kilkanaście, odzianych szkarłatnie, i Carmencitty o mocno różowych spódniczkach.

Jakiś torreador w ciemnoczerwonymi ubiorze kręci się wśród tego grona. Lecz już ostra czerwień złagodzoną i przyćmioną zostaje przez bladozieloną barwę stroju kilku pan, idących menuetowym krokiem i trzymających się z gracyą za ręce. Są to prześliczne merveitteusy i towarzyszący im incroyables. Długie, opięte suknie kobiet owijają kształtne i smukłe ciała. Na ramionach bufy, stan krótki, kończący się pod piersiami. Na głowach blond peruki i wielkie kapelusze gazowe w kształcie bud, przewiązane wstążką tuż pod linią brody. W rękach trzymają ridicule z tej samej, co i suknie, materyi. A materyą to dziwna, cienka, pajęcza, elastyczna, bladozielona, w wielkie róż bukiety. Mężczyźni, którzy towarzyszą tym meweilleusom, mają na sobie surduty z tego samego jedwabiu, żaboty, krótkie żółte kamizelki, pończochy i trzewiki ze sprzączkami; na głowach peruki i wielkie trójgraniaste kapelusze. Duże bukiety róż wonieją w ich dłoniach. I wszyscy ci ludzie są młodzi, ładni, smukli, kształtni: noszą dobrze swe kostiumy i mają w sobie delikatną gracyę figurynek z saskiej porcelany. Jak klomb róż i białych lisci klomb ruchomy, płyną wśród tłumu, uśmiechając się łagodnie. Na galeryi szepczą ich nazwiska. Są to przeważnie synowie i córki bogatych kupców miejscowych. Najpiękniejsza jest żydówka, ten ostatni, rosły i ładny chłopiec—synem właścicielki fabryki fortepianów. Wszystko to są dzieci Lwowa,

wyrośle na miejscowym terenie, i galerya czuje się dumną z ich urody i wdzięku.

Nowy gwar i tłum przy wejściu. To malarze, rzeźbiarze i teatr wchodzi parami, jako „Wesele Skrze tuskiego”. Ostrogi brzęczą, pióra skrzydeł kołyszą się w przestrzeni. I wszystkich oczy zwracają się na Hanusie Borzobohatą i na pana Zagłobę, który toczy się powoli, założywszy ręce za pas złotolity. Orszak obchodzi powoli i przed estradą czyni niskie pokłony. Stara pani Bodocka kiwa głową, brylanty dzwonią, jak grzechotki u sanek. Wesele przechodzi i znika pod ścianami, mieszając się z resztą kostiumowanego tłumu.

Teraz już pełno w sali, pełno i tak barwnie, iż oko widza barw tych nawet rozróżnić nie może. Błękit, zieleń, purpura, złoto i biel—wszystko miesza się razem, tworząc chaos puszczonego w ruch parteru kwiatów. Olśniewający blask elektrycznych promieni zalewa ten akord barw srebrzystą kaskadą. Brylanty, hafty, dzety, paciorki migocą; gazy, przetykane srebrem i złotem ciągną w powietrzu. I z tej całej błyszczącej masy podnosi się powoli żar, przesycony zapachem perfum, kwiatów i rozgrzanych ciał kobiecych. Atmosfera staje się podniecającą i niezdrową. Ludzie siedzący na galeryi doznają upojenia, i oczy ich, mimowoli znużone, cofają się w cień. Nagle dwunasta uderza, i orkiestra z werwą rozpoczyna skoczną przegrywkę. Gospodarze balu roz

G. Zapolfca. — Wodzirej. Toro U.

suwają tłumy i, trzymając się za ręce, tworzą łańcuch, formując puste miejsce u stóp estrady.

— Krakowiak! krakowiak!... — wołają wszyscy. Na galeryach kobiety powstają, przechylają się przez balustradę. Iune wołają: „siadać! i wchodzi u ławki. Ogólny ruch, hałas się wzmaga. Ten krakowiak, tańczony przez arystokracja, to great attraction całego balu.

Tymczasem drzwi, prowadzące do sekretaryatu a dotychczas zamknięte, roztwierają się na rozcież i słycać przez chwile brzęczenie podkówek.

Wszystkie głowy zwracają się w tę stronę. Chwilę panuje zupełna cisza, w której donośnie rozbrzmiewają dźwięki orkiestry, i ten brzęk niewidzialnych podkówek, fantastyczny i irytujący.

I nagle, jak bukiet wspaniałych fajerwerków, wytryska ze drzwi massa takich oślepiających barw i złotych iskier, że patrzący doznają chwilowego olśnienia, Lecz już wąż tańczących biegnie przed estradę z hukiem, szumem i krzykiem. Spódnice kobiet, okolone prrpurowemi wężami wstążek, wiewają szeroko. Wieńce na głowach szeleszczą, wstążki migocą w powietrzu. Mężczyźni błyszczą cali od haftów i blaszek, pawie pióra mienia się tęczowemi barwami w jasności elektrycznej kaskady.

W pierwszą parę pędzi Charłupko, w białej sukmanie, czerwonej kierepyi, rosły, wielki, barczysty, z fantazyą udający nieźle chłopskie zacięcie.

Uczepiona u jego ramienia, Dora HokensteigenHigmeringen bieleje jak gołąb w swym fantastycznym stroju wiejskiej narzeczonej. Biały atlasowy gorset, biały wieniec, białe wstęgi.

Ona sama biała, różowa, lalkowato piękna, troszkę onieśmielona ta teatralną pompą i zbliżeniem do galeryi widzów, którzy z jej światem nic wspólnego nie mieli, ma w sobie niezgrabny wdzięk występujących na scenie po raz pierwszy debiutantek.

I wszystkie damy, biorące udział w tym krakowiaku, w pierwszej chwili czują pewien rodzaj tremy, przestachu scenicznego, i gorączkowe wypieki występują na ich twarze, ubielone welutyną. Prędko wszakże odzyskują pewność siebie i nabierają animuszu. Głowy, strojne w wykwintne wieńce kwiatów, wśród których połyskują brylanty i szmaragdy, podnoszą się wyzywająco. Ramiona, osłonięte jedwabnym muślinem koszul, i torsy, obciągnięte aksamitem lub atlasem gorsetów, prostują się tym ruchem właściwym kobiecie, która czuje, iż setki oczu na nią patrzą. Orzecka uśmiecha się, błyskając perłową bielą swych zębów. Muszka Statnicka bardzo dnia tego en beaute, jest prawie ładną w purpurze koralu, przetykanych gwiazdami dukatów. Lecz uwagę wszystkich przykuwają mężczyźni: Charłupko, Jurek Bodocki, Pozbitowski, a zwłaszcza Wielohradzki. Z fantazyą i z pańską kraneryą, graniczącą z ładnem zuchwalstwem, rozwiewają swoje kierezye, dzwonią

podkówkaini. Wielohradzki wyróżnia się przepychem haftów, błyszczących na jego sukmanie, i delikatnym czarem całej postaci. Smukły, gibki, giętki, z prześliczną linią nóg i rasowemi stopami, przykuwa oczy wszystkich i wywołuje ogólne pochwały. Widzowie nazywają go „ten srebrny”, z powodu przewagi srebra w haftach kostiumu. Lecz szybko nazwisko jego przelatuje z ust do ust:

— To Wielohradzki!... Wielohradzki!...

Lecz już cały orszak uformował się w półkole i stanął przed estradą. Luna światła bije nań rzeświście, zapalając iskry w brylantach, srebrze, złocie i szychach kostiumów. Muzyka przycicha i Charłupko zdejmuje z głowy czapkę, którą z chłopska zamiata po ziemi.

Stara pani Bodocka, jak Budda, okrasza pół twarzy niewyraźnym uśmiechem.

Dźwiga się z fotela i podchodzi na brzeg estrady.

— A zkądżeścieto, moi mili ludzie? — pyta z wytworną grzecznością.

— Ano... z pod Krakowa przyśliżwa pokłonić się jaśnie wielmożnemu państwu! — odpowiada Charłupko grzmiącym, donośnym głosem.

Szmer podziwienia rozlega się wśród sali.

Ta pańska komedia wprowadza w zachwyt mieszczaństwo lwowskie.

Tylko po kątach aktorzy i „literaty urągają, wzruszając ramionami.

Pani Bodocka kiwa głową i stara się być dobroduszną.

A no, to potańcujcie sobie, moi dobrzy ludzie!... — mówi, sadowiąc się na fotelu.

Charłupko kłania się nisko, nasadza z fantazją czapkę na głowę i zwraca się ku orkiestrze.

— A no!... muzyka!... a ogień! — woła ku ga

Obejmuje w pół księżniczkę; za nimi szykują się do tańca inne pary. Wielohradzki daje pilne baczenie i szeptem wydaje komendę, przypomina, zachęca.

Nagle huczna przegrywka zmienia się w cichy akompaniament i Charłupko zaczyna śpiewać silnym, basowym głosem:

Sommes nous commeci, comnieci, commeca, Commeci, comme ca, commeci, commeca,

Garcons de Cracovie, gareons de Cracovie!

Szmer uwielbienia przemienia się w szmer zdziwienia. To dziwaczne tłumaczenie popularnej piosenki wprowadza w zdumienie mieszczaństwo. Lecz Charłupko uderza w podkówki, i wąż stubarwny, przystrojony delikatnymi skrzydłami muślinowych spódniczek, wije się po sali. Wszyscy tańczą jak ba

\*) Alboż my to jacy tacy, jacy tacy, jacy tacy,

Chłopcy krakowiacy!

Tłumaczenie autentyczne (P. A.)

letniej, składnie, karnie, i Wielohradzki czuje rozkoszną gorączkę, ogarniającą go całego. Nawet Kafthan pozbył się swój tragicznej miny. Uśmiecha się i z pewną ojcowską troskliwością czuwa nad swoją tancerką, ową czwartą córą, wyglądającą jak porcelanowa laleczka w niebieskim aksamitnym gorsecie. Tancerze tworzą teraz koło i wirują szybko, z szelestem spódnic i brzękiem podkówek. Korale i paciorki dzwonią, kółka przy pasach brzęczą. Pawie pióra migają wysoko po nad całym kołem i nagle splatają się razem, gdy wieńce kobiet tworzą osobny parter maków, róż, chabru, kłosów, turkusów, gwoździków i klejnotów. I krzyżują się, mijają, powracając na dawne miejsca, jak ruchome klomby, kosze, bukiety błyszczące, migocące stubarwnymi blaski.

Wśród tego mieniącego się parteru błyszczą i wyróżnia się, jak gwiazda wędrowna, pawie pióro Wielohradzkiego, obficie nakropione brylantowym pudrem. Migoce w powietrzu ten tęczowo zabarwiony płat śniegu i ciągnie ku sobie oczy patrzących i inne pióra, mniej błyskotliwe, mniej wabne.

W klombie wieńców zaś mieni się i odróżnia mocą wielką brylantów ślubny wieniec księżniczki, wieniec fantastycznych, legendowych księżniczek, gdzie mirt z różami białymi się splata. Jest to cały poemat—ten pęk bieli kwiatowej, osrebrzony rosa dyamentów.

błyskających jak gwiazdy na bielejącym o zachodzie jesiennym nieboskłonie.

Delikatny welon z illuzji przyćmiewa blask brylantów i biel kwiatów. I nagle wieniec dyamentów i błyszczące pawie pióro łączą się z sobą i lną razem, wiodąc całą drużynę.

Umiejętną kombinacją figur Wielohradzki wysuwa się naprzód, zajmuje naczelne stanowisko i tańczy z księżniczką. I od tej chwili cała publiczność zostaje porwana i podbita wdziękiem tych dwojga, od których bije jasność, luna cała srebra, złota, brylantów, łamiących się migotów ałtasu i uroku młodości. Inne pary toną w cieniu, służą za tło, uwydatniają piękność roześmianej księżniczki i eleganckiego wodzireja.

Na dany znak wszyscy stają w półkole i orkiestra zawodzi teraz oberka. Tadeusz zbiera sukmanę na lewą rękę, prawą zaś obejmuje księżniczkę, która prostuje się, jak tośna. I sami, we dwoje, [uiszczają się w taniec po jasno błyszczącej posadzce, w taniec zawrotny, rozpaczliwy, wprowadzający w stan jakiejś ekstazy. Tadeusz co chwila przykleka, dzwoniąc podkówkami, i wtedy na posadzce widać prześliczną linię jego nogi, kształtnej bez zarzutu. Księżniczka tańczy ciągle równo, prosto, wyzywająco już teraz, błyskając pogodą oczu i szczerością dziewczęcego uśmiechu. Z początku nieśmiało tu i owdzie oklaski słyszeć

się dają ua galeryi i wśród tłumu. Niebawem zamieniają się w hałaśliwą wrzawę teatralnej owacyiTadeusz upaja się tym tryumfem. Przedłuża umyślnie taniec, uśmiecha się, wyciąga w siebie szelest braw i okrzyki tłumu. Aktorska strona jego charakteru występuje w całej pełni i używa rozkosznych wrażeń Uczucie wysokiego rozrzewnienia napęlnia jego serce. Gdyby mógł, chciałby temu klaszczącemu tłumowi rzucić garść pocałunków, tak głęboko odczuwa wdzięczność za ten szelest uderzanych jedna o drugą dłoni.

Wreszcie, pijany prawie i bezprzytomny, zatrzymuje się, oddychając ciężko.

Wówczas dopiero spostrzega, iż ramię jego zbyt silnie przyciska kibić księżniczki. Lecz panna

HohensteigenHigmeringen nie czuje tego sama, podniecona, rozgorączkowana, z purpurą rumieńców na rozpalonych policzkach.

Teraz krakowiak dobiega do końca.

Wielohradzki z wielką umiejętnością zachowa] dla siebie końcowy efekt oberka i pragnie pozostawić publiczność pod wrażeniem swego tańca.

Barwny więc wąz finałowy, banalne koło, podniesienie w górę czapek, skłonienie się przed estradą i zniknięcie we drzwiach z szumem, szelestem, brzękiem i ostatnimi tonami orkiestry.

sfium obozu nieprzyjacielskiego i szeptą pomiędzy sobą złośliwe uwagi, pełne niechęci.

Wielohradzki wychodzi prawie ostatni i natychmiast spostrzega, że wejście jego na sale zostało zauważone i wywarło wrażenie. Muzyka gra walc, lecz nikt nie tańczy, i Tadeusz idzie wolno, zdjawszy z głowy czapkę, którą trzyma z przyzwyczajenia, tak, jakby patelnię szapokłaka,

Idzie właśnie po owej ścieżce granicznej pomiędzy arystokracją i mieszczaństwem, nie zdając sobie jeszcze spraw}', dlaczego ta ścieżka tak nagle powstała. Widzi lornetki galeryjowe, skierowane ku sobie i, jak panna na wydaniu, prostuje się i gryzie wargi, aby je uczynić purpurowymi. Zapomniał w tej chwili o Muszce. Cały jest jeszcze przejęty i upojony tryumfem, który w swojej fantazyi podnosi do bajecznej potęgi.

Patrzy naprawo, na lewo, mruży oczy, mija obojętnym wzrokiem śliczne twarzyczki mieszczanek, które zwracają się ku niemu, jak słoneczniki ku tarczy słonecznej. Przybiera minę zdudzonego i przeżytego. Jakaś panienka w kostiumie Goplany, z wieńcem jaskółek na rozpuszczonych włosach, śle dzi go szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Obok niej—podżyła brunetka z pod ufryzowanej grzywy osypanej deszczem cekinów, rzuca dziwaczne spojrzenie i wachluje się szybko. Wielohradzki powoli przesuwa się obok tych kobiet, zimny napozór i obo

Po upływie kwadransa tańczący przed chwilą krakowiaka zaczynają wchodzić niepostrzeżenie do sali balowej i gromadzić się dokoła estrady, przyglądając się kostiumom, rozmawiając lub witając ze znajomymi. Natychmiast tworzą się dobrze zaznaczone koła i obozy. Arystokracya odcina się od reszty tłumu i, obrawszy estradę za rodzaj quartier generat, a starą panią Bodocką za naczelnego wodza, tworzy „państwo w państwie” i zaznacza, że nie ma nic wspólnego z resztą społeczeństwa.

Mieszczństwo bogatsze trzyma się osobno, w pozycji zaczepnoodpornej, rywalizując arogancją spojrzeń i gościów, a niewielka grupa aktorów i „inteligencji”, obrawszy kąt pod galeryą za rodzaj obozowiska, bawi się serdecznie i wesoło dziwną pozycją reszty gości balowych. Nawet grany przez orkiestrę walc nie może połączyć tych klanów, wytworzonych całymi latami przesądów i śmiesznych układów społecznych. Linia, przecinająca salę na dwie połowy, linia moralna, staje się powoli materialną i widoczną. Promień szeroki, i coraz to szerszy, posadzki zaczyna jaśnieć, jak pograniczna rzeka. Tylko „ci” z arystokracji nie czują się bynajmniej skrępowani: śmieją się i bawią głośno, zachowują jak u siebie w salonie, nie okazując najmniejszej ciekawości w śledzeniu „tamtych” z mieszczaństwa. Przeciwnie zaś mieszczenie, nieswoi i nienaturalni, nieustannie wyłożonym wzrokiem śledzą każdy ruch, gość, ko

jętny. Nie odróżnia żadnej. Widzi tylko, że jest ich dużo i że wszystkie patrzą na niego z zachwytem. Nagle...

Nagle na estradzie, na wschodach zasłanych purpurą dywanu, wytryska, jakby czarodziejską wywołana władzą, postać kobieca tak dziwna i piękna, tak niepodobna do innych, do tych Goplan, markiz, krakowianek, cyganek, które snują się dokoła niego, iż Wielohradzki staje, jak wryty, patrzy i widzi...

Włosy jej posypane są piaskiem fioletowym i uczesane według mody dziewic chananejskich. Grona pereł, uczepione u jej skroni, spadają aż ku kącikom ust, podobnych do otwartego kwiatu granatu. Na piersi jej błyszczy cały zbiór kamieni drogocennych, naśladując układem łuskę rybią. Jej ramiona, przystrojone brylantami, wybiegają nagie z fałd długiej tiuniki, ugwieżdżonej purpurowymi kwiatami na tle czarnej gazy. Nogi jej złączone są cieniutkim łańcuszkiem złotym, a wielki płaszcz cienmoszkarłatny, skrajany z nieznanego materiału, wlecze się za nią, jak fala posłuszna i cicha. Wielohradzkiemu zrobiło się nagle jasno przed oczyma i w duszy.

Postać tę widywał często. Miała tę samą twarz bladą i oczy, które zdawały się patrzeć „po za widnokrąg ziemski”. Tak, bezwątpienia, była to cora Hamilkara, która powoli schodziła ku niemu, trzymając w ręce „małą lirę z hebanu”. Ta sytuacja poety

czna zachwyciła go. Utonął w niej, tonąc w ręku woją czapkę i łamiąc pawie pióro. MuszkaSalanimbó schodziła ciągle powoli, wlokąc za sobą ów płaszcz, utkany „z nieznanego ma\* teryału”. I przemiana w jej twarzy była wielka i zrozumiała tylko dla tego, kto zna dokładnie kobiety i wie, jak fizycznie kameleonowe są to istoty. Z pałacej, choć napozór uśpionej urody Maleniowej nie pozostało nic. Twarz jej była zbiorem najregularniejszych rysów, oczu ciemnych i rozszerzonych kreskami kohl'u czoło wązkie i białe, odsłonięte królewsko w obramowaniu pereł, które zdawały się być żółte w porównaniu z tą skórą rudawej szatynki. Lecz włosy jej ściemniały i były to prawie krucze pierścienie o fioletowym odbłasku rozsypanego na ich załamach pudru. Filisterska imaginacja Wielohradzkiego nagle ga lopować zaczęła. Salammbo! Kto podszeptał Muszce strój wymarzony przez niego i nadawany jej w chwilach szalonego pożądania, jakie dręczyło go po powrocie z Concarneau? Dlaczego wybrała ten strój? Dlaczego teraz tak powoli schodziła wprost naprzeciw niego, szukając oczyma kogoś w tłumie? Szukała—i znalazła. Wzrok jej oczu sztucznie powiększonych zatrzymał się na twarzy Tadeusza, zatrzymał się długą chwilę.

Przyszło mu na myśl, iż Maleniowa mogła odjechać do domu. Było to jej. zwyczajem. Przychodziła ostatnia, wychodziła pierwsza. Przymknął znów oczy i starał się ponowić wrażenie, otrzymane przed chwilą, a wywołane wzrokiem Muszki.

Ponowiło się, lecz tym razem delikatne i subtelne, jakby przysłonięte mgłą.

Było mu niemniej miłe, a może nawet milsze, gdyż mniej brutalne i targające nim, jakby szponami niewidzialnej jakiejś potęgi.

Muzyka teraz grała kadryla i hałaśliwe tony mieszały się z chromatyczną gammą rozmów i szelestem sukien i kroków po posadzce salonu.

Gorąco zaczynało być fatalne; ktoś otworzył lufcik, i prąd lodowatego chłodu bił teraz w głowę Tadeusza.

Wielohradzki oderwał się od ściany i ku estradzie zbliżać się zaczął. Czuł, iż powinien był trzymać się jakiejś koteryi, skoro całe towarzystwo rozpadło się tak widocznie na obozy i oboziki.

W drodze spotka! Pozbitowskiego, który poufale ku niemu się nachylił.

— Jakie śliczne te Hartzównie!... — wyrzekł, ukazując dwie piękne panny, ubrane w suknie Empire skoro nasze panie odjadą, weźmiemy się do nich wszyscy!...

— Panie odjeżdżają? — spytał Tadeusz, przygryzając usta.

Spojrzenie to łagodniało i zdawało si pieściwie, miękko obejmować całą postać chłopca, postać kształtną, smukłą, śliczną w tem przebraniu błyszczącym i jaskrawem.

Tadeuszowi dech zamarł w piersiach. Zamknął oczy na jedną sekundę. Gdy je otworzył, Salammbó zniknęła. Natomiast wodzireje balowi grzecznie, lecz stanowczo poprosili go o „zrobienie miejsca”. Pary zaczęły stawać do kadryla, zbierając się powoli, jakby z musu. Wodzireje biegali i machali angielskimi fularami o brzydkich, zgniławych barwach. Wielohradzki cofnął się pod ścianę, i po raz pierwszy taki wodzirej biegnący wzdłuż sali wydał mu się głupią istotą. Pocieszał się jednak myślą, że to wodzirej „publiczny”, „mieszczkański”, gdy on— o!... on to przecie co innego. Panią ubrana za Goplanę przesunęła się znów obok niego i ciągnęła go widocznie ku sobie łagodnym niebieskich oczu spojrzeniem. Była ładna, dystygowana i z wielką gracyą nosiła swój powiewny kostium. Wielohradzki spojrzął na nią z zajęciem, lecz zauważył, iż nikt z arystokracji nie brał udziału w tańcach. Postanowił trzymać się swoich i nie tańczyć tego wieczora zupełnie. Wzrokiem zaczął szukać Muszki. Nie mógł odnaleźć jej wśród tłumu, otaczającego estradę.

iałki nie zadawała się tyra krótkim tryumfem: pragnął zebrać więcej hołdów i uwielbiających spojzeii. Nagle tuż obok niego zadzwoniły ogniwa delikatnych łańcuszków. SalammbóMuszka stała przed nim, na wpół ukryta po za draperya namiotu. Olbrzymie liście palmy rzucały na jej twarz cień ostry i dziwaczny, który przedłużał się jak czarna maska na jej policzkach i oczach. Tylko nagie ramiona białeły i linia brody rysowała się jasno na tle tęczy drogich kamieni i czarnej tkaniny.

Szybko, purpurowemi, jak „kwiat granatu”, ustami, MuszkaSalammbó mówić zaczęła:

— Jutro rano, bardzo rano, wyjdę z psem moim na przechadzkę. Udam się w stronę naszej willi... Iść będę wolno... tres lentement, car peutetre je rencontrer ai quelq'un...

I rzuciwszy te słowa, zniknęła po za fałdami namiotu.

Fałdy dekoracji zafalowały. Widocznie Maleniowa przesunęła się pomiędzy ścianą i draperya i weszła do przedsionka. Wielohradzki uczył się zupełnie pijanym. Maleniowa sama naznaczyła mu schadzkę. To już przechodziło najśmielsze jego oczekiwania. Nie radość jednak oładnęła nim, nie przecucie rozkoszy, lecz dziecinna, szalona trwoga. Zdawało mu się, iż jakiś ciężar spadł mu na barki.

W tej chwili podbiegł do niego Pozbitowski

— Tak! patrz, już się stara Bodocka zwiudowuje z estrady!

Rzeczywiście, stara pani Bodocka schodziła z estrady, kołysząc się wspaniale, otoczona całym sztabem dam z „towarzystwa”. Odjeżdżały wszystkie, znajdując, że teraz obecność ich była zbyt duża, i że dosyć napatrzono się na ich wdzięki i brylanty. Spełniły czyn filantropijny, uświetniły zabawę swoją obecnością, i teraz odchodziły, dumne i zadowolone, w swych aksamitnych i atlasowych sukniach, obwieszone brylantami, jak obrazy.

Za nimi dążyły panienki i młodsze mężatki, krakowskie wesele, księżniczki, otulając się w zarzutki i szarfy z gazy.

Malewicz, Maleni, Dezydery, mężowie, narzeczeni—słowem wszyscy mężczyźni high\* life wychodzili także ostentacyjnie, zatrzymując wszakże wzrok na ramionach tańczących mieszczanek.



Pozbitowski, Charłupko, Bodocki i kilku młodszych zrywali się pocichu i projektowali powrót do sali, skoro „panie” odjadą. Wdzięki mieszczanek ciągnęły ich, jak lep ciągnie muchy. Pragnęli skorzystać ze sposobności i zbliżyć się do tych kobiet, widywanych jedynie na ulicy zdaleka, lub w kościelnej nawie. Wielohradzki stał, niezdecydowany, nie wiedząc, czy wyjść, czy zostać. Jego próżność ładnej

fnęła się w fali swych rozpuszczonych włosów, zrozumiał, że intuicją kobiecą, co ironia ta znaczyć miała.

I Wielohradzki, wsunąwszy rękę w kieszeń od spodni, roztargniony i wspaniały, przeszedł przez sale i zniknął w głębi przedpokoju.

— Słuchaj. Wielohradzki! — wyrzekł po francusku — weź ty dyrekcyję tańców. Oni nie mają pojęcia o porządnym kadrylu.

Wielohradzki spojrział na niego z pod przymrużonych powiek.

Pozbitowski wydał mu się nędzny i śmieszny ze swą gwałtowną chęcią „znížania się”. Wreszcie duma wezbrała mu piersi. Wzruszył ramionami i odparł niedbale:

— Co za idea zostawać tu po wyjeździe naszych pań,...

Akcentował silnie to słowo „naszych”, jakby zaznaczając już nietylko posiadanie na wyłączną własność Muszki, lecz i tych innych, tych drugich, całej fali strojnej, błyszczącej, ładnej i pustej, która w tej chwili rozpięzchała się po ulicach miasta w pudełkach karet, pudełkach przesiąkniętych zapachem welutiny i perfumowanych brzegów sukien.

— Ależ... — protestował Pozbitowski.

— Nie nalegaj!... — ja odjeżdżam!...

Rzucił okiem dokoła i wzrok jego spotkał się z błękitnymi oczami Goplany.

Paniuszka trzymała się ciągle w pobliżu, naiwnie narzucając się swoją ładną i zgrabną osobką.

Lecz we wzroku Wielohradzkiego tyle było ironicznej pogardy, że dziewczyna, zarumieniona, co

G. Zapolska.—Wodzirej. Tom II.

Ranek zimowy, szarawy i chłodny.

W powietrzu przedsmak wilgoci. Na ziemi płachty śniegowe białe, lecz skalane już smugami czarniawymi błota.

Lecz na drodze jeszcze, na szosie leży gruda ubita, twarda, zimowa, bramowana różgami krzaków, które, zrozpaczone i rozczochrane, ciągną się czarną koronką w dal szarą i bezbarwną.

Po obu stronach drogi, na białym tle śniegu, drobnych tych krzaków jest moc wielka, cała armia, nieskończona ilość.

Tylko gdzieś wystrzeli w górę pień drzewa, czasem prosty i smukły, często tragicznie pokreślony, jak upiór o liniach fatalnych do ziemi przykuty.

A pomiędzy krzakami wznoszą się śniegowe mogiły, pod którymi śpią but wiejące masy paproci i szczątki dzwonek na podściółce z mchu i sosnowych igieł. Czasem z takiej mogiły rozpaczliwie wy

dobywa się bąbel samotny i pełza nieruchomy po śniegu, jak wąż suchy i smutny.

Drogą, co się ściele i gubi w horyzoncie szarym, za ledwie u brzegów rozjaśnionym żółtawą światłością, idzie Wielohradzki, idzie powoli, oglądając się dokoła, zmarzły i niepewny.

Nie spał wcale, z obawą, aby nie zasnąć i nie przybyć zbyt późno. Zerwał się o świcie, ubrał i pobiegł w stronę Pohulanki. Muszka nie oznaczyła dokładnie godziny. Powiedziała: „bardzo rano”. Mogło to oznaczać dziewiątą, siódmą, a nawet jede następną godzinę. I nagle Wielohradzkiego zdjął przestach wielki. Może Muszka czekała na niego na próżno? Zaczął rozpaczliwie oglądać się, szukając drożki. Lecz na próżno. Nawet na placu Maryackim nie znalazł powozu. Biegł więc klusem, roztrącając sługi, idące z koszami do miasta. Gdy przybył na drogę, z której boczna ścieżka prowadziła do willi Malinek, okryty był cały potem i zmęczony. Nikogo nie było na drodze.

Wielohradzki zdjął czapkę z głowy i zaczął przechadzać się powoli, stygnąc ciałem, ale nie nerwami. Czekał tak już długie dwie godziny i zziębły dreptał na miejscu, wyężdżając wzrok wlepiony w pustkę drogową. Kilkakrotnie zwiódł go baba wiejskie, idące z mlekiem do miasta. Widząc zdaleka ciemną sylwetkę, prostował się i porybierał pozę nawpół pokorną, nawpół zwycięską. Lecz nadchodziła

baba, jej ciężkie buty, gniotące grude, prędko wywodziły go z błędu. Po upływie dwóch godzin przestał się już spodziewać nadejścia Muszki i stał już z uporem pijaka, który postanowił wytrwać na raz obranym stanowisku. Czuł, iż nerwy dławią go, zaciskając gardło. Miał ochotę płakać i krzyknąć. Jego miłość własna, obrażona a rozkołysana i rozzuchwalona nagle powodzeniem, stała nad nim jak kat, drwiąc i szydząc z jego porażki. Widział już bowiem Muszkę starającą się przed uim uniewinnić, wybłagać przebaczenie, Muszkę mówiącą dużo i półgłosem. On miał słuchać w milczeniu, rzucając niekiedy tylko jakieś gryzące słowo. Scena z „Właściciela kuźnic” zwłaszcza przedstawiała się jego pamięci. Sytuacje nie były podobne, lecz z biedy można je było zastosować. Tymczasem droga stała się pusta, szara i zimna, gubiąc się w żółtawej, brzydkiej jasności horyzontu.

I nagle, niespodziewanie, ścieżką boczną nadeszła Muszka, prowadząc, jak zwykle, na rzemieniu Mika. Oboje, kobieta i pies, szli bez pośpiechu, powoli, jak istoty dobrze wyspane, najedzone i spokojne. Suknia Muszki była brązowoczarna, tej samej barwy, co sierść psa. Na kapeluszu jej biała niewielka jaskółka, przypominająca żółtobiałą gwiazdę na czole Mika. Wydostawszy się na drogę, Muszka nie przyspie

szła kroku. Nie uśmiechała się do czekającego na nią Tadeusza, nie zdawała się być zaniepokojoną. Tylko oczy jej nagle pociemniały i zwiększyły się głęboko tajoną namiętnością. Usta leciuchno zakrzywiły się, jakby ściągnięte nerwowo ku szczekom.

Trzymała ręce w kieszonkach żakieta, kryjąc w prawej koniec rzemienia, na którym pies był uczepiony.

Gdy zrównała się z Wielohradzkimi, który, zamiast iść ku niej, stał ciągle na brzegu drogi, niepewny, zmieszany, prawie bez tchu i woli, powolnym ruchem wyjęła lewą rękę z kieszeni żakieta.

Reka ta była obnażona, widocznie obnażona

ta

umyślnie, z intencją obmyślaną po szczególe.

Wdzięcznym, giętym ruchem podniosła Muszka ramię i dłoń swą ciepłą, woniejącą wtartą esencją angielskich perfum, przytknęła do warg Wielohradzkiego.

Była to pieszczota napozór czysta i elegancka, flirt prawie dziewiczy i subtelny. Lecz dłoń Muszki miała w sobie cały poemat zmysłów.

Zanim Wielohradzki zdołał dojść do równowagi i przytomności, Maleniowa już oderwała dłoń od jego twarzy i ukryła starannie swą rękę w kieszonkę żakieta.

Bez jednego słowa, bez uśmiechu, niemal bez spojrzenia odeszła, ciągnąc za sobą psa, wyniosła i prosta.

Wielohradzki oczami pokrytymi bielmem śledził teraz jej wysmukłą sylwetkę, odcinającą się dokładnie wśród pustki drogowej.

Nie śmiał biedź za nią, nie śmiał przemówić słowa.

I tylko patrzył...

### XIII,

W duszy Teci powstał bunt.

Był to rodzaj opadnięcia nagłego przewiazki, którą miłość założyła jej na młode oczy.

Dziewczyna miała grunt silnie romantyczny, lękliwy i dziwaczny. Kochała Tadeusza sercem i wzrokiem. Lubiła harmonię jego urody, nie zdając sobie z tego sprawy. Pocałunki, którymi on ukradkowo obdarzył jej szyję i usta, nie działały na jej zmysły długo i tylko wywoływały w niej nieprzyjemne zmieszanie, wrażenie raczej przykre i trwożliwe. Powoli jednak, oswajając się z tą pieśczęcią, Teczka zaczęła w niej rozróżniać pewne vibracje nienormalne i prze-  
rażające.

Zastanowiła się nad tem zjawiskiem, i instynkt kobiecy odkrył przed nią szpetotę pocałunku bez przywiązania, jedynie dawanego i odbieranego dla wywołania summy pewnych wrażeń.

Teczka zrozumiała, iż Tadeusz nie kochał jej ni

gdy, i bunt nagły powstał w jej duszy, do tej chwili murzyńskoniemowlonicy i zagarniętej pod wyłączne panowanie brutalnego egoisty.

„Gdyby mnie kochał —myślała dziewczyna —nie całowałby mnie w ten sposób; pan Janczewski nie obchodzi się tak ze mną.”

Raz, schodząc z ciemnych wschodów, musiała być świadkiem, jak jeden z lokatorów drugiego piętra całował służącą, niosącą konewkę z wodą na górę. Przyciśnięta do ściany, ukryta w cieniu, Teczka widziała całą scenę, oświetloną słabo przez małe okienko, wykrojone w dachu i przepuszczające zaledwie blade strumień światła przez matowe szyby.

Ta jedna chwila posłużyła Teci do całej sery i porównań. Tadeusz całował ją także „po kątach” w sekrecie, całował ją w szyję, w uszy, w oczy tak jak ten „pan” całował służącą...

I duma kobieca obudziła się w niej, spotęgowana uczuciem niesmaku. Zaczęła coraz więcej analizować swój stosunek do Tadeusza, i porwał ją wstyd i zgroza. Śledziła teraz każdy czyn Wielohradzkiego, i milcząc, pochylona nad swą pracą, komentowała go z nieubłaganą surowością.

Całe lata serdecznej męczarni, jaką przeszła, buntowały się w niej teraz i odzywały głosami boie snych wspomnień.

Była to bowiem jedna z tych natur wyjątkowych, która urazy chowa w sobie, jak

pszczoły miód, i na którą czas nie ma wcale kojącego wpływu.

Nagle, jak rzeka porywająca się ze swego łożyska, tak wystąpiło w niej dokładne zrozumienie całej sytuacji.

Wielohradzki tój pracowitej mrówce, szanującej ślepo porządek socyalny i rozdział pracy, wydał się próżniakiem i egoistą. Gdy szła sukmanę na ów bal kostiumowy, z każdą blaszką nabraną na igle brwi jej ściągały się, usta zaciskały

we wzgardliwym milczeniu. Gdy powróciła dnia tego do domu, znalazła pana Janczewskiego przesłuchującego Felka tabliczki mnożenia.

Od progu ogarnęła okiem stół, lampę i te dwie głowy, męską i dziecinną, zbliżone do siebie w jasnej plamie światła. Opodal babka robiła siatkę, przytwierdziwszy ją do krawędzi stołu. Na komodzie, odsuniętej od ściany, błyszczał gorący samowar, czekały szklanki na tacy.

Tecia, jak do portu zbawienia, rzuciła się do tej atmosfery jakiegoś łagodnego dobrobytu i ciszy. Od tak dawna nie odczuwała, wchodząc na próg domu, tej rozkoszy powrotu i chęci odpoczynku wśród swoich. Cała jej serdeczna istota rwała się zawsze do Wielohradzkich i przymus wchodził z nią zwykle w progi jej domu. Teraz czuła się lżejszą i swobodniejszą. Zdawało się jej, że stopy jej są skute

jeszcze jakimś niewidzialnym łańcuchem, lecz już cały tors i ramiona są wolne i zrywają się do lotu.

Szybko zajęła się herbatą i uśmiechem powitała nieśmiały ukłon pana Janczewskiego. Twarz mechanika rozjaśniła się nagle i głos jego pytający „na wyrwyki” Felka „dziewięć razy siedem” zabrzmiał tryumfalnie. Tecia w tej chwili powróciła do dawnej swej roli „słonecznego promienia”, rozjaśniającego życie kochających ją istot.

Było jej tak, jakby wyswobodziła się z piwnicy i wydostała w ciepłe i jasne przestworze. I tylko boleśnie raniło ją wspomnienie śpiącej Wielohradzki ej, która runęła na posłanie wyczerpana, z oczyma łez pełnymi. Uraza jej i niechęć do Tadeusza wzrastała w niej z niepojętą szybkością.

Usiadła przy stole, naprzeciw pana Janczewskiego i, pijąc herbatę spokojnie, przypatrywała się twarzy narzeczonego. Znalazła, że miał śliczne oczy i zęby, i śmiech jego, nieśmiały a szczery, kilkakrotnie pobudził ją do śmiechu. Gdy wyciągnął rękę, sięgając do koszyka z bułkami, ręka ta nagle zaczerwieniła się brutalną plamą w świetle lampy. Lecz po raz pierwszy czerwoność i szorstkość skóry nie raziły oczu Teci. Dziewczyna w tej chwili myślała, iż pan Janczewski przyrzekł zająć się wychowaniem Felka. Chłopiec siedział przysunięty do swego przyszłego szwagra, którego nad życie pokochał. I przez umysł Teci przebiegła myśl, iż zbro

dnia z jej strony byłoby rozrywać ten węzeł, to koło, które się zamknęło po za nią i które było środowiskiem i podstawą życia i bytu jej całej rodziny. Po raz pierwszy czyn ten wydał się jej rzeczą złą i karygodną. Po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się uważnie, odrzucając od siebie zaślepienie i gorączkę miłosną. Gdy po herbacie zmywała w kuchence szklanki i talerze, pierś jej wezbrała nagłym płaczem i tęsknotą. Lecz nie był to płacz bolesny i przykry. Przeciwnie, łzy te przyniosły jej ulgę i pewne uspokojenie. Oparła się o ścianę, tuż pod małą lampką, która płonęła wysoko, uczeplona na gwoździu. Słabe światelko oblewało delikatnie całą postać dziewczyny, otulonej w miękką, białą chustkę włócz. Kształtna jej głowa i twarzyczka błada wysuwała się z tej śnieżnej draperyi, mistycznie wdzięczna i ładna. Z oczu jej płynęły ciągle łzy i drżały na rzesach, na policzkach, na wargach ust pobladyłych.

W tej chwili Tecia zęgnęła swą miłość miłości, kochanie kochania, i przestępowała próg rzeczywistego istnienia.

W godzinę później Felek w długiej białej koszulce klęczał w swem zbyt krótkim łóżeczku i odmawiał wieczorne pacierze. Z po za szczebli łóżka wysuwała się jego delikatna sylwetka, podobna do białego kwiatu o złotej koronie jasnopłowych włosów.

Chłopiec złożył ręce i dobitnie, wyraźnie mówił naiwną modlitwą dziecięcą:  
Anielo Strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój, Tak we dnie, jak i w nocy Bądź mi zawsze ku pomocy!  
Tecia stała obok łóżka, smutna i zgnębiona. Przyszła na nią reakcja a zarazem myśl, iż związała się lekkomyślnie z Tadeuszem i że obecnie nie należy do siebie; że pocałunki otrzymane, schadzki na przechadzce są to ważne zobowiązania, których rozrywać się nie godzi.  
— Dobry Boże! — mówił tymczasem Felek, podciągając noskiem daj zdrowie babci, Teci, wszystkim krewnym i wszystkim potrzebującym!...  
Uderzył się trzykrotnie w piersi.  
— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... Przeżegnał się i wyciągnął ku siostrze ramiona.  
— Dobranoc... pani Janczewska! — wyrzekł z nieśmiałym uśmiechem.  
Spodziewał się, że Tecia, jak zwykle, rozgniewa się za ten żart i połaje go.  
Lecz wbrew jego oczekiwaniu Tecia uśmiechnęła się i przytuliła brata do piersi.  
— Dobranoc, szwagierkii pana Janczewskiego!... — wyrzekła prawie wesoło,  
W tej chwili postanowiła rozmówić się nazajutrz z Tadeuszem i bądźco bądź zakończyć tę dziwną

a męczącą sytuację, w jakiej od tak dawna znajdowała się prawie bez własno wolnie.  
Gdy Tadeusz powrócił z biura, nie zastał w domu Wielohradzki ej, Wysła jeszcze w południe i poleciła Teci podać obiad, skoro Tadeusz nadejdzie. Od progu Tadeusz nerwami przeczuł usposobienie Teci i postanowił unikać nie tylko rozmowy, ale nawet wzroku dziewczyny. Od rana bowiem żył w jakiejś fatalnej atmosferze naczulości, a dłoń Maleniowej, ciepłą i wonną, czuł bezustannie na swej twarzy. Zazdrośnie i łakomie chciał jak najdłużej przechować to wrażenie i w biurze zasłaniał ciągle twarz i oczy, nie chcąc nawet zbyt brutalną smugą światła spłoszyć zmysłowego zjawiska. Palce giętkie i długie Muszki dokładnie rysowały się na jego policzku. Dion atłasowa usta cisnęła. Za ręką tą szło wspomnienie ramienia, owych nagich ramion Salammbó, wysuwających się z fałd tiuniki czarnej, tkanej purpurowym kwieciami, Ramię to wywoływało cały poemat ciała i było gońcem jego rozkosznej piękności.  
Z zacisniętymi us ty, przybierając minę rozdartego i zajętego ważnymi sprawami, zasiadł Tadeusz do stołu i zanurzył łyżkę w talerzu krupniku, który przed nim postawiła Tecia. Z całej postaci dziewczyny, owiniętej w biel chustki włóczkowej, dojrzał tylko rękę spracowaną i czerwoną, znaczącą się wyraźnie na brzegu talerza. Miał ochotę przesunąć serwetkę po krążku porcelany, aby zmasać to dotknie

cie i uczynić je nieistniejącem. Lecz obecność Teci onieśmieliła go. Czuł, iż dziewczyna dominuje nad nim w tej chwili i ma w sobie stokroć więcej równowagi fizycznej i moralnej niż on. Próbował więc przełknąć łyżkę zupy, lecz gardło ścisnęło mu się na głym żalem. Coś rwało się w nim na strzępy i paraliżowało nawet zwyczajne odruchy. Teczka nie odeszła od stołu i stała teraz blisko Tadeusza, o kilka zaledwie kroków, otulona tak szczelnie wełną chustki, iż całe jej ciało, biedne i strawione anemią, rysowało się dokładnie w tej cienkiej i śnieżnej powłoce. Kilkakrotnie przyknęła i otworzyła powieki, przełknęła ślinę i nagle niskim, sztucznym głosem spytała, przerywając co chwila rozpoczęte zdanie:

— Proszę pana... co też... co też z nami będzie? Tadeusz podniósł głowę i pomimowoli spojrzął w twarz dziewczyny.

Twarz ta była sinoblada.

Ciemne podkówki podkręzały oczy. Usta zdawały się być zapadłe i obramowane błękitną linią.

Wzrok Tadeusza był błędny i głupi.

Z wąsów ociekał mu krupnik, oczy miał bielmem zmysłowem wciąż zasnutę.

Teczka patrzyła nań surowo, ostro, z pod brwi ściągniętych.

— Bo, proszę pana... — zaczęła znowu — ja nareszcie chciałabym, aby te kłamstwa i udawania raz

się już skończyły. Mnie to bardzo przykro okłamywać babkę, i mamę pana, i pana Janczewskiego. Trzeba, ażeby pan nareszcie się zdecydował i powiedział słowo babci, to jest... żeby się pan wreszcie oświadczył. Niech już nas uważają za narzeczonych... czy co!

Ostatnie słowa zabrzmiały prawie rozpaczliwie. Teczka, mówiąc „narzeczonych”, z trwogą widziała się zaręczoną Tadeuszowi. Lecz nie przewidywała jeszcze punktu wyjścia z tej całej sprawy. Chciała tylko koniecznie prawdy, światła i wyjaśnienia. Cała jej istota buntowała się teraz przeciw konieczności dalszego fałszu.

Wielohradzki powoli odzyskał równowagę. Zrozumiał natychmiast, iż nadarza się sposobność pozbycia się tej dziewczyny, która znów wydawała mu się głupią, prostą, trywialną szwaczką. Ironicznie więc zmrużył oczy, oparł się rękami o krawędź stołu i zaczął kołysać się na krześle.

— A!.. wycedził przez zaciśnięte zęby — wreszcie panna Teczka przemówiła. Chodzi więc tak bardzo pannie Teci o to, ażebym się natychmiast oświadczył... Ale mnie się nie śpieszy, nie śpieszy,.. Jeżeli zaś pannie Teci taka sytuacja się nie podoba, to wolna wola! Żadne słowo nas chyba nie łączy i, właściwie mówiąc, nie wiem nawet o co pannie Teci chodzi... Mieliśmy dla siebie wiele przyjaźni, nic więcej... Une simple camaraderie... c'est tout!

Rzucił tryumfalnie tych kilku słów po francusku, sądząc, iż dopełnią one przygnębiającego wrażenia i stanowczo zawstydzą Tecię.

Lecz ona, wbrew dawnej modzie postępowania, nie ustępowała ani kroku, bynajmniej niez mieszana obrotem, jaki Tadeusz chciał nadać ich całemu stosunkowi.

— Proszę pana — wyrzekła z pewną ironią, choć głos jej drżał ze wzruszenia — niech pan do mnie nie mówi po francusku, bo to się nie na wiele przyda. Ja panu nie odpowiem temi samemi słowami, bo żeby tak mówić... i znajdować takie wykręty, to,, trzeba być.. panem. Ja pytam się pana uczciwie i prosto: co będzie z nami? Tadeusz cisnął łyżkę na stół i porwał się z miejsca.

— Z jakimi nami? — krzyknął zaperzony — z jakimi nami?... Co jest wspólnego między mną i panną Tecią? Czy ja kazałem pannie Teci pisać do siebie listy za granicę? Czy ja do panny Teci pisałem?..

Tecia nie poruszyła się z miejsca, tylko szeroko otwarteni żrenicami śledziła biegającego po pokoju Wielohradzkiego.

— A to oszaleć można! — wołał Tadeusz — Teraz panna Tecia roi sobie do mnie jakieś pretensye i każe mi się oświadczyć babce. Czy ja przyrzekałem Teci małżeństwo?.. Kiedy? jak? gdzie? za co? po co? dlaczego? Sama Tecia ciągle za mną chodziła i narzucała mi się swoją osobą...

G. Zapolska. — Wodzirej. Tom II,

Okrutny i bezwzględny, nienawidzący w tej chwili wszystko, co mąciło mu jego ekstazę miłosną, powtórzył raz jeszcze:

— Narzucała mi się Tecia swoją osobą... Rodzaj spazmatycznego jęku wydarł się z piersi dziewczyny.

— O... o... Boże! — wyrzuciły jej pobladłe wargi. Lecz Tadeusz był nieubłagany.

— Tak, tak!... niema co teraz biadać i wołać: Boże!... To posłuży pannie Teci za naukę i da dowód, że panienska powinna umieć się cenić i zachowywać przyzwoicie...

Odsapnął, powrócił do stołu, usiadł i zanurzył znów łyżkę w talerzu.

— O, krupnik wystygł zupełnie... i to wszystko przez fochy panny Teci...

Machinalnie, z przyzwyczajenia usługiwania drugim, Tecia wyciągnęła rękę.

— Niech pan da., ja odgrzeję...

Wyszła i w kuchni porwały ją dreszcze i łkanie. Lecz całą siłą woli stłumiła je, zagryzając usta prawie do krwi. Ogień wygasł. Rozpalać zaczęła drżącemi rękami. Z pokoju dolatywał ją gwizd nerwowy nie w takt gwizdanej polki.

Tadeusz, chcąc utrzymać się w ironicznym nastroju, gwizdał, bębniąc palcami po stole.

Tecia zamknęła oczy i stała tak długą chwilę, jakby pogrążona w katalepsyi.

Pani Pake wsunęła się za Wielohradzka delikatnie i ostrożnie do pokoju Tadeusza.

— Niech się pani nie frasuje — wyrzekła donośnym szeptem — my to tak składnie i cicho załatwimy, że się pan syn nie zbudzi.

I zwrócona ku drzwiom, upominała, nakazując ciszę i spokój.



Tadeusz otworzył oczy na sekundę, lecz natychmiast je zamknął. Zrozumiał, że chodzi tu o zajęcie ruchomości przez panią Pake, która o ósmej zjawiła się z komornikiem, taksatorem i pomocnikiem komornika. Od pół godziny opisywano meble kuchni i pierwszego pokoju, maszynę do szycia, kredens, kanapę krytą włosieniem, zniszczony dywan, tanie firanki, szafę, lampę, rondle, maszynkę spirytusową: ubogie i smutne narzędzia koniecznego, codziennego istnienia.

Gdy się ocknęła, uczuła się lekką i zdrowszą. Nietylko ramiona, lecz cała jej istota potargała teraz pęta fałszu i obłudy. Zdawało się jej, że przeżyła jakąś straszną operację, wyrwanie zęba, który bolał ją bezustannie. Drżąc jeszcze z osłabienia, lecz bynajmniej nie zrozpaczona, Teczka wylała gorący krupnik na talerz i z pewną odrazą, lecz zarazem wdzięcznością, zbliżyła się do Tadeusza.

— Proszę pana krupnik — wyrzekła naturalnym, cichym swym głosem.

Wielohradzka, blada, lecz zawsze wyniosła i dystygowana, sama wyciągała z kątów rozmaite rupiecie, otwierała szuflady, wskazywała zapomniane graty. Uczciwość jej bowiem była wielka i zdawało się jej, że splamiłaby się kradzieżą, wyjmując cokolwiek z pod zastawu. I tylko wzgardliwe milczenie komornika lub wzruszenie ramion taksatora, na widok nędzy ukazywanych sprzętów, napędzało jej trochę krwi do czoła.

Pani Pake chodziła po kątach, pomrukując i narzekając od czasu do czasu żalonym głosem:

— Ja myślałam, że pani ma lepszy dobytek... a to taki interes, to nie żaden interes. No!., niechaj ja wiem, że pani jest honorna pani i mnie nie ukrzywdzi!...

Zbliżyła się do szafki, w której leżały poukładane trofea kotyliionowe Tadeusza. Złoto i srebro orderów i cacek zamigotało przez szyby. Chciwie wyciągnęła rękę, lecz szybko cofnęła ją z uczuciem zdziwienia i pogardy.

— Jakież cacki! — wyrzekła, kręcąc głową, Wielohradzka z całej duszy pragnęła, aby Tadeusz nie obudził się i nie odczuł tego upokorzenia, jakie ona sama przechodziła w tej chwili. Były to tortury jej dumy, Golgota jej pychy. Instynktem kobiecym odczuwała, iż te tortury zdwoją się w duszy jej syna.

Rzeczywiście, Tadeusz, leżąc nieruchomy, z oczy

ma silnie zacisniętymi, czuł może po raz pierwszy straszną urazę do własnego niedołęstwa i niezaradności. Ci ludzie, spadający, jak sępy, ua ubogie sprzęty, które dla niego przedstawiały zaledwie wartość mebli zapełniających więzienną celę, smagali go szpicrutą śmieszności, przykuwali do pęgiernia trywialnego groszowego bankructwa. Ubez władniony sytuacją głupią i dziecinną, w jakiej się znajdował, leżał pod ciepłą kołdrą watowaną, z głową owiniętą fularową chustką, jak mumia smutnie nieużyteczna. Dokoła siebie słyszał głos matki, szelest jej sukni, szept pani Pake, cichy charkot taksatora, półgłosne odpowiedzi komornika i, milcząc, asystował komedii wywłaszczenia, tragicznie zabawnej farsie szarpania się dwóch istot o sprzęt drewniany i trochę słomy lub włosienia. Pod kołdrą zaciskał pięści z wściekłości, iż nie może wyrzucić za drzwi tego szepcącego stada, które w tej chwili taksowało półeczki trzcinowe i jego lusterko, jego własne lusterko, piękne, szlifowane w kanty i oprawne w imitacją kości słoniowej. Przezorność jednak nakazywała mu milczeć i swą rolę mężczyzny i głowy rodziny ograniczyć do neutralności zupełnej. W kwadrans później, gdy matka zamknęła drzwi za panią Pake, która wyszła ostatnia, dygając i przydeptując zbyt długą spódnice, Tadeusz odetchnął, odwrócił się od ściany i pogrzyżył w słodkiem półmarzeniu.

Wczoraj, przechodząc przez Ogród Jezuicki, spostrzegł Muszkę. Szła sama, prosta i sztywna, w swym króciutkim zakieciku i spódnicy w formie parasola, spódnicy, rozpiętej na stalkach, która kręciła się za każdym jej krokiem, jak duży pusty kojec, zawieszony na sznurku.

Tadeusz zwolnił kroku i mimowoli podziwiał te butną arogancję, z jaką Muszka szła wciąż prosto, nie ustępując nikomu i nie zbaczając ani na cal jeden z raz obranej ścieżki.

I w chodzie tym była cała synteza jej istoty moralnej. Wciąż naprzód, przed siebie, depcąc wszystko, co mogło wykoleić jej stopy. Od czasu do czasu nerwowo odrzucała nogą kamyk lub przegniłą gałązkę, leżącą na drodze.

I taką była siła jej arogancyi i z pod przymrużonych powiek patrzących oczu, iż przechodnie usuwali się jej z pewną skwapliwością z drogi, a ona przechodziła mimo z ramionami, szeroką linią rozłożonemi, z rękami ukryteimi w kieszeniach zakietu, z głową podniesioną wysoko i z linią ust, skrzywioną nieco ironicznie pod cienką osłoną wualki. Wielohradzki zawahał się, nie wiedząc, co czynić. Lecz ona dostrzegła go i szła wprost ku niemu, napozór sztywna i obojętna, w istocie drżąca cała. Z ziemi były już ciepłe i wilgotne wonie wiosenne: w powietrzu ciągnęły się smugami, pomimo zimna i wnikały w piersi i krew ludzi. Muszka znalazła się

tuż przy Tadeuszu. Jak dwa dyamenty śrubą zakręcone, tak mignęły jej oczy, rzucając na prawo, na lewo, w dal badawcze spojrzenie. Nie zatrzymując się prawie, ciągle prosta i obojętna, przez nerwowo zacisnięte zęby rzuciła krótkie, urywane zdanie:

— Dzień dobry!... Mówiono mi, że pan zna się na starych meblach... J'ai trouve une occasion rare... Meble gdańskie... wiek siedemnasty... Proszę przyjść jutro o szóstej... Dopomoże mi pan etablir le prix.

Powieki jej teraz załopotały, jak skrzydła ptaka, który zmęczył się zbyt forsownym lotem.

Nieznacznie skinęła głową i poszła dalej, szeleszcząc dyskretnie jedwabiem podszewek.

Wielohradzki przestał się już dziwić swej nadzwyczajnej szansie.

Przyjmował teraz te królewskie niespodzianki losu z osłupieniem, lecz bez wstrząśnienia. Czuł i wie działa, że Muszka nie należy do rzędu kobiet, które podobny flirt zawiązują lekko i bez naprzd obmyślonego planu. Dawał się już teraz prowadzić poprostu za rękę, nawpół przytomny i ogłupiały. On sam już do niczego nie dążył i nic nie pragnął. To ona dążyła i pragnęła za dwoje.

W osłupieniu tem pogrążony, leżał teraz w łóżku po odejściu komornika. Miał wygląd człowieka, który jest w przededniu jakiejś katastrofy. Uniknąć jej niepodobna. Cała więc istota milczy w nerwowem oczekiwaniu. Czuł tylko, iż to prozaiczne zajęcie me

bli niweczy najzupełniej poezję jego do Muszki stosunku. Chciał koniecznie czuć się szczęśliwym z naznaczonej schadzki i nie umiał już sformułować czystego i wyraźnego zadowolenia. Zdawało mu się, że Muszka widziała go w tej fatalnej sytuacji, leżącego nieruchomo z zamkniętymi oczami, gdy pani Pake pogardliwie szeptała, wskazując na półeczki, na których leżały trofea ostatniego kotyliona.

— Jeszcze jakieś cacki!...

Oddawna bowiem miał to uczucie, że Muszka jest po za drzwiami, że pociśnie kłamkę, wejdzie lada chwila i całą jego nędzę i niedostatek, śmieszny, centowy, zobaczy. Często nie śmiał podnieść głowy, a nerwy jego, rozdrażnione i rozigrane, halucynacye tę potęgowały z coraz większą siłą.

Gdy Wielohradzka weszła nareszcie do pokoju, zaniepokojona zbyt długim snem syna, Tadeusz otworzył oczy i leniwie podniósł głowę.

— Dzień dobry mamie!... — wyrzekł powoli, zniechęconym głosem.

Wielohradzka zbliżyła się i delikatnie pocałowała jego czoło.

— Dzień dobry! Byłam niespokojna... już późno! Czy czujesz się zmęczony?

— Nie!... dlaczego?

— Spałeś tak długo...

— Nie spałem w nocy. Głowa mnie boli.

Jak kapryśna kobieta, zastawił się natychmiast bólem głowy.

Usiadł na łóżku, zdjął fular, który wiązał umyślnie na noc, aby włosy układały się w jedne i te same linie.

Wielohradzka podała mu flaszeczkę z wodą kolońską.

— Natrzyj skronie. Może weźmiesz antypiryny? Lecz on potrząsał przecząco głową.

— Nie! nie! potrzeba mi tylko świeżego powietrza i spokoju.

Unikał spojrzenia w twarz matki. Nie chciał w niej wyczytać wrażeń świeżo przebytej ciężkiej chwili. Zagłębił się cały w ręcznym lusterku, które zawsze miał koło łóżka, na stoliku.

— Okropnie dziś wyglądam!... — zadecydował półgłosem.

Wielohradzka westchnęła.

— Nie idź dziś do biura!... — zaproponowała nieśmiało.

— O! nie! nie! pójdę!... Niech tam! zdechnę w tym deptaku!  
Machnął ręką ze wspaniałą pogardą.  
— Tem lepiej!... — wyrzekł ironicznie i lustерko w fałdy kołdry porzucił.  
Wielohradzka pokiwała głową.  
— Ach!... Tadziu! Tadziu!... jak też można tak

mówić! Toć obraza Boska!... Grzech śmierci żądać!...

Tadeusz brwi zmarszczył i odparł nerwowo:

— Grzech kazać człowiekowi tak pracować, jak ja pracuję!... Koń dorożkarski ma chwilę wytchnienia, a ja dnie i noce muszę mordować się w tem przekletem biurze!...

Wielohradzka ręce opuściła z rozpaczliwym smutkiem.

— Co począć!... co począć!

— A no nic! Zapracować się na śmierć! To wszystko!

— Wstawaj tymczasem, mój biedaku! Może się, da Bóg, wreszcie to wszystko przemieni...

— Och!...

Wielohradzka skierowała się ku drzwiom, lecz nie odchodziła. Widocznem było, iż miała coś na sercu, jakiś ciężar, i nie wiedziała, jakimi słowy określić to uczucie. Nie mogła jednak, pomimo chęci, zataić tych myśli przed Tadeuszem. Wczoraj bowiem wieczorem Piknicka, wezwaw szy ją do siebie, zawiadomiła, że Teczka zdecydowała się nareszcie oznaczyć dzień swojego ślubu z panem Janczewskim.

Radość Piknickiej była wielka. Pan Janczewski, uszczęśliwiony, przysłał tort i bukiet dla Teci. Należało więc ów tort zjeść w gronie przyjaciół. Dlatego też Piknicka spodziewa się, iż pani Wielohradzka

z panem Tadeuszem raczą zaszczyścić jej skromne mieszkanko swoją obecnością i o godzinie szóstej przyjdą na skromną herbatkę.

Oto o co prosi pani Piknicka, Teczka, Felek i pan Janczewski.

Wielohradzkiej zamaryły na ustach wyrazy. Ona, tak zwykle przytomna i panująca nad swojemi wrażeniami, w pierwszej chwili nie mogła znaleźć słów i wzrokiem śledziła Tecię, spokojnie siedzącą koło stołu i pijącą herbatę.

Dziewczyna była tylko bardzo błada i unikała widocznie spotkania oczu matki Tadeusza, lecz nic w postępowaniu jej nie zdradzało nerwowego zgnębienia lub rozpaczliwej determinacji.

Wielohradzka równocześnie uczuła się szczęśliwą, iż cała ta sprawa przybiera równie pomyślny obrót; jednak jej macierzyńskie serce zaniepokoiło się z obawy, jak Tadeusz przyjmie tę wiadomość.

Gdy powróciła do domu i w ciszy nocnej zaczęła rozmyślać i zastanawiać się głębiej, doszła do przekonania, iż radość jej jest zła i nieuczciwa, i że przedewszystkiem powinna dbać o szczęście syna.

Ponieważ Tadeusz widział swoje szczęście w małżeństwie z Tecią, należy uczynić wszystko, aby to małżeństwo doszło do skutku.

Wszystko, a przynajmniej to, co jest możliwe i konieczne do spełnienia.

Postanowiła więc rozmówić się z synem, i choć

z sercem ściśniętem, ale poprosić Piknicka o rękę Teci dla Tadeusza. Prosta jej bowiem i nieskomplikowana natura nie śledziła przemian w fazach miłostek syna. Nie przypuszczała, iż Muszka zajęła znów miejsce Teci. Dla niej Tadeusz kochał teraz Tecię i seryo pragnął pojąć ją za żonę.

Po kilku chwilach wahania nieśmiało przystąpiła do rzeczy.

— Piknicka prosiła nas dziś na herbatę... wyrzekła z zakłopotaniem, a twarz jej, zmęczona i blada, w obramowaniu siwych włosów nabierała lekko różowej barwy.

Tadeusz porwał się, jak sparzony ukropem:

— Ja nie mogę!... nie pójdę!... mam dziś fiwt o'clock u Pozbitowskich...

— To się dobrze składa... bo i ja sądziłam, że iść nam nie wypada...

— Dlaczego? niech mamcia idzie!

— Nie!... iść nie mogę, zanim się z tobą nie rozmówię... Czy wiesz... że dzień ślubu Teci z panem Janczewskim jest oznaczony?...

Wielohradzki sięgnął ręką po lusterko.

— A!... — wyrzekł obojętnie. Wielohradzka spojrzała nań zdziwiona.

— Jakto? przyjmujesz tę wiadomość z taką obojętnością?

— A dlaczegoż ma być inaczej?..

— Ja sądziłam...

war. Cicho usłużna dziewczyna wypełniła codzienne zadanie.

W tej chwili serce Wielohradzkiej ścisnęło się wielkim żalem.

To drobne ptaszę miało odlecieć na zawsze. Jakaś inna zuchwała głowa zarysuje się zamiast tej delikatnej sylwetki na jasnej szybie okna. Wszystkie noce, przeczuwane nad pilną robotą w towarzystwie tej spokojnej i potulnej małej, przesunęły się jej przed oczami.

I z kobiecym brakiem logiki, ale zarazem z tą uczuciową solidarnością, która łączy wszystkie kobiety w armię wrogą przeciw mężczyznom, Wielohradzka uczuła sama ściśnięcie serca i żal głęboki do Tadeusza, Dlaczego nie chciał teraz Teci? dlaczego odwracał się od niej z taką nadętą pychą?

W tej chwili Teci podniosła głowę i spojrzała na starą kobietę swemi wielkimi, przezrystymi oczami. To dopełniło miary.

Wielohradzka podeszła szybko ku dziewczynie i, nie szukając pretekstu, chcąc poprostu uczynić ulgę swemu sercu, objęła Tecię ramieniem.

— Moja Teci!... moja biedna Teci!... — wyszeptwała, całując głowę dziewczyny.

I w oczach miała łzy, wargi jej drżały.

Teci przytuliła głowę do piersi Wielohradzkiej i zaniknęła powieki.

— Przypomnij sobie naszą rozmowę podczas bytności Radolta...

— Nie pamiętam!...

— Mówiłeś mi, iż chcesz się żenić z Tecią..., że... Umilkła, zdjęta nagle jakimś wstydem kobiecym wobec tego łatwego zapomnienia drugiej kobiety przez wzgardliwą lekkomyślność mężczyzny.

Tadeusz wzruszył ramionami i skrzywił się z niesmakiem.

— Proszę mamci!... — odparł, cedząc słowa — proszę mamci: skoro się jest młodym, dużo głupstw się po głowie roi. Rozmyśliłem się... zastanowiłem i widzę, że mamcia miała zupełną rację. Nie moge ożenić się ze szwaczką!... Ca ser ait un peu trop fort!...

— Ależ...

— A teraz, mamciu, proszę nie rozmawiać ze mną nigdy w tej kwestyi. Stało się zadość życzeniom mamy: sądzę więc, że mamcia będzie zadowolona.

— Jednakże, gdybyś miał cierpieć..., Tadeusz, rad, że będzie mógł dręczyć matkę tem urojonem cierpieniem, odparł:

— To już moja rzecz!... a teraz idę do biura! Wielohradzka wyszła i w pokoju zastała Tecię, która, tak jak zawsze, przyszła do roboty i siedziała już koło okna, przygotowując maszynę. Na stole leżał rogalik Tadeusza, w kuchence gotował się samo

W binrze dnia tego Tadeusz spotkał Maleniego, który wychodził od namiestnika i zmierzał ku głównemu wyjściu. Maleni za kilka godzin miał wyjechać do Wiednia. Tadeusz wiedział o tem od Charłupki i Bodockiego.

W ciasnem przejściu korytarza, na szarej ścieżce dywanu, znaleźli się nagle dwaj mężczyźni, sami, je den wobec drugiego.

Serce Tadeusza zabiło tak gwałtownie, iż na chwilę wodzireja odbiegła przytomność.

Bezwiednie przycisnął się do ściany i stał, oczekując przejścia Maleniego.

Magnat szedł powoli, jak sion w czapraku dystynkcyi i dygnitarstwa. Olbrzymia jego postać wypełniała wąwóz korytarza. Na plecach miał narzucone futro, i z ciemnego pasma kołnierza wysuwała się twarz cokolwiek obrzękła, okrągła, otoczona kil

G. Zapolska. — Wodzirej. Toni II.

Po raz pierwszy matka Tadeusza pieściła ją z taką prawdziwą macierzyńską dobrocią.  
I w tej chwili rozpaczliwy ból ścisnął serce dziewczyny.  
Lecz nie było w nim iskier miłosego żalu za Tadeuszem; była tylko boleść, jaka szarpie serce córki w chwili rozstania się z ukochaną matką. I porwawszy delikatne ręce Wielohradzkiej, Teczka okrywała je pocałunkami, szepcząc:  
— Ależ ja przy pani zostanę... ja zawsze tu będę szyła... ja pani nie opuszczę!...  
W tej chwili w pokoju Tadeusza dały się słyszeć kroki  
Wodzirej kierował się ku drzwiom.  
Instynktownie obie kobiety odsunęły się od siebie i przybrały wygląd obojętnych istot.  
W głębię swej duszy zamykały starannie wszelkie objawy rzeczywistej serdeczności.  
I gdy Tadeusz wszedł do pokoju, już obie były zajęte usługą i czekały na jego rozkazy.  
Wielohradzka drżącymi od wzruszenia rękami zawijała w papier rogalik i kawałki cukru, gdy Teczka, milcząca, owinięta białą swego szala, szła do kuchni po gotujący się samowar.

— I lirabiosstwo przyjęli?

— Parfaitement!..

— To umrzeć można ze śmiechu!...

Nagle drzwi się otworzyły i powoli, uroczysty i tragiczny, przesunął się przez pokój Kafthan.

Miał brwi ściągnięte i minę stanowczą i zdecydowaną.

Widoczne było, iż zaszła w nim jakaś zmiana, jakieś postanowienie niedozwalania więcej na drwiny, których był przedmiotem.

I tyle stanowczości było w jego chodzie, we wzroku, w sposobie przesunięcia się po ścieżce dywanika, iż Malewicz i Pozbitowski, którzy mieli usta pełne j dowcipów i śmiechu, zajęli się nagle swojemi paznogciami i z gorliwością zaczęli szlifować i piłować owe nieszczęsne „rubiny”.

Tadeusz podszedł do biurka i na przechodzącego Kafthana spojrział.

Kafthan wychodził zupełnie z biura, bo miał na plecy narzucone długie futro z ciemnym kołnierzem.

Tadeusz został uderzony podobieństwem chodu Kafthana do chodu Malenicgo. Ta sama powolna, słoniowa powaga, to samo dźwiganie czapraka dystynkcji i dygnitarstwa.

Kafthan znikł za drzwiami, i Malewicz z Pozbitowskim natychmiast szeptać zaczęli:

— Widziałeś?

— Widziałem!...

kona półkulami podbródków, ujętych w ledwo dostrzegalne pasma rudawych faworytów. Usta, zupełnie wygolone, drobne były i małe, jak u dziecka. Cała synteza charakteru Maleniego kryła się w rysunku tych dwóch warg, dobrodusznie a ironicznie zaciśniętych.

Oczy zato nie miały żadnego wyrazu.

Były drobne, małe. czarniawe, tonące w białości policzków.

Tadeusz uczuł się podwójnie wzruszonym i zmieszonym zbliżeniem Maleniego. Był to potentat w.c. k. karyerze urzędniczej i mąż Muszki. Podwładny i kochanek znaleźli się wobec dygnitarza i męża. Gdy Maleni minął Tadeusza, skłaniając lekko głowę, Tadeusz pochylił swoją tak, że twarz jego znikła zupełnie, a tylko wyszczotkowana czupryna zaciemniała na plastronie koszuli. Bez tchu wszedł Tadeusz do pokoju, w którym stało jego biurko. Chciał szybko usiąść, wziąć gazetę lub książkę i udać, że zagłębia się w czytaniu Ale od progu powitały go chichoty Malewicza i Pozbitowskiego

Stali na środku pokoju, a Malewicz ze śmiechu aż związał się, jak wąż, Pozbitowski zaś powtarzał spazmatycznie:

— Nie jak Boga kocham . to farsa.,, to niepodobna... to farsa!..

Ależ nie!... — odpowiadał Malewicz — to prawda! .. oświadczył się wczoraj...

— Jak się nadał!

— Il n'a pas l'air commode!

— Nie będzie można z niego żartować! Szkoda!

— Spodziewam się! Zięc hrabiego!

W tej chwili Malewicz zwrócił się ku Wielohradzkiemu.

— Wiesz, co Kafthan zrobił? — zapytał.

— Nie wiem — odparł obojętnie Tadeusz.

— Oświadczył się o czwartą pannę i został przyjęty!

— A!...

Wiadomość ta nie zajęła Tadeusza. W tem podnieceniu nerwowem, w jakim się znajdował, co go obchodzić mogły zaręczyny Kafthana!

Lecz już Malewicz i Pozbitowski szeptali znów między sobą, jak dwie plotkujące kobiety.

— Zamianują go starostą w Dzerdzyinie! zobaczysz!...

— Bardzo być może.

— Jak on to pocichu nplanował i urządził.,.

— Dla niego to partya! Będzie pusoicany.

— No... i dla niej: Kafthan bogaty.

— Tak!... ale... Zresztą prawda, że ona prawie nic nie ma. Jakies sto tysięcy...

— I to problematyczne.

Tadeusza szeptki te doprowadzały do wściekłości. Odwrócił się ku oknu i patrzył przez szyby, z których spływały roztopione strugi wody. W ogrodzie leżał



jeszcze śnieg, lecz już miejscami czerniła się ziemia i jakieś niewyraźne, zielonawe cienie snuły się po gałęziach i pniach drzew.

Po alejach biegał mały piesek rudawy i kudłaty i zdaleka wyglądał jak olbrzymia wiewiórka, szukająca żeru. Przed werendę szklaną wyszła jedna z panien hrabianek i ustawiała w promieniu bladego słońca doniczki z napół umarłymi roślinami.

Ubrana była w czerwony kapturek i długą, piaskowej barwy, rotundę. Zdaleka wyglądała jak purpurowa róża, okolona massa jesiennych liści. Galopem przybiegł ku dziewczynie piesek i, poszczekując, chwycił za brzegi rotundy, którą panienska, klęcząc, rozrzuciła dokoła na szarem tle asfaltu.

I nagle z otwartych drzwi wybiegła jeszcze jedna piaskowa rotunda i purpurowy kapturek, a za nią druga i trzecia. Zaroiło się w słonecznych promieniach od tych czterech dziewczyn, które, jak parter kwiatów, jak miniaturowy klombik, płonęły w oddali czerwienią swych kapturów.

Chwilę rozbiegły się tu owdzie, ścigane przez pieska, i nagle przyklekły koło doniczek, wyciągając ku obumarłym kwiatom miłosierne ręce.

I w tej chwili te cztery brzydkie były wdzięczniejsze i piękniejsze, niż iunc, bardziej od nich piękne.

## XVI

Pociągnąć za dzwonek—to rzecz prosta.

Tadeusz stoi przed drzwiami mieszkania Dezyderego i zdecydować się nie może.

Nagle w oknie, prowadzącym na korytarz, zdaje mu się, iż dostrzega bladą twarz lokaja.

Dzwoni i przeraża się, sądząc, że za silnie guzik pocisnął.

Drzwi otwierają się prawie w tej samej chwili.

Przed Tadeuszem usuwa się w głąb przedpokoju Karol, lokaj Dezyderego, trupio blady, z twarzą zawiędłą chorobliwego maniaka.

— Pan hrabia wyjechał!... — mówi bezdźwięcznym głosem, w którym przebija się znudzenie służbą i życiem.

Tadeusz powstrzymuje się od wymówienia głupstwa, miał bowiem ochotę odpowiedzieć „wiem o tem”, i kazał zaanonsować się hrabinie.

W tej chwili czuje, iż niejest nawet panem swych myśli i że na każdym kroku może się skompromitować.

Zaczyna pośpiesznie szukać karty wizytowej. Ręce mu drżą.

Zimna krew lokaja, jego rybie splowiałe oczy wyprowadzają go ostatecznie z równowagi.

— Oto moja karta!... mówi, podając bilet loka jowi — proszę mnie zaanonsować pani hrabinie.

Powoli, nie śpiesząc się, Karol odmyka drzwi od małego pokoiku, służącego za bibliotekę Dezyderemu.

— Pan będzie łaskaw zaczekać! — mówi i znika za porty erą.

Tadeusz wchodzi do pokoju i natychmiast wzrokiem szuka lustra. Lecz niema tu żadnego zwierciadła. Nad kominkiem z czarnego marmuru, na którym tli się kilka polan drzewa, zamiast lustra umieszczono duże panneau, malowane

sposobem dekoracyjnym, dużymi płaszczyznami, w bardzo czystym i prymitywnym stylu. Dokoła szafy ciemne, szczelnie zamknięte i zasłonięte firankami z ciemno szafirowego jedwabiu, na wzór bibliotek XVIIIgo stulecia. Na środku stół dość duży, okrągły, pokryty szafirowym sukniem i zarzucony mnóstwem dzienników i broszur. Różne Eeuvres francuskie i świeże wydawnictwa paryskie i belgijskie. Przeważnie książki o kartach nierozciętych. Wszakże jest tu kilka noży do przecinania kartek, wspinających, rzeźbionych, cyzelowanych.

Tadeusz mimowoli zbliża się do „tych mebli i ogłupiałym wzrokiem patrzy na harmonijne linie kanapy, która zdaje się być cała z niewielkich lir dębowych zrobiona. Przez okna o drobnych szybach, ujętych w białe ramki i przysłoniętych od strony zewnętrznej błękitnymi firankami, płynie prawie księżycowe światło, łagodzące jeszcze bardziej delikatny wdzięk malowideł i śliczne formy mebli.

Białe posążki marmurowe, porozstawiane na konsolkach, prześliczny sewrski pajak, cały z róż i niczabudek utkany, nabierają w tym oświetleniu czarodziejskich tonów.

W kącie złoci się dyskretnie harfa i w wypukłościach girland, którymi jest ozdobiona, niebieskie światło zapala łudzające migotanie ametystów i szafirów.

W powietrzu unosi się woń dziwna, nieokreślona, woń, jaką zwykle miewają muzea i stare pałace, w których rzędem pod ścianami stoją stare meble, kryte spłowiałym jedwabiem, a ze stropu zwieszają się portrety dam w pudrowanych fryzurach i kwiatami zasianych robronach.

Woń ta czaruje, upaja, rozmarza. Woń ta przypomina muzykę dawno usłyszanego menueta i obecność odbiegłych w dal jakichś eleganckich, wykwintnych i artystycznych istot.

Wielohradzki stał na środku salonu nieruchomy, przyciskając nerwowo kapelusz do piersi. Miał minę

Dokoła stołu fotele, kryte aksamitem, fotele Voltaire, leniwe w opuszczeniu i beczynności zupełnej. Wielohradzki zbliża się do jednej z szaf i usiłuje przejrzeć się w szybie na tle ciemnoszafirowej firanki. Nie widzi jednak nic oprócz czarnej sylwetki o uszach wybitnie odstających. Rozpaczliwie poprawia kołnierzyk, który go dusi. Lekkie chrząknięcie, dyskretne i ciche, przywołuje go do porządku. We drzwiach stoi Karol, sztywny i obojętny.

— Pani hrabina prosi, ażeby pan zechciał przejść do małego salonu. Pani hrabina zaraz nadejdzie!

Przechodzi cicho, jak kot, przez gabinet i uchyla szafirowej portyery.

Tadeusz idzie za nim i, przeszedłszy próg otwartych drzwi, znajduje się w gabinecie o ścianach lustrzanych i gobelinowych meblach.

Szeroko otwarte podwoje szklanych drzwi ukazują salonik biały, różowy, błękitny. Na ścianach mającej paneaux delikatne i jasne, na których bukiety róż i niezapominajek łączą się liniami gzygzakowatymi błękitnych i różowych wstążek.

Giesteui automatu Karol wskazuje Tadeuszowi niewielką kanapę i kilka krzeseł, stojące na środku salonu.

— To te meble! — mówi, posuwając jedno z krzeseł.

I cicho, spokojnie wychodzi, przysmykając drzwi obite walkami białego aksamitu.

I ciągle już potem Tadeusz miał minę żaka, który ukradł ołówek albo książkę swemu koledze. Był zamało mężczyzną, aby tryumf, dokonany w biały dzień, w godzinę po wyjeździe męża, dodał mu odrazu szyku i pewności siebie. Zdawało mu się, iż jakiś ciężar legł na jego barkach i że lada chwila grozi mu jakieś straszne niebezpieczeństwo.

Muszcze, o jej namiętności myślał jak o potworze z zasłyszanej dawno bajki, który się przed nim ujawnił nagle i porwał go w swe szpony.

Biurałista, przywykły mimowoli do szacunku dygnitarzy, miał bezustannie na myśli Maleniego. Widział go ciągle olbrzymim, groźnym, imponującym

kurczył się o ile możliwości, aby temu wielkiemu panu miejsca ustąpić. Cały fakt owego tryumfu" nad Muszką majaczył! teraz w jego oczach, jak czarna plama. Co to było? Nie umiał sobie nawet zdać do kładnie sprawy. Pozostała mu tylko trwoga śmieszna, głupia, dziecięca.

dzieciaka, studenta, oczekującego na profesora, który ma nui wyjawić wielkość wyznaczonej kary. Był bardzo czerwony i pod czaszką czuł najzupełniejszą pustkę, pomimo napływu krwi do głowy.

Drzwi uchyliły się cicho i weszła przez nie Muszka, odziana wr długą, białą, jedwabną suknią domową w formie bluzy, która wlokła się za nią bez szelestu, jak mgła, jak cień.

Wielohradzki spojrział na wchodzącą kobietę, i przeraził się straszną zmianą, jaką dojrzał w jej twarzy.

Była blada, trupio blada.

Oczy, podkrążone sinemi obwódkami, wyglądały jak dwie przepaści ciemne i światło w siebie chłonące.

Postarzała, z ustami rozchylonemu, spieczonemi jakby niezaspokojonem pragnieniem, była uosobieniem „wielkiej rozkochanej. typem kobiety dławionej potęgą zbudzonej namiętności.

W długiej, śnieżnej szacie, na którą błękitnawe światło kładło sinawe smugi, szła ku niemu powoli w aureoli miedzianorudych włosów.

I wyciągnęła obnażone do łokci ręce i podała mu do pocałunku usta gorączką spieczone i tak bardzo jego ust spragnione.

Nie umiał się jej pozbyć.

Gdy szybko przez Muszkę pożegnany krótkimi, rozkazującymi mu odejść wyrazy, znalazł się w przedpokoju i zobaczył przed sobą bladą twarz lokaja, wyobraził sobie, iż widzi w rybitich oczach tego człowieka rodzaj litosnej ironii. Wybiegł na ulicę i pędził ku ogrodowi Inwalidów, chcąc tam pozostać samotnym i ukryć się przed wzrokiem ludzkim. Po drodze starał się interesować drobiazgami, grającą katarynką, wystawami żydowskich kramów, dziwną tarczą słoneczną, poprzecinaną liniami chmur krokodylich wydłużonych kształtach.

Chciał zagłuszyć w sobie wspomnienie chwili, którą przeżył, chwili fatalnej, choć przewidywanej. Pod czaszką mu wrzało, gdy w głowie czuł przerażającą pustkę. Dwukrotnie oparł się o ścianę domu otarł pot z czoła.

— Oszaleję!... — wyszeptał zbieletemi uszy. Wbiegł do alei ogrodu i doznał uczucia zawodu. Zdawało mu się, iż znajdzie się wśród cienia i spokoju. Tymczasem bezlistne jeszcze drzewa drżały w chłodzie wczesnej wiosny, a tu i owdzie po szarej grudzie alei snuły się czarne postaci inwalidów, rysujące się w przestrzeni, jak wycięte z blachy sylwetki. Tadeusz błędził zaczął wśród ścieżek, lecz rozraarzała woda znaczyła się teraz kałużami pomiędzy różgami krzaków.

Smutek wyjący, bolesny, rwał tu serce na strzępy. Tadeusz miał ochotę usiąść na ławce i zanieść się z płaczu: tak wszystko w nim smuciło się razem z tym ponurym zachodem słońca. I uczył się nagle znieważonym tą wzgardliwą namiętnością, z jaką Muszka porwała go w swoje ramiona. Ani słowa miłości nie zdołali zamienić pomiędzy sobą. Jej wzrok rozkazujący zamykał mu usta i nie dozwalał na najprostszvy wyraz uczucia. A później to pożegnanie nieme, rozkazujące, ten giest suchy, nerwowy, wskazujący mu drzwi i natychmiastowe zniknięcie jej samej, bez rzucenia uśmiechu, wejrzenia!

I teraz zaczynał już nie być pewnym: czy całe to zajście nie było halucynacją, snem, ułudą..

Długo błąkał się po ogrodzie i zmierzch zupełnie zastał go na fortyfikacyach, które obchodził pogrążony w myślach. Doszedł do rogatek i wszedł do miasta. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Było mu to obojętnem. Widział przed sobą cały szereg latarni, bramujących ulicę żółtawemi światelkami, i siedł za niemi, wpatrzony w te migotliwe punkty. Wybiła dziesiąta. Wielohradzki ujrzał otwarte drzwi jakiejś małej cukierenki i w tej samej chwili uczył głód i zimno. Wszedł i kazał sobie podać herbaty.

Natychmiast wziął w rękę dziennik i zasłonił się tą płachtą, pragnąc odosobnić się najzupełniej od reszty ludzkości.

prowadził w salonach. Szarpnęło mu to nielitościwie duszę. Uczył się nędzarzem moralnym i materyalnym. Zaczął biedz prawie, chcąc uniknąć tej powodzi tonów. Skrecił w jakąś boczną uliczkę: i tam wpadła za nim kaskada tego piekielnego chóru, błąkającego się, jak oślepy nietoperz wśród ciasnych ścian brudem zapełnionych kamienic.

Tadeuszowi zdawało się, że teraz ktoś go ściga, goni i do ucieczki przymusza. Biegł ciągle, bez planu, potrącając przechodniów. Pragnął głównie uniknąć wzroku matki. Chciał znaleźć ją już uspioną i móżdżek wsunąć się do swego pokoju niedostrzeżony i w zupełnym spokoju. Lecz należało przedewszystkiem poczekać i nie wracać natychmiast do domu.

I rozpoczął teraz wędrowkę po ulicach Lwowa, wędrowkę prawdziwego Ahaswerusa, dźwigającego na sobie brzemię wielkich powodzeń miłosnych.

m

Przez Żółkiewskie, czarne i opustoszałe, wydostał się na Plac Teatralny i ku Szkarpom biedź zaczął. Placem Bernardyńskim i Maryackim przeszedł na ulicę Kopernika i szedł w stronę Ogrodu Jezuickiego, gubiąc się w zakrętach nowych ulic, na których sterczały rusztowania świeżo budowanych domów. Dwara razy przesunął się, jak cień, pod bramą kamienicy, w której mieszkał; szedł dalej, nie śmiąc zadzwonić do bramy. Instynktownie unikał ulicy, przy której mieszkała Muszka. Wyczerpany i znużony, znalazł się znów na Szkarpacech, tuż pod oknami na

Lecz ludzkość ta przedstawiała się jedynie w postaci zaspanej, chudej kobiety, drzemiącej za kontuarem, i małego chłopca o dużej głowie i brudnym fartuchu, który postawił przed Wielohradzkim tackę z herbatą i talerz zeschniętych ciastek.

Zapanowała głucha cisza.

Tylko gaz syczał w przyległym pokoju i świst jego nieznośnym hałasem wypełniał zboląłą głowę Tadeusza. I znów jego myśli zaczęły tańczyć sara bandę i nie chciały w żaden sposób sformułować się w jakieś porządne i dokładne wTażenia.

Powoli pił herbatę i gryzł jakieś stare ciastko, które miało smak łożu zmieszanego z próchnem. Wzrok zaspanych oczu siedzącej po za kontuarem kobiety drażnił go niewypowiedzianie. Znowu za pragnął ciemności ulicy. Porzucił niedopitą herbatę, zapłacił i wyszedł. Na ulicy porwał go żal i smutek. Zdawało mu się, iż ma do przebycia olbrzymi szmat drogi wśród bagna i błota. Wcisnął ręce w kieszenie palta i iść zaczął, nie starając się myśleć, zeszytniały moralnie, zdrętwiały na duszy.

Minął płachty jakichś namiotów, po za którymi grały chrapliwe katarynki. Za płócienną ścianą ryczały boleśnie lwy, zamknięte w klatkach nędznej menażeryi. Kinkiety naftowe żółciły się światełkami na tle czerwonych perkalowych festonów. Katarynki grały walce, polki, kadryle. Wielohradzki poznał w tych wyjących tonach melodye tańców, które

miestnictwa. Przygasłym wzrokiem spojrzął na ten gmach, drzemiący leniwie w cieniu, jak dobrze wypasione zwierze, odpoczywające na pastwisku. Na drugim piętrze świeciło się w dwóch oknach. Malewicz wysiadywał inspekcję, i Wielohradzkiemu przyszła chętka zastąpić go i pozostać na noc w tej samotnej i cichej sali. Wybiła pierwsza, przeciągle i chrapliwie, Wielohradzki zastanowił się j nagle biedź jak strzała zaczął w stronę domu. Matka musiała już spać, a ten „dom” teraz, po tak długiej włóczędzie

chłodzie i ciemnicy, wydawał mu się rozkosznym przytułkiem. Szybko dopadł do bramy, zadzwonił

wdrapał się na schody. Cicho otworzył drzwi i wsunął się do pokoju. Odetchnął!  
Wielohradzka spała, oddychając ciężko.  
Początki astmy zaczynały bowiem objawiać się u niej od pewnego czasu.  
Tadeusz przesunął się jak cień i, gdy wszedł wreszcie do swojego pokoju, doznał uczucia ulgi i spokoju.  
Na stole paliła się przyciemniona cokolwiek lampa, rzucając niepewne światło na kwadrat białej serwety, którą stół był przykryty.  
Na serwecie stał talerz, leżały widelce i noże. Maszynka spirytusowa srebrzyła się, mając obok czajnik, pokryty serwetką. Na spodeczku leżał duży kawałek tortu i kilka cukierków.  
Tadeusz lampę rozjaśnił i do łóżka się zbliżył.

Na poduszce znalazł kawałek zapisanego papieru, przypięty szpilką. Odpiął go i przeczytał.  
Moje kochane dziecko! Dobranoc Ci. Kładę się spać, bo jestem znużona. Pewnie będziesz głodny, gdy powrócisz. Pod blachą są pierożki. Odgrzej sobie herbatę na maszynce, ale ostrożnie, ażebyś, broń Boże, ognia nie zaprószył. Pani Pikiicka i Teci przysyłają Ci kawałek tortu i cukierki. Bardzo wszyscy żalowali, że Ciebie nie było. Śpij spokojnie i z Bogiem. Całuję Cię serdecznie i Bogu polecam.  
Twoja najprzywiązańsza  
Matka.  
Wielohradzki długą chwilę stał zamyślony, trzymając kartkę w ręku. Cisza i ciepło, panujące w tym pokoiku, zaczynały go napawać rozrzewnieniem. Trwoga, która go ogarniała po wyjściu od Muszki i pędziła wśród ulic, rozpraszała się czarodziejską władzą.  
Po raz pierwszy oddawna' nie czuł obecności Maleniowej po za progiem mieszkania. Widocznie myśl i chęci tej kobiety uśpione były w tej chwili i nie błądziły w pobliżu.  
Cicho i z początku nieśmiało zapalił Tadeusz knot maszynki i zaczął odgrzewać przygotowaną herbatę. Odsunął wszakże od siebie tort i cukierki. Po chwili jednak w roztargnieniu sięgnął i zjadł  
G Zapolska, — Wodzirej. Tom li.

jedną poinadkę. Głód szarpał mu wnętrzności. Nio chciał iść jednak po owe pierożki, z obawy obudzenia matki.  
I po chwili namysłu, wzruszywszy ramionami, po tort sięgnął.  
Tort był dobry, massa świeża, herbata gorąca i słodka.  
Pijąc i jedząc, Tadeusz zaczął odzyskiwać pewną fantazyę. Gdy nalał sobie drugą filiżankę, sięgnął po ręczne lustro i podkreślił wąsy. Zjadłszy tort i cukierki, zaczął grupować wspomnienia. Gorąco przebiegło mu żyły. Starannie zbierając ze stołu okruchy ciastka, Tadeusz tracił teraz powoli bojaźń przed mężem, a natomiast coraz silniej zaczynały rysować się przed nim smukłe kształty i twarz żony.r :  
Nazajutrz, razem ze świtem, opadły znów Tadeusza niepewność i trwoga.

Teraz zaczynał się troszczyć: co będzie dalej? jaką ścieżką każe mu iść Muszka? w jaki sposób swoją woję objawi? Sam nie chciał nic przedsięwziąć; nie przeszło mu nawet przez umysł, iż może mieć swoją woję. Zajął wobec niej rolę podrzędną, rolę wypełniającego rozkazy, i nie umiał z niej wybrnąć, nie umiał i nie chciał. Czekał więc, oswajając się powoli ze swoim nowym położeniem: kochanka wielkiej damy. Sytuacja nie była tak tragiczna przy świetle

dziennym, jak inii się wydawała o zmierzchu i wśród nocnej galopady po ulicach miasta. Matka przywitała się z nim tak samo, jak poprzednio, a w biurze nikt nie domyślał się nawet, co pomiędzy nim a Maleniową zaszło. W kilka dni później Maleni powrócił z Wiednia, i znów Wielohradzki spotkał się z nim w ciasnym przejściu korytarza na ścieżce dywanu. Trwoga jego i bojaźń odżyły w tej chwili z całą mocą. Nie śmiał podnieść głowy: tak bardzo imponował mu ten olbrzym, sunący ciężko wśród smugi wiosennego słońca. I długo jeszcze po przejściu Malenięgo Tadeusz nie mógł odzyskać równowagi. Odzyskał ją wreszcie i znów zaczął przeżuwać wspomnienia i dręczyć się przypuszczeniami na przyszłość. Teraz bowiem budziła się w nim chęć ponownego zobaczenia Muszki. Zgłuszona przez niezwykłość sytuacji, namiętność zaczynała nurtować. Ten sen, ta halucynacja stawały się zmorem, dławiącą go wśród bezsennych nocy. Zdawało mu się, iż nie Muszkę samą trzymał niedawno w swoich objęciach, ale jej cień, jej widmo. I zapragnął teraz, z młodzieńczą krewkością, dostać w swoje ramiona na długo, na wyłączną, choć chwilową, własność tę kobietę. Lecz Muszka nie dawała o sobie znaku życia. Tadeusz oczekiwał ciągle i pragnął oczekiwanie to uczynić o ile najmożliwiej correct i nieposzlakowane. Nie gonił więc Maleniowej, nie narzucał się

iż jedynie tylko szalona miłość mogła skłonić Maleniową do podobnego kroku.

I sam w swych oczach zaczął się dąć i pozować na człowieka niezmiernej wagi. Wściekłość ogarniała go na myśl, że nikt nie może wiedzieć o jego tajemnicy, zazdrościć mu, patrzeć na niego z podziwem i uwielbieniem.

Kochanek Maleniowej!

Była to wspaniała rola, pozycja tak świetna, o jakiej żaden z professional lover'ów lwowskich marzyć nawet nie śmiał. I ztąd Tadeusz urósł nagle w zuchwalstwo i pychę. Kto wie, do czego ta sytuacja doprowadzić go mogła... Los gotował mu ciągle nadzwyczajne niespodzianki. Należało tylko umieć czekać. Na co? Nie wiedział, ale czekać postanowił.

W pierwszych chwilach oczekiwanie to przychodziło mu z pewną łatwością. Żył wspomnieniami i pewną ością. Powoli przecież milczenie Muszki zaczynało go dręczyć i wprowadzać w stan bezustannego niepokoju. Fantazja jego pracować teraz zaczęła. W nocy snuł całe tomy powieści, jak podrostek zakochany w pensyonarce. Rano wstawał niechętnie i z trudem wciągał się w szarą i ciciłą rzeczywistość. Jedynie tylko nadzieja otrzymania znaku życia od Muszki dodawała mu bodźca i stawała moralnie i fizycznie na nogi. Lecz dzień za dniem mijał i cisza była coraz większa. Tadeusz zaczął, z początku

jej oczom. Starannie unikał przechodzenia ulicą, przy której mieszkała. Raz, zdaleka zobaczywszy jej powóz, wpadł w bramę jakiegoś domu. Uczynił to z szalonego wzruszenia, jakie nim ogarnęło na samą myśl tak nagłego spotkania. Niemniej przeto później grał przed sobą komedię, wieszając sobie taktu i miary, z jaką wybrnął z tej trudnej sytuacji. Wogóle, pozostawiony teraz sam sobie, nie mogąc się zwierzyć nikomu ze swych tajemnic, zaczął wchodzić sam z sobą w układy, kompromisy i zwierzenia. Gadulską jego natura rozgadała się teraz na wewnątrz i dręczyła go samego, jak stara plotkarka.

Na zewnątrz jednak charakter jego, pod wpływem tych szamotań nerwowych, zaostrzył się i stawał coraz przykrzejszym.

Wielohradzki bowiem więcej niż kiedykolwiek zanurzył się w egoizmie, przejęty całą ważną doniosłością swej społecznej roli. W oddaleniu bowiem nikły teraz te pogardliwe gęsty Muszki, jej wybuch namiętności milczącej i obelżywy, który w pierwszej chwili sprawił na Wielohradzkim wrażenie policzka.

Teraz Wielohradzki we wzgardzie tej widział jedynie wspaniałą gracyę kobiety, która w chwili upadku pragnie zachować aureolę istoty nieskazitelnej i wyniosłej. Ostre rysy zaokrąglały się i nabierały wdzięku. Po bliższym zastanowieniu się w ciszy nieprzespanych nocy Tadeusz doszedł do przekonania,

niewyraźnie, potem rozzuchwalony powodzeniem, dokuczać matce i wynajdywać bezustannie przyczyny do gniewu lub ironii.

Kilkakrotnie miał ochotę napaść na Tecię; ale dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na niego chłodnym i wzgardliwym wzrokiem. Zmieniła się teraz bardzo, powróciła do czerwonego jersey'u z różową kamizelką i do pretensjonalnej fryzury włosów. W uszach i pod szyją świeciły się złote gwiazdy broszki i kolczyków, ofiarowanych przez pana Janczewskiego, a na palcu serdecznym błękitniał niewielki turkusik, oprawny w wianuszek pereł. I razem z temi burżuazyjnymi klejnotami Tecię nabrała pewnej buty małomieszczańskiej, pewności siebie, nie zatracając jednak dawnego wdzięku. Widocznym jednak było, iż Tadeusz przestał na nią działać, że dziewczyna zbuntowała się naprawdę i nie chce dłużej znosić tyranii wodzireja.

Ofiarą więc rozdenerwowania miłosego Tadeusza padła teraz Wielohradzka.

Stara kobieta chyliła się widocznie ku starości, pomimo od rana włożonego gorsetu, gładko i ładnie przyczesanych siwych włosów i tej wielkiej dystynkcji, która ją oprzemieniała aureolą zdetronizowanej królowej.

Kaszlała nieraz nocą całą, dławiąc się i krztusząc. Kryła twarz w poduszki, nie chcąc kaszlem swoim budzić Tadeusza, który także leżał, nie śpiąc, z oczy



ina szeroko otwartymi i wpatrzonemi w czerń uocy. Rano Wielohradzka wstawiała znużona, wycieńczona, mając na twarzy woskową żółtość, właściwą astmatykom w pierwszych chwilach rozwoju fatalnego cierpienia. W ubraniu jej czuć się zdawało pewne zaniedbanie i choć suknie jej były całe i starannie zastosowane do wymagań bieżącej mody, nie szumiały już całą falą zlatanych z okrawków podszewek. Często Wielohradzka opierała głowę na dłoni i siedziała tak długo skurczona, jakby przywalona ciężarem olbrzymiego cierpienia. Modliła się coraz dłużej i goręcej, pomimo, że do kościoła uczęszczać prawie przestała. Zdawało się chwilami, że unika widoku ludzi, i ona, tak zawsze ożywiona i uprzejmie stojąca na wyłomie, usuwała się w cień i szukała, jak zwierz spracowany, odpoczynku. Próżne jednak były te jej usiłowania, gdyż więcej niż kiedykolwiek kłopoty i troski materyjalne opadły ją, jak gniazdo os zjadliwych i bolesnych. Pani Pake wymagała punktualnego zapłacenia raty. Owo opisanie i zajęcie mebli groziło, w chwili nieuiszczenia jednej raty—licytacją. Wielohradzka nie czuła się u siebie i zdawało się jej, że mieszka w hotelu, a te wszystkie sprzęty nie do niej już należą. Jej szlachecka natura buntowała się na myśl korzystania z łaski i uprzejmości żyda. Przybrała więc Wielohradzka względem Pakowej sztywne i zimne obejście wielkiej pani, poniżającej się pour son bon

plaisir do wchodzenia w układy z żydówką. Na pozwolenie sobie przynajmniej tej fantazyi należało płacić punktualnie raty. Robota szwankowała. Nowomodne, parasolowym krojem, spódnice stanowiły niemałą trudność zapleśniałej w rutynie i tradycji Wielohradzkiej. Z wypiekami na poblądłej twarzy słuchała wymówek swych klientek. Wreszcie przezwyciężyła swą dumę i wzięła kilka lekcji kroju. Lecz i to niewiele pomogło. Dwie jej najlepsze klientki zaprzestały nagle dawać jej robotę. Ogarnęła ją rozpacz. Poniżyła się do napisania listu, prosząc o robotę. Nie otrzymała odpowiedzi. Przez kilka dni chodziła jak obłąkana, i nagle postanowiła zacząć szyc do magazynów gotowych ubrań. Lecz i tu znalazła nieprzezwyciężone trudności, Konkurencja krawcówżydów była wielka i trudna do zwalczania.

Wielohradzkiej opadły ręce. Ogarnęła ją trwoga przed jutrem, po raz pierwszy w życiu. Mimowoli zwróciła się w stronę Tadeusza, lecz ten nie miał w tej chwili dla matki nic prócz ironii i brutalnych często odpowiedzi. Co rano prawie, idąc do biura, z jakiego błałego powodu wszczynął „scenę” i wybiegał z domu, trzaskając głośno drzwiami. Na każdą uwagę matki odpowiadał jednemi i temi samemi słowy:

Niech mama mnie nie denerwuje!... Obiad mijał zwykle w ponurem milczeniu. Często Tadeusz zrywał się i biegł ku drzwiom. Zdawało mu

się, że słyszy na wschodach kroki, że zobaczy posłańca lub pannę Marcelę, że wreszcie listonosz przyniesie mu list z poczty,

Codziennie prawie Tadeusz pytał matki:

— Czy niema listu do mnie?

I na odpowiedź przeczącą wpadał nagle w szal, w gniew nie do opisania.

Nie, to jemu tylko przytrafić się może coś podobnego! List był wysłany: on wie o tem z pewnością Tylko—w takim bezładzie i nieporządku wszystko zmarnieć musi. Cóż więc dziwnego, że listy przepadają!...

Zębami rwał i szarpał chustkę, wyłamywał palce u rąk, tak, że aż stawy trzeszczały. Krew biła mu do głowy i wypukłe oczy zdawały się wychodzić z oprawy.

Wielohradzka, przerażona, starała się go uspokoić, podawała mu krople laurowe, które drzącerai rekami wlewała na cukier. On krople laurowe przelykał, gdyż bardzo lubił ten smak gorzkich migdałów, lecz krzyczał pomimo to coraz silniej, tem silniej, iż Teczka zdawała się nie być wzruszoną temi spazmami i atakami swego dawnego ideału.

Dziewczyna siedziała pochylona nad robotą i raz Tadeuszowi zdawało się nawet, iż dostrzeżga przelotny uśmiech ironii na jej wąskich wargach.

Uspokoił się natychmiast, przestał krzyzczeć po kobiecemu, lecz natomiast ogarnęła go złość podraż

my wszyscy. Winszuję, ale nie zazdroszczę panu Janczewskiemu takiej żony!... Tylko taki pan Janczewski może się dać złapać w podobne sieci... nie ja... Wielohradzka brwi ściągnęła.

— Teczka siatek nie zastawiała ani na pana Janczewskiego, ani na ciebie... Za to moge ręczyć...

Tadeusz wykrzywił się niemiłosiernie i ręce w kieszenie kurtki wpakował.

— Proszę mamy!...—wyrzekł, przeciągając każdą samogłoskę—mama jest z innego świata i z innej epoki, niż terazniejsze panny, a zwłaszcza takie Teczki.

Imię to wymówił z taką pogardą, że aż Wielohradzka drgnęła.

— Powiedz raczej takie panny Dobrojowskie... wyrzekła ostro, zdjęta nagłą potrzebą wymówienia tego imienia, które ją dławilo od chwili rozpoczęcia rozmowy.

Chciała nerwy i złość Tadeusza zwrócić w stronę Muszki. Zawiodły ją jednak oczekiwania. Tadeusz porwał się, jak oparzony.

— Dlaczego mama imię uczciwój kobiety miesza z imieniem tej panny? — wrzasnął przeraźliwie — Niech mama wie, że ja panią Maleniowa czczę i szanuje, bo na szacunek ten zasługuje więcej, niż mamina Teciulka!...

Zerwał się z krzesła i zaczął po dawnemu biegać po pokoju, potrącając się o ścianę.

nionego mężczyzny, który nie chce i nie lubi, aby znajdowano go głupim i śmiesznym. Całą tę złość skoncentrował w uczuciu nienawiści do Teci, i pewnego wieczoru, pozostawszy sam z matką, po chwilowym wahaniu wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Mama powinna sobie poszukać innej pomocnicy... Należałoby, aby Teczka przestała tutaj przychodzić!...

Wielohradzka spojrziała na syna zdziwiona,

— Co też ty mówisz, Tadeu? — wyrzekła, wzruszając ramionami — toć Teczka to dla mnie skarb nieoceniony...

Cóżbym ja bez niej robiła?

Tadeusz uśmiechnął się ironicznie.

— Naturalnie... wyżyłby mama nie mogła bez swojej Teciulki. Co to za wstrętna hypokrytka!

Wielohradzkiej serce ścisnęło się żalem na widok nikczemności syna.

— O Tadiusi! — wyrzekła z goryczą — dlaczego nazywasz Tecię hypokrytka? Wiesz, iż niema uczciwszej i prawszej nad nią dziewczyny...

Lecz Tadeusz szydził ciągle, bujając się na krześle. .

— Ocli!... uczciwość Teci!... — śmiał się ironicznie — uczciwość jej byłaby mnie daleko zawiodła, gdybym się był w porę nie opamiętał...

— Co też ty wygadujesz!...

— Ta ta ta... ja wiem, co mówię, i radzę mamie nie ufać zbyttnio tej panience. Sprytniejsza ona, niż

— Gdyby mama wszystko wiedziała... mówił gorączkowo—liczyłaby się mama ze słowami, mówiąc o pani Maleniowój...

Wielohradzka pokiwała smutnie głową.

— Mój drogi!...—wyrzekła—nie wiem, co rozumiesz przez to słowo wszystko" Ja wiem tylko to jedno, że kobieta ta zrobiła nam wiele złego!...

Urwała, patrząc zamglonemi oczami w światło lampy, płonącej na środku stołu.

— Wiele złego!.. —powtórzyła raz jeszcze cichym głosem.

Lecz skrzekliwy głos Tadeusza przerwał jej natychmiast:

— Złego? nam? co znowu! — Pani Maleniowa jest zanadto wyjątkową istotą, aby mogła dobrowolnie sprawić komuś przykrość... Daruje mama, ale chyba ja znam lepiej tę kobietę, niż mama, i wiem, co o niej sądzić.

Zatrzymał się na środku pokoju i stał groźny i wyzywający w obronie czci Muszki. Gdy mówił: „Ja znam lepiej tę kobietę”, głos jego nadał się pychą, nurtującą go od tak dawna.

Wielohradzka powoli wzrok swój przeniosła na syna. W sercu jej wezbrało się nagle morze nienawiści ku tej pannie Dobrojowskiej, która była przyczyną icli zgryzot moralnych i materyalnych kłopotów.

Powściągnęła jednak słowa tłoczące się na usta.

Instykt kazał jej milczeć, i czysta jej dusza, wiedzona przeczuciem, cofała się przed czemś brudnem i złem, przed widmem kochanki, wprowadzonem nagle w ciszę jej domu słowami syna.

I widmo to, niewidzialne, a istniejące od tej chwili, weszło w nędzę tego mieszkania, wyniosłe, blade, wzgardliwe i obojętne. Pociśnęło klamkę drzwi, na pozór dobrze zamkniętych, i wsunęło się cicho pomiędzy matkę i syna, fatalne i nieubłagane, tworząc z ciała swojego przejrzysty mur, przeszkodę niepokonaną, o którą rozbijają się zwykle węzły krwi i macierzy liskiego najgorętszego przywiązania.

I wśród ciszy i pół światła stali tak naprzeciw siebie oboje, syn i matka, czując obecność tej trzeciej istoty, niemej a potężnej, niezwycięzonej i tryumfującej w bezgranicznej zuchwałości.

Nazajutrz po południu Tadeusz zabrał się nagle do porządkowania swoich trofeów kotyliionowych. Nie wychodził teraz z domu, oczekując ciągle listu Muszki. Dokoła panował wielki nieład; na krzesłach, sofie i stole leżały sztuki płótna, perkalu, wełny a nawet białego atłasu.

Była to wyprawa Teci.

Z wielką nieśmiałością Tecia przyniosła rankiem wczesnym ten swój wyprawny dobytek, prosząc Wielohradzkiej, aby zechciała zająć się sporządzeniem tak bielizny, jak i sukien. Było to ubogie, nędzne, skromne. Zarobek nie był wielki, lecz niemniej prze

to Wielohradzka odetchnęła, widząc przed sobą nadzieję zapłaty. Delikatność serca Teci ujawniła się raz jeszcze w ciężkiej do przebycia chwili. Wielohradzka przygarnęła dziewczynkę w objęcia i ucałowała gorąco jej czoło.

— Moja dobra, pocziwa Tecia! — wymówiła prawie ze łzami w głosie.

I natychmiast zabrała się do roboty. Lecz jakiś żal dławił ją i dręczył. Zdawało się jej, iż szyje dla Teci suknię śmiertelną. Było to po części zwykłe uczucie rozpaczliwego smutku, jakie przejmuje serce każdej zamężnej kobiety na widok przedślubnych przygotowań, czynionych dla innej.

Solidarność kobiet występuje wtedy silniej, niż kiedykolwiek. Serca ich przejmują się smutkiem. W tem napozór altruistycznym wrażeniu mieści się dużo egoistycznej domieszki. Smucąc się nad ślubną suknią Teci, Wielohradzka opłakiwała siebie samą i swe stracone dziewczęce złudzenia.

Tadeusz siedział w swoim pokoju i czytał „Salamambo”. Zabrał się znów do tej książki, która w jego umyśle łączyła się jakimś nierozzerwalnym węzłem z postacią Maleniowej. Gorączkowo przewracał kartki i od czasu do czasu odwracał głowę w stro ne przymkniętych drzwi. Z pokoju matki dolatywał tylko szura poruszanych tkanin i od czasu do czasu przeciągły zgrzyt rozdzieranego perkalu.

Szum ten, zgrzytliwy i niemiły, drażnił Tadeusza

w nieopisany sposób. Od rana nerwy jego doszły do takiego stanu chorobliwej nadczułości, iż zdawało mu się, że wszystkie wydobyły się z pod skóry na zewnątrz, i czynią na jego ciele jakąś siatkę bolesną i drażliwą. Po raz pierwszy wczesnym rankiem przeszedł pod oknami kamienicy, w której mieszkała Muszka. Okna te były szczelnie zamknięte i zakryte kolorowymi jedwabnymi zasłonami. Okna jadalni były otwarte.

Przechylony przez oparcie Karol, w kamizelce paskowanej i czarnych perkalowych rękawach, trzepał wazki pas gobelinu, zdjęty z płyty nadkominkowej.

Wielohradzki przeszedł szybko, odwracając głowę z przesadzoną obojętnością. Zdawało mu się, iż lokaj musi śledzić go z ironiczną pogardą. Jego rybie spłowiałe oczy wkręcały mu się w plecy, jak dwa świdy. Napróżno chciał nadrobić arogancją, przed samym sobą, przypominając gwałtem swej myśli, że on, Wielohradzki, jest kochankiem pani tego lokaja. Wrażenie wstydu było silniejsze, i zmaltretowany, zły, upokorzony poszedł Wielohradzki do namiestnictwa. Tu panowało wielkie ożywienie.

Kafthan wyjeżdżał do Wiednia, poczem miał być mianowany starostą odrzykrowskim. Jego zaręczyny z córką hrabiego, ten krok tak energiczny i rozumny cierpliwego karyerowicza zjednał mu ogólne uznanie

i natychmiast obwarował pewnym murem nietykalnego szacunku. Nikt nie drwił teraz z Kafhana, który, wyniosły, ponury, roztargniony, wchodził doskonale w rolę dyplomatycznej maszyny, mającej przed sobą najświetniejsze nadzieje z powodu doskonałej protekcji i tych „npleców”, które w tym świecie stanowią potęgę niezwalczoną. Te same „plecy” kazały mianować Charłupkę starostą w Krowodrzy i przenosiły Malewicza do Krakowa. Słowem, ruch był na całej linii. Tylko Wielohradzki był zapomniany i opuszczony. Jego „wodzirejowstwo” nie przyniosło mu wielkiej protekcji i korzyści.

Nie myślał jednak teraz o tem, pochłonięty całą troską miłosną. Przysłuchiwał się plotkom i komerażom tych „panów” z rozdrażnieniem, ale bez zazdrości. Wzruszał ramionami na widok Pozbitowskiego, który złościł się, iż Malewicz jedzie do Krakowa, gdy on, Stanio, gnuśniieć będzie nadal w tem utrapionem kasynie. W Krakowie gra w karty jest bardziej seryo i ma sezony niezwykle ożywione, z powodu bliskości Wiednia; Lwów zaś leży na końcu świata, a w grze nie ma ani nerwu ani żadnych sensacyL

Wielohradzki powrócił do domu, zjadł obiad w milczeniu i w chwili gdy Tecia, powracając z mia sta, weszła do pokoju, wstał i z najwyższą ostentacją i złością z pokoju wyszedł.

Wychodząc, trzasnął drzwiami, aby zamarkować swe niezadowolenie. Wielohradzka spuściła oczy i twarz jej pokryła się cieniem smutku. Przez usta Teci przesunął się uśmiech, zaledwie dostrzegalny, ale niezmiernie ironiczny. Poczem obie kobiety zaczęły pracować, zamieniając tylko od czasu do czasu krótkie urywane zdania. Wielohradzka szeptała je z pewną lękliwością; Tecia mówiła głośno i zupełnie spokojnie.

Nagle Tadeusz ukazał się we drzwiach, wykrzywiony, jak maska japońska.

— Czy nie mógłbym prosić o trochę spokoju? — zapytał kwaśno, mrużąc lewe oko i mierząc Tecię wyniosłem spojrzeniem prawej żrenicy.

Widocznem było, iż Tecia miała ochotę odpowiedzieć, lecz wzrok jej padł na twarz Wielohradzkiej, która stała teraz nieruchoma, trzymając w obu rękach białą masę perkalu, którą właśnie rozdierać zaczęła.

Tadeusz, widząc, iż ukazaniem się swoim sparaliżował niejako ruchy i mowę obu kobiet, postanowił sterroryzować je zupełnie. Podszedł wiec do szafki, w której złościły się jego przybory kotylionowe, wyjął z kieszeni kluczyk i rzucił niedbale nie odwracając głowy:

— Prosiłbym zdjąć te wszystkie szmaty ze stołu... i ja potrzebuję trochę miejsca...

Ostentacyjnie zaczął wyjmować i rozkładać zło

G, Zapolska. — Wodzirej. Tom II.

cisnę cacka, mieniające się jak tęcza szarfy, brzęczące tamburyna, trąbki potworne „głowy”, kaski, czepki, berety, krezy, spódniczki, girlandy, kokardy, pęki wstążek, kwiaty, ordery, kije, laski, parasole, gwiazdy, kapelusze, lejce, wędki, maski, chorągiewki? piszczałki, boa kwiatowe, pióropusze, rogi, latarki. Cały ten bazar, ta świecąca i pstra tandeta zaległa nagle powierzchnię stołu, błyszcząc w wiosennym świetle martwym, szychowym blaskiem. Tafta, gaza, złociste papierki, perkalowe kwiaty, blaszane brzękadła, tani atlas wstążek—pomieszane razem dawały teraz mieszkaniu wygląd garderoby teatralnej po skończonym świeżo widowisku baletowym.

Z zacisniętymi wargami, z brwiami ściągniętym! Wielohradzki oglądał każde cacko, każdy kwiat, każdy order, przerywając panującą w pokoju ciszę ironicznym sykiem lub krótkimi, urywanymi zdaniami:

— Co tu kurzu!... Piękny porządek! Wszystko musi zmarnieć. Niezadługo trzeba będzie swoje rzeczy przenieść do namiestnictwa. Niepodobna dłużej żyć w podobnych warunkach.

Nie śmiał rzucać wprost podejrzeń na Tecię, lecz utyskiwać zaczął, iż brak mu połowy orderów i kilku cacek.

— Co też ty wygadujesz!... — odezwała się wreszcie Wielohradzka masz zawsze klucz od szafy przy sobie...

— Nie zawsze... — bąknął Tadeusz.

Nagle w przedpokoju zajęczał dzwonek. Tadeusz zarumienił się gwałtownie. — Niechże mama otworzy!...— zawołał z niecierpliwością

Lecz od okna podniosła się Tacia i szła teraz ku przedpokojowi powolnym, spokojnym krokiem.

Dzwonek jęknął raz drugi.

Tadeusz poskoczył na środek pokoju, lecz Tacia zniknęła już w ciemnej jamie przedpokoju.

Otworzyła drzwi i równocześnie wpadł gwar głosów kobiecych dyskretnych, dźwięcznych, dobrze wychowanych.

Jak kot, Tadeusz na dźwięk tych głosów wpadł do swego pokoju i z sercem bijącym drzwi przymknął. Przez niewielką szczelinę przysłuchiwał się, nagle przerażony, z sercem niemal w piersiach zamartłem.

Tacia powróciła na swe miejsce, mówiąc obojętnym głosem:

— To panie z wielkanocną kwestą

Lecz już Wielohradzka, zmieszana i zalękniona, przyjmowała dystygowanym ukłonem zjawiające się na progu damy.

Były to Orzecka i bratowa Pozbitowskiego, z domu baronówna DranckStifhausen. Towarzyszył im młody Drunicki, który niósł w ręku skórzany woreczek i parasolki pan. Całe to towarzystwo weszło śmiało, jakkolwiek z udaną dobroduszością.

Wielohradzka ładnym, dystygowanym gościem wskazała nowo przybyłym krzesła. Orzeeka podziękowała, dodając, iż śpieszą się, gdyż jeszcze mają całą ulicę „do zrobienia”. Zdziwione jej oczy zatrzymały się na stosie kotylionowych przyborów, które leżały na stole. Zdawało się jej, że poznaje laskę pasterską, zakończoną bukietem róż i wstążek, która stanowiła jedną z piękniejszych dekoracji kotylionu ostatniego wieczoru, jaki odbył się w jej domu podczas ubiegłej zimy.

Wzrok młodej pani Pozbitowskiej również został przykuty tą massą błyszczących cacek, które połyskiwały wszędzie: na ziemi, na krzesłach, na stole, wśród sztuk perkalu, płótna i jedwabiu.

Przyłożywszy do oczu swoją face a main, patrzyła z impertynencją dobrze wychowanej gąski, przekrzywiwszy cokolwiek na bok swą drobną głowę, na której świeciła się mała kapotka, naszywana massą czarnych dżetów. Przez delikatny tiul wualki czerczeniły się jej małe purpurowe usta i błękitniały duże oczy. Była to ładna rasowa Niemka, o wiedeńskim szyku, przypominającym szyk księżniczki. Bił od niej Amaryllis, podczas gdy suknie Orzeckiej przepojone były White Rosę. Były to wonie dyskretne, zaledwie dostrzegalne, lecz ładne i przejmujące. Młody Drunicki zdawał się kapać w tój atmosferze. Miał dużą Iowę, odstające uszy, rodzaj łąty z ciemnych włosów, lśniących i gładko przyczesanych na środku szerokie

go czoła. Trzymał obydwoma rękami brzeg torby i uśmiechał się głupowatym uśmiechem zadowolenia. Był to prawdziwy typ arystokratycznego młokosa, typ cokolwiek szarżowany i zakrawający na teatralną błagę. Wpatrywał się z zachwytem w ładny kark Orzeckiej, wysuwający się z fryzowanych piór czarnego boa. Orzeeka, zwrócona ku Wielohradzkiej, mówiła właśnie, z pewnym rodzajem scenicznej pokory:

— Przepraszamy za nasze natręctwo... ale to dla biednych!...

Wymawiała r jak h. Brzmiało to „natkęctwo” i dawało do poznania, że najpierwsze nauczycielki francuzczyzny pochodziły z Iona proletaryatu paryskiego. Robiło to wrażenie to samo, jakie odnieśliibyśmy, gdyby Francuz mówiący po polsku popisował się używaniem cz zamiast c, mówiąc obczasy zamiast obcasy. Byłoby to świadectwo pochodzenia kuchennego osób, które go w języku polskim kształciły...

Niemniej przeto owo francuzkie h zamiast r} trąjące również kuchnią paryską, było szczytem wykwintu i elegancji w usteczkach pani Orzeckiej. Mówiła:

— Przepraszamy za to natręctwo... Wielohradzka, wyprostowana, uśmiechnięta, odpowiadała:

— Ależ to nie natręctwo., poświęcenie pań dla tak pięknej sprawy...

Słów jej brakowało. Myślała bowiem z trwogą, iż posiada jedynie papierek trzyreńskowy. Nie mogła

wyzuwać się ze wszystkiego dla zapewnienia plasterka kielbasy i kawałka placka „biednym”. Lecz co czynić? Nie mogła zażądać reszty, nie mogła również posłać Teci, aby zmieniła ten nieszczęsny banknot.

A przed nią stały wciąż dwie czarne postaci z różowymi plamami okrągłych ładnych twarzyczek, błyszczących od dżetu i nastroszone od piór okalających ich szyje. Pomiędzy nimi zieleniał się wiosenny uberzieher młodego Drunickiego, mający wdzięczny wygląd worka.

Nagle Wielohradzka zwróciła się ku drzwiom wiodącym do pokoju Tadeusza. Być może, iż syn jej posiadał paperek guldenowy. Pociśnęła klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły.

Tadeusz zabarykadował się na zewnątrz.

Wielohradzka zapukała kilkakrotnie.

Nie było odpowiedzi.

— Tadziu!... Tadziu!... — wyrzekła słodko stara kobieta.

Lecz Tadzio, który całą siłą podpierał drzwi, milczał jak grób, drżąc z wściekłości i trwogi. Poznał głos Orzeckiej i młodego Drunickiego. Jakież wstyd, gdyby te panie ujrzały go w tem nędznym otoczeniu, w mieszkaniu szwaczki, pomiędzy maszyną do szycia, meblami obi temi wytartą ceratą, komodą i łóżkiem matki, osłoniętem trzciniowym parawanem, obciążniętym zieloną kitajką!

Wielohradzka nagle zrozumiała całą sytuację

i odstąpiła ode drzwi zmieszana, jakby złowiona na gorącym uczynku.

Chciała naprawić swój błąd i ona. tak zawsze prawdomówna, zdobyła się na heroiczne kłamstwo, wypowiedziane cichym i pewnym głosem:

— Mam małego, sześciolatniego wnuka, chciałam, aby i on... przyczynił się jaką drobną sumką do ulżenia doli nieszczęśliwych..

Drżącemi rękami sięgnęła do kieszeni i wydobyla z portmonetki paperek trzyreóskowy.

— Oto w mojem i w jego imienin!...— wyrzekła, podając banknot Orzeckiej.

Ładna dama wzięła pieniądze i oddała je Drunickiemu, który, otworzywszy torbę, wyciągnął z niej paczkę cukierków. Wyjął z niej szczypczykami kilka karmelków zawiniętych w papier złocisty i położył na brzegu maszyny do szycia.

— To dla małego Tadzia!...—wyrzekł z głupkowatym uśmiechem.

Wielohradzka zaprotestowała, lecz te panie zaczęły wołać ze śmiechem, że taki jest zwyczaj, iż chodząc „po żebrze”, zostawia się w domu, w którym są dzieci, kilka cukierków. I z ukłonami, uśmiechami, szelestem i brzękiem dżetów wyszły na wschody, przeprowadzone przez Wielohradzka, która z zakłopotaniem usprawiedliwiała się z ciasnoty i ciemności przedpokoj. Gdy, zamknąwszy drzwi, powróciła do

pokoju, stała chwilę milcząca i niezdecydowana, patrząc z pewnym rodzajem obawy na zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju syna.

Wreszcie podeszła cicho i zapukała dyskretnie:

— Tadziu! ci państwo wyszli, możesz drzwi otworzyć!...

Drzwi otworzyły się teraz gwałtownie i ukazał się w nich Tadeusz, z twarzą krwią nabiegłą, drżący, i od progu krzyknął przeraźliwym głosem:

— Dlaczego mama wymówiła moje imię w obecności tych pań?...

Wielohradzka przerażona cofnęła się w stronę

— To przez nieuwagę... — tłumaczyła się pokornym głosem.



Tadeusz postąpił kilka kroków naprzód. Był siny z gniewu. Dławił się wymawianymi wyrazami, bełkotał, jękał się, wargi mu drżały jak w febrze.

— A czy mama wie? czy mama wie, jakie skutki straszne mogła na mnie spowodować ta nieuwaga? — zawołał, podnosząc w górę zaciśnięte pięście — czy mama wie, że gdyby mnie tu pani Orzecka i pani Pozbitowska zobaczyły, byłbym okryty śmiesznością i wstydem... i niczy chyba nie pozostało, jak utopić się albo powiesić! Oto, o czym mama zapomniała!..

— Ależ!.. — tłumaczyła Wielohradzka.

Lecz on przerwał jej, rosnąc w gniewie, podniecając się coraz więcej:

— Co mama myśli, że ja chcę, aby oni wiedzieli, jak ja mieszkam, a zwłaszcza, że mama jest szwaczką?... Gdyby się to wykryło!... Ręczę, że wszystkie salony zamknęłyby mi przed nosem, niktby mnie nie chciał wziąć na wodzireja... A!... ja tyle lat pracuję, aby zasłużyć sobie na szacunek ludzi i poważanie, a mama chce mi to wszystko wydrzeć... zniszczyć... odebrać...

Parsknął nerwowym śmiechem i porwał się za głowę.

Daje słowo... możnaby przypuścić, że mama to umyślnie robi!

Wielohradzka zaprotestowała gorąco.

— Ależ, Tadeu! jak możesz przypuścić coś podobnego?

— Moge! moge!... — wrzeszczał Tadeusz, rwąc krawat i kołnierzyk — moge... bo matka tak nie postępuje względem dziecka, jak mama względem mnie postępuje... Zresztą, mama zawsze miała więcej serca dla obcych niż dla mnie . Dawniej był Radolt, teraz ..

Zatrzymał się, brwi zmarszczył, miał ochotę rzucić wzrokiem w stronę Teci, ale dał pokój.

— Teraz... kto inny!... — dokończył chrapliwie. — Ale... wolna wola mamy... ja nic od mamy nie żądam... tylko proszę, aby mnie mama nie kompromitowała!... Słyszysz mama? nie kompromitowała, bo mnie chodzi o moje stanowisko i o moje stosunki... Słyszysz mama? moje stosunki!... Mama mi jeść nie da,

jej serce nagle rozpaczę. Mimowoli, ruchem kobiety, która nie chce pozostać samą i broni się przed widmem opuszczenia, wyciągnęła ręce:

— Och!... Tadeu!... co też ty mówisz, moje drogie dziecko!...

Lecz Tadeu, któremu od dni kilku myśl osobnego mieszkania nie dawała spokoju, potrząsał ironicznie głową.

— Nie. . nie... to się na nic nie zda! na nic!... już tak postanowiłem,.. Mama sama temu winna... Zresztą, już wszystko urządzone... Moge się lada chwila wyprowadzić: mnie to nie robi różnicy!

Miał w kieszeni guldenowego papierka i cała mgławica przeczuć obecności Muszki w tym osobnym mieszkaniu" wirowała mu w mózgu.

— Nie chcę, ażeby dłużej mama mnie kompromitowała... I ja muszę dbać o swoją przyszłość!...

Wielohradzka tłumaczyła się zaczęła.

— Ależ .. nic się nie stało Te panie są przekonane..

Wzrok Tadeusza padł na rozrzucone na stole i na ziemi przybory kotyliionowe.

Poskoczył jak tygrys i zaczął pośpiesznie wrzucać te wszystkie cacka wewnątrz szafy.

— Naturalnie!...—krzyczał niehumanym głosem— naturalnie... te panie są teraz przekonane, że to ja żyję w tym slicznym mieszkaniu. Te panie nie są ślepe i poznały akcesorya, które same mi dawały...

jak mnie wypędzą z namiestnictwa... a o mojej przyszłości ja jeden tylko myśleć muszę!...

Wielohradzka była blada jak płótno; oczy jej zasłży mgłą łez.

— Ależ. moje dziecko!... — wyrzekła — chyba uikt tak. jak ja, nie troszczy się o twoją przyszłość.

Wybuch spazmatycznego śmiechu Tadeusza przerwał jej mowę.

— Ha! ha! ba!... Mama troszczy się o moją przyszłość., mama troszczy się o moją przyszłość!... Co mama do tej chwili dla tej przyszłości zrobiła?... Czy dała mi mama majątek?.., przyzwoitą pozycję?... zapewniła w Wiedniu protekcję?... Nic! nic!.., Utonęła mama w swojej krawiecczyźnie i oprócz niej nic mamę nie obchodzi...

Wielohradzka zamilkła. Ręce jej drżały, zaczęła szukać nożyczek, lecz kilkakrotnie przesunęła palce po ich ostrzach, nie wiedząc, że je ma pod ręką.

Tadeusz zaczął biegać po pokoju i przechodząc kopał meble i porozrzucane dokoła sztuki płótna i perkalu.

— Ale tak dłużej być nie może!... — wrzasnął po chwili milczenia—tak dłużej być nie może... ja muszę takie zacząć myśleć o sobie i stać się egoistą... Pójdę tylko za mamy przykładem... Wyprowadzę się ztąd... Tak! tak!... wyprowadzę!...

Przez umysł Wielohradzkiej przesunął się cały szereg samotnych dni. Czarny ten różaniec napelnił

kobieta nie zwróciła nawet uwagi na ten giest syna, lecz, z twarzą bladą jak płótno i rękami złożonemi jak do modlitwy, powtarzała ochryplym głosem:

— Tadziu!... Tadziu!...

Lecz Tadzio nie krzyczał już teraz, bo głosu nie miał od zbytniego krzyku. Piał jak kogut i widząc, że pergamin tamburyna ustąpić nie chce, rzucił się nagle głową naprzód, pragnąc czołem przebić uparte cacko.

Widząc ten giest, Wielohradzka zatrwożyła się jeszcze więcej i zwróciła się ku Teci, która od kilku chwil wstała ze swego krzesła i milcząca i nieruchoma przypatrywała się Tadeuszowi z pod brwi chmurnie ściągniętych.

Wielohradzka porwała ręce dziewczyny:

— Teci!... ratuj... uspokój go!... biegnij po doktora!... on sobie jeszcze co złego zrobi! ..

Lecz Teci ręce Wielohradzkiej całować zaczęła

— To pani niech się uspokoi!... błagam panią! .— zaczęła mówić urywanym głosem.—Pani i tak nie ma zdrowia!... ja panią proszę!... niech pani ztąd wyjdzie!.., niech pani pójdzie do babci... ja z panią pójdę i zrobię kwiatu pomarańczowego.

Zdawała się zapominać o egzystencji Tadeusza, który, widząc się opuszczonym i wzgardliwie traktowanym przez tę dziewczynę, która niedawno bladła z przerażenia na widok jego „ataków nerwowych”, nie wiedział teraz, jak wybrnąć z tej „głupiej sytuacji”.

Co za hańba! eo za wstyd!... A... ślicznie mnie urządzono... I to dlaczego? Dlatego, że musiałem sam wziąć się do porządku i obliczenia nareszcie, co i ile mi zginęło...

— Zginęło?...

— Tak! tak!... zginęło! .. Czy mama myśli, iż ja nie widzę, że mi ktoś pokradł najpiękniejsze akcesorya?... Ale skoro tak, niechże wszystko sobie zabierze!.. Albo nie — nic mieć nio będzie... nic!!! nic!!!

Zanurzył ręce w stos cacek i nagle zaczął wszystkie te złociste zabawki rwać, szarpać, rozrzucać dokoła, deptać z furją hysteryczki, która doszła do szczytu paroksyzmu swej wściekłości.

— Nic! nic!... — powtarzał, a piana mu zalewała zsiniałe z wściekłości wargi.

Dokoła niego, jak snop fajerwerków, migotała i latała cała masa złocistych orderów, gaz, tarlatanów, błyskotek i kwiatów. Już cały stos leżał na ziemi, stos trupów motyli o poszarpanych skrzydłach. Kask francuskiego kirasyera uderzył twardą masą o stojącą na komodzie lampę i stłukł ją. Brzęk spadającego szkła podniecił tylko złość Tadeusza. Porwał tamburyno i, pragnąc przedziurawić je, bił w nie co siły pięściami i łokciem. Długa tarlatanowa zielona szarfa oplotła mu głowę i szyję. Na rękawach kurtki drżały poszarpane kwiaty i złociste druty. Wielohradzka próbowała zbliżyć się i wyrwać mu z ręki tamburyno. Lecz Tadeusz odepchnął ją. Stara

Lecz zanadto był kobietą, aby nie poradzić sobie w takiej chwili. Jak bezwładna kłoda zwałił się na fotel i wybuchnął spazmatycznym płaczem. Był to płacz równie wypływający z podrażnienia nerwów, jak i z podniecenia zmysłów. Gryzł ręce, i dławił się, i krtusił, mając ochotę zacząć wśród łkań krzyczeć jedno imię:

— Muszka! Muszka!..

Dokoła niego pokornie opadły szczątki jego kotyli onowych trofeów.

On sam miał wygląd zniszczonej zabawki, stłuczonego cacka, poszarpanego pajaca.

Zrozpaczony, zaszlochany, drżący, wodzirej c k. salonów galicyjskich, leżał bez woli i bez tchu w powodzi złocistych strzępków, które zdawały się być pakułami, trocinami, sypiącemi się ze zranionego korpusu tego szykownego Poliszynela.

### XVIII.

Panie!

Bardzo się Pan zdziwi, skoro Pan moje pismo raz jeszcze zobaczy na papierze, ale to dlatego, że nie chciałabym z Panem sam na sam rozmawiać po tem wszystkim, co pomiędzy nami zaszło. Sumienie moje jednak i obowiązek nakazuje Panu powiedzieć, co o nim mvś!?, bo Pan w ostatnich czasach zrobił się bardzo złym i bardzo niepocziwym. Powiem to Panu poprosz tu, tak, jak umiem, bo ja nie znam się na wielkoświatowych frazesach, do których Pana przyzwyczyły wizyty i tańce u tych wszystkich hrabin i baronów, u których Pan tak ciągle przesiaduje. Ale to wiem i dzięki Bogu rozumiem, że Pan postępuje, jak człowiek bez serca, i że Pan postępowaniem takim swoją biedną matkę do grobu zapędzi.

To, co Pan względem mnie zrobił, to ja dawno Panu przebaczyłam. Byłam głupia dziewczyna i nie umiałam zachować się przyzwoicie, i Pan Bóg mnie słusznie pokarał za taką lekkomyślność. Odpokuto

kia, że sama panu Janczewskiemu o wszystkim powie. Bo i to chciałam koniecznie ja sama. Nie mogłam przecież wyjść za mąż tak, aby pan Janczewski nie wiedział, jaka byłam przed ślubem. Bardzo się bałam, ale pan Janczewski nic nie powiedział i tylko się zrobił dla mnie jeszcze uprzejmiejszy i lepszy. Widziałam, że trochę posmutniał, ale to taki anielski człowiek, jak Babcia i Mama Pana, więc nawet mi nie dał poznać, że mu przykrość zrobiłam. Już ja mu to całym życiem szczęścia wynagrodzę i taka będę dobra, że o wszystkim zapomni! Widzi więc Pan, że nie mam teraz powodu bać się, ażeby mój list do Pana mnie skompromitował. Teraz mam czyste sumienie i, na szczęście, przestałam kłamać i ludzi oszukiwać. I tylko teraz chciałabym, ażeby się Pan opamiętał i wreszcie zrozumiał, że tak żyć, jak Pan, nie można i dręczyć Matkę to grzech i brak serca, a chyba Pan ma serce i nie jest zupełnie bez serca. Już ta biedna Mama to ledwo na nogach ustać może i za komorne winna, i kaszle, i meble ma zajęte, A Pan nic nie chce wiedzieć, tylko tak napada i krzyczy i spazmuje, że aż wstyd i zgroza patrzeć na takie komedye. I to Panu na seryo mówię, że jeśli Pan się nie opamięta, to ja tak zrobię, że po ślubie wezmę Pana Mamę do siebie i będę ją pielęgnować i nie pozwolę jej dłużej męczyć. A Pan niech sobie wtedy robi, co chce: niech Pan sam mieszka, chodzi do restauracyi; tylko nie wolno Panu będzie nawet przyjść Mamę

G. Zapolska.—Wodzirej. Tom II.

walam ciężko moje grzechy i wymodliłam sobie u Boga spokój i przebaczenie. Teraz nawet, kiedy już do rozumu przyszłam, jestem Panu wdzięczna za jego naukę. Tylko co do matki Pana, to nie mogę zamilczeć i nie mogę Panu pozwolić, ażebyś się Pan tak nad nią pastwił. Pan tylko myśli o sobie i wiecznie tylko o sobie mówi, a czy Pan nie widzi, jak się pani Wielohradzka zmieniła? jaka jest blada? jakie ma oczy zapaclinięte? Czy pan nie słyszy, jak ona w

nocy kaszle? Babcia mówiła, że to serce się kraje patrząc, jak się taka kobieta marnuje w usługach dla takiego, jak Pan, dorosłego mężczyzny. I Babcia miała rację. Pan powinien ulżyć trochę w pracy swojej matce, a nie ciągle balować, a potem jeszcze tej biednej, świętej kobiecie sceny robić. Ja wiem, że mnie Pan za ten list już ostatecznie znienawidzi; ale, proszę Pana, taka nienawiść to mnie nie obraża, ani nie martwi, bo każdy człowiek, co źle postępuje, to nie lubi tych, co mu prawdę w oczy mówią. A że Panu nikt prawdy w oczy nie powiedział i nie powie, to ja wzięłam na odwagę i piszę do Pana ten list, który Pan może schować, a może podrzeć. O to się nie boję, bo przedwczoraj ksiądz mi poradził, ażebym Babci przyznała się, jak było pomiędzy mną i Panem. Więc choć to mnie dużo kosztowało, powiedziałam Babci wszystko i pokazałam jej brulion listu, który do Pana do Francji pisałam. Babka bardzo mnie złażała za to wszystko, ale mi przebaczyła i przyrze

W tej chwili psiarnia byk opuszczoną najzupełniej przez służbę. Maleni bawił we Lwowie i tylko Muszka od czasu do czasu zaglądała do Paprotki, zajmując się psami. Służba rozchodziła się po lesie, lub ciągnęła ku dworowi. Psiarczyki, dwa małe wyrostki, poszli do lasu piec kartofle w popiele.

Widocznie nie spodziewano się przyjazdu państwa, gdyż Muszka wczoraj zjechała niespodziewanie, zapowiadając na odjezdnem, iż powróci dopiero za tydzień.

Przez kratę drucianą psy szczekały i wyły. Tadeusz zbliżył się do furtki i próbował ją otworzyć.

Dostrzegł, iż kłódka założona była tylko, ale nie zamknięta. Chwilę zawahał się, nie wiedząc, czy ma wejść do środka. Obok ścieżki, wiodącej do wnętrza terrasu, znajdował się właśnie box wspaniałych dogów angielskich Mastiffs, o bładokawowej sierci i czarnym, olbrzymim pysku. Z drugiej strony stara suka gaskońska, wielka i żółta jak dukat, patrzyła na niego nieufnie zaczerwienionymi ślepiami.

Nagle szczeknęła chrapliwie, i był to sygnał potwornej symfonii cienkich i niskich głosów, akord fatalny i donośny, dysonans wpadający rozwichrzoną gammą w masę wiosennego powietrza.

Wszystkie psy i psiaki zaczęły grać i ujadać zapalczywie, otwierając pyski, opierając się na wyciągniętych daleko przednich łapach.

zobaczyć u was. Na to Panu przysięgam! Bo taki syn, jak Pan, to nie godzien mieć taką Mamę, jak Pan ma. A teraz kończę ten list, bo jeszcze powiedziałabym Panu co przykrego, taki mam żal do Pana, ale nie za siebie, tylko za Mamę Pana.

Tekla Piknicka.

P. S. A to, co Pan powiedział, że Panu z szafy poginęły ordery, to ja dobrze zrozumiałam, że to niby do mnie było.

Tylko ja się nawet nie obraziłam, bo wiedziałam, że przez Pana tylko złość mówiła, boć przecież Pan wie, że ja jestem już dorosła dziewczyna, i takie cacka to dla mnie nie mają wartości i ciągną tylko do siebie próżniaków.

Rodzaj terrasu u dwupiętrowego mieścił w swem wnętrzu nisze i legowiska psów. Można było terras ten obejść dokoła. W środku wrielka kryta sala miała połączenia ze wszystkimi celami, w których mieściły się na zimę psy. Zamykano wówczas nory od zewnętrznej strony. Chroniono cenne zwierzęta od przeziębienia. Gończe miały inne budowle,

urządzone według koniecznej dla nich higieny. Lecz tu mieściły się najcenniejsze okazy lub świeżo sprowadzone, które Maleni pragnął najkorzystniej zaprezentować odwiedzającym.

I tylko dogi nie wtórowały tej symfonii, stojąc nieruchome i groźne, gdy psy górskie z rasy św. Bernarda, białe z żółtoszarami łatami, legły leniwie i ciężko, tuż przy samej siatce, śledząc milcząco niespodziewanego i nieznanego przybysza.

Za nimi białe patony pirenejskie, śnieżne, podznaczone czernią silną ócz i plamą okrągłą nosa.

Wielohradzki całą siłą woli przewyciężył trwogę, którą uczuł na widok tych srogo wpatrzonych w niego ślepi i rozwartych pysków. Nigdy w życiu nie widział naraz tylu psów, i to psów tak olbrzymich, tak niezwykłych i groźnych. W niszach, w których złocono się trochę słomy, przez okrągły otwór w szarej ścianie kamiennej widział jeszcze wszędzie wielkie łby niepokojące i zagniewane. Kilka białych gryfonów, niewielkich, nastroszonych angorą o żółtawych odcieniach, ujadło na piętrze terrasu, a małe bassety wykrzywione i kilka taksów pokracznych, karykaturalnych, wtórowało im ochryplemi głosy.

Wielohradzki, idąc na palcach, przesunął się pomiędzy psami, przybierając, o ile możliwości, minę swobodną i ruchy pełne gracy. Przypuszczał, iż Muszka jest wewnątrz zabudowania, i kto wie, może widzi go, nie będąc widzianą. Pod siekącą chłostą wrzasku psów pchnął jakieś drzwiczki i nagle znalazł się w przestronnej sali, słabo oświetlonej wprawionymi w sufit, zabrudzonymi deszczem i śniegiem szybami.

Nowy wybuch wściekłego ujadania powitał wejście Tadeusza. Ten wrzask, półcień panujący dokoła nie dozwolił Tadeuszowi rozróżnić otaczających przedmiotów. Spostrzegł tylko ciemną masę drobnych stworzeń i jakieś jasne zjawisko, wytryskające z czarnej wilgoci ubitej ziemi, służącej za podłogę. Cofnął się i potracił gliniane naczynie z wodą, które oblało jego wycięte półbuciki i jedwabne skarpetki zimną strugą. Ogłuszony i nawpół oślepy mrugał oczami, napróżno starając się odzyskać równowagę.

Powoli rozróżnił, iż poruszająca się masa były to psy, kręcące się tu i owdzie, w ciągłym i bezustannym ruchu.

Zjawisko jasne i smukłe przybrało teraz uchwytniejsze kształty. Białoliliowa batystowa bluzka i popielata wełniana spódnica, biały pasek z lakierowanej skóry odcinały się teraz wyraźnie w półcieniu. I twarz występowała coraz dokładniej, twarz obramowana masa złotorudych włosów, gorących i zmysłowych. Muszka miała w tej chwili swą maskę pobladłą, maskę dui złych i fatalnych.

Otoczona tak zwierzętami, z których sierci biła woń dzika i pociągająca, stała Muszka milcząca i nieruchoma, wpatrzona szeroko otwartymi zrenicami w cofającego się ku ścianie Wielohradzkiego. We wzroku tym malował się cały świat pogardy i pragnienia. Muszka płonęła w tej chwili cała od zdenerwowania i ręce jej zlodowaciałe ścisnęły konwulsyjnie harap, który opadał ku ziemi wśród fałdów angielskiej spódnicy.

jej nabierał pewnej uczuciowej nuty — stara, poczciwa Kettly...

I ręka jej przesuwiała się po łbie sukni miękką, leniwą pieszczotą.

— Tam są inne jeszcze irlandzkie rasy, o!... Patry Molly, a tu Blackfield Spaniela...

Głos jej stawał się coraz cichszy i niepewny. Osunęła się na przewróconą dnem kadełkę i pociągnęła ku sobie irlandzką suknię.

— Kettly!... Kettly!... — szeptała.

Tadeusz zbliżył się i przyklęknął z drugiej strony jej kolan.

— A ja?... — dopominał się błagalnie.

Ona, tak jak tam, na wybrzeżu morskim w Concarneau, drugą rękę położyła na głowie Tadeusza. Harap leżał teraz na jej kolanach, przecinając tkaninę jej jasnej sukni czarną linią. Część jej ręki dotknęła twarzy Tadeusza.

I nagle Muszka pobladała jeszcze więcej, źrenice jej rozszerzyły się w niepomierny sposób, usta rozchyliły się, ukazując biel zaciśniętych zębów.

Nerwowym, gwałtownym ruchem odepchnęła od siebie psa i przyciągnęła mężczyznę.

— Kochany!... kochany!... — wyszeptała.

Tadeusz, zanim zdołał dotknąć jej ust, jakaś jasna smuga przesunęła mu się przed oczyma. Psy zaczęły ujadać, jak szalone. Równocześnie Muszka z nadzwyczajną siłą odepchnęła go od siebie i, po

A jednak, głosem napozór spokojnym, lecz cokolwiek stłumionym, przywołała ku sobie Tadeusza:

— Chodźże pan tu bliżej! — wyrzekła prawie rozkazująco.

I on, jak jeden z tych psów, które kręciły się dokoła, przysunął się, potykając się po nierównej podłodze.

Chciał porwać ją za rękę, lecz ona rękę trzymała opuszczone i natychmiast odwróciła głowę, jakby nie chcąc spotkać wzroku Tadeusza.

— Patrz pan... — wyrzekła — to rasa francuska a poił ras, nazywają się „Briquets d'Artois”. Podobno są nadzwyczajne... nie lubię tylko ich sukni. Nic nie mówi, nie ma charakteru.

Tadeusz milczał, lecz czuł dokładnie fałszywą nutę w głosie Muszki. Postanowił jednak być jej ślepo uległym.

Poddańcze usposobienie psów razem z ich dzikim odorem wnikało w jego istotę. Mimowoli płaszczył się, uszy tulił i oczy pokornie w górę wznosił.

— A to Cookes esjpagneules... — ciągnęła dalej Maleniowa, wskazując harapem kilka małych pieszków, uczesanych ślicznie, kokieteryjnie, wyzywająco, o rudawych fryzurach, przypominających czerwone włosy Muszki.

Piękna irlandzka suka ceglastej prawie barwy przypelzała do nóg kobiety.

— Kettly!... Kettly!... — wymówiła Muszka, a głos

rwawszy się z miejsca, pochyliła się ku niemu, jak  
— Arriere, canaille!..., — zawołała drżącym głosem.

Harap śmignął w powietrzu tuż nad głową Wielohradzkiego, który klęczał ciągle, oszalały, nieprzytomny, kurcząc instynktownie głowę przed świszczącymi w powietrzu rzemieniami.

Po za plecami posłyszał nagłe głos męski: — Co się tu dzieje? co to znaczy? Nerwowym ruchem Wielohradzki wykręcił głowę. Po za nim, w drzwiach otwartych, stało kilku mężczyzn: Wielohradzki zdrewniał; w najbliższym stojącym poznał Maleniego.

Dygnitarz!—a jego twarz biała i olbrzymia, pochylona cokolwiek, zdawała się być potworną nieruchomą maską, zawieszoną w powietrzu. Twarz ta planowała w przestrzeni, przecięta czarną plamą oczodołów i jamy ust napół otwartych. Tadeusz pozostał na klęczkach w postawie żaka szkolnego, złowionego na kradzieży jabłek. Trwoga ogarnęła go straszna. Podwładny i kochanek drewni w nim równocześnie przed zwierchnikiem i mężem. Nie czuł śmieszności swojej pozy, nie starał się nawet nadrobić fantazją, której nigdy nie miał na zbyciu.

Psy przycichły trochę, gdyż w otworze rozsuniętych drzwi ukazywały się postacie psiarzyków, nadbiegłych co tchu z lasu na widok nadjeżdżających

niespodziewanie powozów, wiozących Maleniego i kilku sportsmenów.

— Co się tu dzieje? voyons... co się stało? — zapytał Maleni.

Bez chwili wahania Muszka, wyprostowana i dumna, odparła:

— Ten pan (harap ukazał Wielohradzkiego) zna cokolwiek weterynaryę. Chciałam, aby obejrzał uszy Molly... ten pan zapomniał się... przywołałam go do porządku... Voila!

Mrużyła oczy, patrząc z góry na Wielohradzkiego. Robiła w tej chwili wrażenie dobrej aktorki, i tylko wprawne oko dostrzedz mogło drżenie jej rąk i nerwowy skurcz warg. Czuła, iż w tej chwili rozgrywa się cała jej przyszłość i że z apoteozy tryumfalnej świetności, w jakiej żyła, spaść może na dno nędzy moralnej, ubóstwa materialnego (względego) i śmieszności zapomnienia się w objęciach tak marnej kreatury, jaką był Wielohradzki.

Ton jej mowy był już napozór zimny i obojętny, lecz pot zrosił jej krzyż, a w gardle zaschło. Nie śmiała spojrzeć w twarz męża. Instynktem odgadrywała, że Maleni zrozumie prawdę i nie uwierzy jej słowom. Lecz nadzieja, iż człowiek ten nad wszystko ceni swoją karierę i utrzymanie się na stanowisku, dodawała jej otuchy.

Maleni bez najmniejszej zmiany w twarzy wysłuchał słów żony. Zdawaćby się mogło, iż odpo

Uczuł, iż musi coś powiedzieć koniecznie, i zbielełymi ustami wybełkotał z jakąś mimowolną unізonością:

— Je suis a vos ordres, monsieur!



Lecz Maleni, z rękami w tył założonemi, z cylindrem zsuniętym z czoła, nie spojrział nawet w stronę Tadeusza.

— A mes ordres? — odparł obojętnym głosem — dites: aux ordres de mes domestiques!

Lekko wykręcił głowę ku psiarczykom, którzy od kilku chwil uprzętałi gorliwie próżne miski i sortowali psy, zapędzając je do klatek.

— Wyrzucić tego człowieka! — rzucił przez ramię.

Poczem zwrócił się ku stojącym ciągle nieruchomo mężczyznom:

— Panowie... proszę za mną! obejrzymy najprzód Gordon Setter'y, a później przejdziemy do Dachshundów. Mam nadzwyczajne niemieckie i...

wiedz tę on jej myślą dyktował i suggestyjonował. Gdy skończyła, podał jej ramię.

I gdy ona oparła swoją rękę na jego ramieniu, wyprowadził ją z psiarni pomiędzy dwoma rzędami rozstępujących się mężczyzn.

Na progu usunął ramię i Muszka odwróciła się twarzą ku niemu. W tej chwili spotkały się ich źrenice i zamigotały w słońcu wiosennem przez jedną sekundę. Pierwsza Muszka spuściła powieki. W tem mgnieniu oka zrozumiała, iż Maleni wie całą prawdę; tyle pogardy i ironii uczuła we wzroku męża.

Lecz teraz była już zupełnie spokojna i pewna siebie. Giest, którym Maleni ofiarował jej ramię, był pełen szacunku i godności. Wiedziała, że ramię to prowadzić ją będzie nadal mimo wszystko i utoruje jej drogę świetną i wspaniałą. I lekko a majestatycznie oddaliła się wśród krzaków zieleniejących od spodu, a po wierzchu pociągniętych krwawym refleksem zapadającego słońca.

Przez ten czas Tadeusz podźwignął się z ziemi. Słowa Muszki spadły na niego jak lodowy grad i zmroziły całą jego istotę. To przejmujące zimno fizyczne zabijało w nim poniekąd wszystkie wrażenia moralne. Potarł ręką czoło, spojrział dokoła i z ciemnej masy kręcących się psów przeniósł wzrok na stojących w strudze światła mężczyzn i na powracającego ode drzwi Maleniego.

Acceptez mon bras!,

wyrzekł spokojnie.

## XIX.

Wielohradzka wypita herbatę, zjadła suchą bułkę i, przyciemniwszy trochę lampę, usiadła przy stole. Zmęczona była i smutna.

Jakiś niepokój rwał jej serce od samego rana. Zdawało się jej, gdy wstała, że niema dachu nad głową, i czuła się samą, chorą i opuszczoną nad wyraz wszelki. Powróciła od Piknickiej, gdzie zaczynał panować nastrój świeżo zakładającego się gniazda. Teczka, zupełnie swobodna i szczęśliwa, była punktem jasnym, do którego ciągnęły spojrzenia babki, Felka, pana Janczewskiego i samej Wielohradzkiej.

Wyprawa, przygotowywana powoli, zalegała teraz komodę, stoliki, krzesła. Była to biel skromna, dziewczęca, wdzięczna i czysta. Teczka kąpała się w tem ubóstwie śnieżnym tanich koronek i płótna. Stawała się coraz więcej kobietą, rozwijała się jak kwiat, jak ptak gotujący się do lotu. Wielohradzka

w tej atmosferze zapominała się, przejmując się mimowoli radosnymi nadziejami i szczęściem danej chwili, jakby i dla niej była w tem jakaś osobista część. Powróciwszy do domu, znalazła się w pustce i osamotnieniu. Natychmiast przecucie nieszczęścia spadło na nią, jak sęp, i zaczęło rwać jej serce. Chciała się modlić, lecz książka wysunęła się z jej rąk. Banalne frazesy drukowanej modlitwy nie wystarczały jej. W głębi serca nic znaleźć nie mogła. Usiadła więc w półcieniu i swe zbolale oczy zanurzyła w przestrzeń, w której majaczył jakiś niewidzialny wróg groźnego fatalizmu.

— To ten list Radolta tak mnie rozstroił — pomyślała, opierając głowę na spracowanej dłoni.

Rano bowiem dostała list od literata, który przez jej życie przesunął się jak cień, zostawiając jako wspomnienie srebrzystą strugę gorących łez i chromatyczną gamę jęku tortuowanego zwierzęcia.

I jęk ten powtórzył się teraz, dobywając się całą siłą z tego szmatu papieru, przysłanego z zapadłej wioszczyny górskiej, w której dogorywał Radolt. Nie była to śmierć fizyczna, natychmiastowa i nieunikniona, lecz była to agonja moralna wyczerpanej życiem istoty. Radolt szalał ze smutku i rozpaczy w otoczeniu ludzi prostych, cierpiąc podwójnie wśród jasności i przestrzeni wioskowej.

„Kona coś we mnie z dniem każdym o zachodzie słońca — pisał do Wielohradzkiej — kona ciężko

Wielohradzka myślą przechodziła ustępy listu Radolta.

„Strzeż pani Tadeusza, aby i on nie zatruł się tym jadem!...”

Powoli Wielohradzka zaczęła wnikać w siebie i bezstronnie zapatrywać się na minione chwile. Muszka, wyjazd Tadeusza do Concarneau, owe piękne rojenia małżeństwa z panną Dobrojowską, zniweczenie tych nadziei, w które ona tak gorąco, tak niezłomnie wierzyła—nie byłże to już ów jad, owa trucizna, która weszła w jej życie i w życie Tadeusza?

Nigdy od tej chwili nie zdołała odzyskać równowagi i zawiązać dawnej, serdecznej nici pomiędzy sobą i synem. Ciągle rwało się coś pomiędzy nimi, i widmo kobiety o miedzianych włosach stało po za progiem ich ubogiego mieszkania, w którym tryumfowały gnomy złośliwe codziennych, materialnych kłopotów.

I coraz więcej, coraz więcej serce Tadeusza oddalało się od niej; czuła to doskonale: dziecko jej nic było już jej dzieckiem. Jakiś mur wznosił się powoli pomiędzy nimi dwojgiem. Jego uraza do matki rosła coraz większa, uraza niesformulowana, ale istniejąca. Ona zaś, zdjeta jakimś nieokreślonym zrozumieniem swej winy, usuwała się, pokorna i zalękniona.

i boleśnie. Przechodzę cała Golgotę śmierci i sędzę, że już wszystko skończone. W nocy śpię jak umarły. Nie śnię, jestem bez czucia, bez życia. Lecz rano budzę się i doznaję uderzenia maczugą. Cały ten trup, który, zdawało mi się, że już tylko potrzebuje się rozłożyć i w proch rozpaść, odżywa i torturuje mnie długi, długi dzień, bez chwili wytchnienia. Wieczorem rozpoczyna się moja męka. Nie wiem, czy mnie Pani zrozumie, aleja w tej samotności, ze wspomnieniem tej strasznej zbrodni, jaką na mnie spełniono, chwilami tracę resztę rozsądku, jaka mi jeszcze pozostała. Z chwili trochę przytomniejszej korzystam i skarżę się Pani, bo Pani jedna okazała mi, nie litość, ale serce prawdziwe i współczujące. Jeślim natrętny—przepraszam! ale ja dławię się od tak dawna i rana moja nie może się zagoić, i tylko jątrzy się i boli coraz więcej! coraz więcej! Jad, który ci ludzie w rany wlewają, jest silny i zbierany z żądał piekielnych potworów. Nic nie zdoła go zniszczyć, nic zeń nie uleczy. Strzeż Pani Tadeusza, aby i on nie zatruł się tym jadem, bo nawet w swem sercu nie znajdziesz na tę śmierć powolną lekarstwa. Moja matka, prosta chłopka, ale zawsze to matka. Próbowiałem wypłakać się u jej kolan. Nie pomogło! Jeszcze mi chyba dodało smutku i goryczy!..."

Przeciągle i chrapliwie wybiła na zegarze w kuchni jedenasta.

„Nawet w swem sercu nie znajdziesz na te śmierć powolną lekarstwa". Ten człowiek miał rację. Nie znalazła w swem sercu lekarstwa na ten rozkład moralny i rozterkę duchową, jaką czuła w Tadeuszu. Nie umiała z nim mówić teraz i unikała nawet wszelkiej głębszej rozmowy. Była dla niego pozornie obcą i poprzestawała tylko na pielęgnowaniu jego potrzeb cielesnych; czuła bowiem, że wszystko, o czym mówić będzie, zadźwięczy pusto i fałszywie wobec tej lodowatej pustki, jaka zaczynała wytwarzać się pomiędzy nimi. Po stronie syna, po za jego postacią, Wielohradzka dostrzegała teraz całą masę widm, zбитych w jeden kłęb błyszczący i hałaśliwy, ona zaś była po swej stronie sama jedna, zziębła i opuszczona. Wybiła dwunasta.

Wielohradzka nie myślała nawet gotować się do spoczynku. Siedziała wciąż, jakby oczekując na przybycie jakiegoś spodziewanego gościa. Zamiast serca, czuła lodową bryłę; mimowoli, ruchem oczekującego na cios ptaka, kurczyła głowę w ramiona.

Wobec tej fatalnej a nieuniknionej jakiejś grozy, która nad nią zawisała, czuła się bezsilną i nawet modlitwą nie próbowała odpędzić upiora, czyhającego po za zamkniętymi drzwiami jej mieszkania. Posłyszała, iż ktoś wchodził na wschody. Nie były to kroki Tadeusza.

Któs szedł ciężko, jak człowiek pijany lub chory. Zatrzymywał się chwilami i znów zaczynał swą wędrówkę, potykając się z łoskotem, objając się o ściany.

Nie—nie był to chód Tadeusza, a jednak Wielohradzka powstała z krzesła i, zwrócona twarzą ku drzwiom, oczekiwała na tę istotę, która niepokojącym łoskotem przerywała nocną ciszę. Podo drzwiami kroki ustały.

Nastało wielkie głuche milczenie.

Wielohradzka, bez oddechu, nieruchoma, z oczyma szeroko otwartymi pod pasmami swych srebrnych włosów, stała wciąż wyprostowana, z rękami przyciśniętymi do piersi.

Klamka pociśnięta otwarła się prawie bez hałasu i jakaś postać zgarbiona wsunęła się do przedpokoju.

Człowiek ten miał odzież Tadeusza, lecz trzymał pochyloną głowę i opuszczone wzdłuż ciała ręce. Gdy stanął na progu, podniósł głowę, i Wielohradzka poznała cień swego syna w tej masce prawie zielonej, o oczach zapadłych i nosie zwężonym, jak u trupa. Włosy przylegały mu do skroni; dolna warga obwisła bez woli. Zdawał się nie oddychać, powieki nie zamykały się.

Przez krótką chwilę zatrzymał się u progu i oparł o drzwi. Potoczył wzrokiem dokoła i nagle usta mu G..zapolska. Wodzirej. Tom II.

drzeć, jak dziecku, zaczęły. I rzucił się naprzód, wielkim głosem wołając: — Mamo! mamó!...

Jak skrzydła dobroczynnego ptaka, tak rozwinęły się macierzyńskim giestem ramiona Wielohradzkiej.

" Za chwilę Tadeusz klęczał u jej kolan i szlochał gwałtownie, jak dziecko.

Pochylona nad nim Wielohradzka tuliła jego głowę, a przez myśl jej przesuwwały się słowa listu:

„Moja matka—prosta chłopka, ale zawsze to matka! Próbowałem płakać u jej kolan—nie pomogło!"

Po słowach i postępkach Malenięgo Tadeusz nie mógł się nawet spodziewać, iż Maleni wyzwie go na pojedynek. Jakież jednak było inne wyjście z tej potwornej sytuacji? Dotychczas ludzie nie wymyślili jeszcze nic innego, jak w podobnych razach wzajemny mord i zbrodnię, usankcjonowaną obecnością świadków i kodeksem światowym. Tadeusz jednak nie mógł mieć po doznanej obeldze nawet tej satysfakcji, aby dać się pokrajać, albo przeszyć kulą rewolwerową.

Maleni powiedział: „wyrzucić tego człowieka!"— i w ten sposób cała sprawa załatwiona została. Dla Malenich, dla świadków całego zajścia Wielohradzki już nie istniał. Muszka tego samego dnia była wieczorem w teatrze, w asystencji męża, który nawet raczył zamanifestować pewnego rodzaju większą kurtuazyję względem żony. Było to mało, nic prawie; napozór ci państwo zachowywali się względem

siebie lodowato, correct i obojętnie. Lecz subtelne owe odcienie nie uszły uwadze panów, którzy byli świadkami owego zajścia w psiarni. Byli to jednak ludzie niezmiernie dobrze wychowani, fałszywi i rozumiejący doskonale, co mówić wypada, a co należy zachować dla siebie. Milczącą umową postanowili całą tę scenę pozostawić w otchłani swej niepamięci. Ponieważ sani Maleni nie zrobił najmniejszej aluzji w późniejszej rozmowie, jasnym więc było, iż pragnął, aby fakt ten wymazany został z pamięci obecnych. Ludzie ci byli tak zjednoczeni i spojeni ściśle intelektualnie, iż żaden z nich nie zastanawiał się nad postępkami Muszki i nie szukał wyjaśnienia. Przyjęli to, co Maleni im podał, i zadowolnili się tem zupełnie. "

Gdy w pół godziny później wsiedli do wojskowego breaku o niskim pudle i wysokim koźle, z pomalowanymi na żółto kołami, nie mieli najzupełniej wyglądu ludzi, przed których oczyma rozegrała się tragedia, mogąca zniszczyć i w gruzy obrócić sytuację tej kobiety, siedzącej na koźle, pod baldachimem mieniającej się parasolki. Patrzyli na nią obojętnie, nawet bez zaciekawienia, jakie zwykle w przeciętnej burżuazji wywołuje historia wirolomstwa. Zresztą nie było dowodów. Prawdopodobnie było tak, jak mówiła Maleniowra.

Tymczasem Wielohradzki .szalał w bezsilnej rozpacz.

Rozszlochany i rozspazmowany legł u kolan matki i tam powoli wyjęczał jej całą prawdę. Ominął tylko szczegół swej bytności u Muszki. Instynkt kazał mu zataić ohydę tego objawu ze strony kobiety w obecności drugiej kobiety, czystej i nieskalanej.

Wielohradzka, pobladła i drżąca, wysłuchiwała spowiedzi syna. Nie przestawała pieścić go i uspakajać, lecz ręce, przesuwające się po jego włosach i twarzy, miały nerwowe ruchy nagle oślepiętego człowieka. Gdy Tadeusz umilkł, i ona nagle zapadła w nieruchomość, cała biała w pasmach swych siwych włosów, z oczyma jeszcze więcej w głąb zapadłymi. Zdawała się stać nad brzegiem jakiejś przepaści, pełnej zgnilizny i robactwa. Nie miała siły cofnąć się, ona — ona moralna królewna. Jakaś brutalna ręka zdierała z niej teraz wiekową pleśnią porośnięte taśmy, któremi dusze jej, tam na wsi, od dziecka skępowano, suchą, lecz zarazem romantyczną dłonią obowiązku. I to, czego Tadeusz nie powiedział, ona odgadła i zrozumiała.

W sercu uczuła wielkie zimno i czerń niezmierną,

Tamta kobieta, zdradzająca swego męża w rok po zamążpójściu, wydała się jakimś fenomenem, chorobą zaraźliwą, o której wśród epidemii słyży się ciągle często, lecz której się nie widzi, i często umiera się, nie mając pojęcia, czem była owa epidemia, wśród której się przeszło. Wzrok jej padł na syna

i mimowoli ręce jej nerwowo zaczęły odsuwać się od jego głowy.

Był to spólnik tej kobiety, oszust, kłamca i złodziej...

Wkradał się do domu Malenich i tam „plamił honor” pana domu.

Dla Wielohradzkiej fakt ten wydawał się szczytem zbrodni i grzechu.

Lecz równocześnie ogarnęło ją wielkie rozrzewnienie. Tadeusz, drobny i mały, tulił się do jej kolan' nędzny i zmęczony, jak ptak, który zabłąkał się zdala od gniazda. I matka zwyciężyła kobietę. Ręce Wielohradzkiej znów otuliły głowę syna i tylko wargi jej pozostały milczące, zbielejące, jakby szron z głębi jej serca wstąpił na nie i piął się ku skroniom, na których śnieżyły się dwa płatki siwych włosów, korona smutku i mozolnie przebitego wieku.

Zaczęła się teraz dla Wielohradzkiej prawdziwa Kalwarya, krzyżowa droga, którą ona iść musiała, dźwigając na zboliałych plecach krzyż, zbyt ciężki na barki jednej spracowanej istoty.

Stała u stóp Golgoty, jak prawdziwa dolorosa, uboga i pokrywająca swój ból i Izy koniecznością konwenansów.

Tadeusz, po przeplakanej i przejęczanej nocy, oświadczył rano, iż do biura nie pójdzie, że nie pój

dzie tam nigdy, aż do chwili, w której Maleni bić .się z nim będzie, jak na dwóch ludzi honoru\* przystało.

Zamknął się w swoim pokoju i leżał na łóżku, zrywając się co chwila, jak szalony, wybuchając płaczem i rzucając się ponownie na posłanie.

Należało według tradycji, aby to mąż, znieważony i szarpnięty na swym „honorze”, wyzwiał kochankę; lecz Tadeusz nie uchodził nawet w oczach Maleniego za „kochankę” en regie, ale poprostu za takiego pana, który się zapomniał. Nie należało więc nawet spodziewać się przysłania świadków ze strony Maleniego.

Była to straszna i dojmująca pogarda, to stanowisko, jakie owa para dynitarska zajęła względem Wielohradzkiego.

Ocalając nieskazitelność swej reputacji małżeńskiej, pograżono jednocześnie „tego drugiego” w otchłani najzupełniejszego poniżenia. Nie istniał dla nich pomimo tego, co zaszło. Istnieć nie mógł.

A jednak Wielohradzki spodziewał się, że Maleleni, zrozumiałwszy sytuację, w tajemnicy bodaj zażąda od niego honorowej satysfakcję całą duszą pragnął teraz być traktowanym, jak ktoś z towarzystwa, jak ktoś mogący być kochankiem Maleniowej i partnerem w pojedynku pana Maleniego. I szalone to pragnienie rosło i potęgowało się w uim z każdą minutą. Nareszcie owo ostrze szpady, krzywa

linia pałasza lub lufa pistoletu zaczęły go hipnotyzować i zdawać ma się upragnionym celem, do którego dążyły teraz jego pragnienia i myśli.

Głęboko zakorzeniona idea uleczenia swego honoru i zmycia obrazy we krwi, cięcie się i rąbanie tradycyjne nurtowały go i suggestyonywały mu konieczność pojedynku. Z myśli zesła mu najzupełniej Muszka. Nie myślał o niej. Widział ją we mgle jakichś wspomnień. Zasłonił ją Maleni, straszny, groźny, nieubłagany obojętny. Ta obojętność właśnie była najmonstrualniejszym faktem. Tadeusz wywoływał w gorączce oczekiwania fantazją swoją potworne sceny pomiędzy sobą a mężem Muszki obelgi wzajemne, nawet zamieniane policzki...

Zdawało mu się, że jest tam, w psiarni, że Maleni stoi przed nim, we drzwiach czerni się tłum kasynowców. Coś jasnego, jakaś smuga biaława znika pomiędzy czarnymi sylwetkami mężczyzn. To Muszka odchodzi. I zaraz, po wyjściu „damy” — on i Maleni mierzą się pogardliwym wzrokiem, stają naprzeciw siebie, jak dwaj godni siebie przeciwnicy. I zamieniają słowa równoważne z obu stron. Wielohradzki powściąga się, rozumiejąc rozdrażnienie oszukanego męża, lecz nareszcie wybucha, podnosi rękę, przecina powietrze... Nagle — słyszy głos łagodny matki: — Mój Tadeuszu kochany!... wypij choć trochę herbaty z cytryną!...

Tadeusz kryje głowę w poduszki. Rzeczywistość chwyta go w swe szpony. Nie odpowiada matce i tylko pragnie ciemni i spokoju. Jest tak zboląły moralnie i fizycznie, iż zdaje mu się, że jest jedną raną. Jęczy cicho, jak obite szczenię. Wielohradzka już jęk ten znała.

Odżył w jej wspomnieniach z chwil niedawno minionych. Był to jęk Radolta, kryjącego tak samo jak Tadeusz głowę w poduszki. I mimowoli Wielohradzka zaczęła pielęgnować syna tak, jak pielęgnowała tamtego „obdartusa”, do którego przywiązała się z powodu jego łez i rozpacz.

Więc — zimne kompresy na głowę i serce, brom, kwiat pomarańczowy podawała teraz kolej no, pochylona nad synem, z czołem przecietem bolesną blizną, zgrzybiała nagle i postarzała w ciągu jednej nocy.

Powoli na usta jej wypłynęły słowa, z początku jedynie macierzyńskie, pieszczotliwe, później coraz energiczniejsze, żeby rozbudzić w Tadeuszu jego zamierającą woję.

Lecz gdy z urywanych zdań syna zrozumiała, iż Tadeuszowi chodzi o pojedynek z Malenim, zdrętwiała znów cała. — On się ze mną bić musi!... powinien!... ja muszę się z nim bić!... marno!... ja muszę koniecznie!... — wybuchnął wreszcie Tadeusz, zrywając się z pościeli.

Wielohradzka cofnęła się, przyciskając ręce do piersi.

— Bić się?... ty?... Tadeuszu!... Serce jej macierzyńskie załopotało nagle wszystkimi skrzydłami trwożliwej rozpacz. Pojedynek zarysował się nagle przed nią, jak czarne widmo, wlokące za sobą śmierć nieuniknioną. Bez tchu stała teraz na środku małego pokoiku, oświetlonego żółtawym, chmurnym światłem. Deszcz bił o szybę drobnego okienka i spadał z pluskotem z dachu brzydką szemrzącą kaskadą. W pierwszym pokoju Tacia, odgadując instynktem kobiecym tragiczność sytuacji, szła cicho, starając się nawet nie szeleścić jedwabiem swej ślubnej sukni, do której starannie przyszywała kokardy ze śnieżnej wstążki. Odstawiła maszynę i wyniosła kanarkę do kuchni. Przeczucie jej mówiło, iż chodzi tu o rzecz ważniejszą niż o zwyczajny atak nerwowy Wielohradzkiego. Lecz tak obojętną teraz była względem tego człowieka, iż troszczyła się jedynie o samą Wielohradzką i współczuła jej cierpieniu. Gdy Wielohradzka wyszła z pokoju syna i podeszła ku oknu, aby tam, wsparłszy głowę o szybę, stać długą chwilę w milczeniu i zadumie, Tacia z przerażeniem śledziła tę twarz nagle postarzałą, na której zarysowały się brzoźdy wielkiego zgnębienia i strasznego smutku. Tymczasem w duszy Wielohradzkiej zaczynał odbywać się proces dziwny, lecz ściśle logiczny i naturalny.

Byłą kobietą, matką, a więc istotą trwożliwą o życie i całość swego dziecka.

Lecz zarazem była to szlachcianka, mająca prawem dziedziczości przekazaną żyłkę do pojedynków i wychowana w tradycji, iż moralna zniewaga zmywa się fizycznym bólem, i że to, co się nazywa „obraża honoru” — reparable się przecięciem skóry lub przedziurawieniem ciała.

W pierwszej chwili zdrętwiała na myśl o pojedynku, powoli wszakże wystąpiła na scenę duma, i ta nurtować ją zaczęła. Zrozumiała ból i rozpacz syna. Maleni bić się z nim nie chciał. . Dlaczego?

Czy ród Wieloliradzkich nie starszy i nie piękniejszy od rodu Malenich? Czy ich „gniazdo” nie równie zaszczytne i wspaniałe, jak „gniazdo”, z którego pochodzi mąż Muszki?

W sercu jej wezbrał straszny gniew.

Z pokoju syna dolatywał ciągle cichy jęk Tadeusza. Gdyby nie wstyd, i ona zaczęłaby mu wtórować, tak dławiała ją teraz zhora nieszczęścia. Dokoła niej zaległa ciemnica. Nie widziała punku wyjścia. Honor Tadeusza wzgardą Maleniego został w proch zmiadzony.

Co dalej? co dalej?

Cichutko z pokoju wysunęła się Tęcia i powróciła do babki.

Biała jej suknia ślubna leżała teraz rozpięta na krześle, sztywna i dziewiczo śnieżna,

Wielohradzka przygastę oczy na tę biel zwróciła i smutnie pokiwała głową.

Nie, przez tę dziewczynkę nieszczęście nie weszłoby do ich domu, Dlaczego sprzeciwiała się początkowo temu związkowi? Dlaczego raczej nie uczyniła wszystkiego, aby Tadeusz ożenił się z Tecią!

I znów jęk Tadeusza, jęk głośniejszy i boleśniejszym wyrzucony głosem, targnął nią całą:

— Marno! marno!...

Powoli oderwała się od okna i weszła do pokoju syna. Co mu powiedzieć miała? jak go uspokoić, kiedy ona sama czuła taki ból i taką rozpacz, jaka nim szarpała?

Weszła jednak i rękę zimną i wystygłą położyła na głowę syna.

— Marno!... ja się z nim bić muszę!... — jęczał Tadeusz.

— Nie!... nie!... — przeczyły usta matki, a buta, przesądów pełna, powtarzała w głębi duszy:

— On się bić musi, on się bić powinien! ..

I w rozterce tej wyczerpywały się jej siły i rozdrażnienie nerwowe zaczęło wzrastać teraz z niepohamowaną szybkością.



— A ot i jaśnie pan!... — wymówił psiarczyk, wskazując sylwetkę Maleniego, migającą czarną plamą wśród pożółkłych krzaków.

Wielohradzka poczuła, iż serce w niej zamiera, i pod fałdami okrycia przycisnęła ręce do silnie falującej piersi.

— Dobrze!... dziękuję ci, moje dziecko! — wyrzekła zbielełymi ustami.

Psiarczyk oddalił się, z łoskotem łamiąc schnące gałęzie. Deszcz żółtych i czerwonych listków spadł na niego, jak farandola nagle zbudzonych motyli.

Wielohradzka nie ruszyła się z miejsca i tylko uparcie wpatrywała się w Maleniego, a oczy jej zaciągnęły się wilgotną mgłą.

Magnat stał teraz nieruchomy, zwrócony ku niej cokolwiek profilem, z głową opuszczoną na piersi. Nie było w nim ani śladu tej zwykłej dumy i samowoli, jaką imponował drobnej a zalegającej gmach

namiestnictwa rzeszy. Jakiś robak fatalny zdawał się go udęczać i w ten ranek jesienny gryźć, dręczyć i dławić. Jego oczy biegły w kierunku psiarni, której zabudowania czerniały wśród krzaków. Coś w jego życiu, tak wspaniale się prezentującym, było nie po jego myśli i odbierało mu zwykły spokój. Sądząc się samym, zrzucił z ramion płaszcz imponującej powagi i majestatu, którym oszałomił ludzi.

Wielohradzka, również zgnębiona i nieruchoma, patrzyła na niego długą chwilę i, nerwowe podniecenie, które pędziło ją do Paprotki wczesnym rankiem, zaczęło nikać i ustępować z wolna trwodze i zwątpieniu.

Kilka nocy bezsennych, spędzonych przy łóżku szalejącego coraz więcej Tadeusza, natchnęło ją myślą napozór potworną i fatalną. Z myślą tą biegła ku Maleniemu, podniecając się z całych sił w bolesnym zrozpaczeniu, i teraz, będąc o kilka kroków od tego człowieka, nie śmiała nawet poruszyć się, aby dać mu znać o swej obecności.

I tak stali oboje długo, nieruchomi, zgnębieni, jak dwa czarne posągi na tle purpury i złota jesiennego drzewa, na podstawie szarej, gdzieś jeszcze zielonawej ziemi. Trochę babiego lata uczepliło się czarnej szaty Wielohradzkiej, jak żałobna nić srebrna na całunie okrywającym katafalk. Po nad nimi gorzało niebo dziwne, zabarwione purpurą,

tak; jakby ktoś kroplę krwi dołał do zwykłego niebieskiego błękitu.

Nagle Maleni odwrócił się i ciężkim krokiem iść zaczął.

Szedł teraz prosto ku Wielohradzkiej; ujrzawszy tę wyniosłą a tak tragiczną postać niewieścią, zawahał się krótką chwilę.

Było to jednak mgnienie oka. Maleni szedł dalej i, zbliżywszy się do matki Tadeusza, zamierzał przejść obok, uchylwszy lekko kapelusza.

Błada twarz Wielohradzkiej zbieła jeszcze bardziej. Z ust, które stały się niemal sine, wybiegi szept:

— Excusez... cornte...

Szept był zaledwie dosłyszalny, lecz Maleni zatrzymał się natychmiast. Wyprostował się mocą nałogu i oczy przymrużył. Nie przywdział jednak na twarz maski impertynenckiej grzeczności, z jaką przyjmował zwykle swoich suplikantów. Przeczucie mówiło mu, iż ta siwa, blada kobieta odegra w jego życiu ważniejszą, niż przypuszczał, rolę.

— Czem mogę służyć? — zapytał równie cichym głosem.

Ona wahała się chwilę, mnąc fałdy swego płaszcza w drżących od wzruszenia rękach.

Jestem... Wielohradzka!..— wyrzuciła wreszcie przez zaciśnięte zęby.

Czoło Maleniego załała fala krwi.

Nazwisko Tadeusza, głośno wyrzeczone obok niego, o kilkanaście kroków od tej psiarni, w której rozegrała się fatalna owa scena, oblało go warem.

Zmarszczył brwi i wpakował energicznym ruchem ręce w kieszenie kurtki.

— Czem mogę służyć? — powtórzył machinalnie, nie patrząc już w twarz Wielohradzkiej.

W niej zaczął wzbierać gniew głuchy, z którego zdać sobie sprawy na razie nie mogła.

To „czem mogę służyć?” — dopełniło miary.

— Przychodzę — wyrzekła szybko, zamykając oczy, jak ktoś rzucający się w przepaść — przycho dżę względem owego pojedyńku...

Lecz Maleni przerwał jej brutalnie;

— To było zbyt cenne. Możesz pani być o swego syna spokojną... Ja się z nim bić nie będę!

Teraz ona wyprostowała się dumnie i z pogardą zmierzyła olbrzymią postać magnata.

— Dlaczego? — zapytała,

Maleni spojrzął na nią uważniej z pod brwi ciągle ściągniętych.

— Dlaczego? — powtórzył — dlatego... że... bić się z tym panem nie mogę...

— Ale dlaczego?

— Dziwne to pytanie... proszę mi wybaczyć, że na nie nie odpowiem. Rozumiem jednak pani trwogę i powtarzam: może pani być spokojną, ja bić się z synem pani nie będę...

— A ja przychodzę prosić, a w razie potrzeby żądać, abyś pan bił się z moim syuem!...

Słowa te przecięły powietrze, jak uderzenie stalowej szpicruty, i spadły zupełnie niespodziewanie na głowę Maleniego. Magnat cofnął się kilka kroków i spojrzął ze zdumieniem na stojącą przed nim kobietę.

— Pani? pani, matka, chcesz, abym się bił z synem pani?

— Tak! ja, matka!... Dlatego właśnie, że kocham moje dziecko, nie mogę pozwolić, aby to dziecko zginęło moralnie i cierpiało, jak ono teraz cierpi.

— Pani źle kochałaś swego syna!.. Wielohradzka milczała długą chwilę, wreszcie odparła:  
— Nie wiem, czy źle kocham, wiem to tylko, że, kocham tak, jak umiem i jak mnie kochać nauczono!...  
— Nauczono panią kochać źle, fałszywie, błędnie... Staralem się dowiedzieć dokładnie, jakie jest wasze życie i kim jesteście. Przekonałem się, że pani sama zgubiłaś swe dziecko...  
Z oczu Wielohradzkiej płynąć zaczęły dwie strugi łez.  
— O... panie hrabio!... — załkała boleśnie.  
— Wiem, że jestem w tej chwili okrutnym — ciągnął dalej Maleni — ależ to wreszcie przyjsć uinci. Zapolska Wodzirej. Tom li.

siało. Na błędną drogę pchnęłaś pani swego syna i na błędnej drodze utrzymywałaś go bezustannie.. I to kosztem jakich ofiar!...

Głos jego złagodniał, oczy nabrały wyrazu wielkiej litości i współczucia. Dyplomatygnitarz znikł, zaczął się ujawniać człowiek, mający na dnie duszy jaśniejsze i sercowe porywy.

— Nie płacz pani!...—wyrzekł powoli—łzy teraz na nic się nie przydadzą. Katastrofa przyszła, i uniknąć jej nie możecie. Jeżeli dobrze zrozumiałem, chcesz pani, ażebym zażądał od twego syna honororowej satysfakcji?

— Tak!... proszę o to!...

On zrozumiał, ile bólu, wrask i męczarni musiała przejść ta matka, aby sformułować podobną prośbę i to tak cichym, pokornym niemal głosem.

I znów zaległo milczenie, przerywane tylko szmerem spadającej gałęzi lub szelestem płynących po powietrzu liści.

Wreszcie urywanym głosem, tak, jakby wstydząc się tego, co powiedzieć musiał, zaczął mówić Maleni:

— Ja... go wyzwać nie mogę... Mogłoby to bowiem... dać powód do podejrzeń i rzucić cień... na moje nazwisko.,.

Mówiąc, oczyma mimowoli wskazywał na zabudowania psiarni, bo w jego umyśle odżywała najdokładniej owa scena, której znaczenie istotne rozu

miał dokładnie, lecz musiał i wolał w oczach świata nie rozumieć.

— Trzeba... ażeby... syn pani był na wieczorze, najbliższym... u Orzeckick naprzykład... ja go obrażę... i on mi przyśle sekundantów...

— A hrabia przyjmie?

— Przyjmę!

— Słowo?

— Słowo!... Spojrzeli sobie w oczy.

Mężczyzna był widocznie znużony i krople potu spływały mu z czoła.

Kobieta, trupioblada, drżąca, zdawała się być widmem, zjawiającem się wśród cmentarzyska.

Maleni uklonił się teraz i zwrócił do odejścia.

— To wszystko, co dla pani mogę zrobić! —wyrzekł, unosząc kapelusza.

Lecz ona wstrzymała go błagalnym giestem.

— Nie zrób mu pan nic złego!...—zawołała, płacząc serdecznie.

Maleni zawahał się chwilę.

Chciał ująć tę rękę, która wyciągała się ku niemu błagalnie i pokornie, lecz nic śmiał.

Zdjął go nagły lęk i wstyd go ogarnął za rolę, jaką miał odegrać w tej tragedii prostej a napozór tak skomplikowanej.

— Bądź pani spokojną!... — wyrzekł, schylając nisko głowę.

Odszedł, i Wielohradzka pozostała teraz sama wśród złota i purpury jesieni. AV powietrzu była cisza zupełna i fałdy jej szat opadały prostemi, niewzruszonymi liniami aż ku samej ziemi. Kilka liści żółkłych uczepiło się tych fałd i plamiło lnatowym złotem czerń wdowich sukien.

I w strudze słońca, które, świecąc, nie grzało, src brzyły się dwie strugi gorących łez, płynących z pod zboląłych powiek kobiety.

Nad brzegiem Sanu, het błękitną strugą wijącego się leniwo, wyszli oboje, syn i matka, na codzienną nadwieczorną przechadzkę.

Mijali powoli ostatnie domki miasteczka i kierowali się ku polom zieleniejącym obszerną płaszczyzną w oddali.

I daleko za sobą pozostawili Przemyśl, te drobną mieścinę, w której teraz im zbiegiem losu żyć przyszło.

Szli wolno i w milczeniu: ona —zawsze wyniosła i majestatyczna w obramowaniu swych siwych włosów i czerni wdowiej; on—zgarbiony i chmurny, z głową pochyloną na lewe ramię, w bolesnym i szpetnym kalectwie.

Mówili do siebie mało, monosylabami, i to jeszcze matka pierwsza wszczyniała rozmowę, wybierając starannie tematy, które nie drażniłyby coraz więcej denerwowanego Tadeusza.

On zwykle przerywał rozmowę, często opryskliwie, czasem smutkiem łagodnym zdjęty.

I jego wielkie błękitne oczy błędziły wtedy po horyzoncie, przygasłe i skarg pełne. Zdawał się być ptakiem, któremu podcięto skrzydła i wypuszczono na wolność. Włókł się po ziemi i nie miał siły nawet porwać się do lotu. Milczał i wpadł w fatalną apatyę. Często głos matki drażnił go i doprowadzał do szaleństwa. O czym bowiem mówić mogli z sobą na tem wygnaniu, w tej mieścinie, pełnej plotek głupich i śmiesznych, i żydów zamiatających polami chałatów śmiecie uliczne? Od dwóch lat mieszkali już tutaj: on, nędzny urzędniczyna przy miejscowym staroście, zdegradowany i przeniesiony do Przemyśla; ona, niemająca odwagi rozpocząć w małym miasteczku swej krawiecczyni, zdjęta ciąglym jeszcze wstydem przed fałszywą hańbą uczciwego zarobku.

Co wieczór więc szli nad brzeg rzeki i tam siadali na belkach, które leżały na wpół zasypane piaskiem.

On patrzył na zachodzące słońce, nie odczuwając całej piękności tej chwili; ona patrzyła na niego, i w sercu jej krwawiła się rana podwójna. To straszne oszpecenie, to cięcie pałaszem Maleniego, które przecięło ścięgną i raz na zawsze skrzywiło głowę Tadeusza, przechylając ją ku lewemu ramieniu, odezwało się moralnie i w jej sercu. I ona na całe życie była zraniona, cierpiąc męki nieokreślone, ile ra

zy spojrzenie jej padło na postać dawnego wodzireja Ten kaleka z tak tragicznie pochyloną głową, milczący i znękany, to był jej Tadzio, wodzirej kotylionów, strojna laleczka, obwieszona cackami orderów lub dzwoniąca brzękadłami maskaradowego stroju!... I widmo „karyery”, które było celem i ideałem jej życia, to widmo pierzchno przed oszpeceniem i kalectwem dawniej tak pięknego chłopaka.

Pojedynek, wyblągany przez nią samą, odbył się nareszcie w olbrzymiej sali jakiegoś zajazdu na przedmieściu Lwowa. Tadeusz, strwożony, zdenerwowany, niemniejący obchodzić się z bronią, odsłonił się odrazu i tem samem mimowolnie zmusił Maleniego do zadania mu fatalnego i niezmiernie rzadkiego w kronice pojedynków na krzywe pałasze — ciosu. I wśród tych zachodzących blasków słonecznych Wielohradzka przeżywała codzien tę straszne chwile, w której stanęła u łóża swego syna, bezprzytomnego i krwią zalanego. Targnęło się w niej serce i głos wielki, potężny wołać zaczął, jak echo słowa Maleniego:

— Kochałaś go źle!...

. I znów odpowiedź drgała w głębi jej duszy:

— Kochałam tak, jak kochać umiałam i jak mie nauczono.

— Nauczono cię źle!...

Wtedy Wielohradzka ukrywała twarz w dłonie,

aby pogrzyżyć się w zupełnej ciemni. Byłaż ona odpowiedzialna, za to, co się stało? Gdzie szukać miała przyczyny nieszczęścia? Czy wogóle była odpowiedzialną za popełnione czyny?

Tymczasem Tadeusz, siedząc obok niej zwrócony twarzą ku rzece, zapadał coraz w większą zadumę. Błękitne jego oczy ciemniały i pokrywały się mgłą wielkiej tęsknoty. Widocznem było; iż ściagał jakieś dawne i przez siebie bardzo ukochane mary. I powoli ręka jego, trzymająca laskę, zaczynała wykonywać ruchy. Laska zanurzała się w piasku i lekko zakreślała koła, cyfry i linie. Piasek pokrywał się symetrycznymi brózdami, a ua czole Tadeusza występowała

zmarszczka. Z przekrzywioną głową, blady, wycieńczony chorobą i apatyczną wagetacją, jaką pędzić musiał —kreślił wodzirej mozolnie i pra cowicie .. nowa figurę kotyliona.

KONIEC.